

# PRZEGLĄD POWSZECHNY

„BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM  
BÓG JEGO”

*Ps. 143.*

---

ROK XLVIII.

Tom 191.

---

LIPIEC — SIERPIEŃ — WRZESIEŃ

1931



KRAKÓW  
DRUKARNIA „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO”

---

SPIS RZECZY NA KOŃCU TOMU.

---

## Nowe drogi badania literatury.

---

Niezbýt dawno wygłosił teoretyk literatury Dragomirescu zdanie,<sup>1)</sup> że nauka o literaturze nie może być zawsze ograniczona do historii literatury. I istotnie odsuwa się ona od tej ostatniej coraz wyraźniej.

Niedawno zauważył nawet Fehr,<sup>2)</sup> że nie chodzi dziś o ewolucję historyczną literatury, ale o zagadnienie wartości i treści duchowe o nadczasowej zasadzie istnienia, o poznanie literatury jako wyrazu indywidualności, o ukształtowanie idealnej fenomenologii, gdzie z zewnętrznej formy dzieła przez pogląd twórcy uwarunkowanego wszystkie części wewnętrznej formy i wewnętrznego wyrazu idei mogą być odtworzone, wreszcie o oznaczenie literatury jako funkcji życia społecznego. Chodzi o sposoby, dzięki którym duchowe wartości poza czasem w ludzkiej duszy istniejące uwydatniają się. Takie stanowisko Ungera, Gundolfa, Ermatingera zwraca się przeciw historyczności, a docieka za pośrednictwem dzieła istotnych ludzkich wartości.

Taki objaw wynikł zaś z przełomu w dziedzinie filozofji, a szczególnie w psychologii, wreszcie w estetyce. Szczególnie Dilthey żądał, by nauki humanistyczne odzyskały swą niezależność, gdyż miał swą koncepcję filozoficzną i swe metody ujmowania zjawisk. Różne zjawiska były dla niego symbolem, których on interpretował sens. Każda epoka była dla niego jedną z postaw ducha ludzkiego wobec przedmiotów, a cały człowiek żył i reagował na wszystko.

---

<sup>1)</sup> M. Dragomirescu: *La science de la littérature*. Paris 1928.

<sup>2)</sup> B. Fehr: *Typologische Literaturbetrachtung*. Leipzig 1929.

Husserl uczył znów poznania istoty pewnych operacji świadomości i idealnych konieczności, które wiążą się z pojmowaniem, z wyobrażnią, z aktem oznaczania i sądzenia. Źródło poznania istoty rzeczy umieszczał w poznaniu ejdetycznym czyli istotnym i zgodnym z istotnością, a ejdos czyli istotność może występować w danych doświadczalnych takich, jak postrzeżenie, wspomnienie, nawet czyste dane wyobraźni. Rozróżniał wiedzę faktów i wiedzę istotności.

Z estetyków zaważyli Volkelt i Lipps. Znaczy to, że rozwinęli oni metodę psychologiczną w estetyce, gdyż zjawisko estetyczne uznali za zjawisko jaźni i badali je w sposób i temi samemi drogami, co inne zjawiska jaźni. Nauka Lippsa usiłowała wypracować pojęcia o pięknie, zwłaszcza pojęcie wczucia się, potem określić zasady estetyczne formalne, wreszcie ustalić własności sądu estetycznego. Uznała ona też metodę obserwacji i doświadczenia wewnętrznego jako metodę opisową oddającą to, co jest w nas i w duszy artysty.

Nauka o sztuce, która teraz powstała, liczyła się z energią psychiczną i studjowała chętnie elementy formalne dzieła. Okazało się bowiem, że twórcy, użytkując dzieła obce, myśleli o dziele własnem i zgodnem z ich wewnętrzną jaźnią, którą rozświeciła psychologia różniczkowa Sterna a dziś rozświeca charakterologia Sprangera i Uffitza. Zrozumiano też, że piękno jest prawdą uczuciową, że jest niezależnem od otoczenia, że zmierza do tego, co jest w istocie wszechrzeczy i wywołuje zjawisko nieznane rzeczywistości. Nowa estetyka ogłosiła, że świat ludzkich dążeń jest realny, że trzeba wskazywać sposoby, wedle których ten świat się kształtuje. W zastosowaniu do literatury nowe metody przedstawiły niektórych twórców w zupełnie nowem świetle.

Rozróżniwszy zatem trzy sposoby badania literatury,<sup>1)</sup> a więc genetyczny czyli psychologiczny i filologiczny, dalej historyczny czyli personalizujący i ewolucyjny, przyznano trzeciemu opisowemu czyli fenomenologicznemu

---

<sup>1)</sup> *Reallexikon der deutschen Literaturgeschichte*, II Berlin, 1926/28, artykuł Z. Łempickiego.



i ejdologicznemu pierwszeństwo. Zdano sobie sprawę, że chodzi tu szczególnie o badanie wedle pewnych kategorii estetycznych, biorąc za punkt wyjścia autora i przedstawiając jego środki stylowe, technikę, oddziaływanie.

Na tem polu pomogli wiele Dilthey, Müller-Freienfels Gundolf, Walzel. Uświadomiono sobie, że nauka o literaturze jest częścią nauki o sztuce. Poetyka jest częścią teorii sztuki, a z historii literatury przejmuje materiał. Biblijografia, psychologia twórczości, socjologia, technika literacka są naukami pomocniczymi, jak i krytyka tekstu, lingwistyka, charakterologia. A historia literatury stanowi tylko część nauki o literaturze.

Nie można zaś wątpić, że na tych nowych drogach współdziałać musi z jednej strony obserwacja ścisła i systematyczna, a z drugiej strony żywe zetknięcie się z dziełem. Nie należy przecież nadużywać żadnej z tych metod. Niegdyś przeważały analityzm i nastawienie genetyczne.<sup>1)</sup> Dziś idzie o związek zawartości i kształtu.

Nie przez genezę bowiem osiągamy zrozumienie zjawiska, ale przez objęcie całości i drogą opisu struktury tej całości. Zasadą budowy wszystkiego są bowiem indywidualne całości, a sztuka jest dziedziną swoistej twórczości ducha. Ona też ujmuje pewną zawartość w swoisty kształt estetyczny.

Trzeba przedstawić dzieło w organicznym i dynamicznym życiu, trzeba wnikać w jego materiał czyli w słowo oznaczające coś i będące wyrazem przeżyć psychicznych, trzeba rozważyć treść i formę, stanowiące w dziele niepodzielną jedność. Badając dzieło, wypada rozważyć jego treść istotną, potem kształt, dalej strukturę, wreszcie wyraz ostatni.

Badanie dzieła z tego stanowiska stanowi też właściwą naukę o literaturze. W tworzeniu jego świadomość współpracuje z nieświadomością, co wyjaśnił szczególnie Lalo, nazywając pole świadomości czemś podobnem do pola magnetycznego, gdzie siły wydobywające twórcze natchnienie z nieświadomości są może grą zmian i przekształceń, stwa-

---

<sup>1)</sup> B. Suchodolski: *Pozytywizm i idealizm w badaniach literackich*. Warszawa 1928.

rzającą raz obrazy, a raz pojęcia. Na ten temat mówi się wiele o tak zwanym schemacie,<sup>1)</sup> który stanowi formę życiowego popędu.

Tak powstaje inna rzeczywistość, która jest sumą najrozmaitszych elementów. Pogląd na świat twórcy jest wewnętrzną dynamiką dzieła. Należy zatem dzieło nie objaśniać, jak to czynili filologowie, ale wykładać, poszukując jego wymiaru. Wymiary statyzmu, dynamizmu, normatyizmu stanowią o istocie dzieła, bo odpowiadają spokojnemu intelektowi, ruchomemu uczuciu, kierunkowi czyli woli.

Dusza zaś ludzka nie ma historii. Nie ma więc jej i poezja, skoro Croce odrzucił historję poezji a przyjął tylko historję form. Odbija się w niej trwałe oblicze bytu czyli wartość i treść niezmienna. Z tego stanowiska ocenił dziś utwór Goethego teoretyk nie analizy ale wykładania Spoerri, rozróżniając przedmiot, który jest czemś zewnętrznem, zawartość, która jest czemś wewnętrznem, formę, która jest jak przedmiot.<sup>2)</sup> Przez nią przedmiot jest zmysłowym urzeczywistnieniem zawartości. Forma ma zaś cztery wyrazy: obrazowy, ruchowy, dźwiękowy, językowy. Stosownie zaś do wymiaru, wszystko rozwija się w sposób odpowiedni, więc w wymiarze statycznym obrazy następują kolejno i powoli, ruch rozwija się w tempie spokojnem, dźwięki są przymglone i osłabione, słownik nie obfituje w nadzwyczajne wartości.

A Petsch, dając niedawno swą teorję ujęcia dzieła, wskazał, jak to stosunek zawartości i kształtu wyraża się w spójnej całości i jak symboliczna siła wyrazu zdobywa się na jedność, gdzie wzajemna polarność zawartości i kształtu dokonywa się w tem, co odpowiada własnemu życiu twórcy. Uświadomienie sobie przez twórcę zawartości następuje mianowicie na drodze częściowo racjonalnej, częściowo irracjonalnej, wytwarzając niepowtarzalną całość, której ani treści opowiadać ani krytycznymi uwagami opatrywać nie trzeba.

Historyczne lub biograficzne wyjaśnienia nie mogą być

---

1) Ch. Lalo: *Le conscient et l'inconscient dans l'inspiration*. Paris 1910.

2) Th. Spoerri: *Praeludium zur Poesie*. Berlin 1929.

żadną pomocą w tem, co stanowi jądro wykładu. Filologiczna interpretacja, odnosząca się do rzeczy, myśli, form językowych, ujmuje też wszystko w ogólnem znaczeniu. Zbyt często ona uwspółcześnia też historyczny moment analizy oraz zbyt pochopnie wiąże utwór ze zwykłemi przeżyciami twórcy. Zbyt mało zdaje sobie sprawę<sup>1)</sup> z własnego ujęcia świata poety w jego pełnym sensu i znaczenia wycinku.

Trzeba uchwycić to ujęcie i jego intencjonalne wartości, trzeba ująć swoiste ukształtowanie przeżyć, nie szkodząc estetycznej przedśy całości jako całości. A dla estetycznego stanu twórcy przedmiotowe, życiowe, ziemskie wartości mają często tak małe znaczenie. One budzą tylko jego życie duchowe. Dzieło promieniuje zaś z siebie wiążącą go potęgę, gdzie wszystko coś znaczy, gdzie wszystko składa się na pewną sumę przedstawień.

Znaczenie zawartości jest zaś niewymierne, bo ona daje dziełu wieczne życie i przez nią objawiają się duchowe nadczasowe wartości. Zawartość przynosi formę, niema formy bez zawartości, gdyż obie są dwiema stronami twórczej rzeczywistości. Wykład dzieła pozwala nam ująć strukturę, widzieć kształty w ich wewnętrznym związku, objąć to, co nazwano określonością formalną. Wykład nie zdąża do rozłożenia elementów, ale do nowej syntezy, w której wewnętrzna budowa dzieła występuje nie w obliczonym i logicznym przebiegu.

Wszakże i w przyrodoznawstwie ujawnia się dziś pogląd, że znamy przyrodę tylko połowicznie, że musimy rozumieć rzeczy poza przestrzenią i czasem oraz przyczynowym determinizmem, że niemożliwem jest wydobyć tajemnicę organizacji przyrody. Z teorii względności głoszonej w przyrodoznawstwie nie mogły nie skorzystać nauki i umiejętności humanistyczne, co też doprowadziło do przełomu.

O ile chodzi zaś o estetykę, to ona i dziś, jak przed laty, współdziała w rozbudowaniu idealnej nauki o literaturze. W niej, po Lippsie i Volkelcie, uwydatniają się dwie

---

<sup>1)</sup> E. Ermatinger: *Philosophie der Literaturwissenschaft*. Berlin 1930.

dażności: czystej estetyki, która posługuje się metodą psychologiczną i nauki ogólnej o sztuce, która ma być przedmiotową metodą analizy zjawisk sztuki.

Pochłania dziś wszystkich zagadnienie wrażenia artystycznego, tworzenia artystycznego, wreszcie formy, rozwoju sztuki, kultury estetycznej. Obok momentów estetycznych rozróżnia się momenty techniczne, intelektualne, wreszcie inne. Estetyka i nauka o sztuce poczynają sobie wydzierać zagadnienia, ustalając wzajemnie granice i wzajemne stosunki. Zabrali tu głos Homann, Müller-Freienfels, Uffitz. Ostatni wyobraża zwłaszcza dążenia do nauki o sztuce,<sup>1)</sup> śledząc istotę sztuki, rolę w niej elementu estetycznego, uważając sztukę za konieczność i część życia w jego zasadniczych objawach.

Wartości estetyczne uważa on za wartości same w sobie, twórczość jako wyładowanie wewnętrznego napięcia w kierunku estetycznym. Jest on za opisowym badaniem tworzenia, choć przyznaje, że sztuka może mieć i cel teoretyczny a nie hedoniczny. Ona jest przedstawieniem wartości nie tylko estetycznych, a zmierza do obudzenia doświadczenia uczuciowego.

Rozróżnia w niej Uffitz materję, kompozycję, postawę, sposób przedstawienia, wreszcie jako warunki aprioryczne wartość przedstawienia i plan istnienia. Co się tyczy wartości nie chodzi tu o wartości materialne, a plan istnienia oznacza podstawę ideową czyli koncepcję rzeczywistości twórcy. Materję w poezji jest słowo, postawą nastrój, sposobem ujęcie.

Szczególną wagę przykładu Uffitz do techniki, która idzie obok opracowania estetycznego. W opisie twórcy radzi użyć metod psychograficznych, typologii i charakterologii. Odpiera freudyzm, jak i Scheler, radząc badać różne typy artystów. Szuka momentu ludzkiego, który rozbija narodowy, pragnie znajomości ducha ludzkiego i historii tego ducha. A w sztuce uznaje swoje prawo tworzenia, znaczenie indywidualności, wyjątkowość dzieł. Sprzeciwia się intelektualni-

---

<sup>1)</sup> E. Uffitz: *Das Problem einer allgemeinen Kunstwissenschaft*. Stuttgart 1922.

zmowi w estetyce a w stosunku do sztuki przyjmuje wagę uczuciowego a nie poznawczego doświadczenia.

Nic dziwnego, że i tak też pojął swe zadanie wykładacza dzieła Spoerri. Co się tyczy poetyki, to już od czasu Diltheya żąda się, by ugruntowano ją na twórczości, od czasów Roettekena roztrząsa się zagadnienie czystej poetyki. Oto Husserl podkopał psychologistów, choć psychologja twórczości może oddać duże usługi. Uznano zatem, że poetyka jest nauką o uprzedmiotowionych przeżyciach twórców i wiąże się z naukami o wytworach psychicznych.

A wytwory psychiczne, jako specyficzne treści funkcji psychicznych, mogą być zbadane i opisane.<sup>1)</sup> Czy dzieła sztuki nie są przedmiotowymi korelatami uczuć i wczuć, co składają się na całość estetycznego przeżycia? Estetyka pytająca o przedmiot estetycznych doznań, psychologja różniczkowa, rezygnująca z wyjaśnień a ograniczająca się do opisu wprowadziły tedy poetykę na nowe drogi.

Zwłaszcza Conrad rozpatrujący specjalnie przedmiot estetyczny w poezji, Geiger wskazujący, że punkt wyjścia musi być intencjonalny, zmierzający do oglądania różnych stron przedmiotu, badający zjawiska bez ich wyjaśnienia a twierdzący, że przy całym charakterze indywidualnym dzieła ma ono znaczenie nadosobowe, dali początek nowej poetyce, która nie jest identyczną z estetyką poezji.

Prowadzona metodą fenomenologiczną analiza przedmiotu estetycznego może być podstawą tej czystej poetyki. Poetyki nie wyczerpuje bowiem ani psychologja wogóle, ani psychologja twórczości lub doznań estetycznych. Psychologja twórczości zajmuje się bowiem funkcją tworzenia, estetyka poezji przedmiotem estetycznym, poetyka, jako część teorii sztuki, przedmiotami artystycznymi. Przedmiot estetyczny jest dziełem sztuki w doznaniu estetycznym, przedmiot artystyczny stanowi zaś stworzone dzieło sztuki czyli indywidualny związek czynników.

Poetyka znów, jak wykazał to Łempicki,<sup>2)</sup> bierze przedmiot artystyczny jako kompleks w zmysłom dostępnym ma-

<sup>1)</sup> M. Geiger: *Beiträge zur Phenomenologie des esthetischen Genusses*. Halle 1913.

<sup>2)</sup> Z. Łempicki: *W sprawie uzasadnienia poetyki czystej*. Lwów 1921.

terjale ukształtowanych warunków powstania estetycznego przeżycia. Nie rozpatruje związków między warunkami a przeżyciem, ale ujmuje i opisuje związek czynników, gdy estetyka segreguje czynniki na ważne i mniej ważne. Uważa, że dany kompleks lub typ kompleksów obejmuje jedność i ożywia punkty reakcji w jeden sposób, bo chodzi szczególnie o sens nadindywidualności i nadosobowości. Jako nauka o tworcach, należy ona do grupy nauk ejdologicznych, a jej zadaniem jest zbadanie wewnętrznej struktury tych tworców. Potrzebuje pomocy takiej nauki, jak fenomenologia doświadczenia wewnętrznego. Jeżeli zaś ta ostatnia jest nauką opisową o istocie czystych przeżyć, ejdologia a więc i poetyka stanowi naukę o istocie czystych tworców.

Jej opis odpowiada strukturze pojęć nauk humanistycznych. Ich cel jest bowiem idjograficzny czyli zmierzający do ujęcia i opisu tego, co cechuje dane zjawiska, ludzi, twory, sposobem zaś tworzenia pojęć, jak dawno już wykazał Rickert, jest indywidualizacja. Indywidualizację można zaś określić jako proces myślowy, zdążający do określenia indywidualnego charakteru kompleksu lub tworu duchowego.

Potrzebę zastosowania metody opisowej dla badań literackich uwydatnił Heinzel, zastanawiając się nad teorią opisu i sam opisując różne zjawiska. Dał rodzaj kanonu opisu, kładąc nacisk na formę, w czym poszedł za nim i Walzel. Zrozumiano, że dawna teoria klasyczna nie rozumiała istotnej funkcji poezji, choć przeczuwali ją romantycy. Za nową teorią istoty poezji i wyrazu poszła poetyka, co ułatwił w wysokim stopniu i Croce swą teorią wyrazu i wyrażenia w sztuce.

Runął genetyzm, historyzm, psychologizm, wysunęła się postawa estetyczna a zwłaszcza kwestja o sposobie wyrażenia i stosunku wyrazu do tego, co się wyraża. Poetyka, będąc nauką o tworcach, staje się częścią ogólnej teorii znaków a też ogólnej hermeneutyki czyli nauki o rozumieniu znaków czy wyrazów. Stoi wyżej od gramatyki, retoryki, metryki, stylistyki, gdyż chodzi tu o wyższe rzędy tworców.

Zdaje sobie ona sprawę, że w poezji symboliczne my-

ślenie ma ogromną rolę, opiera się o wyjaśnienie Husserla w sprawie składników słowa, rozumie, czym są tam symbol, uczuciowy posmak, siła nastroju, co ujawniają indywidualność i doznania życiowe. Wiadomo, że zagadnieniem tworzenia jest przedstawienie czyli pewna forma wyrażenia artystycznego, wskutek którego powstają artystyczne twory o określonej strukturze. A więc czysta poetyka ustala pojęcia czyniące obiektywnie możliwym związek zrozumienia dzieła poezji a zwłaszcza związek estetyczny. Chodzi tu o pojęcie pierwiastkowych form połączenia, o formalne kategorie przedmiotowe, o wyszukanie praw, które w tych kategoriach mają podstawę.

W ten sposób to, co jest czysto poetyckie czyli aprioryczne, da się oddzielić od empirji rzeczywistości czyli uwarunkowanych rysów rasy, narodu, indywidualności. A więc czysta poetyka opracowuje zasady dla poszczególnych poetyk, wychodząc ze stanowiska Diltheya, że tożsamość ludzkiej istoty wytwarza jednokształtność, która wypowiada się przecież w zmienności historycznej poezji wieków i skupień narodowych.

Ale i psychologiczna poetyka wyróżnia się od klasycznej tem, że chodzi jej nie o klasyfikację poetyckich środków stylowych ale o zrozumienie psychologicznych powodów, na tle których utworzyły się i utrzymywały najważniejsze formy poezji. Historia literatury dostarczyła jej w tym względzie olbrzymiego materiału, psychologja różniczkowa nie pozwoliła na stawianie norm i estetycznego kanonu. Więc poetyka Müllera-Freienfelsa rozróżniając praktyczną i estetyczną stronę życia, określiła sztukę poetycką, jako kształty, które przy pomocy środków językowych wyrażają przeżycia estetyczne czyli takie, które mają swą wartość poza praktycznymi celami.

Poetyka określa zatem istotę tworzenia, źródła tworzenia, związek poezji z innymi sztukami. Uwzględnia też w pełni różniczkową metodę w psychologii, pytając o typy twórców, o ich zdolność wynalezienia symbolów, o zawartość symbolu, o proces tworzenia. Zastanawia się nad przedmiotami poezji, motywami poezji, stylami i rodzajami, wreszcie emocjonalnym charakterem języka poetyckiego, gdzie nie brak znaczeń

i symbolów. Zagadnienie wartości poezji jest tej poetyki ostatnim rozdziałem, w czym poszedł za nią i Tomaszewski jako teoretyk<sup>1)</sup> poezji.

Nie ulega teraz wątpliwości, że nauka o literaturze wyrosła z odwrócenia się od pozytywizmu, której teoria freudowska o psychoanalizie jest ostatniem ogniwem. Jest ona, jak każda nauka, nowym wysiłkiem do opanowania rzeczywistości. Szczególne wyniki dał idealizm i w biografii, ustalając stosunki między dziełem a życiem, podkreślając stosunki między doświadczeniem wewnętrznym a jego przedmiotowym wyrazem, ujmując formę wewnętrzną dzieła jako odpowiednik tonu twórczego ducha, bo już Dilthey nauczył biografów cenić indywidualności twórcze ze stanowiska filozoficznego, estetycznego, poetyckiego i utrwałać łączność między dziełem a życiem.

Rozróżnia się zatem w życiu twórcy doświadczenia pierwotne, czyli przełomy psychiczne i konstruktywne, czyli znajdujące swój wyraz w różnych literackich rodzajach. Wzorem jest tu Gundolf jako biograf Goethego. A wszystko to wywodzi się z kierunku psychologicznego Sprangera, który analizuje indywidualne i ponadindywidualne struktury celem charakterologii osobowości i etologii kultury.

Byłaby w tem reakcja przeciw psychologii doświadczałnej, która zaniedbywała żywe całości, mało uwzględniała stosunek do wpływu czynników ponadindywidualnych, nie brała w rachubę momentu współdziału psychiki indywidualnej w tworach ducha ponadindywidualnego. A duch ponadindywidualny to duch przedmiotowy czyli wytwór każdorazowej rzeczywistości historycznej i społecznej, także duch normatywny czyli kształtujący entelechję kultury i jej etyczne dyrektywy.

Spranger rozróżnia nawet sześć zasadniczych aktów psychicznych, którym odpowiada sześć typów ludzkich. W rozumieniu chodzi zaś o sensowne całości a nie o elementy. Rozumienie stanowi akt teoretyczny, kategorjalne uporządkowanie, sensowne powiązanie danego nam — w prze-

---

<sup>1)</sup> B. Tomaszewskij: *Teorja literatury*. Pojetika. Moskwa 1930.



życiu — materiału doświadczeniowego. Warunkiem prawdziwości rozumienia jest prawidłowość budowy strukturalnej.

Jeżeli Taine rozumiał już niegdyś, że wszystko istnieje przez jednostkę, znaczyło to, że jest coś poza mechanizmem pozytywnym. Nie chodzi już teraz o analizę, o wykazywanie związków, o wstawianie rzeczy szczegółowych w formułę ogólną. Układało się to niegdyś w piramidę pojęć, w schemat gatunkowy, w system oparty o psychologię doświadczalną, bo poza tainizmem nie było metody biografji. W jej duchu ustalano fakta na podstawie źródeł, łączono je w związek przyczynowy, szukano linii rozwoju. Co jest przyczynowość, jakie zagadnienie kryje w sobie pojęcie rozwoju, nie pytano.

Dziś zastanowiono się nad antynomją między osobowością a dziełem, przyczem, pod wpływem Sprangera i charakterjologów, jak Ullrich lub Klages, zwrócono uwagę na typ człowieka. Za najważniejsze poczytano typologję, której zadaniem jest uchwycenie typu ze wszystkimi istotnymi jego cechami,<sup>1)</sup> by tym sposobem ustalić stosunek twórcy do dzieła.

Najtrudniej zaś z typów uchwycić artystę, bo doskonała sztuka wyobraża najpełniejszą podmiotowość w kształcie najpełniejszej przedmiotowości.<sup>2)</sup> Ale ogół interesuje się biografją, bo uważa w niej część życia dzieła. A tymczasem to, co osobiste jest, często mało potrzebne do zrozumienia dzieła. Nie o monumentalną biografję dziś chodzi, nie o krytyczną, w której strąca się wielkość z piedestału monumentu. Celem dzisiejszej filozoficznej biografji jest antynomja między dziełem a twórcą, są życiowe i charakterowe obrazy, które nazwano postaciami. Po Gundolfie dał taką Bertram o Nietzschem, Hankamer o Boehmem, Singer o Platonie,

Nie forma, ale rozwój jest tu punktem ciężkości, także sposób rozwoju. Ludzka postać staje się tu stawaniem się, twórczy człowiek nie doznaje tu niczego, co nie czyniłoby z niego obrazu, i nie pozostawia żadnego kształtu, gdzie

<sup>1)</sup> W. Rubczyński: *Krytyczny personalizm W. Sterna*. Kraków 1929.

<sup>2)</sup> H. Leisegang: *Die philosophische Biographie*. Stuttgart 1930.

jego życiowy ruch nie byłby wyczuwalny. Życie i dzieło są tu atrybutami jednej i tej samej substancji, fizycznej i duchowej jedności, która objawia się jako ruch i jako forma. Sztuka wyobraża tu nie przedmiot, nie skutek, ale cel ludzkiego bytowania. Oczywiście psychologja Sterna i Sprangera oraz charakterologja Utitza wiele tu zaważyła. Ona rozjaśniła człowieka i stworzone przez niego obrazy, ujmując go jako całość, jako związek w łonie wielkiego związku, na co dawno powoływał się już Dilthey.

Ten związek wewnętrznego życia w typowym człowieku stanowi, obok teorii analizy estetycznej i opisowej, największą zdobycz nauki o literaturze. Jest ona dziś w okresie rozbudowywania się i syntezy zagadnień przez teoretyków stawianych, jak dowodzi choćby dzieło Sakulina. Tak zwana rosyjska metoda formalna<sup>1)</sup> przyniosła też dla ujęcia formy dużo spostrzeżeń niemałej wagi. Obejmuje ona systematyczne przedstawienie poetyckich ujęć, porównawcze opisy, klasyfikację technicznych środków. Szczególną uwagę zwraca na semantykę, która rozpatruje znaczenie słów, zdań, oraz na elementy dźwiękowe, w których poszukuje się również znaczeń.

Oczywiście pojęcie nauki literatury musi się dziś zmienić, skoro i pojęcie krytyki literackiej ustala się również w formie nieco innej od dawniejszej. Musi ono odbiec od tego, które dał Chlebowski, widzący w niej dążenie do poznania duszy narodu i posługujący się metodami psychologii, socjologii i krytyki czyli starymi drogami tainizmu. Musi ono uwzględnić szerzej niż dotąd rolę osobowości w literaturze, dać metodzie estetycznego rozbioru dzieł literackich dużo miejsca.

Historja literatury, powstała z bibliografji, filologicznej analizy tekstu, wskazań socjologii, nie może dalej zachowywać w nauce o literaturze dominującego stanowiska. Przygotowała ona grunt pod rozwój nauki, a jej badania i w przyszłości odegrają znaczącą rolę. Stylistyka, odstępująca od szkolnej normatywności,

---

<sup>1)</sup> W. Żyrmunskij: *Woprosy teorii literatury*. Leningrad 1928.

będzie również pomocą w obserwowaniu cech piękna językowego i w badaniu faktów ekspresji w języku z punktu widzenia ich zawartości uczuciowej, skoro musi chodzić zawsze o różnice dźwiękowe, słownikowe, składniowe i inne. Badacz literatury musi być nieco i lingwistą, ale nadewszystko estetykiem.

Nauka literatury, obejmując szersze pojęcie od krytyki literackiej i historii literatury, nie przestając być nauką o dziele i człowieku, nie lekceważąc żadnego z dawnych sposobów badania, okazuje tylko swą żywotność, jeżeli dziś wchodzi na nowe drogi. Nie jest nauką filologiczną ale z filologii wyszła i, jak filologia, szuka logosu. A logosem dzieła jest prawo jego formy.

Jeszcze jedno. Cały przełom od pozytywizmu do idealizmu w badaniu literatury wynikł zatem, jak okazuje się z powyższych wywodów, z nowych założeń humanistycznej psychologii. Celem jej jest, jak mówi Spranger,<sup>1)</sup> znajomość wymagań ducha normatywnego czyli wiedza o wiecznym sensie każdego zasadniczego aktu ducha podmiotowego oraz odpowiedniej sfery ducha przedmiotowego, czyli każdorazowej rzeczywistości ludzkiej nas otaczającej.

By zrozumieć jakąś całość strukturalną, należy uświadomić sobie, sens większej całości, w którą ta całość jest wciągnięta. Cały proces odbywa się zaś w świadomości rozumiejącego rzeczywistość podmiotu. Duch podmiotowy uświadamia się sam w sobie, a każdą osobowość wyzwala w sobie autonomicznego ducha normatywnego czyli ogół norm doniosłych dla jednostki i kultury, czyli wiedzę o człowieczeństwie, czyli prawdziwą kulturę.

Humanistyka nie jest zaś tylko psychologią ale i etyką. Wartościujący literaturę badacz stwarza kulturę. Że zaś Bóg stanowi symbol utajonej racjonalności i normatywnej prawidłowości, wymagania ducha normatywnego otrzymują sankcję religijną, a życie ludzkie stanowi ciągłe zbliżanie się do Boga.

<sup>1)</sup> E. Spranger: *Lebensformen*. Halle 1927.

## Osobowość i postawa poetycka Fredry.

*Wacławowi Borowemu, miłośnikowi  
Fredry i Chestertona, tłumacząc „po-  
krewieństwa z wyboru” naszej współ-  
czesności.*

Powtarzamy często. zdanie, że każda epoka ma swój antyk. Słusznie! Podobnie każda epoka po swojemu pojmuje swych wielkich pisarzy. Dzieje się to zazwyczaj w czasach t. zw. odrodzenia tych epok, czy tych pisarzy. Od jakich lat dziesięciu mówi się, że przeżywamy renesans Fredry. Cóżby to wszystko miało znaczyć? Czyżby znowu ten uprzykrzony relatywizm, „Wielkość rzeczywistości” Fredry? Czyżbyśmy znowu mieli stworzyć jaki nowy mit o Fredrze?

Daleki jestem od tego zamiaru. Niemniej trzeba stwierdzić, że żadne agitacje nie uchronią od tworzenia mitów, podobnie jak żadna, nie tylko reklama, ale i sława nie uchroni od sądów. Tylko wyzbytym z kategorii myślenia społecznego doktrynerom zdawać się może, że te potężne, odwieczne siły duchowego życia zbiorowego, jak potrzeba kultu bohaterów, lub kruszenie form, można na zawołanie zmienić. Będziemy zawsze budować i burzyć, będziemy tworzyć mity i zdzierać nimby, bo to są nieuniknione korelatywne funkcje społeczne. Bywają rzeczy ważniejsze od nauki i naukowego obiektywizmu badań; obcowanie z dziełami pisarzy odbywa się tak właśnie, że w pewnych epokach uderzają, wydają się bliskie, albo szczególnie ważne pewne cechy pisarza, w innej inne, i na tem polega tych „świętych obcowanie” z nami. Żadne nakazy naukowców nic tu nie pomogą, co więcej, sam kierunek zainteresowań i badań naukowych przez tę właśnie zmienność nastawień i nieświad-

domionych predylekcyj bywa w pewnej mierze wyznaczany. Wszystko inne byłoby śmiercią, czy akademizmem, co na jedno wychodzi.

Szukajmy sobie przodków raz w tej, innym razem w innej epoce, czcimy raz w Mickiewiczu poetę religijnego, a innemi czasy podziwiamy jego przenikliwość polityczną, bo tylko wtedy naprawdę treści dzieł krążyć będą w krwi naszego życia. Z punktu widzenia społecznego nie dzieje się źle, że czytelnik jakiś przeceniał Krasińskiego, lub uważał Balzaca za współczesnego ducha, jeśli mu tylko to złudzenie w czemś pomogło, odsłoniło jakąś prawdę. Przeciwnie temu nic historyk lub krytyk mieć nie może, bo byłby przeciw faktom i przeciw życiu. Ale rola jego własna jest nieco inna. Między innemi pragnie on wycucie tych związków i pokrewieństw sprecyzować i uświadomić, określić ich sens, postawić w obliczu jakiejś skali, czy hierarchji wartości.

Nie myślę iść w zawody z monografistami Fredry, nie sądzę, żeby można było w jakimś znaczniejszym stopniu pomnożyć dziś wiedzę o nim, — tem mniej chcę wynajdywać w dziełach Fredry to, czego tam niema, albo „robić“ renesans Fredry.

Pouczać naukowców nie mam ochoty — dadzą sobie radę bez mej pomocy — a renesans Fredry zrodził się sam, bez mojej interwencji. Prostu w pewnej epoce, wskutek nieznanых nam bliżej różnych złożonych czynników, pewne cechy dzieła Fredry wydały nam się bliskimi, cennymi, znowu wywierają urok.

Z pośród cech, istniejących w dziełach Fredry i znanych nam, chciałbym w ten tylko sposób zaakcentować niektóre, abyśmy mogli lepiej rozumieć, czem znów Fredro jest bliski. Może przez wskazywanie związków odsłoni się jeszcze jakaś część widnokregu, może przez podsuniecie skojarzeń obudzi się reakcja na któryś ton, niedość jeszcze bliski progu świadomości i pełniej wcieli się Fredro w naszą dzisiejszość.

Niewielką jest zapewne rola krytyka, ale czyż kiedy była inną? — Lepiej, zapewne, jest kochać niżli... tłumaczyć miłość. Lepiej tworzyć — niżli pilnować, aby nie ginęły

wartości. Nie mówcie nam tylko, czytelnicy, że, dodając jeszcze jedno oświecenie do dawnych, mnożąc w nieskończoność dorobek prac o autorze znanym, nudzimy was. Takie powracanie do autorów minionej epoki jest tem w życiu zbiorowem — czem w życiu jednostki wspomnienie — ono jedynie nadaje ciągłość, wewnętrzną jedność życia, zapładnia teraźniejszość tem, co żywotne jeszcze w tradycji, co organicznie da się weń wcielić. W ten sposób wokół pomników kultury, jak wokół ośrodka, rozszerza się sfera promieniowania jego wartości przez ciągłość tradycji pojmowania i interpretowania, narastają wartości społeczne dzieła, nadając mu żywotność.

W czemże widzę aktualność Fredry? Nasze okrzyczane przezwyjęcie romantyzmu — to stek nieporozumień. Ale o tyle właśnie, ile w tem prawdy — bliskim staje się Fredro. Tym elementem prawdy wydaje mi się neorealizm, nawrót, czy może dopiero chęć nawrotu do rzeczywistości. Obca romantyzmowi postawa Fredry czyni go nam bliskim, tak jak romantykowi postawa Fredry czyniła niedostępnym. Istnieją też obecnie warunki — sprzyjające powstawaniu i rozumieniu humoru. Niewspółmierności karykaturalne, powstające w naszym życiu przez kruszenie się starych form, rodzenie nowych; między tradycjami, tracącymi sens i pierwotnymi kształtami tego życia, co tej tradycji już nieraz nie jest w stanie pojąć, między hierarchjami wartości a ich zupełnem przeczeniem — oto czasy, w których rodzić się musi zrozumienie wielkiego, demonicznego nawet humoru i groteskowego komizmu. Budząca się dążność do przywrócenia wartościom moralnym roli ośrodka życia, poznanie surowej jego nieustępliwości czyni nam dostępną Fredrowską etykę męskiego umiaru, trzeźwości i ograniczenia. Ze stanowiska formalno-estetycznego tęsknota do przezwyjęcia rozlewności lirycznej, do wyrażania się raczej przedmiotowego, do energii i plastyki konstrukcji, bliższym czyni nam w tej chwili Fredrę niż np. Żeromskiego. Mimo całą wrzawę oficjalnej międzynarodowej „nowoczesności“, pogłębiają się instynkty narodowości; oglądając się za rasową, polskością, na kimże mamy wzrok zatrzymać jeśli nie na takich jak Fredry pismach? Wkońcu zaryzykuję jedno dość dowolne

zestawienie. Nie wiem, czy bliski nam dziś Conrad znał dzieła Fredry. Ale jestem pewny, że pokochaliby się z pewnością. Ten byłby marynarz rozumiałby byłego żołnierza. Odczułby w nim gentelmana i rycerza w każdym calu. Zbliżyłaby ich wżgarda dla świata i smutek tej wżgardy i romantyczny kult intymnego związku dusz, opartego na bezwzględnej, niezachwianej wierze. Conrada oczarowałby empirowy wykwińt i powściągliwość uczuć Fredry. Przebaczyliby sobie wzajemnie — jeden włóczęgostwo, drugi — domatorstwo. Jeden bowiem był chory z włóczęgi i nostalgji, drugi z domatorstwa. Ale obaj chorowali w ten sposób na Polskę.

Nerwem dzisiejszości jest interesowanie się pisarzem od strony jego człowieczeństwa. Pod tym względem Fredro jest ciekawy, a jak na autora mistrzowskiego pamiętnika, mało popularny. Będziemy więc mówić nie o artyźmie, lecz o postawie poetyckiej względem świata, o poezji pod kątem osobowości.

Badania nad twórczością Fredry, które w ostatnich czasach posunęły się naprzód dzięki Chrzanowskiemu i Kucharskiemu, z natury rzeczy szły, poczynając od peryferyj ku centrum. By odgadnąć, co istotne dla tego twórcy, przy tak skąpych danych o jego osobie, przy tej skrytości, jaką odznaczał się Fredro, trzeba było wprzód odgraniczyć jego twórczość od zjawisk literackich analogicznych i pokrewnych. Dopiero po tem odgraniczeniu\* można się kusić o wniknięcie w sam rdzeń osobowości komedjopisarza. Ruszowanie pokrewieństw, wpływów i analogij, cała ta interpretacja Fredry w duchu mechanistycznym, wyznacza pewne stadjum rozwoju badań, prowadzi ku bardziej organicznemu ujęciu stylu jego utworów i atmosfery jego epoki. Mając na celu ową organiczną koncepcję osobowości twórcy i stylu dzieła, obieramy punkt wyjścia przeciwny — poczynamy od wyznań, które mają charakter osobisty, od pierwiastków subiektywnych w dziełach i przez ich konfrontację usiłujemy zdążać do konturów całokształtu. Ramy, t. j. ogólne kategorie klasycyzmu i romantyzmu, które prowadzićby nas mogły do dialektycznych kontrastów, pozostawiamy zrazu na uboczu.

Poznanie osobowości Fredry pozwoli nam znaleźć te punkty, z których całokształt twórczości przedstawi się nam wyraziściej i konsekwentniej; a tem samem ująć i jego styl jako całość organiczną, choć z punktu widzenia kategorii, takich jak klasycyzm i romantyzm, może się on przedstawiać, jako mieszanina.

Poznanie osobowości przez analizę pierwiastków subiektywnych Fredry będzie więc miało nie tylko znaczenie psychologiczne, a i historyczne, bo przecież styl epoki wyraził się poprzez jego osobowość w dziełach. Klasycyzm Fredry to zarazem męski umiar Fredry-człowieka. Wdzięk poezji klasycystycznej końca XVIII i zarania XIX w. w dziele Fredry, to wyraz jego subtelного, powściągliwego sentymentu. Tego związku organicznego nie byłoby wtedy, gdyby Fredro nie był poetą - twórcą. Romantycy nie odczuwali tej poezji Fredry, która była inną, niż ich własna, tem bardziej więc nie rozumieli stylu komedyj Fredry, to znaczy organicznego związku cech; dlatego wydawał się im naśladowcą. Jedynie Pol podniósł trafnie jedną z najistotniejszych cech poezji Fredry „ów sposób zapatrywania się na życie powszednie poetycznie, upatrywanie strony poetycznej nie w tem, co się przed laty działo, ale w tem, co się koło nas w tych latach dzieje“. Zdaniem Pola, Fredro jeden z pierwszych ten ton do poezji polskiej wprowadził: „Mam to przekonanie, że gdyby poezje Aleksandra Fredry ulotne były ogłoszone, byłaby nasza literatura dzisiejsza o dziesiątek lat wprzód się rozwinęła, bo byli ludzie, którzy jedynie z tych zadatków, wziętych od Fredry, wyszli na czysto oryginalną, narodową drogę“. Później inni krytycy, z rzadka zresztą, jak np. Bęćkowski, poetyckość twórczości Fredry podnosili. Symbolizmowi naszemu poezja ta musiała być znowu obca, bardziej jeszcze niż romantynom, to też może dopiero w ostatnich czasach odczuwamy ją w całej pełni. Na tem właśnie polega renesans Fredry, przeżywany w latach wojennych i powojennych, choć z natury rzeczy więcej o konstrukcji, o artyzmie komedyj, o znaczeniu społecznym Fredry pisano.

A jednak na istnieniu tej poezji opierał właśnie Fredro poczucie swej wewnętrznej wartości i wartości swych pism. Niezrozumienie tego faktu było powodem najgłębszego



jego rozgoryczenia w odosobnieniu, zawodem życiowym podkopującym możliwość rozwoju. Kto rozumie, że czynnik społeczny, chór czytelników odbiorców, jest integralną częścią normalnego procesu rozwoju twórczości, ten zrozumie znaczenie i cały smutek tej skargi Fredry z *Trzy po trzy*: „Kiedy byłem poetą, a byłem nim niegdyś, bo pamiętam jeszcze gwiazdy, co wtenczas świeciły, głosy, co mi śpiewały, mgły, co swoją wonną gazą łączyły niebo z ziemią, w których pomroku oko gubiło się tak chętnie... Tak jest, pamiętam, byłem kiedyś poetą“... Pamiętnik *Trzy po trzy* dowodzi, że Fredro nie tylko był poetą ongiś, lecz był nim i wtedy, gdy te słowa pisał.

Charakterystyka każda musi nasuwać trudności, przypominające błędne koło, wybór bowiem cech istotnych, wybór cech subiektywnych z dzieła, już zgóry nasuwa konieczność przyjęcia hipotetycznego probierza, który może się okazać słusznym lub niesłusznym... po ukończeniu charakterystyki. Bez tych prowizorycznie przyjętych kryteriów, wspartych na intuicji, kroku jednak zrobić nie można. Dopiero konfrontacja cech, wyczucie między nimi związku pokrewieństwa, umożliwiała konstrukcję charakterystyki, czyni ją prawdopodobną. Sam Fredro ostrzega nas przed naiwnem chwytnianiem autora za słowa, utożsamianiem go z bohaterami. „Autor za swoje myśli odpowiadać jako człowiek nie może, bo taką rzeczą za każdą kartkę chłostałby go kto inny. A ty, kiedy malowałeś obraz sławnego Guida Reni *Rzeź niewiniątek* byłeś złym człowiekiem, byłeś twój mistrz zabójcą“? (*Pan Jowialski*). Dziś znowu skłonni jesteśmy ujmować odległe zjawiska literackie bez idealizacji, w duchu neorealizmu, trzeźwo przewyżając nawet powagi wieków i glorie hieratyczności, chcąc widzieć i brać to, co ludzkie — po ludzku.

Przy takiej postawie na uwadze mieć musimy przede wszystkim dwa fakty, które — niezależnie od indywidualności — zaważyć musiały i zadecydować o odrębności Fredry. Dzięki domowej edukacji nie miał Fredro sposobności w latach dojrzewania do bliższego zetknięcia się z nowymi prądami umysłowymi, tkwił całkowicie w konserwatywnej, patryjarchalnej atmosferze starszylackiej. Gdy się

z temi prądami zetknął, był już człowiekiem, mimo młodego wieku, w bardzo gorzkie i liczne doświadczenia zasobnym. Te dwa fakty niewątpliwie miały wielki wpływ i na stosunek do romantyzmu i na konserwatyzm sztuki Fredry. Z uznaniem, z całem poczuciem wielkiego znaczenia tej rzeczy, mówi Fredro w swym pamiętniku o tej najwzrostniejszej ze szkół, szkole życia, którą był dla niego udział w walkach i wyprawach Napoleona. Gdy się czyta ten ustęp z *Trzy po trzy*, w którym Fredro mówi o odwróceniu Napoleona z pod Moskwy, o przejściu przez Berezynę, oczywiście staje się to, jakimi oczyma patrzeć musiał Fredro po powrocie z wojska na ten literacki idealizm poczynającego się romantyzmu, czem musiał być dla niego naiwny patos, naiwne doktrynerstwo i maniera Byrona. „Wojna czyni prozaicznym. Przeszłość jest to pole, po którym żołnierz nie lubi harcować, przyszłość, prawdę mówiąc, niechętnie zmierza, kurtyna za blisko, trzeba się czasem i z djabełem podzielić” — pisze Fredro w *Trzy po trzy*. Nie trzeba chwycić tylko Fredry za słowo „prozaiczny”. Tu chodzi o co innego a bardzo istotnego w postawie Fredry, o poczucie rzeczywistości. Poezji w poecie nic nie wytrzebi, tylko przejawia się ona w innem ustosunkowaniu do świata. Tułaczka i poniewierka czynią poetyczniejszym jeszcze świat wspomnień, tradycji, domu rodzinnego, a zawody i poznanie życia ukazują bezcenny skarb staropolskiej pocziwości, więzów rodzinnych, moralnej ostoji w wierze w swych bliskich, niezawodnych. Conrad-Korzeniowski opowiada, że marynarze, mający wiatru i przestworu ponad swe potrzeby, najlepiej się czują w pokojach ciasnych jak kajuty i nie lubią otwierać okien. Coś podobnego spotykamy u Fredry w sferze psychicznej. Stąd ta poetycka gloryfikacja ufności, wiary w stosunkach rodzinnych i miłosnych i sentyment dla światów ograniczonych, ale pewnych, realnych. Taka poezja nie tylko nie wyłącza trzeźwości, lecz, przeciwnie, godzi się z nią znakomicie. Stąd humor, bo jak słusznie Prus powiada „humor polega na sumiennem oglądaniu rzeczy przynajmniej z dwu stron”.

Zadziwiającem u tego młodego pisarza, żyjącego w epoce romantyzmu, będzie występowanie niemal systematyczne,

od pierwszych prób, od *Intrygi na prędce* przeciw gonieniu za niezwykłością, za chęcią odmiany:

Nie szukajmy wśród marzenia  
Szczęścia, co się stokroć zmienia  
Jak cień własny nas uwodzi,  
Gdy go gonim, to uchodzi.

Tak brzmi finał *Nowego Don Kiszota*. A jeszcze mniej romantyczna jest sentencja końcowa Kasztelana: „Kochaj i nie pragnij wiele, a rzeczywiste szczęście otrzymasz w udziale“. To „nie pragnij wiele“ zaiste mogło oburzać romantyków. A jednak nie są te słowa ani wyjątkiem, ani sądem bohatera utworu, podanym przedmiotowo, tylko jednym z szeregów lirycznych wypowiedzi u tego poety ograniczenia. Miłość romantyczna szczyt swej poezji znajdzie w Gustawie z IV części *Dziadów*, a Fredro zostanie poetą małżeństwa, lub tej miłości, która się małżeństwem kończy. Zarzuty Lorentowicza w jego wydaniu *Ślubów* nie obalają sądu Kucharskiego, że *Śluby* stanowią jakby poetycką replikę na IV część *Dziadów*.<sup>1)</sup> Wskazują zresztą wyraźnie na to słowa Radościa:

Nie bądź Gustawem lecz kochaj wesoło  
Te elegje i miłosne żale  
Młodej dziewczyny nie podbija wcale.

Zanim prześledzimy później analogiczne rysy w całej twórczości Fredry, trzeba ostrzec przed zbyt pochopnem wyciąganiem wniosku o a-romantyczności tego poety. Wszak mamy aż nadto dowodów, że Fredro lotem nad poziomy nie gardził i nie brak lirycznych ustępów, w których wyraźnie o tych lotach nad poziomy mówi. Z drugiej strony wiemy, że wszyscy wielcy romantycy, z Mickiewiczem i Sło-

<sup>1)</sup> Obok innych elementów, wskazujących na celowe przeciwstawienie, aluzją do *Dziadów* jest również rytmika i ton Guślarza z *Dziadów* w słowach Klary I Akt sc. 6:

Po raz pierwszy, drugi, trzeci...  
Na wezwanie takie dzielne,  
Powtórzone po trzy razy,  
Nawet duchy nieśmiertelne,  
Jak posłuszne ojcu dzieci,  
Porzucają ciemne cele.

wackim na czele, dość wcześnie górność przewycięzać w poezji zaczęli i grzeszył tą pretensjonalną górnością dłużej jedynie Krasiński.

Jeszcze większym, kardynalnym błędem byłoby trzeźwość Fredry utożsamiać z racjonalizmem. Rozróżnienie to będzie ważne ze względu na rodzaj klasycyzmu Fredry, odmienny od tego, któremu hołdowali klasycy, wykarmieni duchem XVIII wieku. „Rozsądek — to genjusz ludzkości” powiedział w *Zapiskach Starucha*. Trzeźwość Fredry to rozum praktyczny, a ten od intelektualizmu jest bardzo daleki. Chociaż mowa potoczna brak trzeźwości najczęściej z zaślepieniem uczuciowym utożsamia, intelektualści, racjonalści i umysły abstrakcyjne częściej i gorzej niem grzeszą niż natury uczuciowe. Żywa reakcja uczuciowa na podniety płynące z rzeczywistości musi się łączyć z zainteresowaniem i wnikaniem, a więc poznawaniem konkretnych zjawisk i żywą pamięcią o nich. Już sama sympatja Fredry do Molière’a wskazuje na wspólną z nim pogardę dla braku pocucia rzeczywistości. Na ten właśnie zmysł realizmu wskazuje i znany jego osąd krytyczny schematyczności typów starej komedji. Rozum Fredry kształcił się w szkole doświadczenia i mimo respektu dla wiedzy i nauki, zna on ich granice: „Nauka nie rozum, rozum nie nauka”. „Kto gardzi doświadczeniem, albo wielki człowiek, albo wielki osioł, a wielkich ludzi mało”. Szczególnie wstrętnym jest mu typ wszelkiego rodzaju doktrynerów: „Dach się już pali, a doktryner dowodzi, że się palić nie powinno”. „Ideolog — istny balon; unosi się zawsze, ale sam nie wie gdzie, zaleci”. Nie lubił Fredro „mędrców, marzycieli dumnych” zawsze, ale znienawidził ich od czasu, gdy sam padł ofiarą doktrynerstwa. A z tego zdawał sobie — jeszcze jeden dowód trzeźwości — sprawę. Ataki demokratów, Goszczyńskiego, Dembowskiego, Lesława Łukasiewicza — jak nas informuje Schnür-Pepłowski — interpretował komedjopisarz jako walkę z obozem szlacheckim, którego był przedstawicielem. Bez znajomości docinków Fredry *à propos* Osińskiego, czy innych klasyków, wiedzieć możemy, jaki był do nich jego stosunek, wniknąwszy tylko w jego psychikę: „Co innego papier, co innego świat”. O przenikliwości umysłu i szerokości horyzontu Fredry za-

świadczy już sama charakterystyka Polaków z *Trzy po trzy*: „Zarzucają Polakom, że są niesforni, że trudno nimi rządzić. Mnie się zdaje, że bardzo łatwo, byle rządzić z konia, z szablą w ręku. Zgromadzamy w jedną osobę wszystkie nasze wymagania, całe nadzieje nasze, w niej zamykamy całą sprawę, czynimy ją poniekąd fatum naszym. Niem był Kościuszką, Poniatowski, i charakteru tylko Chłopickiemu, a talentu Skrzyneckiemu niedostawało, aby się utrzymać na szczycie, na który ich barkami narodu parło przeznaczenie. Dlatego to każdy upadek podobnej gwiazdy roztopia do razu łączący nas cement, ogół rozkłada w cząstki, rozumowania wyradzają się w zatargi i trwają, póki jaka nowa iskra nowego entuzjazmu nie zapali i na nowo nie zacznie lutować. Nie mamy w sobie wielkiej, wzajemnie się przyciągającej siły — przeciwnie, artystyczne usposobienie jest główną naszą wadą, każdy chce robić swoją głowę — pracuje często w krwawym pocie ciała, ale póki sam. Za ledwie jaka zawiąże się asocjacja, już wiednie w zawiązku. Jeden spuszcza się na drugiego, a co więcej, jego zapal stygnie w miarę wzmagającej się gorliwości drugiego. Dlatego gwałtowny tylko wir może łączyć rozstrzelone siły. Ale natenczas neutralizuje się indywidualna działalność, energia. Duch władzy ubóstwianej porywa nas, ale nas nie przenika nawskroś. Stoi poniekąd zawsze osobno. Raz w prądzie — niech nas prąd niesie, my ręce zakładamy“. Tylko umysły obracające się w sferze zagadnień teoretycznych, oderwanych od życia, odznaczają się brakiem wyrozumiałości na błędy. Trzeźwy i krytyczny jest na nie wyrozumiały, to staje się źródłem humoru Fredry, mimo że moralna jego natura skłonna jest do oburzeń. Ale i odwrotnie: trzeźwość ta sprawia, że i miłość go nie zaślepia. Rzecz ogólnie podziwiana w *Zemście* to fakt, że komedia nacechowana taką sympatią dla przeszłości, pozbawiona jest bezkrytycznej idealizacji i z drugiej strony wizja czaru przeszłości nie wyłącza parodjowania. Bo słusność zupełną ma Kleiner, że kompozycja „Zemsty“ składa się z kilku parodij, parodji sporu, parodji miłości romantycznej i parodji rycerza.

Trzeźwość Fredry łączy się nie z analityczno-statycz-

na postawą, lecz praktyczną i czynną. Do dodatnich postaci Fredry dadzą się całkowicie zastosować słowa Brodzińskiego:

Ci tylko u mnie rozumni byli,  
Co mieli rozum w stanowczej chwili.

Wszystkie pomyślnie rozwiązania konfliktów w komedjach Fredry są dziełem takich postaci jak Gustaw, albo równa mu siłą charakteru Julja z *Pierwszej lepszej*, jak Raptusiewicz, Birbancki, Ludomir z *Dyliżansu*; Barski z *Dwóch Blizn*, Karol z *Life et Companie* i szereg innych. Nawet tacy ludzie jak Marski z *Ożenić się nie mogę*, Albin Albiński z *Co tu kłopotu* albo Elwin z *Godzien liśności* zyskują na dojrzałości i rozumie, stają się indywidualnościami, zyskują naszą sympatię i uznanie z chwilą, gdy zaczynają działać pod wpływem uczucia. Może nawet ta czynna, męska postawa wobec życia zdecydowała o rodzaju artyzmu Fredry, o tem mianowicie, że akcja stała się najistotniejszą formą jego ekspresji, o energii tej akcji, o żywości scenicznej większości jego sztuk. Czemże byłaby, tak mistrzowska rzecz jak *Odludki i poeta*, bez tej potencjalnej energii, tkwiącej już w charakterystyce? Aktywna postawa jest dlatego tak męską i wydaje nam się tak polską, że łączy rozagę z żywiołowością. Na tej to aktywnej postawie polega całkowita odrębność dzieł Fredry od racjonalistycznej spuścizny XVIII wieku. I w tem Fredro jest nowocześniejszy; bliższy prawdy psychologicznej, że na uczucie nie patrzy jako na źródło zaślepień, lecz jak na źródło energii i podniety do błyskawicznych, intuicyjnych rozstrzygnięć. „Wykazując postęp cywilizacji narodu, tysiąc rubryk ma rozum, a ani jednej stan serca. A jednak w sercu to właśnie odblask Boga” (*Zapiski Starucha*). „Jestem z tych, którzy wierzą, że Opatrzność do nas czasem przez serce przemawia” mówi Barski z *Dwóch blizn*. Na przedsięwzięcia śmiało patrzy Fredro okiem byłego żołnierza napoleońskiego, ma nawet mistycyzm żołnierski w stosunku do przedsięwzięć szalonych i ryzykownych. Ryzykanci w komedjach Fredry zawsze wygrywają. „Nie ma, kto się nie waży” mówi Ludomir z *Jowialskiego*. „Dziwi się, że nie wygrał na loterii lubo nic nie postawił” (*Zapiski Starucha*). O Bogu strzegącym

szalonych (a miłość to także pewna forma szaleństwa) mowa w komedjach Fredry bardzo często:

Przyznajcież mi waćpaństwo, ach, przyznajcież szczerze,  
Że jest snąć jakieś bóstwo, co szalonych strzeże.

*Pierwsza lepsza.*

O Bogu zakochanych mowa jest i w *Dylizansie* i w *Noclegu w Apeninach*. I odwrotnie, bierność, teoretyzowanie jest zawsze traktowane u Fredry z pogardą. Znamienne pod tym względem jego bajka p. t. *Trzebaby*. Fabuła tej bajki (po-dróżni w lesie) zdaje się wskazywać na podświadome skojarzenie aktywnej postawy z żołnierskimi czasy. Końcowa sentencja brzmi:

Gdzie bez czynu sama rada,  
Biada radcom, dziełu biada.

Z antyracjonalistycznej, aktywnej, praktycznej postawy wynika pogarda w takich jak ten aforyzmach: „Najstraszniejsze głupstwa mądrych”. Nie trzeba się w tem dopatrywać romantyzmu. Jest coś znacznie głębszego niż niechęć romantyczna u Fredry w tem, że zarówno zabiegi Milczków, jak i rywala z *Dwóch blizn*, zostają obrócone wniwecz, a dyplomacji wszelkiego rodzaju dostają się w jego komedjach potężne cięgi. W tem jest pełnia człowieczeństwa Fredry jako twórcy. Najwyższem kryterjum człowieczeństwa jest u Fredry zdolność do rozumnego działania, ale ta zdolność — jak już zaznaczyliśmy — budzi się pod wpływem uczuć. Bohaterka *Lifa et Companie* mówi: „Karol podobał mi się, ale nie dostrzegłam tego, co najwięcej w mężczyźnie cenię, stałej woli i silnej chęci wprowadzenia tejże”. Bo mimo, że wiele postaci u Fredry przez uczucie dopiero dochodzi do wyzwolenia z doktrynerstwa, do rozumienia życia i rozsądku nawet, jak Aniela czy Kasia z *Gwałtu co się dzieje*, to jednak nie samo uczucie, nie romantyzm i nie mistycyzm ale kult woli rozumnej decyduje o predylekcji Fredry dla bohaterów-ryzykantów. Nie to, że ryzykują, ale że ryzykują i umieją opanować trudności — to stanowi ich swoisty urok. Ta praktyczna, jeśli kto woli woluntarystyczna postawa w stosunku do zagadnień, jest dla autora bajki *Trzebaby* znamienne. Czasem rys drobny, twardość i bezwzględność akcentu z jaką tę postawę głosi, lub

o przeciwnej wzdargliwie się wyraża, wskazuje na siłę i znaczenie tej postawy. Wyczuwamy ją w jednym z dialogów *Jowialskiego*. Gdy szambelan mówi o sobie, iż żadnej zagadki odgadnąć nie może, Wiktor mu na to odpowiada: „Czasem los zgadnąć przymusi”. „Chcieć wszystko przewidzieć” — mówi innym razem Fredro — „to jest stać w miejscu. Ale stojąc można się przewrócić, idzie więc o to, w którą pójść stronę”.

Bunt, wstręt, oburzenie, głęboka choć ukryta rozpacz z jaką Fredro - działacz burzy się przeciw biurokratyzmowi austriackiemu, sam fakt, że biurokratyzm jest dlań jedną z groźniejszych form dławienia narodu, to jeden z najznamienniejszych przejawów ducha Fredry. Nawet ta okoliczność, że człowiek tak opanowany i wypowiedział znane słowa o diable w stosowanym kapeluszu, który był dlań wcieleniem niemieckiego biurokratyzmu, bardzo charakterystyczna. W praktyczno-aktywnej postawie, przyczem aktywność ma charakter inspiracyjny, żywiołowy, iści się polskość Fredry i ona to w wystąpieniach społeczno-politycznych przeciwstawia się tej teoretycznej, refleksyjnej, pedanckiej i ciężkiej naturze Niemca. Tę samą cechę charakteru Fredry odnajdujemy w urywku z *Trzy po trzy*, w którym niewolę narodu przyrównywuje do rdzy, i w tej *Zapisce Starucha*: „Naród, który nie ma siły i woli powiedzieć łotrom, że łotry, nie wart być narodem”. Trzeba jednak wyraźnie rozróżnić tę postawę Fredry od romantycznej gloryfikacji porywów niejasnych, dążeń nieskończonych i prometeistycznych zmagania. Stwierdziliśmy już, że Fredro poetyzuje tylko wolę określoną i czyny. W tem oświeśleniu ograniczenie tematów twórczości do warunków nie należy tłumaczyć biernością czy ugodowością. Wybitnym wyrazem trzeźwości Fredry, właściwej mu już w latach młodości jest bajka p. t. *Kos i dzierlatka*, której koniec (odpowiedź kosa dzierlatce) brzmi:

Gdybym ja zaśpiewał szczerze  
Pieśń wolnego godną ptaka,  
Wiesz W. Panna korzyść jaka?  
Oto, ze słuchaczów pierze,  
A pieczyste ze śpiewaka.



Na gruncie tej praktyczno-czynnej postawy trzeźwego człowieka czynu, nie na gruncie racjonalistycznego klasycyzmu należy rozumieć poezję ograniczenia, umiar Fredry. Bez tego ani czar, ani głębia moralna poezji Fredry nie byłaby dostępna.

O powadze usposobienia Fredry jeszcze we wczesnym wieku wiemy z jego not autobiograficznych, z jego wzmianki o tem, że dano mu przezwisko staruszka. Nie dziwią nas ani melancholja i myśli samobójcze w młodzieńczych lirykach, ani gorycz, bezwzględność satyry i wyjaskrawienie zła w *Mężu i Żonie*, bo te rzeczy łatwiej tłumaczyć się psychologicznie, a i same zjawiska należą do powszedniejszych. Istotnie wiersze takie, jak *Pożegnanie*, *Życie*, *Śmierć* z odnalezionego niedawno zeszytu<sup>1)</sup> bezpośrednio i siłą wyrazu potwierdzają to, co wiemy ze wspomnień pisarza i to, czego domyśliliśmy się w tej namiętnej naturze:

Koniec żalom, uciechom, zgodność czuciom sprzecznym  
Śmierć nareszcie położy snem cichym i wiecznym.  
Wszystko coś pragnął, cierpiał, coś układał sobie  
W jednej chwili jest niczem i ty nikniesz w grobie;  
Młodość cię łudzi, straszy wiek dojrzały,  
Śmierć tylko daje odpoczynek stały.

(„Życie“.)

Idealizm młodości, miłość i młodość, przyczyny natury społeczno-politycznej, silne reakcje uczuciowe temperamentu męskiego i zdobywczego na przeciwności zupełnie to wyjaśniają.

Byliśmy niedawno, w czasie wielkiej wojny świadkami tego rozgoryczenia natur szlachetniejszych i bardziej rycerskich wśród legionistów, gdy marzona i idealizowana w bojach Ojczyzna, ukazywała się ich oczom w konkretnym, powszednim „powojennym“ życiu. Nie dziwi więc nas sarkastyczność Fredry w *Mężu i Żonie*, zwłaszcza, że znamy jego tendencje do arystokratyzmu moralnego i pietyzm dla pa-

<sup>1)</sup> Aleksander Fredro: *Nieznany zbiór poezji*, Tow. Miłośników Książki. Kraków MCMXXIX.

trjarchalnego domu rodzinnego, spotęgowany tęsknotą żołnierza-tułacza.

Decydującą natomiast o odrębności stylu utworów Fredry jest — szczególnie w wieku młodym i w jego epoce — poezja rzeczywistości. Uderza ona zwłaszcza w wierszu miłosnym *Przeznaczenie*, mieszczącym się również we wzmiarkowanym już zeszycie poezyj z 1821 r.

Promyk rozważy przyświeca nam błady  
Na czczych marzeniach buduję zasady,  
Wolność bez granic jest naszym zamiarem,  
I własnej pracy cieszym się już darem  
Gdy nagle miłość przybędzie, zabłyśnie,  
I wieczną cechę na duszy wyciśnie  
Niknie natenczas w jednym oka mgnieniu  
Budowla wsparta na niedoświadczeniu —  
Budowla, którą rozmyślał rój młody  
Mniemał być silną, trwałą wśród przygody  
Którą dziecinnie skleci i układa;  
Pchnięta miłością wali się i pada.

Wbrew wszystkim konwencjom, uzasadnionym zresztą psychologicznie, miłość nie wzbija tu poetę w świat nierealny, w „kraj marzeń”, lecz dzieje się inaczej. Poeta przemawia tu raczej tak, jak kobieta, która w miłości straciła dziewiczość i otwarły jej się oczy na pełnię życia. Jest tem przytłoczona, ale wdzięczna życiu za to bolesne doświadczenie i teraz poetyczniejszym jest dla niej nie świat ułud dziewczęcych, lecz świat rzeczywistości. Marzenie o życiu, wobec niego samego, wydaje się teraz czemś niższem, dziecinnem. Skarbu zdobytego nie odda za żadną ułudę, bo posiada tajemnicę życia.

Ten wiersz jest pierwszym dokumentem poetyckiej gloryfikacji rzeczywistości przez Fredrę, którą odtąd odnajdywać będziemy wciąż w jego dziełach. Ten pierwiastek nada cechę męskiej dojrzałości całej jego twórczości lirycznej, ale zato wydawać się będzie górnoromantycznym duszom, czemś konserwatywnem, lub czemś „bez polotu”. Wciąż teraz spotykać będziemy w jego dziełach dwa korelatywne przejawy tej samej postawy: Poezję tego co istnieje i poetycką walkę z poezją poszukiwania błękitnego kwiatu nadzwyczajności. Jak

już stwierdziliśmy na początku szkicu, w pierwszej swej sztuce *Nowy Don-Kiszot* przemawia Fredro tak, jakby u romantyków chciał zyskać to samo miano, co w domu: starszuszka. Kasztelanowi wkłada w usta słowa: „Trzeba być warjatem, aby chcieć świat przerobić, walczyć z całym światem“.

Stąd ta dążność do parodjowania wątków romantyczno-tragicznych, tak trafnie spostrzeżona przez Kleinera w *Zemście*, a przejawiająca się zresztą w bardzo wielu utworach. I stosunkowo wczesny utwór (z r. 1823) *Pierwsza lepsza* zawiera, jako moment uboczny, parodję Don-Juana w postaci Alfreda, który nie rozumie poezji rzeczy określonych, niezmiennych. O kobiecie, w gruncie przezeń ukochaney, lecz porzuconey dla uroku rzeczy niepochwytłych temi przemawia słowy:

Świat ją szanuje, wielbi, ja to zdanie dzielę  
Ma rozum, cnoty, stałość, rozsądek — przyznaję,  
Lecz zawsze w jednym kształcie to wszystko zostaje.

Rzecznikiem tych samych poglądów autora jest w *Słubach Panieńskich* Gustaw:

Jeśli w ciągłym odmiecie, wśród gwaru, hałasu  
Zawsze pragniemy nowych rzeczy, nowych ludzi,  
Wtedy tak wieś jak miasto koniec końców nudzi.

Ale w *Pierwszej lepszej* ujęcie problemu, stanowiącego główny wątek ideowy tego utworu, znacznie głębsze. Elwira wypowiada tam ów sąd o niewoli tych, co w unikaniu przywiązywania się do czegoś szukają wolności, o czczości jaką przynosi motylkowate czerpanie wzorów całego świata. Oto jak charakteryzuje ona Alfreda:

Alfred ma wszystkie wady, co się duszą stały  
Tych, co chcąc użyć życia w każdej jego chwili  
Nie dla troszek lecz uciech, świat sobie sprzykrzyli.  
Syty niby już życia, przyszłością się trudzi,  
Gardzi ludźmi, a tkliwy na mniemanie ludzi,  
Bojąc się zbłądzić czuciem, czucia się wyrzeka,  
W urojone granice przed sobą ucieka;  
Obojętny z układu, szydzi, gdy się lęka,  
Z wszelkiej władzy urąga, a przed każdą klęka:  
Tak zawsze z samym z sobą w nieustannym sporze  
I znieść jarzma nie zdoła, i zrzucić nie może.

Wbrew poetyczności konwencjonalnej najpoetyczniejszym i najgłębszym uczuciem w tym utworze jest stałość. Julia odgrywa tu rolę podobną do Gustawa ze *Ślubów*, z tą różnicą, że od pierwszej chwili działa tu z pobudek głębokiej i stałej miłości. Wyróżnianie przez romantyków jednej jedynej sztuki Fredry, jednoaktówki *Odludki i poeta* dlatego tylko że jest tam obrona poetów, należy do typowych nieporozumień i powierzchownych sądów.

Zrozumienie tej sztuki było tem trudniejsze, że wymagało głębszej znajomości duszy Fredry. Autokrytyka swych własnych cech, mizantropa i komedjopisarza, dokonywa się na dwóch postaciach, Astolfi i Czesława, a nadto łączy się z krytyką tych cech, których Fredro nie posiadał, mianowicie, z niezdolnością do cenięcia rzeczywistości. W istocie główną myślą tej sztuki jest nie obrona poezji przed umysłami prozaicznymi — to stanowi tylko tło — lecz tragihumorystyczne przedstawienie ludzi, których, jak Czesława, żadna rzeczywistość nie zadawała. Autor nie utożsamia się z żadną z postaci, ani w przedstawianiu swych błędów, ani swych poglądów — twórczość tu całkiem przedmiotowa. Ale znając już autora i mogąc wyczuć elementy subiektywne, wyczuwamy je między innymi w tej krytyce ułudy:

Nie lubię chwili często przyjemnego błędu  
Wznosić nieszczęśliwego z zwyczajnej kolei,  
By mu pokazać szczęście lub powab nadziei,  
By obudzić uśpione jego serca bicie  
I znowu go wytrącić w opłakane życie...

Inne oblicze tej samej postawy wyrażają te prawie gorzkie u młodego pisarza słowa o miłości: „nie szafujmy ją nadto, albo nadto mało“, lub karcenie pogoni za oryginalnością. Skłonność do umiaru („dwóch ostateczności pan Zięba unika“ *Nikt mnie nie zna*) — to przejaw tejże trzeźwości, która nakazała autorowi młodzieńczych prób brać za motto sentencję: „niema złego bez dobrego“.

Aż nadto mamy sposobności w dziele Fredry do stwierdzenia, że ta poezja umiaru, ograniczenia, nie świadczy o braku tęsknot. Czyż mamy cytować:

A ja, jeśli latam, jak mówisz, po niebie,  
To może i dlatego, że mi źle na ziemi?

Nie, ten wybór, to odczuwanie czegoś po poetycku wynika zawsze z całej postawy względem świata. Zależnie od pojmowania życia i świata, narzucają nam się pewne jego właściwości, jako szczególnie prawdziwe, zależnie od naszych ocen moralnych bywa jakaś wartość najistotniejszą. I wtedy zjawiska odczuwane jako istotne, w znaczeniu charakteryzowania prawdy o życiu, albo w znaczeniu zawierania kwintesencji wartości życia, wzruszają szczególnie i są „poetyczne”. Odczuwanie więc poetyczności życia wiąże się z naszą filozofją życia, naszymi skłonnościami metafizycznymi, wraz z nimi zmienia się przedmiot „poetyczności”.

Gloryfikacja poetycka rzeczywistości — jeśli nie jest obłudą lub filisterstwem, lub wreszcie postawą naturalisty, a nie o nich tu mowa — jest najczęściej wyrazem pewnego moralnego aktu wyboru. Tak też jest u Fredry. Gdy w pierwszej części naszego studjum wiązaliśmy tę jego postawę ze szkołą życia, jaką dlań było wojsko — teraz musimy przejść do tego, co istotniejsze, co sięga w głąb moralnego życia.

Gdybym miał wybrać ze wszystkich utworów Fredry jeden wiersz — wiersz określający postawę poety, a przez to całą twórczość, wybrałbym bez wahania ten jeden. Wypowiada go w I akcie *Cudzoziemszczyzny* Zdzisław, zwierający się siostrze-przyjaciółce z przesytu życiem kawalerskim i chęci małżeństwa:

Trzeba mieć swoich działań przyczyny  
Trzeba nosić i więzy, lecz więzy różne  
Coraz nowych nadziei nie słuchać już głosu  
I jeśli nie swobodę — znaleźć zakres losu

Ostatnie, podkreślone przeze mnie, słowa mają nie tylko wagę przełomowej chwili na pograniczu młodości i dojrzałości, gdy przestaje już pociągać nieokreśloność, a pragnie się czegoś, coby życiu nadawało sens — ale głębszy odcień metafizyczności: sięgania po los. I niema w całej twórczości Fredry słów innych, któreby głębiej wyraziły tę postawę, z której wyrosła poezja ograniczenia, poezję tego, co wybrał — „zakres losu”. Jest w tych słowach dziwnym trafem i męską powagą decyzji i wola umiaru, która musiała się wyrazić w sympatji do sztuki klasycznej i, wła-

ściwy epoce konwencjonalizmu, sentyment w słowach „więzy różane”. Gdyby ten akt wyboru u Fredry nie sięgał w samą głąb postawy moralnej, nie zawierałby smutku rezygnacji z wszystkich poetyckich uroków tego, co nieskończone, zmienne i niepochwytne. Tak nie jest, Fredro nie jest wąskim poetą, lecz tym tylko, który wybrał, co najistotniejsze; żyje w nim jednak tęsknota za bezmiarem różnorodności. W kręgu, który sam sobie zakreslił, pragnąłby znaleźć i ukazać te bogactwa, których nie znają wieczni wędrowcy.

Oto ideał żony z komedji *Pierwsza lepsza*:

O jak drogą jest w żonie ta pociąg władza,  
Która nas w coraz nowe rozkosze wprowadza,  
To źródło nieprzebrane czucia, przymilenia,  
Co zawsze jednym będąc, zawsze się odmienia;  
Ten dowcip, wdzięk pomysłów, lecz zawsze w przelocie,  
Co ozdoby dodaje nawet skromnej cnotcie,  
Co ciągle upragniony, nigdy dość nie znany,  
Samą stałość ustala powabem odmiany.

Na subiektywizm tych słów wskazuje jego wewnętrzne pokrewieństwo z wierszem francuskim Lafontaine'a, cytowanym na końcu humoreski *Nieszczęścia najszczęśliwszego męża*:

*Amants, heureux amants, voulez-vous voyager  
Que ce soit au rives prochaines,  
Soyez l'un à l'autre un monde toujours beau,  
Toujours divers toujours nouveau, comptez pour rien le reste.*

Zgodność sztuki Fredry z jego życiem wewnętrznem świadczy o tem, że utrafiliśmy w coś, co stanowi istotę i rdzeń jego życia uczuciowego. Odpowiednikiem tej postawy będzie forma sztuki klasycystycznej, kryjącej pod powtarzającemi się konwencjonalnemi formami świeży wdzięk życia, — w pozornej monotonii dyskretny czar tego, co niepochwytne, indywidualne — jedyne.

Jeśli taką była postawa Fredry we wczesnej młodości — *Cudzoziemszczyzna* to utwór wczesny, — dzieje jego szczęścia w małżeństwie, na które czekał tak długo, poczucie wartości i poezji tego szczęścia mogło tylko utrwalić tę postawę. Jakim był, takim pozostał, poetą ograniczenia, poetą

rzeczywistości; poetą nie romantycznych kochanek, lecz małżeństwa, przyjaźni, wzajemnej wiary, ufności — poetą intymności. Jeśli romantyczną jest tęsknota do zrozumienia duszy, do wiary w czyjąś duszę i jej wartość, jeśli romantyczna jest apoteoza tych wartości indywidualnych, jakie dane są w obcowaniu intymnem kochanków — przyjaciół — to Fredro był pod tym względem jednym z subtelniejszych romantyków. Jest to motyw powracający pod jego piórem z szczególnym uporem, z szczególnym akcentem głębokiej znajomości tych spraw. Czy weźmiemy wczesny utwór jak *Cudzoziemszczyzna* (rok 1822), czy *Przyjaciół* (1826), czy *Ciotunię*, napisaną już po *Zemście*, wszędzie mamy ten właśnie motyw. W *Cudzoziemszczyźnie* odrazu w pierwszych scenach uderza nas głęboka poezja stosunku przyjacielskiego i opiekuńczego Julji do brata. Ton tej poezji wydobyty jest kilku rysami, charakteryzującymi i sugerującymi subtelność ich natur, atmosferę ich życia, rodzinnej miłości.

Stosunek Edmunda i Aliny w *Ciotuni*, zmuszonych ukrywać swe małżeństwo, ma precudowną poezję. Promieniuje nią talizman wartości wewnętrznej tych ludzi, niewidoczny dla otoczenia, odosabiający ich od reszty ludzkiej, arcyłudzkiej świata i wiążący ich tajną intymnością. Ileż tkliwości miłosnej mieści się w tych np. słowach Aliny:

Lękam się swego cienia, trwożę się szelestem  
Ach, gdzie idzie o ciebie, dzieckiem prawie jestem.

Jednym z przykładów kapitalnej ślepoty, niezaradności tam, gdzie niema etykiet jest zupełna niepopularność i rzadkie wystawianie *Przyjaciół*. Strona komedjowa, groteskowość i szablonowość drugoplanowych figur, grubość ich rysów, jest tam tylko uboczne szekspirowskie intermezzo głębokiego dramatu nieporozumień, kreślonego z niebywałą na owe czasy finezją. Tę sztukę Fredry możnaby przyrównać tylko do dramatu *La danse devant le miroir de Curela*, tak jest nawskroś nowoczesna w ujęciu podobnego tematu, z taką subtelnością analizy psychologicznej jest pisana. Augier przy całej swej walce z materializmem i gloryfikacji cnót żołnierskich, w zestawieniu z Fredrą wydaje się mieszczański.

Choć nie trzeba dowodzić, jakim poetą miłości był

twórca *Ślubów panińskich*, bodaj jednak czy sława absorbująca tego arcydzieła nie wpłynęła na niedostateczne wyobrażenie o skali sztuki Fredry jako poety duszy kobiecej. Wydobądźmy tu, cytując, z zapomnienia jeden z najliryczniejszych momentów jego komedji, a przekonamy się, że w przedstawianiu najsłynniejszych wzruszeń starzejącej się kobiety, był równym mistrzem jak w kreśleniu wdzięków dziewczęcia. Oto dwa ustępy z *Ciofuni* (Flora):

Próżno!... W życiu kobiety jest pewna granica;  
 Przed nią marzenie, — za nią prawda jej przyświeca;  
 Przed nią — każda się cofa, za nią — w miejscu stoi  
 I jutro tego szuka, czego dziś się boi.  
 Łatwo, stojąc na górze, z góry w dół pozierać,  
 Łatwo, mając w czym wybrać, chcieć — nie chcieć wybierać;  
 Łatwa przeciw miłości w oklaskach obrona —  
 Nie dba o jedno serce powszechnie wielbiona!  
 Ale kiedy już ciszej, coraz ciszej wkoło,  
 Kiedy już coraz częściej zasępia się czoło,  
 Kiedy oko przygastę w przeszłości już czyta,  
 Liczy lata stopione, o korzyść z nich pyta,  
 A te czucia pieszczące, od świata karmione,  
 Gdy już świat o nas ucichł, ucichły i one —  
 Wtedy leżą w przeszłości te wspomnienia blasku  
 Jak z wystrzelonej racy gdzieś papier na piasku;  
 Wtedy natura-matka powraca do domu —  
 Chcemy dać serce — lecz ach, nie mamy dać komu!

Czasem bywa u Fredry coś z niepokojącego koneserstwa miłości, jak w tym ustępie:

Jawniejsza miłość bywa w pragnącym zapale,  
 A gdy obojętności już maskę przywdziewa,  
 Wtedy już jej najczęściej na niczem nie zbywa.

*Ciofunia.*

Stykając się z tą stroną twórczości Fredry, dochodzimy do wniosku, że to, co z punktu widzenia historii stylów jest amalgamatem klasycznego opanowania, empirowej dystynkcji, finezji i wdzięku sielanki, zrozumieć można od strony psychologicznej jako szczerą artystyczną. Ale zaakcentować trzeba, że konwencjonalną literacką formę idylli XVII i XVIII wieku, wypełnia Fredro szczerą, bezpośrednią, uduchowioną poezją.



Może ten humorysta, świadom rzeczywistości, który nie mógł poić się poezją złudy, nie chciał, by podkopywano wiarę w to, co istnieje, poezję prawdy. Może zniechęcony do społeczeństwa, we wszystkie glorie chciał ustroić to, co mu jedynie zostało — miłość i ufność w miłość. Dlatego od konwencjonalnych sztuk o miłości, takich jak np. Beaumarchais, odbija jego sztuka pogłębieniem tej miłości przez akcent położony na wierze wzajemnej w wartość wewnętrzną, na godności. To też z wdziękiem i empirową gracją u Fredry łączy się tak często subtelne, moralne uduchowienie. Dlatego ostrzem satyry zwraca się przeciwko niewierze i podejrzliwości (*List, Nikt mnie nie zna*). Często też niewiara, wątpliwość jak w *Przyjaciółkach* służy za motyw dramatycznych nieporozumień:

Ach potrafi oszukać, kto oszukać żąda  
A zwykle mało widzi, kto we wszystko wgląda.

*Nikt mnie nie zna.*

Stąd też płynie u Fredry nowoczesne pojmowanie roli kobiet w małżeństwie. *Gwałtu co się dzieje* kończy słowami: „Wyrzeknijcie się wzajemnie władzy, a znajdziecie przyjaźń. Wyrzeknijcie się rządów, a znajdziecie szczęście.“ W innej komedji znajdziemy taki wykrzyknik: „Do własnej więc wartości żona nie ma prawa!“

Nietylko w *Pierwszej lepszej*, ale w całym szeregu sztuk taką kierowniczą męską rolę, jaką odgrywa Gustaw w *Ślubach* daje kobietom. A tam, gdzie ukazuje słabość kobiet, umie roli ich nadać tyle poezji i moralnego piękna, ile jej mieści w sobie to przeciwstawienie się mężczyznom Zofji w *Wychowance*:

My sił waszych nie mając, zasłaniamy sobą.

Poezja Fredry nie jest tylko poezją kwiatów lecz poezją owoców i cierni. Poetycznymi są więc nie złudzenia małżonków (*Z Przemyśla do Rzeszowa*) co do przyszłego ich życia, lecz poetycznem jest to, co po rozmowie tych ludzi zostało: miłość do dziecka. Z tego współczucia dla wydziedziczonych zrodziła się komedja *Wychowanka*. Wzgarda starego człowieka, znającego podłość świata, służy tam za

kontrast z czarem wiośnianej poezji dziewczęcia, nadając jej tem większy urok efemeryczności:

Rozlewaj twój jad mętny na białe powoje,  
Co z młodych wolnych myśli pną się w nieba swoje;  
Niech wszystko, co nie twoje, splugawione ginie.

Z przeniknięcia smutnej prawdy życia rodzi się ów poetycki ton melancholji, jakim opromienił Orgona i serce Rózi w *Dożywociu*. Ale tu wступujemy już w granice innego królestwa poezji Fredry, poezji melancholji i humoru.

(Dokończenie nastąpi.)

*Stefan Kołaczkowski.*

## Kwestja „kultury ludowej”.

Ten termin „kultura ludowa” spotyka się dziś często, podczas gdy przed wojną mówiliśmy raczej o „oświacie ludowej”. Jak się okaże, pojęcia te bynajmniej nie są identyczne, do pewnego nawet stopnia zachodzi między nimi jakaś sprzeczność. Otóż zamierzam uczynić pobieżny przegląd tych wartości, które pod mianem „kultury ludowej” pragnie się zachować, zamierzam zdać sobie sprawę z watorów, ewentualnie może i niebezpieczeństw, które przynosi idea „kultury ludowej”. Przy rozważaniach moich posłużę się nieraz cytataми z książki p. t.: *Kultura wsi*, będącej sprawozdaniem z „Konferencji łowickiej”<sup>1)</sup> oraz z niektórych nowszych wydawnictw z tego zakresu.

<sup>1)</sup> *Kultura wsi*, wydawnictwo Min. W. R. i O. P. (Biuletyn XIII konferencji oświatowej, poświęconej zagadnieniom kultury wiejskiej w Polsce, Łowicz, 10, 11, 12 stycznia 1930 r., Warszawa 1930. (Skł. gł. Książnica-Atlas). — Obejmuje referaty: 1. Limanowski i F. Bujak: Istota kultury, ze szczególnem uwzględnieniem kultury wiejskiej w Polsce; 2. J. Bystroń: Źródła kultury, ze szczególnem uwzględnieniem i t. d.; 3. I. Solarz: Wzajemne wpływy cywilizacyjne wsi i miasta; 4. H. Radlińska: Możliwość celowego oddziaływania na rozwój kultury ze szczególnem i t. d.; 5. J. Cierniak: Sprawa widowisk i uroczystości wiejskich w Polsce. Książka ma charakter naukowy, jest pożytecznem wprowadzeniem w kwestję, mimo, że dyskusje niejednokrotnie operowały ogólnikami. Referat prof. Limanowskiego jest cenną i oryginalną obroną religii i spirytualizmu, w stosunku do kwestji kultury ludowej zaznacza i ustala także nowy punkt wyjścia, o czem w tekście. Ref. prof. Bystrońa ma charakter popularyzacji akademicko-socjologicznej o pojęciu kultury; w kwestji merytorycznej, kultury lud., zaciekawia przez wprowadzenie zmian odbywających się na wsi do „kryzysu autorytetów”; mówi o potrzebie nowych autorytetów, jednakże nic nie powiada nam jakie

1. Zanim przejdę do samej rzeczy, chcę zaznaczyć stanowisko moje odnośnie do samego pojęcia „kultury“ jako takiej. Stanowisko to może być podwójne: albo za przynależne do kultury, za objawy „kulturalne“ uważa się wszystkie wogóle fakty życia społecznego — i to pojęcia kultury nazywam zbiorczem. Albo też pojęcia „kultury“ używa się w znaczeniu wartościującym, to znaczy przyjmuje się i uznaje za teoretycznie ważny ten nasz codzienny, praktyczny podział faktów na „kulturalne i niekulturalne“. W wypadku pierwszym wszelkie wartościowanie uważa się za „niedopuszczalne naukowo“, w wypadku drugim stwierdza się, iż takie jak tamto stanowisko „tymematycznie“ (t. j. ze względu na wartości) obojętne, chyba celowi opisu: opisujemy nato, ażeby wiedzieć co czynić, i z norm czynu, z wartości naszych, wynika program opisu, wynikają kryteria ważności. W wypadku pierwszym nie uznaje się kultury jako t. zw. „organicznego zespołu“, w wypadku drugim stwierdza się, że wartościowania kulturalne mogą być zależnie od typu ideowego bardzo rozmaite, ale skoro raz nastąpiło jakieś zasadnicze wartościowanie, skoro raz pewien naczelny ideał kultury został ustanowiony, to już

---

mają być „treści“, jakie ideały wprowadzone przez te „nowe autorytety“; w takiej ogólnikowości zmieści się wszystko — wypływa ona zresztą z zasadniczego stanowiska prelegenta, który ani w kulturze nie chce widzieć żadnej „całości“, ani wartościowania jakiegokolwiek nie uważa za godne naukowca! Podobnie ogólnikowy charakter popularyzacyjno - naukowy miał ref. p. Radlińskiej, która jednak poruszyła godną uwagi kwestję wieśniaka oświeconego pośród środowiska zacofanego, o pomocach na jakie on zasługuje. — P. Solarz, dyr. Uniw. Lud. w Szycach, wprowadził wiele zajmujących momentów konkretnych w zagadnienie; p. Cierniak, znany działacz na niwie teatru ludowego, z właściwym sobie szczerem liryzmem rzucił swą ideę „samorodności“. Naukowym a zarazem praktycznym jest pełen głębokiej rozważliwej referat tak gruntownego znawcy ludu, jak prof. Bujak. W dyskusji zabierali głos prof. Moszyński i Fischer, pp. dr. Seweryn, Radwan, Wolert i w. i., przewodniczył p. Godecki z Min. W. R. i O. P. (Ta Konferencja łowicka uzyskała złą opinię antrprzyzy propagandy antyreligijnej; ze sprawozdania, które się zresztą bez retuszków nie obeszło, nie znać tego, w każdym razie referaty charakteru tego nie mają). Art. nin. nie ma zamiaru być sprawozdaniem z książki, posługuje się tylko, w miarę potrzeby, cenniejszemi lub bardziej znamiennymi uwagami w niej znalezionymi.

z takiego stałego punktu widzenia da się logicznie, i w tym sensie obiektywnie sprawdzać, czy poszczególne „treści“ wewnątrz zespołów kulturalnych są wartościowe czy niewartościowe — da się, słowem, oceniać, jakie fakty są kulturalne, jakie niekulturalne. Ja będę stał w rozważaniach mych na tem drugim, wartościującym stanowisku. I fakty należące do „kultury ludowej“ będę oceniał — i to programowo, — wedle ideałów naszej zachodnio-europejskiej, narodowochrześcijańskiej kultury (nb. w miarę potrzeby i możliwości).

2. Przystępując do kultury ludowej, trzeba przedewszystkiem uczynić to ważne rozróżnienie zaczerpnięte od prof. Bujaka: To co nazwiemy kulturą ludową nie jest równoznaczne z tem, co nazwiemy kulturą ludu. Kultura ludowa to jest to co, albo samorodnie zostało wytworzone przez lud wiejski, albo też przejęte zostało przezeń z kultury warstw wyższych, dworu, miasta, kościoła, armji, ale co już w zupełności zostało zasymilowane i nawet przez sam lud wiejski uważane jest za całkowicie swoje. Natomiast kultura ludu jest to ogólny „poziom kulturalny warstw niższych“, poziom oceniany z punktu widzenia kultury miejskiej, należą więc do niego wszystkie te wartości, które wieś bierze z miasta. Tu więc będzie należeć oświata ludowa.

Dla przykładu: Ręczny wyrób masła należy do kultury ludowej, wirówki mleczarskie do kultury ludu. Łapanie ryb na dziryt (jak gdzieś tam na Oceanie Spokojnym) to kultura ludowa; jeśli sobie rybak wiejski sprawi porządną wędkę z pływakiem, to będzie to fakt z kultury ludu. Góral w kierpcach i w spodniach z parzenicami a w krawatce i meloniku, dołem należy do kultury ludowej, górą do kultury ludu. It. p. Piszczalka i gramofon — oto dwa skrajne wyrazy tego przeciwieństwa.

Jeśli jednak zapytamy, czy pożądanem jest, żeby gramofon wypierał piszczalkę, skrzypce, a choćby i harmonikę ręczną, to zobaczymy, na czem polega ta akcentowana przed chwilą przeze mnie dystynkja między kulturą w znaczeniu zbiorczem, czysto opisowem, wartościowo obojętnem, a kulturą w sensie wartościującym. Gramofon na wsi jako taki

jest niewątpliwie objawem kultury ludu w sensie zbiorczym; ale czy ten gramofon wygrywający głupie szlagiery, ten gramofon-maszyna, wypierająca własną ludzką piosenkę i muzykę, — czy on jest faktem, z wartościującego punktu widzenia, kulturalnym czyli raczej niekulturalnym?

Podobnych wątpliwości można więcej przytoczyć. Oto zdarzenie, o którym słyszałem. W jednej z wsi śląskich ludność stanowczo sprzeciwiała się wprowadzeniu położnej; z jakiego powodu? okazało się, że się obawiają pewnych praktyk z jej strony. Z pewnością nie był to objaw „kulturalny“ z punktu widzenia kultury ludu, świadczyło to o pewnem zacofaniu; ale zarazem czy nie był to przejaw tego, iż pewna całość kulturalna, mianowicie kultura ludowa, broniła się przed jakimś, według swojej logiki, niebezpieczeństwem?

Z drugiej strony, weźmy pod uwagę takie lecznictwo ludowe, posługujące się środkami magicznymi; jest ono objawem „kulturalnym“, w znaczeniu wartościowo obojętnem, zbiorczem; ale nigdy w znaczeniu wartościującym, w sensie tego, co nazwiemy „prawdziwą, istotną“ kulturą. Dla nikogo chyba nie ulega wątpliwości, że lepiej jest, kiedy krowa albo dziecko zachoruje, poradzić się dyplomowanego lekarza, niż okadzać, a etjologję choroby odnosić do uroków Bogu ducha winnej sąsiadki. Z takimi objawami „kultury ludowej“, ze wszelkimi zabobonami, które tyle złego na wsi sprawiają — (przeczytać tylko *Komorników Orkana!*) — trzeba skończyć.

Widzimy więc, że „kultura ludowa“ i „kultura ludu“ nie tylko identyczne nie są, ale nawet nieraz wzajemnie sprzeczne; przyczem okazuje się, że wartości prawdziwe, czyli to, co uznać musimy za pożądane ze względu na zasadnicze ideały tej kultury wyższej, która nas, inteligencję, wychowała — że wartości te nie są skupione wyłącznie po jednej stronie. Owszem raz wieś, broniąc się przed miastem, broni prawdziwej kultury, raz miasto, nacierając na wieś, ma prawdziwą kulturę po swojej stronie.

W tem zawarte jest już całe zagadnienie. Już przed laty streścił je Stanisław Witkiewicz w tem znanem pytaniu, włożonem w usta górala, czy też wyjętem z jego ust: „Co

robić, żebym mógł być cywilizowanym człowiekiem, a chłopem polskim pozostać?”

Kwestja zatem „kultury ludowej“ streszcza się w zapytaniu: Co zostawić na wsi z wiejskiego, chłopskiego życia, ażeby lud wiejski ulegając wpływom miasta, wpływom mieszanym, nie tylko dodatnim lecz i ujemnym, w swoim typie życia nie obniżał się, nie „psuł się”? Pytanie przeciwne: czego z wartości miejskich ludowi udzielić, skoro się pragnie podnieść na wyższy poziom jego życie? — to jest kwestja kultury ludu, oświaty ludu; jest to pytanie o zdrowy postęp; pytanie zaś o kulturę ludową jest to pytanie o zdrowy konserwatyzm. Oczywiście jest to jedna sprawa z dwóch stron ujęta, bo zdrowy postęp i zdrowy konserwatyzm wychodzą naprzeciwko siebie i spotykają się. Ja tutaj zajmę się wyłącznie tym ostatnim. W tym celu zrobię krótki bilans „kultury ludowej“, przyczem zawsze będę miał na oku zagadnienie zasadnicze: czy i o ile ta kultura ludowa jest żywo tną?

3. Zacznę od kultury materialnej; są to sposoby pracy i zasób wytworów tej pracy. Tutaj zalicza się wszelką technikę łącznie z techniką artystyczną, wogóle wszystko co służy do opanowania przyrody, w celu umożliwienia, ułatwienia a także uprzyjemnienia sobie życia, więc strój, narzędzia gospodarcze, sprzęt domowy, budownictwo, zdobnictwo, rzeźbę, malarstwo, oraz sposoby rolnicze, leśnicze, hodowlane, bartnicze, łowieckie, rybackie, wreszcie lecznictwo ludzkie i zwierzęce.

W tej dziedzinie zagadnienie kultury ludowej wyraża się tak: Które z tych dawnych sposobów są faktycznie najbardziej w danych warunkach celowe, które powinny ustąpić nowym bardziej odpowiednim? Tutaj idzie o to, ażeby zbyt lekceważąco nie odrzucać dawnych sposobów pracy, dawnych narzędzi, dawnych gatunków zwierząt domowych i nie wprowadzać lekkomyślnie nowości, niby to w teorii wyższych, ale w praktyce, w danym miejscu i czasie mniej stosownych. Jak powiada prof. Bujak: „Zapaleni propagatorowie postępu wiele szkód wyrządzili kulturze gospodarczej wsi przez zbyt ni pośpiech i brak krytycyzmu; szerzyli np.

chów bydła nizinnego w okolicach i w warunkach kulturalnych (rolniczo - oświatowych) do tego nieodpowiednich, zamiast starać się o uszlachetnienie miejscowej rasy bydła, albo np. doradzali zbyt liczne i nieodpowiednie dla sadów włościańskich odmiany drzew owocowych, przez co raczej tamowali rozrost sadownictwa..." i t. d. Takich faktów każdy z czytelników, znający się na tych rzeczach, przypomni sobie więcej. Ale naodwrot, są rzeczy, które muszą ustąpić nowym, postępowym (żeby tylko znowuż wymienić owo domorośłe zabobonne lecznictwo). W tej dziedzinie, czysto u tyli tarnej, kwestja kultury ludowej nie ma i nie powinna mieć żadnej przymieszki sentymentu, wartościowania subiektywnego, wszystko powinno być traktowane kazualnie, konkretnie i ściśle rzeczowo. To, co jest naprawdę pożyteczne, napewno jest żywo tne. Zaco fane przesady praktyka życiowa prędzej czy później usunie.

4. Inaczej jednak ma się rzecz, gdy idzie o te dziedziny kultury materialnej, które mają wyraźne piętno estetyczne, o zdobnictwo i w związku z niem o sztukę ludową, z którą już przejdziemy do zagadnień kultury duchowej. Tutaj może nastąpić w ocenach naszych konflikt pomiędzy naszym stanowiskiem uczuciowem a ściśle rzeczowem.

Weźmy naprzód takie góralskie drewniane budownictwo i sprzętarstwo, zdobnictwo w drzewie. Kto własnemi oczyma oglądał jego zabytki, kto przeglądał Mokłowskiego, Maflakowskiego i z najnowszych wydawnictw to piękne album Barabasa,<sup>1)</sup> ten wie z całą pewnością, że w tej dziedzinie polska kultura ludowa, swoista i wartościowa, rzeczywiście istnieje, nie jest żadnem sentymentalnem zmyśleniem. To są rzeczy naprawdę, z punktu widzenia naszych, wyrobionych w wyższej kulturze norm estetycznych, piękne, które nas radują; ale co więcej, jak stwierdza fachowiec, góral włada siekierą i rozwiązuje trudności konstrukcyjne doskonale. Tutaj żadnego konfliktu pomiędzy oceną uczuciową a ściśle rzeczową, techniczną

---

<sup>1)</sup> Stanisław Barabasz: *Sztuka ludowa na Podhalu*, 1928, Książnica-Atlas, z atlasem.



niema. Są wartości kulturalne ludowe, z obu stanowisk niezaprzeczane. To z pewnością zasługuje na zachowanie. (Podobnie da się twierdzić i o innych rodzajach rzemiosła).

5. Ale przejdźmy do sztuki ludowej w ściślejszym znaczeniu, do rzeźby i malarstwa. Tutaj jednemu będzie podobać się każdy bohomaz wiejski, dlatego tylko, że to ludowe; zato inny wszystkie bez wyjątku utwory sztuki ludowej zlekceważy sobie jako niezgrabne prymitywy. Otóż tutaj rodzi się pytanie, czy jest możliwem jakieś trzecie stanowisko oceny, wznoszące się i ponad naiwny sentymentalizm, dla którego kulturą ludową, w znaczeniu wartościowem, jest bez braku wszystko, co wieś wytwarza — i ponad mieszczańską ograniczoność, która w wytworach wsi, jako że są odmienne i prymitywne, nie umie dojrzeć żadnych rzeczowych wartości.

Tutaj oddam głos znawcy tych rzeczy, Tadeusz Dobrowolskiemu, dyr. Muzeum Śląskiego. W rozprawie o śląskiej rzeźbie ludowej<sup>1)</sup> wygłasza on poglądy, dające się tak skreślić: „Wartości artystyczne sztuki ludowej polegają na takich zaletach formy, jakie rozstrzygają o wartości dzieł sztuki wogóle.“ W szczególności dzieła sztuki ludowej dadzą się obiektywnie hierarchizować wedle stopnia, w jakim znać w nich „wycucie... znaczenia bryły i płaszczyzny, liczenie się ze statyką, geometryzacją i upraszczanie kształtów, a więc stylizację... Figura wyrzeźbiona przez wiejskiego majstra w złych proporcjach, przytem niestylizowana lub traktowana realistycznie, działa odrażająco, jest tworem chybionym, z punktu widzenia sztuki nieinteresującym.“ Nie każdy więc prymityw ma prawo do tego, żeby się nam pod pozorami „prostoty“ podobać, ale są m. i. i prymitywy mające warunki piękna. Te należą do kultury ludowej w znaczeniu wartościującym.

Tu należy wskazać na pewien zastanawiający objaw z dziedziny tych zagadnień. Co dzieje się, kiedy ta sztuka ludowa, ta prymitywna rzeźba zaczyna się rozwijać, kiedy wiejski kamieniarz lub rzeźbiarz stara się wyjść ponad sferę prymitywu? Co dzieje się z punktu widzenia naszych wy-

---

<sup>1)</sup> Tadeusz Dobrowolski: *Śląska rzeźba ludowa*, Katowice 1930, nakł. Muz. Śląskiego (z atlasem).

mogów estetycznych? Oto np. w jednej z wsi nad Skawą widzę stare kamienne figury z przed wieku; mają one jakiś szczególnie staroświecki wyraz, przypominając archaiczną rzeźbę grecką, — te same w graniastych bryłach kamieni kształty cięte na płasko, to samo podłużne żłobkowanie lekko-faliste, oznaczające fałdy szat; jest zresztą wiele rzewnego czaru w tym „Ponjezusie frasobliwym“, który zadumany, z twarzą wspartą na dłoni, siedzi pomiędzy cienistemi jaworami i lipami. Ale zaraz niedaleko spotykam figurę świętą współczesną, realistyczną, o biegle wykonanych okrągłiznach, kolorowaną, która mię formą swoją raczej rozśmiesza niż podnosi. Przecież ta figura jest o wiele lepiej zrobiona, znać w niej wyższą biegłość techniczną, jest ona słowem „wyższym“ etapem sztuki ludowej, — cóż więc za sztuka, która rozwijając się traci na wartości estetycznej?

Objaw ten stwierdzają wszyscy badacze tych zagadnień. Dobrowolski powiada mianowicie: „z chwilą, kiedy formy poczynają być doskonalsze, kiedy wiejski artysta dzięki zawodowemu wykształceniu zaczyna tworzyć poprawniej, jego sztuka traci charakter ludowy“, tak iż wprost nieewolucyjność jest warunkiem sztuki ludowej, jest ona nawet jej *differentia specifica* w stosunku do sztuki wogóle. Rayski wprost stwierdza, opowiadając o obrazach na szkle: „cechą charakterystyczną naszych malowideł jest niefrasobliwość ujawniająca się w nader naiwnem ujęciu pomysłu i w rysunku, a pochodząca z nieumiejętności władania formą u osobników bądź co bądź obdarzonych talentem i ognistym temperamentem“. <sup>1)</sup> *Mutatis mutandis* podobnie wyraża się Bystroń o poezji ludowej. <sup>2)</sup> Podobna się więc nam niepoprawność, nieumiejętność artysty ludowego, tak iż słusznie powiada L. Kołaczkowski, iż nasz stosunek do poezji ludowej (ale to się stosuje do sztuki ludowej wogóle) „jest wyraźnie perwersyjny“, a mianowicie „podobna nam się nie to, co się podobało autorom, a to, czego oni unikali“. <sup>3)</sup>

Z punktu widzenia naszej psychiki przedstawia się

<sup>1)</sup> Konstanty Kietlicz Rayski: *Sztuka góralska na Podhalu*. Lublin 1928, nakł. Lub. Tow. Przyj. Nauk. z ilustracjami.

<sup>2)</sup> W książce p. t. *Artyzm pieśni ludowej*. Str. 178.

<sup>3)</sup> W czasopiśmie *Ponowa*, zes. 2, str. 21.

to w sposób taki: Na naszą ocenę estetyczną sztuki ludowej składają się dwa elementy: *a)* kryteria formalne obiektywne, t. j. obowiązujące w sztuce wogóle (odnośnie do rzeźby dopiero co podałem je w cytacie z Dobrowolskiego); *b)* przedstawienie się psychiczne w położenie domorosłego twórcy, który, mało zasobny w sposoby techniczne, twarde opory materiału pokonywując, samorodnie, własną sztuką, osiągnął rudymen tarne zaczątki wartości obiektywnych. Wartościowanie to estetyczne jest, rzekłbym, dwutorowe, istotą emocji u jego podłoża, jest współczucie z pracą naiwną a ambitną zarazem. Jeśli ta praca nie uda się wcale, to niema elementu *a)* oceny estetycznej, mamy prymityw zgoła niedołążny, który również może nas wzruszać, ale już pozaestetycznie. Gdy jednak twórca ludowy, będzie już nie tym domorosłym artystą, co po swjemu pasuje się z trudnościami zadania, ale rzemieślnikiem, po dziele którego znać, iż zręcznie włada wyuczonymi sposobami rzemiosła, dzieło to zaczynamy oceniać wyłącznie od naszej strony, z punktu widzenia naszej sztuki oficjalnej i stwierdzamy, że jest ono tylko mniej lub więcej zdarnem naśladownictwem — przepada więc element *b)* naszej oceny, a wraz z nią i swoisty czar dzieła. Ale chłopom te bezstylowe, bezrasowe twory realistycznego epigonizmu znacznie więcej się podobają, niż owe naiwne zabytki starej chłopskiej sztuki. Chłop ma gust mieszczański, nie chłopski.

Podkreślam te rzeczy, aby stwierdzić, że zarówno w tej dziedzinie zjawisk kultury ludowej, jak i w innych jeszcze, nasze wartościowanie nie koniecznie musi być identyczne z wartościowaniem samych najbardziej zainteresowanych, t. j. chłopów, że następnie to, co bywa z obiektywnego, ściśle rzeczowego, technicznego punktu widzenia rozwojem, postępem, nie koniecznie musi być postępem ze względu na wyższe wymagania subiektywne nasze, że więc kultura ludu stawia się czasem — jak już uprzedziłem o tem — w pewnej sprzeczności do kultury ludowej.<sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Fakt ten stwierdza i jaskrawo podkreśla w swem dziele *Polskie Logos a Ethos* prof. Koneczny. „Jeżeli lud wiejski, jako taki, posiada moc twórczą, artystyczną czy społeczną, czemuż nie okazuje jej dziś, będąc bezporównania bardziej oświeconym? Czemuż w naszych cza-

6. Z powyższego wynika już, że samorodną sztukę ludową plastyczną w ścisłym znaczeniu, t. j. rzeźbę i malarstwo należy uważać za nieżywołą, trzeba ratować jej zabytki tem gorliwiej, iż trudno spodziewać się nowych rzeczy w tym rodzaju. Oryginalność, estetyczna samorodność prymitywu chłopskiego była wyrazem świata szczelnie zamkniętego. Dziś świat chłopski otworzył się i dlatego sztuka chłopska dziś jest w znacznie wyższym niż dawniej stopniu naśladowniczą (bo i dawna naśladowała niejednokrotnie widziane po kościołach i t. p.) i jako taka niezajmującą.

Nie znaczy to, aby prymityw chłopski nie mógł przedłużyć swego istnienia w inny sposób; naprz. obrazy na szkle w stylu starym, w stylu prymitywu wykonywa dziś w Zakopanem malarz Szostak; ale to już nie jest sztuka chłopska, przez chłopów dla chłopów, ale sztuka inteligencka, przez artystę inteligenta dla inteligentów tworzona. Tu jawi się zagadnienie stylu ludowego w sztuce narodowej, ale to jest już nowe zagadnienie, nie to, o które tu idzie — kultury ludowej.

Czy żywotnem jest jeszcze drewniane budownictwo ludowe? To znaczy, czy można mieć nadzieję, że będą powstawały takie przepiękne kościółki, jak te liczne na Podhalu i gdzieindziej, które już często stoją opuszczone? Powtarzam, nie idzie mi o kościoły, domy, wille, w stylu ludo-

---

sach nie powstają ludowe nowości (w budownictwie, plastyce, tańcu, poezji i t. d.)? Czyżby twórczość ludowa związana była z ludową ciemnotą, jako z warunkiem swym nieodzownym? Ależ to absurd. Bo też według prof. K. — godzi się i ten sceptyczny pogląd w rozważaniach tych przytoczyć — lud nie jest bynajmniej szczególnie twórczym (nawet w rolnictwie) — jest to inteligencka „bajka”. „Ludowem jest nie to, co lud wytwarza, ale to, co jest zgodne ze współczesnymi pojęciami ludowemi”. To co nas uderza u ludu jako oryginalna twórczość czy styl ludowy, to tylko zachowane u ludu zabytki starszylacheckie. Na tej zabytkowości, archaizmie, a nie czem innym polega wartość „kultury ludowej”, jej znaczenie odświeżające dla sztuki (59—62). Przeciwno pogładowi o wyłącznie naśladowniczym charakterze sztuki chłopskiej występuje Rayski, l. c., stawiając tezę o wspólnych motywach i cechach sztuki pierwotnej tam gdzie o żadnym wpływie być nie może mowy i dokumentując to odpowiednimi ilustracjami porównawczymi. — (Podobnie sceptycznie o poziomie kulturalnym literatury ustnej chłopskiej wyraża się Świętochowski w *Hist. chłopów polskich*, 1928, II, VII).

wym stawiane przez architekturę uczonego, ale o dzieła wiejskiego cieśli? Co do kościołów, widzimy, że raz po raz powstają nowe, okazałe, murowane, i lud wiejski i księża, którzy przeważnie z ludu pochodząc, mają naogół psychikę włościańską, stracili już gust do starzyny; poza tem parafje są ludne, chodzi o wielką przestrzeń, stare konstrukcje drewniane mogą się nie nadawać, wreszcie może i jeszcze jeden ważny szkopał tu zachodzi, do którego zaraz przejdę. Co do domów, p. Solarz w Łowiczu skarżył się na te „coraz powszechniejsze w krajobrazie wsi domy nowe, praktyczne, podobne do koszar, magazynów, do domów miejskich, wyrwanych z ciasnego szeregu ulicy, bez wyrazu, bez duszy, estetyki, kłójące się krzykliwie z otoczeniem“ — ale spytajmy czy chłopu samemu zależy na miłym wrażeniu tych szarych dachów z drzewa, wtapiających się harmonijnie w płową zielen krajobrazu; może jemu lepiej się podobają te, dla nas tak wstrętne, eternity, a zresztą jeśli używa cegieł, blachy, eternitu, papy do budynków, to dlatego, że to wszystko jest tańsze i trwalsze niż drzewo. Pięknie rzezana sadyba drewniana jest uroczym okazem kultury ludowej; ale jeszcze raz: na tej kulturze ludowej więcej zależy nam inteligentom, eszetom, niż samym interesowanym. W letniskach chłop często obecnie wraca do budownictwa drewnianego, ale to dlatego, że spostrzegł się, iż takie domy lepiej się podobają letnikom. „Kultura ludowa“ jest tu jakby z powrotem wymuszana od góry. Taki zapalony ludowiec, jak dyrektor uniwersytetu ludowego w Szycach, kiedy walczy o to budownictwo drewniane, jest bynajmniej nie „jednym z ludu“, ale typowym inteligentem, domagającym się prostoty z powodu swego wykwinu. Wykwint ludowy nie lubuje się we własnej prostocie, owszem chce naśladować naszą nieprostotę. Rodzaj gonitwy w kółko: my chcielibyśmy u ludu zatrzymać to, od czego on odsuwa się, jako od starzyny; on przejmuje od nas i naśladuje to, co my odrzucamy jako pospolite.

Ale do naszej kwestji. Spytajmy w dalszym ciągu o żywotność ozdobnego rzemiosła ludowego. I tutaj spotykamy się z wypowiedziami znawców raczej pesymistycznymi. I tak Dobrowolski stwierdza, że „poziom pro-

dukcji ludowej w każdym kierunku obniża się z dnia na dzień“. Barabasza żali się: „...zamiłowanie do zdobnictwa w niektórych okolicach naszego kraju zanika... zmienione warunki życiowe, powstawanie fabryk, które zatrudniają ludność okoliczną od wczesnej młodości, absorbują jej czas doszczętnie, tworzą z ludu maszyny, przytępiają umysł i oślepiają do tego stopnia, że poza wypoczynkiem po pracy o niczym więcej myśleć nie są oni w stanie. Emigracja do Ameryki działa na ich twórczość równie niekorzystnie... (np. na Spiszu zadaje ona) stanowczy cios sztuce ludowej, niszcząc ją zupełnie... (w Witowie) takich wiejskich artystów z Bożej łaski, którzy wyrabiali te cacka góralskie, teraz już niema, przynajmniej już w młodszym pokoleniu... dzisiaj nie opłaca się nikomu zajmować takimi błahemi rzeczami, jak rzeźbanie łyżników ...przedmioty użytkowe można wszędzie kupić, nie warto więc ich robić w domu i na robienie ich czas tracić“. Seweryn stwierdza: „Z roku na rok maleje ilość garncarzy na Pokuciu — Pokuckie garncarstwo... znalazło się w ekonomicznym położeniu bez wyjścia: lud odwraca się od niego, a inteligentny odbiorca nie zawsze czuje się zadowolony... pod wpływem przenikania na wieś miejskiej cywilizacji maleje w naszym ludzie upodobanie do wytworów artystycznego przemysłu ludowego, a o zakupie każdego towaru decyduje jego taniość i wytrzymałość, a nie piękno. Blaszone, emaljowane naczynia fabryczne spychają w kąt towar gliniany na rynku. Pokucka majolika ludowa zrywa coraz więcej z potrzebami wsi...“<sup>1)</sup>

Widzimy więc kilka czynników wpływających na zanik rzemiosła ludowego o piętnie artystycznym:

1) Zanik konsumpcji, a to z powodu a) konkurencji towaru fabrycznego taniego, b) zmiany gustów u nabywców z ludu.

2) Zmniejszanie się ilości producentów, a to na skutek a) pracy zarobkowej w fabrykach, b) emigracji.

3) Wreszcie przypuścić należy zanik ochoty do pracy zdobniczej samodzielnej, a to z powodu owej postę-

<sup>1)</sup> Tadeusz Seweryn: *Pokucka majolika ludowa*, Kraków 1929, Wyd. Akad. Um.

pującej dezizolacji psychicznej wsi. Te rzeczy, te cierpliwe roboty drzewne, te, jak chłopci nazywają „próżnioki“ zaczynają się wydawać czemś naiwnem, dziecinnem, zdolności techniczne, ochota do majstrowania obraca się raczej ku naprawkom w motorach, rowerach, gramofonach, ku radju i t. p.

Co do owego zaniku konsumpcji, to mógłby ktoś zarzucić, że przecież wzamian dla wyrobów ludowego rzemiosła artystycznego powstaje nowy rynek w mieście, inteligencki. To prawda, że jest ten częściowy ekwiwalent, ale nie może on w całości zastąpić rynku naturalnego, najbliższego, ludowego, a powtórę w związku z tem przekształcaniem się rynku następuje częściowo wyradzanie się rzemiosła ludowego: przy przedmiotach, które tracą swój sens użytkowy, wytwórca staje się mniej solidny, a z drugiej strony, kładąc nacisk na stronę zdobniczą swych wytworów, może — jak stwierdza Seweryn na swoim terenie badań — popaść w pewien snobizm, zmanierowanie. Te wszystkie piękne kilimy, garnki, kasety i t. p., które możemy nabyć po sklepach, to są albo rzeczy faktycznie robione na wsi, przez chłopów, po domu, i w tym sensie to jest istotnie sztuka ludowa, godna wszelkiego poparcia, ale to są rzeczy naogół wcale drogie, lud tego nie kupuje i dlatego nie mamy tu już sztuki ludowej w ścisłym tego słowa znaczeniu. Albo też są to rzeczy wytwarzane przez rozmaite warsztaty przy udziale artystów wykształconych, inteligentów, i jest to sztuka w stylu ludowym, ale bynajmniej nie ludowa.

Wydaje się, że dziś, o ile się na wsi znajdzie chłopak o prawdziwych zdolnościach zdobniczych, czy artystyczno-plastycznych, to droga dla niego przez szkoły zawodowe, ku warsztatom pracy w mieście. Ale to już nie będzie zjawisko kultury ludowej.

Na wsi pozostanie przemysł domowy, wytwarzający dla celów użytkowych, który będzie musiał wytwarzać tanio, więc już bez aspiracji artystycznych. Oczywiście i ten przemysł jest zewszeczmiar godzien poparcia, jak wszelkie wogóle rzemiosło, które wobec wielkokapitalistycznego zalewu ratuje jeszcze niezależność człowieka. Bardzo pożądanem

jest, żeby przemysł domowy korzystał z rozwoju technicznego, więc używał maszyn odpowiednich, motorków, korzystał z ewentualnej elektryfikacji kraju i t. p. Jeden z pierwszych, jeśli nie pierwszy pionier sztuki ludowej, Włodzimierz Dzieduszycki, który starał się zainteresować inteligencję, a nawet zagranicę, huculskimi garnkami i kilimami, był przeciwny wszelkim ulepszeniom technicznym produkcji i pragnął, żeby chłopi wytwarzali po staremu, domorostłymi sposobami.<sup>1)</sup> Zależało mu na zachowaniu w nieskażonej czystości „kultury ludowej“. Takie stanowisko skrajne utrzymać się nie da. Produkcja ludowa musi się podnosić, cywilizować, jeśli ma mieć zdolność konkurencyjną; tutaj musi zależeć na kulturze ludu.

Wartością „kultury ludowej“, w tej dziedzinie współcześnie zagrożoną, jest zamiłowanie do zdobnictwa, którego ludowi naszemu nie brakuje, a które, jak widzieliśmy, pod naciskiem postępującej urbanizacji i industrializacji ulatnia się. Zamiłowanie to jest wartością obiektywną, bo nie tylko nam inteligentom jest przyjemnie widzieć ją u ludu, lecz i im samym wytwarzanie przedmiotów ozdobnych daje zdrową przyjemność, szlachetną rozrywkę. Zagadnieniem praktycznym kultury ludowej, zagadnieniem dla pedagogów, byłoby utrzymanie i rozwinięcie talentów rzemieślniczo-zdobniczych u dzieci szkolnych.

7. Przystąpmy do kultury zwyczajowej; mam tu na myśli strój, zwyczaje, obrzędy, zabawę, pieśń, wreszcie i gwarę, oraz całą wogóle stronę językowo-intelektualną, więc opowiadania, legendy, bajki, przysłowia, poglądy na przyrodę, na historję i t. p. Co tu jest wartością swoistą, na zachowaniu czego zależeć powinno ze względu na kulturę narodu, na zachowaniu czego zależy samym właścicielom, co jest jeszcze żywotnem?

Żywotność oznacza nie tyle „zdolność do zachowania się“, ile „zdolność do rozwoju“; jak byt jakiś okaże się nieruchomym, to niewątpliwie niedługo zacznie się cofać; żywotności statycznej niema więc i w tej dziedzinie:

---

<sup>1)</sup> Według Ludwika Dębickiego *Portretów i sylwetek XIX w.*



jeśli ludowa kultura zwyczajowa nie będzie wytwarzać nowych zjawisk, to musi stać się prędzej czy później okazem muzealnym, znudzi się wsi i żadne sentymenty jej nie zatrzymają.

Spytajmy więc np. o strój ludowy, czy jest żywotny? Pozwolę sobie dla przykładu na takie dość blahe, ale pouczające wspomnienie. Będąc w Istebnej na Śląsku Cieszyńskim zauważyłem, że pewien staruszek ma tę ich czerwoną „kamizolę“ nieco odmienną od innych, a mianowicie obszytą czerwonymi frendzlami, jakich inni nie mieli. Pytam, co to znaczy, objaśniają mię, że jego „kamizola“ jeszcze przedwojenna, kiedy łatwo było o wielbłądzą sierść, z której te frendzle sporządzano, dziś ona niedostępna. Zgoda, ale dla czegoż nie obmyślono innej, ekwiwalentnej ozdoby? Prawdopodobnie ideałem estetycznym górala istebniańskiego był huzar węgierski, w swoim stroju starał się go naśladować, dziś ten ideał oczywiście zanikł, a strój wyważony ze swego stanu przez zmianę gospodarczą, wobec zaniku swego wzorca idealnego, niema jak się odbudować.

W stroju wyrażają się prócz użytkowych, erotycznych i t. p. także czysto estetyczne postulaty człowieka, np. pragnienie barwy, ale w większej jeszcze mierze postulat społeczny: strój ma służyć jako wyraz przynależności grupowej człowieka, a równocześnie służyć wywyższeniu człowieka. I ten zwłaszcza ostatni moment przybiera maskę estetyczną: ładna suknia u wielu kobiet to nie tyle suknia naprawdę ładna, ile ta, w której można imponować. Strój ludowy wcielał jednostkę w grupę „lud wiejski“, — ta grupa rozluźniła się na skutek wpływu stosunków gospodarczych i politycznych, ludzie wychodzą ze wsi masowo; strój więc okazuje się mniej pożądanym dla tych, co zostają na wsi, skoro i oni uzyskują ambicję być takimi samymi „panami“, mieszczuchami, ludźmi w krawatce. Dalej, strój ludowy, odświętny dawny, aczkolwiek wcielał jednostkę w grupę włościańską, to zarazem wyrażał pewną zbiorową ambicję, chciał zbliżyć chłopca do warstw wyższych, naśladował szlacheckie, mieszczańskie, wojskowe stroje. Dziś te stroje warstw wyższych straciły barwność, fantazję, stały się szare i proste. Więc i strój ludowy nawet i tam, gdzie się zatrzymuje, po-

zostawszy barwnym, jest zabytkiem epoki minionej, wobec tego stracił swoje wzorce pobudzające do rozwoju, do zmian, do mody. Dziś naogół niema mody w stroju ludowym, i dopiero jeśliby się okazało, że jeszcze ulega on modom, możnaby mówić o jego żywotności i wróżyć mu przetrwanie. Sądzę, że w tym kierunku miałby coś do zrobienia teatr ludowy, który nie powinien poprzestawać na odtwarzaniu realistycznym strojów ludowych, ale powinien dać folgę wyobraźni, tworzyć, naturalnie na tradycyjnej podstawie, piękne stroje nowe. Za tą podniętą mogłaby się obudzić samorodna twórczość krawiecko-zdobnicza (wogóle postulat tej samorodności w całej kwestji „kultury ludowej“ ma pierwszorzędne znaczenie).

8. Zwyczaj, obrzęd są niewątpliwie wartością kultury ludowej obiektywną, to znaczy mają znaczenie nie tylko z naszych, inteligencko-estetycznych względów pożądanego „rezerwatu“ kulturalnego, ale także pożądane być powinny od strony ludu: dodają znaczenia, wzbogacają wewnętrznie życie codzienne. A to nie jest mała rzecz.

Dla przykładu: czym jest dla nas, ludzi miejskich, posiłek? Posiłkiem i niczem więcej; u chłopów inaczej. Nieraz przy wojsku podziwiałem, jak chłop nasz do najobskurniejszej c. k. wodzianki zabierał się z powagą, jeśli nie zawsze żegnając się, to w każdym razie prawie zawsze zdejmując czapkę. Albo na przykład u starych ludzi, gdy chleb upadnie na ziemię, to się go podnosi z ucałowaniem. Takie zwyczaje codziennego życia to już pewnego rodzaju obrzędy. Są one wyrazem pewnego stylu duchowego i w dalszej części referatu omówię to.

Ale weźmy obrzęd w ścisłym znaczeniu. Kiedy na przedstawieniu *Wesela na Kurpiach* patrzałem na ten tajemniczy jakiś obrzęd „toczenia chlebem“, pomyślałem, jak w porównaniu z tamtem życiem, nasze wyjałowione jest z obrzędu i dlatego uboższe. Nasz czas mija, jak taśma jednobarwna; w życiu przesyconem obrzędem czas ma swoje przeguby, na których spiętrza się, zgęszcza poczucie, że się żyje.

Czy obrzęd jest żywotny? Zależy on od całego ludo-

wego poglądu na świat. Ma on pewne ezoteryczne znaczenie, jest symbolem pewnych wierzeń magicznych. Jak te wierzenia zanikają, to zaciera się istotny jego sens, staje się on czemś niepoważnem, dziecinną igraszką i zanika. Jest obecnie tendencja podtrzymywania go zapomocą teatru ludowego; jest to nowy kierunek teatru ludowego — nazywam go „cierniakowskim“, od nazwiska Jędrzeja Cierniaka, głównego wyraziciela tych tendencji, — polegający na tem, żeby teatr zeszedł ze sceny, pomiędzy ludzi, żeby przejął w siebie i organizował zabawę, obrzęd; np. „dożynki“ spalskie traktuje się jako *sui generis* teatr ludowy. Niewątpliwie taka świadoma organizacja przyczyni się do dłuższego przetrwania obrzędu, ale jego żywotność zależeć będzie w istocie od tego, czy zdoła on zachować, względnie uzyskać jakieś nowe znaczące treści. „Czyste formy“ nikogo na dalszą metę nie zadowolą. (Notabene, nie mam tu na myśli obrzędów kościelnych lub półkościelnych, które są poważną stroną życia wsi i związane są z jej religijnością). Obrzędy, o które tu idzie, świeckie lub prawie świeckie, np. dożynki, opłatek, jasełka, chodzenie z szopką i t. p., dziś mają charakter tylko zabawy — co oczywiście nie neguje tego, iż uzyskać mogą, jak wogóle dobrze urządzona zabawa, jakieś znaczenie wychowawcze.

(Dokończenie nastąpi.)

Karol Ludwik Koninski.

## Czy wszyscy śmiertelni umrą?

(Przyczynek egzegetyczny).

Odpowiedź na podobne pytanie zdaje się być zgóry przesądzoną, nawet samo pytanie wygląda na zbyteczne. Cóż bowiem naturalniejszego dla „śmiertelnych” nad śmierć? Człowiek ma wprawdzie nieśmiertelną duszę, ale ciało jego zużywa się, psuje i zamiera. Dla każdego musi nadejść czas, w którym organizm stanie się już niezdolnym do dalszego wykonywania funkcji życiowych. Cały rodzaj ludzki otrzymał wprawdzie w swym prarodzicu przywilej nieśmiertelności i miał go dziedziczyć z pokolenia na pokolenie. Ale przez pierwszy grzech Adam utracił dla siebie i dla swego potomstwa ten dar nadprzyrodzony i odtąd wraz z grzechem pierworodnym rozpanoszyła się na świecie śmierć. „Postanowiono ludziom raz umrzeć” (Żyd. 9, 27). „Wrócisz do ziemi, z którejś wzięty; boś jest proch i w proch się obrócisz” (Rodz. 3, 19). Wiemy ponadto z objawienia, że na końcu rozwoju obecnego porządku świata nastąpi powszechne zmartwychwstanie ciał i sąd ostateczny; czyż powszechne zmartwychwstanie nie przypuszcza uprzedniej śmierci również powszechnej? Toteż rozum ludzki pozostawiony własnym siłom, nauczony doświadczeniem tysięcy lat, znajdując nawet w słowie Bożem poświadczenie, że wyrok śmierci zawisł nad wszystkimi synami ludzkimi, nie tylko nie znajduje żadnego powodu, by w tem twardem prawie dopuścić jakieś wyjątki, ale nawet gotów jest pozytywnie uważać je za niemożliwe mrzonki.

Tymczasem to samo Objawienie, które tylekroć z naciskiem podkreśla, że śmierć jest udziałem wszelkiego „ciała”

na ziemi, a ponadto karą ciężącą na ludzkości, równocześnie jednak otwiera jasną i radosną perspektywę, że nie tylko niszczycielskie dzieło śmierci zostanie w pełni naprawionem przez ciała zmartwychwstanie, ale, co dziwniejszem może się wydawać, że śmierci całkowicie unikną wszyscy sprawiedliwi, jakich zastanie na ziemi chwalebne przyjście Chrystusa na sąd. Wielka przeto ilość ludzi nigdy nie ulegnie tej surowej konieczności śmierci, jaka przez tyle tysięcy lat nieubłagane kosiła pokolenie za pokoleniem.

O tym wspomniał szczególnie Objawienia Bożego poucza nas głównie św. Paweł Apostoł. Sposobności zaś do wypowiedzenia się w tym względzie dostarczyli mu najpierw jego kochani neofici z Tessalonik. W zapale wiary wytrwałej wśród przeciwności wyczekiwali oni z utęsknieniem przyjścia Pana na sąd. Nam trudno dzisiaj przedstawić sobie, jakie podniosłe uczucia radości wywoływało w umysłach i sercach pierwszych chrześcijan słowo *parusia*. Zapożyczone z otoczenia rzymsko-hellenistycznego, oznaczało ono podówczas przybycie monarchy lub innej podobnej osobistości, uroczyste przyjęcie ich, połączone ze zabawami i uciechą powszechną. Różne ulgi i przywileje towarzyszyły takim odwiedzinom. Jakaż miała być *parusia* Króla królów! Ze drżeniem radosnem serca wyczekiwali przybycia Tego, co miał zaprowadzić wieczną sprawiedliwość, dobrobyt, życie błogosławione.

Kiedy on przyjdzie? Tego Pan nie określił. Kazał czuwać i być gotowym. Nie wiadano dnia ani godziny. Obiecał przyjść niespodzianie, jak złodziej w nocy. Nie zdawali sobie dostatecznie sprawy, że przyjście Pańskie może oznaczać każdy wybitniejszy objaw Boskiej wszechmocnej sprawiedliwości i dobroci, mający znaczenie decydujące w rozwoju jednostek i całego świata. Nie przypuszczali zwłaszcza, że długie wieki oddzielają ich jeszcze od najważniejszego, ostatecznego przyjścia. Wprawdzie Pan nieraz dał do poznania w przypowieściach, że królestwo Jego powoli wzrastać będzie, aż obejmie wszystkie narody, ale jak nie powiedział wcale, że wszystko skończy się w najbliższych latach, tak też nie określił wyraźnie, że długo jeszcze potrwa to czekanie. Wyrażenia zaś Jego w stylu proroczym, malujące

bliskie i bardzo odległe wydarzenia jakby na jednym tle, mogły zrodzić przypuszczenie, że *parusia* zastanie ich żywych.

Z postępem czasu wierni Tessaloniczanie czuli się nieco zawiedzionymi w swych pragnieniach. Oto wielu z nich już pomarło, a Pan się nie zjawiał, jak sobie wyobrażali. Dręczyła ich myśl, że ci bracia w Chrystusie, co już zasnęli w Panu, nie wezmą jak oni czynnego udziału w radosnem przyjęciu przychodzącego wreszcie Króla wieków. Smutek swój i wątpliwości przedłożyli Apostołowi narodów. Nie smućcie się z powodu ich losu, mówi św. Paweł, gdy Chrystus zjawi się i my jeszcze żyjący wyjdziemy powitać Go, wasi drodzy umarli nie będą w niczem upośledzeni. Wyjdziemy na spotkanie Chrystusa, ale nie sami, tylko razem z nimi. Najpierw oni zmartwychwstaną i dopiero wspólnie z nimi my jeszcze żyjący połączymy się z Panem.

*A nie chcemy, bracia, pozostawiać was w niewiadomości co do tych, którzy zasnęli, abyście się nie smucili, jako ci inni, co nie mają nadziei. Bo jeśli wierzymy, że Jezus umarł i zmartwychwstał, tak Bóg i tych, którzy zasnęli, przez Jezusa przyprowadzi z Nim. Albowiem to wam powiadamy jako słowo Pańskie, iż my, którzy żyjemy, którzy pozostawieni jesteśmy do przyjścia Pańskiego, nie uprzedzimy tych, którzy zasnęli. Albowiem sam Pan na dane hasło, przy głosie Archanioła i brzmieniu trąby Bożej, zstąpi z nieba, a umarli w Chrystusie powstaną najpierw; potem my żyjący, którzy pozostawieni jesteśmy, pospołu z nimi pochwyceni będziemy na obłokach naprzeciw Chrystusa w powietrzu, a tak zawsze z Panem będziemy. Przetoż pocieszajcie wzajemnie temi słowy. (I Tess. 4, 12—17).*

Wcale nie pocieszał ich św. Paweł tak, jakby się kto zgóry mógł spodziewać. Nie powiedział im: los zmarłych nie jest gorszym od naszego, i tak bowiem wszyscy umrą jako też i wspólnie zmartwychwstaną na przyjście Chrystusa. Ale powołując się na słowo Pańskie, twierdzi bez wahania: „my, którzy żyjemy, którzy pozostawieni jesteśmy do przyjścia Pańskiego, nie uprzedzimy tych, którzy zasnęli... Umarli w Chrystusie powstaną najpierw, potem my żyjący, którzyśmy pozostali, pospołu z nimi pochwyceni będziemy w obłokach naprzeciw Chrystusa.”

Jak zobaczymy dalej, św. Paweł wcale jednak przez to nie twierdził, że współczesne mu pokolenie na pewno doczeka się przyjścia Chrystusa. Twierdził jedynie, że owo pokolenie sprawiedliwych, które będzie żyło w chwili Jego przyjścia, — kiedykolwiek miało ono nastąpić, — bez śmierci i zmartwychwstania przejdzie do żywota wiecznego. O tej prawdzie zapewniało go Objawienie Pańskie, — kiedy to nastąpi, o tem nic nie wiedział, gdyż Pan zastrzegł sobie tę tajemnicę.

Kilka lat później znowu musiał św. Paweł poruszyć w listach tę kwestję, tym razem wskutek odmiennych nieco trudności i zapytań ze strony Koryntjan.

Dogmat zmartwychwstania był jednym z głównych punktów katechezy apostołskiej, jak o tem świadczą częste wzmianki czy w Nowym Testamencie czy w pismach pierwszych Ojców. Dogmat ten zrozumiały dla umysłów wychowanych na Starym Testamencie, napotykał jednak na silne przeszkody w świecie pogańskim. Toteż gdy przed Areopagiem w Atenach św. Paweł wspomniał o zmartwychwstaniu, zaraz powstały w zgromadzeniu śmiechy i szyderstwa, a kiedy rozwijał tę prawdę przed prokuratorem Festusem, wykrzyknął tenże: „Szalejesz, Pawle, wielka nauka przywodzi cię ku szaleństwu“ (Dz. Ap. 26, 24). Nic więc dziwnego, jeżeli w Koryncie, wśród świeżo nawróconych z pogaństwa chrześcijan, powstały na tem tle pewne wątpliwości. Przyjmowali oni wprawdzie zmartwychwstanie samego Chrystusa, jakby wyjątek uzasadniony Jego godnością Syna Bożego, ale co do innych skłonni byli rozumieć zmartwychwstanie jedynie w znaczeniu duchownem, jako powstanie ze śmierci grzechu do nowego życia, wewnętrzne odrodzenie na synów Bożych i dziedziców Jego królestwa.

Św. Paweł, z właściwą sobie energją, wykazuje bezzasadność takiego rozróżniania. Zmartwychwstanie Chrystusa jest ściśle związane ze zmartwychwstaniem odkupionej przezeń ludzkości, jest tegoż przyczyną, wzorem i zadatkiem.

Toteż naszkicowawszy w pierw znane już neofitom pozytywne dowody zmartwychwstania Chrystusa, pisze:

*A jeśli się naucza o Chrystusie, że zmartwychwstał, to jakoż niektórzy między wami mówią, że niema zmartwych-*

*wstania? Lecz jeśli niema zmartwychwstania to i Chrystus nie zmartwychwstał. Jeśli zaś Chrystus nie zmartwychwstał, tedy próżne jest co głosimy, próżna też i wiara wasza; okazuje się raczej, żeśmy fałszywymi świadkami przeciw Bogu, ponieważ świadczylśmy przeciwko Bogu, iż wskrzesił Chrystusa, a nie wskrzesił go, jeśli rzeczywiście umarli nie powstają z martwych. Bo jeśli umarli nie powstają, nie powstał i Chrystus. A jeśli Chrystus nie powstał, daremna jest wiara wasza, bo dotychczas jesteście w grzechach waszych. Tedy i ci, którzy zasnęli w Chrystusie, poginęli. Jeźliż w tem tylko życiu mamy nadzieję w Chrystusie, jesteście najbiedniejszymi z wszystkich ludzi. Alłści Chrystus zmartwychwstał, pierwsiastki tych, którzy zasnęli" (I Kor. 15, 12—20).*

Rozwijając dalej zasadniczą myśl, że „jako w Adamie wszyscy umierają, tak też i w Chrystusie wszyscy ożyją" (w. 22), On ma bowiem królować i pokonać wszystko, co sprzeciwia się panowaniu Bożemu i dlatego „ostatnia nieprzyjaciółka będzie zniszczona, śmierć" (w. 26), przechodzi do ich drugiej trudności, jakię mianowicie będą ciała zmartwychwstałych.

*Ale powie kto. Jakkż zmartwychwstają umarli? a w jakim cieie przyjdą? Nierozumny! To co ty siejesz, nie ożywa, jeśli nie umrze. I co siejesz, nie to ciało siejesz, które ma być, ale gołe ziarno, naprzykład pszeniczne, albo jakie inne. A Bóg mu daje ciało, jako chce, a każdemu nasieniu własne ciało (I Kor. 15, 35—38).*

Różnaitę, mówi dalej, bywają natury i przymioty ciał różnych istot, ludzi, zwierząt, roślin, ciał ziemskich i niebieskich świetlanych; każde przystosowane do właściwych sobie warunków. Toteż i ciało zmartwychwstałe będzie posiadać właściwości odpowiednie do swego nowego życia.

*Bywa wsiane w skazitelnosci, powstanie w nieskazitelności; bywa wsiane we wzgardzie, powstanie chwalebne; bywa wsiane w słabości, powstanie w potędze; bywa wsiane ciało ziemskie, powstanie duchowe (Kor. 15, 42—44).*

Nastąpi przemiana na wzór ciała Chrystusowego (w. 45—49); przemiana konieczna, gdyż obecny organizm ze swemi słabościami nie odpowiada owym warunkom nowego życia chwalebnego. Toteż ciągnie dalej Apostół:



*Oto powiadam wam tajemnicę: wszyscy nie zaśniemy, ale wszyscy będziemy odmienieni, (tak w poprawnym tekście greckim). Nagle, w mgnieniu oka, na odgłos trąby ostatecznej, — bo zabrzmi trąba — i umarli powstaną nieskażonymi, i my będziemy przemienieni. Boć musi to skazitelne przyoblec nieskazitelność, i to śmiertelne przyoblec nieśmiertelność. A gdy to śmiertelne przeoblecze nieśmiertelność, wtedy stanie się mowa, która jest napisana: Pożarła jest śmierć w zwycięstwie! Gdzie jest zwycięstwo twe, śmierci? Gdzież jest, śmierci, oścień twój? (I Kor. 15, 51—55).*

Innemi słowy: w przejściu do wiecznego żywota ciała sprawiedliwych nie mogą pozostać takimi, jakimi są w dzisiejszych warunkach, ale pozostając prawdziwemi ciałami ludzkimi staną się niezniszczalne, uwielbione, poddane całkowicie panowaniu ducha.

Nie wszyscy jednak osiągną ten stan dopiero przez śmierć i zmartwychwstanie; sprawiedliwi żyjący w chwili przyjścia Syna człowieczego przejdą bezpośrednio z tego życia do wiecznego. Trzeba tu nadmienić, że zasadniczy ten wiersz 51, pominąwszy inne nieznaczące warjanty, zachodzi w kodeksach w potrójnej formie:

1) Wszyscy wprawdzie zmartwychwstaniemy, ale nie wszyscy będziemy odmienieni;

2) Wszyscy wprawdzie zaśniemy, ale nie wszyscy będziemy odmienieni;

3) Wszyscy nie zaśniemy, ale wszyscy będziemy odmienieni.

Pierwsze i drugie brzmienie tekstu, choć różne w słowach pierwszej części, wyraża jednak to samo, twierdzi mianowicie, że wszyscy umrą i zmartwychwstaną, ale nie wszyscy zostaną przemienieni. Trzecie brzmienie naodwrot twierdzi, że nie wszyscy umrą, a więc i zmartwychwstawać nie będą, natomiast wszyscy zostaną przemienieni.

Które z nich jest pierwotne, pochodzi od Apostoła? Pierwszy tekst: „wszyscy wprawdzie zmartwychwstaniemy, ale nie wszyscy będziemy odmienieni“, znajdujemy w jednym kodeksie greckim D z 6 wieku (t. zw. kodeks Bezy w Cambridge), w dzisiejszej Wulgacie i niektórych dawniejszych kodeksach łacińskich, niema go w żadnym innym starym

przekładzie. Drugą formę tekstu: „wszyscy wprawdzie zaśniemy, ale nie wszyscy będziemy odmienieni“, czytamy w niektórych kodeksach greckich: jak Synajskim z 4 w. Aleksandryjskim 5 w., C czyli palimpseście Efrema z 5 w., w przekładzie ormiańskim, niektórych kodeksach przekładu etjopskiego, i według świadectw św. Hieronima i św. Augustyna miały go niektóre kodeksy łacińskie. Trzecie wreszcie brzmienie: „wszyscy nie zaśniemy, ale wszyscy będziemy odmienieni“, opiera się na przeważającej liczbie kodeksów greckich, jak B czyli Watykański z 4 w. E, K, L, P, wszystkie prawie minuskuły; ma je starożytny przekład syryjski, koptyjski, gotycki, wiele kodeksów etjopskich, miały je także według świadectwa św. Hieronima liczne kodeksy łacińskie. Krytycznie jest zatem ten trzeci tekst co najmniej tak dobrze uzasadniony, jak dwa poprzednie.

Jeżeli jednak zważy się bezpośredni kontekst oraz inne wyrażenia św. Pawła, słusznie przyznają dziś egzegeci coraz powszechniej, iż jedynie to trzecie brzmienie jest autentyczne, pochodzi od Apostoła. I tak w liście do Tessaloniczan wcale nie było mowy o tem, czy wszyscy umrą i zmartwychwstaną, ale o tem jedynie, że żyjący właśnie w chwili przyjścia Chrystusa nie uprzedzą zmarłych, gdyż ci najpierw zmartwychwstaną i wspólnie z żyjącymi podówczas połączą się z Panem. To samo znakomicie potwierdza drugi list do Koryntjan. Ci wiedząc mianowicie z nauki apostołskiej, że według objawienia Bożego, ostatnie pokolenie chrześcijan, których przyjście Chrystusa zastanie żywych, połączy się z Nim bez śmierci, zaczęli oczywiście pragnąć, by sami właśnie mogli być tymi uprzywilejowanymi. Apostoł nie karci ich za to, ani nie prostuje tych pragnień, jakoby go źle zrozumieli. Owszem przyznaje się, że on sam chciałby być obleczone w chwalebne ciało bez poprzedniego zwlekania śmiertelnej zwłoki, bez uprzedniej rozłąki duszy z ciałem. O ile oczywiście przyjście Chrystusa zastanie go jeszcze przy życiu.

*Wiemy bowiem, że jeśli ten ziemski namiot nasz, w którym mieszkamy, rozsypie się, mamy mieszkanie od Boga, dom nie rękoma robiony, wiekuisty w niebie. Gdyż i w niniejszym wzdychamy, pragnąc, abyśmy w nim przyobleczeni byli w mie-*

*szkanie nasze, które jest z nieba; jeżeli jednak obleczeniemi a nie nagimi będziemy znaleźieni. Albowiem i my, będąc w tym namiocie, wzdychamy uciśnieni, bo nie pragniemy, żeby go z nas zwleczono, lecz żeby w nim w nowy nas przyobleczono: iżby to, co jest śmiertelnem, wchłoniętem zostało przez życie (Kor. 5, 1—4).*

O ile przedtem nie umrę, mówi, pragnę przyoblec się w chwalebłą szatę nieśmiertelności, nie przez uprzednią rozłąkę ze śmiertelnem ciałem, ale przez przemianę jego ze ziemskiego na niebiańskie. Czy przywileju tego sam się doczeka, czy osiągną go współcześni mu chrześcijanie, tego nie wiedział i nie twierdził, owszem przestrzegał wiernych, by nie dali uwodzić się bajkom „jakoby nadchodził dzień Pański“ (II Tess. 2, 2), nikt bowiem nie wie, kiedy to będzie (I Tess. 5, 1—2). Ale że przywileju tego dostąpi owo pokolenie sprawiedliwych, które ostatecznie doczeka się przyjścia Pana, podaje jako pewnik znany z Objawienia: „to wam powiadamy w słowie Pańskim“ (I Tess. 4, 15) „oto tajemnicę wam powiadam“ (I Kor. 15, 51).

Jak większe uroczystości i wydarzenia ogłaszano w Izraelu potężnym i radosnym głosem trąb, podobnie Chrystus ogłosi przyjście swe całemu światu tak pewnym i wszystkim widocznym znakiem, że żadnej pod tym względem nie będzie wątpliwości. Na ten znak woli Bożej umarli odrazu powstaną do nowego życia, sprawiedliwi w uwielbionych ciałach, (o potępionych niema w tych tekstach żadnej wzmianki), a żyjący wówczas sprawiedliwi — jakich mogą być miliony — zostaną przyobleczeni w nieśmiertelność bez uprzedniej śmierci. Wszyscy razem z radością przyjmą przychodzącego w triumfie Chrystusa.

Tak rozumieli i głosili naukę Objawienia prawie wszyscy greccy Ojcowie Kościoła oraz niektórzy łacińscy.

Dla przykładu — i aby uniknąć powtarzań się — wystarczy przytoczyć kilku.

Św. Jan Złotousty, jeden z największych znawców nauki Apostoła narodów, tak mówi w *hom. 42*, objaśniając odnośne miejsce z listu do Koryntjan (15, 51).

*„Oto tajemnicę mówię wam“. Zamierza mówić o czemś przejmującym a niewysłowionem, o czem nie wszyscy wiedzą.*

*Przez to okazuje im wielkie uszanowanie, gdyż powierza im tajemnice. Cóż to takiego? Nie wszyscy umrzemy, wszyscy jednak zostaniemy przemienieni, także ci co nie umierają, i ci bowiem są śmiertelni. Skoro więc umierasz, nie bój się, jakgdybyś nie miał zmartwychwstać. Są wprawdzie, są tacy, co i tego unikną, nie wystarcza im to jednak do owego zmartwychwstania, ale i te również ciała, które nie umrą, muszą być przemienione, przejść w nieskazitelność (MG. 61; c. 363).*

Nieinaczej uczy św. Grzegorz Nysseński (*de hom. opif. c. 22*):

*W ostatnim momencie... część rodzaju ludzkiego zmarła obudzi się jakby ze snu, ta zaś, która jeszcze będzie przy życiu, przemieni się nagle w nieśmiertelną, na wzór tych, przemianę osiągną przez zmartwychwstanie. (MG. 44, c. 208).*

Toż samo powtarza św. Epifanusz w 3 ks. 70 rozdz. swego *Panarion* (szkatułce z lekarstwami na wszelkie herezje) (MG. 41 c. 1193).

Trudno pominąć Teodoretę z Cyru, jednego z najtęższych znawców Pisma św. w starożytności, który też streszcza egzygetyczny dorobek Ojców greckich. W komentarzu I listu do Tess. pisze on:

*Albowiem to wam powiadamy w słowie Pańskim. Nie opieramy się bowiem na własnych rozumowaniach, ale z bożego objawienia pochodzi ta nauka. Jakaż to? Iż my, którzy żyjemy, którzyśmy pozostali na przyjście Pańskie, nie uprzedzimy tych, którzy zasnęli. Tak prędko, mówi, i w mgnieniu oka wszyscy umarli powstaną, że nawet wyprzedzą tych, co naówczas będą żyjącymi i wyjdą naprzeciw Chrystusa. Co się tyczy słów: „my którzy żyjemy”, nie odnosił tego (Apostoł) do własnej osoby, ale do owych ludzi, którzy naówczas żyć będą (MG. 82 c. 648).*

A w komentarzu I listu do Koryntjan:

*Wszyscy nie pomrzemy, ale wszyscy będziemy przemienieni. Nie tylko bowiem ci, co pomarli, wstaną uwielbieni, ale i ci też, co żywymi pozostali przyodzieją się nieśmiertelnością. (MG. 82 c. 368).*

Zgodnie z tradycją Ojców greckich, św. Hieronim nie waha się ani na chwilę co do losu sprawiedliwych, jakich

zastanie przychodzący Chrystus. W liście do Marcelli (59), odpowiadając na różne zapytania pisze;

*Po trzecie zapytujesz co do słów Apostoła, że w chwili przyjścia Zbawiciela Pana niektórzy żywi zostaną porwani w obłoki, tak że ich nie uprzedzą ci, co w Chrystusie zasnęli (sic!), i chcesz wiedzieć, czy tak wyjdą na Jego spotkanie, że przedtem nie umrą, skoro przecież i Pan nasz umarł i Henoch i Eljasz według Objawienia Jana mają umrzeć (Ap. 11), aby mianowicie nikogo nie było, kłoby śmierci nie zakosztował.*

*Z treści całego miejsca to można wiedzieć, że święci, jakich przyjdzie Zbawcy zastanie w ciele, spotkają go w tychże samych ciałach, tak jednak, że ciało niewielbione, skazifelne i śmiertelne przemieni się w uwielbione, nieskazifelne i nieśmiertelne, tak iż jakie zmartwychwstaną ciała zmarłych, w takie też przemienią się ciała żyjących. Stąd mówi w innem miejscu Apostoł: Dlatego nie chcemy być zwleczeni ale przyobleczeni, aby to śmiertelne zostało pochłonięte przez życie. (I Kor. 5), aby mianowicie dusza nie opuszczała ciała, lecz by w czasie pozostawania duszy w ciele, przemieniło się w uwielbione, co przedtem było bez chwały. Co do Henocha zaś i Eljasza, o których Apokalipsa mówi, że mają przyjść i umrzeć, nie teraz pora rozprawiać, zresztą całą ową księgę należy jak sądzimy, rozumieć duchowo, a nie dawać wiary żydowskiem bajkom... (ML. 22 c. 587).*

Św. Augustyn w liście 193 (do Mercatora) oraz w odpowiedzi na zapytania Dulcituisa skłania się ku temu:

*Rzeczywiście, co się tyczy słów św. Apostoła, zdaje się on twierdzić, że z przyjściem Pana na końcu wieków, kiedy ma nastąpić zmartwychwstanie, niektórzy nie umrą, lecz żywi zostaną nagle przemienieni w nieśmiertelnych jak i inni święci, i razem z nimi zostaną porwani, jak mówi, w obłoki. Ilekroć o tych słowach myślałem, nic innego nie sądziłem.*

Jest to tem znamiennejszem, że św. Augustyn z powodu odmiennych tekstów w niektórych łacińskich kodeksach, jak również ponieważ Pelagjanie mogli tej nauki nadużyć do robienia trudności co do powszechności grzechu pierworodnego, nieco się wahał. „Chciałbym co do tych słów posłuchać uczeńszych“, mawiał z właściwą sobie skromnością.

Toteż gdzieindziej np. *de Civ. Dei* ks. 20 r. 20 i *Refract.* ks. 2 r. 33 wyznaje:

*Albo więc wcale nie umrą, alho też przechodząc z tego życia do śmierci, a ze śmierci do życia wiecznego przez bardzo szybką przemianę, jakby w mgnieniu oka, śmierci czuć nie będą.*

Hipoteza ta, postawiona przez t. zw. Ambrosiastra, nieznanego bliżej komentatora listów św. Pawła z czasów św. Ambrożego, któremu też komentarze owe przypisywano, zdawała się wszystko godzić, choć jest dość bezpodstawna.

Jednak powaga św. Augustyna, skąpa znajomość bogatej tradycji Wschodu, nieuwzględnianie w egzegezie tekstów oryginalnych, oraz inne okoliczności sprawiły, że przez długie wieki ten szczegół nauki pozostawał w opinii teologów tylko prawdopodobnym. Niektórzy, jak Catharinus i Soto, wprost jej przeczyli, mieniając ją lekkomyślną, na co słusznie zauważa Suarez (*Myst. vitae Chr.* disp. 50 sect. 2 n. 8): lekkomyślnie tylko można nazwać lekkomyślnem, czego tak wielcy Ojcowie uczyli i co w Piśmie św. ma „napozór” podstawę. Sam idzie za zdaniem św. Tomasza, który z właściwą sobie oględnością powiada: „Co do tej kwestji różnie mówią święci. Bezpieczniejszym jednak i powszechniejszem jest mniemanie, że wszyscy umrą i zmartwychwstaną” (*Suppl.* qu. 78, a. 1). Uzasadnia zaś to czterema uwagami mającemi jedynie wykazać, że jest to bardziej zgodne ze sprawiedliwością Bożą, karzącą śmiercią wszystkich, co stali się jej winnymi przez grzech pierworodny, z powszechnością zmartwychwstania, które wymaga, by najpierw wszyscy umarli, wreszcie z porządkiem przyrody, w której odnowienie następuje dopiero po zepsuciu, i w której wówczas żadne życie nie będzie możliwe wobec ustania ruchu słońca.

Ciągle zresztą czytano w tekście łacińskim *omnes dormiemus*, albo *omnes resurgemus*, które to wyrażenia, choć już przez rozbieżność swą podejrzane i wykazujące ślady poprawek teologicznych, przypuszczały śmierć powszechną bez wyjątku. Nie wiedząc zaś jak je pogodzić z kontekstem, który wciąż przeciwstawia zmartwychwstających tym, co jeszcze zostaną żywymi, uciekano się do hipotezy śmierci właściwie pozornej, bo momentalnej i nie dającej się nawet odczuć.

Trudność w zrozumieniu myśli Apostoła pochodziła i stąd, że nie zawsze zdawano sobie jasno sprawę, iż nie mówi on tu o zmartwychwstaniu dobrych i złych, którzy to, choć zmartwychwstaną, nie będą wszakże przemienieni, ale mówi jedynie o sprawiedliwych, którzy oczywiście wszyscy zostaną przemienieni, ale jedni przez chwalebne zmartwychwstanie do nowego życia, drudzy zaś, których Chrystus zastanie żyjących, przez bezpośrednie przejście ze życia doczesnego do chwały wiecznej.

Samo wyrażenie w symbolu wiary, że Chrystus ma sądzić żywych i umarłych, zaczerpnięte z nauki apostołskiej, jak o tem świadczy też list św. Pawła do Tymoteusza (II Tym. 4, 1), oraz list św. Piotra (I Piotr 4, 5), nabiera w świetle tej nauki pełnego znaczenia. Słowa te bowiem nie znaczą tylko, że będzie On sądził dobrych i złych, czyli duchowo żywych i umarłych, tem mniej nie znaczą one, że ma sądzić żywych, t. j. tych co obecnie w chwili odmawiania symbolu jeszcze żyją, i umarłych, t. j. tych, co w danej chwili już leżą w grobach. Prócz nich będzie przecież sądził i takich, co w chwili tego odmawiania symbolu wiary, ani nie pomarli ani jeszcze nie żyją, gdyż należą dopiero do dalekiej przyszłości. Tem mniej nie należy uciekać się do takich dowolnych i sztucznych tłumaczeń, jakoby przez żywych należało rozumieć dusze, a przez zmarłych ciała. Przyjdzie zatem literalnie sądzić żywych, których zastanie przy przyjściu swem, oraz umarłych poprzednio, którzy oczywiście wszyscy zmartwychwstaną wówczas.

Ten radosny szczegół Objawienia, wnoszący jakiś nieoczekiwany wyjątek w powszechne prawo śmierci, w rzeczywistości harmonizuje lepiej z całokształtem planu zbawienia, aniżeli bezwzględne przeprowadzenie owego prawa. Z woli Bożej Chrystus umożliwił ludzkości osiągnięcie życia wiecznego, wybawiając ją z niewoli grzechu, szatana i śmierci. Śmierć bowiem jest obecnie dla sprawiedliwego tylko początkiem niewymownie lepszego życia, nadto opromienia ją nadzieja zmartwychwstania. Gdy jednak powtórne przyjście Jego sprawi, że całe zastępy sprawiedliwych przejdą do żywota wiecznego, nie zakosztowawszy nawet śmierci, będzie

to właśnie szczególny triumf Zbawiciela. Na nich to okaże się potęga zbawienia bożego w całej pełni.

Jak Najśw. Panna, pochodząc od Adama, miała być, jak całe jego potomstwo, poczętą w grzechu pierworodnym, ale dla zasług przewidzianych Syna swego była od niego całkowicie wolną, niepokalaną poczętą, w czem właśnie nadzwyczajnie zajaśniała wielkość Zbawiciela, podobnie owe ostatnie zastępy członków mistycznego ciała Chrystusowego, śmiertelne, jak i wszyscy inni, unikną całkowicie śmierci dla przeobfitych zasług Zwycięzcy śmierci, by tą amnestją i przywilejem uświetnić Jego przyjście, oraz ostateczną uroczystość inauguracji najpiękniejszego, wiekuistego okresu Królestwa Bożego.

*Ks. Bronisław Bojułka T. J.*



## Djabeł wenecki

---

Od wieków całych słyszy się w Polsce to przezwisko, ale mało kto zdaje sobie sprawę, że żył i działał swego czasu człowiek, którego „djabłem“ przewzano i że istnieje do dziś dnia miejscowość Wenecją zwana. W samej Wielkopolsce jest takich co najmniej 5 miejscowości i w Poznaniu i pod Kobylinem i pod Ostrowem i pod Żninem, które dziwnym jakby trafem wiążą się z dziejami świetnego rodu Nałęczów. Ale podanie o djabie przylgnęło specjalnie do Wenecji z pod Żnina, nad rzeką Gąsawką i 3 jeziorami położonej, gdzie jeszcze dzisiaj sterczą ruiny starodawnego rycerskiego zamczyska.

Legenda głosi, że zamek ten miał kipieć niegdyś życiem i zbrojnym ludem. Panował w nim jednak pan i rycerz, który wiele złego ludziom czynił, a przedewszystkiem okrutny i srogi był dla własnych poddanych. Za drobne nawet wykroczenia wrzucał ich do lochów zamkowych, gdzie ginęli okropną śmiercią głodową. Wreszcie sam Pan Bóg położył kres jego zbrodniom: zesłał straszną burzę i piorunami zniszczył cały zamek, zabił rycerza i jego ludzi i zamienił wszystko w kupę gruzów.

Od tego czasu — jak mówi dalej legenda — dusza okrutnego właściciela Wenecji, zamieniona w djabła, nie zaznała spoczynku, lecz błądzi po świecie, ukrywając się w ruinach zamkowych, chodząc po podziemnych korytarzach i lochach i pilnując ukrytych tam skarbów, do których broni przystępu. O skarbach tych wie lud okoliczny, ale boi się wejść do lochów i spotkać się z Djabłem weneckim. Raz wprawdzie chłopacy wiejscy wrzucili z pustoty czapkę do lochów

i zdumieni byli, gdy wyrzuciło im ją zpowrotem złotem napełnioną. Ale gdy spróbowali po raz drugi, czapka już nie wróciła. Djabieł bowiem jest złośliwy i zbytnią uprzejmością się nie odznacza.

Tyle mówią legendy wielkopolskie, ale co mówi historia?

Oto ze starych kronik, kodeksów i ksiąg sądowych dowiadujemy się, że Wenecja nad Gąsawką należała w XIV już wieku do Nałęczów, rodu rycerskiego, szeroko rozgałęzionego w Wielkopolsce i dobijającego się oddawna coraz wyższych godności i urzędów. Już w XII wieku wyróżnili się hojnym uposażeniem klasztorów w Mogilnie i Trzemesznie, w XIII wieku prowadzili już razem z Zarebami własną politykę przeciwną Przemysławowi II i Łokietkowi, w XIV wieku zaś popierali Kazimierza Wielkiego.

Potężnym rycerzem z Nałęczów rodu był wówczas Chwał Biały, dziedzic rozległych włości nad Gąsawką, który umierając około 1350 zostawił troje dzieci, Mikołaja właściwego spadkobiercę, Jana kanonika gnieźnieńskiego i Małgorzatę, późniejszą panią Dobrską.

Kanonik Jan Chwałowicz zrezygnował zdaje się z dóbr rodzinnych z powodu, że miał jako dygnitarz kapituły gnieźnieńskiej dobra i dochody kościelne do dyspozycji, m. in. Szczepankowo, poza tem zaś sprawował w 1378 r. funkcje sekwestratora majątków, należących do prepozytury gnieźnieńskiej, o którą właśnie toczył się zaciekły spór między arcybiskupem Janem Suchywilkem, Grzymalitą, a butnym Mikołajem Strosbergiem. Spór, zrazu prawniczy, wyrodził się pewnej chwili w wyprawę łupieską, którą podjęli krewniacy arcybiskupa, Przesław i Grzymała, na dobra kapitulne, zwłaszcza tych kanoników, którzy mieli to nieszczęście oświadczyć się po stronie Strosberga. Ofiarą stały się wówczas i dobra Jana Chwałowicza, który zmartwiony tem zajęciem rozchorował się i umarł, ale zemstę na Grzymalitach w miejsce jego postanowił wykonać brat rodzony, ów Mikołaj Chwałowicz.

Do tego to Mikołaja przylgnęło przezwisko Djabła weneckiego i to nawet w urzędowych zapiskach sądowych poznańskich, pisanych przy końcu XIV wieku. Sam Mikołaj pisał się z Chomiąży, gdzie było jego rodzinne i ojcowskie

gniazdo, aż do czasu, kiedy sobie w Wenecji zamek zbudował. Był to magnat na kilkunastu wsiach, rozłożonych w dzisiejszych powiatach żnińskim, mogilneńskim, gnieźnieńskim, wągrowieckim, wrzesińskim, a odziedziczywszy je po śmierci ojca Chwała, robi już w 1357 r. swą pierwszą pobożną fundację, mianowicie buduje i wyposaża kościół parafjalny w Chomiąży. W r. 1365 zostaje kasztelanem nakielskim i piastuje ten urząd co najmniej lat 12. Są ślady, że z polecenia króla Kazimierza zajmował się gorliwie rozbudową i ufortyfikowaniem zamku nakielskiego, towarzyszył królowi stale przy objeździe prowincji i był zawsze lojalny wobec starostów generalnych wielkopolskich.

Stosunki się zmieniły dopiero, gdy starostą został Otto z Pilczy, zaufany królowej Elżbiety, w 1371 r. Niestety chciało, że Otto był Małopolaninem i przyszedł ze szczeremi zamiarami opanowania wkradającej się do Wielkopolski anarchji. To wystarczyło, by Wielkopolanie stanęli odrazu w opozycji do nowego starosty i zastosowali wobec niego system biernego oporu i ignorancji. Uległ temu nastrojowi i Mikołaj z Chomiąży, kasztelan nakielski, a regentka nie miała innego wyboru, jak już w r. 1372 odwołać Ottona z tego stanowiska, a starostą generalnym zamianować Wielkopolanina, Sędziwoja z Szubina z rodu Pałuków, bliskiego sąsiada Mikołajowego.

Sędziwój był starostą energicznym i uśmierzył wnet rozruchy, spowodowane przez Władysława Białego, księcia gnieńskowskiego. W zbrojnych wyprawach na niego brał udział w 1375 i 76 r. także i Mikołaj z Chomiąży, ale gdy Sędziwój przeszedł w 1377 r. na starostwo krakowskie, a starostwo wielkopolskie objął Domarat z Pierzchna, stosunek Mikołaja do niego zmienił się znowu. Dotychczasowy kasztelan nakielski zrezygnował ze swej godności i usunął się w zacisze domowe, powodem zaś było zapewne to, że Domarat był Grzymaliłą, krewnym arcybiskupa Jana Suchywilka, a zatem należał do rodu i partji przez Nałęczów wogóle, a przez Mikołaja w szczególności nielubianych.

Panu na Chomiąży nie danem było jednak długo zażywać spoczynku. Nie zapomniano o nim na zjeździe prałatów i baronów polskich w Budapeszcie u boku króla

Ludwika w 1381 r. i przy nowem rozdawnictwie urzędów obdarzono go stanowiskiem sędziego ziemskiego kaliskiego. Z chwilą tej nominacji zaczęła się w życiu późniejszego Djabła weneckiego nowa epoka. Stanowisko sędziego generalnego danego województwa dawało duże znaczenie i władzę może większą nawet od kasztelańskiej, a w każdym razie wyższe dochody.

Zjazd budapeszteński nie zmienił jednak osoby na stanowisku sędziego generalnego Wielkopolski i pozostawił nim nadal Domarata z Pierzchna, który forytował ciągle swych krewniaków Grzymalitów, ku wielkiej niechęci Nałęczów i całego przeciwnego obozu. Pewną równowagę między stronnictwami utrzymywali jeszcze czas jakiś dygnitarze kościelni, gdyż o ile Grzymalicy mieli swego Janusza Suchywilka na arcybiskupstwie gnieźnieńskim, o tyle Nałęcz mieli Mikołaja na biskupstwie poznańskim.

Jednakże w r. 1381 po śmierci Suchywilka nie tylko ku oburzeniu wszystkich zagarnęli Grzymalicy skarbiec i grody arcybiskupie, ale też gdy na kapitule preforsowali Nałęcz wybór swego krewniaka Dobrogosta z Nowego Dworu na arcybiskupa, Grzymalicy postanowili za wszelką cenę do zatwierdzenia go nie dopuścić. Głowa rodu Grzymalitów, starosta Domarat, potrafił na dworze królewskim przeprowadzić tyle, że wybór Dobrogosta został zignorowany, co więcej, jego poselstwo do Rzymu idące zostało zaaresztowane, natomiast arcybiskupem gnieźnieńskim z nominacji dworu został Małopolanin Bodzanta.

Takie załatwienie sprawy było nową obrazą dla Nałęczów, która ich nie tylko z Grzymalitą Domaratem, ale i z dworem królewskim poróżniła. Do tego doszła sprawa druga. W 1382 r. zmarł bowiem król Ludwik węgierski, a w kwestji następstwa tronu obie partje wielkopolskie zajęły różne stanowiska. Oto Domarat z Grzymalitami stanęli po stronie królowej Marji i jej męża Zygmunta brandenburskiego, natomiast Nałęcz stawiali za warunek, by królowna mieszkała w Polsce i zrezygnowała z korony węgierskiej. Na zjeździe w Pyzdrach, w którym wziął udział i nasz Mikołaj z Chomiąży, posunęli się Nałęcz jeszcze dalej gło-

sząc, że nie uznają odtąd władzy starosty Domarata i zakazują mu posłuszeństwa, oraz składania opłat.

Konfederację tę podpisał razem z Mikołajem także i Sędziwój Świdwa, kasztelan nakielski i Jan z Czarnkowa, sędzia poznański i rozmaici inni członkowie liczego rodu Nałęczów, a także i Sędziwój z Szubina, wojewoda kaliski, jako reprezentant Pałuków. Zgromadzeni urządzili odrazu zbrojną wyprawę na grody obsadzone przez starostę Domarata, tak bardzo znienawidzonego. Zamek w Pyzdrach wzięto po trzech dniach oblężenia, potem wyprawiono się na Poznań, ale w bitwie pod Szamotułami Grzymalicy wzięli górę i rozbili skonfederowane rycerstwo 15. II. 1383 r.

Następstwem tej bitwy było, że Nałęczowie zamknęli się w Ostrorogu, a Grzymalicy pustoszyli im tymczasem posiadłości. Mikołaj z Chomiąży, sędzia kaliski, był jednym z pierwszych, na którego spadły te klęski. Na wyprawę przeciwko niemu zebrał się mściwi Grzymalicy w zamku nakielskim, świeżo na Nałęczach zdobytym, w osobach Grzymały z Oleśnicy, kasztelana kostrzyńskiego, Andrzeja z Wszeradowa, kasztelana kamieńskiego, Wierzbity z Smogulca, Teodoryka z Margonina i wielu innych i 10 marca rzucili się na dobra sędziego w okolicy Żnina leżące. Zniszczyli wówczas kompletnie wieś, jak Chomiąża, Grzmiąca, Nowa Wieś, Obudno, Mokre i Dąbrowo. Chłopom zabrano wozy, konie i bydło, a całe zrabowane po folwarkach mienie załadowano na wozy i przewieziono do Nakła jako zdobycz i łup wojenny. Taka była zemsta Grzymalitów za udział sędziego kaliskiego w konfederacji pyzdrskiej.

Jest rzeczą jasną, że najspokojniejszy nawet rycerz owych czasów nie darowałby takiego spustoszenia dóbr swoich i nie zaniechałby myśli o zemście i odwecie. Gdy wnet potem Grzymalicy obsadzili Żnin arcybiskupi i zajęli byli oblężaniem Arnolda z Wałdowa w Łoszowie, namówił sędzia Mikołaj swoich Nałęczów, by niespodziewanie uderzyć na dobra arcybiskupie pod Żninem, potem na Nakło w tym celu, by zrabowane sobie mienie odebrać. Nie koniec na tem. Gdy nowy starosta generalny, Peregryn z Węgleszyna, zjechał do Wielkopolski, by kres anarchii położyć, połączyli się z nim czem prędzej Nałęczowie i zebrawszy rozmaitych

stronników uderzyli na Żnin po raz drugi. Miasto było jednak ufortyfikowane, o oblężeniu nie można było myśleć, a wobec tego spalono tylko przedmieścia i zrabowano okolicę, zarówno wsie arcybiskupie koło Żnina, jak i folwarki kapitulne. W ten sposób zemścili się Nałęcz na arcyb. Bodzancie, że oddał Żnin w ręce Grzymalitów, a sędzia Mikołaj za spalenie dóbr swoich. Prawdopodobnie wówczas po raz pierwszy przezwano go „krwawym Djabłem“.

Kronika Janka z Czarnkowa nie opowiada już nam dalszych szczegółów tej wojny domowej. Ale w roczniku szamotulskim znajdujemy wiadomość, że Mikołaj z Chomiąży rzucił się jeszcze raz później na dobra arcybiskupie i że w odwecie arcybiskup Bodzanta posiadłości sędziego też najechał. Były to bowiem czasy ogólnej anarchji w kraju, gdzie lada drobnostka rozpałała żagiew wojny, była przyczyną najazdów, rabunków i pożog. Najazdy „krwawego Djabła“ były może tylko odwetem za poprzednie zniszczenie jego włości i nie były wyjątkiem w dziejach ówczesnego rycerstwa wielkopolskiego. W szeregach tegoż byli osobnicy i bardziej krwawi i więcej gwałtowni, a kroniki ówczesne umieją opowiadać o wielu faktach i rozbojach innych na daleko większą skalę. Ponieważ jednak gwałtów tych dopuszczało się rycerstwo wzajemnie na sobie, poszły wszystkie w niepamięć. Że jednak gwałty Mikołaja z Chomiąży dotyczyły dóbr i ludzi kościelnych, przeto oceniane były daleko surowiej i dlatego zjednały mu smutną nazwę „krwawego Djabła“.

Niektóre z rabunków i najazdów naszego Djabła miały swoje epilogi po ukończeniu wojny domowej w sądzie tak poznańskim jak i pyzdrskim, przyczem Djabel jest raz stroną oskarżoną, raz skarżącą. M. in. wytoczył on proces o grabieżę i zażądał odszkodowania w sumie 83 grzywn groszy od Sędziwoja z Ostroroga i uzyskał w 1396 roku uchwałę, przysadzającą mu pieniądze te albo wieś Chwalibogowo. W podobny sposób powiększał obrotny Mikołaj swoją fortunę, tem bardziej, że jako sędzia kaliski umiał procesy prowadzić i przeciwników gnębić.

Przezvisko „krwawego Djabła“, jakim go darzą nieraz zapiski sądowe, nie zaszkodziło mu w życiu i opinii zu-

pełnie. Królowa Jadwiga, a potem Władysław Jagiełło nie tylko zostawili go na urzędzie sędziego ziemskiego województwa kaliskiego, ale sami asystowali nieraz rokom sądowym, jakie tenże odprawiał. Mikołaj cieszy się też powszechnem poważaniem i ma w tym czasie, po ukończeniu wojny domowej, żywe stosunki z klasztorem OO. Augustjanów w Trzemesznie. Stosunki te doprowadziły też w 1390 roku do drugiej pobożnej fundacji krwawego Djabła, mianowicie do zbudowania przy wymienionym klasztorze własnej kaplicy grobowej dla siebie, żony i dzieci, oraz ufundowania uroczystej mszy żałobnej za rodzinę fundatora, co tydzień odprawiać się mającej.

Z aktów w tej sprawie spisanych można wywnioskować, że dobra sędziego, wojną lat poprzednich zniszczone, zostały już odrestaurowane i zagospodarowane. Z wojny tej wyniósł sędzia jedno doświadczenie, że jedynie silne mury zamkowe mogą skutecznie oprzeć się atakom rycerstwa i że dotychczasowe wały i palisady jego dworców są zbyt słabym oporem. To zdaje się było przyczyną, że rzucił dotychczasową, a wojnami zrujnowaną rezydencję w Chomiąży i około 1390 roku wybudował sobie w Wenecji między jeziorami silny zamek z cegły i granitu w kształcie czworoboku, który murami swemi opasywał środkowe zabudowania, wieżycą może zakończone. Od r. 1390 pisze się też Mikołajem z Wenecji, a zatem tu rezyduje i na zamku swoim mieszka.

Rezydencja nie byłaby pełna, gdyby przy niej nie było kościoła. Toteż wnet po ukończeniu budowy zamku, zaczyna Djabel wenecki stawiać kościół i w połowie 1392 r. spisuje akt fundacyjny tegoż, a to w obecności licznych sąsiadów i gości, na uroczystość tę przybyłych do Wenecji. Zjechali się wówczas na zamek krwawego Djabła i Mikołaj Strzeszkowic, skarbnik katedry gnieźnieńskiej, i Wojciech pleban żniński, i Wojciech kasztelan kamieński, Dobiesław z Godaw, Bandzimir z Jabłkowa, Dobrogost z Marcinkowa i innych wielu. Kościół wenecki stanął pod wezwaniem N. P. Marji, a do obowiązków nowego plebana należało m. in. odprawianie dwóch uroczystych mszy św. co tydzień: jednej w sobotę ku czci N. Panny Marji, drugiej we wto-

rek za dusze zmarłych. Była to zatem typowa i jedna z licznych naówczas fundacyj rycerstwa polskiego.

Fundację nowej parafii w Wenecji zatwierdził następnie w 1395 roku nowy arcybiskup gnieźnieński Dobrogost z Nowego Dworu. Z nim, jako z członkiem rodu Nałęczów, nawiązał odrazu Djabeł wenecki przyjazne stosunki i odwiedzał go w jego letniej rezydencji Żninie. Nominacja Dobrogosta w 1394 r., dotychczas biskupa poznańskiego, musiała też być dla Nałęczów wogóle, a dla Weneckiego w szczególności dużą satysfakcją i rekompensatą za niszczącą wojnę domową.

Dalsze lata sędziego kaliskiego wypełnione są procesami i spełnianiem obowiązków zawodowych i gospodarskich. Liczne jego procesy przedstawiają go nam jako prawdziwego pieniacza, ale i typowego szlachcica, który nie daruje żadnej swojej pretensji. Procesuje się o Kiekrz, o bydło robocze, o sołectwo w Kiszkanie, o granice etc., a więc o zwrot majątków, które jakoby nieprawnie przeszły w cudze ręce. Czasem je przegrywa, jak spór z Santociechem o Kiekrz i Starzynę albo spór z Dorotą z Gośliny. Częściej jednak wygrywa i zaokrągla tem swoje namiętności. Jest też gospodarzem dobrym, ale na wsiach swoich nie wprowadza nowości i trzyma się ściśle prawa polskiego a nienawidzi niemieckiego. Jest to naturalne, gdyż sam był sędzią ziemskim i tem tłumaczy się fakt, że ani jednej włości swojej nie lokował na prawie niemieckiem, jak to było wówczas w tak powszechnym zwyczaju. To tłumaczy nam także, dlaczego tak nieprzyjaźnie odnosił się do sołtysów, tych reprezentantów prawa niemieckiego i gdzie mógł trapił ich procesami.

Swoje obowiązki sędziego ziemskiego województwa kaliskiego sprawował Djabeł wenecki zawsze pilnie i z godnością. Widzimy go też na rokach sądowych w Pyzdrach, Kaliszu i Gnieźnie, wymierzającego sprawiedliwość i rozstrzygającego liczne spory między rycerstwem, przeważnie w sprawach majątkowych. Asystują mu przy sądach podsędkowie, czasem dygnitarze, jak kasztelanowie i wojewodowie, a niekiedy nawet sam monarcha, co zapiski sądowe notują skrupulatnie. Czytamy w nich, że wymierzaniu sprawiedliwości



przez Mikosza z Wenecji przysłuchiwała się w Gnieźnie królowa Jadwiga w 1397 i 1398 r. Na takich rokach był też kilkakrotnie obecny i król Jagiełło, a to 1392 w Pyzdrach, 1398 w Gnieźnie, 1399 w Gembicach i 1400 w Kościanie.

Na rok przed śmiercią nie mógł sobie odmówić Djabeł wenecki tej przyjemności i po fundacjach pobożnych w Chomiąży, Trzemesznie i Wenecji, uczynił w 1399 roku czwartą zrzędu fundację w Łądzie. Widocznie z Cystersami tamtejszymi był oddawna w dobrych stosunkach, skoro zapisał im wieś Makownicę koło Gniezna na własność. Wieś ta miała przejść w posiadanie klasztoru dopiero po śmierci Mikosza, a wdzięczni Cystersi obiecali co tydzień odprawiać dwie msze za jego duszę i cztery razy do roku śpiewać wigilje na jego intencję po wieczne czasy. Klasztor jednak nie chciał długo czekać. Postarał się na wszelki wypadek o zatwierdzenie królewskie, potem poprosił swego dobroczyńcę o dokładne określenie granic tego majątku, ażeby sporów na przyszłość uniknąć, a wreszcie po paru miesiącach perswazyj i tłumaczeń doprowadził do tego, że krwawy Djabeł oddał mu jeszcze za życia majątek ten w posiadanie.

Była to ostateczna i największa fundacja pobożna Djabła weneckiego. Wnet potem w 1400 roku umarł zostawiając wdowę Dorotę z Górzewa z pasierbem Januszem i córkę z pierwszego małżeństwa, wydaną za Mikołaja z Warzymowa herbu Pomian. Wdowa z synem wrócili do swojego Górzewa, panem zaś Wenecji i dóbr rozległych sędziego został zięć Warzymowski.

Pamięć o sędzim Mikoszu nie zaginęła jednak tak prędko. Zbyt wielki miał majątek i zbyt wiele się procesował, by jego sprawy lub sprawy przez niego zapoczątkowane nie zajmowały jeszcze długie lata opinii publicznej i aktów sądowych. Mimo więc, że go te akta nazywają krwawcem z Rokitnicy, krwawym sędzią lub krwawym Djabłem jeszcze po rok 1427, przecież nieraz odwołują się do jego powagi i autorytetu i świadczą, że to przezwisko nie miało tak bardzo ujemnego znaczenia, jak się nam dzisiaj wydaje.

Znane są dalsze losy Wenecji i jej zamku. Warzymowski, spadkobierca i nowy dziedzic, nadał w 1411 r. mieszkań-

com prawo niemieckie, ale później w 1420, może po śmierci żony, sprzedał ten majątek arcybiskupowi Mikołajowi Trąbie i przeniósł się na Kujawy, gdzie został kasztelanem brzeskim. Od tego czasu należała Wenecja do żnińskiego klucza dóbr arcybiskupich, a zamek był jedną z pięciu twierdz kościelnych. Kapituła gnieźnieńska nakładała nawet na nowych elektów obowiązek naprawy murów i żądała przysięgi, że zamku do rąk świeckich nie oddadzą. Poza tem wieże i lochy zamkowe służyły w XV wieku za więzienie dla duchowieństwa oskarżonego o zbrodnie lub herezję. Można sobie wyobrazić, że nie próżnowały wówczas i tortury średniowieczne i na tem tle dopiero zrozumiałą będzie legenda o pokutujących duszach i okrucieństwach, jakie się działy w podziemiach zamkowych.

Ale wnet przyszedł upadek. Arcybiskup Jakób Siemieński odnowił wprawdzie w 1475 r. przywileje sołeckie w Wenecji, ale począł też burzyć potężne mury zamkowe i używać materiału do budowy nowego dworu w Żninie. Śmierć przerwała mu to dzieło zniszczenia, ale ruiny rozbierano dalej powoli i dziś tylko drobne ich fragmenty pozostały na miejscu. Dłużej niż zamek przetrwały fundacje pobożne Djabła weneckiego, kaplica przy kościele w Trzemesznie, kościoły w Chomiaży i Wenecji, gdzie przy ołtarzu św. Mikołaja jęczące w XVI wieku odprawiał altarysta co tydzień mszę żałobną za duszę sędziego kaliskiego.

Postacią Djabła weneckiego zajmowało się już kilku historyków naszych od Długosza i Szajnochy do Przyborskiego i Calliera, mieszając go jednak z osobą Jana z Czarnkowa, sędziego poznańskiego i nie uwzględniając czyto kodeksów czy licznych zapisków sądowych. Nic dziwnego, że do tej pory jeszcze legenda przysłaśniała prawdę i z postaci historycznej kasztelana kaliskiego utworzyła niespodziewanie i nawet niesprawiedliwie upiora, który w podziemiach weneckich ruin straszy zabobonnych ludzi.

*Dr. Marjan Gumowski.*

## Ruch katolicko-narodowy w Słowacji.

---

Jest niezaprzeczonym faktem w dziejach narodowych Słowacji, że w latach rozbudzonej świadomości narodowej, w czasach Sztura, wiosny ludów, ugód i wyrównań politycznych między Budapesztem i Wiedniem, katolicy i ewangelicy Słowacy szli ręką w rękę i ramię przy ramieniu przeciw prądowi madziarskiemu i madziarofilskiemu. Wspaniałym wzorem takiej narodowej współpracy była równoczesna działalność w Maticy Slovenskej jej prezesa — biskupa Moysesesa i jej wiceprezesa superintendenta Kuzmaniego.

Faktem drugim niezachwianym jest, że w okresie wzmożonego madziaryzowania w dziesiątkach lat przed wojną światową madziaryzm wdzierał się do świątyń katolickich i do dusz kapłańskich coraz szerzej i coraz głębiej, gdy ewangelików do unji z katolikami madziarskimi daremnie rząd peszteński i ciągnął i wpędzał. Ewangelicy Słowacy w większym procencie trzymali się pnia narodowego, niż ich rodacy wyznania drugiego. Tem się tłumaczy też opadnięcie katolicyzmu w Słowacji. Ksiądz Hlinka jest świetnym wyjątkiem w obozie katolickim i przeciwstawiano go zawsze madziarskim i zmadziaryzowanym biskupom i wyższemu duchowieństwu wogóle, które było politycznie zaangażowane u tych, co gnietli i ciemnili lud słowacki.

Przyszła wojna, przewaliła się, zaświtała wolność, rozkramarzyła się liberalność i indyferentyzm wyznaniowy. Dopiero rok 1921 przynosi poprawę. Dnia 13 lutego 1921 opustoszałe po madziarach i renegatach stolice biskupie zajęli synowie biednych matek słowackich: w diecezji spiskiej infułę dostał Jan Vojtašák, syn ubogiej Orawianki z Zakamienego Klina; do Bańskiej Bystrzycy przyszedł z Liptow-

skiego Hradku Marjan Blaha, wychowawca młodych Zamojskich; arcypasterskie zaś berło w Nitrze otrzymał Dr. Karol Kmetko. Te trzy równoczesne konsekracje były szczęśliwym dla narodu słowackiego czynem Stolicy Apostolskiej.

Materjalnie słabi, bo ciągle jeszcze majątki kościelne czekają na ostateczne i zupełne wyzwolenie z opieki i zarządu świeckiego, państwowego, duchowo stanęli wnet silnie. Walory ich podniosły się, gdy Rzym przyzwolił ich prośbom na ogłoszenie Królową ziemi słowackiej Najśw. Panny Siedmiobolesnej. Dzień Patronki niebieskiej święci katolicka Słowacja tak uroczyście jak Polska dzień Królowej Korony Polskiej.

Biskupi biorą wybitny udział w organizacjach narodowych, kulturalnych jak Macierz Słowacka (biskup Blaha jest wiceprezesem) i Spolok sv. Vojtecha. Pierwsza jest międzywyznaniową organizacją i ogólnonarodową o charakterze państwowym jako instytucja zastępująca Akademię naukową. Drugie towarzystwo jest ściśle wyznaniowe i ono gra teraz coraz głośniejszą rolę na pierwszych skrzypcach przy odradzaniu się ducha katolickiego w Słowacji.

Słowacka inteligencja pomyślała dość wczesnie o kulturalnych przedsięwzięciach, skoro tylko patentem tolerancyjnym Józefa II możność takiej pracy dla narodu i u nich się otworzyła. W Preszporku czyli Bratisławie ukazały się „Preszporskie Noviny“, a w Trnawie, tym słowackim Rzymie, zorganizowane zostało 19 lutego 1793 „Slovenske Ucene Towarzystvo“. Gdy przedsięwzięcie publicystyczne miało na celu szerzenie wiadomości wszelakich sposobem dziennikarskim, Towarzystwo myślało już o czemś wyższem i trudniejszym: rozwinąć i podnieść mowę ludu słowackiego do wyżyny języka literackiego, jak to już Bernolak zamyślił i zamierzył. Uczzone Towarzystwa słowackie jednak pomarły śmiercią gwałtowną z ran, jakie im zadawały ciosy madyaryzmu i szowinizmu madyarskiego. Idea zabić się przecie nie da. Ożyje w nowej formie i nowej szacie.

Towarzystwo początkowo skupiło tylko 350 członków, a wzięło sobie za zadanie wydawać książki i rozdawać je członkom corocznie w coraz większej objętości i liczbie

i tym sposobem kształcić język literacki, a siebie oświecać. Członkami towarzystwa byli z początku duchowni i urzędnicy miejscy i gminni, a zatem średnia inteligencja. Pierwszą książką, wydaną przez Towarzystwo, była „Compediata Historia Gentis Slavae“ Fandligo. Było to właściwie powiększone wydanie dzieła Jura Papanka, z którego uczyli się klerycy bratislawscy i budzińscy dziejów ojczystych i z którego czerpali soki ducha narodowego. Wśród późniejszych wydawnictw. Towarzystwa najważniejszym był Bernolaków Słownik.

Mecenasami Towarzystwa byli bańsko-bystrzycki wikariusz generalny Matejowicz, ostrzyhomski kanonik Juraj Palkowicz, dwaj mężowie naonczas bardzo wpływowi i poważani przez swoich i obcych. Organizacja oparta była o ogniska, zwane sekretarjatami, w postronnych miastach np. Nitrze, Bańskiej Bystrzycy, Równem, Jagrze, Roźniawie, Solnohradzie pod Preszowem. Skoro powstała madjarska akademja naukowa, terror szowinizmu madjarskiego zabił Towarzystwo.

Towarzystwo drukowało swe wydawnictwa u miejskiego drukarza Wacława Jelinka w starym domu Asztalosa. Historia tego domu ciekawa. W 1603 Asztalos otrzymał od miasta pozwolenie na urządzenie izby modlitewnej dla madjarskiego kaznodziei kalwińskiego, Szenci Molnara Alberta. W tymczasowym domu odbywały się posiedzenia Uczonego Towarzystwa i tenże dom ostatecznie dostał się drogą kupna w ręce Spolku sv. Vojtecha, który powstał w 1870 w Trnawie.

Póki istniało Towarzystwo, członkowie Spolku otrzymywali jego wydawnictwa. Po jego zabiciu Spolok objął pracę wydawniczą. Do końca roku 1929 doszedł Spolok do liczby 80.000 członków.

Spolok sv. Vojtecha osiągnął w jubileuszowym roku 1930 liczbę członków przeszło 90.000, nie doszedł jednak do upragnionej liczby 100.000. W roku jednak tylko tym jednym ostatnim zyskał nowych członków aż 8 tysięcy. Nie ta przecie liczba — w narodzie małym imponująca — będzie chwałą Spolku, lecz fakt, że w jubileuszowym lecie Spolok zdołał zorganizować wydział naukowo-literacki, który zaraz skupił w sobie 1000 członków z udziałami po 100 koron i energicznie przystąpił do wydawania miesięcznika „Kultura“,

poświęconego i nauce czystej i literackiej twórczości. Pierwsze zeszyty nowego pisma mają poważne studia i bogatą rubrykę informacyjną naukową i literacką. Wojciech Mądry powiadomił już Słowację o katolickim życiu w Polsce.

Skupienie literatów i naukowców katolickich było krokiem odważnym i czynem śmiałym. Będzie to silna przeciwwaga komunistycznym ugrupowaniom literackim, a także przeciw indyferentyzmowi powojennemu w życiu umysłowym.

Do słowackiego katolicyzmu wniósł Spolok ogromne ożywienie przez swe uroczystości jubileuszowe. W programie wykonanym zapisane zostały: wycieczka religijna do Pragi i przeniesienie relikwii św. Wojciecha do Trnawy, ludowe zabawy w Piszczanach i Trnawie, wystawa ludowej sztuki i literatury, która objechała kilka krajów, była i w Ameryce, wycieczki gromadne do Velehradu i Lewoczy, miała być i wielka wycieczka tratwami całym Wagiem, jeno posucha i niska woda nie pozwoliły na to wielkie przedsięwzięcie. Najważniejszą przecie w tym programie częścią było przypomnienie narodowi imion zasłużonych dla narodu kapłanów, wznowienie pamięci zasług i nazwisk.

Wśród uczczonych najwięksi byli księża Sasinek, Holly i Radlinsky.

Franciszek Sasinek urodził się 11 grudnia 1830. I ojciec i ojczym jego byli to biedni szewcy w Skalicy. Aby ulżyć rodzicom w wydatkach na studjum gimnazjalne, zarabiał na utrzymanie jako pomocnik ciesielski w wakacje, a jako kantor w ciągu roku, chodząc w sobotę do zamożniejszych rodzin „na kantaciu”. Tak ukończył pierwsze trzy klasy. Chrzestny ojciec wystarał mu się o stypendjum, by mógł choć czwartą jeszcze ukończyć w Skalicy. Na dalszą naukę udał się już do madjarskiego gimnazjum w Solnoku. Prowadzał do szkoły i odprowadzał do domu synków aptekarza i za tę pedagogię dostawał miesięcznie dwudziestkę. Po roku nauki w obcym języku wyróżnił się wśród kolegów jako biegły łacinnik i wzorowo mówiący po madjarsku. Po sześciu klasach postanowił wstąpić do zakonu franciszkańskiego i przybył do Bratislawy (ówczesnego Preszburga).

Po uroczystej przedegzaminowej mszy w kościele kapucyńskim zapatrzył się w staruszka księdza Angelusa, który

(jak krakowski ongiś ksiądz Anioł kapucyn) ujął go tak swą postacią, iż zgłosił się do zakonu kapucyńskiego. Znalazł tam serdeczne przyjęcie u mnicha Słowaka Czepki. Nowicjat odbył w Wiedeńskim Nowem Mieście, gdzie w 1846 przywdział suknię zakonną i przyjął imię zakonne: Wiktor. W nowem otoczeniu wyuczył się rychło języka niemieckiego.

Odbywszy nowicjat, rozpoczął studia filozoficzne w Pezinku, ukończył je zaś w Bratysławie, a następnie przez lat cztery studjował teologję w Scheibsu (dolno austr.) i Bratysławie, aż w 1852 po złożeniu ślubów zakonnych został wyświęcony jako djakon w Ostrzyhomiu. Świecenia kapłańskie za zezwoleniem papieskiem z powodu młodego wieku otrzymał w Rabie w październiku 1853. Jeszcze przed wyświęceniem był kaznodzieją słowackim w kościele św. Trójcy i niemieckim w klasztorze Elżbietynek. Zasłynął nawet jako madjarski kaznodzieja w Tacie, gdzie krótki czas wykladał klerykom filozofję. W Bratysławie był profesorem filozofji i łaciny w seminarjum duchownem do 1856.

Właśnie tworzone parafję przy kościele św. Trójcy. Sasinek domagał się ze Słowakami, aby kazania słowackie były tu nadal utrzymane. Ponieważ władze odmówiły, kaznodzieję słowackiego dali wiernym kapucyni. Na fundusz odwiedni dał nitrański kanonik Jur Tvrdy tysiąc guldenów. Kazanie fundacyjne pierwsze wygłosił profesor gimnazjum Marcin Czulen, bo Sasinek został przesiedlony do Budzyna.

W stolicy węgierskiej zainteresował się zagadnieniami politycznymi i sprawami narodowymi. Wysłał korespondencje do politycznego *Ost und West*, z rodakami naradza się w 1860 nad założeniem *Pesztbudinskich Vedomostí*. Ciężko szło ze zdobyciem funduszu na kaucję. Chudy mnich rzucił 100 zł., przykład podzielał i ofiary popływały. Ale sfera polityczna i narodowa to nie atmosfera dla mnicha. Za radą tedy przyjaciół zmienił habit na sutannę. Z pomocą ks. Radlińskiego uzyskał zwolnienie zakonne, a bańsko-bystrzycki biskup Moyses przyjął go do kleru swej diecezji w 1864. Otrzymał stanowisko profesora w kolegium licealnym, a kapituła powierzyła mu kazania niemieckie. Tutaj też w 1868 został diecezjalnym archiwariuszem.

W latach bańsko-bystrzyckich Sasinek rozwija działalność bardzo żywą. Posyła artykuły do praskiego *Naroda* i do wiedeńskiej *Zukunft*. W 1865 Matica Slovenska powierza mu opiekę nad książkami i zbiorami w biskupiej rezydencji. W Nowem Mieście kandyduje na posła 1868, miasteczko St. Tura mianuje go swym honorowym obywatelem, tegoż roku wydał historyczną pracę *Dejiny drevnych narodov na uzemi terajszieho Uhorska* i tym czynem wszedł w pierwszy zatarg z władzami politycznymi.

Po śmierci biskupa Moysesa (5 lipca 1869) walne zebranie Maticy Slovenskej wybrało Sasinka sekretarzem i w tym charakterze miał wygłosić przemówienie pożgonne ku czci pierwszego prezesa Macierzy. Ze zbiorami muzealnymi i bibliotecznymi przesiedlił się S. zaraz do Turcz św. Marcina. Na tem stanowisku jako działacz narodowy wydawał się niebezpiecznym a co najmniej niewygodnym dla wielkiej idei madjarskiej. Toteż następca Moysesa, biskup Ipolyi-Stummer, postanowił usunąć Sasinka od życia narodowego i ofiarował mu w 1873 probostwo w Bacurowie, nawet dochodowe, ale Sasinek podziękował za godność i dochody, choć naraził się teraz i władzy duchownej. Miał odtąd przeciwko sobie i rząd świecki i biskupa.

W 1874 jako delegat Maticy uczestniczy w otwarciu wszechnicy chorwackiej w Zagrzebiu. Był to pierwszy, i jedyny słowiański uniwersytet w krajach korony św. Szczepana. Słowacy widzieli w nowej uczelni także dla siebie Almam Matrem. Wyraził to bez politycznej obstonki w przemówieniu swem delegat Maticy Slovenskej.

Aby narodowy ruch słowacki zdławić i zdusić, Madjarzy zamknęli gimnazja słowackie, majątek Maticy skonfiskowali, zbiory jej zabrali i przewieźli do Budapesztu, Macierz jako stowarzyszenie rozwiązali. Sasinek w lutym 1875 pożegnał Turcz św. Marcin i przesiedlił się do rodzinnej Skalicy. Stąd w r. 1881 udał się do Rzymu z pielgrzymką hołdowniczą. Ojciec święty, świadom jego działalności pisarskiej, na posłuchaniu uroczystem pożegnał go słowami: „Dilecte fili, scribe bene, scribe feliciter“. A pisarzem był nie tylko publicystycznym, lecz także naukowym. By zaś w studjach histo-



rjoznawczych osiągnąć doskonalsze wyniki, wyjechał w 1882 na dziesięć lat do Pragi. W badaniach zajmowało go najbardziej zagadnienie przeszłości słowacko-słowiańskiej. Słowackiego „emigranta” chciała przyjąć praska diecezja, ale on wolał zatrzymać obywatelstwo węgierskie czyli zalitawskie.

Ostatnie lata jego to już czas prawdziwej tułaczki: Radoszowce, Kutry, Mariacel, Algersmariacel, wreszcie przytułek u Braci Miłosiernych i szpital styryjsko-gradecki, w którym 17 listopada 1914 zamknął powieki w 84-ym roku życia.

Lat 16 spoczywał w ziemi obcej. W stulecie od jego urodzin przypominała sobie Słowacja, że jej dobry syn leży za granicami wolnej już ojczyzny. Trumnę z ostatkami doczesnymi sprowadzono do Skalicy i 15 czerwca 1930 biskup bańsko-bystrzycki i prezes Maficy ks. Marjan Blaha, powitał prochy emigranta w szczęśliwej i tak zasłużonej Skalicy. Wszak z niej płynął prąd narodowy przez wydawnictwa Hurbanowe, tu nie tylko urodził się Sasinek, ale założony został i Spółok sv. Wojtecha. U trumny Sasinkowej z pokłonem stanęli biskupi Blaha i dr. Jantausch (z Trnawy), prezydent Słowacji (Jan Drobný), prezes Spółku św. Wojciecha (Hlinka), ministrowie, posłowie, wysłannicy miast i powiatów, wreszcie wielka półtysięczna wycieczka amerykańskich Słowaków. Powitała go i wszechnica bratisławska. Matica urządziła uroczyste przedstawienie sceniczne (Palarikowe „Inkonfita”) i wystawę pism Sasinkowych.

Epoka odrodzenia czy przebudzenia narodowego w dziejach Słowacji to lata 1787—1849; rozjaśniają świat ten imiona: A. Bernolak, twórca literackiego języka, J. Holly, poeta, Ludwik Sztur, duch ożywciciel filomatów i słowianofilów preszburskich. Sasinek należy już do epoki narodowej walki (1840—1918). On był tą uczoną głową, która przedstawiła kulturalną równowartość narodu słowackiego wobec innych narodów europejskich i podniosła się w obronie naturalnego prawa narodowego. On oparł na dokumentach historycznych żądania polityczno-organizacyjne. On wreszcie skryształizował historyczny kościec słowackiego życia narodowego.

Najstarszy historyk słowacki, „prvy hotovy Slovák“ Jakub Jakobej wydał 1642 w Lewoczy historję (*Delineatio*), w której broni pierwszy praw narodowych swego narodu przeciw tym, którzy „gentem et linguam diro scommate vexant“. Za nim już śmieiej wystąpił M. Bel w 1735 z *Notitia* i J. Papanek 1780 z *Historją* — contra malevolos calumniatores. Sasinka zadaniem już było udowodnić kulturalną starożytność i ewolucyjne walory słowackiego żywiołu na obszarze devínsko-tatrzańskim. Słowacy dążą do politycznego określenia ich etnograficznego terytorjum, a dążenie to wybuchło z siłą elementarną w 1861 w pamiętnym memorjale. Sasinek zarysy samodzielności „północnych Węgier“ ujął w teofję udzielnego księstwa słowackiego w dobie arpadowskiej i podniósł narodowo-polityczne uświadomienie Słowaków o kilka stopni. Wykreślił też linję rozwoju dziejów słowackich aż do XVIII w. tak, aby duch dziejów tych każdemu uświadomionemu rodakowi przedstawił się jako jeden jednolity w rdzeniu a tylko w zewnętrznym kształcie przemienным. Pojął mistrza Palacký, odtwórca ducha dziejów czeskich i za jego staraniem Król. Czeskie Towarzystwo Naukowe mianowało tego Słowaka w 1870 swym członkiem korespondentem.

W programie uroczystości jubileuszowych Spolku św. Wojciecha dwa były punkty szczytowe: święto Sasinkowe w Skalicy i święto Dra Andreja Radlińskiego (1817—1879) w Kutach. Radliński pochodził z Orawy, która wydała bardzo wielu, może więcej niż którakolwiek inna ziemia słowacka, patryotów i działaczy społecznych. Przez matkę był spokrewniony z Bernolakiem, twórcą wielkiego i pierwszego słownika słowackiego. Wcześniej rozpoczął pracę literacką, bo już 1841 wydał wesołe opowiadanie „Radislav a Blanka“. Rychło też rzucił się do roboty społecznej, stając wśród założycieli „Tatrína“ w 1844, by ludowi dostarczyć pożytecznej lektury.

W r. 1849 jako wyraźny przeciwnik Koszuta był już osaczony i w niebezpieczeństwie życia, cudownym prawie sposobem w przebraniu kobiecem uciekł przed zbirami i schronił się w Wiedniu. Przyjęty został mile i otrzymał

misję redagowania urzędowych *Slovenských Novin*. Po Villagoszcu jednak posłany został do Budapesztu, by redagował czesko-słowacki tekst „Ustawodawstwa Krajowego”. Stąd wysłano go do koszyckiego sądu, by jako znawca języków oznaczył, w których gminach ludność mówi słowackim, a gdzie rusińskim językiem. W Peszcie redagował *Katolíckie Noviny* dla katolików wszystkich narodowości, a po nich *Cyryla i Metodego*, przeznaczonego już tylko dla Słowaków. Ponieważ była to era walki między czechosłowaczną a czystą słowaczną o walor języka literackiego, Radliński oddał sprawę głosowaniu przedpłacicieli. Wielka większość oświadczyła się za słowackim czystym językiem. Do pisma religijnego przydał wnet świeckie pismo *Prijateľ školy a literatury*. Kiedy mu w stolicy było już zbyt niewygodnie, przyjął probostwo w Kutach w 1861. Był założycielem Maticy Slovenskej, katolickiego gimnazjum w Klasztorze pod Zniewem i współtwórcą internatu przy tej uczelni.

Dla Kut był wymarzoną obywatel: od króla, arcybiskupa i innych magnatów zdobywał zasiłki na budowę gminne i prywatne po pożarze, wystarał się o jarmarki, założył im, swoim kosztem czytelną gminną, dla biednego kościoła wydobył od królewskiej pokazy gruntu na dobro parafji, sam prowadził urząd pocztowy, byle gminę podnieść, dłużników parafjalnych wprowadzić spisywał, ale spisy te trwały tylko do Sylwestra, bo w dzień Nowego Roku niszczył uroczyste ich zobowiązania.

Pióro jego utworzyło pokazy bibliotekę, a są w niej nie jeno roczniki wydawnictw, ale i samodzielne dzieła, modlitewniki, śpiewniki, opowiadania historyczne, słowniki, czytanki i t. d.

Największym dziełem Radlińskiego było założenie Spółku sv. Vojtecha. Spółok postawił mu pomnik w Kutach.

Po oddaniu hołdu pamięci ks. Sasinka oddawano hołdy patrjotom-księżom w następującym porządku:

22 czerwca odsłonięto tablicę pamiątkową w Beckowie z napisem: „Tu uczinkoval Martin Medniaňsky, 1840—1899, beckovský farar, slovenský spisovateľ a buditeľ národa”. Warto przypomnieć, że w r. 1890 ogłosił w organie urzędowym morawskich teologów artykuł, w którym pod adresem

madziarów powiedział: „jeśli Madziarzy windykują sobie prawo do Słowaków na podstawie historycznej, to prawo Wielkiej Morawy dla Słowaków jest starsze, a więc i podstawniejsze... jeszcze kiedyś Czesi i Słowacy będą mieli wspólne państwo“. Godzi się zaś dodać i to, że Medniansky mówił płynnie poza ojczystym językiem po madziarsku, niemiecku, francusku, rumuńsku i polsku, że najchętniej czytał poetów, z tych zaś Kollar i Mickiewicz byli mu najmiłsi. W r. 1864 po wyświęceniu był wikarym w Lietawie i tu w domu dziedzica Aleks. Smiałowskiego znalazł polskie książki. Utrzymywał stosunki z Czechami, Chorwatami i Polakami. W roku 1876 wydał zbiór poezyj swoich, a w ich dwu tomikach były liczne przekłady z polskiej i madziarskiej literatury, schowane pod tytułem „Poesie Duszana Savy Pepkina“.

28 czerwca pielgrzymka powędrowała do Sasztina. Przybyła tu delegacja słowacka także z Austrii, Węgier, Jugosławii i Rumunii. W ścianę klasztorną wmurowano tu tablicę, na której wypisano: „Na tomto kraji se narodil Rupko Rehak, 1863—1929... pisarz i budziiciel narodu, członek reguły św. Benedykta, kaznodzieja mariacełski“. Rehak bawił za zezwoleniem przełożonych w Ameryce i w Binghamtonie skupił Słowaków, Czechów, Polaków i Litwinów i utworzył z nich parafę słowiańską. W czasie wojny miał opiekę duchowną nad rannymi w pociągu sanitarnym rycerzy maltańskich.

Następnego dnia było odsłonięcie pomnika poecie Janowi Hollemu w pobliskim Borskim św. Mikulaszu. Holly umarł w 1850. Był to pierwszy prawdziwy natchniony poeta słowacki, śpiewający uczucia patriotyczne słowem narodowym i piszący ojczystą literą, zanim Sztur słowacką mowę literacką usankcjonował.

Dnia 1 lipca pątnicy narodowi znaleźli się w spiskiej Lewoczy, gdzie w ścianie gimnazjalnej budowli zajaśniała nowa tablica, a na niej złotemi głoskami napis: „Tu uczynkoval Gabriel Zaymus (1843—1894)...“ Mowę podniosłą wygłosił sam ks. Hlinka. Zaymus był profesorem języków klasycznych i nowożytnych, był dyrektorem preparandy nauczycielskiej w Bańskiej Bystrzycy do chwili jej zwinienia (1872), potem w gimnazjum katolickim słowackim w Kła-

sztorze pod Znievem również do chwili zamknięcia zakładu tego przez rząd madziarski, pracę wychowawczą i nauczycielską zakończył w gimnazjach w Užhorodzie i Lewoczy. Z pod jego pióra wyszło kilka czytanek, podręczniki gramatyczne i Wieniec pieśni katolickich.

W Gbelach uczczono tablicą pamięć Jana Jurigi (1806—1888) dnia 6 lipca. Choć był od 1869 kanonikiem ostrzyhomskim, był czynnym współzałożycielem Spolku św. Wojciecha, jego skarbnikiem i wiceprezesem. Żył bardzo skromnie, majątek i dochody swe rozdawał na cele publiczne i biednym wedle zasady: *Gratis accepistis, gratis date*.

W Ružomberku uczczeni zostali: Martin Huska, Sztefan Hyrosz i Józef Budavari. Huska (1849—1914) Ružomberczanin, jako proboszcz w św. Križu zainterpelował na zebraniu politycznem kandydującego Stefana Tiszę, czy gotów popierać w parlamencie sprawę katolickich Słowaków i domagać się przywrócenia Słowakom ich szkół narodowych. Skutek był taki, że Tisza wybił sobie z głowy mandat z tego okręgu.

Hyrosz (1813—1888) również Ružomberczanin, założyciel Stowarzyszenia św. Wojciecha, Macierzy Słowackiej i członek deputacji z Memorjałem w 1861 r. Piórem swem zasiłał pisma: *Priateľ školy a literatury, Cyril a Metod*. Naukową literaturę słowacką wzbogacił dziełem „Zamek Likawa i jego panowie”. Imię swe uczynił powszechnie znaniem przez Katolicki śpiewnik.

Budavari (1843—1905), trzeci syn Ružomberka, słowianofil, z Nitry przeniesiony aż do Segedina, ledwie dopiero w 1893 powrócił do Ružomberka do gimnazjum, prześladowany był za narodowe słowackie przekonania. Znosił prześladowania cierpliwie, mówiąc: „Czuję, że już niedaleki czas kiedy na wrogów naszych spadnie deszcz siarczany i ufam, że jeszcze w ružomerskim gimnazjum uczyć będą młodzież naszą po słowacku”. Osobiście tego się nie doczekał, ale spełniło się, co młodzieży ružomerskiej przepowiedział. Majątku nie zostawił innego, jak tylko wielki księgozbiór, w którym były dzieła wszystkich pisarzy słowackich i liczne dzieła z literatur innych. Ustnie i pisemnie władał wszystkimi językami słowiańskimi.

W Mecenku utrwalono pamięć Józefa Szczonego (1813). Poprzestawał na najmnieszym, na trzykrotną prośbę jego zwolnił go biskup z parafji, ofiarował mu kanonję nitrańską, ale i od tego zaszczytu się wyprosił. W r. 1886 miał jubileusz 50-lecia kapłaństwa, dzień ten upamiętnił ofiarą 10,000 złr. na wydanie słowackiego przekładu Pisma świętego, a tłumacza ks. Sasinka obdarował 100 dukatami. Diecezji nitrańskiej, która go wychowała i żywiła, darował 100 akcyj kolejowych, dekanatowi moczeńskiemu zapisał bibliotekę z dzieł do roku 1868, a młodsze dzieła, około 400 dzieł, przeznaczył księżnicy świętowieciechowskiej. Piękny przykład poświęcenia i wdzięczności przypomnieli młodemu pokoleniu uznawcy zasług Szczonego.

W Zvolenskej Slatinie przypomniano pracę żyjącego staruszka i za życia oglądał 6 lipca już swą tablicę szambelan papieski Jan Diatel (ur. 1847 w Liptowskim św. Michale). Upamiętnił swe imię w wydawnictwach Spolku i licznych periodykach katolickich.

Komjatice miały też święto nie małe, gdy wspominały, że w nich zakończył ziemskie trudy ich proboszcz Ondrej Caban (1813—1860), prześladowany przez madziaronów „panslav“, który najchętniej przebywał między działwą szkolną, a ta słuchała z oddechem zapartym jego opowiadań o dziejach słowackich. Kiedy budował kościół, własnym przykładem podniecał ofiarność parafjan, sam cegły podawał murarzom, a gdy ukończył świątynię, własny grosz rzucał na odnowienie szkoły i zaopatrywał ją potem mapami i obrazami, do nauki potrzebnymi.

Moric Alster (1827—1894) otrzymał tablicę w Racisztorfie, pozostawił pamięć ofiarnego rozdawcy książek popularnych między parafjanami, jako przedpłaciciel niemal wszystkich wydawnictw szerzył oświatę między swemi owieczkami. Kupując po 100 egzemplarzy książeczek ludowych na rozdanie, wspierał wydawcę i autora.

Tak byli uczczeni jeszcze: Andrej Truchly w św. Antole, Ignacy Bajza w Predmieru, Martin Czulen w Klasztorze pod Znievem, w Trnawie Andrej Kubina, Fr. Osvald, w Żilinie Juraj Tvrdy, w Czarach wreszcie Martin Kollar.

Całkiem świeżym współczynnikiem ożywienia życia katolickiego w Słowacji jest stworzenie odrębnych prowincji słowacko-zakonnych: pijarskiej i jezuickiej.

Prowincja pijarska. Aż do przewrotu Pijarzy rozwijali pedagogiczną i wychowawczą działalność na Słowaczynie. Ponieważ jednak ich szkolna polityka była madziarońska i więcej było w zakonie Madziarów niż Słowaków, z końcem 1918 roku opuścili Słowację i przesiedlili się do granic nowego państwa madziarskiego. Wtedy rząd czechosłowacki objął ich klasztory i majątki i do dzisiaj je trzyma w swym zarządzie i używaniu.

Mieli zaś na obszarze słowackim Pijarzy zasłużone szkoły: w spiskim Podolińcu, założoną 1642, w Prievidzy 1666, w św. Jurze — 1685, w Nitrze — 1701, w Ružomberku 1729, w Sabinowie — 1739, w Bańskiej Bystrzycy — 1776, tegoż roku i w Trenczynie, w Levicach — 1815. W latach madziaryzacji szkoły ich były w znacznej mierze posłuszne polityce peszteńskiej. Słuszność jednak każe wyznać, że w każdej szkole pijarskiej było 2 lub 3 życzliwców dla idei słowackiej czy słowiańskiej. Wszak ks. Hlinka jest wychowankiem ružomberskich Pijarów i z wdzięcznością sławi pamięć Józefa Budavarego, swego nauczyciela. Dobrą sławę mają Pijarzy: Baczkor, Kalczok, Rehak, Czapay, Zachar i pracujący dziś w gimnazjum trenczyńskim, znany i w literaturze, Józef Branecky.

Ks. Branecky wszczął przy pomocy nitrańskiego kolegi, rektora Pijarów, Aleksandra Cerhelyego, akcję, by wznowić działalność zakonu we wszystkich punktach pracy przedwojennej na terenie słowackim. I Watykan i Praga dały już swoje przyzwolenie. Zgodziły się na utworzenie słowackiej prowincji pijarskiej. Branecky, który czuje w sobie krew polskich Braneckich, myślał już w 1929 nad wychowaniem młodych Pijarów w konwikcie krakowskim. Myśl to szczęśliwa. Drugą troską Braneckiego jest odzyskanie z rąk rządu budynków klasztornych pijarskich, wyzwolenie ich z biur sądowych, koszarowych i t. p. Tymczasowy zarząd prowincją spoczywa w rękach ks. Cerhelyego w Nitrze.

Po stworzeniu słowackiej prowincji pijarskiej w 1930 przyszła kolej na prowincję jezuicką. Drugiego lutego 1931

podpisany został dekret przez generała O. Ledóchowskiego. Przy tej sposobności prasa katolicka słowacka przypomina zasługi Jezuitów słowackich w tworzeniu literackiego języka słowackiego, że w „slovenčine jezuitskej“ wyszło bardzo wiele książek w Trnawie, zanim Bernolak sztandar literackiego języka podniósł, że i w Koszycach było to samo. Przypomina, że *Posol Božského Srdca Ježíšoveho* pełnił zadanie wychowawcze i narodowe w tysiącach chałupiek słowackich wtedy, gdy słowackich katolików madziaryzowano w szkole i kościele. W kształceniu mowy słowackiej jako literackiej mają swe zasługi i inne pisma jezuickie: *Katolíckie Missie, Apostolat, Mariánska kongregácia*. Ich cztery klasztory (w Ružomberku, Trnawie, Bratisławie i Koszycach) mają obecnie 21 ojców, 36 kleryków i 34 braci. Na czoło prowincji słowackiej wysunięty został jako prowincjał O. Rudolf Mikusz, któremu przyznają „nekompromisne slovenske presvedčenie“.

Uświadamia też prasa o historii Jezuitów koszyckich. Ich kolegium było podniesione do godności akademii 1660. Oni pozostawili Koszycom drukarnię i bogatą księżnicę, tworzącą podstawę dzisiejszej publicznej biblioteki miejskiej. Oni mieli od 1647 konwikt szlachecki i teatr szkolny. Prześladowały ich wojny, gnębiły pożary, zawsze jednak znajdowali pomocnych życzliwców. Po kasacie zakonu ich szkoła przemieniona została w akademię prawniczą i wyższe gimnazjum. Pamiątką po Jezuitach dawnych — z XVIII w. — jest pomnik Immaculatae, wzniesiony w 1720—1723 i koszycka Kalwarja, zbudowana w latach 1737—1758. W Koszycach byli Jezuiti już w roku 1601.

W dwu zakonach tych katolicka Słowacja dostaje dwie dźwignie wyznaniowe, podniosą one zapewne nie tylko zainteresowania religijne, ale i dla szkoły wyznaniowej staną się podporą.

W duchowieństwie świeckim poważną dźwignią katolickiego świata jest męczennik narodowy, ks. Andrzej Hlinka, proboszcz ružomerski. Obok religijnej pracy równolegle rozwija i działalność społeczną (prezes Spółku



św. Wojciecha, przywódca ludowej partji słowackiej, wydawca *Slovaka*, organizator młodzieży i starszych, wsi i miasta). Ma ks. Hlinka wielkie zasługi w organizowaniu pomocy ekonomicznej w katolickiej Słowacji. Pracę zaś rozpoczął w latach niewoli duchowej madziarskiej, kiedy rząd i władze popierały na Słowaczyźnie tylko żydowskie i madziarskie finansowe przedsięwzięcia i organizacje.

W r. 1902 Hlinka i Skyczak zorganizowali w Namestovie „Ludovu banku“ z kapitałem zakładowym 100,000 koron austr., rozpisując 1000 udziałów po 100 kor. Dzisiaj posiada już namestowski Bank Ludowy pół miliona kor. czeskosłowackich kapitału zakładowego, 435 tys. rezerwy, a przeszło 12 milionów wkładek. Od roku już instytucja ta mieści się we własnym pałacu, wartym pół miliona kor. Trzydziesty rok patrzą na rozkwitające dzieło wyzwolenia ekonomicznego Orawy twórcy banku: Hlinka, Skyczak, Kovalik, Mederly, Kubica, filary katolicyzmu w Słowacji orawskiej i podtatrzańskiej.

Roku 1907 powstał drugi bank ludowy w Rużomberku. Humoru nie były pozbawione starania Hlinki o pozwolenie na założenie banku. Pozwolono na 1000 udziałów po 100 koron ale nie w Rużomberku, jeno w Rozsahegy (po madziarsku przezwany Rużomberok). Dowcipny Hlinka nazwał instytucję nową „Ludova Banka v Rozsahegy ze sidlem v Rużomberku“. Był wilk syty i koza cała. Na czele banku stanął sam ks. Hlinka. Wkońcu listopada 1907 musiał powędrować do więzienia segedyńskiego na czteroletni pobyt. Zastąpili go Ferko Labaj i Fedor Houdek. Pracownicy byli, pieniądze były, ale nie było lokalu. Instytucja siedziała kątem w domu Hlinki na gruncie Krczmerego. Mimo że był to rok krwawy i rok męczeństwa słowackiego w Czernowej pod Rużomberkiem, zdołano zgromadzić 181 tysięcy wkładek. W r. 1913 nabył bank dom od peszteńskiego urzędnika, a podczas wojny w 1914 wybudował sobie pałac dwupiętrowy. Ponieważ ludność potrzebowała grosza, musiano podnosić kapitał zakładowy, w r. 1920 już do wysokości 5 milionów. Przyszła najcięższa chwila, gdy w 1923 bank stracił miliony, odpisać musiał przeszło 8 milionów z kapitału i rezerwy i stan obni-

żył się do 1,250.000. Stworzono nowy kapitał: udziałowcy zgodzili się na zmniejszenie wartości z 350 na 50, uczestnicy wkładek zgodzili się przepisać 25% na nowy zakład, darować 3-letni prócent, a następne 3 lata zadowolić się 3% zysku. Bank odżył, Hlinki oblicze się rozjaśniło. Obecnie bank ružomberski ma 11 milj. zakładowego funduszu, 26 milj. wkładek, a 6 milj. rezerw, ma swą wytwórnię zapalek, cegielnię i piłę, finansuje „Katolicki dom kulturalny“ przeszło 10 milionami. W roku 1930 dawał 500 ludziom utrzymanie, zysku miał 690 tysięcy koron.

W 1908 powstał bank ludowy Hlinkowski w Jabłonce. Dziś ma on 10.000 złotych kapitału zakładowego.

Pamiętną będzie dla młodych katolików słowackich t. zw. „pucharowa uroczystość“ „Ustredia slovenskeho katolickeho študentstva v Bratislave“ 15 marca 1931. Bywa to uroczystość bardzo wielka, w zebraniu młodzieży tej biorą udział reprezentacje innych stowarzyszeń studenckich, uczestniczą profesorowie wszechniczni, dygnitarze państwowi i miejscy. Corocznie wręczany bywa tradycyjny już puchar Hlinki najwybitniejszemu pracownikowi naukowemu lub społecznemu. W tym roku wyróżniony został przez młodzież główny proboszcz Bratislavy, niedawny jej burmistrz, dziś protonotarjusz — ks. Dr. Ludwik Okanik.

W mowie dziękującej za odznaczenie powiedział między innymi ks. Okanik: „Zawsze wysoko ceniłem naszego wielkiego męża Andrzeja Hlinkę, albowiem widziałem i widzę w nim ucieleśniony harmonijnie ideał głębokiego katolicyzmu i wiernego słowackiego nacjonalizmu. Z jego kielicha pić będę zawsze. Obowiązkiem słow. katolickich akademików jest pracować w tym kierunku Hlinkowym i przykład jego naśladować... Młodą słowacką inteligencję czeka trudne zadanie. W Słowacji jeszcze rewolucji nie było. Wśród narodów słowiańskich wogóle, a w słowackim szczególnie, rewolucja jest zjawiskiem obcym. Jedynie naród rosyjski dostał się w orbitę rewolucji i nie wie, jak się z niej wydobyć. Dusza rosyjska nie może sobie poradzić... Naprzeciw temu stoi przebojna siła katolicyzmu, który nie zatrzymał się jak prawosławie przy formalizmie, lecz postępuje naprzód. Dlatego boją się bolszewicy najbardziej Watykanu i określają

go jako swego największego wroga. Watykan i Moskwa wyobrażają dwa światy, jeden z Chrystusem, drugi przeciw Chrystusowi. Dziś, kiedy jest powszechne grupowanie duchów, będzie musiała i młoda słowacka inteligencja wybrać jeden z tych dwu kierunków. I to będzie rewolucją słowacką...”

Na rok 1932 sposobi się świat katolicki w Słowacji do wielkiego czynu. Będzie to jubileusz najstarszej świątyni chrześcijańskiej w Słowacji — 11-wieczne kościoła w Nitrze. Tysiąc sto lat temu, gdy księżę Pribina kościółek tu ufundował, a solnogradzki arcybiskup Ādalřam poświęcił.

Rząd państwowy wyznaczył fundusze na czynienie poszukiwań archeologicznych wokół świątyni nitrzańskiej, boć to kościół najstarszy w całej republice czechosłowackiej. Nauka zatem została wezwana do udziału w jubileuszu.

Oreǳie biskupów słowackich z 25 stycznia 1931 zapowiada wzmożone praktyki religijne, prace misyjne, a samo wielkie święto ma być uwiecznione fundacją Pribinowego imienia: założeniem katolickiego gimnazjum i seminarjum nauczycielskiego. Dwie te uczelnie stać się mają kuźnicami wykształcenia i wychowania narodowego na gruncie ściśle katolickim. Przewidziany jest udział w uroczystościach nie samych Słowaków europejskich i amerykańskich, ale przedstawicieli wszystkich narodów katolickich. Udział Polski nie powinien być słaby i będzie niewątpliwie silny i żywy.

*Jan Magiera.*

# Monografia psychologiczna prof. Windakiewicza.

(Jan Kochanowski, Kraków 1930, str. VI+199).

W dzisiejszej literaturze krytycznej uderzyć musi każdego niewspółmierność, jaka zachodzi pomiędzy ilością drobniejszych rozpraw i przyczynków a opracowaniami monograficznymi, tak rzadko ukazującymi się obecnie z pracowni naukowych. Zamiłowania badaczy naginają się widocznie w kierunku prac analitycznych, syntezy zaś, ujęcia uogólniające nie znajdują zbyt wielu zwolenników. Tem większą też uwagę wzbudza każdy wyłom w tym kierunku, skupiając zainteresowanie na nielicznych monografiach syntetycznych, zwłaszcza zaś, jeśli noszą charakter tak wyjątkowy i swoisty, jak ostatnio wydana monografia prof. Windakiewicza o Janie Kochanowskim. Tej też monografii poświęcony jest szkic niniejszy, mający na celu wykazanie istoty metody naukowej, jaką zastosowuje jej autor w opracowaniach monograficznych.

## I.

Prof. Windakiewicz w swych monografiach ustosunkowuje się w sposób swoisty i wysoce charakterystyczny do poruszanego przez siebie tematu. Monografie jego nie należą ani do typu monografii biograficznych, ani do monografii twórczości; nie kładzie on w nich głównego nacisku ani na historję życia danego pisarza, ani też na wszechstronny rozbiór jego dzieł; uwaga jego jest tu głównie skierowana na sylwetkę duchową poety, na wykazanie jego właściwości psychicznych, jego zainteresowań, dążeń, poglądów i umiowań, — to też najwłaściwiej zaliczyć monografie Windakiewicza do typu monografii psychologicznych.

Psychologia poety staje się dla niego linią wytyczną, jaką śledzi z uwagą poprzez fakty biograficzne i dorobek literacki danego pisarza. Zarówno więc materiały i źródła biograficzne, jak też i twórczość literacka stają się tu nie punktem naczelnym, na którym się skupia zainteresowanie autora, lecz jedynie materiałem, z którego dopiero buduje Windakiewicz sylwetkę twórcy: Kochanowskiego, Reja,<sup>1)</sup> lub Skargi.<sup>2)</sup> W przedmowie do monografii o Kochanowskim Windakiewicz wyraźnie podkreśla to swoje stanowisko. Mówi on tu: „Do dłuższemu współzyciu z poetą ogólnikowe wyobrażenie o jego właściwościach przestaje wystarczać. Kochanowski tworzył w kilku środowiskach i zaczyna nas zaciekawiać pytanie, jak się do nich dostosował. Za intuicyjne wyobrażenie pierwotne podstawia się zagadnienie środowisk. Kochanowski był w różnych czasach różny i nie miał rysów tak niewzruszenie stałych, jak się nam zrazu wydawało. Był on pisarzem programowym i z całą świadomością dążył do urzeczywistnienia swych ideałów artystycznych. Na pogodnej twarzy wielkiego poety możemy czasem odkryć zmarszczki woli i zamyślenia. Widzimy, że wśród przemian losu ustawicznie pracował nad swym wydoskonaleniem. Życiorys jego przeistacza się w pasmo trudów, ustawiczne wspinanie się w górę, aż wdarł się i rozgościł „na skale Kalliopy, gdzie dotąd nie było śladu polskiej stopy“. W oczach zamiłowanego Kochanowczyka oblicze jego jest zmienne, pełne ruchu i zajmujących przeobrażeń, dopóki pobyt w Czarnolesie nie ustalił jego posagowych rysów. Zaczynamy zajmować się nowymi zagadnieniami i próbujemy na nie odpowiedzieć“ (sfr. V—VI).

Po postawieniu powyższej tezy Windakiewicz z rozmysłem buduje swą monografię tak, aby właśnie uwydatnić te stopniowe gradacje, jakie zachodziły w psychice Kochanowskiego. Celem jego staje się więc danie możliwie wiernego obrazu przemian psychicznych i rozwoju duchowego poety Czarnoleskiego. Stąd też płynie tak odmienne ustosunkowanie się autora monografii do zagadnień historyczno-biograficznych i do analizy omawianych utworów.

Różnicę tę najwyraźniej można uchwycić, jeśli zestawimy potraktowanie pewnych problemów biograficznych lub literackich,

<sup>1)</sup> St. Windakiewicz: *Mikołaj Rej*, Kraków, 1895, II wydanie Lublin, 1922.

<sup>2)</sup> Tegoż: *Piotr Skarga*, Kraków, 1925.

czy to w poprzednich pracach samego Windakiewicza, dotyczących Kochanowskiego, czy też w pracach innych historyków literatury.

Jako przykład niech posłuży rozdział I *Sycyna*, poświęcony omówieniu lat dziecięcych Kochanowskiego. Zazwyczaj rozdziały takie zawierają sporo materiału historycznego, znajdujemy tam szczegółowe zarysowanie tła epoki, omawianie genealogii rodu opracowanego autora, wywody heraldyczne, sprawy majątkowe i t. p., jak to jest np. w monografiach Plenkiewicza<sup>1)</sup> lub Tarnowskiego<sup>2)</sup>. Windakiewicz bynajmniej nie lekceważy tych badań, owszem, uznaje ich wielką wagę i poświęca nawet tym zagadnieniom osobną rozprawę: *Nieznane szczegóły o rodzinie Kochanowskiego*<sup>3)</sup> Jest to praca oparta na aktach archiwalnych i stanowi uzupełnienie dzieła ks. Gackiego: *O rodzinie Jana Kochanowskiego*.<sup>4)</sup> Przytacza tu Windakiewicz wypisy z aktów ziemskich radomskich i z aktów konsystorza Krakowskiego oraz z metryki uczniów Uniwersytetu Jagiellońskiego z lat 1544—1610. Bardzo szczegółowo omawia geneologję Jana Kochanowskiego i wypisuje całe generacje jego przodków od r. 1411; ustala (wbrew Gackiemu) kto był dziadkiem poety (Dominik); jak się rody rozgałęziały; podaje szereg szczegółów, dotyczących rodziny najbliższej poety, jego ojca, matki, braci, ich synów; wreszcie sięga do lat uniwersyteckich i późniejszych Kochanowskiego, aby i tam wyjaśnić szereg spornych dotąd kwestyj.

W monografji jednak swojej nie wspomina o tych sprawach ani słówka; tu w rozdziale I nad wyraz treściwie i niemal lakonicznie zaznajamia nas z domem i otoczeniem, z którego wyszedł Kochanowski, podkreślając i wydobywając jedynie te pierwiastki, które zaważyły w kształtowaniu się charakteru i zamiłowań poety. Mamy więc tu zaznaczony serdeczny stosunek, jaki go łączył z rodziną, zwłaszcza z matką; scharakteryzowanie domu rodzinnego, jako zamożnego gniazda szlacheckiego, w którym zainteresowania intelektualne, a zwłaszcza literackie odgrywały poważną rolę i nadawały piętno swoiste atmosferze tam panującej; wresz-

<sup>1)</sup> *Jan Kochanowski, jego ród, żywot i dzieła*, Warszawa 1897 (t. IV wydania pomnikowego *Dzieł Kochanowskiego*).

<sup>2)</sup> *Jan Kochanowski*, Kraków 1888.

<sup>3)</sup> *Prace filologiczne* I, 1885.

<sup>4)</sup> Warszawa 1869.

cie spokój polityczny i potęgę mocarstwową Polski, pozwalające obywatelowi państwa na pogodne i niezakłócone potrzebą wojenną snucie życia i rozwijanie swych zamiłowań i skłonności. Podkreśla też tu Windakiewicz gorące umiłowanie, jakim darzył Kochanowski wieś, z której wyszedł i do której miał w przyszłości powrócić. — Czyli podkreślone tu są te tylko czynniki, które mogły wywrzeć jaki bądź wpływ na organizację duchową Kochanowskiego, zaznaczone te dyspozycje psychiczne, jakie dalej rozwinięte i rozkrzewione złożyą się na wytworzenie takiego, a nie innego typu psychicznego.

Podobnie potraktowany jest chociażby pobyt Kochanowskiego w Padwie.

I znowu dla przykładu sięgniemy do pracy tegoż Windakiewicza p. t. *Pobyt Kochanowskiego zagranicą.*<sup>1)</sup>

Jakże znowu inne ujęcie tegoż zagadnienia w rozprawie i w monografii. Rozprawa jest przepełniona charakterystyką tła, na którym miał wystąpić Kochanowski. Mamy więc tu omówienie znaczenia humanizmu, jako prądu łączącego na terenie nauki odrębne narody, wyjaśnienie dlaczego właśnie do Włoch emigrowali żądni wiedzy scholarze, wniknięcie w psychikę szlachcica polskiego, dla którego wyjazd zagranicę stał się *conditio sine qua non* wykształcenia i stopniem, wiodącym do osiągnięcia wyższych stanowisk, zagadnienie mecenatu i t. p. Wreszcie opis samej Padwy, wygląd miasta, stosunki polityczne ówczesnych Włoch, charakterystykę poezji włoskiej, dzieje uniwersytetów padewskich, charakterystykę wykładających profesorów, opis organizacji życia studenckiego, opartej na zasadzie narodowości t. zw. nacjach i t. p. Na tem tle dopiero zarysowana sylwetka Kochanowskiego i dzieje jego przeżyć.

W monografii zaś sprawy te zostały potraktowane odmiennie. Tu cały materiał historyczny jest usunięty, na plan zaś pierwszy wydobyto przeżycia poety. Wszystko inne potraktowano jedynie w skrócie i poruszono tylko kwestje najniezbędniejsze, nieodzownie potrzebne do scharakteryzowania tła, na którym zarysowano postać Kochanowskiego. — Po krótkich danych chronologicznych, dotyczących podróży zagranicznych poety Czarnoleskiego, Windakiewicz rozważa pobyt poety w Padwie z nastę-

---

<sup>1)</sup> Kraków 1886.

pujących punktów widzenia: 1. towarzyskość Kochanowskiego i łączność z nacją polską, 2. przyjaźń, 3. miłość, 4. studia Kochanowskiego, które, dzięki wysoko postawionym katedrom filologii, rozwinęły w nim i ugruntowały znajomość literatur klasycznych, łaciny i greki, 5. zaznajomienie się z literaturą włoską i Petrarą, 6. wrażliwość artystyczną poety i jego podróże włoskie. I jeśli w pracy poprzedniej mamy tak znaczną przewagę materiału historycznego, — tu w monografii podkreślone są znacznie silniej właśnie cechy charakterystyczne dla ówczesnej psychiki Kochanowskiego. Weźmy parę przykładów. Przyjaźń. W rozprawie mamy wymienionych kilku kolegów, których nazwiska przechowały dzieła Kochanowskiego. Między innymi Patrycego Nideckiego, który „był jakby starszym bratem i opiekunem poety” (str. 27). Opiera się tu Windakiewicz na relacji Januszowskiego z przedmowy do wydania Kochanowskiego *Historji o Czechu i Lechu* z 1589 r. i cytuje odpowiedni ustęp. Na tem zagadnienie przyjaźni wyczerpuje. — W monografii chociaż nie przytacza tych 6 czy 8 nazwisk przyjaciół poety, skupia zaś uwagę na jednej przyjaźni z Nideckim (zresztą wspomina ogólnie o towarzyskości i koleżeńskości Kochanowskiego), jednakże nierównie głębiej ją ujmuje. Stwierdza, iż „leżała ona w obyczajach czasu...”, że „obowiązywała do wzajemnego wspomagania się, przestrzegania interesów i dobrej sławy druha, uprawniała do upominania i strofowania wzajemnego i kazała myśleć o dobru towarzysza, jak o swem własnem” (str. 8), podkreśla wierność tej przyjaźni i jej długotrwałość. Przetrwała ona nie tylko okres padewski, ale zachowała się do końca życia Kochanowskiego. Wreszcie wykazuje wpływ, jaki wywarła na zamiłowania klasyczne autora *Odprawy posłów greckich*.

Podobnież kwestja filologicznego wykształcenia Kochanowskiego znalazła nierównie głębsze potraktowanie w monografii. W rozprawie zagadnienie kultury klasycznej Kochanowskiego zbywa autor następującym ustępem: „Zapewne bowiem do tych czasów odnieść wypadnie znajomość Kochanowskiego klasycznych form poezji, budowy poematów w stylu klasycznym np. takiej *Odprawy posłów greckich*, a także ono filologiczne wykształcenie, o którym chlubnie świadczy przeróbka poetyczna Arata z godną uwagi przedmową pióra Jana i konjektury, jakich Kochanowski udzielał Patrycemu przy pracy jego nad wydaniem ułamków cy-



cerońskich" (str. 26). W monografji podkreśla Windakiewicz bardzo silnie zapoznanie się i przejęcie się Kochanowskiego kulturą klasyczną zarówno łacińską, jak grecką. Wszak twórczość łacińska poprzedza u niego twórczość polską, przejęcie się zaś łaciną i upodobanie pisania w tym języku zachowuje Kochanowski do końca życia. I to właśnie Padwa utwierdza go w kierunku humanistycznym, daje mu pogłębienie jego wiedzy klasycznej, zaznajamia dokładnie nie tylko z literaturą łacińską ale i z gramatyką, stylistyką, poetyką, mitologią i historią starożytną. Podobnież wpaja i zamiłowania ku greczyźnie. I nie tylko dla samego Kochanowskiego tak ważny był ten pobyt zagranicą, nie tylko pogłębił on umysłowość poety i nadał jej kierunek klasyczny, ale wywarł wpływ również i na dzieje kultury całego narodu. „W odczuciu ducha greckiego zbliżył się (Kochanowski) do najlepszych nowoczesnych grezystów polskich, a do rozpowszechnienia tej literatury w naszym kraju miał się właściwie najwięcej z wszystkich większych poetów polskich przyczynić" (str. 10).

Tak więc problemy historyczne w monografji są odsunięte na plan dalszy na korzyść problemów psychologicznych, które tu grają rolę dominującą; i to jest właśnie tą cechą wyróżniającą monografię prof. Windakiewicza zarówno od jego rozpraw, jak też i od monografij jego poprzedników.

Jak do zagadnień historycznych, tak i do analizy utworów Kochanowskiego ustosunkowuje się Windakiewicz w swej monografji w odmienny sposób, niż dotychczasowi monografiści poety Czarnoleskiego. Znowuż mamy tu uwzględnienie przede wszystkim tych zagadnień, które na życie duchowe autora *Trenów* mogą rzucić jakieś światło, odsunięcie zaś na plan dalszy albo i pominięcie całego szeregu zagadnień, które w danym wypadku nie mogą być pomocne, np. zagadnień czysto estetycznych, chronologicznych lub historycznych.

Jako przykład odmiennego ustosunkowania się do tych zagadnień Windakiewicza i jego poprzedników można przytoczyć opracowanie fraszek u Windakiewicza i w monografji Tarnowskiego, (gdyż u Plenkiewicza poza ogromem materiału historycznego o samych fraszkach tak w istocie mało powiedziano; że trudno nawet z tem robić jakieś zestawienie).

Tarnowski po stwierdzeniu niepodobieństwa przeprowadzenia jakiegoś układu w tym celowo przez poetę pogmatwanym

labiryntu i stwierdzeniu, iż *Fraszki* są doskonałym źródłem do odtworzenia obyczajowości ówczesnej epoki, przystępuje do szczegółowych rozważań nad *Fraszkami*. Przedewszystkiem więc zastanawia się nad rodowodem fraszki, jako rodzaju literackiego, przytem charakteryzuje fraszkę zagraniczną, francuską i włoską; dalej omawia ówczesną obyczajowość polską na podstawie aktów kapitulnych, ówczesnej literatury pięknej (Modrzewski - Górnicki - Zbylitowski) oraz opracowań naukowych (Morawski *Z życia towarzyskiego*, *Przegląd polski* 1884) i wykazuje, jakie odbicie znalazło to życie we fraszkach, przytem zaznacza, że życie niskie, występne, dzikie nie znalazło tu oddźwięku. Po wyrażeniu zdziwienia, że ówczesna Rzeczpospolita Babińska nie znalazła swego wyrazu, ani nawet wzmianki we fraszkach, przechodzi Tarnowski do próby ustalenia chronologii powstania poszczególnych fraszek, przyczem opiera się na wypowiedzeniach treściowych (szeroko tu posiłkuje się wypowiedzeniami erotycznymi Kochanowskiego), sięga do wzmianek o *Fraszках* u Górnickiego w *Dworzaniu*, ustala, że fraszka *O koźle* musiała powstać przed r. 1566, zastanawia się, kiedy były pisane fraszki łacińskie, a kiedy polskie i t. p. Rozważania te, doprowadzające jedynie do przypuszczeń hipotetycznych, zajmują większość rozdziału poświęconego *Fraszkom*.

Jakże inaczej ten sam temat ujmuje Windakiewicz. Dla niego fraszka to przedewszystkiem wyraz dowcipu i humoru Kochanowskiego. „Jako humanista czuł (Kochanowski) wybornie, że dowcip jest objawem indywidualizmu nowoczesnego i uprawa tegoż przyczynia się do psychologicznego i umysłowego pogłębienia jednostki” (str. 71). Po zaznaczeniu w kilku krótkich zdaniach, iż epigram do Polski wprowadził Kallimach i omówieniu epigramu Krzyckiego i Reja, odrazu przystępuje Windakiewicz do omawiania fraszek Kochanowskiego. — Znowuż więc mamy tu uchYLENIE się od tworzenia odrębnych zagadnień z charakterystyki epoki i środowiska. Wspomina autor monografii o tych rzeczach ale specjalnych zagadnień z tego nie tworzy, interesuje go sam poeta i jego indywidualność wysunięta jest na plan pierwszy. Zastanawia się więc najpierw nad genezą i rozwojem dowcipu Kochanowskiego. Kwestja ustalenia dat powstania poszczególnych fraszek nie interesuje go zbytnio, stwierdza tylko, iż „Kochanowski fraszką zajmował się przez całe życie, ale najwięcej spo-

strzeżeń zebrał w okresie dworskim" (str. 72). Fraszki omawia kolejno według zbiorów, przedewszystkiem więc *Apophtegmat*, te jednakże bardzo krótko, gdyż „praca duchowa poety uwidocznia się dopiero w dwu następnych zbiorach" (str. 73), w *Foricoeniach* i *Fraszkach*. „Widnokrąg *Foricoeniów* jest mocno zamknięty, pomysłowość w nich bardzo ograniczona, a dowcip niezbyt swobodny" (str. 73), — oto ogólna ocena *Foricoeniów*, omówionych w porządku rzeczowym: fraszki towarzyskie — miłosne — osobiste. W zbiorze tym jednakże nie wypowiedział się Kochanowski swobodnie, — snąc pomimo wszystko łacina krępowała poetę.

Dopiero zbiorek trzeci — *Fraszki* — staje się „zwierciadłem niezwykłego umysłu" (str. 76) Kochanowskiego. Przedewszystkiem włącza poeta do tego zbioru przekłady z *Antologii greckiej* i Anakreonta, znać też wzorowanie się pod względem technicznym na łacińskim epigramatyście Marcjalisie. Przekłady te podnoszą wartość artystyczną fraszek i obowiązują poetę do dostosowania się do nich przy pisaniu fraszek oryginalnych. — Drugą cechą tego zbioru jest rozszerzenie kręgu zainteresowań, zakresu fraszek, co daje poecie sposobność do „wszechstronnego rozwinięcia zmysłu krytycznego" (str. 77). Trzecim działem są fraszki miłosne o wszechstronnem zabarwieniu uczuciowem, — pierwsze w tej dziedzinie próby poetyckie w języku polskim; czwarty dział — to fraszki osobiste, wyróżniające się szczerością. Wśród nich na uwagę zasługują zwłaszcza fraszki filozoficzne, pozwalające wnikać w świat głębszy umysłowości Kochanowskiego; wreszcie ostatni dział — to epigramaty, w których znajdujemy wzmianki o warunkach powstania fraszek. — Dowiadujemy się z nich, że podmiot do tworzenia fraszek dostarczyło poecie życie towarzyskie, — przytem sława fraszek Kochanowskiego i ich wziętość tak była wielka, iż wywierała wpływ na życie otoczenia: jedni dopomagali poecie w zbieraniu wzorków i pragnęli, aby ich samych uwieczniono w rymie, inni usuwali się od cenzury poetyckiej. Stąd wyprowadza Windakiewicz wniosek, iż „poeta narzucił swą cenzurę otoczeniu i na obyczajowość wpływ wywierał. Fraszki jego stawały się zwierciadłem życia dworskiego i do podniesienia wykuintności w obejściu dworskiem się przyczyniły" (str. 79), poecie zaś zyskały wielką sławę wśród współczesnych. Dalej charakteryzuje Windakiewicz ogólnie fraszki, podkreśla ich

świeżość, łagodną, wesołą, niedokuczliwą satyrę, rzadko wprowadzany element anegdotyczny, oparcie się przeważnie na osobistej obserwacji, włożenie wielkiej pracy i staranności w opracowanie techniczne tego najbardziej ukochanego dzieła poety, doskonałość formy i wirtuozostwo języka, cechujące fraszki, wreszcie samokrytycyzm poety. Na zakończenie omawia genezę pierwszego wydania rękopiśmiennego fraszek i dążenie poety do doprowadzenia fraszek do najwyższej doskonałości, nim się zdecydował je wydać drukiem.

Już to samo zestawienie ujęcia fraszek u poprzedników i u Windakiewicza wykazuje ogromną różnicę w traktowaniu tematu przez poszczególnych monografistów. Z monografji Plenkiewicza po przeczytaniu jego rozdziału poświęconego fraszkom wynosimy tylko wrażenie, iż Kochanowski w tych okolicznościowych i błahych wierszykach głównie jest niezbyt przyzwoitym poetą; Tarnowski, jakkolwiek dużo mówi o obyczajowości ówczesnej i długo się zastanawia nad przypuszczalnymi datami powstania poszczególnych fraszek, nie daje jednakże ani w przybliżeniu tak subtelnej i głębokiej analizy, jak Windakiewicz na niedużych 13 stroniczkach swej monografji. Tyle tu mamy skondensowanej treści, tak wnikliwie zarysowana tu postać poety-fraszkopisarza, klasycznie wykształconego i kulturalnego człowieka, lubiącego żart i dowcip przeważnie umiarkowany, czasem swawolny, ale nigdy plugawy; — poety wywierającego wpływ na swe otoczenie w kierunku podniesienia wykuintności i dworskości we wzajemnem obejściu się, rozszerzającego zakres możliwości literackich w ówczesnej literaturze przez zapoczątkowanie poezji erotycznej, rozpowszechniającego znajomość literatur klasycznych, dbającego o piękno i doniosłość formy swych utworów.

Z powyższych zestawień widać różnicę metody Windakiewicza w monografji, a metody stosowanej przez Plenkiewicza czy Tarnowskiego a także i przez samego Windakiewicza w dawniejszych rozprawach o charakterze analitycznym. W związku z tem warto jeszcze zwrócić uwagę na stosunek monografji Windakiewicza do pracy Chlebowskiego *Jan Kochanowski w świetle własnych utworów*,<sup>1)</sup> z tego przedewszystkiem względu, że założenia obu autorów są podobne. Jak Windakiewicz tak i Chlebowski za

---

<sup>1)</sup> Warszawa 1884 r. i w *Pismach*, Warszawa 1912, t. II.

cel swej pracy stawi wyjaśnienie „dziejów wewnętrznych poety“, <sup>1)</sup> podobnie też dzieje te wydobywa przedewszystkiem z samych utworów Kochanowskiego. „Jeżeli naturalista z jednego organu istoty żyjącej, z jednego okrucu kości odtwarza anatomiczną budowę i fizjologiczne właściwości organizmu tej istoty, dla czegożby krytyk, mając przed sobą odbicie różnych stanów i różnych momentów rozwoju duszy ludzkiej, nie mógł przez właściwe zestawienie — na podstawie niezmiennych praw psychicznych — odtworzyć całego przebiegu procesu duchowego i uzyskanemi stąd wynikami oświecić zarówno znanych dotąd szczegółów życia zewnętrznego, jak i samych utworów badanej postaci?“ — zapytuje Chlebowski. — „Czyż wiersz, wypowiadający pojęcia i uczucia poety, nie może stanowić dokumentu tej wagi, co list przynajmniej, choć na nim niema daty i adresu? Czyż nie szczerzej, nie swobodniej wypowiadamy nasze myśli, gdy się zwracamy ku milczącym obszarom nieskończoności lub do nieznanych i nieznających nas czytelników, niż gdy rozmawiamy lub korespondujemy z krewnymi lub przyjaciółmi, którzy bądź nie pojmują, bądź nie podzielają naszych uczuć i przekonań?“ (str. 137).

Ustosunkowanie się więc do tematu mamy i u Windakiewicza i u Chlebowskiego toż samo. Jakie jest wykonanie tu i tam? — Już samo wypowiedzenie się Chlebowskiego we wstępie do rozprawy, iż „chcąc zrozumieć treść tego ducha, musimy się zapoznać z warunkami otoczenia, wśród jakiego się rozwijał i z naturą wpływów, które odbierał“ (str. 139), wskazuje, iż będzie tu różne ustosunkowanie się do materiału historycznego. Windakiewicz — jak widzieliśmy — materiał ten z monografii usuwa, Chlebowski natomiast uwzględnia go i to nawet dość szeroko, naprz. cały rozdział I poświęca charakterystyce okolic, gdzie leżało gniazdo rodzinne poety, kreśli dzieje przodków poety, ich geneologję, zajęcia, sprawy majątkowe, urzędy piastowane przez nich; w rozdziale II mamy szeroko omówione tło religijne ówczesnych czasów, prąd reformacyjny, charakterystykę ówczesnego duchowieństwa, nastroje panujące w Krakowie za czasów pobytu tam Kochanowskiego na studiach uniwersyteckich i t. p. — Jeśli chodzi o analizę utworów ogranicza się Chlebowski tylko do wy-

---

<sup>2)</sup> *Pisma*, II, 137.

dobycia ich strony biografistycznej. Tak naprz. przy omawianiu *Odprawy posłów greckich* stwierdza: „Nie dotykając samej budowy tego obrazu dramatycznego, ani jego podobieństw lub różnic z wzorami greckimi, poprzestanę tu na uwydatnieniu związku *Odprawy* z uczuciami i przekonaniami Kochanowskiego“ (str. 247); podobnież przy opracowaniu *Trenów* mówi: „Odsyłając czytelnika po szczegółowe rysy wizerunku Urszulki do samego utworu, a po ocenę piękności *Trenów* do licznych nad nimi studjów, zajmę się tylko rozpatrzeniem wpływu, jaki to wstrząśnienie wywarło na duszę nieszczęśliwego ojca“ (str. 261).

Na oko więc kąt widzenia ten sam, co i w monografji Windakiewicza. Trzeba stwierdzić jednakże, iż w przeprowadzeniu prac — jakkolwiek w założeniu pokrewnych — istnieje ogromna różnica. Windakiewicz bezsprzecznie góruje nad Chlebowskim i głębią ujmowania faktów i wnikliwością analizy i wreszcie techniką wykonania.

Żeby się o tem przekonać, wystarczy chociażby zestawić ujęcie fraszek u obu historyków, tak szeroko i subtelnie opracowanych u Windakiewicza, przez Chlebowskiego zaś potraktowanych po macoszemu. Wbrew własnemu zdaniu, iż noszą one „charakter dziennika, pisanego z całą szczerością i swobodą“ (str. 172), nie wyzyskuje Chlebowski należycie ich doniosłości w swej rozprawie. Jeśliby ująć w jedno jego sądy o fraszkach, rozrzucone w poszczególnych rozdziałach, okaże się, że są to utwory podrzędniejszego znaczenia o treści częstokroć swawolnej i drażliwej, pełne poufnych wywnętrzeń się poety, ukazującego w tem własnem zwierciadle oblicze układowego dworaka, często zakochanego i wrażliwego poety i wesołego kompana, lubującego się w życiu towarzyskiem i przyjacielskiem, nie uchylającego się od skarykaturowania bliźniego w wesołej fraszce — gwoili uciechy współtowarzyszy — czasem zaś zrezygnowanego i sfrasowanego przeciwnościami życiowemi człowieka. W utworach tych, jakkolwiek po mistrzowsku odmalowujących życie współczesne Kochanowskiemu, nie widzi Chlebowski pracy artystycznej poety, stwierdzając w swych rozważaniach nad okresem dworskim Kochanowskiego, iż „tak wczesnie i łatwo zdobyta sława wywarła szkodliwy wpływ na rozwój talentu i o mało nie zwichnęła go zupełnie. Upojony pochlebstwami i powodzeniem towarzyskiem poeta rzucił się na dworze w wir lekkiego, hulaszczego życia,

które odwodziło od poważniejszej pracy a nasuwało umysłowi i wyobraźni pomysły i szczegóły do ulotnych jedynie fraszek i anegdot" (str. 177). Poza niefortunne snuciem domysłów na podstawie fraszki *Do Jana* (III, 20) o zawodach miłosnych poety z Tarnowską, jest to wszystko, co znalazł do powiedzenia o fraszkach Chlebowski. — Różnica z ujęciem tychże utworów u Windakiewicza jest zbyt widoczna, aby można było kwestjonować jej wyższość i głębię zarysowanego wizerunku poety z Czarnolasu.

\* \* \*

To wydobywanie materiału psychologicznego i myślowego z pism badanego autora i zarysowanie za jego pomocą portretu danego pisarza jest właśnie cechą, wyróżniającą monografię Windakiewicza od monografii innych historyków literatury. Staje on też tu na skrajnie przeciwnym stanowisku, niż np. Borowy, który odrzucał tak bezwzględnie wszelkie zabarwienie subiektywne i autobiograficzne w utworach literackich, przestrzegając przed używaniem „zbyt pochopnych — jak się wyrażał — (a tak bardzo rozpowszechnionych) wyjaśnień biografistycznych, które w dziełach sztuki poetyckiej każą widzieć tylko zamaskowane fragmenty pamiętnika twórców”.<sup>1)</sup>

O odmienności zresztą swego ustosunkowania się w monografiach do opracowywanych jednostek mówił Windakiewicz sam w przedmowie do monografii o Skardze, gdzie zaznaczał odrębność swej metody naukowej i skierowanie swych zainteresowań w kierunku zarysu psychologicznego<sup>2)</sup>; — projektował nawet wydanie rozprawy metodycznej, gdzie zapowiadał wykazanie łączności swej metody z nowoczesnym kierunkiem w nauce francuskiej.<sup>3)</sup> Łączność ta zresztą jest widoczna. Zarówno w literaturze francuskiej, jak i niemieckiej zarysowuje się w ostatnich czasach dążność do przesunięcia nacisku w pracach literackich na zagadnienia psychologiczne. W literaturze francuskiej dążność ta datuje się już od czasów Hennequina, pierwszego przedstawiciela metody psychologicznej w badaniach literackich, tylko że te bada-

<sup>1)</sup> A. Mickiewicz: *Dziady cz. III*, Warszawa 1920, Pis. p. i obc. str. III.

<sup>2)</sup> St. Windakiewicz: *Piotr Skarga*, Kraków 1925, str. 3.

<sup>3)</sup> St. Windakiewicz: *Charakter Skargi*, Kraków b. r. (1912), odb. z *Przegl. Powszech.*

nia kroczyły inną drogą: czy to estopsychologiczną, — gdzie analiza estetyczna utworów grała przeważającą rolę, — czy też w nowszych badaniach genetycznych, — gdzie analiza elementów składowych dzieła, a głównie zagadnienia chronologiczne i badania poszczególnych etapów powstawania dzieła i nawarstwiania się kolejnego pomysłów, stanowiły decydujący kierunek. Obok tego powstają i zarysy psychologiczne; badania analityczne jednakże górują stanowczo nad badaniami syntetycznymi, jak to stwierdza Audiat w swej książce *La biographie de l'oeuvre littéraire*.<sup>1)</sup>

Podobnież w literaturze niemieckiej od roku mniej więcej 1890 budzi się reakcja przeciw dociekaniom historycznym i czysto filologicznym, — przewagę zyskuje prąd psychologiczny, którego najwybitniejszymi przedstawicielami są Scherer i Dilthey. Życie duchowe i pogląd na świat autora stają się głównym celem krytyki. Muschg w swej rozprawie *Das Dichterporträt in der Literaturgeschichte*<sup>2)</sup> stwierdza, iż rozpowszechniła się teraz w literaturze krytycznej niemieckiej dążność do opracowywania portretów psychologicznych poetów i pisarzy. Przytem przy pracach tego rodzaju wychodzi się z dwóch punktów, albo od badania utworu, albo od badania twórcy (str. 304). W związku z tem rozwijają się też i badania psycho - analityczne.

Nie trzeba zresztą sięgać aż do literatur obcych, aby wykazać ten kierunek psychologiczny w nauce. I literatura krytyczna polska może dostarczyć tu przykładów. Wszak już Małecki w monografii o Słowackim dał przykład biografii psychologicznej, opartej na listach poety, podobnież Kleiner w *Dziejach myśli Krasińskiego* kładł główny nacisk na zarys umysłowości Krasińskiego. Również do psychologicznego rodzaju mogą być zaliczone monografie Tretiaka o Słowackim: *Historja ducha poety i jej odbicie w poezji*, o Mickiewiczu: *J. Mickiewicz w świetle nowych źródeł*, wreszcie wyżej wspomniana rozprawa Chlebowskiego o Kochanowskim i t. p. — Nie był więc Windakiewicz w swej ogólnej koncepcji monografii — jako studjum psychologicznego — odosobniony. W wykonaniu natomiast — jak o tem była mowa — zaznaczyła się wybitnie odrębność i swoistość jego metody.

<sup>1)</sup> Paris. 1924, str. 36—37.

<sup>2)</sup> Druk. w *Philosophie der Literaturwissenschaft* wyd. przez Ermattingera Berlin, 1930.



## II.

Z podejściem do tematu wiąże się ściśle i budowa monografii Windakiewicza.

W zależności od tego, czy rozwój duchowy opracowywanej przez niego jednostki był bardziej skomplikowany, czy też bardziej prymitywny, ujmując Windakiewicz materiał albo w pewne okresy — jak to ma miejsce w monografii o Kochanowskim, gdzie mamy wyróżnionych pięć okresów (I- *Sycyna*; II- *Nauki i podróże*; III- *Na dworze*; IV- *Elekcje*; V- *Czarnolas*) — i opracowuje kolejno fazy, jakim podlegała w swej ewolucji psychika Kochanowskiego w tych okresach; albo też ujmując go zagadnieniami, omawiając w obrębie każdego zagadnienia całość danego przejawu duchowego w okresie całego życia poety, — jak to było w książkach o Reju i Skardze.

W monografii o Kochanowskim wyróżnić ponadto możemy zasadę pewnej dwuczłonowości. Przy omawianiu każdego okresu, wyróżnionego w życiu Kochanowskiego, rozdziela autor zebrany materiał na dwie zasadnicze grupy: 1. źródła i opracowania, dotyczące faktów biograficznych i 2. twórczość literacką poety i jej opracowania, przytem grupę pierwszą traktuje jedynie jako zarys orjentacyjny, główny zaś nacisk kładzie na dział drugi, czerpiąc z niego istotny materiał dla swej koncepcji. W zależności też od bogactwa, jakie przynosi materiał, którym autor operuje, mamy uzależnioną i równowagę obu działów; tak więc rozdział I dla braku jakichkolwiek danych literackich z okresu dzieciństwa nie ma swego odpowiednika w grupie drugiej; rozdział VIII- *Elekcje* obejmuje obie równomiernie potraktowane; rozdziały zaś IV- *Na dworze* i IX *Czarnolas*, jako bogate w spuściznę literacką poety, najwymowniej świadczą o zamysłach technicznych autora. Na 65 stron okresu dworskiego przypada zaledwie 7 stron na wskazówkę biograficzną, 58 stron poświęca Windakiewicz charakterystyce psychiki Kochanowskiego w tym okresie, ujętej w trzy zasadnicze zręby, tak jak się wyraziła w 1. poezji ściśle dworskiej, 2. fraszkach i 3. erotyku ówczesnym. Podobnie potraktowany jest i okres Czarnoleski, okres najbujniejszego rozkwitu twórczości poetyckiej Kochanowskiego. Tu na 72 strony przypadają zaledwie 4 strony na zarys biograficzny, reszta — 68 stron — to znowuż analiza wizerunku duchowego poety ujęta w 5 odręb-

nych działów, rozpatrujących coraz to pod innym kątem widzenia ustrój psychiczny Kochanowskiego.

W obrębie poszczególnych rozdziałów układa autor swój materiał, czy to w porządku chronologicznym — np. w rozdziale V, poświęconym poezji dworskiej, czy też według pewnych zagadnień naprz. w rozdziale VI- *Fraszki*; przytem dąży zawsze do stworzenia pewnej zaokrąglonej całości, czy to wtedy, gdy omawia dowcip Kochanowskiego we *Fraszkach* czy jego przeżycia i wypowiedzenia się miłosne (r. III, VII, X), lub też religijne (r. XII), wszędzie tu mamy przedstawione zagadnienie w całym jego rozwoju od genezy i zarysowania tła, na którym powstało, poprzez całą ewolucję, jakiej podlegało w danym okresie. Wszędzie też mamy przejście stopniowe od rzeczy mniej ważnych do najważniejszych; zasada powszechna dowodzenia a minore ad maius i tu znalazła swe zastosowanie. Za przykład tego może posłużyć choćby najpiękniejsza część całej monografji — rozdział X *Poezja życia rodzinnego*. Po zaznaczeniu w krótkich, ale wyraźnych rysach znaczenia poezji rodzinnej dziś i w dawnych czasach, przechodzi autor do omówienia tej poezji u Kochanowskiego. Najpierw więc zaczyna od jej zaczątków — erotyków narzeczeńskich, — potem przechodzi do omówienia *Pieśni Świętojańskiej o Sobótce*, jako utworu pisanego na cześć swej młodej żony, dalej omawia wiersze, poświęcone małżonce i życiu rodzinnemu w okresie późniejszym, aż wreszcie dochodzi do *Trenów*, jako szczytowego utworu. — Mamy więc już w układzie powyższym gradację, w zależności od nasycenia i barwy uczuciowej omawianych utworów.

Przy analizie *Trenów* gradacja ta od rzeczy węższych do szerszych i głębszych staje się jeszcze widoczniejsza. *Treny* ujmuje Windakiewicz przede wszystkim jako obraz życia rodzinnego polskiego i wyraz uczuć rodzinnych Kochanowskiego, skierowanych do matki, żony i córki; dalej to historia ducha i umysłu poety, to sięgnięcie do zagadnień życia pozagrobowego, rzucenie na tło ogólnoludzkie zagadnień osobistych i przez to podniesienie utworu, któryby bez tego pozostał skromnym przyczynkiem do życia domowego poety; wreszcie to historia walki w duszy poety o zdobycie i utrwalenie poglądu na świat, stwierdzenie niewystarczalności etyki i filozofji klasycznej humanizmu i jedy-

nej wyższości i prawdziwości nauki chrześcijańskiej, do której doprowadza poetę jego mała Beatrice.

Dążność ta do tworzenia zaokrąglonych i wykończonych całości w obrębie poszczególnych zagadnień, powiązanie ich w sobie według zasady a minori ad maius właściwe jest i poprzednio pisanym monografiom Windakiewicza, zarówno o Skardze, jak i o Reju.

### III.

Zkolei zastanowić się trzeba nad tem, jak Windakiewicz ustosunkowuje się do zasady dowodzenia swoich tez, a co razem się łączy i ze stosunkiem do dotychczasowej krytyki literackiej.

Tu znowuż znajdujemy cechy wspólne, właściwe monografiom Windakiewicza. Przedewszystkiem t. zw. aparat naukowy jest w nich starannie ukryty. Nie znajdziemy więc tu ani sprawozdań z istniejących już różnych teoryj, odnoszących się czy to do poszczególnych dzieł, czy do czasu ich powstania, wpływów i t. p., ani też nie znajdziemy całego materiału pomocniczego, którym autor operuje. W monografii o Kochanowskim — a podobnie było i przy Skardze — podaje autor niektóre ważniejsze pozycje bibliograficzne w przypisach do poszczególnych rozdziałów; w monografii o Reju nawet tego brak zupełnie.

Nieco inaczej ustosunkowuje się Windakiewicz w monografiach do sposobu dowodzenia swych założeń. Płyne to stąd, iż monografia o Kochanowskim poprzedzona była całym szeregiem drobniejszych prac i artykułów, w których autor omówił i uzasadnił swe poglądy na dzieje życia i myśli poety Czarnoleskiego. Tak więc zostały omówione następujące zagadnienia: — *Nieznane szczegóły o rodzinie Kochanowskich*,<sup>1)</sup> — *Kraków Kochanowskiego*<sup>2)</sup> — *Pobył Kochanowskiego zagranicą*<sup>3)</sup> — *Padwa, studjum z dziejów cywilizacji polskiej*,<sup>4)</sup> — *Il soggiorno di G. Kochanowski a Padova*,<sup>5)</sup> — *Program literacki Kochanowskiego*,<sup>6)</sup> — *Życie*

<sup>1)</sup> *Prace filologiczne* I, Warszawa, 1885.

<sup>2)</sup> *Charakteria Casimiro de Morawski*, Kraków 1922.

<sup>3)</sup> *Rocznik filarecki*, I, Kraków, 1886 i odbitka,

<sup>4)</sup> Kraków 1891.

<sup>5)</sup> *Omaggio dell' Accademia Polacca all' Università di Padova*, Kraków 1922.

<sup>6)</sup> *Przegląd Warszawski*, 1921, nr. 2.

dworskie Kochanowskiego,<sup>1)</sup> — *Erotyk Kochanowskiego*,<sup>2)</sup> — *Ideale Kochanowskiego*.<sup>3)</sup> Większa więc część składowa monografji była już poprzednio opracowana, to też przy powtarzaniu tych okresów w monografji Windakiewicz widocznie uznał za stosowne nie przytaczać już tu całego materiału dowodowego, dał tu tylko wyniki, do których doprowadziły go były prace poprzednie.

Jako przykład można przytoczyć chociażby zagadnienie programu poetyckiego Kochanowskiego w *Przeglądzie Warszawskim* z 1921 r. Windakiewicz szczegółowo omówił i uzasadnił na podstawie analizy literackiej i zestawień tekstów, iż Kochanowski program swój przejął od Plejady francuskiej i od Ronsarda. W monografji już tego aparatu dowodowego, w który czytelnik mógłby sam wejrzeć i wyrobić swe zdanie, niema. Podane tu są tylko ostateczne wyniki tamtych rozumowań. Stwierdza tu Windakiewicz, iż „faktem jest jednak, że poeta nasz już zagranicą ustalił swój kierunek literacki, którego się następnie w Polsce trzymał. Kierunek ten zgadzał się zupełnie z dążeniami szkoły, na czele której stał Ronsard. Obu chodziło o utworzenie w języku narodowym dzieł i rodzajów, jakie nam starożytność przekazała. Obaj chcieli literatury narodowe przepoić obficie prześliczną mitologią grecką i pod względem formalnym stosować się także do wskazań poetyki klasycznej. Nawet stylistyczne i gramatyczne właściwości znalazły sympatyczne echo w dalszej twórczości literackiej Kochanowskiego“ (str. 17). Dalej stwierdza, iż skoro w pismach Kochanowskiego niema śladu urabiania własnego programu poetyckiego, musiał więc go poeta skądś przejąć, przejął zaś go z Francji, „bo tak właśnie okoliczności się złożyły“ (str. 17). We Francji był program jeden, a we Włoszech kilka, trudno więc było stamtąd coś wybrać, zresztą program francuski odpowiadał zupełnie przygotowaniu literackiemu Kochanowskiego. Zaznaczmy mimochodem, że ton ten sprawozdawczy, widoczny choćby w powyższym ustępie, — ujawniający się także i w stylu ucinowym, krótkim, jakim się zwykle notuje skróty jakichś szerszych rozważań, — charakterystyczny jest prawie dla całej monografji. Należy pamiętać, iż została ona oparta „na kilkakrotnych wykładach uniwersyteckich“ (str. VI), stała się więc niejako

1) *Przegląd Polski*, 1885 i odbitka.

2) *Pamiętnik Literacki*, 1902.

3) *Świat* 1890, str. 268.

skrótom i ostatecznem słowem nie tylko prac drukowanych, ale i wygłaszanych z katedry uniwersyteckiej.

Trudno wszelako zamilczeć, że powyższy sposób pisania i podawania swoich tez jest trochę uciążliwy dla czytelnika, nie raz też wprawia w pewne zakłopotanie, zwłaszcza kiedy stawia wobec zagadnień zdawna ujętych w pewne — zdawałoby się — niewzruszone schematy, teraz zaś potraktowane w monografii w sposób wręcz odmienny. Tak naprz. uderza umieszczenie *Odprawy posłów greckich* w rozdziale ostatnim XIV- *Inne dzieła i prace*. Hartleb w recenzji, drukowanej w *Ruchu Literackim*,<sup>1)</sup> widzi w tem milczące przesunięcie *Odprawy* z działu utworów najwybitniejszych do stanowiska bardziej pośledniego na podstawie stwierdzenia Windakiewicza, iż „to nie tragedia ale obrazek dramatyczny przez zdolnego artystę i niepośledniego klasyka napisany”. Jednakże nie wydaje się, aby tu tkwiła przyczyna takiego umiejscowienia *Odprawy*. Windakiewicz wszak wcale nie stwierdza jej niższości artystycznej, odwrotnie stawia ją narówni z *Pieśnią Świętojańską* i *Trenami* i zalicza „do trójliścia dzieł, w których poeta największe poczucie piękna okazał”.<sup>2)</sup> Odpowiedzi na to pytanie nie znajdujemy w monografii, dopiero artykuł Windakiewicza *Poezja Kochanowskiego*<sup>3)</sup> wyjaśnia wątpliwości. W artykule tym mówi autor wyraźnie, iż *Odprawa* to „nadzwyczaj udatna próba dramatyczna z chórem niewypowiedzianej piękności *O białoskrzydła morska pławaczko*“, ale traktuje to dzieło z innego, — niż to dotąd było w zwyczaju — punktu widzenia. Stwierdza on, iż „dzieło to wynikało z bezmiernego uwielbienia poety dla Homera, Eurypidesa i wogóle całej greckiej literatury. Stoi ono osamotnione w staropolskiej literaturze, jakby zapowiedź *Agamemnona* Słowackiego i *Achilleidy* i *Powrotu Odyssa* Wyspiańskiego. Mówi ono znów raczej o jego upodobaniach literackich, niż o życiu osobistem i górujących cechach jego psychy twórczej“, (str. 354) — stąd właśnie płynie to usunięcie go na plan dalszy w monografii. Do dziejów ducha twórczego nie przynosi ono zbyt ważkich ziarn, świadczy jedynie o upodobaniach literackich, o zamiłowaniach klasycznych Kochanowskiego. Zaważyło więc tu znowu nastawienie psychologiczne monografii. Na

<sup>1)</sup> *W roku jubileuszowym Jana Kochanowskiego.*

<sup>2)</sup> *Jan Kochanowski*, str. 186.

<sup>3)</sup> *Myśl Narodowa*, 1930 Nr. 23.

plan pierwszy wydobyto te elementy, które mogły zaważyć w odtworzeniu portretu duchowego Kochanowskiego, odsunięto zaś na plan dalszy wszystkie inne. Uzasadnienia jednak swego stanowiska nie podał autor w monografji, zmuszając do szukania wyjaśnień w innych jego pracach drukowanych.

Inaczej rzecz się ma z monografjami o Reju i Skardze. Nie były one — jak się zdaje — poprzedzone studjami szczegółowymi, drukowanymi osobno, — w każdym razie tu mamy sądy częściej poparte, czy to cytatai z dzieł obu pisarzy, czy też analizą literacką, porównaniami i t. p., naprz. chociażby przy omawianiu poglądów politycznych Skargi na powstanie jego *Kazań sejmowych*, albo też zależności *Wizerunku* Reja od Palingenjusa. Windakiewicz podaje nie tylko ostateczne wyniki swych rozważań, ale przytacza odpowiednie ustępy dzieł i na oczach czytelnika zestawia cały aparat dowodowy.

Z kwestją sposobu ustosunkowania się do własnej metody dowodowej łączy się i sprawa ustosunkowania się do krytyki literackiej, do pracy innych osób.

Stosunek Windakiewicza jest tu wielce swoisty. Przeważnie z jego monografij — z tekstu — nie dowiadujemy się wcale o innych historykach, jego poprzednikach. Pomija się tu ich prawie stale milczeniem. Wyjątkowo chyba wspomni kogoś, jak np. przy omawianiu zagadnienia, w jakim porządku powstały *Treny*. Mówi tu o Faleńskim, Plenkiewicz, Since i Hartlebie, ale i tu panuje lakonizm jak najdalej posunięty, o wynikach prac poprzedników wspomina jakby mimochodem. — Hartleb, omawiając książkę o Kochanowskim <sup>1)</sup> wywodzi przyczynę takiego stanowiska ze specjalności typu monografji Windakiewicza. Monografia ta odpowiada typowi monografij francuskich i włoskich z ostatnich czasów, te zaś „nie stawiają sobie założeń, ażeby obalać uświęcone w nauce tezy, ażeby koniecznie zaimponować nowemi wynikami, ale pragną właśnie zebrać i usystematyzować dotychczasowe sądy, oddzielić przytem ziarno od plewy, to co wartościowe wyłowić z drobniejszych rozpraw i niejako usankcjonować, to co liche lub powierzchowne — przemilczeć. Ambicją autora jest całość obrazu przemyślana, jasna i równomierna; własne zainteresowania i najbardziej pojętne dygresje muszą tu ustąpić miejsca

---

<sup>1)</sup> *Ruch Literacki*, 1930. Nr. 1.

znakomitej, niemal matematycznej równowadze; zgubne są tu wszelkie zboczenia i wysoki, choćby genialnymi nawet okupione odkryciami".<sup>1)</sup>

Nie zdaje się wszelako, aby nagięcie monografii do typu niżej omówionego uprawniało do takiego ustosunkowania się Windakiewicza do dorobku innych krytyków, jakie znajdujemy w jego monografii, zwłaszcza, jeśli chodzi o sądy, z którymi Windakiewicz się nie zgadza. Nie poświęci on ani słówka polemiki, nie przytoczy żadnego dowodu przeważającego jego własne stanowisko na niekorzyść odrzucanego, cudzego, poprostu przemilczy je, tak jakby wcale nikt nie kwestjonował nigdy tych spraw, nie przytaczał swoich hipotez. — Za przykład niech wystarczy chociażby — przytaczana tu już z innego powodu — sprawa programu poetyckiego Kochanowskiego. Tezę swą i uzasadnienie jej przytoczył Windakiewicz — jak to już wyżej wspomniano — w r. 1921 w *Przeglądzie Warszawskim*. Z ostrą opozycją wystąpił przeciwko temu Sinko w r. 1928 w *Przeglądzie Współczesnym* w artykule *Ronsardum vidi*, usiłując zbić zupełnie stanowisko Windakiewicza i obalić punkt po punkcie jego dowody. Ze swej strony przytacza znów Sinko szereg argumentów na poparcie swej tezy, iż Kochanowski programu z Francji nie przejął, że Paryż stał się dlań tylko „przelotnem wspomnieniem“, program zaś swój przejął raczej z Włoch.

Windakiewicz artykuł Sinki zna; przytacza go w notatce bibliograficznej do rozdziału II (str. 4), ale ani słowa nie poświęca mu w tekście i zachowuje z całym spokojem swój wywód dawniejszy, nie wspominając nawet, że ktoś mógł mieć o tem inne zdanie i nie próbując po tych świeżych zarzutach nawet obalić zdania swego przeciwnika. Nie zgodził się z nim i tyle.

Drugi przykład z hymnem *Czego chcesz od nas Panie za Twe hojne dary*. Świeżo, bo w 1928 roku Dobrzycki w *Pamiętniku Literackim*<sup>2)</sup> dowiódł na podstawie zbieżności z *Octaviusem Minuciusa* i na podstawie stosunku hymnu do wiersza *Oko śmiertelne Boga nie widziało*, — którego część pierwsza religijna pod względem treści zbliżona jest bardzo do hymnu i stanowi ten sam motyw, tylko jeszcze literacko nierozwinięty, — iż hymn

<sup>1)</sup> *Ruch Literacki*, Nr. 1, str. 2 n.

<sup>2)</sup> St. Dobrzycki: *Do genezy dwóch pieśni J. Kochanowskiego*. *Pamiętnik Literacki*, r. XXV.

powstał już w kraju w drugiej połowie r. 1563; o odniesieniu więc go do pobytu w Paryżu mówić już dziś niesposób. — Windakiewicz tymczasem nie wspomina znowuż o tem ani słowa i z całym spokojem utrzymuje, że hymn powstał w Paryżu, bo „właśnie o tym wierszu istnieje legenda, że go Kochanowski przesał do Polski z Paryża i zyskał odrazu najwyższe uznanie Reja. Nie widzimy celu, aby tę piękną legendę burzyć“. <sup>1)</sup> — Nie znajdujemy też innego uzasadnienia tej sprawy i w poprzednich drukowanych pracach Windakiewicza. W rozprawie *Pobył Kochanowskiego zagranicą* popiera autor swój sąd przytoczeniem tejże legendy, oraz stwierdzeniem, iż wpłynął na napisanie hymnu Ronsard. „Widocznie ów ton podniosły Ronsarda — mówi tam Windakiewicz — i patetyczność dykcji jego porwały młodego sarmatę za sobą. Kościół Cię, Boże, nie ogarnie, zawołał, kto wie, czy nie patrząc na sklepienie kościoła Notre Dame?“ <sup>2)</sup>

Możnaby żywić wątpliwość, czy podobne argumenty mają moc przekonywującą i czyby się ostały wobec tak widocznie przedstawionych i uzasadnionych dowodów, jak np. Dobrzyckiego.

\* \* \*

Resumując teraz powyższe uwagi, należy stwierdzić, iż jako pewien rodzaj literacki — typ monografji psychologicznej, prztem syntetycznej — monografie te są świetne. Autor w zupełności osiągnął cel, do którego zmierzał, odtworzył i ożywił postaci twórców, zbliżył i zaznajomił dokładnie czytelnika z Rejem, z Kochanowskim, ze Skargą. Po przeczytaniu jego monografij stają się oni jacyś bliscy, znani, swoi, — żywi ludzie.

Świetną też jest bezwątpienia i budowa monografij, rozkład materiału, jasność i przejrzystość konstrukcji.

Co do metod dowodowych, co do uzasadniania swych tez i ustosunkowania się do poglądów innych historyków i krytyków literackich, nie wydaje się, aby tu wszystko było bez skaz.

<sup>1)</sup> *Jan Kochanowski*, str. 35.

<sup>2)</sup> *Ib.* str. 51.

Marja Dunajówna.



## Średniowieczni opaci klasztoru wąchockiego.

(Dokończenie)

Następcą Gotfryda został opat Mikołaj III, zwany Mikoszem. Nie jest to właściwie przydomek, lecz skrócona, zeslawizowana forma imienia Mikołaj; okoliczność powyższa przemawia silnie za polskiem pochodzeniem tego opata. Objął on rządy w Wąchocku przed 4 czerwca 1426, stał zaś na czele klasztoru mniej więcej do r. 1443.<sup>1)</sup> Mikosz odznaczał się również dbałością o sprawy gospodarcze opactwa. On to wystarał się u Jagiełły o przywilej targowy dla miasta Kazimierza w r. 1426, sześć lat później przeprowadza doniosłą dla rozwoju dóbr klasztornych transakcję, zamieniając posiadłości łączyckie opactwa na Waśniów i Jeżów. Dalej wykupił w r. 1434 sołectwo w Olchawie od Jana, dziedzica z Trąbek, w którego ręce przeszło ono po śmierci kanonika Jana Falkowskiego. Wreszcie za jego zdaje się rządów sfabrykowano drugą redakcję przywileju z r. 1260 celem lepszej obrony praw immunitetowych opactwa oraz stanu posiadania klasztornego w Dołuszycach i Olchawie.

Jak inni opaci, tak i Mikosz musi toczyć liczne procesy czyto z szlachtą okoliczną (Maciej z Krzyszkowic, Małgorzata, Anna, Śmichna, Katarzyna, Jan, Klemens i Henryk z Chomątowa),<sup>2)</sup> czyto z mieszczanami (Dorota z Iłży),<sup>3)</sup> czy nawet z kmieciami (Jakób z Orańska. Stanisław z Zbijowa).<sup>4)</sup>

Z pośród tych procesów wyróżniają się dwa; jeden prowadzono z Grotem z Kozic o granicę i jakąś posiadłość położoną

<sup>1)</sup> Zob. niżej.

<sup>2)</sup> Terr. Rad. I, 410', 414; III, 135', 162', 165', 499, 499' 505.

<sup>3)</sup> Ib. III, 460'.

<sup>4)</sup> Ib. I, 550; III, 374 376'.

między wsiami Jabłonicą a Sulistrowicami — Zawonią,<sup>1)</sup> drugi zaś proces, raczej parę procesów toczono z Warszem z Dąbrówki albo z Olszamowic i jego synem Jakóbem. Szło tu przedewszystkiem o regulację granic, ale na tem tle dochodziło do ostrych zatargów między obydwoma stronami i ich poddanymi, które kończyły się nawet krwawemi bójkami. Spory te załatwiono ugodowo 4/VI 1437, przyczem opat zobowiązał się wycofać z sądu wszystkie sprawy sporne z wyjątkiem granicznych;<sup>2)</sup> ugodę tę obwarowano zakładem 60 grz. Opat jednak nie spełnił widocznie zobowiązania, skoro tego samego roku (1 października) procesuje się Warsz o wspomniany zakład z Piotrem z Świnowa, który poręczył za Mikosza.<sup>3)</sup> Ostateczną ugodę zawarł opat Mikołaj z synem Warsza, Jakóbem 5/VI. 1442,<sup>4)</sup> a następca jego umorzył wszystkie sprawy sporne z samym Warszem 19/XI. 1443.<sup>5)</sup> Opisany spór z Warszem wykazuje parę ciekawych momentów. I tak na roczku radomskim z 16/VII. 1436 r. zakwestjonował pełnomocnik opata ważność pozwu ze strony Warsza, ponieważ tenże był opatrzony nie pieczęcią ziemską, lecz Jakóba wicenotarjusza ziemskiego.<sup>6)</sup> Musiał mieć też Warsz swoich popleczników między poddanymi opactwa, skoro w r. 1442 skarży go opat Mikołaj, że syn Warsza Jakób odbił z więzienia w posiadłości cystersów wachockich, Wierzbicy poddanego klasztoru Piotra Piszczka.<sup>7)</sup> Drugi syn Warsza Grot dopuścił się około 1440 r. w Wierzbicy innego gwałtu; dostał się mianowicie przemocą do domu wójta i pobił tam wdowę po Jaśku z Wierzbicy, zadając jej trzy sine rany.<sup>8)</sup>

Następcą Mikosza został opat również imieniem Mikołaj. Ta okoliczność utrudnia dokładne określenie daty zejścia Mikosza i objęcia rządów przez nowego opata. Przychodzi nam wszakże z pomocą wzmiankowany wyżej dokument z 18/II. 1444. Oповіда on, że Rafał z Skrzynna pozwał opata Gotprzyda, potem przypozwał opata Mikosza, wreszcie przypozwał obecnego opata.

1) Terr. Rad. I. 550', 565' 574, 579'.

2) Ib. III, 467.

3) Ib. III, 464'.

4) Ib. II, 293'.

5) Ib. II, 303'.

6) Ib. III, 7'—8.

7) Ib. III, 72.

8) Ib. III, 115.

Ten stwierdził na wiecu sądowym w Radomiu, że pozew był nieformalny, bo brakowały w nim daty. Twierdzenie to udowadnia świadkami na następnym wiecu radomskim w lutym 1444 i uzyskuje na tej zasadzie pomyślny dla klasztoru wyrok.<sup>1)</sup> Z tego opowiadania wynika, że nowy opat Mikołaj IV objął władzę w klasztorze na jakie kilka miesięcy przed ostatnim wiecem sądowym radomskim roku 1443.

Od śmierci czy ustąpienia Mikosza aż do 10 lipca 1464 r. spotykamy w źródłach stale opata wąchockiego Mikołaja. Istnieją jednak pewne poszlaki, że pod tem jednym imieniem ukrywa się dwóch opatów; jednym byłby Mikołaj Raduński,<sup>2)</sup> drugi Mikołaj zwany Rzigą, albo Besigą,<sup>3)</sup> przyczem zaznaczyć należy, że ten ostatni jest postacią zupełnie historyczną, podczas gdy istnieje-

<sup>1)</sup> (Arch. Główn. IV, 3, 4, 1982 i zapiska sądowa z tej samej daty, co dokument t. j. 10/II. 1444. Dowiadujemy się z niej że inkryminowany pozew był bez daty, co stwierdzili świadkowie przed wiecem (Terr. Rad, II, 414).

<sup>2)</sup> Wedle katalogu opatów nastąpił po Mikoszu opat Mikołaj Rzyga, a ponim Mikołaj Raduński h. Habdank. Wiadomość ta jest bałamutna, gdyż po Mikołaju zwanem Rzigą rządził w klasztorze opat Jakób, a ponim Jan, wobec tego na Mikołaja Raduńskiego niema miejsca. Z drugiej strony ze względu na bardziej konkretne wiadomości katalogu o Mikołaju Raduńskim trudno przypuścić aby postać jego była kompletnie fikcyjną tak, jak osoby wielu poprzednich opatów katalogu. Trzeba więc zidentyfikować Mikołaja Raduńskiego, albo z opatem Jakóbem, albo z Mikołajem Rzigą, albo też należy przypuścić, że w katalogu pomyłono się co do następstwa dwóch Mikołajów; w takim razie trzeba by wsunąć Mikołaja Raduńskiego między Mikosza a Mikołaja Rzigę. W zapiskach sądowych mogłaby się taka zmiana opatów zupełnie nie zaznaczyć, ze względu na identyczność imienia. Przecież jedynie dzięki dokumentowi z 1444 r. udało się w przybliżeniu rozgraniczyć okresy rządów opata Mikosza i jego następcy. Z drugiej strony można przytoczyć pewne wskazówki, które przemawiają za identycznością Raduńskiego i Rzigi. I tak późniejsza tradycja klasztorna (zaznaczona po raz pierwszy w katalogu opatów w formie dopiski „Primus Polonus”) uważała Raduńskiego za pierwszego opata Polaka i zaliczyła go do rodu Awdańców; Rzigą zaś był niewątpliwie Polakiem i szlachcicem (zob. niżej). Co więcej, na początku XIX w. wisiał jeszcze w kurytarzu klasztorным portret Raduńskiego, oznaczony datą 1461 (ks. Wiśniewski, Monografie kościołów dek. iłżeckiego str. 557). Ciekawa rzecz, że ten sam rok podaje relacja opata Michała jako datę śmierci Mikołaja Rzigi. Wszystko to daje dużo do myślenia, choć pewnego dowodu tożsamości nie stanowi.

<sup>3)</sup> *Rziga* u Długosza L. B. III, 402; *Besiga* w kazaniu opata Michała M. P. H. VI, 588, w katalogu opatów brzmi ten przydomek Rzyga.

nie pierwszego, jako odrębnej osoby od Mikołaja Rzigi (nie jest wykluczona identyczność obydwu Mikołajów), można tylko hipotetycznie przyjąć. Jeżeli między tym ostatnim a Mikoszem nie było żadnego Mikołaja, to Rziga rządził przeszło 21 lat, w przeciwnym razie jakiś czas krócej. Ponieważ ewentualnych rządów Raduńskiego nie można czasowo określić nawet w przybliżeniu, przeto cały omawiany 21-letni okres dziejów opactwa ujmując w jedną całość, jako czasy rządów Rzigi z tem zastrzeżeniem, że wydarzenia z pierwszych lat tego okresu można ewentualnie przypisać działalności Raduńskiego.

O życiu i charakterze Mikołaja Rzigi mamy współczesną niemal relację w jednym kazaniu opata świętokrzyskiego Michała, przechowanym w rękopisie z XV w.<sup>1)</sup> — Przedstawia ona tego opata wachockiego w najczarniejszych barwach, jako bezwstydneho i rozwiązłego bezbożnika, kłótliwego pijanice, i zapalonego myśliwca, wogóle jako zupełnie zeświecczonego człowieka, którego odzienie tylko czyniło mnichem. Lubował się on w zbytku, skąpił jałmużny ubogim, tych zaś, którzy po nią przychodzili wedle zwyczaju do klasztoru, lżył obraźliwymi słowami, a nawet czynnie znieważał; braci, którzy dawali ubogim resztki pożywienia, zamykał do karceru lub wydalał z klasztoru. Dobra opactwa trwonił na zabawy z nierządnicami i szlachtą, na kuglarzy i trefnisiów, a zakonnikom udzielał skąpo tylko na najkonieczniejsze potrzeby, a czasem zgoła nic nie dawał. Opowiadanie kończy się opisem strasznej kary, jaka spadła na występneho opata. Urządził on w dzień św. Jakóba 1461 r. w klasztorze wielką biesiadę, połączoną z śpiewami i tańcami, na którą zaprosił szlachetnie urodzonych przyjaciół i sąsiadów swoich obojga płci. Otóż w czasie uczty zjawił się szatan w postaci szkaradnego Etyjopczyka, wziął opata w oczach wszystkich biesiadników za kark i unióś w powietrze jak rękawiczkę.

Jak widzimy, całe to opowiadanie odznacza się wybitną tendencyjnością, a groteskowa anegdota końcowa o porwaniu opata przez diabła nie przyczynia mu też wiarygodności. Musimy tedy poddać powyższą relację ścisłej kontroli przy pomocy innych źródeł, które na szczęście dochowały się w dość znacznej ilości.

Przedewszystkiem należy zakwestjonować zarzut opata Mi-

---

<sup>1)</sup> M. P. H. VI, 588—589.

chała, jakoby Rziga trwonił majątek klasztorny, przeciwnie widzimy u niego naogół taką samą dbałość o rozwój gospodarczy klasztoru, jak u innych opatów wąchockich XV w. Wprawdzie na początku swych rządów 19 XI. 1443 r. oddaje on wieś Wawrzyszów w dożywocie Ściborowi z Klonowa i żonie jego Małgorzacie, wzamian za co wypłacili mu małżonkowie z góry 100 grz.,<sup>1)</sup> ale równocześnie spłaca dług klasztoru u Jana z Pakosławia w kwocie 90 grzyw.<sup>2)</sup> Transakcja z Ściborem wydaje się więc zupełnie racjonalną, tem bardziej, że zaraz potem pożyczka opat temuż samemu Ściborowi 17 grz. na krótki termin.<sup>3)</sup> Takich krótkoterminowych, niewielkich pożyczek udziela opat kilkakrotnie okolicznej szlachcie, a zawsze zabezpiecza sobie rychłą egzekucję należności przez deklaracje dłużników, że pierwszy termin sądowy ma być uważany jako zawity, a także przez kary umowne za dopuszczenie do procesu wogóle.<sup>4)</sup> Nie długo też pozostawił Mikołaj wieś Wawrzyszów w prywatnych rękach; wkrótce po śmierci Ścibora z Klonowa wydostał ją od wdowy po nim, Małgorzaty i Jana Zdunkowskiego, który dzierżył Wawrzyszów dożywotnio z ramienia Małgorzaty (29 stycznia 1454). Wzamian za dożywocie w Wawryszowie odstąpił opat Małgorzacie dożywotnio dziesięciny klasztorne w Guzowie i Ciepłej; gdyby który łań leżał odłogiem, to ubytek dziesięciny z tego powodu ma opat wynagrodzić, a ponadto dawać stóg żyta w Zalesicach.<sup>5)</sup> Rozdawanie dziesięcin ludziom świeckim — rzecz zdrożna z punktu widzenia prawa kościelnego — ma w tym wypadku pewne gospodarcze uzasadnienie. Podobnież nadanie dziesięciny w Jeżowie dla Jana z Bostowa<sup>6)</sup> nie było ze strony opata Mikołaja jakimś aktem nielegalnej szczodrości, spowodowanej czysto osobistymi czy

1) Terr. Rad. II, 301'.

2) Ib. 301.

3) Ib. 302.

4) Ib. IV. 222, 234, 239, 300, 337.

5) Ib. IV, 307—307'. — Dziesięcina w Guzowie znajdowała się poprzednio również w rękach szlacheckich, mianowicie Dersława z Zbożowa i jego żony Małgorzaty. W stosunku do tej ostatniej odegrał opat Mikołaj rolę zachodźcy, gdy w r. 1451 po śmierci męża zapozwał ją brat Dersława, prepozyt Mikołaj z Suligostowa, zapewne z okazji podziału masy spadkowej (ib. IV, 244).

6) Reg. ur. 40. — Mimo zamiany z r. 1462 pozostała ta dziesięcina nadal w rękach Bostowskiego, który miał ją dzierżyć do końca życia swego

rodzinnymi względami; Jan Bostowski położył bowiem wielkie zasługi względem klasztoru wąchockiego, pełniąc często obowiązki jego pełnomocnika w licznych sprawach procesowych.<sup>1)</sup> Dopiero pod koniec rządów opata 10/I. 1464 r. spotykamy jeden wypadek, że Rziga zaciąga krótkoterminową pożyczkę w kwocie 21 dukatów węgierskich u Stanisława z Szydłowa.<sup>2)</sup>

Mamy też inne dowody troskliwości opata Mikołaja o dobrobyt materialny podwładnego sobie klasztoru. Zakłada on dwa starannie urządzone stawy w Wąchocku na rzece Kamiennej. Nad jednym z nich stanął młyn.<sup>3)</sup> Dalej wystarał się u Kazimierza Jagiellończyka o przywilej lokacyjny z 3/V. 1354 dla Wąchocka, podnosząc go do godności miasta. Kilka lat później uzyskał od tegoż króla zwolnienie od obornego dla wszystkich dóbr klasztornych. Najważniejszym jednak czynem gospodarczym opata była zamiana Mniszka za Jeżów w r. 1462. Prócz innych korzyści dla obu stron położyła ta transakcja kres sporom sąsiedzkim, które oddawna już toczyły się między prepozyturą w Mniszku i opactwem świętokrzyskiem z jednej, a klasztorem wąchockim z drugiej strony.<sup>4)</sup> Nie kto inny, ale opat Mikołaj nabył zapewne dla klasztoru połowę wsi Wilkocina i włączył ją do obszaru miasteczka Waśniowa, a następnie przeprowadził rozgraniczenie z dziedzicem reszty Wilkocina, Piotrem.<sup>5)</sup> Wogóle regulacji stosunków granicznych w dobrach opactwa poświęcił Mikołaj Rziga dość dużo uwagi i starań. O granice toczy on cały szereg procesów z różnymi sąsiadami. I tak z biskupem krakowskim Toma-

lub opata Mikołaja, względnie tak długo, dopóki bakałarz Piotr pozostanie na prepozyturze w Mniszku. Wobec rychłej śmierci opata Rzygi musiał Bostowski utracić wkrótce tę dziesięcinę.

<sup>1)</sup> Terr. Rad. III, 218; V, 63', 68, 95, 169', 224 i t. d.

<sup>2)</sup> Ib. IV, 632.

<sup>3)</sup> L. B. III, 402.

<sup>4)</sup> Patrz niżej.

<sup>5)</sup> Dowiadujemy się o tem wszystkim z dwóch dokumentów granicznych z 11/III i 13/VI. 1531 (Arch. Główn. w Warszawie, sygn. IV, 3, 4, 1922 i IV, 3, 4, 1991). Pierwszy z nich donosi, że poprzednicy ówczesnego opata Rafała Zaborowskiego przyłączyli połowę Wilkocina „ab antiquis annis” do miasta Waśniowa. Drugi zatwierdza ugodę zawartą między opatem wąchockim Mikołajem i Piotrem dziedzicem Wilkocina w sprawie rozgraniczenia Waśniowa od Wilkocina. Uгода ta miała być zapisana w księgach sądowych opatowskich pod datą 6/XII. 1464 za czasów urzędowania sędziego Piotra z Wieszuntowa i podsędka Jana z Stawoszowic.

szem Strzemińskim procesuje się w r. 1458 o rozgraniczenie Wierzbicy, Rzeczkowa i Osin od Woli Lepienickiej, Lepienic, Rogowa i Mirowa, tudzież o granicę Mirzca i Osin z jednej, a Tychowa, Wszeradzic, Małyszyna i Woli Lipie z drugiej strony.<sup>1)</sup> Ponadto konstatujemy liczne nieraz przewlekłe procesy z okoliczną szlachtą, a więc z dziedzicami Chomątowa: Zbigniewem Sochą,<sup>2)</sup> Janem synem Puszcza wraz z siostrzeńcem również Janem,<sup>3)</sup> dalej Tomaszem, Dersławem, Stanisławem zwanym „Thabas“, Mikołajem Sekulą, Anną i Katarzyną;<sup>4)</sup> następnie mamy spory z Bartoszem z Polutowa,<sup>5)</sup> Anną i Katarzyną z Smagowa,<sup>6)</sup> dalej ze Straszem i Dobiesławem z Chlewisk wraz z ich siostrzeńcem Dobiesławem Smagowskim,<sup>7)</sup> potem z Piotrem i Mikołajem zwanym Dzik z Guzowa,<sup>8)</sup> wreszcie z Mikołajem Orlikiem z Łazisk.<sup>9)</sup> Z tym ostatnim doszło w r. 1461 do ugody, która określiła przebieg granic między Chronowem a Łaziskami.<sup>10)</sup> Udało się też opatowi doprowadzić do porozumienia z licznymi dziedzicami

Jednakże powyższa data jest niemożliwą, gdyż opatem wąchockim był już wtedy Jakób, a ponadto obaj wymienieni urzędnicy piastują swe godności razem tylko w latach 1440—1444 (K. Mp. IV, 1363, 1468). Należy więc czas zawarcia umowy przesunąć o jakie 20 lat wstecz. W każdym razie owym wspomnianym w dokumencie kontrahentem był zapewne opat Mikołaj Rziga. On też prawdopodobnie (albo jego bezpośredni poprzednik) nabył wspomnianą połowę Wilkocina; transakcja ta bowiem mogła dojść do skutku dopiero po r. 1432, kiedy to Waśniów przeszedł na własność opactwa wąchockiego.

<sup>1)</sup> Terr. Rad. III. 222'. — Na mapie, dołączonej do mojej monografii Wąchocka zaliczyłem mylnie Małyszyn i Lipie do grupy osad, powstałych w czasach nowożytnych.

<sup>2)</sup> Ib. I, 198; IV, 543, 543'; V, 68, 92'.

<sup>3)</sup> Ib. I, 198; V, 68, 95. — Od Puszcza przybrała ta część Chomątowa przydomek Puszczołów (Kop. wach. str. 86 i n.), który utrzymał się do dnia dzisiejszego. Zapiska sądowa z 26/VII. 1462 zwie ją, „Chomątów Puszczołowski“ (Terr. Rad. IV. 543).

<sup>4)</sup> Ib. I, 204—204'; III, 218; IV, 516, 543, 553', 558; V, 68, 86, 94', 95.

<sup>5)</sup> Ib. V, 103, 158'.

<sup>6)</sup> Ib. V. 36, 65', 160.

<sup>7)</sup> Ib. III. 197.

<sup>8)</sup> Ib. I, 200; V, 93, 62.

<sup>9)</sup> Ib. I, 191; V, 92, 67. — Czasem proces toczy się o inne sprawy tak np. Zbigniew z Kuńczyc (dziś Kończyce) chciał mieć wolny przejazd przez wieś Chronów do młyna, należącego do jego wójtostwa (ib. II, 473).

<sup>10)</sup> Kop. wach. str. 74.

cami Strzałkowa, a mianowicie z mistrzem Bernardem i jego braćmi, Pawłem, Janem i Krystynem oraz z szlachetnie urodzonymi Michałem, Andrzejem, Albertem, Janem, Piotrem Wojskowiczem, Klemensem Gertigą(?), Albertem Boguchwałowiczem, Piotrem i Janem, synami Kukły, tudzież Pawłem i Janem, synami Bogusława. Dowodem tego porozumienia był dokument z 11/V. 1456, który oznacza i wznawia granice między wsiami klasztornymi, Wawrzychowem i Chronowem a Strzałkowem od drogi, łączącej Strzałków z Wolą Zabłotną aż do narożnika wsi Garno.<sup>1)</sup> Natomiast terytorja wspomnianych wsi na północ od wzmiankowanej drogi nie zostały objęte rozgraniczeniem z r. 1456. Posiadali tam swe działki po stronie Strzałkowa trzej wymienieni wyżej bracia Paweł, Jan i Krystyn. Opat nie mógł zdaje się dojść z nimi do zgody w sprawie granicy na tym odcinku, uciekł się więc do gwałtu. W licznym orszaku szlachty i chłopów poddanych w łącznej liczbie około 120 ludzi zjechał Mikołaj na sporne terytorjum i pod osłoną tej zbrojnej gromady przeprowadził rozgraniczenie, oczywiście w myśl własnych pretensyj, przyczem usypano razem 120 kopców, od strony Pawła 30, Jana 40, a Krystyna 50 kopców.<sup>2)</sup> Stało się to prawdopodobnie w r. 1460, gdyż 21 paździer-

<sup>1)</sup> Teki Prof. Bujaka.

<sup>2)</sup> Całą powyższą koncepcję opieram na następujących danych. Dokumenty z 14/X. 1465 (Teki Prof. Bujaka) nie wspominają o zniszczeniu starych kopców, tak jak to nieraz bywało w podobnych wypadkach (*prodestruccione quinque monticulorum*, Terr. Rad. III, 467); owszem skarga Jana Pawłowicza zarzucała opatowi, że nie chciał sypać granic na spornym terytorjum, co wskazuje, iż nie było ono jeszcze rozgraniczonem. Nie może więc chodzić w tym wypadku o przesunięcie granicy ustalonej w r. 1456. Otóż taki nie rozgraniczony odcinek pogranicza między dobrami wachockimi a Strzałkowem mógł się znajdować jedynie na północ od drogi z Strzałkowa do Woli Zabłotnej. Stąd zaczyna trasę graniczną dokument z r. 1456, ale nie mówi bynajmniej, żeby tam stał narożnik innej sąsiedniej wsi. Ale to dowód tylko negatywny; pozytywnie przemawia silnie na korzyść powyższego wniosku ta okoliczność, że klasztor darowuje dziedzicom Strzałkowa w r. 1511 zagajnik, położony w tamtej właśnie stronie, na pograniczu wsi Woli Kowalskiej (Wolanowa) i Bieniądzic. Darowizna ta, nieumotywowana żadnem świadčeniem ze strony Strzałkowskich, stanowi prawdopodobnie rekompensatę za krzywdę, wyrządzoną tym ostatnim przez opata Mikołaja, i miała zapewne na celu położyć kres zatargom sąsiedzkim przez częściowe przynajmniej zaspokojenie pretensyj Strzałkowskich na tym spornym od pół wieku przeszło odcinku (zob. niżej).



nika tego roku toczy się już ta sprawa przed sądem ziemskim w Radomiu.<sup>1)</sup> Rziga musiał się zapewne zręcznie bronić, więc spór przewlekał się, przechodząc przez różne sądy, ziemski, królewski i podkomorski, aż wreszcie zakończyła się po pięciu latach. pomyślnym dla klasztoru wyrokiem podkomorzego sandom. Piotra z Morawian z 14/X. 1465 wskutek nieobecności powodów na ostatniej rozprawie sądowej.<sup>2)</sup> Sukcesu tego opat Mikołaj już nie doczekał, ale niezawodnie go przygotował, gdyż umiał zręcznie operować kruczkami procesowymi, jak o tem świadczy wyrok z r. 1444. Cała omawiana sprawa rzuca niezbyt korzystne światło na charakter Rzigi; ponadto mamy jeszcze inne wskazówki źródłowe, które uwydatniają jego niepowściągliwość i gwałtowne usposobienie. Naganił on niesłusznie szlachectwo Mikołajowi Orlikowi z Łazisk. Sąd skazał go 28/IV. 1450 na zapłacenie 3 grzywien i dał Orlikowi woźnego celem ciążenia opata, który nie chciał widocznie kary zapłacić, Rziga jednak odbił ciężę siłą, narażając się na nową karę w wysokości 3 grzywien.<sup>3)</sup> Spotykamy się nawet z jeszcze cięższem oskarżeniem. Mianowicie Mikołaj z Dąbrówki pozywa opata o zabójstwa, popełnione na ojcu swym Jakóbie, którego miał Rziga zabić z 10 pomocnikami. Widocznie mimo ugody z 1443 r. ponawiały się jeszcze zatargi między dzieźdzącami Dąbrówki a klasztorem wąchockim, przybierając czasem tragiczny obrót. Sąd odrzucił skargę Mikołaja z Dąbrówki 14/X. 1449;<sup>4)</sup> niewiadomo więc, czy zabójstwo Jakóba dokonane zostało istotnie za wolą i wiedzą opata, w każdym razie fakt ten rzuca ponury cień na okres rządów Mikołaja Rzigi. Natomiast za dodatnie rysy tych rządów uważać należy (poza wspomnianą dbałością o sprawy gospodarcze) większą niż dotychczas troskliwość o wykształcenie mnichów; za opata Mikołaja pierwszy scholar wąchocki pojawia się na uniwersytecie krakowskim.<sup>5)</sup> Dalej zaliczyć tu można próbę reformy, podjętą przez opata koprzywnickiego Mikołaja,<sup>6)</sup> a poniekąd też przestrzeganie przywilejów

<sup>1)</sup> Terr. Rad. V, 63'.

<sup>2)</sup> Ib. V. 95, 124, 224, 224', 249, 269, 270', 273', 298, 298', 321', 342. 354', 395, 401', 409, 424; Teki Prof. Bujaka.

<sup>3)</sup> Terr. Rad. IV. 213, 217'.

<sup>4)</sup> Terr. Rad. IV. 177'.

<sup>5)</sup> Album studiosorum univers. Crac, I. 121' (r. 1449).

<sup>6)</sup> Teki Prof. Bujaka.

immunitetowych. Gdy bowiem mieszczanin radomski Jan Czechota zapoznał Rzigę w r. 1460 przed sąd ziemski, opat zażądał przez pełnomocnika przekazania tej sprawy do sądu duchownego, gdyż nie chodziło w tym wypadku ani o dziedzinę, ani o granicę.<sup>1)</sup>

Gdy tedy porównamy obraz życia Mikołaja Rzigi, jaki wyłania się z bezstronnych źródeł, z jego charakterystyką, daną przez opata Michała, to zobaczymy, że ta ostatnia grzeszy grubą przesadą, ale zawiera też dość znaczną dozę prawdy. Opatowi Mikołajowi była istotnie obcą pokora mnisza; on czuł się przede wszystkim szlachcicem, którego bujny temperament nie kępował się więzami prawnymi i nie umiał opanować wybryków gwałtownego gniewu. Zarzut zeświecczenia jest więc naogół uzasadniony. Innych zarzutów (pijaństwo, rozwiązłość, skąpstwo) nie można skontrolować, nie jest wszakże wykluczonem, że Rziga te wady posiadał, tylko zapewne nie w tym stopniu, w jakim mu je relacja opata Michała przypisuje. Zarzut skąpstwa względem mnichów ma może tyle uzasadnienia, że Mikołaj przypuszczalnie nie wypełniał ściśle świadczeń na rzecz konwentu, do jakich był obowiązany na zasadzie ugody co do wewnętrznego podziału dóbr klasztornych.

Cała opisana wyżej tendencyjność, ujawniona w kazaniu opata Michała, tłumaczy się silnym antagonizmem między obydwojma współczesnymi sobie opatami, który płynął z różnych pobudek. Pomijając możliwą animozję osobistą, wchodziła tu najpierw w grę rywalizacja dwóch pokrewnych zakonów,<sup>2)</sup> reprezentowanych w tym wypadku przez dwa sąsiednie klasztory, które miały częstokroć sprzeczne ze sobą interesy gospodarcze, ponadto grały tu, zdaje się, pewną rolę przeciwieństwa stanowe i narodowe. Mikołaj był Polakiem i szlachcicem,<sup>3)</sup> jak to wyraźnie akcentuje opat Michał, podczas gdy ten ostatni pochodził z Kleparza, prawdopodobnie z niemieckiej rodziny mieszczańskiej.<sup>4)</sup>

<sup>1)</sup> ...*ex quo non est causa hereditaria neque pro grianiciis* (Terr. Rad. V, 31). Sprawę oddano do zapytania „ad dominum iudicem” i przed nim miała się toczyć w dalszym ciągu (ib. 41’). Opat postawił zdaje się na swoim, gdyż sprawa ta znika następnie z aktów sądowych radomskich.

<sup>2)</sup> Por. ks. Fijałek, *Mistrz Jakób z Paradyża* 150—151.

<sup>3)</sup> W razie tożsamości z Mikołajem Raduńskim należałoby Rzigę do rodu Awdańców; por. Niesiecki *Herbarz* VIII, 26.

<sup>4)</sup> Por. ks. Fijałek *op. cit.* II, 11 uwaga.

Jeszcze jedną nieścisłość można wykazać relacji opata Michała; oto myli się ona co do daty rocznej śmierci Mikołaja, który żyje jeszcze niewątpliwie w r. 1461. Natomiast wiarygodną jest data dzienna jego zgonu, mianowicie 25 lipca. Opat Mikołaj występuje bowiem po raz ostatni w źródłach 10 lipca 1464,<sup>1)</sup> zaś 2 października tegoż roku spotykamy już jego następcę Jakóba;<sup>2)</sup> zatem data 25 lipca podana w kazaniu opata Michała, zgadza się doskonale z powyższymi danymi. Ponieważ zapiska sądowa, skreślona na dwa tygodnie przed śmiercią Rzigi nie wspomina zupełnie o jego chorobie, więc wolno przypuścić, że opat chorował krótko, a może nawet umarł nagle. Ta ostatnia ewentualność wydaje się szczególnie prawdopodobną, gdyż nagła śmierć Mikołaja mogła łatwo uchodzić w opinii ogółu za widomy znak kary bożej, a stąd mogło czasem urosnąć podanie o diabla, porywającym występnego opata żywcem do piekła.

Następca Mikołaja Rzigi na opactwie wachockim Jakób objął po nim dość ciężki spadek w postaci rozlicznych spraw spornych z sąsiadami, z których niektóre były silnie zaognione wskutek popędliwości Mikołaja. Jakób zajął się gorliwie likwidacją tych zatargów bądźto przez obopólną ugodę, bądźto drogą wyroku sądowego. W trudnej sprawie z Strzałkowkami doprowadził po całorocznem jeszcze prawowaniu się do pomyślnego rezultatu. Jednakże wyrok z r. 1465, sankcjonujący gwałt, popełniony przez opata Mikołaja, nie sprowadził uspokojenia umysłów; to też Jakób przez cały czas swych długich rządów nie miał spokoju od Strzałkowskich.<sup>3)</sup> Zato cały szereg innych zatargów sąsiedzkich, nie załatwionych przez Mikołaja, udało się opatowi Jakóbowi załagodzić drogą polubowną. I tak po długich sporach za rządów swego poprzednika i swoich własnych<sup>4)</sup> przeprowadza on nareszcie w latach 1466 i 1467 regulację granic między dobrami klasztoru a wsią Chomątowem, która rozpadała się już wtedy na trzy odrębne części: Chomątów Wielki, Ch. Ilików i Ch. Puszczów.<sup>5)</sup>

<sup>1)</sup> Terr. Rad. 321'.

<sup>2)</sup> Ib. 342.

<sup>3)</sup> Ib. III, 488', 545', 616, 625; V, 432', 449'. — Spory te trwają jeszcze po śmierci Jakóba (ib. III, 931). Nie tylko poszkodowani w r. 1465, ale także inni dziedzice Strzałkowa procesują się czasem z klasztorem (ib. III, 539, 548).

<sup>4)</sup> Ib. V, 360, 361, 400', 402'.

<sup>5)</sup> *Kopiarz wachocki* str. 85—89.

Ugoda ta kosztowała opata niezawodnie wiele trudu, gdyż Cho-  
 mątów posiadał licznych właścicieli. W Chomątowie Wielkim sie-  
 dzą w latach 1466 i 1467 Stanisław Thabasz, Tomasz Wnuk  
 i Stanisław Szeliga,<sup>1)</sup> w Chomątowie Ilikowie bracia niedzielni  
 Stanisław i Jan, synowie Zbigniewa Sochy, którzy po ojcu odzie-  
 dziczili ten przydomek,<sup>2)</sup> tylko w Chomątowie Puszczowie spo-  
 tykamy jednego dziedzica Jana. Łatwiej, zdaje się, poszło z dzie-  
 dzicami sąsiedniej wsi Bukowca, braćmi niedzielnymi Stanisławem  
 i Mikołajem, ale i tu nie obeszło się bez trudności. Zapiska są-  
 dowa z 2 stycznia 1465, powiadamia nas o procesie wytoczonym  
 opatowi Jakóbowi przez Mikołaja z Małego Zdziechowa, tenu-  
 tarzusa wsi Bukowca, może opiekuna małoletnich właścicieli.<sup>3)</sup>  
 Sama też ugoda dochodziła, zdaje się, do skutku na dwa zawody,  
 gdyż dochowały się dwa dokumenty graniczne, zgodne zresztą  
 co do treści, jeden podkomorzego Piotra z Morawian bez daty,<sup>4)</sup>  
 drugi podkomorzego Piotra Prawkowic z 28/VIII. 1466.<sup>5)</sup> Dalej  
 osiągnął opat Jakób w r. 1475 porozumienie z biskupem krak.  
 Janem Rzeszowskim co do regulacji i ustalenia granic między  
 posiadłościami biskupimi i klasztorami na długim odcinku od  
 Woli Lepienickiej i Rzeczkowa aż po narożniki dóbr szydło-  
 wieckich.<sup>6)</sup> W szczególności Derśław z Rytwian, wojewoda krak.  
 jako generalny superarbitr oznaczył ściśle granicę między Ro-  
 gowem i Mirowem a Rzeczkowem i Wierzbicą na podstawie  
 zeznań świadków i przywileju wójtostwa wierzbickiego; miała

<sup>1)</sup> Ponadto znają współczesne zapiski sądowe z lat 1464 i 1465  
 brata Tomasza, Derśława, ich siostry niedzielne Agnieszkę i Annę (l. c.  
 V. 360) tudzież Mikołaja Cholewę (ib. 400), lecz dokumenty z lat 1466  
 i 1467 nie wymieniają ich.

<sup>2)</sup> Przydomek ten przylgął następnie do ziemi przez nich dzierżo-  
 nej i dochował się dotychczas w nazwie tej części Chomątowa, podczas  
 gdy pierwotny przydomek Ilików, używany w XV w. (wedle zapiski  
 z 6/VIII. 1462 „Chomathow Ilikowsky”: l. c. IV, 543) zaginął z czasem.

<sup>3)</sup> Terr. Rad. V, 972.

<sup>4)</sup> Wystawiony w każdym razie po 25/VII. 1464, gdyż wymienia  
 opata Jakóba (Teki Prof. Bujaka).

<sup>5)</sup> Kop. wach. str. 92.

<sup>6)</sup> Arch. Kapit. Krak. nr. 495; kop. wach. str. 54—57, 93—94. —  
 Porozumienie poprzedzone jednak było procesem, którego ślad pozostał  
 w zapisce sądowej z 1470 r. (?) (l. c. V. 463).

ona, jak dawniej,<sup>1)</sup> iść wzdłuż tzw. Grzędy (Grzanda).<sup>2)</sup> Tego samego roku (31 sierpnia) doszło do wznowienia granic między posiadłością klasztorną Lisowem a wsią Mączyńcami, własnością Jana Mączyńskiego i Jana, zwanego Sampruch.<sup>3)</sup> Następnego roku (4 listopada) dokonano rozgraniczenia między tymże Lisowem a wsią Szawłowicami, która należała do klasztoru św. Andrzeja w Krakowie.<sup>4)</sup> Dwa lata później uregulowano granicę między posiadłościami opactwa Bzinem i Żyrcinem a wsią Blizinem, własnością braci niedzielnych Stanisława i Jerzego, tudzież wsią Mały Odrowążek, która należała do Jana Karśnickiego kanonika sandom. i plebana w Odrowążu oraz braci niedzielnych Dobiesława i Jakóba.<sup>5)</sup> Wreszcie w r. 1480 odnowiono dawne kopce i znaki graniczne pomiędzy dobrami opactwa a wsią Pakosławiem i młynem *in Trupyenye*, własnością braci niedzielnych Jakóba i Andrzeja.<sup>6)</sup>

Jak widzimy, położył opat Jakób wielkie zasługi około ustalenia i uregulowania granic posiadłości klasztornych. Dorównał mu później pod tym względem tylko Rafał Zaborowski, najznakomitszy opat wąchocki doby nowożytnej, żyjący w pierwszej połowie XVI stulecia. Dokumenty graniczne wystawione wówczas (na przełomie XV i XVI w.) miały postawowe znaczenie dla prawnego stanu posiadania klasztoru; powoływano się na nie jeszcze po upływie paru wieków.

Nie wszystkie jednak zatargi sąsiedzkie udało się opatowi Jakóbowi doprowadzić do pomyślnego rozwiązania. Tak np. w zaognionym stanie pozostawił on spór o rozgraniczenie prawego pobrzeża Oleśnicy. Granice posiadłości wąchockich i szlacheckich (Odrowążów) na tym obszarze znajdowały się przy końcu XV w. jeszcze w stanie płynnym z powodu silnego zabagnienia i lesistości terenu. Obydwie strony starały się wciągnąć tę okolice w sferę swych wpływów gospodarczych, próbując tam kolonizacji. Z tej rywalizacji wynikły pod koniec rządów opata Jakóba<sup>7)</sup> za-

<sup>1)</sup> Istniało tak jeszcze kilka starych kopców.

<sup>2)</sup> Kop. wach, str. 54—57.

<sup>3)</sup> Ib. 106 n.

<sup>4)</sup> Ib. 107 n.

<sup>5)</sup> Teki Prof. Bujaka — Co do Karśnickiego patrz niżej.

<sup>6)</sup> Archiwum Kapituły Krakowskiej ur. 605 i Kop. wach. str. 90 n.

<sup>7)</sup> Sporadyczne zatargi trafiały się już około r. 1470 (Terr. Rad. V. 484).

cięte spory. Mianowicie Piotr dziedzic z Pogorzała i Skarżyska założył na spornem<sup>1)</sup> terytorjum kuźnicę. Opat uważał to za naruszenie praw klasztoru, a gdy środki pokojowe zawiodły,<sup>2)</sup> użył gwałtu, aby tylko nie dopuścić do faktu dokonanego, który mógłby stanowić prejudykat na niekorzyść opactwa. Na czele zbrojnego oddziału, złożonego z 10 szlachty i 30 plebejuszów — zapewne poddanych klasztornych — najechał na wspomnianą kuźnicę, rozebrał ją do fundamentów włącznie, stopił części żelazne, a pozostały po tej niszczycielskiej robocie materiał wywiózł do Bzina. Stało się to prawdopodobnie pod koniec roku 1489, gdyż 26 stycznia następnego roku toczy się o to rozprawa przed sądem ziemskim w Radomiu.<sup>3)</sup> Ostateczny jej wynik nieznany. Sprawa stanowiła tylko epizod wielkiego sporu o rozgraniczenie prawego pobrzeża Oleśnicy między klasztorem a Odrowążami. Mniej więcej bowiem równocześnie toczy się kilka procesów granicznych pomiędzy opactwem a dziedzicami Skarżyska Włodyczego i Pogorzałego, mianowicie Janem Karśnickim, plebanem w Odrowążu, dalej Mikołajem, Piotrem, Janem, i Stanisławem.<sup>4)</sup> Z tymi ostatnimi prawuje się opat jeszcze po paru latach i uzyskuje 19/III. 1493 na nich kondemnatę za to, że nie chcieli przyzwolić na rozgraniczenie posiadłości obu stron.<sup>5)</sup> Powyższy spór graniczny z Odrowążami trwał jeszcze długo po śmierci opata Jakóba, załagodziła go częściowo ugoda z r. 1511, która oznaczyła granicę między Bzinem a Pogorzałem.<sup>6)</sup> Reszta spornego terytorjum doczekała się urzędowego rozgraniczenia dopiero w r. 1785.

W czasie swych długoletnich rządów musiał opat Jakób ucierać się często przed kratkami sądowymi z różnymi sąsiadami.

---

<sup>1)</sup> Wynika to z całokształtu sprawy, aczkolwiek Piotr utrzymywał, że tę część dziedziny posiadał i dzierży spokojnie oddawna.

<sup>2)</sup> Niema na to dowodu, przypuszczać jednak należy, że opat Jakób przed użyciem siły próbował wprzód załatwić sprawę pokojowo.

<sup>3)</sup> ... Quia ipsi (opat i konwent) violenter inequitassent cum decem coadiutoribus et triginta inferioribus balistis apprehensis in partem ipsius (Piotra) hereditatis quietam, quam ipse tenuisset ab antiquis temporibus quiete, fodissent cum predictis coadiutoribus ipsorum mineram ipsius, de qua fecissent ferrum et conduxissent, eam in domum ipsorum Bzyn... Terr. Rad. VII, 236.

<sup>4)</sup> Ib. III, 623', 635, 651', 652.

<sup>5)</sup> Ib. VII, 456'.

<sup>6)</sup> Kop. wach. str. 137 n.

Część tych procesów poznaliśmy; ponadto notują źródła spory z Krystynem z Sulistrowic,<sup>1)</sup> Bartoszem z Borkowic i Polutowa,<sup>2)</sup> Piotrem z Żukowa,<sup>3)</sup> Wawrzyńcem z Ziemaków,<sup>4)</sup> Jakóbem z Chronówka,<sup>5)</sup> Stanisławem i Jakóbem z Rudy,<sup>6)</sup> Janem Lambochem z Maleszowa,<sup>7)</sup> wreszcie z klasztorem miechowskim z powodu granic od strony Skaryszowa.<sup>8)</sup> Na wyróżnienie zasługują dwa procesy. Mianowicie 18/VI. 1482 uzyskuje opat kondemnatę na Stanisławie z Rudy za wycięcie przemocą 20 dębów oraz 200 klonów, jesionów i grabów w lesie klasztorным przynależnym do Zalesic.<sup>9)</sup> W drugim wypadku opat musi odpowiadać w r. 1490 za przestępstwo, popełnione przez domownika klasztoru, sukiennika, szlachetnie urodzonego Stanisława Trzaskowskiego, który wyszedłszy z dworu klasztorного w Zalesicach poranił i pobił z 18 współnikami Marcina z Woli Kołomyjskiej na drodze z Wierzbicy do Rzeczkowa.<sup>10)</sup>

Ochrona granic nie wyczerpywała całej działalności opata Jakóba; rozwijał on ją także na innych polach. I tak w r. 1467 uzyskał od Kazimierza Jagiellończyka przywilej targowy dla Waśniowa, dwa lata później wystarał się u tegoż króla o dyplom, który podnosił Wierzbicę do godności miasta, ustanawiał tam jarmarki i nadawał jej przywileje na wzór Wąchocka. Równocześnie mniej więcej z przemianą stanu prawnego nastąpiły w Wierzbicy przeobrażenia gospodarcze, mianowicie parcelacja folwarku klasztorного, połączona ze zmianami w rozdziale ziemi między poddanych klasztoru. Do czasów opata Jakóba lub jego poprzednika należy też odnieść parcelację folwarków w Olchawie i Dołuszycach. Natomiast nie rozwijał Jakób akcji kredytowej, sam również rzadko zaciągał pożyczkę. Znamy dwa takie wypadki. Naprzód pożyczyl opat 33 grz. od Jaksona z Bieniadcza w marcu 1479 r. z obowiązkiem zwrotu na najbliższe Boże Na-

<sup>1)</sup> Terr. Rad. V, 342, 350, 361, 433'.

<sup>2)</sup> Ib. V, 444.

<sup>3)</sup> Terr. Rad. V, 481.

<sup>4)</sup> Ib. III, 548'.

<sup>5)</sup> Ib. III, 609.

<sup>6)</sup> Ib. III, 612.

<sup>7)</sup> Ib. III, 631.

<sup>8)</sup> Ib. III, 511; V, 443'.

<sup>9)</sup> Notatkę z cytatem zgubiłem.

<sup>10)</sup> Terr. Rad. VII, 250.

rodzenie.<sup>1)</sup> Terminu widocznie dotrzymał, ponieważż Jakson umarza powyższy zapis dłużny na roczkach z 25/I. 1480.<sup>2)</sup> Nie tak sumiennym dłużnikiem okazał się opat wobec Jakóba Czyańskiego, rajcy bodzęcińskiego, któremu był winien 2 grzywny, skoro Jakób zaskarżył go przed sąd duchowny. Opat zlekceważył sobie zdaje się małego przeciwnika, gdyż wysłał na rozprawę mnicha Jana Mirzeckiego z ustnem tylko pełnomocnictwem. Sędzia uznał go zato nieobecnym (12/IV. 1480), lecz ze względu na obietnicę zapłaty, zgłoszoną przez Mirzeckiego, wstrzymał ogłoszenie kontumacji za zgodą powoda do 15 maja tegoż roku.<sup>3)</sup> Przykłady powyższe dowodzą, że około roku 1479 znalazł się klasztor chwilowo w ciężkiej sytuacji finansowej, skoro musiał się uciekać do małych krótkoterminowych pożyczek u sąsiedniej szlachty, a nawet u mieszczan.

Opat Jakób cieszył się zapewne zaufaniem kurji rzymskiej, skoro Paweł II poleca mu 30/X. 1467 r. zbadać niełatwy do rozwikłania spór o dziesięciny z nowizn między opactwem na Łysej Górze a plebanami kościołów parafjalnych w Stupi, Świętomarzu, Modliborzycach i Maninie.<sup>4)</sup> Wykonując mandat papieski, wezwał Jakób 5/XI. 1471 wspomnianych proboszczów, by się stawili w klasztorze świętokrzyskim 18 grudnia tegoż roku dla zbadania pomienionej sprawy.<sup>5)</sup> Dalszy jej przebieg nie jest znany.

Jakób musiał też stanąć w obronie naruszonych przywilejów klasztornych. Za jego to zapewne sprawą pociągnięto do odpowiedzialności przed sąd biskupi wójta wąchockiego Stanisława Kotowskiego (Cothowski) oraz rajców Jana Jugo (?) i Mikołaja kuśnierza za to, że Marcina z Malic, który schronił się do klasztoru, kazali wyciągnąć przemocą z kościoła w czasie nabożeństwa i skazali na śmierć przez poćwiartowanie. Za tak jaskrawe naruszenie kościelnego prawa asylu nałożył na nich sąd biskupi (23/IX. 1493) wysoką karę pieniężną w kwocie 20 grzywien.<sup>6)</sup>

Jak widzimy, był opat Jakób naogół dobrym gospodarzem,

1) Terr. Rad. VI, 354'.

2) Ib. VI, 389.

3) Arch. Konsyst. Krak., Acta episcop. III, 168.

4) Ks. Wiśniewski, Dekanat iłżecki str. 371 n.

5) Terr. Rad.

6) Acta episcop. IV, 102.



dbałym o prawa i przywileje klasztoru. Bardziej pojednawcze, niż u poprzednika, usposobienie, ułatwiło mu porozumienie z sąsiadami w rozlicznych sporach granicznych. Jednakże i on potrafił w razie potrzeby wystąpić energicznie i użyć siły z pominięciem drogi legalnej. Z pośród jego cech umysłowych zasługuje na wyróżnienie znajomość sztuki lekarskiej, którą praktykował również poza klasztorem, lecząc nawet za wynagrodzeniem zaможną szlachtę okoliczną. Za leczenie Piotra z Rudy otrzymał 8 grzyw. gotówką, konia wierzchowego wartości 6 grzyw., dalek łóżko i broń, mianowicie miecz, włócznię, kuszę z strzałami i innemi przynależnościami łącznej wartości 10 grzyw. Zapłata powyższa wydała się prawdopodobnie Piotrowi za wysoką, zaskarżył więc opata przed sąd ziemski, później jednak rozmyślił się, czy nie czuł się dość pewnym w swem prawie, dość że na rozprawę nie przybył i sprawa wskutek tego upadła.<sup>1)</sup>

Opat Jakób rządził klasztorem długo, bo blisko 30 lat; umarł lub ustąpił w czasie między 19 marca 1493, kiedy występuje po raz ostatni,<sup>2)</sup> a 10 czerwca 1494, datą pierwszego pojawienia się jego następcy, Jana Klecisz.<sup>3)</sup> Z rządami tego ostatniego wstępujemy w nowożytną dobę dziejów opactwa wąchockiego.

Na końcu tego szkicu zestawiam przypuszczalną listę średniowiecznych opatów wąchockich; obok imion podaję daty roczne ich występowania w źródłach.

|                             |                                 |
|-----------------------------|---------------------------------|
| Haymo ?                     | Mikołaj I . . . . . 1339.       |
| Gwido . . . . . 1206.       | Jan III . . . . . 1343—1350(?). |
| Hugo . . . . . 1219.        | Jan IV (Janusz) . . 1350—1354.  |
| Valo . . . . . 1234.        | Mikołaj II . . . . . 1364—1368. |
| Markusz . . . . . ?         | Adam . . . . . 1387.            |
| Marcin . . . . 1250—1274.   | Gotfryd (Gotprzyd) 1397—1425.   |
| Szymon . . . . . 1284.      | Mikołaj III (Mikosz) 1426—1443. |
| Jan I . . . . . 1285.       | Mikołaj Raduński . . . . . ?    |
| Idzi . . . . . 1288—1289.   | Mikołaj Rziga . . 1443(?)—1464. |
| Piotr . . . . . 1318.       | Jakób . . . . . 1464—1493.      |
| Jan II . . . . . 1325—1337. |                                 |

<sup>1)</sup> Terr. Rad. VI, 24'.

<sup>2)</sup> Ib. VII, 456'.

<sup>3)</sup> Ib. III, 933.

## DODATEK.

## Katalog opatów wachockich.

W dawnej cesarskiej Bibliotece Publicznej w Petersburgu znajdował się papierowy rękopis, oznaczony sygnaturą Lat. F. I. 536, a pochodzący ze skasowanego klasztoru cysterskiego w Wachocku (niedaleko Radomia). Rękopis ten niedawno rewindykowany z Rosji, przechowuje się obecnie w Bibliotece Uniwersyteckiej w Warszawie. Manuskrypt jest pisany siedmioma rękami od początku XVII do końca XVIII w. Zawiera on między innemi na kartkach 168—171 katalog opatów wachockich, na k. 176 opis stanu klasztoru wachockiego w r. 1765, na k. 179—182 odpisy trzech znanych skądinąd dokumentów klasztornych, mianowicie Bolesława Wstydlivego z r. 1260 i 1275 oraz Władysława Łokietka z r. 1318; wreszcie na k. 185—187 mamy ustęp pisany ręką XVII w. zatytułowany: *Powinność y danie wszystkie królowi Jego Mości, które są na imieniu Jego Mości X a Andrzeja Karwickiego, opata wachockiego, a które powinni są czynić y dawać poddani Jego Mości thak do skarbu, iako y do starostw albo Zamkow Jego królewskiej Mości 1576.*<sup>1)</sup> Najbardziej interesującym jest wspomniany na początku katalog opatów wachockich. Pełny tytuł zabytku brzmi: *Antiquum memoriale monasterii eiusdem Vanchocensium abbatum a tempore fundationis usque ad nostra tempora laudabiliter de hac vita decedentium, a fratribus domus eiusdum pro tempore abbatibus cuiusque existentibus in charta pargamenea conscriptum et prae annosa eius vetustate codici huic insertum anno Domini millesimo sexcentesimo nono.* Pod tym obszernym nagłówkiem mieści się spis opatów wachockich od założenia klasztoru aż do r. 1737. Główny pień katalogu, spisane w r. 1609, wyszedł z pod pióra jednego pisarza, ta sama ręka dopisała jeszcze współczesnego opata Hieronima Sokolikowskiego i jego następcę Charbickiego, późniejszych opatów zaciągali inne, współczesne ręce. Przy każdym opacie wymienienia katalog jego numer porządkowy w liście opatów i liczbę lat jego rządów. Na tej podstawie obliczył jakiś zakonnik (nie pisarz katalogu) daty śmierci, względnie ustąpienia poszczególnych opatów, biorąc za punkt wyjścia datę założenia klasztoru t. j. rok 1179, i daty te podpisywał na boku przy każdym opacie.<sup>2)</sup>

Prócz numeru porządkowego i lat rządów podaje katalog zazwyczaj krótkie wiadomości o opatach. O ile chodzi o średniowiecznych opatów, to wiadomości te ograniczają się przeważnie do kilku słów ogólnikowej pochwały dla zalet umysłu czy charakteru danego opata. Dopiero od początku XVI w. ożywają się charakterystyki opatów, stają się trochę obszerniejsze, bardziej szczegółowe i konkretne. Ten konwencjonalny charakter informacji naszego katalogu średniowiecznych opatów

<sup>1)</sup> Bardziej szczegółowy opis rękopisu u J. Korzeniowskiego, Zapiski z rękopisów cesarskiej biblioteki publicznej w Petersburgu i innych bibliotek petersburskich (Archiwum do dziej. Liter. i Oświaty w Polsce XI, str. 29—30).

<sup>2)</sup> Ten szczegół wprowadził w błąd Korzeniowskiego, który powiada o spisie opatów od 1212—1737. Tymczasem r. 1212 podany w katalogu nie oznacza początku rządów pierwszego opata, lecz jest to wykombinowana data jego śmierci czy ustąpienia.

każe się sceptycznie zapatrywać na ich wartość historyczną. Jeszcze większego doznamy rozczarowania, gdy porównamy imiona opatów katalogowych z wiadomościami, zaczerpniętymi z dokumentów i innych źródeł. Oto okaże się, że tylko czterech opatów średniowiecznych zgadza się co do imienia i mniej więcej co do lat rządów z analogicznymi opatami, poświadczonymi przez inne źródła. Są to opaci: Adam, żyjący pod koniec XIV w., dalej Mikosz, Mikołaj Rzyga i Jan Klecisz z XV w. Co do innych opatów z katalogu, to źródła wymieniają w odnośnym czasie zupełnie odmienne imiona opatów wąchockich.<sup>1)</sup> Również dopiero od początku XVI w. nie spotykamy niezgodności między informacjami katalogu a wiadomościami innych źródeł. Analiza wiarygodności naszego katalogu dała zatem niekorzystny dla niego wynik. Ta okoliczność każe nam powątpiewać o starożytności owej karty pergaminowej, z której pisarz katalogu miał go odpisać. O ile ta karta nie jest fikcją, to nie sięgała ona głębiej jak do pierwszej połowy XVI w. Wskazują na to bałamutne i nieścisłe informacje katalogu, jeszcze o ile chodzi o opatów z 2 połowy XV w.

Ponadto mamy w tym względzie ważną wiadomość Długosza. Przy opisie opactwa w Mogile podkreśla nasz dziejopis z uznaniem, że klasztor ten posiada katalog swoich opatów, poczem dodaje: *Omnibus enim aliis monasteriis Cracoviensis dioecesis, et ut verius eloquar, totius regni Poloniae, suorum patrum segni oblivione abolentibus nomina, id unum caefera ea prosperitate supergressum, ea in diem hanc concinnavit.*<sup>2)</sup> Z tego wynika, że poza opactwem mogińskim nie miał Długosz wiadomości o żadnym klasztornym katalogu opatów lub jakichś podobnych zapiskach w obrębie diecezji krakowskiej, a nawet całej Polski. Nie znaczy to wprawdzie, aby tego rodzaju zabytki wogóle wtedy nie istniały, jak o tem świadczy niedawno odnaleziona kronika klasztoru w Koprzywnicy, pochodząca z XVII w., ale oparta na jakiejś dawniejszej kronice z XV stulecia.<sup>3)</sup>

<sup>1)</sup> Oto imiona średniowiecznych opatów wąchockich wedle katalogu (obok każdego imienia podaje lata rządów, a w nawiasie wykombinowaną datę ustąpienia, czy śmierci): Haymo 23 (1212), Lambertus 15 (1227), Ignatius 9 (1236) Valerianus 14 (1250) Gothardus 5 (1255), Pancratius 9 (1264), Rudolphus 11 (1275), Melchhiades 9 (1284), Nasarius 5 (1289), Remigius 12 (1301), Hilarion 8 (1309) Januarius 6 (1315), Pontianus 10 (1325), Damasus 7 (1332), Bonaventura 9 (1341), Saturninus 13 (1354) Richardus 10 (1364), Adrianus 7 (1371), Bartholomaeus 3 (1374), Albertus 6 (1380) Martinus 9 (1389), Adamus 13 (1402), Vincentius 8 (1410), Remigius 11 (1421), Jacobus 11 (1446?), Nicolaus dictus Mikosz 4 (1450), Nicolaus Rzyga 19 (1469), Nicolaus Raduński de armis Habdank 16 (1495), Joannes Klecisz 16 (1501). Jak widzimy, daty wykombinowane są w dwóch miejscach pomyłone, po Jakóbie i po Janie Kleciszu. Pierwsze bałamutstwo tłumaczy się może opuszczeniem jakiego opata w katalogu, drugie spowodowała zapewne ta okoliczność, że datę zejścia i lata rządów następnego opata Piotra Borkowskiego pamiętano lepiej, trzeba więc było przedsięwziąć odpowiednią korekturę.

<sup>2)</sup> Lib. Ben. III, 423.

<sup>3)</sup> Informacja ustna od Dr. Z. Kozłowskiej — Budkowej; por. Wdowiszewski, Ród Bogorjów w wiekach średnich, Roczn. Herald. IX (1928), str. 5. — Również na wzorach średniowiecznych oparty był zdaje się katalog opatów jędrzejowskich, wydrukowany w dziele Sz. Starowolskiego: *Vita et miracula b. Vincentii Kadłubkonis Cracoviae 1642.* (por. M. P. H. V, 770), podobnież „*Menologium Olivense*“, którego fragment ogłosił W. Kętrzyński w M. P. H. IV, 136—139.

W każdym razie katalogi opatów i inne tego rodzaju zapiski musiały być wtedy w klasztorach małopolskich rzadkością.

Kombinując teraz ten rezultat z wynikiem analizy krytycznej katalogów opatów wąchockich, możemy przyjąć z wszelkiem prawdopodobieństwem, że w drugiej połowie XV w. nie było jeszcze w Wąchocku żadnego zabytku pisanego, dotyczącego dawnych opatów tego klasztoru. Najstarszy katalog wąchocki musiał zatem powstać później, nie wcześniej jak w pierwszej połowie XVI w. Autor jego czerpał widocznie tylko z tradycji ustnej. Dostarczyła mu ona dokładnych informacji jedynie o współczesnych i niedawno zmarłych opatach. Ale już co do opatów z XV w., tradycja ta zatraciła swą pierwotną świeżość, wiadomości jej stają się mętne i bałamutne. O ile zaś chodzi o czasy jeszcze dawniejsze, to tradycja powyższa przybiera zgoła legendarny charakter. Mnisi wąhoccy nie wiedzieli w XVI w. nic, albo prawie nic o swych najdawniejszych opatach, a że odczuwali tę lukę jako ujmę dla godności swego klasztoru, więc zapełnili ją odpowiednią ilością fikcyjnych imion rzekomych opatów. Nie stało się to zapewne odrazu, ale stopniowo i nawpół tylko świadomie. Ta fałszywa tradycja mogła się swobodnie rozwinąć i utrwalić dzięki brakowi zmysłu krytycznego u mnichów wąchockich; żadnemu z nich bowiem nie przyszło do głowy, żeby wiadomości tradycji skontrolować przynajmniej częściowo zapomocą najstarszych dokumentów, przechowywanych w archiwum klasztoru. Wkońcu autor pierwotnego katalogu spetryfikował ostatecznie tę błędną tradycję, przekazując ją na piśmie późniejszym pokoleniom.

Jak widzimy wartość źródłowa omawianego zabytku, o ile chodzi o średniowieczne dzieje klasztoru wąchockiego, przedstawia się nader skromnie, korzystać z niego można tylko w niewielkiej mierze i to bardzo ostrożnie. Dopiero dla czasów nowożytnych przynosi on nieco obfite i cenniejsze informacje. <sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Powyższy rozbiór krytyczny katalogu opatów wąchockich miał się ukazać osobno w „Silva Rerum” (patrz *Przegląd Powszechny* czerwiec, str. 329), ponieważ jednak czasopismo to przestaje niestety wychodzić z powodu trudności finansowych, przeto dołączono go w charakterze dodatku do niniejszej rozprawki.

Dr. M. Niwiński.

## Nowa praca Michała Bobrzyńskiego.<sup>1)</sup>

Pół zgorą wieku dzieli dwa pierwsze tomy „Dziejów Polski w zarysie” Michała Bobrzyńskiego od tomu trzeciego, obejmującego epokę porozbiorową, a jednak obie części dzieła robią wrażenie doskonałej całości organicznej, posagu z jednej bryły. Jedno to z najbardziej uderzających świadectw ciągłości rozwoju duchowego, zarazem niespożytej żywotności talentu, jakie spotykamy w nowszym piśmiennictwie. Rozpoczynając swoje *magnum opus* w trzydziestym roku życia, ujawnił już Bobrzyński zasadnicze cechy twórczości, sformułował najgłówniejsze metody swojej pracy historycznej; kończąc je obecnie dowiódł tej samej potęgi myśli, tych samych zalet pióra, które przed laty uczyniły zeń jednego z koryfeuszów polskiej nauki historycznej.

Pierwszem wrażeniem, jakie odnosi czytelnik po odłożeniu książki, jest nieklamany podziw. Sędziwy autor, który lwiał część swych studjów źródłowych poświęcił epoce piastowskiej i jagiellońskiej, przystępując w ósmym krzyżyku do opracowania historii porozbiorowej, wywiązał się z niezmiernie trudnego zadania w sposób mistrzowski. Opanowanie rozległego materiału gruntowne, wykład utrzymany na poziomie wysokim, niektóre części dzieła świetnością przedstawienia osiągają najwyższy stopień sztuki dziejopisarskiej. Określano Bobrzyńskiego częstokroć jako historyka par excellence politycznego, który wpatrzony jest przedewszystkiem w państwo. Zdawałoby się przeto, że położenie jego będzie niezwykle trudnem przy kreśleniu epoki porozbiorowej, epoki bytu bezpaństwowego. W pomoc przyszła autorowi

---

<sup>1)</sup> *Dzieje Polski w zarysie*. Tom III. Dzieje porozbiorowe. Warszawa 1931. Str. 442.

okoliczność, że był on u nas jednym z pierwszych, którzy dzieje polityczne powiązali z rozwojem społecznym i tworzeniem się form ustrojowych, oraz ukazali całe bogactwo staropolskiej literatury politycznej. Ta wszechstronność ujęcia w wyższym jeszcze stopniu występuje na kartach niniejszego dzieła. Nicią przewodnią jest wykazanie, w jaki sposób naród po utracie niepodległości zmierzał drogą spisków i insurrekcji do odbudowy państwa, lub w drodze pracy organicznej wzmacniał swe siły i utrzymywał odrębność kulturalną. Ten główny wątek natury politycznej łączy się organicznie z szeroko podmalowanym obrazem przeobrażeń społecznych i gospodarczych, z historią rozwoju instytucyj, z nakreślonymi śmiałym rzutem kierunkami myśli politycznej, z głównymi przejawami nauki i literatury. Znakomity historyk prawa polskiego, głosiciel rewelacyjnych poglądów na przeszłość Rzpltej, wystąpił w tem dziele w najświetniejszym może blasku jako odtwórca pełnych dziejów narodu.

Drugim zasadniczym rysem twórczości Bobrzyńskiego jest nawskróś subiektywne ustosunkowanie się do historii. Materiał faktyczny jest dlań tworzywem, które włącza w ramy pewnych konstrukcyj myślowych, o wypadkach i ludziach feruje wyroki dobitne, niekiedy przytłaczające swą bezwzględnością, na każdej karcie wyciska piętno swych zapatrywań. Myślą przewodnią niniejszego dzieła jest dowiedzenie, że najlepszą drogą do odrodzenia narodu była praca nad rozwinięciem jego zasobów kulturalnych i gospodarczych, konspiracje zaś i powstania, kończąc się z reguły katastrofami, powodowały wyczerpanie sił żywotnych i pogorszenie warunków bytowania. Wyjątek czyni autor dla legjonów Dąbrowskiego i powstania wielkopolskiego 1806 roku, ponieważ doprowadziły one do utworzenia Księstwa Warszawskiego; poza tem wspólnym wyrokiem potępienia obejmuje rok 1830, 1848, 1863, 1905, żywioły rewolucyjne Królestwa Kongresowego i emigracji, Adama Czartoryskiego i Andrzeja Zamoyskiego. W parze z tem idzie ostro zarysowana tendencja społeczna. Niewielu historyków polskich w tak zdecydowany sposób podkreśliło ważność kwestji włościańskiej, niewielu wypowiedziało tyle gorzkich słów pod adresem szlachty za jej egoistyczną politykę stanową, co wódz stronnictwa konserwatystów. Zdecydowany zwolennik oparcia życia narodowego na ściślejszej spójni z Kościołem, gani jednak duchowieństwo za łączenie się z ruchem rewolucyjnym w przede-

dniu powstania styczniowego. W przedstawieniu epoki popowstańcowej spotykamy śmiałą obronę trójlojalizmu, posuniętą do twierdzenia, że „nigdy poczucie jedności narodowej nie było większe, jak w czasie, kiedy polityką pracy organicznej naród zwiększał swe siły” (280). Wobec Narodowej Demokracji zajmuje autor stanowisko bezwzględnie wrogie, wodza jej obdarza wręcz mianem przedstawiciela „brukowego warszawskiego patryjotyzmu” (344). O socjalistach i ludowcach pisze, że „roli, jaką odegrać mieli ...w przyszłej Polsce, najbujniejsza wyobraźnia poetów nie przewidziała” (340). Rzecz jasna, że podobny sposób traktowania historii wywołać musi z różnych stron zastrzeżenia i sprzeczwy. Z drugiej strony trudno zaprzeczyć, że właśnie przepojenie całego dzieła subiektywnymi zapatrywaniami autora czyni jego lekturę tak przykuwającą; trudno zaś o drugą książkę, któraby dawała takie bogactwo idei, takie mnóstwo podnieć myślowych. Dodać należy walory formalne: ujęcie prawdziwie syntetyczne, budowę zwartą i przejrzystą, styl — arcydzieło jędrnej prostoty i treściwości.

Podnosząc z całym naciskiem wszystkie te wartości, sędzę, że nie uchybię w niczem czci należnej sędziwemu mistrzowi historjografii polskiej, jeżeli, zgodnie z przyświecającą mu w ciągu całej jego pracy zasadą krytycyzmu naukowego, wskażę pewne punkty dzieła, które w świetle osiągniętych dotąd pozytywnych wyników nastroczają pole do dyskusji.

Każdego uderzyć musi brak należytej proporcji w potraktowaniu historii poszczególnych dzielnic. Najszerzej, z największym bogactwem szczegółów przedstawione zostały dzieje Galicji, zwłaszcza w erze jej rozwoju autonomicznego. Trudno czuć o to żal do autora; przeciwnie, winno się mu wdzięczność za tak dokładne wniknięcie w okres, w którym sam odegrał wybitną rolę polityczną, dzięki czemu przedstawienie jego nabiera wartości źródła. Należałoby jednak pragnąć równomiernego uwzględnienia historii i innych zaborów. Otóż o ile w stosunku do Kongresówki postulat ten doczekał się naogół realizacji, to zabór pruski znalazł się na szarym końcu. Całe dzieje Poznańskiego przed 1846 r. ścieśniono na trzech niespełna stronach. Pominięto milczeniem proces odrodzenia polskość na Kaszubach i Mazurach. Nie wspomniano ani słowem o rozległej i użytecznej pracy Edwarda Raczyńskiego, o działalności parlamentarnej Kantaka i Niegolew-

skiego. Również obraz odrodzenia polskości na G. Śląsku wypadł bardzo ogólnikowo. Fakt ten budzi tem większe zdziwienie, że właśnie Bobrzyński jako główne zadanie historjografji odrodzonej Polski wysunął zbadanie, jak dźwignęliśmy się z upadku, z jakim dorobkiem weszliśmy do wskrzeszonego państwa, jakie znamiona wycisnęło na charakterze narodowym odrębne bytowanie w każdej z trzech dzielnic. Otóż rozwój zaboru pruskiego nastroczał właśnie w tym względzie znakomite pole do obserwacji, a również zalecany tak gorąco przez autora program pracy organicznej tu najpełniejsze znalazł urzeczywistnienie i najbojatsze wydał plony.

Oryginalną, acz odbiegającą od przyjętych naogół w nauce zapatrywań, jest konstrukcja dziejów Królestwa Kongresowego 1815—30. W świetle dotychczasowych badań głównemi czynnikami, które doprowadziły do katastrofy listopadowej, były: z jednej strony wzmagające się wrogie ciśnienie Rosji oraz ewolucja polityki europejskiej Aleksandra, od liberalno-wyzwoleńczej do metternichowskiej, z drugiej — spór o Litwę i Ruś i kwestja konstytucji. Bobrzyński zaznacza wszystkie te momenty, zarazem jednak usuwa je na dalszy plan. Osią jego przedstawienia staje się stosunek narodu do konstytucji, pojęty w zupełnie nowy sposób. Aleksander nadał Królestwu ustawę konstytucyjną „rodzajem próby”. Od tego, czy społeczeństwo okaże się dostatecznie dojrzałym, by ją uszanować i wcielić w życie, zależało jej utrzymanie, a nawet rozciągnięcie na Rosję. Próba dała wyniki ujemne. Konstytucja od pierwszej chwili gwałconą była od góry przez omijanie, wykrętne tłumaczenie, nielegalne akty rządowe, równocześnie zaś podkopywaną od dołu przez opozycję i spiski. Tu leżeć miała główna przyczyna pogarszania się stosunków, które doprowadziło do wybuchu powstania. Podobne postawienie sprawy wypływa logicznie z zasadniczej teorii Bobrzyńskiego, podług której sam naród decyduje w pierwszym rzędzie o swych losach, czynniki zaś postronne odgrywają rolę uboczną. W tym jednak wypadku rolę zasadniczą odegrał właśnie czynnik postronny, Rosja, której dążność do wchłonięcia ziem litewsko-ruskich i wzmagająca się wrogość wobec odrębności Królestwa była faktem pierwotniejszym i o większem znaczeniu dynamicznem, aniżeli samowola niektórych ministrów polskich i poczynania opozycyjno-spiskowe społeczeństwa. W dążeniu do przesunięcia punktu ciężkości całej



odpowiedzialności na stronę polską twierdzi autor, że nawet Mikołaj „gotów był szanować konstytucję polską i trzymać się jej, dopóki sami Polacy jej nie wywrócą” (106). W tem miejscu należy przypomnieć, co w kwestji tej pisze jeden z najbardziej wytrawnych znawców przedmiotu. „Pierwsze lata rządów Mikołaja I-go — wywodzi Tokarz — przyniosły zasadniczą niemal zmianę warunków ogólnych, w których istniało dotychczas Królestwo Polskie... Rządy Mikołaja położyły odrazu kres naiwnym nadziejom na przyłączenie ziem zabranych do Królestwa. W wojsku, w administracji, szkolnictwie, stosunkach kościelnych, społecznych tych ziem dał się odrazu odczuć silny, zdecydowany nawrót do polityki wyraźnie rusyfikacyjnej, wzorowanej na wskazaniach czasów Katarzyny... Na terenie Królestwa zawieszenie ogłoszenia wyroku sądu sejmowego, internowanie senatorów, pomysły zmiany konstytucji — wykopały, zdawało się przepaść pomiędzy narodem i panującym, zabijały w oczach ludzi wiarę w możliwość dalszego współżycia polsko-rosyjskiego”.<sup>1)</sup> Daleko posunięte zastrzeżenia budzić musi sposób przedstawienia bezpośredniej genezy powstania listopadowego. W świetle badań Szildera, Sterna, Schiemanna, Askenazego wiadomo, że zamiarem Mikołaja było wysłać przeciw Francji i Belgji armję koalicyjną z wojskami polskimi na czele, obsadzić Kongresówkę armją rosyjską, położyć rękę na jej skarbie. Wiadomość o tem pchnęła podchorążych do czynu. Podług Bobrzyńskiego „mocarstwa porozumiały się o wystawienie korpusów obserwacyjnych, z czego w umysłach polskich zrodziła się wiara, że wojsko polskie użyte zostanie w pierwszej linii do wyprawy przeciw Francji i jej rewolucji” (113). Z pewnem zdziwieniem czytamy przeto w dalszym ciągu, iż emigranci szli do Francji „z tem większą otuchą, że powstanie polskie przeszkodziło najazdowi Francji przez Rosję i przez nową koalicję” (140).

Żal odczuwa się do Czcigodnego Autora za sposób przedstawienia Wielkiej Emigracji. Jako jedną z zasług Szkoły Krakowskiej podniósł kiedyś Bobrzyński odsłonięcie kart kultury Złotego Wieku. Otóż emigracja polistopadowa stanowi drugi okres najwspanialszego rozwoju twórczości polskiej. Bobrzyński znajduje słowa podziwu tylko dla jednego jej składnika: poezji ro-

---

<sup>1)</sup> Sprzysiężenie Wysockiego i noc listopadowa (1925) str. 5.

mantycznej. Całość ogromnej, przebogatej pracy duchowej, z której wyrosła kultura polska doby najnowszej nie znalazła nie tylko uznania, ale rzeczowej oceny. Dorobek pracy ideowej demokracji polskiej ujmuje autor w zdaniu, że wychodźcy „teorię wszechwładztwa ludowego pojmowali tak, że każdy może tworzyć rząd i żadnego nie słuchać” (141). Wątpię, czy w określeniu tem da się zamknąć owoc myśli politycznej Lelewela, Mickiewicza, Worcella, Helmana, Świątosławskiego. Gdzie indziej czytamy: „Straszna beczynność ludzi oderwanych od służby wojskowej, a nie umiejących czy nie chcących sobie znaleźć innego zajęcia, wyładowywała się w rewolucyjnych poczynaniach” (143). Przeciwnicy powstań skierowali przeciw nim liczne zarzuty, trudno atoli przyjąć twierdzenie, że znaleźli się ludzie, którzy narażali się na śmierć, knuty, Sybir, czy Kufstein — dla ...braku zajęcia. Znowu wątpić należy, czy pogląd ten sięga do głębi duszy Zalińskiego, Zawiszy, Konarskiego, Goszczyńskiego, Wiśniewskiego i tylu innych. Zresztą emigracji zarzucić można wiele, tylko nie beczynność. Przemawia przeciw temu ogrom jej poczynañ w każdej dziedzinie, nie wyłączając praktycznej cywilizacji materialnej. „Wychodźcy z 1831 r. — pisze A. Lewak — wchodzą w społeczeństwo francuskie i w ruchu przemysłowym odgrywają znaczną rolę. Wykazała to wystawa paryska z r. 1855, na której polscy emigranci otrzymują szereg nagród, jako wynalazcy maszyn parowych, maszyn do liczenia i drukowania na płótnie i jedwabach, jako fabrykanci wyrobów skórzanych, płótna nieprzemakalnego, wyrobów ze szkła, emalii i żelaza, oraz pracownicy przemysłu artystycznego. Wielu emigrantów pracuje jako architekci, inżynierowie, wielu zarabia na dobre imię dla lekarzy polskich... Ekonomisci, jak Ludwik Wołowski i Supiński, dyplomaci: Adam Sienkiewicz i Władysław Ordega, uczeni, jak Hoene-Wroński i wielu innych, służą cywilizacji i nauce równie polskiej jak francuskiej”.<sup>1)</sup>

Również przedstawienie polityki emigracyjnej nie daje należytego o niej pojęcia. Już to, co pisze autor o działalności dyplomatycznej Hotelu Lambert nie uwypatnia całokształtu jego poczynañ. Cóż dopiero sądy o akcji obozu demokratycznego! Zdawałoby się, że pisarz, który w tak zdecydowany sposób pięć-

<sup>1)</sup> *Polska jej dzieje i kultura* III, 290.

nuje stanowisko szlachty wobec kwestji włościańskiej, uznaje zasługi Towarzystwa Demokratycznego w tworzeniu i propagowaniu nowych idei; tymczasem jako jedyny rezultat jego poczynañ wymienioną jest rzeź galicyjska. Dla scharakteryzowania działalności jednego z najszlachetniejszych przedstawicieli ówczesnego pokolenia, Edwarda Dembowskiego, znajduje autor wyraz „szala” (171). O Mierosławskim pisze, że „bity był wszędzie, gdzie dowodził” (188), gdy tymczasem Mierosławski, jako wódz powstania poznańskiego wygrał wszystkie bitwy, w Badeńskim zaś złożył niezaprzeczone dowody wysokiego talentu wojskowego.

Ten namiętny, zależny od osobistych przekonań autora sposób pisania i sądzenia potęguje się w miarę zbliżania do czasów najnowszych, by na ostatnich kartach, poświęconych odbudowie państwa, przejść w rodzaj pamiętnikarstwa. Co więcej, konsekwentnie dotąd rozwinięte linje wywodów doznają w tym momencie załamania. Oto kilka przykładów. Bobrzyński występuje jako zdecydowany przeciwnik kierunku powstańczego; za największą zasługę Szkoły Krakowskiej uważa przerwanie ciągłości myśli spiskowej i skierowanie działalności narodu na tory pracy organicznej. Przedstawiając natomiast położenie Polski w przededniu wojny światowej z wyraźną aprobatą odnosi się do przygotowań militarnych w Galicji, w okresie zaś wojny sympatjami jest po stronie Komitetu Krakowskiego i Legjonów. Otóż trudno zaprzeczyć, że myśl zbrojnego czynu przeciw Rosji była nawiązaniem do potępianej uprzednio ideologii powstań, że zrodziła się ona w podziemiach spisku, twórca zaś Legjonów czerpał nie z teoryj pracy organicznej, ale z żywych tradycyj 63 roku, stając tem samem w najwyraźniejszym do autorów „Teki Stańczyka” przeciwieństwie.

Podobne niedociągnięcie spotykamy w ocenie przeciwnego Piłsudskiemu obozu narodowo-demokratycznego. Bobrzyński nie odznacza się w stosunku do Rosji tą nieprzejechaną negacją, jaką reprezentuje w historjografji naszej Kucharzewski, w publicystyce zaś Wł. Studnicki. W poprzednim tomie swego dzieła nazwał kandydaturę Iwana Groźnego na tron polski „największą, najpolityczniejszą myślą z całego bezkrólewia”. W epoce porobiorowej wierzy w możliwość ugody nie tylko z Aleksandrem I, ale z Mikołajem, który nawet „wydaniem Statutu Organicznego wystawił Polaków tak samo na próbę, jak przedtem...wystawiał

ich Aleksander" (138). Po powstaniu styczniowym wyrokuje, że „Królestwo zmarnowało warunki narodowego rozwoju" (244). Opowiada się po stronie Lubeckiego i Wielkopolskiego, z uznaniem pisze o polityce Erazma Piltza. Po tem wszystkim można było po autorze oczekiwać zrozumienia istoty orientacji rosyjskiej Dmowskiego. Tymczasem roztrząsając kwestję ustosunkowania się społeczeństwa polskiego do rywalizujących mocarstw w przededniu 1914 roku, konkluduje Bobrzyński dość nieoczekiwanie: „Pytanie wydawało się zgóry przesądzone, bo cała przeszłość narodu kierowała go przeciw Rosji" (341).

Omawiając wreszcie manifest rządu Świerżyńskiego, zapowiadający, że „interesy warstw uprzywilejowanych powinny ustąpić w tej historycznej godzinie dobru ojczyzny" wybucha autor najwyższym oburzeniem: rządowi ówczesnemu zarzuca, że w przeciwstawieniu do Rady Regencyjnej, pragnącej budować Polskę na „podstawie ogólnie - narodowej", wysunął program „partyjno - narodowy i nawskróś demagogiczny", ziemiańskim jego członkom wypomina, że wysuwając hasło Polski ludowej „okazali tem samem, że ich warstwa społeczna przestaje być w budowie państwa samodzielnym czynnikiem" (383). Mając w pamięci poprzednie potępienie ziemiaństwa za stawianie przywilejów ponad dobro ojczyzny, pamiętając krytykę konstytucji 1815 r. za stworzenie ustroju, „który miał służyć interesowi szlachty osiadłej" (68), trudno zrozumieć, gniew autora z powodu nadania powszechnego prawa wyborczego w chwili, gdy w środkowej Europie waliły się trony, od strony Rosji zaś szła groźba przewrotu bolszewickiego. Rozpatrując te sprzeczności odnosi się mimowoli wrażenie, że w Bobrzyńskim tkwi dwóch ludzi. Z jednej strony historyk i prawnik o wyjątkowej bystrości umysłu i zdolności przenikania skomplikowanych procesów dziejowych; z drugiej — ideolog i mąż stanu, którego żelazna wola nagina wszystko do linii jego światopoglądu. Drobnym, jeszcze ale jakże charakterystycznym przykładem: „Korzon — czytamy — stanął obok Kalinki, wyjaśniając w „Dziejach wewnętrznych" z epoki Stanisława Augusta najboleśniej ich przejścia" (275). Trudno o bardziej przekonujące świadectwo, że Bobrzyński widzi niejednokrotnie to, co chce wiedzieć: wszak Korzon przeciwstawił się Kalince, wyjaśniając w „Wewnętrznych dziejach Polski za St. Augusta" proces odrodzenia narodu.

Na zakończenie powyższych uwag pragnę odpowiedzieć na pytanie, w czym leży znaczenie omawianego dzieła. Dały się słyszeć głosy, że jest to najlepszy z dotychczasowych podręczników historii porozbiorowej. Z poglądem tym trudno się zgodzić. Książka zbyt jest indywidualną w każdym calu, zbyt przepojoną osobistymi zapastrywaniami autora, by móc uchodzić za podręcznik w akademickiem tego słowa znaczeniu. Podnoszono słusznie jej wartości wychowawcze. Istotnie — nikt nie jest w stanie oprzeć się bijącemu z niej uczuciu głębokiego patriotyzmu, nikt nie odejdzie bez przeświadczenia, że danem mu było zetknąć się duchowo z wielkim uczonym, obywatelem i statystą, który jak niewielu potrafił wniknąć w najgłębsze zagadnienia bytu narodowego. System poglądów autora zbyt jest jednak wyraziście zarysowany, zbyt w pewnych kwestjach krańcowy i ekskluzywny, by mógł trafić do szerokich warstw. Będzie on zawsze przemawiał do wyznawców pewnego świata idei, podczas gdy inni, zapewne liczniejsi, oddawszy książkę, co jej się należy, dążyć będą w dalszym ciągu za swemi drogowskazami. Właściwe znaczenie najnowszego dzieła Bobrzyńskiego upatruję nasamprzód w tem, że stanowi ono pierwszorzędnej wagi dokument historyczny. Odbił się w niej w niezrównany sposób cały wielki kierunek myśli polskiej, który wyrósłszy z pogromu powstania styczniowego, wydał wyrok potępienia na romantyzm w polityce, rozpalonem żelazem usunąć chciał z społeczeństwa chęć spisku i walki orężnej, propagował pracę organiczną i dostosowanie się do warunków bytowania w każdym z trzech zaborów, życie publiczne pragnął podporządkować kierownictwu uznanych hierarchij i autorytetów, wobec zaś nowych sposobów pojmowania patriotyzmu, wobec budzących się nowych ruchów społecznych zajął stanowisko zdecydowanej negacji. Historyk umysłowości i polityki polskiej po 1863 r. znajdzie w dziele Bobrzyńskiego prawdziwą kopalnię materiałów, tem cenniejszych, że autor miał możność demonstrowania swych tez na przestrzeni całych dziejów porozbiorowych, w odniesieniu do najdonioślejszych faktów niedawnej przeszłości. Z tego punktu widzenia należy się niniejszej książce miejsce obok „Teki Stańczyka“, obok programowych rozpraw Szujskiego, obok pism Kalinki, Tarnowskiego i Koźmiana, a również obok wystąpień Spasowicza i Świętochowskiego.

Byłoby wszelako rażącą niesprawiedliwością zacieśnić zna-

czenie dzieła Bobrzyńskiego do miary li tylko dokumentu. Niezależnie od tego jest ono pracą historyczną najwyższej klasy. Faktu tego nie zmienia w niczem jej jednostronność i usterki. Największą żywotność, najdonioślejsze znaczenie przedstawiają w piśmiennictwie nie prace najbardziej obiektywne, erudycyjne, akademickie, bo te zostaną zczasem zastąpione jeszcze lepszymi, ale dzieła, będące przejawem wielkiej twórczości. Żaden historyk rewolucji francuskiej nie będzie się dziś opierał na wynikach badań Taine'a, mimo to książka jego czytana będzie zawsze. Krytyka podkopała w niejednym autorytet „Sejmu Czteroletniego” Kalinki, nie przestał on być wszelako jednym z arcydzieł literatury historycznej. Podobnie rzecz się ma z dziełem Bobrzyńskiego. Badacz uzbrojony w odpowiedni aparat krytyczny, potrafi podważyć szereg jego twierdzeń, wytknąć niejedną błąd, dowieść krańcowego subiektywizmu poglądów, nie będzie jednak w stanie zetrzeć zeń piętna potężnej indywidualności i ogromnego talentu. Historjografia polska zyskała dzieło niepospolite, które przez długi jeszcze czas pobudzać będzie do rozmyślań i dyskusyj, i które w godny sposób uzupełnia całokształt twórczości Michała Bobrzyńskiego.

*Józef Feldman.*

## Przegląd piśmiennictwa.

Józef Ujejski: Dzieje polskiego mesjanizmu do powstania listopadowego włącznie. Lwów. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich 1931. 8: str. VIII, 344.

Mamy przed sobą książkę, jakie nie często pojawiają się na horyzoncie badań historyczno-literackich. Autor jej, w przeciwieństwie do wielu specjalistów, zasklepiających się w drobnem przyczynkarstwie, pojmując w swych pracach i pracach swych uczniów, bardzo słusznie, literaturę, jako jeden z objawów rozwoju ducha ludzkości i wielokrotnie już ujmował ją z tego — możnaby powiedzieć socjologicznego — a nie estetycznego stanowiska. Jednym z potężnych prądów ducha, którego literatura jest tylko jednym z objawów, prawda, że bardzo wybitnym, jest mesjanizm polski. Słusznie podkreśla autor w przedmowie, że pokolenie obecne zajmuje wobec mesjanizmu trojaki stanowisko: jedni uznają go za patologiczny objaw anormalnego stanu świadomości zbiorowej w okresie niewoli i ostrzegają przed możliwością konserwowania zarodków tej choroby przez lekturę szkolną jej produktów poetyckich; drudzy przez pietyzm właśnie dla wieszczów narodowych i pokoleń, które ich wiarą żyły, zrzekają się krytyki, mają wobec niej poczucie profanacji świętości narodowych. Są wreszcie i tacy, którzy ten lub ów warjant doktryny mesjanistycznej próbują propagować; ci znają może lepiej samą doktrynę, ale wykładają ją jednostronnie i podmiotowo. Za jedynie właściwe uważa autor ujęcie tych spraw obiektywne, psycho-socjologiczne, z perspektywy historycznej. Takie ujęcie, mówi, „najskuteczniej może uspokoiłoby, płonne zresztą... i bez tego obawy ludzi pierwszej ze wspomnianych tu kategorii, nie uraziłoby zapewne uczuć kategorii drugiej, co się zaś tyczy trzeciej, ta pójdzie dalej swoją drogą tak czy owak”.

Bez względu jednak na ustosunkowanie się dzisiejszych Polaków do mesjanizmu, nęci ten temat autora, jako problem naukowy. Pragnie on poznać obiektywnie „ten prąd duchowości polskiej w całej rozciągłości jego zjawisk”, uważa, że jest czas na ich policzenie, klasyfikację, powiązanie i rodowód historyczno-

psychologiczny. Do tego celu zdążyły jego prace, ogłaszane już od r. 1912, zawierające cenny materiał, w wielu punktach zupełnie nowy. Tworzą one jednak, podobnie, jak prace wielu innych autorów, dopiero przygotowawczy stopień do syntezy dziejów mesjanizmu polskiego, która przyświeca autorowi jako ideał. W ostatniej swej książce przystąpił on do omówienia tych dziejów w czasie przed powstaniem listopadowym, a więc w epoce, w której, według utartego mniemania, mesjanizm jeszcze nie wywierał wpływu na myśl i działalność polską. Mimo szeregu przyczynków, z których najwybitniejsze, przed pracami autora, są niewątpliwie dociekania prof. Chrzanowskiego, pozostało jeszcze mnóstwo do wyświetlenia i omówienia. Przykładem najlepszym są właśnie omawiane „Dzieje“, gromadzące, niemal zupełnie niezależnie od prac poprzednich, olbrzymi i w przeważającej części dotychczas prawie niewyzyskany, a niezmiernie ciekawy materiał. Owo nagromadzenie materiału źródłowego, pomimo, że — zapewne w obawie przeładowania dzieła szczegółami — autor niejedno pozostawił na uboczu, to pierwsza wartość pracy. Drugą jest niezmiernie umiejętne i przemyślane ugrupowanie tego materiału w sposób systematyczno-chronologiczny, dający obraz niemal zupełny rozwoju myśli społeczno-politycznej polskiej od końcowych lat wieku XVIII, aż po rok 1831.

Najcenniejszym jednakowoż jest w książce oświecenie zebranego materiału, zarówno znanego uprzednio, jak i nowo dołączonego, oświecenie go w sposób bardzo konsekwentny, dzięki jasno postawionym założeniom. A założenia te — to przede wszystkim przemyślana definicja mesjanizmu wogóle. Wbrew błędnemu mniemaniu, utożsamiającemu często mesjanizm z pojęciem „chrystusowości“ Polski, pojmuje autor ten kierunek myśli bardzo szeroko; terminem tym oznacza wszelkie wiary analogiczne do tej, która się w pomnikach religii żydowskiej wiąże z oczekiwaniem przyjścia pomazańca Bożego-Mesjasza, oraz równorzędną wiarę, głoszącą posłannictwo Izraela, jako mesjasza zbiorowego innych narodów; te analogiczne wierzenia widzi autor, niezależnie od religii żydowskiej, również w innych religjach starożytnych. Natomiast średniowieczne i nowoczesne prądy tego rodzaju miały powstawać pod wpływem żydostwa; wpływem tym tłumaczy autor popularne w średniowieczu różne wiary eschatologiczne, z tą różnicą, że miejsce narodu wybranego, zajmuje agregacja religijna, Kościół. Stąd autor odróżnia trzy rodzaje mesjanizmu: narodowy, wyznaniowy i mieszejący się częstokroć z fantem dwoma: klasowy. W obrębie tych rodzajów miesza się mesjanizm zbiorowy z indywidualnym; przyczem misja mesjaniczna dzieli się na dwie funkcje, które przypadać mają nieraz dwom czynnikom różnym: jedną jest rewelacja, drugą realizacja.

Autor rozszerza pojęcie mesjanizmu poza sferę czysto re-



ligijną i wprowadza go w sferę polityczno-społeczną, zgodnie zresztą z pojmowaniem mesjanizmu przez judaizm późniejszych czasów. Z wielką trafnością dostrzega rysy wspólne między mesjanizmem narodowym w przyjętem przez siebie znaczeniu, a imperjalizmem narodowym, chociaż pierwszy powstaje najczęściej w warunkach, wytwarzających atmosferę mesjanistyczną, t. j. wśród zbiorowego przeczuwania lub odczuwania klęsk i przewrotów, drugi powstaje i rozwija się wraz ze wzrostem sił i powodzenia w warunkach normalnych. W pierwszym przeważają altruistyczne tendencje idealno-moralne, w drugim egoistyczne tendencje materialno-polityczne. Ostatecznie mesjanizm w najszerszym znaczeniu sprowadza się u autora niemal że tylko do poczucia misji „narodu wybranego”. Nic dziwnego, że mesjanizm w tem najszerszym znaczeniu odnajduje on zarówno w szeregu polityczno-społecznych idei w państwach i narodach nowoczesnych, jak i w niezmiernie charakterystycznych przykładach w literaturze Polski niepodległej.

Wstępne uwagi autora, streszczone powyżej w paru słowach świadczą o przenikliwości jego myśli; a jednak oparcie ich na źródłach niekoniecznie trafiających nam do przekonania, jak np. protestanta A. Causse'a *L'évolution de l'espérance messianique dans le Christianisme primitif* (Paris 1908), albo na książkach T. Zielińskiego, których jednostronność i subiektywizm tyle wzbudziły poważnych zastrzeżeń, sprawia, że nie we wszystkim możemy godzić się na nie. Zastrzeżenie budzi przedewszystkiem brak uwzględnienia zupełnie wyjątkowego stanowiska z jednej strony proroków Starego Testamentu na tle historycznym (nawet jeśli się, jak autor, pominie zupełnie sprawę Objawienia), jak i wyjątkowego poziomu i rodzaju pojęć religijnych, etycznych i prawnych w księgach kanonicznych izraelskich i zbyt pochopne szukanie analogij mesjanistycznych w religjach starożytnych. — Są to jednak rzeczy raczej drugorzędne, bo autor czerpie tu przeważnie z drugiej ręki. Ważniejsza jest właściwa część dzieła — niezaprzeczalna własność autora. Zaczynają ją wspomniane opisy mesjanizmu społeczno-politycznego czasów nowych, poczem następuje niezmiernie ciekawy, choć pobieżny, rozdział o mesjanizmie w literaturze Polski niepodległej. Najbardziej szczegółowo i *con amore* zajmuje się autor epoką sobie właściwą, t. j. okresem od rozbiorów Polski aż do powstania listopadowego włącznie. Książka nie jest powtórzeniem badań dawniejszych. O rzeczach już opracowanych wspomina krótko, natomiast obszerniej omawia materiał nowy. Jeżeli powraca bardziej szczegółowo do opracowań dawniejszych, to poto, aby przedstawione przez nie fakta inaczej oświecić. Takich rewizjonistycznych sądów jest w książce bardzo dużo. Przykładowo wymieniam to wszystko, co autor mówi o mesjanizmie Woronicza, wykrycie związku między jego poematami wieszczemi a prorocstwem, przypisywaniem ks.

Markowi, Karmelicie, wyraźne określenie (za wskazówką Doroszewskiego), że Woronicz rolę rewelatorki mesjanicznej przypisuje rewolucyjnej Francji.<sup>1)</sup> — Bardzo interesujące jest to wszystko, co autor mówi o Mickiewiczu i filomatach; jak ciekawem np. jest spostrzeżenie, że filomaci dlatego tak nieustannie przerabiali i cyzelowali swoje ustawy, że miały one być niemal że konstytucją narodu. Stosunek filomatów i Mickiewicza do wolnomularstwa ujęty jest wprost przeciwnie, niż był ujmowany dotychczas; wyraża to najdobitniej zdanie autora, że „Oda do młodości” jest wręcz wyzwaniem, rzuceniem, ślimaczemu” programowi wolnomularzy wileńskich, a słynne „Cyrkla, miary i wagi do martwych użyj brył” — odprawą daną całemu wolnomularstwu. Tego rodzaju sądy, a jest ich niemało, wywracają utarte poglądy i stają się trwałym nabytkiem nauki historyczno-literackiej. Świetnym jest dalej rozdział, poświęcony rozwojowi ideologii narodowej podczas powstania listopadowego i naoczne wykazanie, jak wówczas już, w miarę coraz widoczniejszego upadku powstania, rodziła się stopniowo późniejsza ideologia emigracyjna.

Dzięki bardzo obiektywnemu ujmowaniu zjawisk, posiada książka omawiana rzetelną wartość dla nauki. Najlepszym dowodem, jak żywotne są poruszone problemy i jak zastanawiające ich rozwiązania, jest zainteresowanie się nimi kół naukowych, wyrażające się w postawie dyskusyjnej. Mimo ściśle naukowego charakteru i pewnych trudności czytania tak z powodu nagromadzonych szczegółów jak i braku końcowej syntezy, która pojawi się zapewne po opracowaniu całości dziejów mesjanizmu polskiego, dzieło prof. Ujejskiego może być bardzo interesującą lekturą również i dla niespecjalistów, jako wierny obraz tych ideałów, dla których pracowali i umierali najlepsi z naszych przodków. A że bieg dziejów potwierdził historjozoficzne teorie i wiary szeregu pokoleń polskich, trzeźwe przedstawienie tych wier na tle porównawczem, nie zdoła zdmuchnąć tajemnego nalołu mistycyzmu, jakim owiane są dla nas wierzące, te sprawy.

*Z. Ciechanowska.*

Stanisław Pigoń: Do źródeł „Dziadów” kowieńsko-wileńskich Wilno 1930. Skład główny w Księgarni św. Wojciecha. (Biblioteka „Źródła Mocy”, nr. 3). 8° str. 126, 1. pl.

Najlepszy obecnie znawca Mickiewicza przystąpił systematycznie do badania genezy i rozwoju zaczątkowego arcydzieła wielkiego wieszczka. Po szeregu prac, oświetlających z tego punktu widzenia *Pana Tadeusza* i zamierzonej syntezie p. t. „Narodziny

<sup>1)</sup> Zasługą autora jest odróżnienie i w tym wypadku rewelatorstwa od realizacji, czego u Doroszewskiego niema.

epopei", otrzymujemy w nowym tomiku analizę rozwoju genetycznego *Dziadów* wileńsko-kowieńskich. Problemem tym interesuje się autor nie od dzisiaj. Dowodem cenny artykuł w *Ruchu Literackim* z r. 1927, ustalający pierwotną chronologię i porządek napisania części I i II *Dziadów*, artykuł, którego wywody uzupełnione rozpatrzeniem nowszej, lub pominiętej poprzednio, literatury, weszły w całości do obecnej pracy. Punktem wyjścia autora jest rewizjonistyczne spostrzeżenie, że *Dziady* raczej niż *Ballady i romanse* powinny stać na czele polskiej literatury romantycznej, jako pierwsze dzieło poetyckie z charakteru i programu przynależne do nowego prądu. Autor skłania się bowiem do twierdzenia niektórych krytyków, że pierwiastkowa część tego poematu powstała równocześnie z najpierwszemi balladami, a równocześnie stwierdza, że *Dziady* są bardziej programowo, bardziej jednolicie romantyczne (a to przez swą „ludowość, mistykę grobów, antykwaryzm obyczajowy”), niż pierwszy tom *Poezji* Mickiewicza, a zwłaszcza stojąca na jego czele „Przedmowa”. Pewnego rodzaju przypadek tylko — mówi — zepchnął *Dziady* (ściśle mówiąc pra- „*Dziady*”) na drugie miejsce w bibliograficznym porządku rozwijającego się romantyzmu polskiego. Historyk literatury jednak, starając się przywrócić dziełom właściwe miejsce w czasie i właściwą wartość ponadczasową, może słusznie w tym właśnie utworze, w jego pierwotnej postaci, widzieć komórkę zarodkową całego ogromnego prądu. W pewnym sensie możnaby powiedzieć, że *Dziady* są mikrokosmem polskiego romantyzmu” (str. 6). Utwierdziwszy w ten sposób *Dziady* w oznaczonym punkcie rozwoju literatury polskiej, i to w punkcie zwrotnym, wskazuje autor dalej na korelacje między *Dziadami*, a romantyzmem. „W poszczególnych stopniach rozrostu tego poematu... wyraziły się nie tylko fazy rozwoju duchowego samego poety, ale zarazem wyznaczył się rytm ewolucji całego naszego romantyzmu: od kultu ludowości i fantastyki, poprzez wybuch indywidualizmu, poezję zranionego serca, aż do uwielbienia heroizmu narodowego, prześlągnięcia pierwiastkami politycznymi i mistyczno-religijnymi” (str. 7). Utwór ten „syntetyzuje epokę”.

Wobec wyznaczenia *Dziadom* tak ważnego stanowiska słusznie obchodzi autora „najpierwotniejsze przejawienie się tego mikrokosmu”, a w szczególności zagadnienie, ile czerpał poeta „z przedromantycznych złożów umysłowości i jak je przetwarzał w sobie na nowy kształt”. Wnioskując na zasadzie analogii, przypuszcza, że i *Dziady*, podobnie jak inne dzieła Mickiewicza, rozrastały się w ciągu komponowania w coraz to szersze kręgi, powstawały „kolejnemi jakby poderwaniami, przez nagłe wtargnięcie nowych elementów treści”. Przystępuje więc prof. Piękoń do rekonstrukcji genetycznej dzieła, która przez dotychczasowych badaczy nie była przeprowadzona w stopniu dostatecznym; uwzględniając nowe materiały, badając krytycznie znane dawniej, docho-

dzi do bardzo ciekawych, niemal rewelacyjnych wyników, opartych nie na nowych odkryciach, ale na gruntownym i logicznym przemyśleniu znanych faktów. W powstaniu *Dziadów* odróżnia autor cztery stadia, cztery fazy. Za część najpierwotniejszą, za zawiązek całego dzieła, uważa, wbrew opinii większości dotychczasowych krytyków, część II poematu, a raczej pierwszy szkic tej części, obejmujący sam tylko obrzęd Dziadów, bez inkantacji przed zjawieniem się każdego z duchów i bez końcowej sceny z Widmem i Pasterką. Zachowany odpis tej części, dokonany ręką Czczoła z autografu, zawiera poprawki Mickiewicza, wskazujące na chęć zacierania rysów realistycznych, chęć stylizowania rzeczywistości (w szczególności idzie tu o zastępowanie wyrazu „ksiądz“, wyrazem „guślarz“<sup>1)</sup>) że zaś „poeta tego typu co Mickiewicz wychodzi zwykle z obserwacji, z przeżycia, od konkretnego, by dojść do koncepcji ogólnej, do idei“ (str. 23), a w bruljonie części I jest odrazu stylizacja „guślarz“, nie „ksiądz“, stąd wniosek oczywisty, że część ta powstała później. Nadto guślarz części I-ej przedstawia wyższą fazę tej koncepcji: jest uświadomionym mystagogiem, łączy w sobie wiedzę przeszłości z widzeniem przyszłości, a jako wcielenie gminnego „czucia i wiary“, przeciwstawiony jest „mędrcom“ — racjoniści. W dalszym ciągu dowodzi autor, wbrew twierdzeniom prof. Ujejskiego, że ta część I powstała przed cz. IV i że zapewne była pisana dwoma nawrotami.

Niezmiernie wnikliwie są dalsze wywody o motywach, jakie decydowały o kolejnym nawarstwianiu się *Dziadów*. Późniejsze dodanie wspomnianych inkantacji, które podnoszą nastrój obrzędu o kilka stopni, stanowiąc zarazem element demonologiczny (wprowadzony za pośrednictwem zapewne prof. Borowskiego, a za wzorem głównie Pope'a), a które poeta wiązał z folklorem — dowodzi, że w owej pierwotnej redakcji nie dbał Mickiewicz o wierność folklorystyczną. Wnosi stąd autor, że inny motyw wystąpił jako silniejszy, ponad zainteresowanie ludowością. Wobec tego, że kolejność pojawiania się duchów, nie jest konsekwencją żadnej teorii demonologicznej i końcowym, a więc najsilniejszym, efektem miało być pojawienie się ducha dziewczyny, autor uważa, że pierwotnym zamysłem poety miało być nie co innego, jak utwór obrazujący ukaranie wietrznicy za brak wzajemnej miłości, podobnie jak w żartobliwej balladzie „To lubię“. Przeblýski tej żartobliwości widać i w pra- „Dziadach“, tak dalekich od późniejszej etycznej powagi gotowego poematu. Niezmiernie ciekawe jest ponadto spostrzeżenie autora, że w tym pierwotnym pomysle zużytkowanie cudowności dalekie jest jeszcze od ujęć romantycznych. Fantastyka ma służyć celom dydaktycznym. Takie trakto-

<sup>1)</sup> Pomija tu autor zupełnie podniesioną przez Ujejskiego (*Ruch Literacki* R. III, 1928) kwestję względu na cenzurę, który mógł być współczynnikiem wprowadzonej zmiany.

wanie jej, jak i żartobliwość w jej ujmowaniu, wiodą swój ród z literatury XVIII w.

Przy rozszerzaniu jednak i przebudowywaniu pierwotnego zrębu *Dziadów* — owej igraszki dla flirtu — weszły w grę motywy twórcze inne. Wnosząc z tego, jak się ujawniły w wykonaniu, sądzi autor, że w powstaniu I części *Dziadów* działały głównie motywy natury artystycznej. Mickiewicz chciał stworzyć utwór dramatyczny o nowej formie, zerwać z dotychczasowym szablonem. W dążeniu tem zwrócił się do teatru średniowiecznego, o scenie dwudziałowej i dwóch równoległych akcjach. Uważał ten teatr za rodzime źródło sztuki dramatycznej, zmaćnione późniejszym nalotem klasycyzmu. Objaw to zgodny z nurtującym ówczesne społeczeństwo głębokim kultem rodzimości, rdzenności słowiańskiej i ludowości, w której śledzono resztki pradawnych obyczajów. Mickiewicz, idąc dalej w tym kierunku, dopatrywał się w obrzędzie *Dziadów* szczątków rodzimego dramatu religijnego i w tym też duchu usiłował przekształcić schrystjanizowany współczesny obyczaj, znany mu z autopsji.

Zkolei autor rozważa więc obszerne studia starożytnicze Mickiewicza, dotyczące dziejów staropruskich i staroliteńskich i konfrontuje świadectwa kronikarzy z tem, co dostało się z nich do mickiewiczowskich *Dziadów*. Nie na tem jednak się skończyło.

Wkraczający nagle motyw erotyczny przetworzył całą koncepcję *Dziadów*. Centralny obrzęd stał się tylko podporządkowanym epizodem, a nowem zadaniem artystycznym stało się: ująć w kształt poetycki obraz i dramat miłości. Że nie szło tu o obraz autobiograficzny, dowodzi brak rzeczywistych rysów duchowych Adama i Maryli w drobiazgowej charakterystyce psychologicznej młodzieńca i dziewczycy w części I. Poecie szło raczej o obiektywne studjum obyczajowo-psychologiczne, o analizę duszy współczesnego pokolenia w przekroju charakterystycznym, jakim jest uczucie miłości. To studjum w tworzeniu *Dziadów* trwało jednak niedługo. Niebawem subiektywny wylew uczuć części IV, przytłumił tę koncepcję, która po latach miała odżyć w pierwszym zamyśle *Pana Tadeusza*.

Ale już i w I części *Dziadów* widzi autor prognostyki, świadczące o zbliżającym się przesunięciu podstawy twórczej z obiektywnej na subiektywną. Ilustruje to autor analizą wystąpień Chóru Młodzieży. Ciasna jednostronność odczuwania, zbytne symplifikowanie życia, mentorstwo, a wreszcie potępienie przez Chór, a więc przez rówieśników Gustawa, dowodzą, że można się tu domyślać echa ówczesnych nieporozumień Mickiewicza z kolegami; w horyzontach tego sporu pozwala zorientować się współczesny *Żeglarz*. „Jednej ze stron — mówi pięknie autor — szło o prawo cierpienia, drugiej zaś o prawo życia; albo raczej tu o prawo indywidualności, niczem nie wymiernej... a tam znów o prawo zbiorowej solidarności w działaniu. Poprostu romantyzm

Mickiewicza stał się tam z pozytywizmem jego kolegów" (str. 121). W ten sposób wydobył autor — pierwszy — na jaw jedno jeszcze pasmo elementów osobistych z osnowy fragmentów części I. „Włączając już u przyciesi nowego zrębu *Dziadów* elementy rzeczywistości... przygotowywał Mickiewicz przyszłe egocentryczne ujęcie całości dzieła".

Streściłam umyślnie tak obszernie wywody prof. Pigonia, ponieważ sędzę, że w przeważnej większości pozostaną one trwałym nabytkiem w naszej wiedzy o wspaniałym poecie romantycznym. Powtóre w ten tylko sposób można było dać choć słabe pojęcie o bystrości krytycznej autora i sile rozumowania, z jaką wytrwale, krok za krokiem wydzierła ze złóż materiałów kryształły wniosek. W porównaniu z logiką wywodów Pigonia, ujęcie tego samego tematu przez wielu z jego poprzedników sprawia wrażenie wcale nieudolne i naiwne, pomimo, że i ono miało w swoim czasie, a niejednokrotnie ma i do dziś wartość nieprzemijającą. To też autor w większości wypadków, zgodnie z ekonomją pracy poprzez pokolenia, nie burzy, tylko uzupełnia.

Odtworzenie biegu dziejów powstania *Dziadów* pierwotnych, wyjaśnia zarazem bardzo wiele w ich dzisiejszej postaci. Z niecierpliwością oczekujemy dalszych tego rodzaju wyjaśnień. Jeśli idzie o fragmenty cz. I, narzuca się tu przede wszystkim, jako dezyderat, osobowość psychiczna Starca i ballada o Poraju.

Z. Ciechanowska.

Henryk Sienkiewicz. Obraz twórczości. Ułożył, poprzedził wstępem oraz uzupełnił życiorysem, bibliografją i przypisami Kazimierz Czachowski. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, bez roku wyd 8<sup>o</sup>, str. 341, nl. 2.

Firma Gebethnera i Wolffa, główny wydawca dzieł Sienkiewicza, wypuściła niedawno na rynek księgarski książkę, która w intencji jej autora, a raczej układacza, ma być z jednej strony materiałem pomocnym dla przyszłego monografisty Sienkiewicza, z drugiej interesującą lekturą dla szerszych kół czytelników. P. Czachowski jest przede wszystkim inteligentnym i sumiennym bibliografem i na tem polu zawdzięcza mu się niejedno. Toteż dla badań nad twórczością Sienkiewicza niezmiernie cenne będą przede wszystkim nagromadzone w książce dane bibliograficzne, jak wogóle cenną jest wszelka bibliografja nowszej literatury polskiej, której nie obejmuje podstawowe dzieło Korbuta. Nie sposób jest sprawdzić wszystkie dane, odnosząc jednak wrażenie, że bibliografja sienkiewiczowska Czachowskiego w zakresie rzeczy, drukowanych w Polsce po rok 1928 zbliża się bardzo do zupełności. Inaczej jest z danymi, odnoszącymi się do zagranicy, ale tu i sam autor bibliografji przyznaje, że czerpał z drugiej ręki.

Poza bibliografią daje wydawca od siebie kilka danych, pozwalających na zrekonstruowanie sobie czasu i środowiska, w których były pisane poszczególne artykuły, oraz życiorys Sienkiewicza. Życiorys ten ograniczony jest celowo najściślej do suchych dat biograficznych (brak w nim jednak wzmianki o przyznaniu Sienkiewiczowi nagrody Nobla), bez najmniejszych prób ani oddania tła epoki, ani wnikięcia w sprężyny psychiki i twórczości pisarza. O tych rzeczach każe już wydawca mówić innym: Witkiewiczowi z jednej strony, St. Brzozowskiemu z drugiej. Następuje potem szereg wypisów, dotyczących różnych stron twórczości Sienkiewicza i poszczególnych jego utworów. W układzie ich rozstrzyga kolejność chronologiczna twórczości powieściopisarza, ale nie chronologiczna kolejność powstawania artykułów krytycznych. Potęguje to w książce organiczną słabość właściwą wszelkim tego rodzaju zbiorom wypisów: niejednorodność kąta widzenia. W miejsce całości, przejętej jedną myślą przewodnią, otrzymujemy łataną składankę sądów najrozmaitszych pod względem wartości i punktu wyjścia. Ponieważ zaś wydawca poprzestaje przeważnie na przytoczeniu jednego tylko sądu krytycznego o danym utworze, bez konfrontacji kilku krytyków, spotykamy się często z dysproporcją zarówno w samym *meritum* oceny różnych utworów, jak i w sposobie jej ujęcia. Jako charakterystyczny przykład uderza tu bardzo młodzieńczy pod każdym względem i niewyrobiany „rozbiór” *Listów z podróży* M. Zdziechowskiego, obok dojrzałej oceny *Quo vadis* Matuszewskiego. Jest to jednak, jak powtarzam, organiczna wada wszelkich tego rodzaju wydawnictw, która może nie każdego razi. Co kto lubi. Ja osobiście tak zestawionych kontrastów nie lubię. Wspomniany zarzut nie odnosi się do początkowych i do końcowych artykułów, mających charakter syntetyczny, gdyż tu rzeczywiście spotykają się sądy różnych krytyków o tym samym przedmiocie, a w dodatku są to przeważnie prace naprawdę pierwszorzędne. Dla historyka literatury ciekawem i pouczającym będzie unaocznienie, jak wszelkie sądy krytyczne zmieniają się i przechodzą wraz z epoką, która je wydała; z przytoczonych przez Czachowskiego sądów o dziełach Sienkiewicza nieliczne tylko mogłyby się dziś ostać bez zastrzeżeń, a i to niektóre ratuje tylko talent pisarski autorów. Dla zwykłego czytelnika książka może być bardzo pożyteczna, jako umiejętne i ciekawe wprowadzenie w twórczość wielkiego pisarza, tak niesłusznie lekceważonego i spychanego dziś na dno. Wielką zasługą wydawcy będzie, jeśli dzieło jego przyczyni się do rozbudzenia kultu Sienkiewicza, pogrzebanego w wielu kołach młodzieży powojennej. Zdaje się, że drobne ziarnka tego kultu zaczynają już tu i ówdzie na nowo kiełkować<sup>1)</sup>.

Z. C.

<sup>1)</sup> Wartość pracy Czachowskiego ocenia się zwłaszcza po zestawieniu jej z publikacją p. t. H. Sienkiewicz w oświeceniu najcelniejszych

Henryk Sienkiewicz: *Pisma*. W układzie Ignacego Chrzanowskiego. Tom. XXXIII, XXXIV, XXXV, XL. Nowele. Tom. I, II, III, VIII. Nakład Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie. Wydawnictwo Gebethnera i Wolffa w Warszawie. (1931). 8°, str. 4 nl. 175; 4 nl. 159, 2 nl.; 4 nl. 292; 1 nl.; 4 nl., 217, 2 nl.

Miłośnicy twórczości Sienkiewicza z radością powitają wznowienie niezmiernie pożądanego wydawnictwa *Pism zbiorowych* tego pisarza w układzie takiego znawcy, jakim jest Ignacy Chrzanowski. Po wydanych poprzednio wielkich powieściach sienkiewiczowskich: trylogii historycznej, *Bez dogmatu* i *Rodziny Polanieckich*, przyszła obecnie kolej na nowele. Trzy z wymienionych tomów zawierają utwory, napisane w latach 1872—1877, znane oddawna, t. j. *Na marne*, *Humoreski z teki Warszylły*, i trylogja *Stary sługa*, *Hania*, *Selim Mirza*, czwarty — powstałe między rokiem 1902—1915, z których część poznaliśmy niedawno, wśród nich, obok słabszych, taka perła, jak *We mgle*. Wydawca pojmuje termin „nowela” bardzo szeroko: włącza i utwór większych rozmiarów, prawie powieść, *Na marne* i szkic psychologiczno-historyczny *Kordecki* i polityczne satyry prozą, jak *H. K. T.*, i inne utwory, co do których przynależności „rodzajowej” możnaby mieć wątpliwości. Jest to w zgodzie z zasadą wydawcy, który zawsze i wszędzie walczył o prawo twórcy do swobodnego wypowiedzania swych istotnych przekonań, który bronił zawsze gorąco wartości pozaestetycznych w literaturze. Układ nowel jest chronologiczny, w obrębie zaś tych samych dat rocznych wydawca dba o wprowadzenie falowania nastroju. Zewnętrzna strona wydawnictwa nie sili się na żadne nadzwyczajności, ale może właśnie dlatego potraktowana jest z prawdziwym miłośnictwem książki: jest bardzo spokojna i staranna.

Z. C.

Ferdynand Foch: *Pamiętnik*. Przekład O. Laskowskiego, Warszawa-Kraków, Księgarnia J. Mortkowicza T. I i II, str. 295 i 415.

Pamiętniki zwycięskich wodzów będą zawsze należały do literatury czytanej, nie tylko przez fachowców, ale i przez szerokie koła czytelników, żadnych w równej mierze poznania przebiegu niedawnych wojen, jak i poznania bliższego tych wybranych, którym los pozwolił na polach bitew rozstrzygać losy milionów. Cóż dopiero, jeśli temu wodzowi przypadło w udziale skończyć cztero-

krytyków. Pod redakcją E. B-sa, Z. Dąbrowskiej i Br. P. Warszawa, Wydawnictwo „Pomoc szkolna” H. Wajnera. 1925, gdzie ograniczono się do nader szczupłych urywków z krytyków, nb. nie zawsze „najcelniejszych”, w układzie nie zawsze zadawalającym. Przypnać jednak trzeba, pomijając niedokładności różnego rodzaju, że wspomniane wydawnictwo rzeczywiście postarało się o wszechstronne oświetlenie szeregu zjawisk w twórczości Sienkiewicza.

Lista erratów nie wyczerpuje wszystkich błędów druku, być może, że zawartych już w pierwodrukach.



letnią, żywą jeszcze w pamięci dzisiejszego pokolenia, wojnę, wojnę, która w sposób radykalny zmieniła losy już nie jednego kraju, ale całej Europy. Nic dziwnego więc, że ukazanie się pamiętników Focha poprzedziło powszechne zainteresowanie szerokich kół czytelników.

Zabierając się do czytania wydanych w tym roku w języku polskim pamiętników, pamiętać jednak trzeba w celu uniknięcia rozczarowań o kilku rzeczach. I tak trzeba pamiętać o tem, że dla znajomego nieco historję ostatniej wojny, pamiętniki te nie mogą przynieść nic rewelacyjnego, poprostu dlatego, że wojna ta została opisana przez ludzi bardzo kompetentnych, z całem wyzyskaniem materiałów pisanych, jak i żywej tradycji i że w pewnym tego słowa znaczeniu pamiętniki Focha ukazały się spóźnione. Po drugie, trzeba zwrócić uwagę na to, że to nie historja wojny, ale pamiętnik, w którym autor opisuje to, co widział. Nie zaszko-dzi wreszcie dowiedzieć się, że pamiętniki obejmują jedynie dwa lata, rok 1914 i 1918, o wypadkach trzech pozostałych lat informuje nas krótkie sprawozdanie, umieszczone na początku drugiego tomu przez wydawnictwo. Czytelnik, który pamiętając o tem, zagłębi się w poważnej lekturze tych pamiętników, choćby nie był strategikiem, nie pożałuje tych chwil, kiedy nad kartami przeżywać będzie niezapomnianą epopeję wojenną, opowiedzianą stylem prostym żołnierskim.

Pamiętniki rozpadają się na kilka nierównomiernych części. Po przedmowie i wstępie, idą krótkie rozdziały o działalności Focha na czele XX korpusu w Lotaryngji, potem rozdziały opowiadające dzieje walk dziewiętej armji dowodzonej przez Focha w czasie bitwy nad Marną, wreszcie następuje opis bitew nad Yserą i pod Ypres, prowadzonych przez Focha w charakterze zastępcy naczelnego wodza. Cały drugi tom zajmują dzieje wojny na zachodnim froncie w 1918 roku.

We wstępie opowiada Foch krótko o swych losach i życiu przed wojną światową. Wspomina o nastrojowych chwilach przeżytych w 1870 roku, kiedy to patrzył na upadek Francji i przy huku dział pisał w Metz przy egzaminie w liceum zadanie, rozwijając myśl Klebera: „Trzeba by młodzież rozwijała swe zdolności”. Opowiada o swych studiach kolejnych w różnych szkołach, w końcu w wyższej szkole wojennej, gdzie major Millet wywarł decydujący wpływ na jego poglądy taktyczne, mające mu potem zapewnić tak wielką rolę w wojnie światowej i w rzędzie strategików współczesnych.

Od roku 1895 zajmuje Foch stanowisko profesora taktyki w tejże szkole wojennej, póki ze względów politycznych nie zostanie usunięty stamtąd, by pełnić służbę garnizonową.

Pierwsze miesiące wojny zastają Focha na podporządkowanych stanowiskach. Jako dowódca XX korpusu bierze udział w wypadzie drugiej armji do Lotaryngji, w wypadzie zresztą dość

ryzykownym i szybko, mimo doskonałej postawy wojsk francuskich, zlikwidowanym przez nieprzyjaciela. W przededniu bitwy nad Marną otrzymuje Foch komendę dziewiątej armii i zatrzymuje ją do początku października. Walki tej armii tworzą naprawdę mały wycinek wielkich walk wrześniowych, zasługują jednak na baczność, bo na tej armii skoncentrował się w wielkiej mierze wysiłek nieprzyjaciela i wytrzymałość tej armii, utrzymanie przez nią ciągłości frontu, umożliwiło uzyskanie zwycięstwa dzięki manewrowi na lewym skrzydle. Mimo ogromnego nacisku nieprzyjaciela, zmuszającego IX armję w pierwszych dniach bitwy do powolnego odwrotu, przeszedł Foch już 8 września, a więc przed decydującym zwycięstwem, do przeciwnatarcia.

Z początku października zostaje Foch przeniesiony na północną część frontu by tu, jako zastępca wodza naczelnego koordynować działalność wojsk sprzymierzonych. Po wygranej francuskiej nad Marną, tu na tym terenie między morzem a Paryżem skupia się główna uwaga obu stron walczących. Z jednej i drugiej strony są podjęte usiłowania oskrzydlenia przeciwnika w zajmowanym dopiero terenie. Foch podtrzymuje tu chwiejącą się spójność tworzącego się frontu, przygotowuje plan oskrzydlenia Niemców, póki odwrót armii belgijskiej nie stawia go wobec obowiązku nawiązania z nią kontaktu i podtrzymania słabej armii belgijskiej. Mimo słabości i przygnębienia armii belgijskiej, nakłania on króla belgijskiego do utrzymania ostatniego skrawka Belgii i stawienia nieprzyjacielowi oporu na linii rzeki Ysery. Gdy zaś ta bitwa nad Yserą kończy się przejściem Niemców przez rzekę, Foch wznawia walkę opartą o nasyp toru kolejowego z Nieuport do Dixmude, by zaś powstrzymać napierającego wroga, chwytą się środka wypróbowanego przed wiekami w tych stronach, zalewa kraj przed sobą falami morza. Nie ustępuje tym walkom w niczem wszczęta zaraz potem bitwa pod Ypres. W terenie niedogodnym do walki, pod ogniem przeważającej artylerji niemieckiej łamie się wytrzymałość wojsk brytyjskich i jedynie dzięki żelaznemu uporowi Focha, który nie daje się porwać ogólnemu nastrojowi paniki, bitwa nie zmienia się w klęskę. Rozdziały opisujące twardym żołnierskim stylem te dni przełomowe dla obu stron, po bitwie nad Marną, należą do najlepszych w książce.

Drugi tom pamiętników to historia walk armij sprzymierzonych na froncie zachodnim, napisana przez wodza naczelnego. Foch zostaje wyniesiony na to stanowisko pod naciskiem wypadków. Ofensywa marcowa Niemców uderza tak skutecznie na front sprzymierzonych w miejscu styku armii angielskiej i francuskiej, że grozi rozerwaniem frontu. Sam Foch wykazuje na naradach sprzymierzonych konieczność naczelnego dowództwa i zostaje na to miejsce wysunięty przez Anglików. Konferencja

w Doullens oddaje mu funkcje koordynowania wysiłków obu armij, wkońcu, 3 kwietnia otrzymuje wyraźnie naczelne dowództwo. Początkowo działalność Focha ogranicza się do powstrzymania ofensywy marcowej pod Amiens, potem niemal równie strasznej nad Marną.

Z pamiętników wynika jasno, że ofensywy te, które samym Anglikom wybiły 300.000 żołnierza, wstrząsły poważnie frontem Ententy. Dopiero przybycie 450.000 Amerykanów, ustalające po stronie ententy przewagę nie tylko techniczną ale i liczebną, pozwala Fochowi przejść do ofensywy. W połowie lipca przeprowadza Foch wstępną, uwieńczoną pełnym sukcesem, ofensywę. Od 8 sierpnia rozpoczyna się potem szereg uderzeń, które obmyślane i wykonane z precyzją, poczynają bezustanku bić w wyczerpane armje niemieckie, póki ta żelazna linja nie spęka zupełnie. Dzień też 8 sierpnia określa Ludendorff jako dzień żałoby armji niemieckiej, od tego dnia stało się jasnem, że Niemcom nie uda się zawrzeć pokoju na równej stopie z ententą. Od pierwszych dni października wypracowuje Foch warunki zawieszenia broni i przedstawia je potem na konferencjach sprzymierzonych. Domaga się on oddania krajów zabrzanych oraz zajęcia linji Renu wraz z trzema przedmościami. Charakterystycznym jest, że już wtedy wysunięto ze strony angielskiej żądanie nie zajmowania linji Renu, czemu się Foch jednak stanowczo sprzeciwił. Przychodzi wreszcie do rokowań o zawieszenie broni w pociągu Focha na torze bocznym koło Rethondes. Foch zamieszcza tu in extenso protokół obrad. Poznajemy z niego nieugiętą stanowczość Focha i przygnębienie delegatów niemieckich, przeceniających nieco ewentualne skutki tak twardych warunków zawieszenia broni. Jedenastego listopada zostaje o godzinie piątej minut 10 podpisane zawieszenie broni, o jedenastej zostaje potem wstrzymany ogień na całym froncie. W grudniu poprowadził Foch swe wojska na linję Renu. „Stąd — jak pisze na ostatnich stronicach — widziały u swych stóp zwyciężone Niemcy i jeden ruch ich wystarczył, by przeszkodzić im w podniesieniu się, gdyby im przyszły takie zachcianki“.

Tyle co do treści. Firmie Mortkowicza należałoby się już uznanie za sam fakt wydania pamiętników w języku polskim, równocześnie z francuskeim wydawnictwem, należy się jej jeszcze więcej wobec tego, że pamiętniki ukazały się w języku polskim w szacie naprawdę okazałej, na świetnym papierze, w gustownej okładce, opatrzone szeregiem ślicznych rotograwjur, przedstawiających, poza zdjęciami z wydania francuskiego, szereg zdjęć z czasu pobytu Focha w Polsce.

*Dr. W. Czaplicki.*

Wanda Dobrowolska: *Książęta Zbarascy w walce z hetmanem Żółkiewskim*. Prace Krakowskiego Oddziału Polsk. Tow. Hist. nr. 4. Kraków 1930, str. 78.

Dr. Franciszek Suwara: *Przyczyny i skutki klęski cecorskiej*. Prace Krakowskiego Oddziału Polsk. Tow. Hist. nr. 7. Kraków 1930, str. 141.

Obie wymienione prace, zajmujące się wprost i pośrednio Żółkiewskim są dowodem tego zainteresowania z jakim nie tylko starsi ale i młodszy historycy odnoszą się do osoby tego hetmana, którego historjografia dotychczasowa postawiła na tak wysokim piedestale. Praca p. Dobrowolskiej, jakby jeden rozdział z monografii Zbaraskich, omawia dzieje i powody antagonizmu między Zbaraskimi a Żółkiewskim, przyczem, wobec nierozstrzygnięcia wielu problemów związanych z osobą Ż. zostawia wyrok w zawieszeniu. Jako główne powody antagonizmu wymienia austriackie sympatje hetmana, potem rzekomy jego pacyfizm wobec Turków i Tatarów. Stwierdzając na końcu, że Ż. nie cieszył się popularnością szlachty, wzywa do dokładnego zbadania kwestyj związanych z działalnością Ż. Rzecz oparta jest na sumiennych studjach archiwalnych, pisana stylem poprawnym, przeładowana jedynie cytatai.

Praca p. Suwary ujmuje problem szerszy i bardziej zasadniczy. Podejmując się zsumowania i częściowej rewizji poglądów na przyczyny i skutki klęski cecorskiej, omawia autor stosunek Ż. do kwestji tureckiej. Tu wbrew dotychczasowym poglądom, udowadnia autor na podstawie materiału archiwalnego, że Ż. od szeregu lat przed Cecorą parł do rozwiązania problemu wschodniego. Tak domagał się już w 1617 wyprawy na Ukrainę, dążył do walki z Turkami pod Buszą, proponował wyprawę na Tatarów w 1618, wreszcie radził wojnę z Turcją w 1619. Podobnie broni też autor Ż. przed zarzutem jakoby wyprawa cecorska była tylko odruchem podrażnionych nerwów, wykazując, powody, które skłoniły Ż. do tej wyprawy. W przedstawieniu stosunku Polski do Bethlena idzie autor naogół za Szelagowskim. Podkreśla tu autor działalność antypolską Bethlena w Stambule na skutek napadu Lisowczyków, ale podnosi też za Tretiakiem, że Turcy przedstawiali jako powód wojny w 1620 r. nie wyprawę Lisowczyków ale napady kozackie. Silniej też niż Szelagowski podkreśla autor momenty ogólnopolityczne, które mogły Zygmunta III skłonić do walki z Bethlenem.

W przedstawieniu skutków Cecory idzie autor naogół za dotychczasowymi badaniami, podkreślając jedynie, że i mianowanie hierarchji dyzunickiej trzeba między nie wsadzić.

Rzecz cała pisana stylem jasnym i treściwym czyta się bardzo miło. Wyzyskanie źródeł b. bogate, należało może jedynie uwzględnić jeszcze cytowane przez Szelagowskiego Acta Bethlena

i relacje ambasadora francuskiego w Stambule de Cesy z Min. Spr. Zagr. w Paryżu. Są one (częściowo zdaje się) drukowane w „Historica Russiae Monumenta” t. 2, a jeśli się nie mylimy są też w odpisach w Ossolineum.

Dr. W. C.

Morawski Stanisław Dr.: *Szlachta Bracia. 1802—1850*. Wydali A. Czartkowski i H. Mościcki. Poznań, Wydawnictwo Polskie Wegnera, str. 259, 8 ilustr.

Czartkowski Adam: *Księżna Łowicka. Portret biograficzny. 1791—1831*. Wydawn. jak wyżej, str. 168, 15 ilustr.

O dwu pierwszych tomach pamiętnikarskich pism St. Morawskiego, wydanych pod tytułem: *Kilka lat młodości mojej w Wilnie i w Petyburku*, pisaliśmy już w swoim czasie w *Przeglądzie*. Niedawno wydano resztę jego spuścizny literacko-pamiętnikarskiej, ściśle mówiąc tę resztę, którą opłaciło się, zdaniem wydawców, publikować. Te trzy tomy wspomnień uzupełniają się i związane są ze sobą dość ściśle, lecz tak jak związana jest faza muzyczna, postępująca decrescendo od wspaniałego forte ku melodji prostej i swojskiej. Nie jesteśmy skłonni do szafowania słowem: arcydzieło, a jednak w tym wypadku mamy przekonanie, że potomność i historia literatury zaliczy *Kilka lat młodości w Wilnie* do arcydzieł i pereł naszej literatury pamiętnikarskiej; dlaczego tak sądzimy, uzasadniliśmy przy ocenie tego tomu. Tom trzeci jest znacznie słabszy, skromniejszy, bardzo już ograniczoną obejmuje galerję postaci, sytuacji, typów, a jednak nie przestaje być interesującym; niektóre epizody barwnością, żywością opowiadania i humorem dorównują epizodom z pierwszego tomu (np. świetna i zabawna historia z kotem w Grobie Bożym i sądem, jaki miał miejsce po tej psocie małych urwiszów).

Postać Księżnej Łowickiej, żony Wielkiego Księcia Konstantego, z domu Joanny Grudzińskiej, należy do postaci najbardziej intrygujących w naszej historii. Wystarczy zestawić słowa: żona Konstantego, Noc listopadowa, Powstanie listopadowe, aby zrozumieć, dlaczego postać Joanny nazywamy intrygującą. Książka Czartkowskiego po raz pierwszy w tak wyczerpujący, spokojny a obiektywny sposób próbuje postać Księżnej wskrzesić na podstawie najwiarygodniejszych, w dużej mierze jeszcze nie wydanych źródeł. Autor odnosi się do Księżnej z wielką sympatją, uwypukla jej zalety, jej dodatni wpływ na dziką naturę Księcia, zbija przeróżne bajki i legendy, jakie czas osnuł około jej osoby, próbuje nawet bronić przed zarzutem obojętności patriotycznej w czasie powstania. Przyznajemy autorowi, że cel swój w dużej mierze osiągnął, w jego opowiadaniu postać Księżnej rysuje się żywo, naturalnie, psychologicznie jest całkiem zrozumiałą. Nie możemy się jednak oprzeć uczuciu pewnego jakby żalu do Księż-

nej, że nie odegrała w powstaniu roli bohaterki narodowej, choć niekoniecznie zaraz roli Judyty. Śnać nie miała w sobie sił na narodową bohaterkę; pozostała do śmierci dobrą, zacną, ale słabą i męża kochającą kobietą. Przywiązanie do męża było w niej silniejsze niż uczucie miłości Ojczyzny, choć z drugiej strony nie można nie widzieć, że zarówno warunki jak i charakter W. Księcia czynniejszą rolę polityczno-narodową Księżnej czyniły niemożliwą, gdy nie było w jej duszy danych na bohaterstwo. Dlatego w postaci Księżnej jest jakiś bolesny tragizm, on przedewszystkiem znaczy ostatni rok jej życia, rok powstania, i przez ten tragizm budzi ona w nas szczerą sympatię i współczucie. Te wszystkie momenty sprawiają, że książkę Czartkowskiego, pisaną lekkim, prostym stylem naracyjnym, czyta się jednym tchem, a wartość jej podnoszą liczne ilustracje (przeważnie portrety) i estetyczna szata zewnętrzna, będąca ogólną zaletą wszystkich wydawnictw Wegnera.

Ks. Śf. Bednarski.

*Pamiętnik Świętokrzyski. Rok 1930.* Wydawnictwo Wydziału Wojewódzkiego w Kielcach i Sekcji Regionalistycznej Związku Nauczycielstwa Polskiego. Redaktor A. Patkowski. Kielce 1931, str. 440 dużego 4°. Drukarnia Anczyca w Krakowie.

Ruch regionalny, który w odrodzonej Polsce intensywnie począł się przyjmować i szerzyć, prócz wielu dodatnich stron, ma i tę wielką zasługę, że przeciwdziała zgubnemu centralizmowi kulturalnemu, pragnącemu wszystkie siły kulturalne i działalność kulturalną skupić w stolicy, względnie w dwu, trzech dodatkowych centrach, z ogromną szkodą prowincji. Zbyt centralizm kulturalny poprostu zabija duchowo i kulturalnie prowincję, a zarazem pozbawia kulturę narodową wszechstronności i bogactwa, jakie mogą jej dać grupy regionalne, często bardzo silne i zdrowe etnicznie i bliższe podstaw narodowej kultury i jej ducha, niż zniwelizowana a nawet skosmopolityzowana stolica. Kultura narodowa wtedy osiągnie swój pełny rozwój, kiedy oparta na tradycji, na przeszłości, będzie starała się te tradycyjne pierwiastki przerabiać twórczo; już zaś najbliższą tradycją jest prowincja, bo ona tą tradycją bardzo często jeszcze żyje, gdy w stolicy tradycja nieraz nie wychodzi już poza mury muzeów. I tu leży druga zasługa regionalizmu.

Wspaniałem potwierdzeniem tych naszych ogólnych uwag jest właśnie pierwszy tom *Pamiętnika Świętokrzyskiego*. Mówimy wspaniałem, bo zarówno jego zawartość jak i zewnętrzna szata jest imponująca, jak na dzisiejsze niezmiernie ciężkie warunki, wprost zdumiewająca. Jest to zasługą zarówno inicjatorów i wydawców *Pamiętnika*: Wydziału wojewódzkiego w Kielcach i Sekcji regionalistycznej Związku Nauczycielstwa Polskiego jak

i redaktora p. A. Patkowskiego, sandomierzanina. Oczywiście rzecz, że niepodobieństwem jest podawać treść Pamiętnika, skoro samo wyliczenie artykułów zabrałoby przynajmniej dwie strony druku. Treść ta jest bardzo bogata i różnorodna, obejmuje rozprawy przyrodnicze, historyczne, literackie i wreszcie artykuły z zakresu folkloru i etnografji, z przydaniem bogatej kroniki życia kulturalnego powiatów kieleckiego, radomskiego i sandomierskiego. Wysoki naogół poziom artykułów, piękna szata zewnętrzna, ilustracyjny papier, liczne, doskonale wykonane ryciny, to wszystko razem sprawia, że *Pamiętnik Świętokrzyski* jest najwspanialszem znanem nam polskiem wydawnictwem regionalistycznym, i słusznie z niego mogą być dumni tak wydawcy, jak i te prastare polskie ziemie, którym Pamiętnik poświęcono.

Ks. St. Bednarski.

Otton Hedemann: *Historja powiatu brasławskiego*. Wilno 1930, str. XXXII+484 i mapa.

Coraz silniej rozwija się w ostatnich latach regionalizm i to tak w dziedzinie sztuki — gromadzenia w lokalnych muzeach zbiorów poszczególnych terytorjów, jak i w dziedzinie nauki — tworzenia monograficznych opracowań powiatów, miast i wsi. Monografie tego rodzaju, poza swem czysto lokalnem znaczeniem, przynoszą niejednokrotnie ważne fakty i szczegóły, nieobojętne dla całokształtu nauki polskiej. Naukowe badania regionalistyczne z zakresu historii są ponadto specjalnie wartościowe dla dwu niedawno w Polsce powstałych gałęzi nauk historycznych, a mianowicie historii kultury i historii gospodarczej. Nauki te z natury rzeczy opierać się muszą w swych wynikach na setkach i tysiącach drobiazgowych faktów codziennego życia, by z nich dopiero wysnuć ogólniejsze wnioski naukowe. Stąd też nawet najdrobniejsze badania monograficzne i przyczynkowe są ważne, niejednokrotnie niemal podstawowe dla tych nauk.

Ale genezy żmudnej i nieraz niewdzięcznej pracy nad regionalistycznymi badaniami często gdzieindziej szukać należy. Pobudką do tej pracy staje się tak zwany lokalny patriotyzm — chęć i ciekawość poznania okolic, w których autor przepędza swe życie. Ta chęć kieruje niejednokrotnie piórem lokalnego historyka, w niej też szukać trzeba genezy monografji powiatu brasławskiego.

Monografia powiatu brasławskiego obejmuje gruby tom, o nader bogatej treści, ułożony jasno i przejrzystie. Pracę swą dzieli autor na dwie części: ogólną, obejmującą rozdziały I — XIII i szczegółową, będącą zbiorem drobnych monografijek miejscowości brasławskiego powiatu. Część pierwsza utrzymana jest w porządku chronologicznym, — kreśli ona na tle ogólnie rzu-

canych wypadków dziejowych Polski rolę powiatu brasławskiego od zamierzchłych czasów — przez okres przedjagielloński, aż po schyłek XIX wieku. Z natury archiwalnych źródeł i zabytków wyniknęła dysproporcja wiadomości, odnoszących się do czasów wcześniejszych w porównaniu z XVIII i XIX wiekiem, których dzieje zajmują większość pracy. Autor nie ogranicza się w swem przedstawieniu historii lokalnej do suchego wyłącznie zestawienia faktów, owszem ujmuje niejednokrotnie zagadnienia w rzeczowe grupy, dając zwarty obraz stosunków społecznych i kulturalno-oświatowych w XVIII i XIX wieku.

Część II pracy obejmuje dwa rozdziały XIV i XV. Pierwszy z nich podaje zwięzłe historie miast Brasławia, Druji i Widzów, następnie w porządku alfabetycznym 29 miejscowości powiatu brasławskiego. Rozdział XV, zatytułowany „Dodatki“, wkracza w dziedzinę publikacji materiałów i źródeł historycznych, daje on bowiem przedewszystkiem szereg rejestrów urzędników powiatu brasławskiego, spis szlachty brasławskiej, powstańców 1831 i 1863 r. oraz wykaz skonfiskowanych po 1863 r. przez rząd rosyjski — majątków. Orientację w pracy ułatwia znakomicie dokładny indeks, pozwalający bez trudu wyszukać żadaną osobę, czy miejscowość, oraz zebrać podane o niej w pracy wiadomości.

Książkę zdobi szereg nader pięknie i artystycznie wykonanych fotografii zabytków. Uzupełniająca dzieło mapa byłaby doskonałą ilustracją topograficzną, unaoczniającą wywody autora, gdyby nie to, że brak przejrzystości rysunku technicznego mapy, utrudnia orientację.

Styl autora, utrzymany chwilami w tonie gawędziarskim, umila lekturę, bądź co bądź niekiedy suchą, pełną drobnych-lokalnego znaczenia faktów, czy cyfr. Autor sumiennie wykorzystał materiał źródłowy, zwłaszcza archiwalny, zadając sobie trud przeszukania szeregu archiwów, tak państwowych, jak i prywatnych. Dokładne i jednolicie przeprowadzone sposoby cytowania źródeł umożliwiają kontrolę wyników autora, będąc zarazem wskazówką, gdzie należy szukać materiałów do ewentualnych uzupełnień, czy dalszych badań. Może przyszli badacze dziejów powiatu brasławskiego zmienią lub rozszerzą ten czy inny szczegół wyników badań autora — całokształt monografii pozostanie prawdopodobnie w swym zasadniczym zřębie trwałą zdobyczą polskiej nauki. Toteż w pełni można podtrzymać pochlebny sąd o pracy i autorze, jaki wyrzekł dyrektor państw. Archiwum w Wilnie Wacław Gizbert-Studnicki we wstępie do omawianej książki, iż w p. Otto Hedemannie powitać należy pioniera naukowo ujętej monografii powiatu, którego trud i praca oby znalazła licznych i równie sumiennych naśladowców.

*Dr. Marjan Pelczar.*



Inż. J. J. Karpiński: *Puszcza Białowieska i Park Narodowy w Białowieży*. Kraków 1930, str. 32, 16 tablic i mapa.

Coraz potężniej rozwija się w Polsce akcja ochrony przyrody wśród polskiego społeczeństwa i coraz bardziej szerzy się propaganda piękna przyrody, prowadzącej tak prosto do poznania Najwyższego Piękną — Boga. Toteż każdy, komu piękno ojczystego krajobrazu nie jest obojętne, powita z wielką radością świeżo wydaną broszurę inż. Karpińskiego, poświęconą jednemu z najpiękniejszych zabytków polskiej flory — starodawnej, odwiecznej puszczy Białowieskiej. W krótkim, treściwym wykładzie zaznajamia autor na 30 stronach swej pracy z tym zabytkiem dawnego lasu, podając zwięzły rys historii puszczy od czasów pierwszej o niej wzmianki z wieku XV aż po rok 1920, kiedy rząd polski mógł rozpocząć racjonalną gospodarkę w puszczy. Z kolei następuje rys podstaw geograficznych puszczy, opis jej flory i fauny, a wreszcie „historja powstania parku narodowego w Białowieży” i jego opis z punktu widzenia naukowo-przyrodniczego, kulturalno-oświatowego i turystycznego. Planem przyszłych zamierzeń gospodarki puszczańskiej kończy autor swój szkic, uzupełniając go botanicznym skorowidzem roślin puszczy, o których w pracy swej wspominał.

Broszura napisana bardzo jasno i przystępnie, choć ujmując szereg zagadnień z fachowego i naukowego punktu widzenia, może być przeczytana przez każdego nie-przyrodnika z niesłabnącym zainteresowaniem. Prawdziwą ozdobą są bardzo liczne ilustracje, rozmieszczone w tekście lub też na osobnych tablicach. Przemawiają one pięknem polskiej natury, posiadając nieprzemijającą wartość obrazu największego arcydzieła na ziemi — przyrody. Orientację w terenie puszczy ułatwiają dwa dokładne i staranne plany całej puszczy i nadleśnictwa „Rezerwat”, tworzącego przeszło cztery i pół tysiąca hektarów, obejmujący ośrodek parku Narodowego,

Książka p. inż. Karpińskiego stanie się cennym informacyjnym przyczynkiem do naszej przyrodniczo-turystycznej literatury, przeznaczonej dla szerokich warstw inteligencji; powinna ona znaleźć jak najszersze rozpowszechnienie i zachęcić wszystkich do zwiedzenia polskiego Narodowego Parku w Białowieskiej Puszczy.

*Dr. Marjan Pelczar.*

I. W. Kosmowska: *Pomorzanie. Zarys historyczny, gospodarczy i społeczny*. Z ilustracjami i mapą. Warszawa, „Księgarnia Polska” Tow. Macierzy Szkolnej, 1930, str. 174.

Henryk Bagiński: *Wolność Polski na morzu*. Warszawa, Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy, 1931, str. 96.

Nasz stosunek do Pomorza, zaznaczający się powszechnymi protestami, ilekroć ze strony niemieckiej odzywają się donośniej

głosy rewindykacyjne, winien być świadomy, ugruntowany na dobrej znajomości rzeczy. Dlatego pożądane są zawsze publikacje w tej sprawie. Do dość pokażnej literatury o Pomorzu, o której zdawaliśmy kilkakrotnie sprawę, przybyły dwie książki, których tytuły podaliśmy wyżej.

Książka Kosmowskiej, jak wszystkie wydania Macierzy szkolnej, napisana popularnie i obliczona na najszerwsze warstwy ludności, a zasługuje całkowicie na to, by po całej Polsce się rozeszła w jak największej ilości. Poucza ona o historii tego kraju, o jego narodowym składzie, gospodarczych stosunkach, kulturalnych zabytkach, ilustrując opowiadanie licznymi rycinami. Dowodzi jak wielkie znaczenie posiada dla Polski ta prowincja i jak słusznie się jej należy.

Książka Bagińskiego to polityczna publicystyka. Rozprawia się ona z niemieckimi roszczeniami do Pomorza, broni „bałtyckiego” charakteru Polski i wykazuje znaczenie dla niej portów nad Bałtykiem; „korytarz” potrzebny jest Niemcom do Prus Wschodnich, typowej kolonii i ten korytarz posiadają Niemcy w wolnym tranzycie kolejami polskimi. Książka wykazuje także bezpodstawność pretensyj wolnego miasta Gdańska do Polski i korzyści, jakie dla Gdańska wypływają z połączenia go w jednostkę celną z Polską, a nie z Niemcami. A byłyby te korzyści jeszcze większe, gdyby nie nacjonalizm szowinistyczny gdańszczan, nie chcących nawiązać bliższych handlowych stosunków z firmami polskimi.

J. U.

Ks. Dr. A. Mytkowicz: O płacach zarobkowych i ich bieżącej polityce. Poznań, 1930, 8-<sup>o</sup> str. 90, odbitka z „Przewodnika Społecznego”.

Ks. Dr. Michał Białowas: Czas pracy w Polsce. Miejsce Piastowe 1931, 8-<sup>o</sup> str. 95.

Mamy przed sobą dwie monografie na temat zagadnienia społecznego, obydwie napisane przez księży. I nie po raz pierwszy mamy sposobność na tem miejscu przedstawić autorskie prace polskich kapłanów na tem polu. Może nawet nie przesadzimy, jeżeli powiemy, że jest to u nas jakby *signum temporis*, iż sfery duchowne coraz częściej i coraz śmielej zabierają głos w dokuczającej zresztą wszystkim kwestji społecznej. Po śp. ks. Zimmermanie i ks. Zegarlińskim wyłonił się szereg cały nazwisk, z którymi już niemal popularnie łączy się problemy społeczne. Księża Wóycicki i Szymański, Fr. Mirek i Piwowarczyk, księża biskupi St. Adamski, W. Dymek i T. Kubina — oto kilka nazwisk czeigodnych osób, dla których zagadnienia społeczne zdają się być w dużej mierze zagadnieniami ich życia, jak można wnośić z ich pisanego słowa w tej dziedzinie. I autorzy, których

monografię tutaj omawiamy, nie są nowicjuszami, zwłaszcza ks. dr. Mytkowicz.

Problem, którego się autor podjął, stanowi rzeczywiście główną oś zagadnienia społecznego i jego rozwiązywanie, takie czy inne, zdecyduje o wyglądzie społeczeństw bodaj może w najbliższej przyszłości. Osnowa monografii jest bardzo przejrzysta, powtarzająca się zresztą, niemal klasycznie, we wszystkich tego rodzaju monografiach: przebieg historyczny walki o wynagrodzenia, zapatrywania szkół liberalnej, socjalistycznej i katolickiej na płacę zarobkową, umowy indywidualne i zbiorowo-taryfowe o płacę. Najnowsze ustawodawstwo w tej dziedzinie, z szczególnem uwzględnieniem stosunków polskich. Trzeba powiedzieć, że autor objął całość zagadnienia, choć czytając tę monografię ma się niejednokrotnie wrażenie, że autor sam się zbyt ograniczał do ciasnych ram artykułów czasopisma, w którym pierwotnie ta monografia się ukazała. Czuje się, aż nadto dobrze, iż mógłby o tym czy innym szczególnie znacznie więcej powiedzieć, a z konieczności o temat tylko potrąca. — Zdaje nam się, że jak chodzi o pogląd autora na całość zagadnienia wynagrodzenia robotniczego, wystarczy przytoczyć jedno zdanie z pierwszych stron broszury i to, czem swą pracę kończy. „Przedsiębiorca, operujący niską pracą zarobkową, uważany musi być za niezdolnego do pełnienia swego stanowiska i jego warsztat winien iść do likwidacji” (str. 14) kończy zaś autor na str. 90 wskazaniem statystycznym głodowych prac zarobkowych, po których umieszcza cytat: „Cóż to znaczy? Jest to nędza, potworna nędza, która nie może wiedzieć, co to jest przyzwoite mieszkanie, co to posilne jedzenie, co czystość, porządek, co to jest życie poprostu. To klęska społeczna, siedlisko zarazy, epidemii tyfusu i wszystkiego tego, co jest nieszczęściem i hańbą społeczeństwa”. Niewątpliwie słuszne poglądy i równie niewątpliwie mocne powiedzenia, przed wojną powiedziałoby się co najmniej: „radykałne!”

Monografia ks. Białowąsa zajmuje się tematem, który jest znacznie węższy, zwłaszcza, że autorowi chodziło specjalnie o opracowanie go na kanwie ustawodawstwa polskiego. Z całym uznaniem podkreślamy, że praca ta nie pozostawia nic do życzenia zarówno w treści jak i formie opracowania. Autor najpierw omawia długość dnia roboczego, następnie dnie spoczynku, dalej czas pracy kobiet i młodocianych, wreszcie przygląda się tej sprawie ze stanowiska etyki katolickiej. Wszystkie powyższe problemy omawia wyczerpująco, ilustrując je dostatecznie danymi historycznymi i praktycznymi tak, że wskutek tego broszura ma obok swej wartości dysertacji naukowej dużą wartość praktyczną dla każdego, kto się posługuje w swem życiu najemną siłą roboczą. Praktyczną wartość monografii podnosi jeszcze i ten szczegół, że autor na końcu umieścił dosłowny tekst ustawy pol-

skiej, oraz rozporządzenia ministerstw, odnoszące się do czasu pracy w Polsce, a w których obok przepisów normatywnych są i przepisy karne za przekroczenie pierwszych.

*R. Moskala.*

Ks. Dr. Ferdynand Machay: Rozwiązanie sprawy społecznej w ramach Akcji Katolickiej. Wyd. Księgarni św. Wojciecha, Poznań, str. 189.

Z tytułu książki, która stanowi jedenasty tom poznańskiej „Książnicy Akcji Katolickiej“, możnaby wnioskować, że ks. Dr. Machay zajmie się w tej pracy tylko kwestją kompetencji Akcji Katolickiej, jako znanej konkretnej organizacji, w zagadnieniach społecznych, naprz. w prowadzeniu Związków zawodowych. Treść wszakże książki rozsadza jej tytuł, daje w niej bowiem autor rodzaj chrestomatji, ułożonej ze zdań papieży, biskupów i autorów katolickich, omawiających całokształt zagadnień społecznych, zatem rodzaj podręcznika dla wszystkich katolickich działaczy społecznych. Zato autor sam sobie nałożył inne ograniczenie i zacięśnienie materiału, naszym zdaniem nie bardzo szczęśliwe; mianowicie cytuje on akta urzędowe tylko dwóch papieży, Piusa X i Benedykta XV, sięgając niekiedy do Leona XIII; z innych powag przytacza także wypisy z czasów owych dwóch pontyfikatów, cały zaś materiał z lat obecnego pontyfikatu, Piusa XI, odkłada do innego tomu. Ten podział byłby trafny, gdyby autor przedstawiał jedynie historyczny rozwój już to kwestji społecznej, już to organizacji Akcji katolickiej, tymczasem ks. Dr. Machay robi rodzaj podręcznika, usystematyzowanego według poszczególnych zagadnień a nie faz rozwoju i obraz komplikacyj społecznych i gospodarczych czerpie z chwili obecnej, nie z przeszłości. Boję się, że gdy w następnej pracy przejdzie do Piusa XI, będzie zmuszony dać te same ramy, czyli powtórzyć to wszystko, co obecnie sam od siebie pisze.

Na zasady, tak jak one zostały wyciągnięte przez autora z pism papieży, biskupów etc., oczywiście każdy musi się zgodzić; trzeba się zgodzić i na to, że zagadnienia społeczne, nie tylko o ile chodzi o ich katolickie oświecenie, ale także o ile chodzi o praktyczną zasad katolickich realizację, należą do zakresu Akcji katolickiej, ale zato należy w interesie tejże Akcji, jak również powodzenia jej pracy na terenie społecznym przestrzegać zasady nie mieszania do tej Akcji polityki we właściwym znaczeniu tego słowa. Tęgo rozgraniczenia ks. Machay nie dotknął wcale.

Książkę zrodziła wielka miłość autora do klas pracujących i gorliwość o dobro sprawy Bożej, ale szkoda, że nie zdołał hamować w dostatecznej mierze tej uczuciowej strony i że dlatego zawiele jest w jego pracy kaznodziejstwa i moralizowania. Język wymagałby także korekty. Mimo powyższych zastrzeżeń, książka

jest bardzo pożądaną jako *repertorium* bardzo wielu ważnych tekstów i jako gorąca zachęta do katolickiej pracy w dziedzinie zagadnień społecznych.

Jak mogliśmy się przekonać z wielu już przez nas notowanych prac, lista książek traktujących o Akcji katolickiej, jej celu, zadaniach, metodach, wciąż się wydłuża. Ale wszystko, co się na ten temat ukazuje, wychodzi z pod pióra księży. Tymczasem Akcja katolicka to stowarzyszenie świeckiej elity katolickiej, która ma stać się pomocą w apostolskim dziele Kościoła. Otóż sama ta „elita” wciąż jeszcze — przynajmniej u nas w Polsce — nie przemawia ani piórem, ani jakimiś wybitnymi czynami. Czy nie czas już wyjść ze stanu organizowania się, a zaznaczyć swe życie pracą nazewnątrż?

Ks. J. Urban.

Wtajemniczenie w filozofję św. Tomasza. Praca zbiorowa pod redakcją E. Peillaube. Księgarnia św. Wojciecha, Poznań, str. 359.

Postępujące szybko odrodzenie religijne polskiej inteligencji, wysuwa potrzeby, które dawniej w mniejszym stopniu odczuwano. Jedną z nich to konieczność obfitej literatury religijnej, zastosowanej do różnych poziomów wykształcenia. „Wtajemniczenie”, którego przekład daje nam księgarnia św. Wojciecha, jest przeznaczone dla osób ze średnim wykształceniem i ma na celu zachęcić i przygotować czytelników do bliższego zapoznania się z tomizmem, stanowiącym klasyczną i wieczystą filozofję ducha ludzkiego.

Dzieło to jest opracowane przez 8 autorów, byłych słuchaczy wydziału filozoficznego Instytutu Katolickiego w Paryżu, pod wspólną redakcją. Stanowi ono jednolitą całość, obejmującą całokształt nauki św. Tomasza: ontologję, kosmologję, psychologję, logikę, etykę i estetykę. Każda część następna jest nawiązana do poprzednich, zaopatrzona w odnośniki, z podaniem strony, na której dane zagadnienie było już omawiane, a przez to ogromnie ułatwia korzystanie z książki. Indeksy: rzeczowy i porównawczy terminów polskich i łacińskich, względnie francuskich, ułatwiają orientację jeszcze bardziej.

Sposób przedstawienia jasny, o charakterze wybitnie sprawozdawczym, usiłującym wiernie i zrozumiale przedstawić system filozoficzny św. Tomasza. A ponieważ św. Tomasz jest przede wszystkim teologiem, zatem dla lepszego zmierzenia zasięgu i owocności przewodnich idei systemu, rozwój ich jest przedstawiony nie tylko ze stanowiska czysto rozumowego, ale również z pewnem uwzględnieniem światła, wypływającego z wiary. W toku wykładu mamy niejednokrotnie, jakby nawiasem, zaznaczoną błędność rozwiązań niezgodnych z nauką św. Tomasza, autorki jednak nigdzie nie wdają się w szczegóły odmiennych systemów

filozoficznych. Dzieło pozbawione jest niemal zupełnie akcentów polemicznych, co wzmacnia siłę przekonywującą przedstawionej nauki. Mniejszy stosunkowo nacisk położono na metodyczność wykładu. W nauce o duszy str. 209 mówi się o stworzeniu duszy przez Boga, ale samo istnienie Boga rozważane jest nieco dalej w teodycei. Podobnie mimo całej staranności, z jaką każdy wprowadzony termin został wyjaśniony, użyto kilkakrotnie pojęcia „virtualnie” bez uprzedniego omówienia.

Główną zaletę książki stanowi uwydatnienie zwartości i piękna filozofii chrześcijańskiej — jej klasycznej prostoty, która musi uderzyć każdego czytelnika w porównaniu zwłaszcza z mozolnymi spekulacjami wielu systemów filozoficznych XIX wieku. Taki np. ustęp O. Peillaube, szkicujący naukę o boskim egzemplaryzmie z przytoczeniem dwu strof Pieśni Duchowej św. Jana od Krzyża niesie ze sobą tchnienie poezji.

Tłumaczenie polskie bardzo staranne. Trafność terminów i poprawność języka zaszczytnie wyróżniają „Wtajemniczenie” z pomiędzy wielu naszych przekładów dzieł o treści filozoficznej.

Czy cel książki zostanie osiągnięty? Czy będzie ona zrozumiała dla osób ze średnim wykształceniem? Należy sądzić, że tak. Ci wszyscy, którzy po ukończeniu szkoły średniej nie zaniedbują pracy nad sobą, a tylko tacy wezmą tę książkę do ręki, powinni ją zrozumieć. Stwierdzić należy, że mimo znakomitego dzieła O. E. Hugona: „Zasady Filozofji”, przekład „Wtajemniczenia”, obejmującego całość filozofji tomistycznej, jest bardzo na czasie i znaleźć się on winien we wszystkich ogniskach Akcji katolickiej, jak również w ręku każdego inteligentnego katolika.

Z. W.

Ks. Dr. Edward Górski: *Księga psalmów. Tekst i komentarz*. Wyd. 2. Sandomierz 1930, str. XXXX 270.

Wydanie pierwsze tej książki nastąpiło w r. 1916, to jest w czasie, kiedy Polska była rozdarta wojennymi frontami, a zatem kiedy to, co się działo po jednej stronie frontu, nie było znane po drugiej. Z tego powodu, przypuszczać można, nie we wszystkich dzielnicach Polski zwrócono na nią uwagę. Należy to uczynić po dokonaniu wydania drugiego. Ks. Dr. E. Górski, profesor seminarjum duchownego w Sandomierzu, chciał uprzystępnić tę księgę biblij, która po Ewangeliach chyba jest najpopularniejszą we wszystkich językach. Ogłosił więc, równoległe umieszczone, łaciński tekst psalmów według Wulgaty i polski przekład ks. Wujka, opatrując go swoim komentarzem. We wstępie podane zostały wiadomości o charakterze poezji hebrajskiej, a w szczególności psalmów, o ich autorstwie, czasie napisania i t. d., ściśle stosując się do wskazań papieskiej Komisji biblijnej. Nie znajdziemy więc w wydaniu ks. Górskiego ani próby rekon-

strukcji nadwyręzonego tu i ówdzie tekstu, ani uwidocznienia podziału psalmów na strefy. Tradycyjnie przyjęty przekład nie zawsze oddaje owo zabarwienie archaiczne i lokalne, które pozwoliłoby wczuć się w uczucia modlącego się Żyda (nprz. przez przywrócenie własnego imienia Boga — Jahwe na miejsce bezbarwnego „Pan“); jest to raczej tekst przystosowany już do chrześcijańskiego kultu, oddany w przekładzie w poważnej szacie Wujkowskiej prozy. Z tą informacją, potrzebną dla zorientowania się zgóry czego w wydaniu tem niema, uważamy je za pożyteczne, wobec tego, że na całość biblij niejednemu trudno się zdobyć, a Psalmy ze Starego Testamentu najbardziej wymagają rozszerzenia nie tylko wśród duchowieństwa, ale i wśród wiernych.

J. U.

Św. Jan od Krzyża: *Noc ciemności i Pieśń duchowa*. Nakł. Tow. „Biblioteka Religijna“, Lwów, 1931, str. 441.

Sygnalizując ukazanie się pierwszego tomu dzieł św. Jana od Krzyża (zawierającego „Wnijście na Górę Karmelu“) w polskim przekładzie E. Kosteckiej, wyraziliśmy (*Przegl. Powsz.* maj 1928) pełne uznanie dla tego przekładu. Donosząc teraz o pojawieniu się tomu drugiego dzieł Doktora Mistycznego, o wartości przekładu, dokonanego tą samą ręką, musimy powtórzyć tę samą pochwałę. Wydanie tych dzieł jest rzetelnem wzbogaceniem naszego piśmiennictwa duchownego i zajmą one należne im miejsce obok przekładu dzieł św. Teresy przez biskupa H. Kossowskiego. Tu chcemy wypowiedzieć jedną skromną uwagę co do praktycznego użytku pism św. Jana od Krzyża. Nie potrzeba o tem mówić, bo sąd Kościoła o tem orzeka, że pisma św. Doktora przyniosą wielki pożytek czytającym pobożnym duszom, a także że poznanie tych pism należy do całości teoretycznego wykształcenia w zakresie ascetyki i mistyki. Wszakże w pełni zrozumiałym jest św. Jan tylko dla czytelników, obznajomionych z rozwojem literatury mistycznej wogóle w 16 i 17 stuleciach, z jej terminologją, z metodą posługiwania się tekstami Biblii w sensie alegorycznym. Dlatego czytanie jego radziłbym poprzedzić pewnem przygotowaniem, naprz. czytaniem książki Pourrat'a „La Spiritualité chrétienne“ i przestudjowaniem jakiegoś systematycznego podręcznika życia duchownego.

J. U.

L. Jeleńska: *Sztuka Wychowania*. Biblioteka Dzieł Pedagogicznych. Nakładem „Naszej Księgarni“ Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych. Warszawa 1930.

Na 230-stu stronach przedstawia autorka problem wychowania i podaje w praktyczny sposób na czem polega sztuka wychowania. Celem wychowania jest sharmonizowanie rozdzwiku,

jaki każdy człowiek odczuwa w sobie: *video meliora proboque, deteriora sequor*, a sharmionizowanie to może nastąpić jedynie przez poddanie władz niższych — duchowym. Cel ten nie może ulec zmianie, jak nie może ulec zmianie natura człowieka — jest on więc wieczny. Wychowanie osiągnie swój cel, jeśli doprowadzi dziecko do samowychowania. Autorka kreśli dalej na podstawach psychologicznych drogi, na których znaleźć można wstęp do duszy dziecka.

Zarówno sam problem wychowania, jak i dalsze wywody są przedstawione w sposób niezwykle jasny i zwięzły. Książka z powodu tych właśnie zalet może oddać bardzo wielkie usługi. Dobrze się stało, że wydała ją „Nasza Księgarnia”; w ten sposób książka ta trafi najprędzej do rąk szerokiego ogółu nauczycielstwa i przyczyni się na pewno do usunięcia chaosu, jaki dotąd ciągle jeszcze panuje w poglądach na cel wychowania.

Książka ta będzie także niezmiernie pożyteczna w rękach rodziców. Mała stosunkowo objętość dzieła, prostota i jasność, z jaką podany jest sposób rozwiązania najważniejszych trudności wychowawczych, przyczyni się na pewno do jej szerokiego rozpowszechnienia. Ta zwięzłość stanowi szczególną zaletę dla tak dziś zajętych ojców i matek.

Każdego katolickiego wychowawcę interesować musi stosunek autorki do religii, gdyż w wychowaniu nie można od niej abstrahować. O ten stosunek możemy być zupełnie spokojni. Autorka w poglądach swoich jest nawskróś katoliczką, nie tylko często przytacza autorów i wychowawców katolickich (św. Tomasz, Fnelon, Gillet, Dupanloup, Gratry, Darowska, Woroniecki), ale cała książka jest prześwietlona ideałem chrześcijańskim. Oto w jaki sposób sama autorka ideał ten charakteryzuje: „Jest (on) istotnie porywający, bo godność dzieci Bożych, uczestniczących już tu na ziemi przez łaskę w życiu samego Boga i przeznaczonych do przebóstwienia, jest szczytem natury ludzkiej”.

Tak przerzekłowane dziś zagadnienie wychowania fizycznego autorka sprowadza do właściwej miary: „podporządkowanie wychowania fizycznego wychowaniu moralnemu powinno być zasadą dla wychowawców i młodzieży”. „Człowiek może dźwignąć się po największych upadkach, może nie poddać się zniechęceniu, gdy już wszyscy o nim zwątpili, jeżeli ma wiarę, że jest kochany przez Tego, który i siłą uczucia i ogromem wyrozumiałości przewyższa największe serca, jeśli rozumie, że Bóg jest miłością”.

Nie pozostanie bez wpływu fakt, że autorka, zdobywająca sobie jedno z pierwszych miejsc na polu naukowej pracy pedagogicznej, nawiązuje wyniki współczesnej pedagogiki do zasad oddawna głoszonych przez Kościół. Problem wychowania jest ten sam, a metody wychowania muszą opierać się na najgłębszych podstawach etyki katolickiej. Gdy prace Jeleńskiej postavimy



obok ostatnich dzieł Förstera, stwierdzić możemy z radością, że współczesna pedagogika śmiało wkracza na właściwe dla siebie drogi.

J. W.

Lexikon der Pädagogik der Gegenwart... herausgegeben vom Deutschen Institut für wissenschaftliche Pädagogik. Münster in Westphalen. Erster Band: Abendgymnasium bis Kinderfreunde str. XVI i 1344 szpalt. Herder. 1930.

Znamiennym rysem współczesności jest bardzo żywe interesowanie się zagadnieniami wychowawczymi, istny wyścig w poszukiwaniu nowych metod pedagogicznych. Gdy dawniej raz, dwa razy na wiek rodziły się nowe prądy pedagogiczne, nowe szkoły, nowe systemy — sądzono snąć, że dusza dziecka nie jest odpowiednim materiałem do eksperymentów — to za naszych czasów systemy te, szkoły i metody rodzą się jak grzyby po deszczu; czy z korzyścią dla nauczania i wychowania, a konsekwentnie czy z korzyścią dla ludzkości, można bardzo poważnie wątpić. W dziejach literatury i sztuki nie trudno zauważyć, że, kiedy najczęściej się mówi i pisze o teorii poezji czy sztuki, wtedy właśnie przeżywa się okres zastoju, lub nawet upadku literatury i sztuki. Tak było w okresie pseudoklasycyzmu, tak jest i dziś. Zupełnie coś podobnego da się zauważyć i w dziejach wychowania; kiedy ludzkość przeżywa okres krytyczny, wtedy zaczynają się również rodzić reformatorzy wychowania, powstawać nowe prądy i kierunki. Kto zaś zna historję, ten zawsze będzie spokojnie i z rezerwą odnosił się do nowości, zwłaszcza na polu pedagogiki.

U podstaw współczesnego ruchu wychowawczego, objawiającego się przesadnym pościgiem za nowością, leży płytki i nieuzasadniona pycha współczesnego człowieka, któremu się wydaje, że od niego zaczyna się dopiero prawda i dobro i piękno. Zapomina się, że ludzkość żyła przed wiekiem 20-tym już całe tysiące lat, że wychowywała setki młodych pokoleń i na pewno nie była mniej szczęśliwą, niż nią jest współczesność. Z tych przesłanek rodzi się potrzeba rozumnego i światłego przewodnika dla wychowawców katolickich, by nie dali się porwać bezkrytycznemu bałwochwalstwu nowości, nie zagubili się w powodzi systemów, metod, nowych szkół i nie zeszli z pewnej drogi katolickich zasad wychowawczych. Takim przewodnikiem pragnie być wydany świeżo (w pierwszym dopiero tomie) *Słownik pedagogiki współczesnej*. Wydała go firma Herdera, a opracował Niemiecki Instytut dla naukowej pedagogiki w Münster (i. W.). Instytut ten powstał niedawno, bo dopiero w r. 1922. Skupia on w sobie całe katolickie nauczycielstwo niemieckie i wszystkich fachowców katolickich. Rozbudowany na cały szereg sekcji, prowadzi żywą działalność wydawniczą, pracownię psychologiczno-pedagog., urządza kursa i zjazdy, zainicjował wydanie olbrzy-

miego, bo obliczonego na 27 tomów *Handbuch der Erziehungswissenschaft*, a świeżo wydał wymieniony Słownik. Pierwotnie leksykon ten był pomyślany jako tom uzupełniający do znanego słownika Roloffa, w ciągu jednak przygotowania rozrósł się do dwu tomów, stanowiących nowy, zupełnie samodzielny słownik współczesnej pedagogiki. Ściśle jednak mówiąc, nie jest to słownik czy encyklopedia w dosłownym tego słowa znaczeniu, ale raczej zbiór artykułów, systematycznie rozłożonych wedle najważniejszych zagadnień, bez szkodliwego rozprószkowania, a tylko dla łatwiejszej orjentacji podanych w porządku alfabetycznym. Gruntowność opracowania, bogactwo informacji rzeczowych i bibliograficznych, przy zwięzłości i jasności przedstawienia — oto zalety omawianego Słownika, bez którego nie może się obejść żaden fachowy katolicki pedagog.

*Ks. St. Bednarski.*

- Ks. St. Marchewka: Rozważania o Najśw. Sakramencie podczas miesięcznej adoracji Najśw. Sakr. Nakł. księgarni „Jedność” w Kielcach, str. 181.
- Ks. Wł. Muchowicz: Przenajświętsza ofiara. 25 kazań o Mszy św. Nakł. „Biblioteki Religijnej”, Lwów, 1930. Str. 294.
- Ks. Prevot: Rekolekcje dla czcicieli Najśw. Serca Jezusa. Wolny przekład z francuskiego przez L. R. Główny skład w księgarni św. Wojciecha, Warszawa. Str. 253.
- Ks. Fr. Walczyński: Podręcznik do kazań i nauk o rzeczach ostatecznych. Nakł. księgarni Zygmunta Jelenia, Tarnów. Str. 182.
- Ks. Józef Czarnecki: „Ojciec odpuść im...” Męka Pańska a życie dzisiejsze, szereg myśli. Nakł. Zygmunta Jelenia, Tarnów. Str. 124.

Ks. prałat St. Marchewka podaje aż trzy serje rozważań o Najśw. Sakr. tak, aby ich starczyło na każdy miesiąc przez trzy lata. Pierwsza serja, o Najśw. Sakr. wogóle, porusza tematy dogmatyczne zarówno jak i z zakresu kultu i pobożności, jaką winien być otoczony Najśw. Sakr. Druga serja omawia Mszę św. jako ofiarę, nie wdając się wcale w rozbiór jej pojedynczych części składowych. Trzecia wreszcie mówi o komunji św.

Są to pobożne czytanki, tu i ówdzie przegrodzone przykładem czy cytatem z pieśni eucharystycznych; jest w nich dużo pobożnych afektów; myśli i uczucia, jakie się mogą każdemu katolikowi nasunąć przy podobnych tematach. Styl tych czytanek niezmiernie prosty, obliczony jest na to, by mógł wpaść w ucho i być zrozumiany nawet przez najmniej wykształconego. Rozważania ks. Marchewki nie mogą oczywiście stać w jednej proporcji do wspaniałych rozważań eucharystycznych ks. Pichenota.

Kazania ks. Muchowicza, ze Zgromadzenia Ks.Ks. Filipinów, są kazaniem liturgicznymi w ścisłym tego słowa znaczeniu. Wobec ruchu liturgicznego trzeba powiedzieć, że są bardzo na czasie. Czcigodny autor zajął się nie tylko rozbiorem samej

Mszy św., ale również akcesorjami, jak ołtarzem i jego ozdobą, szatami kapłańskimi i ich barwą, czemu poświęca osobne kazania.

Kazania ks. Muchowicza wywierają na czytelnika miły urok; przypuszczać należy, że jeszcze milej były słuchane, kiedy je sam kaznodzieja wygłaszał. Wynika to stąd, że niema w nich próżnych słów, jakimi kwieciści kaznodzieje lubią dekorować swoje kazania; że są przemyślane tak, aby każdy szczegół liturgiczny wystąpił w należytem historycznym, rzeczowym i mistycznym oświehleniu; że autor umie prawie z każdego szczegółu wyciągać, nie naciagać, pożywną pobudkę do podniosłych uczuć i praktycznych postanowień.

Rekolekcje ks. Prevota są wolnem tłumaczeniem jego dziełka: „Retraite de Réparation pour les âmes vouées au Sacre-Coeur pour le temps présent”. Napisane są dla dusz poświęconych Sercu Jezusowemu, zwłaszcza dla zakonników, oddających się wynagradzaniu temuż Sercu zniewag Jemu wyrządzanych. Polski wolny przekład przeznacza je ponadto do użytku wychowawców katolickich, stąd uzupełnia je niektórymi rozmyślaniami np. o celu nauczyciela wychowawcy, wyjętymi z „Méditations religieuses” O. Chaignona T. J. Nie są to oczywiście rozmyślania rewelacyjne, odkrywające nowy świat myśli; możnaby je raczej porównać do refleksyj czyli uwag po każdym pojedynczem rozmyślaniu, które dusza pobożna rzuca na papier, na tematy rekolekcyjne, nie troszcząc się o to, czy się komu podobają czy nie; w każdym razie ona je przeżyła, dla niej są najdroższe. Rekolekcje te obejmują 8 dni po 4 rozmyślania dziennie; niektóre tylko wzięte są ze schematu św. Ignacego, poza tem wypełnione są rozmyślaniami o cnotach i praktykach pobożnych.

W ostatnim czasie ruszyła naprzód literatura rekolekcyjna. Ks. Kmiecik Z. św. Fr. wydaje misje ludowe, ks. ks. Jan Dymurski i Jan Pabiś rekolekcje dla inteligencji, ostatnią zaś nowością będzie chyba *Podręcznik* do kazań i nauk o rzeczach ostatecznych, wydany przez ks. Fr. Walczyńskiego, infułata-dziekana kapituły katedralnej w Tarnowie. *Podręcznik* obejmuje tylko t. zw. *novissima*: śmierć, sąd, piekło, niebo i jedno kazanie o nieśmiertelności duszy. O śmierci jest kazań 5, o sądzie szczegółowym 1, o sądzie ostatecznym 2, o niebie 1, o czyście 1, razem kazań 13.

Wybitną cechą tych kazań jest to, że mają jasny, przejrzysty, łatwy do zapamiętania tok myśli i rozkład materiału. Argumentacja opiera się przeważnie na 3 źródłach, piśmie św., tradycji, wywodach rozumu, oświeconego wiara. Nie odznaczają się powyższe kazania ks. Walczyńskiego obrazowością, natomiast stanowią olbrzymi rezerwuar solidnej argumentacji.

Kazania pasyjne ks. Czarneckiego zawierają aż trzy przedmowy: samego autora, dr. M. Estreichera i dr. J. Wawaka. Wspominam o tem mimochodem, gdyż przedmowa tego ostatniego

jest specjalnem kazaniem do mówców kościelnych. Jedną tylko chciałbym poprawić nieścisłość w tej przedmowie, mianowicie, że u nas w Polsce świeccy ludzie nie zabierają głosu w rzeczach religji. Widocznie przedmówca nie czyta ani jednego poważnego religijnego czasopisma; gdyby czytał dowiedziałby się, że wiele wspaniałych artykułów na tematy religijne w rozmaitych czasopismach wychodzi z pod pióra katolików świeckich. A więc nie „noc głucha” pod tym względem w dziedzinie religijnego piśmiennictwa. Tyle słów polemicznych z dr. J. Wawakiem. Jak wyglądają kazania ks. Czarneckiego tak ostępowane przedmowami? Jest ich siedm; sceny wyjęte z Męki Pańskiej z aplikacjami do życia, niekoniecznie do współczesnego, ale wogóle do życia ludzkiego. Pisane są z werwą, może czasem w jakimś podnieceniu nerwowem, stąd brak im tego, co się nazywa w kazaniu „religijnem namaszczeniem”. Natomiast zastosowania życiowe świetne, czasem wstrząsające, przykłady z życia jaskrawe. Nadają się do mówienia emocjonalnego i gwałtownego.

*Ks. J. Godaczewski.*

### Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem Polskiej Akademji Umiejętności w Krakowie 1931.

Adam Bochnak: Ze studjów nad rzeźbą lwowską w epoce Rokoka. Str. 184.

Dziennik podróży St. Staszica. Z rękopisów wyd. Cz. Leśniewski. Str. LXVI+515.

Zofja Hołub-Pacewiczowa: Osadnictwo pasterskie i wędrowki w Tatrach i na Podhalu. Z 11 mapami i 99 rycinami. Stron XX+508.

Stan. Matuszkówna: Zdobnictwo kobiecego stroju Żywieckiego. Str. 32 in 4<sup>o</sup> ma! i 67 rysunków.

Cz. Penkacki: Badania nad występowaniem robaków pasorzytniczych w jelicie psa. Str. 34.

Rudolf Weigl: Sposoby czynnego uodpornienia przeciw durowi osutkowemu. Str. 23.

St. Ciechanowski i Kaz. Ściesiński: Badania nowotworów smółowych. Str. 96 i ryciny.

Bożydar Szabuniewicz: Dodatnie spolaryzowanie mięśnia, a skurcz mechaniczny. Str. 61.

Jan Zaćwilichowski: Unerwienie skrzydeł owadów. Str. 155 i ryciny.

Leopold Ejsmont: O dwóch rodzajach Schitosomatidae z ptaków. Str. 6.

Irena Turowska: Badania nad warunkami życia bakterij żelazistych. Str. 50.

Rud. Wilczek: Spis mchów Czarnohory. Str. 41.

Bulletin International de l'Académie Polonaise: Classe de médecine, novembre - decembre 1930; Série des Sciences mathématiques, janvier 1931; Classe de Philologie, d'Histoire et de Philosophie, avril - juin 1930.

Nakł. Księgarni św. Wojciecha, Poznań.

- Jerzy Ostrowski: *Cathangara, król Botukudów. Powieść.* Str. 223.  
 Bossuet: *Wybór pism kaznodziejskich. Przetłumaczył prof.*  
*M. M. Paciorekiewicz.* Str. VIII+208.

Nakładem Księgarni Gebethner i Wolff.

- Biblioteczka Uniwersytetów ludowych i młodzieży  
 szkolnej. N. 13, H. Sienkiewicz, Janko Muzykant i Latarnik;  
 N 99, M. Konopnicka, Lalki moich dzieci.  
 Kornel Makuszyński: *Ze środy na piątek. Z 7 ilustracjami i okładką*  
*M. Walentynowicza.* Str. 181.  
 Z. Nowakowski: *Geografia serdeczna. Z 31 ilustracjami K. Mac-*  
*kiewiczza.* Str. 191.

Nakł. Wojskowego Instytutu naukowo-wydawn., Warszawa.

- Rafał Czeczott: *Obrona wybrzeża.* Str. X+260.  
 Aleksander Zaleski: *Krótki podręcznik pływania. Główna księ-*  
*garnia wojskowa.* Str. 46.

Nakładem Herdera i Ski, Freiburg im Breisgau, 1931.

- Georg Lutz: *Ruf um Mitternacht. Die Schicksale des Findlings.*  
 Str. VI+230. (2.80 Mk., opr. 4.20 Mk).  
 Eberhard Strauss: *Wolf Hagenreuter. Fröhliche Lausbubenge-*  
*schichte. Mit Bildern.* Str. VI+182. (2.—Mk, opr. 3.—Mk).  
 Karlchen Zack: *Wir unter uns. Ein Jungenbuch. Mit Bildern.*  
 Str. VI+140. (2.—Mk, opr. 3.—Mk.)  
 Dr. Tihamér Tóth: *Mit offenen Augen durch Gottes Natur.*  
 Str. 176.

Nakładem różnych.

- Ks. J. Białecki: *Rozmyślenia dla kleryków. Cz. I. Credo.* Kielce  
 1931, str. 620+VII.  
 Ilustrowany Przewodnik po Krakowie. Wyd. Chrześcijań-  
 skiego frontu gospodarczego w Krakowie, skład „Oświata” A. Hyli,  
 Kraków, ul. św. Tomasza 26.  
 Rocznik Wołyński. Wydany staraniem Wołyńskiego zarządu okrę-  
 gowego Związku polskiego nauczycielstwa szkół powszechnych.  
 Tom II. Równe 1931, str. 584, z mapą, ilustracje.  
 Wojciech Molé: *Historja sztuki starochrześcijańskiej*  
*i wczesnobizantyńskiej.* Nakł. K. S. Jakubowskiego, Lwów  
 1931, str. XVII+420.  
 O. Alfons Kolbe: *Ułomki z życia O. Wenantego Katarzyńca,*  
*franciszkanina.* Nakł. „Rycerza Niepokalanej”, Niepokalanów, ob.  
 Warszawy, 1931, str. 127.  
 Ks. Dr. Józef Lubelski: *Historja Kościoła katolickiego. Pod-*  
*ręcznik dla szkół średnich.* Tarnów 1931, nakładem autora,  
 str. 176.  
 Ks. Dr. Karol Wilk: *Św. Antoni z Padwy.* Lwów 1931, nakładem  
 Tow. „Biblioteka religijna”. Str. XV+200.  
 O. Rainer Gościński: *Św. Antoni Padewski.* Lwów, nakł. OO.  
 Franciszkanów. Str. VII+245.  
 Jan Kucharzewski: *Wyżolenie ludów (Z cyklu „Od białego ca-*  
*ratu do czerwonego”, tom IV).* Wydawn. Kasy im. Mianowskiego.  
 Warszawa 1931, str. 510.  
 Roman Dmowski: *Świat powojenny i Polska.* Warszawa, nakł.  
 Spółki wydawniczej warszawskiej M. Niklewicz, J. Załuska i Ska,  
 str. 384.

Wydawnictwo Misyj wewnętrznych archidiecezji wileńskiej. Wilno 1931. N. 1: Zadanie Misyj wewnętrznych, str. 61; N. 2: P. Macewicz, O Sekciarstwie, str. 32; N. 3: Dr. Ild. Bobicz, Walka z sekciarstwem, str. 16; N. 4: Hel. Romer, Rycerz Chrystusowy, str. 20.

Ks. Bernard Dąbrowski: 25 lat pracy wychowawczej w biskupim zakładzie św. Anny w Kamieniu. Pelplin, księg. Sp. Z. O. P., 1931. Str. 16 i 3 tabl. z ilustr.



# Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

## Sprawy Kościoła.

Niezałatwiony zatarg rzymski. — Walka z Kościołem w Litwie. — Jeszcze o apolityczność Akcji katolickiej u nas.

Kiedy były pisane ostatnie „Sprawy Kościoła”, w ostatnich dniach maja, zatarg między faszystowskim rządem Włoch a Stolicą Świętą wchodził w stadium zaognienia. Prasa panującej partji prowadziła zacieklą kampanję przeciwko Akcji katolickiej, a młodzież faszystowska napadała na młodzież noszącą odznaki organizacji katolickich i czynnie znieważała ją zdzierając te odznaki, demolowała lokale Akcji, redakcje pism, zakłady naukowe kościelne, nie zatrzymując się nawet przed uznaniem w konkordacie eksterytorjalnością niektórych gmachów, wznosiła okrzyki, obrażające osobę Ojca św. i paliła jego portrety. Działo się to nie tylko w wielu prowincjonalnych miastach, ale także pod okiem władz centralnych partji i państwa, w samym Rzymie; stróże porządku i bezpieczeństwa publicznego jakoś zjawiali się na miejsce wypadków dziwnie późno, a winowajcy nieporządków znikali dziwnie szybko. Może to trochę kompromitowało władze, słynne kiedy indziej z szybkości i sprężystości działania, ofiary wszakże wypadków i ich postronni świadkowie nie mogli się oprzeć wrażeniu, że kompromitacja ta była dobrowolna... Energję i szybkość rząd faszystowski rozwinął w innym kierunku: rozwiązując stowarzyszenia młodzieży zależne od Akcji katolickiej, mimo, że Akcja katolicka z jej organizacjami i instytucjami stoi pod ochroną art. 43-go konkordatu, zawartego dopiero dwa lata temu.

Wypadki włoskie szarpnęły uczuciami religijnymi katolików całego świata. Sytuacja we Włoszech przedstawia się pod pewnym względem groźniej niż w Hiszpanji; nie palono wprawdzie tu świątyń, jak tam, ale tam barbarzyńskie czyny

były dziełem mętów rewolucyjnych, kierowanych przez ludzi, nieukrywających swej bezbożności i nienawiści ku wszelkiej religii, tu, we Włoszech walkę z Kościołem podjął rząd chlubiący się przywróceniem katolicyzmowi należnego mu stanowiska w życiu narodu, rząd ten ugodził w coś, co Najwyższy Pasterz Kościoła uważa za „żrenicę oka swego“, za jedną z najważniejszych realizacyj swego pontyfikatu, w Akcję katolicką i prowadzone przez nią dzieło wychowania młodych dusz na prawdziwych chrześcijan i pożytecznych obywateli. Dlatego, kiedy papież w notach do rządu zaprotestował przeciwko brutalnym ekscesom młodzieży faszystowskiej i przeciwko krokom rządu, ze wszystkich krajów od kardynałów, biskupów, organizacji katolickich popłynęły do stolicy Piotra tysiące adresów z oświadczeniem smutku, jakim wypadki włoskie napełniły dusze katolików i z zapewnieniami, że w tych ciężkich dniach próby świat katolicki stoi wiernie przy Namiestniku Chrystusowym.

Wymiana not dyplomatycznych między Watykanem a rządem Mussoliniego dotąd zatargu nie zlikwidowała. Złagodźono wprawdzie w prasie faszystowskiej ton polemiki przeciwko Stolicy świętej; wielka rada faszystowska wyraziła nawet słowa uznania dla religii katolickiej i jej Najwyższego Pasterza, rząd obiecał zajęcie się wyśledzeniem i ukaraniem sprawców ekscesów, nie uczynił wszakże rząd żadnego kroku wstecz na drodze, na którą wstąpił odnośnie do organizacji katolickich. Owszem, w odpowiedzi swojej (nieznanej zresztą *in extenso*) rząd Mussoliniego zaatakował ponownie Akcję katolicką i młodzież katolicką, rzekomo opanowane przez żywioły wrogie faszyzmowi i uprawiające politykę szkodliwą dla państwa. Rozwiązanie organizacji młodzieży katolickiej zostało utrzymane, tylko majątek ich został przekazany odnośnym biskupom.

Tym sposobem zatarg przechodzi w stan przewlekły, z którego zapewne nie prędko znajdzie się wyjście dla Kościoła zadawalające. W każdym razie, w chwili obecnej, kiedy wymiana not między Stolicą świętą a rządem włoskim jeszcze trwa, trudno przewidywać ostateczny finał zatargu.

Jedno wszakże przy ocenie natury tego konfliktu trzeba mieć na względzie, mianowicie, że nie jest to zatarg na jakimś tle osobistym, któryby się dał zlikwidować przez pewne przesunięcia lub wycofania tej lub innej osobistości z pola politycznego walki. Sięga on głęboko, w ideologiczne podstawy, jakimi rządzią się obie strony. Prawda, że rząd faszystowski zarzuca Akcji katolickiej, że skupiła w swych szeregach żywioły opozycyjne, niedobitków zduszonej przez faszizm partji ludowej, i stała się tym sposobem ogniskiem antyrządowej agitacji i szkołą wychowania młodzieży w duchu



antyfaszystowskim. W zarzucie tym tyle mieści się prawdy, iż rzeczywiście w organizacji Akcji katolickiej znalazło się wielu zwolenników dawnej partii popolarów. Możliwe jest także, że w pewnych ośrodkach lokalnych Akcji żywiły te mogły tu i owdzie zdradzać swą niechęć do panującego systemu, a przynajmniej odnosić się do niego z chłodną rezerwą, lecz jeżeli to była „polityka” dla rządu niemiła, rząd miał otwartą drogę do wyfoczenia zażaleń wobec Stolicy świętej, pod której zwierzchniczem kierownictwem pozostaje w myśl konkordatu Akcja katolicka. Rząd wszakże obrał drogę inną; zainspirował kampanję w zależnej od siebie prasie, która doprowadziła do wiadomych gwałtów, a potem łamiąc zasadę *audiatur et altera pars*, przystąpił do likwidacji jednego z najważniejszych działów Akcji katolickiej, stowarzyszeń młodzieży.

Takich kroków nie usprawiedliwi obecność w Akcji katolickiej dawnych popolarów. Akcja katolicka bowiem, właśnie dzięki swej apolityczności i ponadpartyjności, otwarta jest dla wszystkich katolików bez względu na ich poglądy polityczne i na taki czy inny stosunek do obecnego rządu. Mogli więc do niej należeć i w niej pracować także *popolari*, jak mogli obok nich znajdować się i faszyci. I dla jednych i dla drugich byłoby w jej ramach pracy dosyć, pracy ściśle apolitycznej. Liczniejszy udział w niej faszystów dowodziłby prawdziwej życzliwości partii dla działalności Kościoła, życzliwości, o której faszyzm lubi zapewniać w swych urzędowych wypowiedzeniach się, a zarazem uniemożliwiłby nadużywanie Akcji katolickiej do celów jej obcych a rządowi nieprzyjanych. W rzeczywistości jednak faszyci, uważający się nawet za „dobrych” katolików, stronią od Akcji katolickiej, rzadko do niej należą, pozostawiając w niej miejsce dla swych politycznych przeciwników. Już więc stąd wytwarza się wrażenie jakiejś przeciwstawności Akcji katolickiej a organizacji faszystowskiej.

Trudno także zaprzeczyć, że istnieje jeszcze między niemi przeciwieństwo głębsze, ideowe. Nie zawiera się ono w tem, jakoby Akcja katolicka uprawiała czynną politykę wroga systemowi rządzącemu we Włoszech, — taką politykę bowiem stanowczo wykluczają wszystkie enuncjacje Stolicy świętej, — ale w tem, że nauka katolicka, której uświadomienie ludowi, a zwłaszcza młodzieży, należy do zadań Akcji katolickiej, wysuwa na naczelne miejsce nadprzyrodzone cele człowieka, wielką godność jego duszy, wartość osobistości i jednostki wobec zbiorowości, że przypomina braterstwo wszystkich ludzi i narodów, że głosi obowiązek miłości nawet względem nieprzyjaciół, słowem zaszczenia w dusze ludzkie zasady i uczucia, w systemie faszystowskim, niestety,

zlekceważone albo wprost przekreślone. Katolicyzm, a w szczególności Akcja katolicka, nie zmierza do obalenia faszyzmu, jak jej się zarzuca, pragnie wszakże uszlachetnić przez wychowanie chrześcijańskie narodu. Jeżeli taka dążność kwalifikowana jest jako „polityka”, wroga faszyzmowi i niebezpieczna dla państwa, to trzeba przyznać, że taką „polityką” Akcja katolicka zajmuje się i zajmować się musi, bo taka „polityka” stanowi jej rację bytu. Jeżeli zatem faszyzm taką politykę zwalcza, jeżeli chce uchronić młodzież od tego rodzaju wychowania i dlatego sobie zastrzega wyłączne prawa do dusz młodego pokolenia, to okazuje dowodnie jak dalekim jest od ducha prawdziwego katolicyzmu i co warte są zapewnienia, że pragnie wychowania młodzieży w religii ojców. Poprostu katolicyzmu zrozumieć nie chce, albo świadomie usiłuje sfałszować go, wytrzebić zeń najszlachetniejsze pierwiastki i tak okaleczony wprząc do służby swojej pogańskiej ideologii. Przeliczył się jednak sądząc, że za cenę zlikwidowania kwestji rzymskiej zamknie Kościołowi usta w jego boskiem posłannictwie i uczyni go swem posłusznym narzędziem.

Katolickie organizacje młodzieży — obok faszystowskich — to polityka! Katolicy znają to rozumowanie: wszystko jest polityka, czego rząd sobie nie życzy. W Rosji sowieckiej naprz. polityką nazywa się uczenie dzieci katechizmu, bo to jest ustawami zabronione, bo bolszewizm chce mieć obywateli urobionych na jedną ateistyczną modłę. Za taką też „politykę” skazuje się tam kapłanów na więzienie, przyczem się głosi, że jest to represja tylko politycznej działalności kleru, podczas gdy „religia” cieszy się zupełną wolnością. Oczywiście między bolszewizmem a faszyzmem jest pod tym względem różnica wielka, ale jest to różnica stopnia i kierunku tylko, natomiast jest im wspólny punkt wyjścia, mianowicie, że określanie gdzie się kończy religia, a zaczyna „polityka” należy do rządu i tylko do rządu.

Otóż na ten punkt wyjścia katolicyzm zgodzić się nigdy nie może. I we włoskich stosunkach, dopóki rząd nie zejdzie z tego fałszywego punktu widzenia, pozostanie zawsze zarzewie zatargów, chociażby udało się dyplomacji osiągnąć jakiś zewnętrzny *modus vivendi* dla Akcji katolickiej. Trzeba mieć odwagę powiedzieć, że między chrześcijaństwem a faszyzmem, takim jakim on jest obecnie i jakim chce pozostać, istnieje głęboka ideowa przepaść, ale także trzeba sobie uświadomić, że próżne będą wszelkie wysiłki aby katolicyzm uczynić faszystowskim. Natomiast dla faszyzmu istnieje możność stania się prawdziwie katolickim. I to najbardziej przyczyniłoby się do duchowej pacyfikacji Włoch.

To, co dzieje się od dłuższego czasu na terenie kościelno-politycznym w republice litewskiej, mocno przypomina opisane stosunki włoskie. Znajdujemy tu dokładną analogję podłoża zatargów, spotykamy wiele podobnych posunięć. Jak we Włoszech, tak i w Litwie konkordat z Kościołem został zawarty nie przez rząd demokratyczno-parlamentarny (choć rząd ten należał do stronnictwa Chrześcijańskiej Demokracji), ale przez rząd dyktatorski, który powstał w drodze zamachu. Jak we Włoszech faszyzm, tak w Litwie stronnictwo nacjonalistyczne tautininków w zawarciu konkordatu upatrywało wzmocnienia swego stanowiska politycznego wobec katolickiej ludności kraju. Podobnie jak we Włoszech, tak i w Litwie zapewniono przy zawieraniu Konkordatu wolność dla Akcji katolickiej, pracującej pod kierunkiem biskupów; jak tam, tak tutaj poczęto wkrótce patrzeć niechętnie na organizacje młodzieży katolickiej i na obecność w Akcji katolickiej opozycyjnego stronnictwa. Na Litwie mniej było wybryków rządowej młodzieży, niż w Rzymie, Litwa wszakże uprzedziła Włochy w rozwiązywaniu stowarzyszeń młodzieży katolickiej, w represjach przeciwko Akcji katolickiej, pomimo, że po jej stronie stanął episkopat, a Stolica święta w specjalnym liście do biskupów pochwaliła ich stanowisko i zachęciła do wytrwania na niem. W Litwie posunięto się nadto do cenzurowania kazań (jak za bolesnej pamięci rządów Murawjowa), do wytaczania procesów księżom, do internowania ich w obozach koncentracyjnych, wreszcie uwięziono ten „kulturkampf“ wydaleniem z kraju internuncjusza apostolskiego, arcybiskupa Bartoloniego, po uczynieniu mu przedtem afrontu przez odmówienie audjencji u prezydenta Smetony. Internuncjusz stał się *persona ingrata* u rządu, na zapytania wszakże Watykanu o racje takiego stanowiska względem wysłańca Ojca Św. rząd kowieński odpowiadał tylko ogólnikiem, że tego dyplomaty nie chce mieć u siebie. Dalszy rozwój zatargu ze Stolicą świętą jest znany z telegramów. Poseł litewski przy Stolicy św. opuścił Rzym, — pozostawiony *chargé d'affaires* nie został przyjęty w Watykanie, — Stolica święta założyła protest przeciwko brutalnemu postępkowi wydalenia nuncjusza, — mimo wszystko stosunki Watykanu z Litwą nie są uważane za zerwane ostatecznie, — oczekuje się jakichś wyjaśnień, a może załagodzenia konfliktu.

Nie będziemy dłużej się zastanawiali nad tym litewskim konfliktem, mimo że z tytułu sąsiedztwa podwójnie on nas obchodzi. Musiałoby się powtórzyć uwagi, wypowiedziane powyżej, przy omawianiu zatargu włoskiego. Rządzący dzisiaj Litwą po dyktatorsku nacjonałiści zrobiliby lepiej dla kraju i skuteczniej zaszachowali, jeśli im o to chodzi, swoich

politycznych przeciwników z Chrz. Demokracji, gdyby zamiast wietrzyć w Akcji katolickiej polityczną działalność, szyskanować ją i zakazywać katolickich stowarzyszeń młodzieży, zrewidowali swój własny stosunek do wiary katolickiej i jej zasad i nie wchodzili na drogę różnych laicystycznych pomysłów, dla których, gdzie jak gdzie, ale w Litwie, liczącej blisko 90% katolickiej pobożnej ludności, niema miejsca, ani żadnych warunków powodzenia. Jeżeli się chce wytrącić z rąk opozycji atut obrony interesów religii, trzeba nie walczyć z religią i Kościołem, ale uznać jego boskie prawa i zapewnić im należną w państwie opiekę.

Z powyższych uwag na tle zatargów między rządami a Kościołem we Włoszech i w Litwie wynika, że ani Kościół ani stojąca mu do pomocy Akcja katolicka nie może się powstrzymać od pewnej „polityki“, jeśli tem mianem chce ktoś nazywać jedno z istotnych zadań religii katolickiej. Mianowicie nie wolno Kościołowi zrzec się wpływu na wychowanie człowieka, albo ograniczać się w tem wychowaniu jedynie do uczenia abstrakcyjnych dogmatów, modlitw, do urządzania religijnych obchodów i uroczystości. Do zadań nauczycielskich Kościoła należy niewątpliwie także cała dziedzina etyki indywidualnej, społecznej, grupowej, narodowej. Bo całe doczesne życie i postępowanie człowieka winno być dlań przygotowaniem do wieczności, tem przygotowaniem rządzi naturalne i objawione prawo Boże, a coraz pełniejsze urzeczywistnianie tych praw w życiu stanowi budowanie Królestwa Bożego na ziemi. Na mocy więc swego posłannictwa Kościół musi przypominać wiernym, a w dusze młodzieży wpajać te zasady, jakie rządzić powinny współżyciem ludzi, współpracą klas społecznych, stosunkiem jednostki do władzy i naodwrot władzy do jednostki, stosunkiem narodu do narodu, państwa do państwa i t. d. Powtarzamy: jeśli takie nauczanie i wychowywanie jest „polityką“, to Kościół musi być polityczny, musi „uprawiać politykę“ także Akcja katolicka.

Ta prawda jest aktualną wszędzie i zawsze, zatem i u nas w Polsce i w dzisiejszej dobie. Zatem rozszerzanie zdrowej chrześcijańskiej nauki, dotyczącej sprawiedliwości i miłości społecznej, posłuszeństwa obywateli względem władz, ale i praw, jakie tym obywatelom w państwie przysługują, potrzeby przestrzegania w życiu publicznem, nawet w polityce, etyki tak przez rządzonych, jak i rządzących — oto jedno z wielkich zadań Akcji katolickiej w Polsce, obok szerzenia znajomości dogmatów, obok starań o czystość i świętość rodziny, obok tępienia zgorzenia i niemoralności i wielu, wielu innych celów, jakie akcji katolickiej wytknęły

autorytatywne wskazania Ojca Świętego. Gdyby z powodu spełniania przez Akcję katolicką któregośkolwiek z wymienionych jej zadań spotkał ją u nas zarzut „uprawiania polityki”, zarzut ten może ona spokojnie przyjąć, a ci, którzy go uczynią, dowiodą tem samym niezrozumienia zadań religij, albo wprost wrogiego stanowiska względem katolicyzmu.

Ale, uprawiając taką „politykę”, Akcja katolicka musi pozostać organizacją mimo wszystko apolityczną. Właśnie z okazji zatargów o Akcję katolicką we Włoszech i w Litwie tyle razy został podkreślony przez Piusa XI ten jej apolityczny charakter. Chyba nikt z katolików nie ośmieli się brać tych uroczystych zapewnień za formułę bez realnego znaczenia lub przechodzić nad nią do dziennego porządku. Nie będziemy analizowali tutaj wskazówek Stolicy świętej w tej materji: tomiki wydawanej w Poznaniu „Książnicy Akcji katolickiej” dostarczą każdemu interesującemu się tą sprawą autentycznych tekstów i wyczerpujących komentarzy. Jedno tutaj uważamy za potrzebne podkreślić, że jeśli formuła „apolityczności” Akcji katolickiej wogóle coś oznacza, to niechybnie te dwie rzeczy: po pierwsze, przestrogę przed utożsamianiem i ścisłym łączeniem się Akcji z jakimkolwiek stronnictwem politycznym, chociażby ono nazywało się „katolickiem”, czy „chrześcijańskim”, o ile nie stanowi ono całego obozu katolickiego; powtórne wykluczenie z zadań Akcji katolickiej politycznej walki z rządem, o ile on nie występuje wręcz wrogo przeciw religji i Kościołowi, a zatem uprawiania naprz. agitacji wyborczej na korzyść stronnictw opozycyjnych.

Te zasady uważamy za potrzebne podkreślić na tem miejscu nie dlatego jakobyśmy w Akcji katolickiej w Polsce widzieli jakieś odchylenie się od nich, ale dlatego, że odzywają się od czasu do czasu głosy, nawołujące do takiego odchylenia. Takie nawoływania upatrujemy naprz. w artykule „Stosunek katolika do Chadecji”, umieszczonym w *Głosie Narodu* z dn. 16 maja b. r. Czytamy w nim między innemi podlegającemi dyskusji zdaniem, takie zdanie: „Jest przeto, mojem zdaniem, obowiązkiem katolików i Akcji katolickiej (podkreślenie moje) udzielić stronnictwu polityczno-katolickiemu, t. j. Chadecji, mimo, że ta jest w opozycji do rządu, pomocy w agitacji wyborczej (podkreślenie moje!) ewentualnie powierzyć mu mandat do wyłącznego reprezentowania interesów katol. na terenie parlamentarnym”. Niżej tenże nieznany autor artykułu dodał, że w Polsce uważa jedynie Ch. D. za partję katolicką i dlatego ją jedynie zaleca i obiektywnie(?) uważa za obowiązek każdego katolika i związków katolickich ją jedynie popierać. Kto jest innego zdania, z tego, według autora

artykułu, „nie wielka będzie pociecha w Akcji katolickiej”. Otóż, zapewniając na tem miejscu o wielkiej swej życzliwości dla naszej Ch. D., poczytałbym Akcji katolickiej za fałszywy krok i rozminięcie się z wskazówkami Ojca św., gdyby kiedy posłuchała zachęty anonimowego autora z *Głosu Narodu*. Takie artykuły trzeba uważać za niebezpieczne, gdyż mogłyby posłużyć do czynienia Akcji katolickiej u nas za rzutów, jakie gdzieindziej stawiają jej wrogowie Kościoła.

*Ks. Jan Urban T. J.*

### Współpraca polsko-węgierska.

Niezatarte wrażenie wywarły na mnie uroczystości jubileuszowe, zorganizowane w imponujący sposób w sierpniu ub. roku w Budapeszcie.

Jubileusz świętego królewicza Emeryka obudził w całej węgierskiej ojczyźnie żywiołowy entuzjazm szczerego religijnego hołdu dla nieśmiertelnej katolickiej idei, ucieleśnionej w postaci młodego a tak sympatycznego bohatera Węgier i Kościoła. Entuzjazm ten udzielił się i udzielić się musiał wszystkim zagranicznym gościom, udzielił się jednak w pierwszym rzędzie gromadnej polskiej pielgrzymce. Zapalne, rycerskie dusze Węgrów i Polaków, spojone zresztą od wieków węzłami tak szczerzej sympatii i narodowej tradycji, zrozumiały się i głębiej i silniej. Patrząc w Budapeszcie na rozmiary i przebieg religijnych manifestacji, ulegając sugestji kilkaset tysięcznych tłumów, widząc czynny udział w nabożeństwach tak armji jak i czynników rządowych z samym regentem na czele — miało się wrażenie, iż Węgry są nawskróś katolickim krajem.

Kiedy z zapałem dzieliłem się memi wrażeniami, nie brakło sceptyków, którzy twierdzili uparcie, iż spostrzeżenia me są nieślusne, gdyż uroczystości jubileuszowe stanowią tylko odświętną fasadę, że obliczone są głównie na efekt zagranicą i na polityczną propagandę, że zatem nie można ich uważać za wykładnik religijnego życia współczesnych nam Węgier.

Tego rodzaju zarzuty mogły, być zdaniem mych węgierskich przyjaciół, wiernem echem tych stosunków, które istotnie panowały w Węgrzech w połowie ubiegłego wieku. Liberalizm i idący z nim w parze indyferentyzm religijny był wówczas szeroko rozpowszechniony w sferach inteligencji węgierskiej. Znamienne jest w tym względzie wyznanie ś. p. kardynała Csernocha, ostrzychomskiego arcybiskupa, że, kiedy jako wikary odprawiał w Budapeszcie mszę św. w niedzielę i święta, ogarniał go głęboki smutek; w murach świątyni gromadziły się prawie wyłącznie kobiety, tak iż zwracając się po ofiarowaniu do ludu z wezwaniem: *Orate fratres*, miał ogromną ochotę zamienić te liturgiczne słowa

na: *Orafe sorores* — módlcie się siostry, wezwanie to bowiem odpowiadałoby daleko więcej rzeczywistości. Stosunki jednak obecne uległy gruntownej przemianie i całe Węgry, a zwłaszcza sfery inteligentne, ogarnięte są potężnym prądem religijnego odrodzenia.

W ciągu kilkudniowego pobytu w stolicy, trudno wyrobić sobie ostateczne a obiektywne zdanie; to też z niekłamana radością przyjąłem zaproszenie budapeszteńskiego związku dziennikarzy, by w gronie pisarzy polskich zwiedzić katolickie Węgry. Tym razem miałem zobaczyć kraj i jego mieszkańców nie w odświętnej szacie, nie w atmosferze oficjalnych manifestacji, ale w szarzyźnie codziennych trosk i codziennych zajęć. Jakież tym razem odniosłem wrażenie?

Najpierw muszę podkreślić niezwykle gościnność, z jaką nas przez ośm dni (od 28. V do 5. VI b.r.) podejmowali nasi węgierscy koledzy ze stowarzyszenia im. Pazmany'ego z prezesem p. dr. Hindy-Joltan na czele, oraz z katolickiego „Zrzeszenia Prasowego” redaktorzy pp. Dr. L. Toth i Hivatal, którzy niezmordowanie towarzyszyli nam w podróżach, opiekując się nami z nadzwyczajną troskliwością. Gościnność ta i prawdziwa a pełna prostoty serdeczność musiała nas tem bardziej wzruszyć, iż chodzi o egoizmem cechowane powojenne czasy. Również trudno było nie zwrócić uwagi na wielką sympatję, z jaką odnoszono się do nas jako do przedstawicieli polskiego narodu. Mogę wyznać, iż sympatja ta jest naprawdę szczerą i głęboką a opiera się nie tylko na historycznych wspomnieniach, ale może przedewszystkiem na współczesnym fakcie, iż naród polski posiada dzisiaj zorganizowane państwo, którego głos w Europie ma swoje znaczenie.

Odczuliśmy to przedewszystkiem w czasie oficjalnych a mimo to serdecznych przyjęć u różnych dostojników węgierskich. Hr. Juljusz Karolyi, minister spraw zagranicznych, przyjął nas z niekłamana serdecznością. Zastrzegał się wprawdzie, iż nie rozmawia z nami w charakterze urzędowym, mimo to zapewniał, że bardzo mu zależy na jak najszerzej współpracy katolików węgierskich i polskich i wyrażał przekonanie, iż pobyt polskich redaktorów w stolicy Węgier przyczyni się do zacieśnienia węzłów przyjaźni, która nie od wczoraj łączy oba bratnie narody. Niemniej serdecznie przyjęli nas szef wydziału prasowego prezydium rady ministrów p. Elemer Szudy, oraz podsekretarz stanu w ministerstwie wyznań i oświaty p. dr. F. Gevay-Wolff.

Specjalną jednak serdecznością była nacechowana dłuższa audjencja w węgierskim parlamencie u ministra wyznań i oświaty p. hr. Cuno-Klebersberga. Człowiek to niepospolity, o charakterze kryształowym a umyśle naprawdę głębokim. Rozmowa z tym wybitnym mężem stanu a przytem gorącym i zdecydowanym katolikiem daje prawdziwą satysfakcję. Nie chodzi zresztą tylko o słowa, gdyż p. minister Klebersberg z niepohamowaną energią,

przeprowadza od szeregu lat konsekwentnie swój program, wierząc niezachwianie, iż rozkwit katolicyzmu na Węgrzech pokrywa się całkowicie z dobrem okaleczonego przez wojnę i wewnętrzne wstrząsy państwa.

Ideologię p. ministra Klebersberga znają całe Węgry, cały kraj patrzy także na jego katolickie czyny.

W samym Budapeszcie zwiedziliśmy szczegółowo dwa gimnazja prywatne. Jedno klasyczne, pod wezw. św. Emeryka, prowadzą w nowym wspaniale urządzonej gmachu OO. Cystersi. Lokal naprawdę pierwszorzędny, wzniesiony (w r. 1929) za sumę  $2\frac{1}{2}$  miliona pengő (3.875,000 złp.), posiada wszelkie nowoczesne urządzenia z daleko posunięciem uwzględnieniem higieny szkolnej. Do gimnazjum tego uczęszcza 530 uczniów, w większości synów urzędników; grono liczy 17 profesorów w tem 15 zakonników; gimnazjum posiada pełne prawa państwowe i cieszy się życzliwością i poparciem rządu. Drugie gimnazjum, również klasyczne, prowadzą księża Pijarzy. Gimnazjum to istnieje już od 200 lat, przebudowane w r. 1918 mieści w swych murach 700 uczniów, pod opieką i kierunkiem 30 profesorów, w tej liczbie 26 księży. I to gimnazjum posiada pełne prawa państwowe i cieszy się zupełnie wyraźnem poparciem rządowem. Podobnych zakładów prywatnych jest więcej w stolicy i na prowincji, wszystkie jednak wyrażają się z głębokiem uznaniem o sympatycznym ustosunkowaniu się ministerstwa oświaty do ich działalności. Na prowincji zwiedziliśmy np. dokładnie imponujący swemi rozmiarami konwikt-gimnazjum w Gödöllő, będący własnością OO. Norbertanów. W dziedziem już wiele podobnych zakładów zagranicą: w Anglii, Francji i Belgii — węgierski jednak konwikt przewyższa tamte pod względem komfortu w swych urządzeniach. W murach zakładu kształci się 200 konwiktów i 400 eksternistów, gimnazjum posiada pełne prawa, a w r. b. odbyła się pierwsza matura w obecności ministra oświaty.

W Szeged, leżącym obecnie na kresach, bo zaledwie 6 km. od nowej granicy rumuńskiej, patrzyliśmy na inny pomnik działalności p. ministra Klebersberga; pomnikiem tym jest wspaniały, katolicki uniwersytet. Instytucja nowa, powojenna, wzniesiona olbrzymim kosztem 40 milionów pengő (62 milj. złp.) stanowi majestatyczną a pełną harmonji całość. Główny trzon gmachów tworzy jednolitą podkowę zamkniętą prześliczną bazyliką wotywną, znaną ze swego potężnego organu o 170 rejestrach a 12,000 piszczałek. Wewnątrz powstał obszerny plac, przypominający plac św. Marka w Wenecji, gdyż dokoła biegną arkadowe krużganki, zdobne w liczne popiersia i pamiątkowe tablice mężów nauki węgierskiej. Osobny kompleks tworzą zakłady kliniczne, obsługiwane przez zakonnice. Cały uniwersytet, w którego skład wchodzi również fakultet teologiczny, posiada charakter wybitnie katolicki, słuchaczy ma obecnie około 2,000. Przeważną część



kosztów pokryło ministerstwo wyznań i oświaty a uniwersytet w Szeged uważa się za dzieło p. ministra Klebersberga. Na jego cześć wmurowano w uniwersytecki gmach pamiątkową tablicę z wymownym napisem: *Te saxa loquuntur*.

Dodajmy jeszcze jeden fakt. Oto w najstarszym opactwie benedyktyńskim w Pannonhalma, w którym nas przyjęto nadzwyczaj gościnnie, mogliśmy stwierdzić naocznie, iż w murach tego cudnie położonego klasztoru, pamiętającego początki chrystjanizmu na Węgrzech, prócz wspaniałej biblioteki, liczącej 210,000 tomów, mieści się cały fakultet filozoficzny, rodzaj benedyktyńskiej filii budapeszteńskiego uniwersytetu. Tutaj słuchają młodzi Benedyktyni wykładów swych profesorów zakonnych a tylko końcowe egzamina zdają w Budapeszcie. Zdaje mi się, iż w całej Europie nie istnieje żaden podobny zakład; tutaj na cieszy się on poparciem rządu.

Jeśli uwzględnimy doniosłą okoliczność, iż w budżecie rocznym ministerstwa oświaty umieszcza się kilka milionów pengö na budowę szkół i internatów katolickich, że wspomaga się czynnie każdą inicjatywę w rozbudowie prywatnych zakładów szkolnych, pozostających pod opieką zakonników czy zakonnic, to łatwo ustalić fakt, iż na Węgrzech ministerstwo oświaty nie tylko że nie przeszkadza prywatnemu szkolnictwu katolickiemu, ale przeciwnie, rozumiejąc dobrze jego doniosłość, popiera je gorliwie i finansowo wspomaga. Również przychylnie odnosi się do organizacji pozaszkolnych prowadzonych przez duchowieństwo. Jako przykład podam „Federację św. Emeryka” łączącą 35 korporacji młodzieży uniwersyteckiej. Organizacją tą kierują OO. Cystersi. Harcerstwo węgierskie pozostaje pod kierownictwem OO. Benedyktynów, Cystersów, Norbertanów i Pijarów.

W kwestji zatem wychowania młodzieży rząd węgierski współpracuje nadzwyczaj przychylnie z Kościołem i to nie w formie jakiegoś ustępstwa czy tolerancji, ale pozytywnie z daleko posuniętem zrozumieniem doniosłości sprawy. Fakt ten podkreślam umyślnie na pierwszym miejscu, gdyż szkolnictwo katolickie uważam za podstawę katolicyzmu danego narodu.

Tę samą współpracę ministerstwa wyznań można zresztą łatwo zaobserwować i na innym doniosłym odcinku katolickiej organizacji. Mam na myśli gminy parafjalne. Prawo kanoniczne nie zna wprawdzie tego rodzaju instytucji; dla prawa kanonicznego gmina parafjalna będzie poprostu parafją, z punktu jednak widzenia prawa cywilnego i organizacji pracy parafjalnej na Węgrzech wspomniane gminy mają swoje odrębne a przytem doniosłe znaczenie.

Gmina parafjalna jest związkiem parafjan, uznanym i zalegalizowanym przez państwo, o celach specjalnych. Do gminy należą wprawdzie wszyscy wierni danej parafji, ale członkowie, którzy ukończyli 21 rok życia i posiadają swoje dochody są zo-

bowiązani do pewnych proporcjonalnych świadczeń na rzecz parafji. Gmina zajmuje się organizowaniem stowarzyszeń, mających na celu pogłębienie i umocnienie wiary oraz wewnętrznego życia w obrębie danej parafji. Do gminy należy organizowanie dzieł miłosierdzia oraz opieki społecznej. Gmina utrzymuje szkoły niedzielne dla szkolnej dziatwy oraz kolonje wakacyjne. Gmina zajmuje się rozszerzaniem dobrej prasy; przyczynia się do utrzymania i ozdobienia świątyń, częściowo pokrywa koszta utrzymania obsługi kościelnej i parafjalnych urzędników. By sprostać tym wszystkim zadaniom gmina parafjalna ma pełne prawo nakładania podatków na swych członków na wyżej wymienione cele. Władza cywilna prawo to uznaje w całej pełni, w drodze administracyjnej udziela swego poparcia, a obowiązek świadczeń parafjalnych traktuje narówni z obowiązkiem uiszczania podatków państwowych.

Możnaby przypuszczać, iż tego rodzaju prawny przymus wywoła reakcję niezadowolenia wśród parafjan, tymczasem dzieje się wprost przeciwnie. W samej stolicy istnieje 35 gmin paraf. a rozwój ich jest jednym z najbardziej pocieszających zjawisk. Wierni czują się wskutek tej organizacji ściślej związani z parafją, w życiu jej biorą czynniejszy i głębszy udział. Rzecz charakterystyczna, iż od czasu zorganizowania gmin parafjalnych frekwencja na nabożeństwach znacznie się podniosła. Inny szczegół również aż nazbyt wymowny to fakt, iż przy wspólnym wysiłku tak parafjan jak i zarządu miasta zbudowano w stolicy w ciągu ostatnich 10 lat 11 nowych świątyń. Przypuszczam, iż żadna stolica nie może stanąć do podobnego konkursu. Wielki nacisk kładzie się dzisiaj na rozwój Akcji Katolickiej, otóż mam wrażenie, iż organizacja gmin parafjalnych jest na Węgrzech najsolidniejszą podstawą do pełnego a konkretnego wypełnienia tych właśnie celów, jakie w innych krajach stawia się teoretycznie komitetom parafjalnym Akcji Katolickiej.

Inny szczegół świadczący o rozwoju katolicyzmu na Węgrzech to dobrze zorganizowana prasa katolicka. Mielśmy sposobność zwiedzić dokładnie „Centralne Przedsiębiorstwo Prasowe”. Jest ono wyłącznie dziełem wysiłku węgierskich katolików, a zrodziło się nazajutrz po upadku komunizmu. Katolicy węgierscy zrozumieli głęboko, iż bez codziennej prasy ściśle katolickiej trudno się będzie oprzeć wpływowi dziennikarstwa liberalno-żydowskiego. Tak powstał „Dziennik Narodowy” (*Nemzeti Ujsag*), przeznaczony dla inteligencji. Obecnie wychodzi w 50,000 egzemplarzy pod wytrawną redakcją Dra L. Totha. „Nowe pokolenie” (*Ujnem Cedeke*), skierowane również do sfer inteligencji, osiągnęło nakład 40,000 egzpl. Redaktorem jest p. J. Cavalier. Do ludu przemawia „Nowa Gazeta” (*Ujlap*), o nakładzie 50,000 egzemplarzy. Redaktorem jest p. Hivatal. Jeśli jeszcze uwzględnimy poważny miesięcznik: „Węgierska Kultura” (*Magyar Kultura*) (nakład 10,000), miesięcznik „Przegląd Prawniczy” (nakład 5,000), tygodniki: „Kronika Ilustro-

wana" (nakład 20,000) dla starszych, a „Jarmark Wrózek" (nakład 80,000) dla dzieci — to łatwo zrozumieć, iż 5 milionów katolików węgierskich posiada w „Centralnem Przedsiębiorstwie Prasowem" duchowego kierownika, który wpaja skutecznie katolickie zasady w całe społeczeństwo. Lokal wspaniały i wygodny. biura redakcyjne doskonale urządzone, drukarnia zupełnie nowożytna — oto warsztat pracy „Przedsiębiorstwa...", zorganizowanego i utrzymywanego przez katolików węgierskich. Oczywiście „Przedsiębiorstwo Prasowe" nie posiada monopolu w dziedzinie prasy katolickiej, ale podobnie, a może więcej, jak „Bonne Presse" w Paryżu jest potężnym czynnikiem w jej rozwoju i udoskonaleniu. Kilka przemyśłych godzin spędziliśmy w gronie redaktorów „Centralnego Przedsiębiorstwa Prasowego", podziwiając zapał i rozmach tych katolickich działaczy.

Zwiedziliśmy również imponujący katolicki Instytut Wydawniczy t. zw. *Stephanaeum*. Jest to katolickie towarzystwo akcyjne dla popierania dobrej książki. W stolicy zatrudnia 360 pracowników, a w kraju posiada 5 filjalnych księgarni. Obrót roczny wynosi przeszło 3 milj. pengö. Zwiedziliśmy obszerne hale maszyn, głównie płaskich, podziwiając precyzyjne roboty w zakresie ilustracji. Instytut posiada prócz zecerni ręcznej 14 monotypów, stereotypję i introligatornię. Tutaj drukuje się różne czasopisma jak: „Przegląd Katolicki", „Wychowanie Narodowe", organ katolickiego nauczycielstwa, przede wszystkim jednak drukuje się mnóstwo książek. Że i w tej dziedzinie rząd, w szczególności ministerstwo oświaty, idzie na rękę katolikom świadczy fakt, iż w Instytucie Wydawniczym św. Stefana, drukuje się 50% szkolnych podręczników.

Życzliwe nastawienie się rządu węgierskiego do katolicyzmu, z drugiej zaś strony silna reakcja katolickich czynników po komunistycznym przewrocie Beli Kuna wpłynęły w niemałym stopniu na ożywienie się życia religijnego w całych Węgrzech, a przede wszystkim w stolicy. Nie mogę wyliczać tutaj wszystkich dowodów na poparcie mego twierdzenia, uderzającym w każdym razie jest fakt, iż kościoły węgierskie są przepełnione wiernym ludem w niedziele i święta, iż w powojennym okresie zawiązało się dużo organizacji katolickich w całym kraju a niektóre z nich, jak np. Sodalicje Marjańskie posiadają wpływ bardzo głęboki w sferach zwłaszcza inteligencji. Zwiedziliśmy np. położony tuż pod Budapesztem wspaniały dom rekolekcyjny OO. Jezuitów „Manreza", w którym w ciągu tych lat jego istnienia 6 tysięcy mężczyzn odprawiało zamknięte rekolekcje. Doroczną grupę rekolekcyjną stanowi kilkudziesięciu posłów do parlamentu z kilku ministrami na czele. Sam patrzyłem na imponującą procesję, przeciągającą ulicami stolicy. Około 10 tysięcy samych mężczyzn kroczyło czwórkami z świecami w rękach z religijną pieśnią na ustach. W środku tej potężnej procesji kilkudziesięciu mężczyzn niosło olbrzymi

krzyż tyrolski, przed którym kroczył polowy biskup Mgr. Haasz, znakomity mowca i niemniej gorący patrjota. Z nietajonem zdziwieniem pytałem o przyczynę tego manifestacyjnego orszaku. Odpowiedziano mi, iż jest to doroczna pielgrzymka mężczyzn, zdążająca do bazyliki św. Stefana. Taki publiczny męski akt wiary wywiera na wszystkich potężne wrażenie. Niemniej wzruszające są te gromady ludu zbierające się dzień w dzień w przepięknej grocie św. Gerarda, tuż pod budapeszteńską cytadelą. To węgierskie katakumby, coraz bardziej kochane przez wszystkich Węgrów sanktuarjum. W tej oryginalnej kaplicy, z której otwiera się widok na całą stolicę, odprawiałem mszę św. i dziwnego doznaje się uczucia, gdy wczesnym rankiem na wolnem powietrzu, na tle cudnej panoramy kreśli się krzyż kapłańskiego błogosławieństwa nad budzącem się do życia miastem.

Piękne to i majestatyczne miasto, przecięte wspaniałą wstęgą Dunaju, łączące sędziwą tradycję Budy z komfortem nowoczesnych gmachów i pomników Pesztu. Pokazano nam mnóstwo pięknych jego zabytków, poczynając od węgierskiego Wawelu i koronacyjnej bazyliki, poprzez muzea, archiwą, aż do nawskróś nowożytniej instytucyj, jak Węgierska Agencja Telegraficzna i radjowa.

W państwowem archiwum, zbudowanem tuż przed wojną na zamkowem wzgórzu, przywitał nas polskiem przemówieniem Dr. Béla Kossanyi, młody uczony a wielki sympatyk naszego narodu. Oglądaliśmy cenne dokumenty z własnoręcznemi podpisami królów Władysława II-go, Jana Olbrachta i Batorego. W muzeum narodowem odkryliśmy całą polską salę, w której Dr. Kossanyi zebrał wszystkie dokumenty, świadczące o współpracy Węgrów i Polaków w okresie od r. 1831 do r. 1863. Oczywiście centrum tego zbioru stanowi popularna na Węgrzech postać polskiego generała Bema. Są tam jednak i ukazy Metternicha, karcące Węgrów za sympatię okazywaną Polakom, listy dziękczynne Czarotoryskiego i Lelewela, jest również cenna serja Grottgierowskiej Polonji.

Po stolicy przyszła kolej na prowincję; kolejną i autem objechaliśmy prawie całe Węgry, a wrażeń z Ostrzychomia, Szeged, Pannonhalma, Zirc czy Balatonfüred, nad brzegami cudnego a olbrzymiego jeziora Balatón, nie zapomnimy chyba nigdy.

Wszędzie otaczała nas atmosfera sympatji dla wolnej Polski zmieszana z pewnym sentymentem smutku nad dzisiejszym losem Węgier. Uczucie przygnębienia daje się wszędzie odczuć, a nam Polakom łatwiej zrozumieć jego genezę. „Nie, nie, nigdy” — to hasło dzisiejszych Węgier, rwących się do dawnej świetności. Wojna światowa obcięła im  $\frac{2}{3}$  terytorjum i ludności, stworzyła ciężkie warunki dalszego istnienia, ale też w duszy węgierskiej obudziła reakcję, która społeczeństwo uszlachetnia i podnosi. W twardej szkole narodowej klęski odradza się duch narodu

i opadają powoli opary materializmu, który przed wojną tak silnie ciążył na kulturze węgierskiej, z bólu i zatroskania o jutro rodzi się idealizm duchowy, krystalizujący się w owym odrodzeniu katolickiego życia na Węgrzech.

W tej atmosferze zrodziła się również myśl nawiązania żywszej współpracy katolickich Węgier z innymi katolickimi narodami, w pierwszym rzędzie z Polską. Nasz pobyt na Węgrzech miał nas właśnie przekonać o potrzebie nawiązania takiej konkretnej współpracy, miał nam pokazać dowodnie, że w Węgrzech katolicyzm się odradza i że pragnie pomocy od katolików polskich.

O zorganizowanie tej współpracy, opartej na wspólnych interesach katolickiej sprawy, zabiegają usilnie od szeregu miesięcy ludzie tej miary, co hr. Jan Csekonics, oraz hr. Karol Széchényi; obydwa reprezentują szerokie sfery arystokracji i inteligencji węgierskiej; świeżo ideę wspomnianą poczał gorąco popierać Karol Huszar, były premier węgierski, który likwidował smutną spuściznę po rządach komunistycznych.

W czasie naszego pobytu w stolicy Węgier zorganizował się Komitet Związku im. Stefana Batorego, który mając za sobą poparcie katolickiego społeczeństwa, chce ująć w konkretne ramy rzeczoną współpracę. Prezesem Związku został obrany hr. Jan Csekonics. Poczyniono już poważne kroki, by i w Polsce związał się analogiczny komitet, któryby wspólnie z komitetem węgierskim mógł przystąpić do ułożenia i przeprowadzenia programu konkretnej a wydatnej pracy. O ile mi wiadomo, inicjatywa ta znalazła w Warszawie sympatyczne przyjęcie i można się spodziewać, iż już w najbliższych tygodniach skompletuje się w naszej stolicy analogiczny związek im. króla Stefana Batorego, z przedstawicielami we wszystkich większych miastach prowincjonalnych.

W pierwszym rzędzie chodzi o współpracę katolickich pisarzy i katolickiej prasy. Zadaniem polskich dziennikarzy, którzy przystąpią do Związku, będzie informować polskie społeczeństwo o ważniejszych wydarzeniach i objawach życia religijnego na Węgrzech. To samo zadanie spełni w stosunku do społeczeństwa węgierskiego „Centralne Przedsiębiorstwo Prasowe”. Katolicka Agencja Prasowa, reprezentowana w naszej wycieczce przez ks. prałata Kaczyńskiego, obiecała daleko idącą w tym względzie współpracę. Przewidziane są tygodniowe komunikaty prasowe z drobniejszemi aktualnemi wiadomościami oraz wzajemna wymiana poważnych artykułów przeznaczonych dla miesięczników oraz tygodników. Wydawnictwo św. Wojciecha, reprezentowane przez ks. prałata Kłosa oraz p. red. Gutsche, nie mniej jak *Przegląd Katolicki i Polska*, które wysłały swego delegata w osobie p. Czarneckiego, zgłosiły gotowość współpracy na tym terenie.

Przewidziany jest dalej żywszy kontakt węgierskiej i polskiej młodzieży, zwłaszcza uniwersyteckiej, tak naukowej, jak i towarzyski. Istnieje zamiar organizowania periodycznych wycieczek

krajoznawczych, by w ten sposób ułatwić wzajemne poznanie polskiej i węgierskiej kultury, a zwłaszcza objawów katolickiego życia. Były premier Huszar wyraźnie podkreślił, iż pragnieniem jego jest organizowanie węgierskich pielgrzymek do Częstochowy, tego sanktuarjum religijnego życia i narodowych tradycji w Polsce.

Wreszcie chodziłoby o przyjazne ustosunkowanie się do węgierskich spraw i popieranie życiowych interesów tego tak zgębnionego dzisiaj narodu. Nie chodzi bynajmniej Towarzystwu im. St. Batorego o jakąkolwiek akcję polityczną, zależy mu jednak bardzo na ożywieniu wzajemnej sympatji, która przez tyle wieków łączyła dwa narody przez wspólnych królów i przez wspólnych świętych. Dzisiaj nie posiadamy wspólnej granicy z Węgrami, mamy zato wspólną wiarę i wielkie dla niej umiłowanie. Jak niegdyś w walce z Turkami stanowiliśmy jeden front, razem przelewaliśmy krew w obronie wiary i zachodniej cywilizacji tak i dzisiaj naszym wspólnym obowiązkiem jest stanowić tamę przed zalewem wschodniego barbarzyństwa, idącego w parze z bezbożnym bolszewizmem. Można śmiało twierdzić, iż interesa nasze, jakkolwiek nie są identyczne, mimo to ani na jednym punkcie nie stoją z sobą w sprzeczności. Nie wolno nam również zapomnieć, ile sympatji i moralnego poparcia okazał nam naród węgierski, kiedy zalew bolszewicki zagrażał Warszawie. W Paryżu obawiano się o los Europy, ale czy zrozumiano dostatecznie, iż silne Węgry są silną twierdzą obronną cywilizacji europejskiej przeciwko bolszewizmowi! Naród, który zgniótł u siebie zarazę bolszewizmu, który w chwilach ciężkiego okaleczenia i jakby rozbioru nie traci nadziei i w odrodzeniu religijnem szuka oparcia i sił do przetrwania w tragicznym momencie swej historii, godzien jest naszych sympatji i poparcia.

O zaznajomienie polskiego społeczeństwa z temi nastrojami i pragnieniami katolickich Węgier proszono nas usilnie w tamtejszej stolicy. Spełniamy lojalnie i ochotnie to wezwanie. Jesteśmy przekonani, że katolicy polscy uściskną wyciągniętą do siebie prawicę katolików węgierskich. Czekamy na inicjatywę polskiego Związku im. króla Stefana Batorego!

*Ks. Edward Kosibowicz T. J.*

## Wystawa polskiej sztuki religijnej na Śląsku.

Piękną i godną formą uczczenia dziesięciolecia odzyskania Śląska dla Polski było zorganizowanie i otwarcie w gmachu sejmowym w Katowicach wielkiej i okazałej wystawy sztuki religijnej. Wystawę tę zainicjował Związek Artystów Śląskich, a zorganizowali pp.: St. Ligoń, J. Kidoń, P. Steller, a przede wszystkim niestrudzony kustusz działu etnograficznego w Muzeum Śląskiem, Jerzy Langman. Intencja Związku szlachetna, gdyż celem wystawy

było nie tylko pokazanie naszego wielkiego, imponującego dorobku na tem polu w ostatnich dziesiątkach lat, ale też i zainteresowanie odnośnych czynników (fundatorów kościołów, komitety księży) na ziemiach Śląskich polską sztuką religijną i polskim przemysłem artystycznym. Zatem intencja, jak powiedziałem, szlachetna, wysiłek wielki. Pod tym więc kątem należy oceniać rezultaty zamiarów i pracy organizatorów, jakkolwiek — zaznaczyć muszę — wystawa ma braki. Na usprawiedliwienie komitetu jednak zaraz dodam, że — jak to wyjaśnia wstęp do katalogu wystawy, p. Wł. M. Ostoja Janiszewskiego, — mimo zabiegów i próśb komitetu, celem uzyskania eksponatów dzieł sztuki na wystawę, „kamienny, przyziemny upór wielu egoistycznych właścicieli dzieł nie został jednak przełamany”. — Komitet niestety nie zdobył dla wystawy całego szeregu pierwszorzędných pomników polskiej sztuki religijnej, a zatem obywatele śląscy i tysięczne rzesze gości przybywające na tę ekspozycję z całej Polski do Katowic, nie mieli sposobności poznać wielu wspaniałych i potężnych twórców geniusza polskiego. W podobnych wypadkach miłośnicy sztuk pięknych, właściciele cennych dzieł, nie powinni przecież odmawiać komitetom wielkich, propagandowych wystaw, swej pomocy, gotowości wypożyczenia eksponatów — taka nieobywatelska postawa utrudnia propagandę, paraliżuje wszelką pracę ludzi dobrej woli i zapału.

Wystawę polskiej sztuki religijnej w Katowicach możnaby podzielić zasadniczo na dwie grupy. Pierwsza — to eksponaty o charakterze dekoracyjnym, druga zaś — to wszystko co stworzyło się dla sztuki religijnej na polu malarstwa sztalugowego i rzeźby pomnikowej oraz grafiki i przemysłu artystycznego.

Zajmijmy się nasamprzód sztuką dekoracyjną.

Otóż w tym dziale uderza nas przede wszystkim ilościowo wystawa kartonów Józefa Mehoffera, z których najbardziej zajmują znane witraże fryburgskie. Wielka szkoda, że komitetowi wystawy nie udało się zdobyć wielkich, reprezentatywnych kartonów St. Wyspiańskiego projektowanych na Wawel, do kościoła OO. Franciszkanów, do katedry lwowskiej lub do kościoła w Bieczu — bo jeden jedyny witraż „Chrystus” nie daje pojęcia o potężnym, wizjonerskim charakterze i o twórczości artysty na polu sztuki dekoracyjnej — mielibyśmy tu wtedy sposobność do porównania prac Mehoffera z natchnionemi dziełami twórcy franciszkańskich i wawelskich (niewykonanych) okien. Intelektualizm Mehoffera przytłacza widza na tej wystawie — przytłacza i nuży. Może, gdyby zamieszczono mniej kartonów, albo rozwieszono je inaczej, to znaczy w sąsiedztwie prac artystów o odmiennej, nawet biegunowo przeciwnej indywidualności — możeby motywy ornamentacyjne Mehoffera (przeważnie podobne do siebie) nie naprzykszały się nam tak bezwzględnie. Zyskałaby na tem także

i strona literacka jego witrażów, którą artysta podporządkowuje formie.

Próżno szukamy na tej wystawie prac dekoracyjnych Karo Maszkowskiego, Karola Frycza i Wł. Tetmajera.

W dziale sztuki dekoracyjnej ważne miejsce zajmuje Jan Bukowski, chociaż wolelibyśmy oglądać tu więcej jego projektów okien, bo w kierunku polichromji reprezentowany jest aż nazbyt obficie. Jak na sztuce dekoracyjnej Józefa Mehoffera i Jana Bukowskiego zaciężył dodatnio potężny wpływ Matejki, tak na Kazimierzu Sichulskim — wpływ Wyspiańskiego. Widać to przedewszystkiem na witrażach „Dies irae” i „Bogu Rodzica” — przeznaczonych dla kościoła św. Elżbiety we Lwowie. Motywy stylizowanych kwiatów przypominają winiety Wyspiańskiego spotykane na książkach — niemniej jednak witraże Sichulskiego są pełne siły indywidualnej, świeże, szczere, śmiałe i poetyczne w pomyśle, dobrze skomponowane w linii, harmonijne w kolorze. Do najciekawszych, najpiękniejszych projektów należą tu prace Zdzisława Gedliczki. Jego witraże „Niepokalane Poczucie”, „Św. Józef”, „Chrystus Król” i „Matka Boska Królowa Korony Polskiej” są utrzymane w łagodnej karnacji barw i spokojnych liniach, co widać zwłaszcza na fałdach szat, spadających pionowo, prostolinijnie. O wielkiej pomysłowości w ornamentyce Gedliczki świadczą jego projekty do polichromji (kościół w Białej). Dobrze się też stało, że komitet wystawy przypomniał projekty do polichromji w kościele na Kahlenbergu, zmarłego przed paru laty profesora Krakowskiej Akademji Sztuk Pięknych (kurs dekoracji) Stanisława Dębickiego. Te dwa jego projekty mówią dostatecznie o wielkim talencie i zrozumieniu dekoracji artysty z czasów najwyższego wzniesienia się polskiego impresjonizmu. Wielki zmysł dekoracyjny zdradzają też: Procajłowicz w swoich kartonach do polichromji dla kościoła w Kętach, Józef Pochwal-ski (mozajki dla kościoła OO. Jezuitów w Krakowie), Jan Piasecki (witraże dla kościoła w Żorach Śląskich i karton witrażu „Chrystus” dla kościoła w Brzeżanach) i wreszcie prace: M. Bardińskiej, H. Biernackiej, J. Dutkiewicza, H. Jackowskiego, Z. Leśniakówny i J. Rosena. Bardzo pouczające, są oglądane zbliżone, projekty mozajkowe do kościoła OO. Jezuitów w Krakowie pp. Piotra Stachiewicza i Leonarda Strojnowskiego.

I znowu szkoda, że w tym dziale brak prac H. Uziembły, M. Łada Maciągowej, W. Zarzyckiego i zmarłego niedawno tragiczną śmiercią Hironia.

Płaskorzeźbę — jako dekorację architektury — reprezentuje w pierwszym rzędzie znany artysta-rzeźbiarz krakowski, autor kilku ołtarzy w kościele OO. Jezuitów na Wesołej, Karol Hukan. Wystawił modele płaskorzeźb na bramie bocznej do kościoła N. Panny Marji w Krakowie, a mianowicie: „Zwiastowanie”,



„Boże Narodzenie“, „Wniebowzięcie“ i „Ukoronowanie M. Boskiej“. Poza tem pokazał kilkanaście, znanych nam również z kościoła Marjackiego w Krakowie, głów apostołów i św. patronów Polski.

Obrazów sztalugowych na temat religijny maluje się w ostatnich czasach stosunkowo bardzo mało, a i z tej niewielkiej ilości należałoby wybrać i odłączyć dzieła sztuki od malowideł banalnych w treści i łatwych w formie. Katowicka wystawa polskiej sztuki religijnej zebrała szereg płócien pierwszorzędnej wartości, przypominała też zapomniane dzieła, które są chlubą dziejów naszego malarstwa i zwróciła uwagę na talenty nowe. W galerji katowickiej nie brak też rzeczy niepotrzebnych, a z drugiej znów strony — nie widzimy tu obrazów, które w rozwoju polskiej sztuki religijnej stanowią ważne pozycje, choćby wspomnieć tylko dorobek artystyczny ostatnich lat: tyle genialnych kompozycyj na temat biblijny Jacka Malczewskiego, dalej obrazy religijne Cynka, Gramatyki, J. Styki, K. Mańkowskiego, Madonny St. Wyspiańskiego, obrazy religijno-narodowe Wł. Tetmajera — a z młodszych: Ludwika Kwiatkowskiego, Fr. Turka, St. Gilewskiego („Ukrzyżowanie“) i wreszcie szereg dobrze zapowiadających się i zapisanych już nazwisk w gronie najmłodszej, tej nadchodzącej generacji artystów polskich.

Z pośród wystawionych obrazów szczególnie interesują: mało znany obraz Adama Chmielowskiego (Brata Alberta) p. t. „Objawienie Serca Jezusowego“ (własność redakcji „Przeglądu Powszechnego“ w Krakowie) i trzy obrazy (dwa olejne i jeden rysunek) artysty z zasady nigdy nie wystawiającego, pracującego w odosobnieniu i zaciszu, Franciszka Krudowskiego — „Zdjęcie z Krzyża“ (wł. mjr. Hablińskiego w Katowicach), „Matka Boska z Dzieciątkiem“ (wł. hr. A. Potockiej w Krzeszowicach) i „Św. Rodzina“ (wł. p. Niemczyka w Krakowie). W obrazie Chmielowskiego doskonała kompozycja, a przedewszystkiem harmonja stonowanych i jakby przyćmionych barw wywołują nastrój, który jest zawsze dominantą dzieł tego artysty. U Krudowskiego zaś głównym akcentem na wizerunku Matki Boskiej są oczy o głębokim wyrazie. Na „Zdjęciu z Krzyża“ artysta po mistrzowsku rozwiązuje problem światła — i znowu głównie w wyrazie oczu Matki Boskiej stara się podkreślić Jej boleść. Franciszek Krudowski — jedyny dziś w Polsce wielki malarz Madonn — wywodzi swój artystyczny rodowód ze sztuki Rafaela, nie zatracając jednak polskiego charakteru. Daleki od efekciarstwa zewnętrznego i obcych naturze naszej sentymencików, opiera twórczość swoją na uczuciu i dlatego — wzrusza. Zamieszczone na Katowickiej wystawie obrazy Krudowskiego ilustrują doskonale jego artystyczną postawę. Jak dla Krudowskiego — Madonna, tak dla Jacka Malczewskiego umiłowaną postacią obrazu, czy raczej tematem jest Chrystus. Niestety, wystawa katowicka nie zdołała pozyskać reprezentacyjnych w tym kierunku dzieł twórcy „Gro-

sza czynszowego" — a zamieszczony tu warjant do „Wizji Ezechjela" (obraz ten nosi także tytuł „Pole Kości") nie daje nam tej sumy wrażeń przed obrazem Malczewskiego, jaką zdobywać mamy prawo na wystawach polskiej sztuki religijnej. „Hołd pasterzy" — to raczej kompozycja o charakterze narodowym, nawet ludowym — niż religijnym. Cykl obrazów J. Mehoffera zatytułowany „Droga Krzyżowa" — posiadać musi niewątpliwie dużo wartości artystycznych, nawet cech mistrzostwa, jak wszystkie obrazy sztalugowe tego artysty — wisi on tu jednak za wysoko (obrazy w tym cyklu są małych formatów), aby się można o tych wartościach tematycznych i formalnych przekonać. Twórczość w kierunku religijnym Leona Wyczółkowskiego reprezentuje chyba tylko fragment krucyfiksu Stwosza (olejny), a Zofję Stryjeńską — „Chrystus". Za to bogato przedstawioną jest praca Józefa Unierzyckiego i Piotra Stachiewicza, który przypomniał nam wiele znanych już obrazów — a dalej: St. Fabijańskiego, Fr. Horodyskiego, M. Janoszanki, St. Klimowskiego, W. Korzeniowskiej, P. Kowalewicz, St. Ligonja (bardzo ciekawa w kolorze „Modlitwa"), Męciny-Krzesza, M. Meleniewskiej, M. Niedzielskiej, ks. K. Prażmowskiego (sumienny w wykonaniu „Św. Józef"), T. Seweryna, L. Stasiaka i J. Wałacha. Nie można odmówić oryginalności obrazom Adama Bunscha, który przed kilku laty debiutował w Krakowskim Towarzystwie Sztuk Pięknych. Od tego czasu artysta zrobił duży postęp, wyzbył się poniekąd popielatych tonów, które dawniej dominowały na jego płótnach i zdobył się na większą śmiałość i pewność siebie w formie — widać to zwłaszcza w traktowaniu figur. Gorzej jednak ze stroną tematyczną jego obrazów. Stanowczo za dużo literatury — a punkt wyjścia w kompozycjach nie zawsze szczęśliwy. Wprowadzanie do tematów biblijnych, a więc historycznych, akcesoriów wziętych z życia dzisiejszego, to łatwy i nie zawsze przekonujący środek wypowiedzenia myśli. Tajemnica aktualizowania odwiecznych tematów, odwiecznych problemów polegałaby raczej na myślowym i artystycznym przeprowadzeniu analogii między historią a chwilą bieżącą i na wyprowadzeniu stąd wniosku dla łatwiejszego wywołania refleksji... „Wskrzeszenie Łazarza" i „Niewiasty u grobu" — niestety — nie robią wrażenia.

Z rzeźb na pierwszy plan wysuwa się potężnie cięty w drzewie portret biskupa Lisieckiego przez prof. Xawerego Dunikowskiego, następnie rzeźby-ceramiki prof. K. Laszczki („Matka Boska z Dzieciątkiem" i „Ukrzyżowanie") oraz szereg szkiców i skończonych rzeźb Zygmunta Langmana dla kościoła Marjackiego. Do najpiękniejszych z nich trzeba zaliczyć „Św. Wojciecha", „Św. Jadwigę", „Proroka Jeremjasza" i „Matkę Boską Różańcową" (plastelina). Ciekawy gips wystawił też Bogusław Langman, którego „Chrystus Miłosierny" modelowany jest

śmiało i silnie. Ozdobą wystawy jest „Wieczerza Pańska” Karola Hukana i projekt do kościoła w Zawierciu Jana Raszki, p. t. „Wręczenie kluczy św. Piotrowi”.

Dział grafiki na wystawie katowickiej przedstawia się najbogaciej. Brak tu wprawdzie najpiękniejszych plansz Wyczółkowskiego (np. „Matka Boska Częstochowska”) i Wł. Skoczylasa (wogóle) — ale i tak to, co jest, daje dobry obraz naszej współczesnej twórczości graficznej na polu sztuki religijnej. Dział ten trzeba podzielić na dwie grupy: na grafikę twórczą, o temacie religijnym i na grafikę przedstawiającą architekturę kościołów — a więc reprodukującą dzieła sztuki innych artystów. W pierwszej grupie zanotujemy przede wszystkim piękną autolitografię J. Mehoffera, wystawioną przed kilku laty w Krakowskim Tow. Sztuk Pięknych — „Matkę Boską Bolesną” i ośm drzeworytów Z. Gedliczki, oraz „Matkę Boską Częstochowską” (autolitografia) Gumowskiego. Technikę drzeworytu, poza wspomnianym już Z. Gedliczką, reprezentują w tej grupie twórczej grafiki — jeśli chodzi o temat: Janina Konarska, Wanda Korzeniowska, Krasnodębska-Gardowska (drzeworyt barwny), Zygmunt Król i Paweł Steller. Motywy zaś architektoniczne kościołów krakowskich pokazali nam: Stefania Dyboska w miękkich, dobrze narysowanych akwafortach i Stanisław Jakubowski w szeregu plansz o różnej technice (miedzioryt, monotypia, kwasoryt, vernis mou, drzeworyt). Bardzo wiele wdzięku posiadają jego kościółki, cerkiewki i kapliczki.

Całości wystawy dopełniają eksponaty z zakresu sztuki stosowanej, przemysłu artystycznego i restauracji zabytków. Ważny ten w sztuce religijnej dział został obesłany przez instytucje, zakłady, pracownie artystyczne i poszczególnych artystów dosyć obficie. Ograniczę się do najważniejszych pozycji. Robert Jaho da (zakład introligatorski w Krakowie) przysłał stylowe oprawy mszałów i modlitewników (skóra wiśniowa i brązowa), wykonane według projektów: Jastrzębowskiego, Fabijańskiego, Seiferta i własnego. Irena Zarzycka i Marja Smereczyńska przedstawiły wzorzyste projekty ornatów. St. Pochwański i K. Rutkowski zapoznali nas z techniką restauracji obrazu gotyckiego i rzeźby gotyckiej. Żałować należy, że komitet wystawy nie pozyskał w tym kierunku eksponatów jednego z najlepszych znawców techniki restaurowania zniszczonych dzieł sztuki — prof. Wiesława Zarzyckiego. Jego wykład zilustrowany na miejscu pokazami, byłby bardzo pouczający. Krakowskie Muzeum Przemysłowe obesłało wystawę swojemi wytworami przemysłu artystycznego w srebrze złożonem, tombaku, mosiądzu i miedzi — a także kilimy, gobeliny, altembasy. Zawodowa Szkoła Przemysłowa (żeńska) wystąpiła chlubnie z tekstylnemi pracami uczeń kursu prof. Z. Gedliczki, a Krakowski Zakład Witrażów p. Żeleńskiej wykazał na swych przeźroczach jeszcze raz, ile do-

świadczenia technicznego i poczucia artystycznego posiadają jego kierownicy i pracownicy. Ekspozyty z zakresu pszczelarstwa przysłały również z Krakowa pracownice Leona Wiadrowskiego, Piotra Seipa i Henryka Sztorca. Szkoda, że komitet nie sprowadził prac z innych jeszcze pracowni artystyczno-przemysłowych, znajdujących się w Polsce. Byłby to niewątpliwie interesujący pokaz szlachetnej konkurencji i ewentualnej różnicy artystycznych efektów, jakie rozchodzą się z naszych warsztatów po wszystkich, miejskich i wiejskich, kościołach.

Kto — jak piszący te słowa — inicjował kiedykolwiek i realizował bez subwencji wielkie wystawy sztuki, ten zdaje sobie doskonale sprawę, ile trudu i przeciwności trzeba pokonać przy tego rodzaju pracy. Katowicka ekspozycja polskiej sztuki religijnej miała z pewnością więcej, niż inne tego typu wystawy, przeszkód do pokonania — poczynając od zdobywania funduszy i szczęśliwego wyboru lokalu, a kończąc na transporcie wielkich i drobnych, a kosztownych przedmiotów. Wystawa ta mimo pewne, nawet poważne braki, cel swój w zupełności osiągnęła: pokazała ziemi śląskiej polską religijną sztukę i przemysł artystyczny i przekonała Ślązaków, że polskie kościoły powinien zdobić polski artysta i — co najważniejsze, — że stać nas na to.

*Antoni Waśkowski.*

## Stan chorób zakaźnych w Polsce w r. 1930.

Podniesienie stanu zdrowotnego ludności w naszym kraju — zwłaszcza przez zwalczanie chorób zakaźnych i polepszenie warunków higienicznych — stanowi poważną troskę wszystkich dotyczących czynników. Praca w tym kierunku czyni też postępy, jakkolwiek na przeszkodzie stoi brak funduszy i niski stan kulturalny szerokich połaci kraju, szczególnie na wschodzie, a po części także brak wyszkolonego personelu. Opieka nad matką i niemowlęciem, stacje i poradnie, opieka lekarska szkolna i w zakładach opiekuńczo-wychowawczych, kolonie wypoczynkowe i letnie dla młodzieży, bezpośrednia walka z epidemiami i propaganda higieny wśród szerokich sfer ludności — wszystko to zmierza powoli lecz wytrwale do poprawy wiele u nas pozostawiającego do życzenia stanu rzeczy. O organizacji i rozwoju tych prac w Polsce pisał już obszerniej w *Przeglądzie Powszechnym* (r. 1928, lipiec - sierpień, str. 58—90) dr. med. M. Kacprzak, kierownik wydziału statystycznego w Państwowym Instytucie Higieny w Warszawie. Obecnie, w redagowanym pod jego kierunkiem dziale medycyny społecznej w *Warszawskim Czasopiśmie Lekarskim* (Warszawa 1931, zesz. 10—12), zamieścił dr. H. Pa-lester, Naczelnik Wydz. chorób zakaźnych w Dep. Służby Zdrowia, sprawozdanie o przebiegu tychże chorób w Polsce w r. 1930.

Ze względu na to, że sprawa powyższa jest przedmiotem ogólnego zainteresowania, dajemy poniżej zwięzłe jej streszczenie.

Sprawozdanie autora nie ma pretensyj do bezwzględnej dokładności, niemożliwej wogóle w tych rzeczach, a tem bardziej u nas. Autor zaznacza, że mimo znacznego postępu rejestracji chorób zakaźnych, cierpi ona jeszcze na poważne braki po miasteczkach i wsiach, a na ścisłość (względna — nasza uw.) liczyć może jedynie po miastach, posiadających własne urzędy sanitarne.

Jakże przedstawia się u nas stan poszczególnych chorób zakaźnych?

Pocieszającą jest wiadomość, że w r. 1930 — o którym tylko mówimy w niniejszem sprawozdaniu — zapadło na ospę jedynie 21 osób, z których żadna nie umarła. Departament Służby Zdrowia pilnuje też bardzo szczepienia przeciw ospie i w roku sprawozdawczym dokonano go przymusowo u 1,800.000 dzieci.

Dur brzuszny czyli tyfus brzuszny, panujący stale w naszym kraju, wykazał w roku ubiegłym 11.940 wypadków zachorowań — cyfrę najniższą od r. 1920 — w tem 910 śmiertelnych. Najwięcej, bo prawie  $7\frac{1}{2}$  tysiąca przypadków tej choroby zaszło w województwach centralnych: warszawskiem, łódzkim, kieleckim i w mieście stoł. Warszawie, która sama miała 1.292 zachorowań; zapadalność na dur w tych województwach wynosiła 66.2, podczas gdy w zachodnich 31.4, w południowych 28.2, we wschodnich 27.7 (niska ta cyfra jest jednak może wynikiem niedokładnej rejestracji).<sup>1)</sup> Przyczyną szerzenia się choroby była głównie woda, a gdzienigdzie mleko z miejscowości, w których więcej osób chorowało. Walkę z epidemią prowadzono bardzo energicznie, jakkolwiek utrudniał ją brak szpitali i urządzeń sanitarnych, przeludnienie (Warszawa), ciężkie warunki materialne ludności i niedostateczne jej uświadczenie. Do zmniejszenia ilości wypadków zachorowań w r. 1930 przyczyniły się także, zdaniem autora, szczepienia ochronne; szczepionek przeciwtyfusowych wydano w nim z Państwowego Zakładu Higieny ogółem na 173.626 osób.

Walka z wyępieniem duru osutkowego czyli tyfusu plamistego posuwa się ciągle naprzód. W r. 1930 mieliśmy tylko 1.640 wypadków, z czego 112 śmiertelnych. Najwięcej zachorowań było w województwie wileńskiem (486), nowogrodzkim (247), lubelskiem (205), stanisławowskiem (175), lwowskiem (143) i białostockiem (122); żadnych wypadków nie zanotowano w wojew. poznańskiem, pomorskiem i śląskiem. M. stoł. Warszawa miała 4 wypadki, wojew. łódzkie 2, warszawskie 18, kieleckie 21, krakowskie 22, wołyńskie 40, tarnopolskie 68, poleskie 87 wypadków. Walkę z epidemią prowadzono szczególnie na te-

---

<sup>1)</sup> Przez zapadalność rozumie się tu przeciętną liczbę wypadków zachorowań na 100.000 mieszkańców.

rytorjach bardziej zagrożonych; personel kolumn sanitarnych i osób pracujących w szpitalach szczepiono częściowo szczepionką prof. dra Weigla ze Lwowa.

Za zupełnie opanowany uważa się dur czyli tyfus powrotny, którego zanotowano tylko 3 wypadki, a i z tych żaden nie był bakteriologicznie stwierdzony, ani żaden śmiertelny.

Czerwonka, której w roku sprawozdawczym było 1.910 przypadków, wykazała szczególnie wysoką śmiertelność, mianowicie 16'02% w stosunku do liczby zachorowań (w r. 1929 tylko 7'1%. Najwięcej wypadków zaszło w wojew. stanisławowskim (732), lwowskim (280) i wołyńskim (241). Dla przeciwdziałania chorobie stosowano też szczepienia przeciwczerwonkowe; szczepionki wydano ogółem 25.630 porcji.

Szczególnie wysokim było w r. 1930 nasilenie płonicy czyli szkarlatyny, której zanotowano 29.991 wypadków (w r. 1929 tylko 20.909 przypadków); chorych zmarło 1.135. Największe nasilenie płonicy miało miejsce w Warszawie. Dla zabezpieczenia młodzieży stosuje się od lat kilku szczepienia ochronne surowicą, której w roku sprawozdawczym wydano na jakie 170.000 osób.<sup>1)</sup> Objawem pocieszającym jest malejąca stale śmiertelność z płonicy, która w r. 1919 wyniosła 11'7%, a w r. 1930 tylko 3'8% liczby zachorowań.

Ciągły wzrost liczby zachorowań, zarówno w Polsce jak i w innych krajach Europy, wykazuje błonica czyli dyfteryt. Podczas gdy w r. 1920 zanotowano 3.178 jej wypadków, to w r. 1930 było ich 17.074. Największe nasilenie choroby miało

---

<sup>1)</sup> Co do stosowanych dotychczas szczepień ochronnych przeciw płonicy, niektórzy kwestjonują ich wartość zapobiegawczą i zajmują nawet stanowisko negatywne dla następujących powodów: 1) Doświadczenie wykazuje, że mimo szczepień dzieci nieraz zapadają na płonicę, zarówno w bliższym jak w dalszym terminie po szczepieniu; owszem nie brak wypadków, że właśnie szczepienie ochronne musiało być przyczyną zachorzenia. 2) Historia ostatnich 10-u lat też zdaje się przemawiać w tym duchu: a) rośnie liczba szczepień, a mimo to rośnie liczba zachorzeń, i to nieraz z ciężkimi komplikacjami; b) szczepienia ochronne rozpoczęto na szerszą skalę w r. 1924 a tymczasem w r. 1926 mieliśmy epidemję płonicy, a w r. 1930 widzieliśmy znowu duże jej nasilenie; c) nie można powiedzieć, że epidemja powyższa zaszła u dzieci nieszczepionych, gdyż przeciwnie miała miejsce przedewszystkiem w stolicy, a daleko słabsza była w województwach takich jak stanisławowskie i białostockie; d) nie można również przypisywać szczepieniom ochronnym zmniejszenia śmiertelności, gdyż zawisło ono od innych także warunków (postęp higieny i lecznictwa), a zresztą rozpoczęło się już w r. 1923, a więc przed stosowaniem szczepień ochronnych (uw. ref.).

Wobec tego budzi się dość uzasadniona wątpliwość o wartości dotychczasowych szczepień ochronnych i pytanie: czy wskazaniem jest dążyć dzieci i narażać je na silny nieraz wstrząs organizmu — i to czasem co roku, naprz. gdy jadą na kolonie letnie — i czy nie lepiej byłoby ogromne sumy, na to wyłożone, obrócić na inne sposoby opieki nad zdrowiem młodzieży, które miałyby skutek — pewny.

miejsce w Warszawie oraz w wojew. łwowskim, śląskim i poznańskim, a zatem w okolicach przemysłowych i gęściej zaludnionych. Dodatnim zato objawem jest zmniejszająca się śmiertelność, która w r. 1921 wynosiła 13'2% a w r. 1930 tylko 5'6% liczby zachorowań. Szczepionki zapobiegawcze stosuje się u dzieci po uprzednim stwierdzeniu ich wrażliwości na błonicę, zapomocą odczynu Schicka; w roku sprawozdawczym wydano tych szczepionek na 163.240 osób.

Nagminne zapalenie opon mózgowych (*meningitis epidem.*) nie występowało w r. 1930 nigdzie jako epidemia. Wypadków jego zgłoszono 607, z czego 176 śmiertelnych. Najwięcej zachorowań miało miejsca w Warszawie (69).

W porównaniu z poprzednimi latami wzrosła u dzieci silnie liczba wypadków odry. Zanołowano ich 59.567, z czego 584 śmiertelnych. O ile zapadalność na tę chorobę jest w poszczególnych województwach równomierna, o tyle śmiertelność wykazuje spore wahania, gdyż w wileńskim i stanisławowskim wynosiła 2'6%, a w poznańskim 0'07%.

Wypadków różnicy zgłoszono 5.094 — najwięcej w Warszawie, najmniej w wojew. pomorskim — z tego 245 śmiertelnych.

Krztusca czyli koklusz zanołowano 10.206 wypadków, z czego 458 śmiertelnych. Śmiertelność ta waha się bardzo; w wojew. tarnopolskim wynosiła 10'02%, a w śląskim nie podano żadnego wypadku zgonu.

Liczba wypadków zimnicy (febry) spada. W r. 1930 było tylko 199 chorych, z których zmarł jeden. Najwięcej przypadków, bo 122, zaszło w wojew. poleskiem.

Zakażenia połogowego zgłoszono 1.564 wypadków — najwięcej w miastach i ludnych ośrodkach przemysłowych — z tego 350 śmiertelnych. Śmiertelność w poszczególnych województwach wahała się w niezwykle szerokich granicach, od 79.0% do 3'7%.

Dzięki rosnącej liczbie przychodni przeciwgruźliczych czyni rejestracja gruźlicy ciągle postępy. Wypadków tej choroby, niebezpiecznych dla otoczenia, zgłoszono w roku sprawozdawczym 20.892; z tej liczby zmarło 7.701 osób.

Analogicznej pracy przychodni przeciwjagliczych zawdzięczamy zgłoszenie w roku ubiegłym 24.689 wypadków jaglicy (egipskie zapalenie oczu).

Dokładnej liczby osób, pokąsanych przez zwierzęta wściekle lub podejrzanę o wściekliznę czyli wodowstręt, nie mamy, będzie ona zapewne dużo wyższa od zgłoszonych 1.477 przypadków; wnioskując z ilości rozesłanych szczepionek, możnaby liczbę ich podnieść do 4.000 lub nieco wyżej. Zmarło 18 osób, z tych jednak 9 dlatego, że nie leczono ich, gdyż nie przypuszczano choroby.

Zatrucie produktami spożywczymi — głównie zepsutem mięsem i nieświeżymi wędlinami, a w małej liczbie grzybami

i innemi artykułami spożywczymi — podano 229, w tem 26 śmiertelnych.

Z pośród rzadziej zachodzących chorób wymienia jeszcze sprawozdanie: 1 wypadek trądu u kobiety, która przez dłuższe lata przebywała w Argentynie; jest ona odosobniona razem z drugim chorym w szpitalu św. Łazarza w Warszawie. Wypadków węgliką zgłoszono 60, z czego 8 śmiertelnych. Nosaczyny stwierdzono jeden tylko wypadek i to śmiertelny, wskutek zarażenia się od konia. Włośnicy zanotowano 67 wypadków — najwięcej w Warszawie (15) — z czego jeden śmiertelny. Choroby Heine Medina stwierdzono 40 wypadków, w tem 8 śmiertelnych. Śpiączki epidemicznej zgłoszono 21 przypadków, z czego 5 śmiertelnych.

Tak przedstawia się w krótkości przebieg chorób zakaźnych w Polsce w r. 1930, o ile doszedł do wiadomości Departamentu Służby Zdrowia. Jeżeli zestawimy z niego ważniejsze lub częściej zachodzące choroby, otrzymamy następujący obraz:

| rodzaj choroby       | liczba wypadków zachorowań | ilość zgonów | śmiertelność w stosunku do liczby zachorowań |
|----------------------|----------------------------|--------------|----------------------------------------------|
| ospa                 | 21                         |              |                                              |
| dur brzuszny         | 11.940                     | • 910        | 7·6 <sup>0</sup> / <sub>0</sub>              |
| „ osutkowy           | 1.640                      | • 112        | 6·83 ”                                       |
| „ powrotny           | 3                          |              |                                              |
| czerwonka            | 1.910                      | (305)        | 16·02 ”                                      |
| płonica              | 29.991                     | 1.135        | 3·8 ”                                        |
| błonica              | 17.074                     | (956)        | 5·6 ”                                        |
| zapalenie opon mózg. | 607                        | 176          | 29·0 ”                                       |
| odra                 | 59.567                     | 584          | 0·99 ”                                       |
| róża                 | 5.094                      | 245          | 4·8 ”                                        |
| krztusiec            | 10.206                     | 458          | 4·48 ”                                       |
| zimnica              | 199                        | 1            |                                              |
| zakażenie połogowe   | 1.564                      | 350          | 22·37 ”                                      |
| gruźlica             | 20.892                     | 7.701        | 32·07 ”                                      |
| jaglica              | 24.689                     |              |                                              |
| włośnica             | 67                         | 1            | 1·49 ”                                       |
| węglik               | 60                         | 8            | 13·33 ”                                      |

K.

## Z zagadnień pedagogicznych i oświatowych.

### Rodzice a szkoła państwowa we Francji.

W nowoczesnych prądach wychowawczych świata problem współpracy szkoły z rodzicami należy do jednych z najbardziej aktualnych. Z przeglądu pedagogicznego francuskiego p. t. „L'Education” dowiadujemy się, że Międzynarodowe Biuro Wychowania w Genewie, <sup>1)</sup> poleciło Sekretarjatowi Towarzystwa: „Hygiène par

<sup>1)</sup> L'Education, 1929, str. 506.



exemple", zbadanie na gruncie Francji sprawy istnienia i rozwoju Stowarzyszeń rodzicielsko-nauczycielskich (Associations de parents et de maitres). Zorganizowana w tym celu ankieta 1. I. 1929 r., wykazała: 25 oficjalnie istniejących „Stowarzyszeń rodziców i nauczycieli” przy szkołach powszechnych i 11 „Stowarzyszeń rodziców” przy liceach w całym kraju. Stowarzyszenia te wydają następujące pisma: *L'ami de l'École* (Corrère), *La voix du village* (Isère) i *L'École et la Famille*.

Skromne rezultaty ankiety z tej dziedziny nie mogą być jednak miarodajne nie tylko ze względu na to, że na 93 departamenty odpowiedzi nadeszło tylko 40, ale również ze względu na rozkład szkół w kraju.

Na 37.981 gmin we Francji 22.151 mają poniżej 500 mieszkańców, a więc mniej więcej 50 dzieci w wieku szkolnym od 7—14 lat. W tych gminach istnieją bardzo ściśle stosunki między rodzicami a szkołą, tworząc nieoficjalne stowarzyszenia bez ustaw i statutów, bardzo czynne, ale nie zorganizowane, formalnie zatem nie istniejące. Tak samo ma się rzecz z 8.880 gminami, które liczą powyżej 500, a mniej niż 1.000 mieszkańców. Brane być mogą jedynie pod uwagę 6.950 gmin, liczących powyżej 1.000 ludności, między którymi 16 wielkich miast posiada więcej niż 100.000 mieszkańców.

Jako inną przyczynę małej liczby stowarzyszeń rodzicielsko-nauczycielskich sprawozdawca wysuwa obojętność rodziców, którzy oddając dziecko szkole, chcieliby zrzucić z siebie (na czas jakiś choćby) odpowiedzialność za ich wychowanie — poza tem podaje specjalne obecné położenie szkoły świeckiej we Francji, która wymaga wielkiej dyplomacji w postępowaniu tak ze względu na swój laicyzm jak i ze względu na gorącą opozycję wielu stronnictw, protestujących przeciw bezwyznaniowemu charakterowi szkoły.

Wreszcie zauważa sprawozdawca, że nauczyciele co do sprawy wspomnianych stowarzyszeń odnoszą się z rezerwą ze względu na komplikacje, jakie wyniknąć mogą z dopuszczenia do głosu, tak najczęściej mało kompetentnej w dziedzinie pedagogii grupy osób, jaką są naogół rodzice uczęszczających do szkoły dzieci.

Mimo jednak minimalnej liczby istniejących stowarzyszeń rodzicielsko-nauczycielskich we Francji, wyniki pracy w tej dziedzinie są znaczne, a to z powodu rozkwitu najrozmaitszych innych organizacji szkolnych i pozaszkolnych, które uczestniczą i łączą w wspólnym wysiłku dążenia rodziców i nauczycieli. Tu przede wszystkim wspomnieć trzeba o usankcjonowanych przez prawo kasach szkolnych i delegacjach kantonalnych.

Kasy szkolne założone w 1867 roku mają na celu przychodzenie z pomocą potrzebującym rodzicom, dostarczając dzieciom

książek, ubrań, posiłków. W 1925 r. było we Francji 15.251 kas szkolnych.

Delegaci kantonalni, których jest obecnie około 20.000 na terenie francuskim, wybierani z radnych gminnych (których dzieci uczęszczają do danej szkoły), czuwają nad higieną szkolną i są łącznikiem domu ze szkołą.

Prócz wyżej wymienionych jest jeszcze wiele innych związków szkolnych, jak np. związków dawnych uczniów, wzajemnych pomocy, klubów sportowych, kooperatyw szkolnych i t. d.

P. Daladier, urzędnik Ministerstwa Oświaty w Paryżu, podał projekt skoordynowania i scentralizowania wszystkich tych związków na terenie szkolnym pod nazwą „rad szkolnych” „Les Conseils d'école”. W skład rad szkolnych wchodziłyby wójt gminy, delegaci kantonalni, przedstawiciele stowarzyszeń szkolnych, przedstawiciele grup zawodowych i robotniczych, ciał nauczycielskich, rodzice uczęszczających do szkoły dzieci oraz dobrodziejcy szkoły. Byłoby to ujęcie wszystkich interesów moralnych i materialnych szkoły w jedne ręce.

#### Na marginesie koedukacji w szkołach średnich.

Bardzo ciekawą notatkę z dziedziny zagadnień koedukacji w szkołach średnich w Anglii — koedukacji, która stała się nie-jako kanonem współczesnych światowych prądów wychowania — zamieściły pisma: *The Journal of Education* (kwiecień 1930) i *Bulletin du Bureau International d'Education* z kwietnia tegoż roku.

Notatka omawia fakt, jaki zaszedł w tym czasie w Liverpool w Anglii na terenie jednej z największych szkół średnich „Holt secondary school”, która będąc od lat dwudziestu koedukacyjną, rozdzieloną obecnie została na dwie osobne szkoły dla dziewcząt i chłopców.

Z podanych przez te pisma szczegółów dowiadujemy się, że Wychowawczy Komitet miasta Liverpool (Liverpool Education Committee) poddał tę kwestję pod wyczerpującą dyskusję i wychodząc z założenia, że jednym z najgłówniejszych motywów przy zakładaniu szkół koedukacyjnych — (tu leży ciekawy punkt ciężkości ich argumentacji) — była i jest oszczędność — zdecydował, że Liverpool jest miastem dość dużem i bogatym na to, by przystąpić do zorganizowania szkół średnich bez odwoływania się do tak drobnych oszczędności miast mniejszych, jakimi jest między innymi koedukacja szkolna. Co więcej posunięto się dalej w tym kierunku i poddano pod głosowanie wnioski jednego z członków Komitetu, żądający niemieszanego grona nauczycielskiego, t. j. wyłącznie nauczycieli dla chłopców a nauczycielek dla dziewcząt. Na konferencji tej również zwrócono uwagę na fakt, że w Ameryce coraz bardziej opinia publiczna i opinia rodzicielska występuje przeciw koedukacji.

Mr. Bailey, znany i wielce zasłużony dyrektor tej szkoły jak i inni członkowie Komitetu Wychowawczego w Liverpool po 20 latach doświadczenia, są obecnie zdeklarowanymi konwertytami zasad separatyzmu w szkołach średnich.

Wiadomo, że dr. Cecil Reddie założyciel znanej szkoły nowoczesnej w Abbotsholm, jak również wiele innych znanych osobistości (że przytoczymy psychologa amerykańskiego Stanley Hall'a i F. Förstera) są również przeciwnikami systemu koedukacyjnego w szkołach średnich. A stanowisko swoje motywują tem, że powoduje ona przeciążenie u dziewcząt, które i tak w szkołach średnich istnieje a — poza tem, że jest niebezpieczna dla moralności, wyrabia — zdaniem tychże — zniewieściałość u chłopców a szorstkość w zachowaniu u dziewcząt.

Przytoczyć tu można również artykuł E. A. Ashton: „Disadvantages of the Co-education school” (The Education Outlook luty 1931, str. 45), zaczynający się od charakterystycznego wyznania: „Po wielu latach doświadczenia nabrałem przekonania, że ujemne strony obecnego systemu koedukacyjnego bardzo przewyższają jego strony dodatnie...”

#### Komisja czytelniana przy Ministerstwie Oświaty w Paryżu.

Ministerstwo Oświecenia Publicznego w Paryżu, rozporządzeniem z dnia 5/XI 1929, powołało do życia Komisję dla organizacji czytelnictwa publicznego we Francji<sup>1)</sup> (Commission d'organisation de lecture publique), celem zbadania stanu czytelni publicznych i zaradzenia ewentualnym brakom. Przedewszystkiem jak stwierdza *Temps* z dnia 1/I u. r., Komisja na podstawie badań porównawczych z zagranicą, doszła do przekonania, że Francja w tym względzie ma jeszcze dużo do zrobienia. Ciekawy jest materiał statystyczno-porównawczy z tej dziedziny. Anglja posiada 15.000 centrów bibliotecznych. Budżet bibliotek miejskich w 1926 r. wynosił 152,052.125 franków. Jako przykład charakterystyczny służyć może małe miasteczko w Buckinghamshire, Steeple Claydon, liczące 741 mieszkańców, które ma swój specjalny budżet na biblioteki w wysokości 12.375 frs. t. j. 16.65 frs. na rok, na głowę.

W Szwajcarji budżet samej „Biblioteki dla wszystkich” (Bibliothèque pour tous) scentralizowanej w Bernie, zasilającej książkami miasta i wsi szwajcarskie, wynosił w 1928 roku 705.402 frs.

W Holandji budżet tylko „Openbare Leersal” przewyższa całkowity kredyt bibliotek popularnych Paryża.

W Niemczech inicjatywa prywatna, podtrzymywana przez

<sup>1)</sup> *L'Enseignement public* Nr. 2 z 1930 r.

administracje municypalne i regionalne, odpowiada coraz bardziej wzrastającym potrzebom miejskich bibliotek.

„Journal des Instituteurs” (14/XII 1929), podnosząc konieczność istnienia nowokreowanej organizacji centralnej, stwierdza, że rozporządzając odpowiednimi środkami, miałyby też na celu rozbudzenie zamiłowania do czytania w jak najszerszych sferach ludności.

Może nie będzie zbyt rażącym odstępniem od tematu, gdy tu przytoczymy statystyczną notatkę z pokrewnej dziedziny, przedstawiającą w cyfrach, według „Bibliographie de la France”, produkcję książki w świecie z 1926 i 1927 r.<sup>1)</sup>

|                      | 1926 r. | 1927 r. |
|----------------------|---------|---------|
| Rosja . . . . .      | 36.416  | 36.680  |
| Niemcy. . . . .      | 30.064  | 31.026  |
| Japonja. . . . .     | 20.213  | 19.967  |
| Anglja . . . . .     | 12.799  | 13.810  |
| Francja . . . . .    | 11.095  | 11.922  |
| Stany Zjednoczone. . | 9.925   | 10.153  |
| Polska . . . . .     | 6.339   | 6.888   |
| Włochy. . . . .      | 5.873   | 6.533   |

Polska z 30 milionami ludności zajmuje zaszczytne miejsce między 120-miljonowymi Stanami Zjednoczonymi a 40-miljonowymi Włochami.

<sup>1)</sup> *La Pologne* marzec 1930.

*H. Kownacka.*

## Religia w „filozofji życia“.

Współczesna „filozofja życia“, mimo opozycji i ducha rewolucyjnego, jaki ją ożywia w stosunku do poprzednich kierunków filozoficznych, zaczerpnęła od nich wiele, wykorzystując ich doświadczenia, pod pewnym względem jest próbą nowego syntetycznego ich ujęcia, i dlatego stanowi ciekawy dokument historyczny myśli ludzkiej ubiegłego stulecia, która w niej zawarła swe doświadczenia i zawody, swe nadzieje i dążenia.

Załamanie się racjonalistycznego idealizmu XIX w. napełniło ją nieufnością do rozumu, fiasko materjalizmu i pozytywizmu przestrzegało przed upatrywaniem w materji prapierwiastka rzeczywistości, rozwój zaś nauk przyrodniczych, a przedewszystkiem tak modne hasło ewolucji wskazywało na życie, jako na nowy ideał filozoficzny.

Ono też zostało podniesione do stopnia najwyższej wartości metafizycznej.

Myśl filozoficzna stanęła wobec nowych zadań. Życie bowiem ze względu na swój charakter dynamiczny i ciągle przemiany, jakim podlega, nasuwa pewne trudności poznawcze: jest ono procesem tajemniczym, brzemienne w formy rozwojowe, obejmuje w sobie niejednorodne pierwiastki, a jednocześnie występuje jako organiczna, niepodzielna całość. Taki przedmiot filozoficzny zdawał się przekraczać zdolności poznawcze rozumu, który, stosując analizę, rozkłada rzecz na pojedyńcze, odmienne od całości części, odziera ją z nimbu tajemniczości, usuwa bezpośredniość, czyli, w odniesieniu do życia, pozbawia je tych właściwości, które należą do jego istoty.

Nie rozum więc, lecz instynkt, intuicja i serce uznane zostały za jedynie zdolne do poznania życia i jego wartości<sup>1)</sup>.

W szeregu tych wartości pierwsze miejsce zajmuje religja. Ona nadaje życiu jedność i głębię. Przy ogólnem pomieszeniu i obniżeniu wartości, wobec zmienności i falowania życia konieczna jest religja, jako pierwiastek nadający życiu skalę absolutną i będący niezmienną miarą w stosunku do zmiennych jego przejawów. Jest ona więc twórczą siłą organizacyjną, sumą najwyższych ideałów ludzkich, a zarazem aktywnym pierwiastkiem rozwoju człowieka. W czynie życiowym, w dążeniu do szarmonizowania naszych aktów woli, w tęsknocie za idealną formą życia, w przeczuciu doskonalszej przyszłości — w tem wszystkim tkwią momenty religijne<sup>2)</sup>.

Poglądy religijne poszczególnych przedstawicieli tego kierunku wykazują niemałe zróżnicowanie.

Friedrich Nietzsche († 1900), uważany za ojca filozofji życia, rzucił myśl, która odtąd w różnych warjantach stale się powtarza, że najwyższem dobrem jest życie, a jego istotę stanowi dążenie do potęgi (*Wille zur Macht*)<sup>3)</sup>.

Poznanie, akty woli i uczucia, słowem, każdy przejaw świadomości ma na celu rozwój jestestwa przez spotęgowanie jego siły i opanowanie otoczenia. Temu samemu celowi służy również religja — jest ona sumą celów idealnych, jakie sobie człowiek zakłada, a które sprowadzają się do wytworzenia typu „nadczłowieka“, żyjącego wprawdzie „poza granicami dobra i zła“, ale w którym energie życiowe osiągnęły punkt szczytowy.

Wydobywanie z naszego „ja“ coraz silniejszych akcentów życiowych dokonywa się dzięki egoistycznym instynktom, jakimi są: żądza panowania, okrucieństwo, rozkosz

<sup>1)</sup> A. Messer, *Die Philosophie d. Gegenwart*, wyd. 6. Leipzig 1927, s. 100 n.

<sup>2)</sup> H. Rickert, *Die Philosophie des Lebens*, wyd. 2. Tübingen 1922, s. 6.

<sup>3)</sup> Poglądy filoz. zawarte są głównie w dziełach: „Also sprach Zarathustra“, „Der Wille zur Macht“, „Menschliches Allzu menschliches“, „Morgenröte“.

zmysłowa i t. p. Wrogiem ludzkości jest chrześcijaństwo, ponieważ głosi ideały,<sup>1)</sup> tamujące rozwój życia.

Klasykiem i najbardziej wpływowym przedstawicielem filozofji życia jest dziś Henri Bergson (ur. 1859, prof. w Collège de France).<sup>2)</sup>

Według niego rzeczywistość nie jest bytem statycznym, lecz życiem, które wciąż faluje i przybiera nowe formy.

Nasza świadomość podlega ciągłemu stawaniu się. Każdy jej akt jest brzemienny przeszłością, i może być uważany za wypadkową nie tylko przeżyć teraźniejszych, ale i przeszłych, które przechowały się jako wspomnienia i wywołały dalsze skutki.<sup>3)</sup>

Jak teraźniejszość żyje przeszłością, tak samo obie, przenikając się wzajemnie, wytwarzają przyszłość. Nasze uczucia, myśli i akty woli, przetworzone przez twórcze wolne „ja”, rodzą przyszłość w postaci nowych przeżyć, które znów staną się przyczynami następnych. W ten sposób w każdym akcie życiowym pulsuje pełna energja naszej świadomości, w nim zespala się przyczyna ze skutkiem, dokonuje się nowy akt twórczy i przez niego przepływa wiecznie zmienna fala życiowa, wciąż kształtując i bogacąc naszą osobowość. „Dla istoty świadomej istnieć — znaczy zmieniać się, zmieniać się — znaczy dojrzewać, dojrzewać — znaczy tworzyć nieograniczenie samego siebie”.<sup>4)</sup>

To samo prawo falowania życia i przemiany rządzi światem przedmiotowym, zarówno organicznym, jak nieorganicznym. „Wszelświat trwa... trwanie jest wynalazczością, tworzeniem form, ciągłym wypracowywaniem czegoś bezwzględnie nowego”.<sup>5)</sup> Ruch atomów, życie komórek, nieustanne tworzenie się nowych organizmów, czy ciał martwych, zmienny rytm bytowania, przejawiający się w zamie-

<sup>1)</sup> A. Heussner, *Die philosophischen Weltanschauungen*. Wyd. 6. Göttingen 1921, s. 182.

<sup>2)</sup> *Evolution créatrice*, 1907 (Ewolucja twórcza, przeł. Dr. Znaniński. Warszawa 1913). *Matière et mémoire*, 1898 (tł. polskie, Warszawa 1928); *L'introduction à la métaphysique*, 1903. (Wstęp do metafizyki, przekł. Błeszyńskiego, Kraków 1910).

<sup>3)</sup> Ewolucja, s. 11 (wedł. tłum. polskiego).

<sup>4)</sup> Ib. s. 12.

<sup>5)</sup> Ib. s. 15.

raniu i odżywaniu, w odpływie i przypływie, we wzroście i starzeniu się, — wszystko to jest przejawem dynamiki bytu.

W jaki sposób poznajemy tę wiecznie zmienną i tworzącą się rzeczywistość?

Rozum jest niezdolny dotrzeć do jej istoty, będącej życiem, ponieważ z natury swej nastawiony jest na ujmowanie materji. Jego funkcją bowiem jest myślenie, a struktura myśli jest tego rodzaju, że ona rzeczywistości nie odbija, ale ją przetwarza w celach egoistycznych. Stosując analizę i abstrakcję, rozum zdąża do utworzenia niezmiennych pojęć, które znów zniekształcają rzeczywistość pulsującą życiem, bo ją unieruchamiają i materjalizują. Jak uczony tylko wtedy pozna dokładnie kwiat, jeżeli go rozłoży na części, a jednocześnie pozbawi życia i właściwego mu charakteru, tak samo i rozum rozkłada rzeczywistość na części, odziera ją z życia i zniekształca. Wprawdzie stosowanie przezeń syntezy stwarza nową całość teoretyczną, ale ona nigdy nie odda natury rzeczy.<sup>1)</sup> Dlatego też przedmiotem rozumu jest materia, a jego działalność największe triumfy święci w geometrii i w technice, czyli w dziedzinie materjalnej. „Umysł... kapie się w atmosferze przestrzenności, z którą jest tak samo nierozdzielnie złączony, jak ciało żyjące z powietrzem, którem oddycha.“<sup>2)</sup>

W zetknięciu się z życiem rozum jest bezsilny, ponieważ w swe nieruchome ramy pojęciowe nie może uchwycić wciąż zmiennej i falującej rytmiki życia.<sup>3)</sup> „Życie przedstawia się w swej całości, jako fala olbrzymia, która rozszerza się porzawszy od pewnego ośrodka, a która niemal zatrzymuje się i obraca w ruch wahadłowy na miejscu.“<sup>4)</sup>

W życie wnikamy przez intuicję. Jest ona „uświadomionym i oczyszczonym instynktem“, jest oglądem duchowym, wnikającym w naturę bytu.

Poznanie intuicyjne posiada specyficzny charakter — ono nie zestawia pojedynczych części, lecz obejmuje odrazu

---

<sup>1)</sup> Ewolucja, s. 135;

<sup>2)</sup> Ib. s. 176.

<sup>3)</sup> Ib. s. 140, 143;

<sup>4)</sup> Ib. s. 226, 229.



całość, wglębia się w „duszę przedmiotu“ i jednym rzutem dociera do jego istoty.

Jak swoje własne „ja“ poznajemy intuicyjnie, nie kawałkując poszczególnych aktów świadomości, w taki sam sposób ujmujemy całą rzeczywistość, ponieważ jej istotę stanowi również życie, jako praenergja kosmiczna, zwana przez Bergsona „rozmachem życiowym“ (*élan vital*). Jest ona falą ontyczną, przepływającą przez wszystkie przejawy bytu, a zarazem impulsem, popędem i oddechem życia.<sup>1)</sup> Ten „rozmach życiowy“ utożsamia Bergson z Bogiem: „Wyrażam poprostu tę prawdopodobną tożsamość, gdy mówię o ośrodku, z którego światy tryskają, jak race z olbrzymiego fajerwerku, bylebym tylko nie przedstawił sobie tego ośrodka, jako pewnej rzeczy, lecz jako pewną ciągłość wytrysku. Bóg tak określony nie ma w sobie nic zakończonogo — jest życiem nieprzerwanem, czynem, wolnością“.<sup>2)</sup> Mimo swej zmienności, może być nazwany Absolutem. Jest bowiem wszechwładny, wieczny, jest praprzyczyną wszelkiego bytu, a ogromem swej potencjalnej mocy przerasta wszelką czasowość i względność. Można powiedzieć, że „w Absolutcie jesteśmy, poruszamy się i żyjemy“.<sup>3)</sup>

Uczucie wspólnoty z Absolutem, pojmowanym w formie wszechogarniającego nas życia, jest religją. Polega ona na harmonii człowieka z wszechbytem, na podporządkowaniu się rytmowi życia, na przeżywaniu jego potęgi i na sympatji z jego przejawami.

Jak życie, tak samo i religja nie ma w sobie nic ze stałości — jest zmienna, przybiera nowe formy i podlega ewolucji.

Taka koncepcja Boga i religji zdaje się godzić w osobowość i transcendencję Boga, a temsamem odbiera religji jej najistotniejsze cechy. Innego zdania jest Bergson, twier-

<sup>1)</sup> Ewolucja, s. 214;

<sup>2)</sup> Ib. s. 212; „Trzeba się przyzwyczaić do myślenia o bycie bezpośrednio... wówczas Absolut się objawia bardzo blisko nas i w pewnej mierze w nas samych. Istotą jego jest psychologiczną, nie zaś matematyczną, lub logiczną. Żyje wraz z nami. Jak my, ale pod pewnym względem nieśkończenie bardziej ześrodkowany i skupiony w sobie, Absolut trwa“, s. 253.

<sup>3)</sup> Ib. s. 172.

dząc, że z jego poglądu wyłania się „pojęcie Boga osobowego, obdarzonego potęgą twórczą i wolnością, stwórcy zarówno materji, jak i życia, którego nieprzerwany twórczy wysiłek przejawia się odnośnie do życia przez ewolucję gatunków i wytwarzanie osobowości ludzkich”.<sup>1)</sup>

Kryzys religijny powstał wskutek zintelektualizowania religji. Trzeba ją oprzeć na innych podstawach — na życiu. Świadomość, że jesteśmy przeniknięci taką życiową siłą kosmiczną o twórczych dążnościach, że z niej możemy czerpać naszą moc — wzbudzi w nas wolę do czynu, a wtedy, stając się narzędziem tej siły życiowej, stworzymy wielkie rzeczy.<sup>2)</sup>

Z myślicieli niemieckich najbardziej ideowo zbliżony do Bergsona jest hr. Hermann Keyserling (ur. w 1880 w Kurlandji). Z jego licznych dzieł problemami religijnymi zajmuje się *Dziennik z podróży filozofa* (Das Reisetagebuch eines Philosophen. Darmstadt 1918, wyd. 7 w r. 1930).<sup>3)</sup>

Keyserling uznaje istnienie podwójnej rzeczywistości: materialnej i duchowej. Pierwiastki duchowe leżą u podstaw każdego przejawu bytu, nawet materji. Świat zjawiskowy jest zasłoną, poza którą ukrywa się Absolut, pojmowany jako uosobienie i źródło pierwiastków duchowych, przenikających wszechbyt. Absolut będący pierwiastkiem metafizycznym, można utożsamiać z życiem, które pulsuje we wszechświecie, rozporządza niesłychanymi bogactwami potencjalnymi i wciąż zdąża do coraz doskonalszego wyrażenia swej istoty przez tworzenie nowych form bytowania — zależnie od warunków historycznych, od poziomu kultural-

1) W liście napisanym do O. Tonquédec w r. 1912. (Cyt. według H. Romanowski. *Nowa filozofia*. Lublin 1930, s. 41 n.

2) Por. E. Ott. *Henri Bergson, der Philosoph moderner Religion*. Leipzig 1914, s. 101.

3) Inne prace: *Unsterblichkeit*, 1907, wyd. 3 w r. 1920; *Schöpferische Erkenntnis* 1922; *Die neuentstehende Welt* 1922; *Wiedergeburt* 1927; *Das Spec-trum Europas* 1928. Nadto założona przez niego w r. 1920 „Szkoła Mądrości” (Schule d. Weisheit) w Darmstadzie wydaje corocznie zbiór prac p. t. *Der Leuchter*, z czego tom V jest poświęcony zagadnieniom religijnym, a głównie katolicyzmowi (r. 1924).

nego i religijnego.<sup>1)</sup> Nigdy jednak, nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach Absolut nie dojdzie do wyczerpania swej głębi. „Żadna forma nie jest metafizyczną pełnią istnienia, ona przedstawia tylko jeden z możliwych wyrazów Absolutu — każdy jego przejaw bowiem uwarunkowany jest specyficznymi ograniczeniami“. <sup>2)</sup>

Człowiek jest względnie doskonałym przejawem Absolutu i dlatego posiada nastawienie nadziemskie. „Właściwy cel ducha ludzkiego nie leży w tym... lecz w innym duchowym świecie, do którego z natury rzeczy należymy i w który powinniśmy coraz bardziej duchowo wrastać“. <sup>3)</sup>

Swą przynależność do świata duchowego człowiek zaznacza przez religię, która jest „dążeniem do pogłębienia ludzkiej jaźni przez koncentrację sił uczuciowo-duchowych w kierunku jednego ideału“. <sup>4)</sup> Chodzi więc o skupienie w człowieku największej sumy metafizycznych energii życiowych. Religja jest ich źródłem, a zarazem kanałem, przez który one przepływają. Jej funkcją jest samopoznanie człowieka i dążenie do udoskonalenia. Strona dogmatyczno-historyczna religii posiada podrzędne znaczenie — przez nią we wspólnej formie przejawia się absolutne życie. Każda religja pozytywna zawiera w sobie prawdę, ale niepełną, każda ma w sobie coś dodatniego, czego brak odczuwa druga, choć pod innym względem doskonalsza religja.

Wyższość chrześcijaństwa nad innymi religiami upatruje Keyserling w jego nastawieniu aktywnym. „Chrześcijaństwo nie jest wogóle religją poznania, lecz praktycznego życia i pod tym względem przewyższa inne religie... Idee miłości, człowieczeństwa i miłosierdzia stały się obiektywnymi potęgami i dzięki temu niedoskonale poznawana prarzeczywistość metafizyczna doskonale się przejawia, niż w jakiegokolwiek religii“. <sup>5)</sup>

<sup>1)</sup> „Von allen Fassungen die gegenständlichste scheint mir die meine zu sein, die das Metaphysisch - Wirkliche mit dem Begriff des Lebens identifiziert, denn im Leben allein sehen wir uns je auf den schöpferischen Urgrund zurückgewiesen“. *Das Reisetagebuch*, s. 288.

<sup>2)</sup> Ib. s. 643.

<sup>3)</sup> Ib. s. 631.

<sup>4)</sup> Ib. s. 131.

<sup>5)</sup> Ib. s. 559.

Cele chrześcijaństwa zbiegają się z metafizycznym przeznaczeniem człowieka, który powinien przez czyn rozwijać własne życie, udoskonalać swe siły i bogacić swą jaźń. Jeżeli człowiek działa zgodnie z własną naturą, wówczas staje się religijnym, bo łączy się z Bogiem, uosobionym w metafizycznych siłach życiowych, które pulsują we wszechświecie, a które człowiek ku sobie pociąga i którymi się bogaci.<sup>1)</sup>

Źródłem poznania nie jest rozum, lecz intuicja.

Obok Keyserlinga wpływowym przedstawicielem filozofii życia jest Walter Rathenau (†1922), głoszący intuicjonizm i spirytualizm w duchu Bergsona.<sup>2)</sup>

Według niego u podstaw wszechbytu leżą pierwiastki duchowe i one pociągając ku sobie, nadają naszemu życiu nastawienie ponadempiryczne. Ich istnienie nie da się jednak rozumowo uzasadnić. „To, w co wierzymy i za czym tęsknimy, to, czym żyjemy i w imię czego składamy ofiary — tego rozum nie głosi, tylko uczucie i przeczucie; oświecenie i intuicja prowadzą nas w sferę potęg, które gruntują sens naszego istnienia”.<sup>3)</sup>

Z głębi duszy, z intuicji płynie również religia. Jest ona wiarą w istnienie wartości nadempirycznych i oparciem na nich naszego życia. Ona wskazuje człowiekowi na rzeczywistość transcendentną, wypływa z irracjonalnych władz duszy ludzkiej i dlatego „nie szuka poznania, ... a tylko pragnie pociechy, zbudowania, podniesienia na duszy, przebaczenia i wybawienia”.<sup>4)</sup> Przeżywamy dziś kryzys religijny, ponieważ najgłębsze irracjonalne potrzeby duszy zaspokajamy racjonalistyczną „dogmatyką religijną”. Tymczasem rozum posiada całkiem inne nastawienie, bo zdąża do opanowania świata i wyciągnięcia zeń korzyści — które to cele są religii obce. Wprawdzie strona dogmatyczna nie da się

<sup>1)</sup> R. Grütz'macher. *Kritiker u. Neuschöpfer d. Religion im XX Jahrhundert*. Leipzig 1921, s. 16 n.

<sup>2)</sup> Dzieła: *Von kommenden Dingen* 1917, wyd. 72 w 1924 r.; *Zur Kritik d. Zeit* 1912, wyd. 28 w 1924.; *Zur Mechanik d. Geistes* 1913, wyd. 14 w 1922.

<sup>3)</sup> *Zur Mechanik d. Geistes* wyd. 14, s. 15.

<sup>4)</sup> *Ib.* s. 68.

z religii usunąć, ale należy ją traktować jako rozumowo skonstruowaną symbolikę, noszącą na sobie piętno lokalne i historyczne, symbolikę, poza którą ukrywa się właściwa rzeczywistość metafizyczno-religijna.<sup>1)</sup>

Reforma religijna polega na rozwinięciu pierwiastków irracjonalnych w duszy, bo dzięki nim nawiązujemy stosunek z Bogiem.<sup>2)</sup>

U Keyserlinga i Rathenau silnie podkreślana jest duchowa rzeczywistość transcendentna i na niej budowane jest życie religijne. Bóg osobowy nie występuje wyraźnie, choć nie jest wprost negowany.

We współczesnej filozofii życia spotykamy się jednak z prądami, które, gloryfikując życie doczesne, całkowicie odrzucają Boga i świat ponadziemski.

Typowym przedstawicielem tego kierunku jest Leopold Ziegler (ur. 1881), autor dzieła: *Przeobrażenia bogów* (Gestaltwandel d. Götter, 1920, wyd. 3 w 1922).

Głosi on swoisty ateizm religijny, w którym miejsce Boga ma zająć czyn życiowy, prowadzący człowieka do udoskonalenia.<sup>3)</sup>

Chrześcijaństwo przyjęło zasady religijne z filozofii greckiej, które odpowiednio do nowych warunków życiowych dostosował św. Paweł, a które sprowadzają się do idei winy, odkupienia i ubóstwienia.<sup>4)</sup> Te same idee powinny być nadal zachowane, tylko należy je pozbawić znamion teizmu. Miejsce Boga winien zająć człowiek, a właściwie czyn ludzki (*Menschen tat*), któremu przyświeca potrójny cel — przewinienia i oczyszczenia (*Verschuldung u. Entsühnung*), ofiary i odrodzenia (*Opfer u. Wiedergeburt*), oraz stworzenia i wyzwolenia (*Schöpfung u. Erlösung*).<sup>5)</sup> Religia otrzymuje wówczas inny charakter — nie jest stosunkiem człowieka do Boga, ale czynem ludzkim, jest spotęgowaniem

1) *Zur Mechanik d. Geistes*, s. 217, 219.

2) *Von k. Dingen* wyd. 72, s. 176.

3) Inne dzieła: *Der ewige Buddha* 1922; *Das hl. Reich der Deutschen* 1925; *Der europäische Geist* 1929. O „ateizmie religijnym“ Zieglera pisał u nas Ks. prof. Śawicki w *Przegl. Powszech.* (lipiec 1930, s. 90—103):

4) *Gestaltwandel*, s. 13. 27.

5) *Ib.* s. 513.

życiem, któremu jako cel przyświeca rozwój indywidualności ludzkiej, „radosna woła samoubóstwienia“. <sup>1)</sup>

Droga prowadzi przez trzy etapy. Odczuwamy własną winę, jeżeli wykraczamy przeciwko lepszej części naszego ja, które zdąża do samoubóstwienia. <sup>2)</sup> Oczyszczenia z winy dokonuje się przez ofiarę, która może obejmować nasze dobra doczesne, a może wprost dotyczyć naszego „ja“, domagając się od niego przezwyciężenia własnej miłości, swych pragnień osobistych, a czasem, każe nawet własne życie złożyć w ofierze. <sup>3)</sup>

Odrodzony przez ofiarę człowiek staje się stwórcą, to znaczy zajmuje pozytywną postawę względem świata, afirmuje wszystkie przejawy życia, a siebie ujmuje jako nierozdzieloną część rzeczywistości doczesnej. Wówczas zniknie trapiące człowieka rozdwojenie, człowiek przestanie oglądać się w zaświaty i poczuje w sobie nowe życie. <sup>4)</sup>

Będzie to wybawieniem człowieka dla świata, a nie od świata, jak głosiła dawna religia. „Bezbożny i nieszczęśny świat wyczekuje ludzkiego samoubóstwienia, aby przez nie stać się i być szczęśliwym“. <sup>5)</sup>

Słowem, kult życia doprowadził Ziegler do ostatecznych granic — w imię rozwoju życia zaprzeczył osobowości Boga, przekreślił istnienie świata nadempirycznego i życie doczesne podniósł do stopnia absolutnej wartości metafizycznej.

Obok Zieglera, ateistyczną filozofję życia głosi Georg Simmel († 1918), który problemom religijnym poświęcił wiele prac. <sup>6)</sup>

Według niego dynamika ducha ludzkiego objętywi-  
zuje się w pewnych kategoriach, jak nauka, sztuka, moral-  
ność i t. p., które, acz pochodzące z życia i wypełnione jego

<sup>1)</sup> *Gestaltwandel* s. 507;

<sup>2)</sup> *Ib.* s. 515;

<sup>3)</sup> *Ib.* s. 530. 537;

<sup>4)</sup> *Ib.* s. 645;

<sup>5)</sup> *Ib.* s. 559;

<sup>6)</sup> *Die Religion*, 2 wyd. Frankfurt 1912; *Beiträge zur Erkenntnistheorie d. Religion* (Ztsch. f. Phil. u. phil. Kritik B. 115); *Die Probleme d. Religion* 1911; *Der Konflikt der modernen Kultur*. 3 wyd. München 1926.

treścią, występują jako samoistne rzeczywistości, przeciwstawiające się życiu i nagińające je do swych wymogów.<sup>1)</sup>

Religia jest również jedną z takich kategorii życiowych. Cechuje ją uniwersalizm i transcendencja. Uczucia wiary, ufności, miłości i poświęcenia, jakie się na jej powstanie składają, gdy nabierają niezwyklej siły, wtedy odłączają się od przedmiotów ziemskich, jako nie mogących odpowiedzieć ich napięciu, i grawitują ku rzeczywistości transcendentnej, uosobionej w Bogu. Ponieważ uczucia te są uczuciami społecznymi, przeto punkt ciężkości religii leży w „przedmiotowej postawie“ (*subjektives Verhalten*) człowieka do otoczenia. Terminy tego stosunku mogą być rozmaite: dzieci do rodziców, obywateli do ojczyzny i t. p.. Stosunek taki ma charakter religijny, jeżeli jest nacechowany ofiarnem poświęceniem, połączonem z egoistycznym pożądaniem, oraz pewną zmysłową bezpośredniością z domieszką abstrakcji.<sup>2)</sup>

Religie historyczne wskazują wprowadzić na przedmioty transcendentne, ale w nich obiektywizuje się i absolutyzuje podmiotowa, czysto ludzka funkcja życiowa. Sama religia nosi na sobie charakterystyczne właściwości życia: jest płynna, zmienna i ciągle tworząca nowe wartości na miejsce dawnych.<sup>3)</sup>

Życiem bowiem rządzi t. zw. prawo transcendowania. Życie zawsze szuka swego uprzedmiotowienia, czyli zawsze przyjmuje jakieś formy, ale nigdy się z nimi całkowicie nie pokrywa i nigdy nie zapewnia im trwałego istnienia. Jego rozwój prowadzi nieuchronnie do rozsadzenia dotychczasowych form i zastąpienia ich innemi, które znów po pewnym czasie ulegną temu samemu losowi. Fala życiowa mieści w sobie pierwiastki, które, choć ujęte w określone formy, ustawicznie przelewają się poza nie i muszą doprowadzić do ich rozerwania.<sup>4)</sup>

Temu samemu prawu podlega również religia. Jako wytwór świadomości ludzkiej, a zatem życia, religia tworzy

1) *Die Religion*, s. 8.

2) *Ib.* s. 15. 41.

3) *Beiträge*, s. 12.

4) *Der Konflikt*, wyd. 3 s. 21.

sobie formy w postaci dogmatów, kultu i t. p. Z biegiem czasu, z rozwojem kultury formy te nie mogą się ostać wobec naporu nowych sił życiowych i są usuwane, a na ich miejsce życie wnosi nowe formy, które również będą miały istnienie czasowe.<sup>1)</sup> Kryzys religijny polega na walce pomiędzy życiem, a jego czasowymi formami. Człowiek chce zachować swą religijność, a tymczasem formy, w jakie ona jest ujęta, nie odpowiadają jego potrzebom. Powstaje wówczas rozbieżność pomiędzy formą, a treścią, pomiędzy dotychczasowym łożyskiem, a rozmiarami i siłą jego prądów.<sup>2)</sup>

We francuskiej filozofii religii witalizm religijny tego typu reprezentuje Théodore Flournoy, prof. uniwersyteckiego genewskiego.<sup>3)</sup> I on religię uważa nie za system dogmatów, w które należy wierzyć, lecz za swoistą dyspozycję życiową, umożliwiającą dokonanie się w człowieku procesu organicznego i psychicznego. Jest ona więc przejawem procesu witalnego (*la manifestation d'un processus vitae*) i dlatego ma charakter immanentny.<sup>4)</sup> Jako funkcja witalna (*fonction vitae*) religia jest płynna, nie da się ująć w żadne trwałe ramy w postaci dogmatów i nie wykazuje żadnych znamion, któreby wskazywały na jej transcendencję.<sup>5)</sup>

Filozofia życia wywarła duży wpływ na teologię protestancką tak konserwatywną jak liberalną.

Pod jej natchnieniem powstała t. zw. teologia kryzysu, albo teologia dialektyczna (Barth, Gogarten,

<sup>1)</sup> *Lebensanschauung* wyd. 2. München 1922, s. 12 n.

<sup>2)</sup> Do poglądów Simmela zbliżone są poglądy „religijne” Oswalda Spenglera (ur. 1881). W swym słynnym dziele: *Zmierzch Zachodu* (*Der Untergang d. Abendlandes*, 1918, wyd. 97 w 1925) głosi pesymistyczny ateizm religijny. Religia jest duszą każdej kultury, ta zaś jest swoim jestestwem żyjącym, które rodzi się, rozwija się i umiera. Kultura europejska („Zachód”) już się przeżyła i obecnie znajduje się w okresie upadku, jej los podzieli również religia.

<sup>3)</sup> *Les principes de la psychologie religieuse*, 1903; *Observations de la Psychologie religieuse* 1903; *Une mystique moderne* 1915.

<sup>4)</sup> *Les principes*, s. 45.

<sup>5)</sup> *Ib.* s. 57, 45. — Do poglądów Flournoy zbliżony jest Ramon Fernandez w pracy: *Humanisme et religion* (w pracy zbiorowej „*La renaissance religieuse*” Paris 1928, s. 119—131).



Brunner i inni).<sup>1)</sup> Cechuje ją również nieufność do rozumu i dążenie do oparcia religji na podstawach irracjonalnych, przede wszystkim na życiu. Wychodzi ona z założenia, że pomiędzy Bogiem a człowiekiem leży przepaść, której nie może przekroczyć żaden logiczny akt poznawczy. Po jednej stronie byt względny, a po drugiej Absolut, tu doczesność i przygodność, tam — konieczność i wieczność, choć raczej przeczuwana, niż poznawana; naprzeciw zmysłowości, zjawiskowości i nieodłącznych od tego braków wznosi się niezmienny świat idei.<sup>2)</sup>

Absolutna bezsiła charakteryzuje stosunek poznawczy człowieka do Boga, jeżeli on się rozwija na płaszczyźnie czysto ludzkiej. Ani uzdolnienia logiczne, ani postulaty życia praktycznego, ani uczucie niezdolne jest przebyć drogi, jaka dzieli człowieka od Boga. Ta niewspółmierność jest zasadnicza i żaden postęp ludzki nie zdoła jej usunąć. Nawiązanie z Bogiem jakiegokolwiek kontaktu środkami ludzkimi przypuszczałoby, że pomiędzy człowiekiem a Bogiem zachodzi coś wspólnego. Tymczasem stosunek ten da się wyrazić tylko w formie negacji: Bóg jest wszystkim, czem człowiek nie jest, a znów przymioty ludzkie nie mają w sobie nic boskiego.<sup>3)</sup> Nasze próby poznania Boga prowadzą do śprzeczności i paradoksów, kryjąc w sobie nierozwiązalne antynomje. Najlepiej ograniczyć się do stwierdzenia, że Bóg jest bytem niezbadanym. Wszelkie bliższe określenia nie mogą wyjść poza granicę symbolów i ideogramów i dlatego nie mogą oddać istoty rzeczy. Chcieć do znaków symbolicznych przykładać miarę rozumową znaczyłoby tworzyć fikcje, którym nie odpowiada rzeczywistość.

W religji trzeba zerwać z rozumem, a oprzeć się na intuicji. Bóg przemawia do nas bezpośrednio, i jego słowa wyczuwamy w pulsowaniu otaczającego nas życia i w objawieniu religijnem. Chodzi o to, by duch nasz posiadał na-

<sup>1)</sup> K. Barth, *Der Römerbrief*, 2 wyd. München 1924. Fr. Gogarten, *Die religiöse Entscheidung*, 2 wyd. Jena 1924: *Die Illusionen* 1926; *Glaube u. Wirklichkeit* 1928. E. Brunner, *Erlebnis, Erkenntnis u. Glaube*. 3 wyd. Tübingen 1925.

<sup>2)</sup> K. Barth. *Der Römerbrief*, s. 167.

<sup>3)</sup> Gogarten, *Die Entscheidung*, s. 19 n.

stawienie transcendentne, by usiłował wyjść poza siebie, nie dowierzał własnym siłom, lecz kierował się wyższymi normami. Irracjonalizm, przeżywanie i przyjmowanie objawień Boga, a obok tego pewność w rzeczach wiary wbrew i poza działaniem rozumu — są warunkami życia religijnego.<sup>1)</sup>

Z kół protestantyzmu liberalnego wyszedł Johannes Müller (zwany „Rousseau religijnym“), który nawołuje do oparcia religii na intuicji i na uczuciu, z wyłączeniem rozumu.<sup>2)</sup> Bóg przemawia przez serce i w podświadomości tli się iskra Boża, która tylko przez życie czynne, a nie przez poznanie może być rozżarzona. Świadomość (rozum) nie stanowi bynajmniej istoty człowieka — ona jest tylko powierzchnią naszej duszy, pod którą kryją się głębie rzeczywistości duchowej.<sup>3)</sup>

Filozofja życia jest protestem przeciw przesadnemu intelektualizmowi, jaki zapanował w życiu umysłowym XIX w. pod wpływem kierunków kantowskich i pozytywizmu. Był to zdrowy odruch ducha ludzkiego, który się bronił przeciw zacieśnianiu rzeczywistości do wązkich ram pojęciowych. Życie jest bogatsze, niż jego odbicie pojęciowe, a rzeczywistość jest rozleglejsza i głębsza, niż ta, jaka została odtworzona przez rozum. Pomiedzy poznaniem a jego przedmiotem zachodzi pewna niewspółmierność, która nigdy nie da się całkowicie usunąć. Pewien nimb tajemniczości otacza rzeczywistość przedmiotową — jej wymiary gubią się w nieskończoności, jej związki ontyczne zbiegają się w punkcie, który jest empirycznie nieuchwytny, a jej oddziaływanie na człowieka brzemiennie jest w momenty, które nie zawsze, a przynajmniej nie wszystkie dadzą się rozumowo wy tłumaczyć. Nawet poznanie znanych rzeczy, przy całej swej przedmiotowości, okazuje się niekompletne, bo nie wyczerpuje całkowicie ich treści.

Istnieją pewne dziedziny rzeczywistości, które głęboko wkraczają w życie ludzkie i oddziałują nań, a wobec

<sup>1)</sup> H. Leisegang, *Religionsphilosophie d. Gegenwart*. Berlin 1930, s. 31 n., 75 n.

<sup>2)</sup> *Von den Quellen des Lebens* 1906; Gott 1922.

<sup>3)</sup> H. Frick, *Religiöse Strömungen d. Gegenwart*. Leipzig 1923, s. 64.

których rozum jest ograniczony. Takimi są religja i moralność. Rozum musi je uznać, ale nigdy ich sam nie wytworzy, ani ich nie zmieni, ani ich nawet poznawczo nie wyczerpie.

Zwrócenie się filozofji ku życiu było więc pożądane, bo uwzględniało momenty irracjonalne bytu, które tak silnie zaznaczają się przedewszystkiem w przejawach życiowych.

Wysunięcie życia na pierwszy plan mogło również religji oddać duże usługi. Tajemniczość i potęga życia, kryjące się pod prostymi formami ontycznymi; jego głębie i niezmierzoność przestrzenna przy ograniczoności jego przejawów; jego falowanie i zmienność form obok ciągłego trwania, jako siły kosmicznej; jego potencjalność i niesłychanie bogate zróżnicowanie przy jednolitości pewnych form; jego lokalne i czasowe zanikanie w świecie, a jednocześnie ciągłe budzenie się do bytu; — wszystko to jest symbolem wszechmocy i oddziaływania Boga w świecie, jako tajemniczej wszechożywiającej siły.

Wiadomo też z Objawienia, że pełnia życia jest formą bytowania Boga, że Chrystus nazywał się „życiem i prawdą“ (Jan 14, 6), „chlebem życia“ (Jan 6, 51), że głosił „słowa żywota wiecznego“ (Jan 6, 64) i zadatkem tego życia uczynił łaskę nadprzyrodzoną, otrzymywaną przez sakramenta.<sup>1)</sup>

Również stosunek religijny człowieka do Boga nie może się ograniczyć do poznania, lecz musi pulsować życiem i przejawiać się przez miłość i czyn.

Mimo to życie — w pojęciu filozofji witalistycznej — nie może być źródłem ani formą religji ani nie można go tak jaskrawo przeciwstawiać rozumowi.

Ono bowiem, choć zawiera w sobie bogactwo potencjalnych form ontycznych i może dostarczyć dużo cennego materiału dla religji czy nauki, to przecież użytecznem staje się dopiero od chwili ujęcia go w aktach poznawczych. Co jest poza nami, czy w nas samych, lecz nie znalazło się na polu świadomości, to podmiotowo może być uważane za nieistniejące. Oddziaływanie biologiczne może tylko stwo-

<sup>1)</sup> Por. M. Grabmann, *Die Idee des Lebens in der Theologie d. hl. Thomas v. Aquin*. Paderborn 1922, s. 67 n., 82.

rzyć podatny grunt pod nowe wpływy psychiczne, może dostarczyć materiału do nowych przeżyć, ale na tem kończy się jego rola. Nawet powstałe z podnieć życiowych wrażenia, występujące w świadomości w postaci czuć, nie ujęte jednak w formy pojęciowe, okazują się bezsilne wobec skryształizowanych zasad ideowych, jakie decydują o postawie życiowej człowieka. One wprawdzie napierają na ducha ludzkiego, zmierzają do opanowania go i wprowadzenia doń zmian, ale przy bliższem zetknięciu się przechodzą głęboką ewolucję, bo zmieniają swój charakter ontyczny. Ich oddziaływanie zaczyna się wtedy, gdy przyoblekają się w formy pojęciowe i znajdują się na wspólnej platformie rozumowej z dawnymi zasadami, aby wobec nich zająć wyraźne stanowisko. Słowem, życie biologiczne wyzbywa się swej bezpośredniości, zatracą swój pierwotny charakter i przyobleka się w formy idei. Najbardziej „życiowe“ zjawiska przestają żyć i przyjmują jakieś stałe formy; fala życiowa, która przepływa przez byt, musi „znieruchomić“, wielość i zmienność musi ustąpić miejsca jedności i trwałości, by mogła oddziaływać na dziedzinę duchową człowieka. Bez „gwałtu“ zadanego życiu niema mowy o jego poznaniu.<sup>1)</sup>

Dlatego też żadne pojęcie, żadna nauka, żaden system filozoficzny, czy teoria religijna nie zawiera w sobie życia. Nauka o życiu musi być sama wolna od życia!

Temu samemu procesowi podlegają nasze przeżycia religijne. Ich powstanie, a nawet wywołanie przez nie odpowiedniego nastroju religijnego nie stanowi bynajmniej sprawdzianu ich wartości. Dopiero doszukiwanie się na ich dnie pewnych treści ideowych, ustalenie ich stosunku z naszą ideologią i celami, sharmonizowanie ich z ogólnymi normami życiowymi decyduje o życzliwym, czy niechętnym ustosunkowaniu się do nich naszego „ja“. Wtedy jeden drobny epizod, jakim jest pojedyncze przeżycie, nabiera nowej wartości, bo wrasta w naszą ideologję i decyduje o nastawieniu życiowym. Nadanie mu tego uprawnienia jest już dziełem rozumu.<sup>2)</sup>

<sup>1)</sup> Rickert, dz. c. s. 110; J. Hessen, *Die philosophischen Strömungen d. Gegenwart*. Kempten 1923, s. 97.

<sup>2)</sup> W. Bruhn, *Der Vernunftcharakter d. Religion*. Leipzig 1921, s. 70.

Współdziałanie rozumu jest niemniej konieczne, gdy chodzi o przekazanie innym naszych doświadczeń religijnych. Wszelkie apostołstwo i prozelityzm mogą się dokonać tylko na platformie intelektualnej, choćby nawet punkt ciężkości religji leżał w t. zw. przeżyciach mistycznych, jak to ma miejsce w teozofji.

Taki stosunek rozumu do przeżyć religijnych jest zrozumiały, gdy się zważy, że religja jest życiem ducha ludzkiego, a duch przejawia się przedewszystkiem przez poznanie rozumowe.

Czy „racjonalizując“ w ten sposób życie nie stawia się mu zapór rozwojowych przez stwarzanie sztucznych tworów myślowych, obcych życiu i niedostępnych dla jego wpływów?

Takby można było przypuszczać, gdyby pojemność ducha ludzkiego była bardzo ograniczona i skryształizowane w idee przeżycia wytworzyłyby skostniały, stężały system, niedopuszczający żadnych zmian. Wiadomo jednak, że takie oddziaływanie życiowe istnieje. Do dawnych pojęć przybywają nowe, pod wpływem nowych doświadczeń pogłębia się i rozszerza nasz światopogląd, dokonywa się ciągły przypływ fali życia i ciągłe przenikanie jej prądów do uprzednio wytworzonych i zwartych form życiowych. Nawet dogmaty religijne posiadają takie głębie treści, taką rozpiętość swych granic ideowych, że, choć same niezmiennie, dopuszczają pod wpływem nowych czynników, pewne wzbogacenie swej interpretacji, nowy sposób swego przeżywania, ujawniają nowe, dotychczas niezauważone strony swej rzeczywistości, że przecież w nauce katolickiej mówimy o rozwoju dogmatów.

Nie można więc kopać przepaści pomiędzy życiem a rozumem, ani rozumu usuwać z dziedziny religijnej. Związek pomiędzy nimi jest ściślejszy, niż się wydaje na pierwszy rzut oka.

Nie da się zaprzeczyć, że w pewnych wypadkach działalność rozumu wywołała dla religji skutki ujemne, lecz tego rodzaju następstwa powstały okolicznościowo, a nie z natury rzeczy.

Zresztą, do wykrycia tych „nadużyć“ rozumu dochodzimy... na drodze rozumowej. Filozofja Bergsona, będąca

jednym wielkim oskarżeniem rozumu i głosząca nieufność do niego, jest sama subtelnym tworem myśli rozumowej!

Zwalczając rozum, filozofia życia stawia intuicję na naczelnem miejscu i czyni ją środkiem poznania religijnego i filozoficznego. Intuicja przeciwstawiana bywa zazwyczaj rozumowaniu dyskursywnemu i pojmowana w znaczeniu oglądu, mistycznego wczuwania się, bezpośredniego połączenia z przedmiotem i jego przeżywania.<sup>1)</sup>

Nie ulega wątpliwości, że nasze poznanie umysłowe nie zawsze przechodzi skomplikowane formy rozwiniętego myślenia dyskursywnego, które swój doskonały wyraz znajduje w syllogizmie. Czasem idea przychodzi nagle. Jej powstanie ma w sobie coś z natchnienia — tak wydaje się niewyrozumowana, obca, jakgdyby powstała w nas bez naszego udziału. Wielkie odkrycia naukowe, arcydzieła literatury i sztuki powstają na drodze intuicyjnej, która niedostępna jest dla analitycznego badania rozumowego. Nie znaczy to jednak, by powyższy proces poznawczy odbył się bez udziału myśli, tylko że jego rozwój dokonał się w znacznie szybszym tempie, z pominięciem pośrednich etapów, jakie w swej formie wykończona zwykła przechodzić. Prawdy zdobyte na drodze intuicyjnej są niewykończone, pomieszane z pierwiastkami wyobrażeniami i dlatego domagają się uzupełnienia, kontroli i uzasadnienia przez myśl dyskursywną. Ogląd intuicyjny dopiero wtedy staje się poznaniem, jeżeli znalazł się w sferze oddziaływania rozumu. Inaczej może się stać źródłem błędnych poglądów.<sup>2)</sup> Dowodzenie przychodzi zazwyczaj *ex post*, ono prawdę uzasadnia, oczyszcza, grupuje, broni przed ewentualnymi zarzutami i, choć nie tworzy

<sup>1)</sup> A. Lalande określa intuicję: „vue directe et immédiate d'un objet de pensée actuellement présent à l'esprit et saisi dans sa réalité individuelle”. *Vocabulaire technique et critique de la philosophie*. Paris 1926, I, 401. R. Müller-Freienfels: „Intuition ist unmittelbare, nicht durch Erfahrung oder Schlüsse vermittelte Erfassung des Wesens einer Sache, oder eines Verfahrens; unmittelbare Einsicht in eine Wahrheit, in den Wert einer Sache, in eine Relation”. *Eislers Handwörterbuch d. philos. Begriffe*. Berlin 1922, s. 315.

<sup>2)</sup> „Wir können in der Tat feststellen dass die ausgedehnte Verwendung der intuitiven Anschauungen, gefühlsmässigen Demonstrationen, mystischen Erlebnisse immer auf Kosten des wissenschaftlichen Wertes,

treści, jest jednak czynnikiem, nadającym jej wartość poznawczą.

Budowanie więc religii na intuicji w przeciwieństwie do rozumu wykracza przeciw prawom psychologicznym, grozi wypaczeniem życia religijnego, bo przesunięciem go na tory niezdrowego mistycyzmu, po za którym kryje się pustka ideowa.

Niemniejsze trudności ze stanowiska filozoficzno-religijnego nasuwa podniesienie życia do stopnia najwyższej wartości.

Stosunek człowieka do życia bynajmniej nie cechuje ten wysoki pietyzm, jaki się rodzi pod wpływem zetknięcia się ducha ludzkiego z najwyższymi wartościami. Przeciwnie, świadomość pewnej wyższości i uprawnień wobec życia zaznaczamy na każdym kroku.

Z pośród różnorodnych przejawów życiowych najbliższe i najcenniejsze jest dla człowieka jego własne życie — przedmiot jego ustawicznej troski, źródło szczęścia i cel udoskonalenia. Ale i ono jest traktowane jako środek i poddawane dalekosięgającym przekształceniom i zmianom — jedno jego przejawy są rozwijane, inne tamowane w rozwoju, a jeszcze inne całkowicie usuwane. Życie podporządkowane jest wyższemu celom, które bezpośrednio z niego nie wyrastają, lecz zdają się przychodzić z zewnątrz, i wtłaczane jest w formy, które mają inną wyższą genezę. Nie da się wprost pomyśleć, by najwyższe wartości mogły podlegać tego rodzaju procesowi przetwórczemu.

Nadto, religia oparta na kulcie życia nie posiada dwóch najistotniejszych przymiotów, a mianowicie autonomizmu i zdolności kształtowania życia ludzkiego.

Mimo tylu związków, łączących człowieka z rzeczywistością doczesną i warunkujących jego istnienie i rozwój, człowiek nie czuje się z tem życiem pogodzony, nie zatapia się w niem, ani się z niem nie utożsamia, lecz w poczuciu

---

der strengen Gültigkeit und der präzisen Eindeutigkeit geht... Die Worte erhalten oft einen mehrdeutigen symbolischen Sinn, die scharfen wissenschaftlichen Rahmen und Grenzen verschwimmen und alles wird durch eine mystische Unklarheit bedeckt“. J. S a m o g y i, *Das Problem d. intuitiven Erkenntnis*. (Phil. perennis. Regensburg 1930, II, 699.

swej wyższości przeciwstawia się mu, usiłuje zachować odrębność, autonomizm i szuka wyższej pomocy. Takiej pomocy dostarcza religja, dając mu środki nadprzyrodzone, każąc przewycięzać teraźniejszość i skierowując go ku rzeczywistości transcendentnej. To stawia człowieka w pewnej opozycji do życia.

Ostra linja demarkacyjna, jaką kiedyś przeprowadził Chrystus pomiędzy sobą a światem, da się w pewnym stopniu odnieść do każdej religji, bo należy do jej istoty. Religja jest przecieź wskaźnikiem przynależności człowieka do świata transcendentnego, źródłem wyższych ponadżyciowych energii, a tem samem nową, wyższą formą, niż ta, jaką z sobą niesie teraźniejszość doczesna. Ona ma kształtować życie ludzkie według wyższych niezmiennych norm. W „filozofji życia“ religja zatracą ten charakter i staje się jednym z przejawów czy „falowań“ wiecznie zmiennego życia. Nie ona kształtuje, ale sama jest urabiana przez kosmiczną potęgę życiową i jako taka nie może być nawet narówni stawiana z życiem, jak część nie może się równać z całością, ani strumyk czy jeden prąd z falą rzeki.<sup>1)</sup>

O transcendencji takiej religji nie może być mowy, a przecieź to jest jej istotną cechą.

Wrastamy w świat transcendentny, i, znajdując się na przełęczy dwóch światów, w aktach religijnych zaznaczamy swój stosunek do porządku nadzmysłowego, podobnie jak przez akty życiowe — swą przynależność do świata empirycznego. Odwrócenie tego stosunku, czy też zacieśnienie go do sfery immanentnej byłoby gwałtem, zadaniem naturze ludzkiej.

Co więcej, niwelacja religji z życiem pociąga za sobą przekreślenie, albo przynajmniej przesunięcie na dalszy plan i nadanie tylko symbolicznego znaczenia zasadniczym pojęciom religijnym, jak osobowości Boga, Opatrzności i t. p. Byłyby one tylko antropomorfizacją sił życiowych, pulsują-

---

<sup>1)</sup> Wyjątek pod tym względem stanowi „teologja kryzysu“, która przyjmuje przedmiotowe istnienie świata nadzmysłowego, uznaje dogmaty pozytywne, a tylko odmawia rozumowi zdolności poznania tej sfery transcendentnej. Zamiast rozumu występuje Objawienie ze strony Boga, a intuicja ze strony człowieka.



cych we wszechświecie, czyli uprzedmiotowieniem i personifikacją nieokreślonej w sobie funkcji życiowej.

Mętna symbolika i nieokreślone bliżej pojęcia mają zastąpić dogmaty, które stanowiły istotną treść religii pozytywnej.

Lecz takie „ideały“ nie przyczynią się do ożywienia życia religijnego. One mogą tylko zrodzić niezdrowy mistycyzm i wytworzyć poglądy panteistyczne, które jednak nie wzbudzą tych żywych uczuć oddania, poświęcenia i ofiary, jakie widzimy w życiu religijnem, i nie zaspokoją najgłębszych potrzeb duszy — jej głodu za Absolutem.

*Ks. Dr. Józef Pastuszka.*

# Wojna chemiczna.

---

## I.

Od wieków ludy chrześcijańskie zwracają się z błagalną modlitwą przed ołtarze: „od powietrza, głodu i wojny zachowaj nas, Panie“, z głęboką wiarą, że są to trzy największe klęski ogólne, jakie je w tem życiu dotykać mogą. Zaraza, głód, wojna. Przed temi klęskami bronią się i chronią społeczeństwa ludzkie, jak umieją. Ale jeżeli porównać te trzy wielkie nieszczęścia społeczne i rozmiary wywoływanego przez nie zniszczenia, nie trudno dostrzec, że z biegiem czasu wiedza, osiągnięta wysiłkiem licznych pokoleń, nauczyła ludzkość zwalczać i unikać wielu chorób, które już przestały być groźne, że glebę żywiącą nas uprawiamy coraz lepiej i dlatego klęska głodu jest mniej straszna, że zato trzecia klęska, wojna, staje się coraz okrutniejsza i krwawsza. Wojna jest obecnie największem nieszczęściem z tych trzech klęsk społecznych, dwie inne, głód i zaraza, zwykle z wojny się rodzą, wojnie towarzyszą i są znacznie łatwiejsze do usunięcia.

Wojna obecna, w odróżnieniu od dawniejszych, rozciąga się na coraz to szersze koła ludności. W wojnie ostatniej walczyły i cierpiały nie armje i wojska, ale narody jako całość. Rozwój nauki, przemysłu i techniki, co tak dumnie nazywamy cywilizacją, która nauczyła ludzkość leczyć ciężkie choroby, zdobywać bogactwa i plony, nadała równocześnie wojnie charakter bardziej okrutny i niszczycielski. Niezwykle udoskonalona broń palna doprowadziła do stanu, że człowiek musiał schronić się przed szybkością i nośnością nowoczesnego pocisku pod ziemię i tam tylko znajdował

chwile względnego bezpieczeństwa. Pamiętamy z wojny niedawnej okres, gdy armje walczące na frontach zakopały się w ziemię i taki zastygły front okopów stał nieporuszony miesiącami.

W tym okresie wojny okopowej jedna ze stron walczących spróbowała zastosować na większą skalę środki walki chemicznej, t. j. trucizny, zabijając lub zatruwając żywe organizmy, w przypuszczeniu, że w ten sposób osiągnie i unieszkodliwi ukrytego w okopach niedostrzegalnego przeciwnika. Sam pomysł takiej wojny chemicznej nie był nowy. Ludzkość liczyła się z tą możliwością. Podobne propozycje były czynione podczas wojny krymskiej przy oblężeniu Sewastopola, lecz miarodajne sfery wojskowe angielskie odrzuciły je i nakazały zniszczyć wszelkie akta w tej sprawie, „gdyż byłyby one hańbą dla ludzkości“.

Możliwości wojny chemicznej były omawiane na konferencjach międzynarodowych. W 1899 r. konferencja międzynarodowa zebrana w Hadze uchwaliła protokół, który w § 23 zabrania „używania w wojnie trucizn i broni zatrutej“. Protokół ten był przyjęty i ratyfikowany przez W. Brytanię, Austrię, Francję, Niemcy, Rosję i Włochy. Nie był natomiast podpisany przez St. Zjednoczone. Następny kongres międzynarodowy dla spraw rozbrojenia, odbyty w 1907 r. również w Hadze, przyjął bez zmian uchwały i postanowienia kongresu poprzedniego. St. Zjednoczone do uchwał nie przyłączyły się znowu.

Powyższe postanowienia obu konferencji w Hadze obowiązywały z chwilą wybuchu ostatniej wojny, dlatego zdawało się wszystkim sprzymierzonym, że groźba użycia trucizn nie istnieje. Dopiero dnia 22 kwietnia 1915 r. świat został zaskoczony wieścią, że Niemcy wypuścili pod Ypres na okopy sprzymierzonych falę gazu trującego, od którego zginęła cała dywizja francuska, bezbronna i nieprzygotowana wobec takiego ataku. Ten oto atak gazowy, jak go nazwali Niemcy, pierwszy atak chemiczny, który „miał powodzenie“, gdyż pono inne, urządzone przedtem przez sprzymierzonych nie udawały się, stał się początkiem wojny chemicznej, organizowanej już teraz otwarcie i oficjalnie przez wszystkie strony walczące. Była to wojna przy pomocy

środków trujących, duszących, łzawiąco-oślepiających, żrąco-parzących, krztuszących, zapalających i t. p., która nie została zawieszona aż do kapitulacji państw centralnych.

Po skończonej wojnie wszechświatowej walka chemiczna została ponownie kilkakrotnie potępiona i zakazana. Przedewszystkiem traktat wersalski w §§ 171 i 172 zabrania kategorycznie Niemcom stosowania i czynienia jakichkolwiek prób ze środkami walki chemicznej. W 1922 r. zebrana była w Waszyngtonie konferencja pięciu mocarstw, która na wniosek St. Zjednoczonych przyjęła uchwałę, brzmiącą w skróceniu następująco: „Użycie podczas wojny gazów duszących, trujących i działających podobnie płynów, materiałów i środków pokrewnych, zostało słusznie i powszechnie potępione w opinii świata cywilizowanego; zakaz użycia tych sposobów walki jest sformułowany w traktatach i umowach, które podpisała większość państw cywilizowanych. Państwa podpisane uznają raz jeszcze, że uważają te zakazy za obowiązujące dla siebie i zapraszają wszystkie narody cywilizowane do przyłączenia się do tej uchwały“.

Potem odbywały się jeszcze konferencje w sprawach rozbrojenia, na których zasiadali również w charakterze strony równouprawnionej Niemcy, gdzie zostało znowu jednogłośnie uchwalone postanowienie zakazu wojny chemicznej i bakterjologicznej.

Tak oto w chwili obecnej wygląda stan prawny co do stosowania w przyszłości środków walki chemicznej. Widzieliśmy, że zakazy zupełnie jasne i nie dwuznaczne uchwalane były w drodze porozumienia międzynarodowego jeszcze przed wojną. Ale, czy ogólne potępienie wojny chemicznej stwarza zupełną pewność, że przyszły wróg nie użyje tych środków walki? Sądzę, że żadne z państw podpisanych na powyższych zakazach, wobec doświadczeń ostatniej wojny, tej ufności nie posiada. Kongresy pracujące na rzecz pokoju mogą uchwaląć i wydawać zakazy zmierzające, jeżeli nie do uniemożliwienia wogóle wojny, to do uczynienia jej możliwie najłagodniejszą. Ale inaczej muszą się na te sprawy zapastrywać ludzie, których zadaniem jest przygotowanie obrony kraju swego w przyszłej wojnie. Ci nie mogą zaufać moralnym zakazom użycia broni chemicznej. Wojna

jest bowiem zawsze napadem i obroną, napastnik wogóle praw i umów nie szanuje, broniący się powinien użyć wszystkich środków, aby się przed napastnikiem obronić.

Więc też, pomimo jasnych uchwał, postanowień i zobowiązań międzynarodowych w sprawach wojny chemicznej liczą się z nią wszędzie. W wojskach pojawił się typ dawniej nieznanego oficera gazowego w żołnierskim rynsztunku, mamy maskę przeciwgazową, utworzono naukowe instytuty badawcze w celu poznawania metod i środków walki chemicznej i sposobów obrony przed tą nową bronią.

## II.

Wiemy już, że dniem rzeczywistego rozpoczęcia wojny chemicznej był 22 kwietnia 1915 r., w którym Niemcy wykonali t. zw. atak falowy gazu. Ten sposób walki chemicznej polegał na zgromadzeniu w pierwszej linii swych okopów wielkiej ilości stalowych butli z ciekłym chlorem, do którego potem domieszowano inne, silniejsze trucizny. Butle te otwierano równocześnie przy sprzyjającym wietrze i pogodzie, powstającą falę gazu pędził wiatr na okopy przeciwnika.

We wspomnianym dniu wypuszczono w ciągu pięciu minut, na przestrzeni około 6 km, 280 ton chloru. Powstała chmura wzniosła się początkowo na wysokość wzrostu człowieka, potem coraz wyżej, posuwając się w stronę stanowisk sprzymierzonych. Równocześnie dostrzeżono drugą falę białej mgły; uczeni francuscy i angielscy przypuszczali, że była to druga fala gazu trującego, tymczasem była to, jak się później przekonano, wilgoć z powietrza oziębionego przez wypuszczenie skroplonego chloru, która później opadła na ziemi w postaci szronu. Wojska sprzymierzone patrzyły ze swych okopów z zaciekawieniem na zbliżającą się falę gazu, aby po chwili paść na ziemię w walce z gwałtownym kaszlem i śmiertelnem duszeniem. Straty ich, przy tym pierwszym ataku gazowo-falowym, wyniosły 15.000 zatrutych żołnierzy, z tego  $\frac{1}{3}$  śmiertelnie. Niemcy wzięli 2470 jeńców i 47 armat, ale na tem ich korzyści się ograniczyły. Taktycznych nie odnieśli prawie żadnych, gdyż naczelne dowództwo niemieckie nie spodziewało się większego skutku

i pierwszy atak gazowy uważało za doświadczenie, nie przygotowując żadnych rezerw w odwodzie do późniejszego ataku. W rzeczywistości front sprzymierzonych był przerwany i zdezorganizowany na znacznej przestrzeni w głąb.

Atak powyższy rozpoczął pierwszy okres wojny chemicznej, który można nazwać okresem wojny falowej. Początkowe jej skutki były bardzo dotkliwe dla walczących, późniejsze prawie żadne. Sprzymierzeni w ciągu kilkunastu dni zaopatrzyli armje w prymitywne maski flanelowe, przeponione roztworem antychloru, które chroniły przez pewien czas doskonale.

Ataki gazowo-falowe chloru, do którego bywały domieszane inne, silniejsze trucizny, stosowały obie strony walczące często i przez czas dłuższy. Jednakże wobec udoskonalenia maski przeciwgazowej, wobec czujności przeciwnika i przede wszystkim wobec trudności zorganizowania ataku falowego, który wymagał przywiezienia wielu ton butli stalowych z gazami do pierwszej linii okopów i wyczekiwania na sprzyjający wiatr, co zwykle było wcześniej odkryte przez wywiad, ataków falowych gazu w 1917 r. zaniechano całkowicie i zaczęto wojnę chemiczną w inny sposób.

Przez angielskiego oficera Livensa zostały zbudowane specjalne miotacze gazowe, nazwane od imienia wynalazcy miotaczami Livensa. Były to rury stalowe zamknięte z jednej strony, które ustawione na podstawach i wkopane w ziemię, stanowiły baterję, która zapalona przez prąd elektryczny, wyrzucała równocześnie wielką ilość pocisków zbiorników gazu, o pojemności 12—15 l każdy, wypełnionych bardzo silnymi truciznami. Miotacze Livensa koncentrowały swój ogień na jedno, zawsze upatrzone miejsce i wytwarzały, padając i pękając w tem miejscu, obłok gazu trującego o bardzo wysokiem stężeniu.

Miotacze Livensa rozpoczęły drugi okres wojny gazowej. Zorganizowanie ataku miotaczy było prędkie, wystarczało kilka godzin. Można było wroga zaskoczyć i atakować w pożądanem miejscu, wytwarzając obłok o tak silnem stężeniu, że zabijał w ciągu kilkunastu sekund. Opóźnienie we włożeniu maski przeciwgazowej groziło śmiercią, poza tem stężenie gazu trującego w miejscu zaatakowanym było

tak duże, że następowało często uduszenie na skutek braku tlenu, czyli maska już nie mogła uchronić.

Prawie równocześnie z wojną chemiczną została wciągnięta artylerja. O ile atak falowy szedł tam, gdzie go niósł wiatr, zaś atak miotaczami Livensa sięgał najwyżej 3 km wgląb frontu nieprzyjacielskiego, gazowe pociski artylerji niezależnie od warunków atmosferycznych sięgały na kilkanaście kilometrów. Artylerja przyjęła pociski chemiczne bardzo chętnie i żądała ich w coraz to większej ilości. Niebawem wytworzyła się specjalna taktyka ognia artyleryjskiego, odpowiednio do charakteru fizyko-chemicznego i fizjologicznego trucizny zawartej w pocisku. Do ataku falowego używano przeważnie gazowego chloru, do miotaczy Livensa głównie fosgenu i trucizn bardzo lotnych, aby obłok gazowy utworzył się jak najprędzej po rozerwaniu zbiornika. Natomiast w pociskach artylerji, były używane trucizny trzech rodzajów. W Niemczech te pociski były oznaczane kolorowymi krzyżami.

Zielony krzyż — zawierał trucizny bardzo lotne i silnie trujące. Ładunek materiału wybuchowego był bardzo mały i służył tylko do otworzenia skorupy pocisku, po czem zawartość jego niezwłocznie parowała. W tych pociskach używano trucizn gwałtownie działających, np. fosgenu. Trucizny te parowały szybko, lecz równie szybko rozprzasały się na skutek swej lotności i teren ostrzelany takimi pociskami był szybko wolny od trucizny. Tych pocisków używano przed atakami własnych oddziałów.

Niebieski krzyż — zawierał trucizny mniej lotne, przeważnie ciała stałe o działaniu drażniącym. Ładunek materiału wybuchowego był nieco większy i związek trujący po wybuchu pocisku tworzył rozpylony tuman pyłku unoszący się w powietrzu. Niezmiernie drobny pyłek trucizny przenikał przez pochłaniacz maski przeciwgazowej, drażnił krtań, pobudzał do kaszlu, krztuszenia i kichania, przez co często żołnierz był zmuszony do zdjęcia maski. Wtedy był zgubiony, zwykle bowiem teren był również zatruty przez pociski zielonego krzyża, zabijające momentalnie.

Żółty krzyż — zawierał preparat specjalny, żółtawy gęsty płyn, który został nazwany olejem musztardowym albo

iperytem. Działanie fizjologiczne tej trucizny jest zupełnie inne od opisanych. Ten lepki, nielotny prawie w zwykłych warunkach fizycznych płyn, jest niezmiernie groźny z tego względu, że będąc trucizną każdej żywej komórki, atakuje nie tylko drogi oddechowe, lecz całe ciało ludzkie, powodując po pewnym czasie ciężkie i trudne do zagojenia oparzeliny, rany i komplikacje złośliwe w całym organizmie. Jest to związek trwały. Teren ostrzelany pociskami iperytowymi staje się na dłuższy przeciąg czasu niedostępny; trzeba na nim iperyt zniszczyć przy pomocy wapna chlorowanego, ludzie muszą mieć specjalne ubrania ochronne gumowane.

Zakażenia iperytowe udzielały się żołnierzom przez dotknięcie, przedmioty rynsztunku i odzieży stawały się źródłem zakażenia iperytowego.

Pierwsze ostrzelanie pociskami iperytowymi miało miejsce w nocy z 12 na 13 lipca 1917 r. Była to nowa niespodzianka i nowy okres wojny chemicznej. Żołnierze przyzwyczajeni do pocisków trujących momentalnie i drażniących, widząc, że nowy preparat na razie nie szkodzi, zlekceważyli go i zaniechali niezbędnych ostrożności. Toteż, w ciągu pierwszych trzech tygodni po tej nocy z samych angielskich szeregów ubyło około 17.000 ludzi zakażonych iperytem, z czego 500 śmiertelnie.

Podobną klasyfikację chemicznych pocisków artyleryjskich zaprowadzili u siebie sprzymierzeni. Artylerja używała ich do różnych celów taktycznych. Jeżeli chodziło o przejściowe zatrucie terenu przed atakiem własnej piechoty, używano naprzemian pocisków niebieskiego i zielonego krzyża, o ile chodziło o uczynienie pewnego terenu niedostępnym na dłuższy czas, nawet do 14 dni, ostrzeliwano go pociskami żółtego krzyża. Temi pociskami ostrzeliwane były tyły przeciwnika i drogi zafrontowe, dla utrudnienia i nawet zahamowania dowozu materiału i przemarszów. Zaraza iperytowa szerzyła się niezmiernie w tych warunkach.

Można przypuszczać, że i na przyszłość ten podział taktyczny środków walki chemicznej, wynikający z ich charakteru i właściwości fizjologicznych, fizycznych i chemicznych — zostanie zachowany. Tylko licząc się ze stale



obserwowanym faktem, że każdy wynalazek ulega z biegiem czasu udoskonaleniu, nie można wątpić, że w przyszłej wojnie użyje się środków i sposobów doskonalszych. Synteza chemiczna przyniesie nowe odkrycia środków walki, pole działania syntetycznego jest nieograniczone. W tej dziedzinie kryje się największa i najgroźniejsza tajemnica przyszłej wojny chemicznej. Odkrycie trucizny silniejszej od fosgenu, środka żrąco-parzącego, przewyższającego iperyt — to są zagadnienia zupełnie prawdopodobne i możliwe. Strona, która takie preparaty otrzyma i zastosuje pierwsza, uzyskuje w pierwszych dniach olbrzymią przewagę nad przeciwnikiem, którą opłaca on dziesiątkami tysięcy ofiar ludzkich. Takimi niespodziankami nieoczekiwanem był pierwszy atak falowy niemiecki w 1915 r., potem atak artyleryjski iperytowy w 1917 r. Ze strony sprzymierzonych odpowiedzią był atak miotaczami Livensa. Każda z tych nowych form walki chemicznej pociągała wielkie ofiary u przeciwnika, dopóki nie nauczył się jej zwalczać, szkolić żołnierzy, udoskonalając maskę przeciwgazową i ochronę zbiorową wojska.

Przyszłą wojnę chemiczną przygotowuje w swojej pracowni chemik taksamo, jak oficer szkolący żołnierzy w koszarach. Czy zakazy i protokoły międzynarodowe mogą temu zaradzić?

### III.

Po ukończonej wielkiej wojnie powstała o walce chemicznej bogata literatura w różnych językach, omawiająca zagadnienia z nią związane z różnych punktów widzenia. Do pierwszych umów międzynarodowych, zabraniających stosowania trucizn, nie przyłączyły się, jak wspomniałem, St. Zjednoczone. Szef amerykańskiej wojskowej służby chemicznej, generał Fries, pisze o tej sprawie w swej książce p. t. „Chemical Warfare“, następująco: „Gdyby można było w drodze porozumienia międzynarodowego osiągnąć wyłączenie z wojny tak potężnego środka walki jak broń chemiczna, to równie dobrze możnaby w drodze takiegoż porozumienia uniknąć wogóle wojen. Zarzuty, że jest to broń niehumanitarna i barbarzyńska były zawsze podnoszone przy każdej nowej broni, również przy wprowadzeniu broni palnej,

gdyż wówczas za broń rycerską i szlachetną uważano tylko miecz i kopję“.

„Wprowadzenie chemicznych środków walki nie zmieniło zasad i praw wojny, pisze dalej gen. Fries. Sztuka powodzenia wojennego polega nadal na zgromadzeniu przeważającej siły w decydującem miejscu i w decydującej chwili. Tylko pod mianem „siły“ nie można rozumieć teraz masy ludzkiej, lecz trzeba je uważać za zbiornik energii, na który prócz liczebności wojsk składa się ich nastrój i męstwo, zaopatrzenie w materiał wojenny, oraz zdolności przewidywania wodza. W tym zbiorniku energii nie może zabraknąć środków walki chemicznej, gdyż strona, która niemi rozporządza i przechowuje w gotowości, ma olbrzymią przewagę“.

„Wojna przy pomocy środków chemicznych jest równie dobrym sposobem walki, jak wojna przy pomocy materiałów wybuchowych. My, Amerykanie, jesteśmy sportsmenami, nie dążymy do przemocy nad nikim. Chcemy tylko, na wypadek, być uzbrojeni jak i inni; środków chemicznych użyjemy w przyszłej wojnie przeciw narodowi rozbójniczemu i to w jak najszerszym zakresie. Ale nasze przygotowania służą tylko dla obrony przed napastnikiem i tego prawa nikt nam odmówić nie może. Będziemy używali gazów w przyszłej wojnie, bo każdy środek jest humanitarny, o ile prowadzi do skrócenia wojny; historia nie zna wypadku, aby broń wypróbowana i uznana za skuteczną nie była użyta w potrzebie“.

Stanowisko generała amerykańskiego jest jasne. Traktuje on sprawę bez obstępów, ale zastrzega się, że obywatele St. Zjednoczonych użyją tej broni tylko przeciw napastnikowi. Posłuchajmy teraz, co mówią nasi sąsiedzi, najpierw Niemcy, którym traktat wersalski zabronił czynić przygotowań do wojny chemicznej.

Profesor uniwersytetu we Wrocławiu dr J. Mayer pisze w swej obszernej książce p. t. „Der Gaskampf“:

„Wrogowie narodu niemieckiego poznali i, chociaż niechętnie, jednak przyznać musieli, że chemiczne środki walki w rękach niemieckiej armii były bronią nie do zwalczania. Dlatego to użyli oni pierwszej sposobności, aby Niemcom tę broń na zawsze z rąk wytrącić. W uznaniu własnej nie-

mocy na konferencji w Waszyngtonie, państwa pozornie zrzekły się używania w przyszłości środków walki chemicznej. Tylko że żaden naród poza Niemcami i ich sprzymierzeńcami o te uchwały się nie troszczy. Pomimo postanowień waszyngtońskich, gadatliwych wysiłków (schwätzigen Bemühungen) Ligi Narodów i jej mniej lub więcej uczciwych zwolenników, wszyscy organizują u siebie służbę wojskowo chemiczną, instytuty badawcze i przemysł środków walki chemicznej. Przygotowuje się do niej każdy, jak umie i może. Sowiety stworzyły Aviochim, St. Zjednoczone zbudowały arsenał broni chemicznej w Edgewood, potrzebę znajomości walki chemicznej uznała Japonja, Chiny, a że Francja i zależne od niej państwa, jak Polska i Czechosłowacja, nie zaniedbują spraw wojny chemicznej, jest samo przez się zrozumiałe.

Poglądy niemieckiego profesora na kwestję winy rozpoczęcia wojny gazowej i na jej stronę humanitarną nie są trudne do przewidzenia. Twierdzi on wprost, że Francja jeszcze przed wojną przygotowała środki walki chemicznej, i że pierwsza przełamała uchwały haagskie. „Wojny, pisze dr. Mayer, będą na ziemi tak długo, dopóki będzie na niej życie. Życie jest bowiem związane z wojną nierozłącznie; wojna jest składnikiem porządku świata, zmieniać się mogą tylko formy wojny. Uprawnioną i uczciwą bronią jest każda, która stoi także do dyspozycji przeciwnika i przeciw której, używając odpowiednich środków, może się on bronić“.

„Jeżeli armja niemiecka miała decydujące (?) powodzenie w walce i obronie gazowej, świadczy to tylko o jej „duchowej wyższości“, z moralnością i obyczajnością natomiast nic wspólnego niema. Czy wojna gazowa przyprawia o specjalne męki lub kalectwa? Wręcz przeciwnie, i ci, którzy przeżyli ją na polu walki, przyznają, że nie jest ona straszniejsza od widoku ran zadawanych przez broń palną i białą. Skutki jej późniejsze są bez porównania łżejsze, dlatego też ta broń zbliża się najbardziej do ideału broni, który powinien obezwładnić i usunąć przeciwnika z pola walki, ale go nie zabijać. Gazy, kończy autor, nie są bronią niemoralną, wręcz odwrotnie, są bardziej ludzkie niż wszystkie inne. Dotychczasowe uchwały międzynarodowe w tej kwestji były

błędne i należy je zmienić. Broń chemiczna jest bronią przyszłości, należy się wdzięczność chemikom niemieckim za ich ciężkie i niebezpieczne badania, które tę broń stworzyły, co pozwoliło armii niemieckiej opierać się tak długo dzikim szturmom całego świata wrogów“.

Dwaj inni chemicy niemieccy, Hanslian i Bergendorf w książce p. t. „Der chemische Krieg“ piszą w zakończeniu: „Broń chemiczna daje narodom bardziej wykształconym i technicznie wyżej stojącym w ręce broń skuteczniejszą i dlatego państwowi najwyżej postawionym w nauce i technice zapewni światowe znaczenie, a może nawet panowanie nad światem“.

Znamienny dwugłos niemieckich chemików, przytoczony powyżej, jest właśnie charakterystyczny dla narodu napastliwego, przed którym ostrzegał gen. Fries w swej książce; narodu, który przy pomocy techniki i siły, nie wahając się przed użyciem trucizn, dążył do „panowania nad światem“. Nic ich to widać nie nauczyło, że tą bronią, którą, jak pisze prof. Mayer, badania niemieckich chemików „stworzyły“, zostali w wielkiej wojnie pobici. Jakby odpowiedzią na zamysły niemieckie jest książka angielskiego majora Lefebure, *The Riddle of the Rhin*,<sup>1)</sup> będąca apelem do rządu i społeczeństwa angielskiego, aby nie zaniedbywał spraw przygotowania do walki i obrony przeciwgazowej, gdyż nad Renem, pomimo pozornej ciszy i rozbrojenia, czai się wielkie niebezpieczeństwo w zgrupowanych tam fabrykach chemicznych, które obmyślają i przygotowują niespodzianki przyszłej wojny chemicznej i stanowią dzisiaj istotną „zagadkę Renu“.

Na zakończenie tego rozdziału omówimy poglądy na wojnę chemiczną naszego sąsiada zę wschodu, wyrażone w książce dr. Fischmana p. t. „Gazowaja wojna“. Nadmienić trzeba, że w Sowietach ruch w kierunku popularyzowania wojny chemicznej jest ogromny, naturalnie w bliskim kontakcie z Niemcami, a w programie „piatiletki“ fabryki środków walki chemicznej zostały uwzględnione najszerzej.

Dr. Fischman jest pełen zachwytów dla wojny chemicznej. „Idea Niemców, pisze w książce, była wspaniała (pre-

---

<sup>1)</sup> Zagadka Renu.

krasnaja), tylko jej wykonanie było wadliwe, mimo, że potężna organizacja przemysłowa dawała Niemcom wszystkie środki techniczne niezbędne do decydującego ataku chemicznego, którego wynikiem stałoby się zwycięstwo". Jednakże, na skutek popełnionych błędów organizacyjnych, Niemcy nie tylko stracili korzyści wynikające z niespodziewanego ataku, ale potem również i inicjatywę w wojnie chemicznej. Gdyby nie zawieszenie broni, Ameryka rzuciłaby na pole walki tak fantastyczne ilości gazów, że armja niemiecka nie mogłaby się im w żadnym razie przeciwstawić i ostać.

Bardzo charakterystyczny pogląd wypowiada dr. Fischman na kwestję winy rozpoczęcia wojny gazowej. „Cała historia wojen, pisze autor sowiecki, składa się z przekroczeń różnego rodzaju konwencji i zobowiązań, w które nikt nigdy na serjo nie wierzył, ani też wierzyć nie będzie". Mocarstwom podpisanym na umowie waszyngtońskiej zarzuca perfidję i wytyka organizowanie przez nie wojskowej służby chemicznej i budowę odpowiedniego przemysłu. Żadna broń nie jest humanitarna, woła dr. Fischman, bo wogóle nie jest humanitarna sama wojna, trzeba z nią walczyć, wydać wojnę wojnie, w niej leży bowiem sedno zła, a nie w użyciu tej czy innej broni".

W tem miejscu wielu czytelników mogłoby przyklasnąć wywodom sowieckiego chemika, tylko, że dalszy wniosek, który się z tego rozumowania demagogicznie wyprowadza, nie zmierza bynajmniej do pokoju, lecz raczej wprost do wojny. „My, pisze, to znaczy Sowiety, nie zgadzamy się z poglądem humanistów na wojnę chemiczną; nowa broń aero-chemiczna jest najpotężniejszym wyrazem techniki wojennej, bronią najskuteczniejszą i najstraszniejszą; widzimy dobrze całą grozę przyszłej wojny chemicznej, ponieważ jednak rewolucja musi zwyciężyć, więc musi posłużyć się i władać dobrze tą nową bronią. Napreżymy wszystkie nasze siły do wszechstronnego jej opanowania i poznania, aby przez zwycięstwo czerwonego sztandaru położyć wogóle koniec wojnom".

Takim to wiecowym wykrzyknikiem rozpoczyna sowiecki pisarz swą książkę, która pod względem poziomu naukowego postawiona jest wysoko i czytelnik, który ją rozumie,

z wielką wątpliwością musi się odnieść do podobnego „pacyfizmu“.

#### IV.

Wysłuchaliśmy głosów wybitnych wojskowych i chemików w omawianej sprawie. Widzieliśmy jaskrawą różnicę poglądu niemieckiego i sowieckiego z jednej strony, amerykańskiego z drugiej. Patrzący trzeźwo generał amerykański uważa broń chemiczną za środek obrony przed napastnikiem, dobry jak i każdy inny. Profesor niemiecki twierdzi, że jest to broń, za pomocą której naród technicznie stojący wyżej, może podbić świat i zapanować nad nim. O podobnym zwycięstwie marzy i chemik sowiecki, który oczekuje, że środki walki chemicznej dadzą zwycięstwo nad światem czerwonemu sztandarowi.

Są to charakterystyczne poglądy właśnie dla narodów napastliwych, w zaślepionej pysze kierujących się urojoną „duchową wyższością“. W rzeczywistości jest to tylko lepsza może sprawność techniczna i przemysłowa, nic wspólnego ze stroną duchową życia nie mająca, przejściowa, bo przecież w ostatniej wojnie technika sprzymierzonych przeważała i przełamała kruche nadzieje o zapanowaniu nad światem przy pomocy tej lub innej broni. W myśl zasady niemieckiej, którą my Polacy tak dobrze znamy i odczuwamy, narody mniej liczne, słabiej technicznie i przemysłowo rozwinięte, skazane są na zagładę. Historia jednakże nie zawsze idzie po myśli „niemieckiego boga“. Są narody liczebnie słabe, technicznie i przemysłowo nie koniecznie silne, a szczytujące się wysoką kulturą moralną i duchową, będącą wzorem dla wielu narodów technicznie sprawniejszych, a moralnie niskich. Te małe narody, ufajmy, żyć będą pomimo udoskonalenia broni przez narody silniejsze, bo rządzi nimi wola Najwyższego.

Nasze dotychczasowe wiadomości o stratach w wojnie chemicznej są następujące. W armii angielskiej od lipca 1917 do lipca 1918 zatrutych 8866 żołnierzy, z tego zmarło 532. Od lipca 1918 do listopada tegoż roku, t. j. po wprowadzeniu iperytu, zatrutych 160 970 ludzi, z tego zmarło 1859, specjalnie zakażonych iperytem 124 702 ludzi. Wprowadze-

nie iperytu, wobec którego sprzymierzeni byli na razie bezsilni, powiększyło straty blisko dwudziestokrotnie.

Amerykańska statystyka dotyczy rannych i zatrutych, których było razem 260.283 żołnierzy, z tego zatrutych 75.552. Stosunek uzdrowieńców, inwalidów i zmarłych przedstawia się dla armji amerykańskiej następująco:

wśród zatrutych: 94.65 % wyzdrowiało,  
3.62 % zostało inwalidami,  
1.73 % zmarło;

wśród rannych: 67.68 % wyzdrowiało,  
12.67 % zostało inwalidami,  
24.65 % zmarło.

Opierając się na tych cyfrach, wygłaszają koła fachowe zdanie, że wojna chemiczna jest humanitarniejsza od walki na broń białą i palną. Czy jednak zacytowane cyfry i posiadane doświadczenia z ostatniej wojny dają dowody niewątpliwe — odpowiedzieć dzisiaj jeszcze trudno.

Z przyszłą wojną chemiczną trzeba się liczyć. Uprzymiarniając sobie jak słabe są obecne zakazy, jakim był ich los w ostatniej wojnie, jak sprzeczne są w tej mierze wygłaszane poglądy, gdy nawet uchwała waszyngtońska zapraszająca do zaniechania wojny truciznami spotkała się z silnemi sprzeciwami kół fachowych, możemy śmiało przypuszczać, że jednak trucizna, broń pogardzana wiekami, którą posługiwali się mordercy i skrytobójcy, ludzie zaś używali tylko do tępienia pasożytów i mikrobów — będzie bronią w walkach „cywilizowanych i wolnych narodów“, jak o tem marzą niemiecki profesor i jego sowiecki sojusznik. My zaś, pomni głosów naszych sąsiadów ze wschodu i zachodu, nie możemy zapomnieć o rzymskiej maksymie, zmienionej w nowoczesny sposób: „nie chcesz wojny chemicznej, bądź do niej przygotowany“.

*Dr Inż. Stanisław Micewicz.*

## Osobowość i postawa poetycka Fredry.

(Dokończenie)

Powróćmy raz jeszcze do tej cytaty z *Cudzoziem-szczyzny*, która zda nam się najwyższą formułą Fredrowskiej poezji:

Coraz nowych nadziei nie słuchać już głosu  
I, jeśli nie swobodę, znaleźć zakres losu.

Gdyby tę poezję ograniczenia wybrał ptak małego lotu, gdyby nie wynikała ona z męskiej woli przyjęcia rzeczywistości, gdyby postawa Fredry miała coś zakłamania i wąskiego intelektualizmu stoików — nie byłoby miejsca na rezygnację, na żal pozostawionych za sobą złudzeń młodości i bogactwa jej tysiąca przygód. Ale Fredro to pełnia męskich uczuć. Przyjęcie rzeczywistości nie chroni od wspomnień, tęsknot, wybiegających poza zakres losu. W tem u Fredry irracjonalność życia uczuciowego i jego pełnia, że poezja umiaru łączy się z poezją rozczarowania, goryczy, melancholji i — humoru. Właśnie ta irracjonalna dwoistość tłumaczy psychologicznie u Fredry humor. Ten polega na ambiwalencji uczuciowych oddźwięków na zjawiskach życia, na tem, że tęsknimy za tem, cośmy odsunęli od siebie i smuci to, z czemeśmy się pogodzili; że naiwnem wydaje się to, cośmy kochali — że coś jest śmieszne i drogie zarazem, głupie, a równocześnie mające jakąś swoją rację bytu.

Do oglądania rzeczy z dwu stron, do rozedrgania w nas tej całej gamy różnorodnych, aż kontrastowych uczuć potrzebny jest dystans.

Humor — to dystans.

Czasem ów dystans stanowią lata, pozwalające nam



odczuwać przedmiot inaczej, w nowem oświeceniu, a zarazem po przez barwę wspomnienia podawnemu. Ta melancholja w stosunku do przeszłości bywa motywem częstym, choć ukrytym, również i w komedjach.

(Czesław): Prawda, już tem nie jestem, czem bywałem może;  
 Życie, jak i dzień, jedną tylko miewa zorzę  
 Co się niosło nadziei w najmniejszej iskieierce,  
 To później dać pewności, ociąga się serce,

(Przyjaciele)

Wtedy to humor powróci z uczuć rozczarowania — jest jego poezją. Kiedy indziej dystans, niezbędny do oglądania życia w perspektywie humoru, stwarza wzgarda lub politowanie. O nim mówi Birbancki, charakteryzując wrażenia wznoszącego się balonem, wyczuwamy go w słowach Gustawa: „Na małym świecie, co się wielkim mieni”...

Fredro oglądał świat z obydwu tych perspektyw. Tajemnica tej symfonii czarów i wdzięków młodości w *Ślubach panińskich* zrodziła się w tęsknocie, z jaką ją tworzył poeta. Ten uśmiech nabrzmiałego wzruszeniem pobłażania, jakim opromienia Fredro Gustawa i Aniełę, zna tylko wiek męski — wiek kłęski. Czar tej świeżości podnieść do takich wyżyn poezji może ten tylko, kto widzi go już w niedosięgłej dali, za sobą. Perspektywę stworzyła zasłona, dzieląca od młodości, od prawdziwego życia. A może tworząc miał przed sobą Fredro tę Aniełę z Lublina, o której wspomina w swym pamiętniku, może pisał wpatrzony w niepowrotny czar młodzieńczych swych lat. W późniejszej sztuce, *Zemście*, czujemy już tylko rzewny, przesubtelny uśmiech dla rzeczy ginącej jak zjawia senna, gdy Wacław mówi o kobietach. Jakież w tem wdzięk humoru i liryzm najczystszy:

Przed godziną z trwogi mdleje,  
 Za godzinę wzorem męstwa,  
 To nie widzi podobieństwa,  
 To ma więcej niż nadzieję —  
 O pći piękna, luba, droga!  
 Twoja radość, twoje żale,  
 To jeziora lekkie fale:  
 Jedna drugą ciągle ściga,  
 Ta się schyla, ta się dźwiga,  
 Ale zawsze w blasku słońca,

Zawsze czysta i bez końca!  
A my, dumni władcy świata,  
Mimo siebie pochwyceni  
Za tym cieniem, co ulata,  
Całe życie z chwili w chwilę  
Przepędzamy jak motyle.

Czem ta postawa w *Ślubach* jest w stosunku do szczęścia młodości, tem jest w *Zemście* w stosunku do przeszłości narodu. I tu śmieszność, polegająca nie tylko na przedstawianiu typów, lecz i na parodjowaniu konwencjonalnych wątków, służy za środek usuwania przedmiotu w samą głąb poetyckiej perspektywy. Rola humoru polega na tem, że Fredro czyni przeszłość naiwną i śmieszną, aby przez tę dał, w jaką ją odsunął, można było do niej tęsknić. Tak jest od strony widza. Od strony autora jest tak, że autor odgrodziwszy się dystansem krytycyzmu, umiaru i przedmiotowości, mógł wyznać skrytą miłość bez obawy nagości wyznania. Przez dwoistość widzenia i odczuwania w humorze, ściślej całą szeroką skalę kontrastowych uczuć, osiągnął Fredro idealny stopień obiektywizmu: trzeźwości i miłości, satyry i apoteozy, dawności niepowrotnej i wiecznego życia w tej samej zjawie.

Bez tego najgłębszego liryzmu, zrodzonego z tęsknoty, nie zdołałby Fredro wprowadzić nas w ten stan kontemplacji, na którym polega wrażenie piękna *Ślubów*.

Ktoby wątpił w szerokość skali życia uczuciowego Fredry, temu odśloni się ona w całej pełni w pamiętniku *Trzy po trzy*, jednej z pereł literatury polskiej. Czy siedł w nim Fredro za Sternem, czy nie, sensem tej formy artystycznej jest potrzeba wyrażenia liryzmu. Tu, jak w epejach romantycznych, element epicki jest kanwą — elementem głównym jest liryzm. Stąd skrajne zsubiektywizowanie tej narracji i poddanie jej kompozycji wymaganiom liryzmu. Już samo posuwanie się pamięcią wstecz, ku zdarzeniom najdawniejszym poczynając od późniejszych, zgodnie z naturalnym porządkiem wspomniania, podobnie jak dygresje, nawiasy i nawroty, odsłaniają niekrepowany subiektywizm, a raczej przyjęcie zasady subiektywizmu i świadome stylizowanie kompozycji w tym duchu. Najtypowszą ironję roman-

tyczną, jako środek formalny, stosuje Fredro w celu wyzwolenia całej skali humoru lirycznego. Artyzm pamiętnika i wartość jego estetyczna polega oczywiście i na języku i na świetności charakterystyk, lapidarności i plastyczności przedstawienia, ale głęboka poezja tej książki ma źródło przede wszystkim w humorze. Nawroty i błędzenia wspomnień, sprzyjające rzucaniu myślą pomostów od chwili obecnej w daleką, niepowrotną przeszłość, od drobiazgów do zdarzeń wielkich i odwrotnie, stwarzają właśnie te wielkie perspektywy humoru, sprzyjające kontemplacji świata i zarazem oświeclaniu jego spraw z najrozmaitszych punktów. Jakąż skalę wzruszeń budzą te perspektywy, gdy Fredro jeszcze parodując wątki epickie i rozpraszając atmosferę legend i ich wzniosłości, budzi poezję dla tej rzeczywistości, która się ostała, a wraz z tem wzniosłość inną, wzniosłość — jakby rzekł Norwid — potęgi drugiej. Bogactwa tej skali niepodobna wyczerpać, ale szczególnie chciałbym wyjaśnić i wskazać na przykładzie wielką zdolność do gloryfikowania rzeczywistości, rys, który akcentowałem tu szczególnie, jako odróżniający aromantyczną postawę Fredry względem świata. Oto opowiada nam np. Fredro, jak 1813 r. gotowano w Lipsku kaszę i z tego punktu, poczynając od tego konkretnego drobiazgu, każe nam spojrzeć w perspektywę historii — wielką perspektywę epopei napoleońskiej. Zniszczył mgłę legendy, ale jej treść związał z rzeczywistością, postawił nam przed oczyma jako „prawdę żywą”. W ten sposób nie tylko wielkość czyni wiarogodniejszą, ale i wszystko to, co napełnia nas zadumą i tęsknotą metafizyczną, czyni czemś mniej oderwanem, nieokreślonym, umiejscawia niejako w konkretności codziennej. Wrażenie perspektywy przywykliśmy w naszym malarstwie wiązać ze złudą optyczną, lokalizującą przedmiot w głębi, w dali. Ale wiemy o innych rodzajach sztuki, gdy wrażenie trójwymiarowości osiągnęto środkiem wręcz przeciwnym: złudzeniem wychodzenia przedmiotów nam naprzeciw z obrazu. Coś podobnego dzieje się z tą wzniosłością *à rebours* humorystów, wzniosłością rozczarowywania. Poetyczna wartość naturalizmu łączy się z potęgowaniem intensywności przeżyć uczuciowych za pomocą gromadzenia rysów realistycznych. Pewna strona artyzmu

prozy Fredry polega właśnie na tej naturalistycznej metodzie, a ten środek wzmacnia jeszcze z kolei inny — epigramatyczna zwięzłość i lapidarna syntetyczność opisów, sytuacji i charakterystyk. Naturalizm ten nie stanowi jednak jakiegś domieszki do innego stylu, będąc sam integralną częstką artyzmu wielkiego humorysty. Słusznie łączy Chesterton tylko dowcip z intelektualizmem, a humor z mistyką. Ale jest to, trzeba dodać, mistyka konkretności. W ten to sposób elementy sztuki w duchu naturalizmu stanowią punkty wyjścia do perspektyw humoru, sięgających w samą głąb tajemnicy i sensu życia. Fakt, że wspomnienia są jakby akumulatorami wzruszeń, że cała przeszłość ukazuje się w nich od swej strony intuicyjno-uczuciowej jest znany wszystkim. To też nie będę mówił o tem, że *Trzy po trzy* Fredry już przez to samo jest ujawnieniem lirycznym jego osobowości. Czar mijania, tęsknota za niepowrotnem, ogrom cisnących się wzruszeń, przy obejmowaniu myślą obrazów przebytego życia, magiczny urok rzeczy utraconych, irracjonalna tęsknota za formami życia, dlatego tylko, że były takimi a nie innemi, jedynemi dla serca — całą tę skalę znajdziemy w tem dziele Fredry. Gdy ogrom tych wzruszeń wzbiera, przerywa się wątek epicki i ujawnia najszczytniejszy liryzm, stanowiący skryty, wewnętrzny akompanjament toku wspomnień: „Minąłem nareszcie szydzącą kolumnę, tak jak mnie minęło przeszło lat trzydzieści od bitwy pod Hanau, jak ty minąłeś łuby wieku młodości *mit deinen Schmerzen, mit deinen Freuden*. Im dalej od ciebie, tem jaskrawsze wydają mi się twoje kwiaty, tem grubsza mgła zasłania pomniki smutku i cierpienia. Im dalej od ciebie, tem więcej wzrasta tęsknota za tobą, jak wzrasta cień nasz własny na ścianie, gdy się od niej ku światłu cofamy! — wzrasta, sięga stropu, na strop wstępuje i nareszcie opływa nas zupełnie. Gdzież jesteście zwycięskie, roty? Wodzowie? Gdzie jesteś potęgo, dla której strumienie krwi lały się lat tyle?”

Ktoś wspomniał, że nie znalazłbyśmy skali poezji Fredry, gdyby nie *Trzy po trzy*. Można by to twierdzenie odwrócić i z równą słusnością powiedzieć, że pełnia jego życia uczuciowego sprawiła to, że go musiał napisać. Lecz to właśnie, że musiał powrócić do wspomnień, aby raz jeszcze, choć

na tej drodze zbliżyć się do pełni życia — było tragedją tego pisarza.

Chcąc oświecić teraz całą twórczość Fredry z innej strony, raz jeszcze uprzątnijmy sobie te momenty, o których mówiliśmy na początku, o temperamentie i woli. Swoisty amalgram żywiołowości i opanowania w naturze Fredry odbija się w kompozycji jego sztuk. Ogólny charakter tej budowy jest taki: szybka, zwięzła, precyzyjna ekspozycja, potem, gdy już węzły kolizji lub kolizyj odsłonięte, celowe zwalnianie tempa, gromadzenie powikłań, albo skomplikowanie akcji, podnoszące napięcie — potem nagle, energiczne rozwiązanie. Któż to z błyskawiczną szybkością pomieszał szyki i znalazł nieoczekiwane rozwiązanie w *Zemście*? „I niech się święci owa nagłość”, czy to Raptusiewicz? Nie, to Fredro.

Cóż stało się z tą energją i wolą Fredry, tym idealizmem, który po powrocie do kraju napęłnił go gniewem i wzdargą dla społeczeństwa? Co stało się z tym jasnym rozumem praktycznym, którym przenikał charakter narodu? Co stało się z tym instyktownym wstrętem i żywiołową pogardą dla dyplomacji i biurokratyzmu?

Oburzał się, odpowiedzą niektórzy i wskażą „symbol” Jowialskiego. Zapewne symbol, ale czy całkiem świadomy: wolno wątpić” powiada Chrzanowski. I my wątpimy. Kucharski zamienił na twarde kontury to, co w obrazie Fredry jest wewnętrznym związkiem. Na jego komentarz odpowiadamy: tak i nie. Zbłądził niedostatecznem liczeniem się z psychologją twórczości. Zracjonalizował badaną twórczość, jak to często robią krytycy, i to zracjonalizowanie i uświadomienie rzeczy podświadomych przerzucił, imputując, w tekst Fredry. Zgodność tej koncepcji z tekstem nie dowodzi tego, czego ma dowodzić: pełnej świadomości zamiaru, jak nie dowodzi genjalna Norwidowa interpretacja *Balladyny* — zamiarów Słowackiego, choć, oczywiście, Kucharski jest bez porównania bliższy prawdy.

Podobno Wyspiański zgodził się na to, gdy Lack tłumaczył, że „Chochoł” w *Weselu* to on sam, Wyspiański. Miał on zwyczaj nie przeczyć w takich razach. Dziś, po latach widzimy, że było coś w tym sądzie Lacka słusznego,

więcej, niż mógł przypuszczać ktokolwiek. Kto walczy z widmami, kogo one prześladują, ten w jakiś sposób jest od nich zależny, mówi Brzozowski o Wyspiańskim. Ironja w *Jowialskim* jest niewątpliwa. Ale któż układał bajeczki Jowialskiego i bawił się niemi? Czy tylko Jowialski? Kogo „poił widok zagrody ojczystej” tak, żeby chciał w niej zapomnieć... wrócić tam i zostać? Niech odpowie sam Fredro: „Raz nawet na kilkudniowem polowaniu w lasach lubartowskich, nocując w domku leśniczego, tak byłem zachwycony widokiem cichego, skromnego życia, że zachwiało się we mnie młodzieńcze przedsięwzięcie wojowania aż do śmierci. Takiego, rzekłem, chcę ustronia... prawda, że wtenczas kochałem się po raz pierwszy... nie, po raz drugi. Prawda, że później poznałem, że nie wszystko grzeje, co się świeci, a jednak wrażenia z wiosny mego życia rozciągają swoją bladą łunę i na jesień, co już nie jednym żółtym rzuciła listkiem. Dwa małe okienka, ale czyste i proste z pod grubej strzechy świecące w noc daleką, przemawiają jeszcze do serca mego.”

Te same zawsze polskie, Kirkorowe skłonności. Z pod serca polskiego wydarte są słowa Wyspiańskiego:

Jest ktoś, co mnie wiąże do roli,  
I ktoś, co mnie od roli odrywa,  
Jest ktoś, co mi skrzydło rozwija  
I ktoś, co mi skrzydło pęta.

Pozwólcie, że zacytuję jeszcze *Trzy po trzy*: „Nieraz kiedy wracam z polowania, a dojmujące zimno jesienne i dym ścielący się z kartoflanej naci biwak przypomni — zdaje mi się, że mam jeszcze pałasz przy boku, depeszę w zanadrzu. Mimowoli wyciągam szyję i śledzę okiem czy droga wolna. Wtenczas władza wspomnienia samą nawet dolegliwość nie tylko znośną ale i przyjemną robi. Może w części dlatego, że myślę sobie: Jeszcze to zdołam, com zdołał przed laty trzydziestu. Najmilsze jednak budzi wspomnienia obiad późny, myśliwski! Wszystko jak dawniej, tylko że zamiast marszałka siedzi żona, zamiast oficerów sąsiedzi. Gwar jak tam, tak i tu, a jeżeli mowa o strzałach, to z dubeltówki, jeżeli o zabitych, to o lisach i o zającach. A co

najlepsze, że na koniec zamiast wózka pocztowego czeka dobre łóżko“...

Przepiękny ustęp, a jednak robi się trochę nieprzyjemnie: więc to taki był koniec epopei napoleońskiej...

Wiemy, jakie były warunki polityczne i jak duszna atmosfera. Zbyt trzeźwym umysłem był przytem Fredro, by dać ujście energii w czynach 31 roku, jak ci, co mieli wiarę albo zadawali się półśrodkami i półczynami, jak udział w komitecie dostarczającym broni powstańcom. Od kontaktu z ludźmi odstręczała go też wzdarga, jaką miał dla korupcji, małości, ciasnoty, głupoty. Te uczucia owładnęły nim już szybko po powrocie do kraju. Z drugiej strony przeciwności w zdobyciu ukochanej kobiety, utrzymujące go w stanie niepokoju i napięcia, musiały umysł jego, całe niemal życie duchowe kierować ku jednemu, ku miłości. A była to natura nawskroś męska, silna, pełna temperamentu:

Żaden głos, ni mój własny nigdy nie wyjawi

Tę pożerczą namiętność, co mi duszę trawi.

*(Przyjaciele)*

Jakże musiał się tu wysilać i absorbować umysł, co stworzył tyle pomysłów rozplątywania powikłań i trudności miłosnych, co zawsze mimo wszystko wierzył, iż „Bóg strzeże tego, co kocha bez miary“ i głosił:

Nie, na uszczęśliwienie nigdy nie jest wcześniej

Zwłaszcza tych, którym chwile snują się boleśnie.

*(Ciofuntia)*

Skądżeby się w takim nadmiarze w dziełach jego spotykała poezja miłosnej i przyjacielskiej zażyłości, ufności, szczęścia, ta poezja małżeństwa i miłości małżeńskiej, gdyby nie wypełniała duszy Fredry i tęsknot jego, nim szczęścia tego zaznał. Wartości te podnosił kontrast z otoczeniem:

O, świat stary świętoszek, co się zawsze złości,

Pobożnie złe podwaja, a dobru zazdrości.

*(Przyjaciele)*

To, co dla tego mizantropa i surowego moralisty było jedyną jeszcze ostoją, osiągnął. Bardziej jeszcze niż ktokolwiek rozumieć musiał Polak ówczesny to, co głosił Chester-ton, iż rodzina jest właściwym terenem indywidualności i wolności. „Ale szczęście domowe Polaka jest teraz oazą kwiecistą wśród pustyni Sahary“ *(Trzy po trzy)*.

Słusznie mówi Jerzy Simmel w swej Socjologii, iż struktura grupy dwojga ludzi, oparta na intymności, nie może służyć za podbudowę grup o szerszym zakresie. Wiemy zresztą z własnego doświadczenia, że strukturę stosunku intymnego cechuje wyłączność. Wartość intymności w miłości polega właśnie na wyłącznem posiadaniu wzajemnem pewnych stron czyjegoś życia, nie tych, przez które żyjemy życiem społecznem z innymi jeszcze ludźmi, lecz tych właśnie, któremi zwrócenie jesteśmy ku wnętrzu tego zamkniętego kręgu. Kult intymności jest więc *sui generis* kultem romantycznym indywidualności. Nie zawsze bezwzględna, obiektywna wartość jest przedmiotem tego kultu, często tylko dlatego niektóre cechy są czczone (na tem polega często irracjonalność miłości), że są jedyne, kochane, że są kwintesencją jakiejś drogiej nam indywidualności. Nie tylko przez swą trzeźwość, lecz i z innych względów, dla gloryfikatora intymności charakterystyczne są te słowa z *Trzy po trzy*: „Mówią, że trzeba kochać przyjaciół z ich wadami, ja mówię, że się ich kocha dla ich wad. Ty nie wiesz tego, ja tamtego — ja niemiły w tem, a ty w tamtem, więc kwita, równość. „U Fredry jednak intymność dlatego jest tak pełna poezji, tak uduchowiona, że ufność i wiara, poczucie godności płynęły z poczucia bezcennej wartości moralnej kochanego człowieka — wartości jego duszy. Głębokie poczucie tej wartości, danej przez intymność, nie miało nic wspólnego z pustką zażyłości n. p. z Sienkiewiczowskiego powiedzenia o „ogromnie mojej kobiecie“, które zgoła trąci płytkością. Nie był to nawet sybarytyzm wyższego gatunku, ale sybarytyzm estetyczno moralny Kochanowskiego: „wsi spokojna, wsi wesoła“. Fredro, moralista surowy, odwrócony od świata i jego małej podłości, szukał tam właśnie, w tej oazie wartości moralnych, szukał, znalazł i posiadał. Ale niemniej zamknięcie się w tym kręgu życia rodzinnego było pewną formą aspołeczności, przyjętej z musu.

„Sobie śpiewam a muzom“ jest patetycznym frazesem, szczerze wymawianym tylko wówczas, gdy oderwana od życia sztuka przechodzi w estetyzm. Trudno sobie wyobrazić, jakie spustoszenia w rozwoju Fredry sprawiła doktrynerska krytyka Goszczyńskiego *et consortes*. Ogrom ten ocenić



musimy w przybliżeniu: zważywszy, jak społeczną z natury swej była sztuka Fredry-moralisty, Fredry-człowieka czynu; zważywszy, że cios godził podwójnie w pisarza scenicznego, którego proces rozwoju nie da się pomyśleć bez widoku dzieł własnych na scenie. Fredro został zatem odcięty od świata w dwu sferach życia. Zarówno ohamowany i zdławiony został jego instynkt czynu — dorywcze udziały w komisjach, w sejmie, rozprawy polityczne, w staraniach o budowę kolei i t. p. nie mogły wyczerpywać ani jego energii, ani dawać mu poczucia skutecznego działania — jak i artystyczny instynkt działalności w sferze duchowej. Daleki jestem od mniemania, że wszystko, co Fredro po owym przełomowym roku 1835 napisał, prócz *Wielkiego człowieka do małych interesów*, jest słabe. Zdaniem mem, całkiem słusznie zwraca uwagę Chrzanowski na cały szereg dodatkowych momentów ewolucji, jak zbliżenie się do realizmu i t. p. Sztuka *Godzien lifości* należy nie tylko do lepszych dzieł Fredry, ale znamionuje ją pewien artystyczny postęp w przedstawieniu bardziej zróżnicowanych charakterów (jak n. p. Elwina), subtelniejsze przeprowadzenie rozwoju charakterów i pewne udoskonalenie techniczne.

Większość jednak tego, co jeszcze pisał, to warjanty na tematy dawne z małymi modyfikacjami. Nawet *Trzy po trzy* to, z punktu widzenia rozwoju, przeżywanie siebie dawnego. To nowa forma artyzmu, ale nie przyrost osobowości. Pisanie pod znakiem *Spalić nie spalić* (tytuł jednego z wierszy) nie jest i nie może dawać satysfakcji twórczości, życia, działania. Obracanie się w kręgu tematów, intryg i perypetyj miłosnych zapewne trzeba przypisać w znacznej mierze konwencji panującej, a raczej konserwatywnej, cenzurze i t. p. Ale, gdy pisał „dla szuflady“, nie czuł się zależnym ani od cenzury, ani od konwencji, musiał więc działać inne czynniki: zacieśnienie atmosfery życia autora zaciążyło niewątpliwie nad sztuką, nad zakresem twórczości.

Drobne liryki, *Zapiski starucha*, cała ta twórczość z późnego i podeszłego wieku jest dokumentem strasznym. Beznadziejny smutek, wzgarda dla zmaterializowanego świata, zaspiewanie się ponure starego orła... i tkliwość uczuć rodzin-

nych. Aforyzmy zgorzkniałego moralisty, wiersze, jak *Ambo meliores* i wierszyki do albumu wnuczki, albo wierszyk z powodu śmierci dziecka z rodziny Fredrów p. t. *Stefcio*. Czyż może dać coś lepszy syntetyczny obraz tego życia nad wiersz *Orzeł*:

Z gniazda wyparty na wichry i burze  
Orłciem jeszcze już rozpuścił skrzydła,  
Zrywał, zwyciężał zwodnicze mamidla  
I orłem zawisł na jasnym lazurze,  
Jawnych piorunów nie lękał się w chmurze.  
Lecz w ciszy podłe groziły mu sidła;  
Zawsze wszędzie sam, sam w dole i w górze,  
Nieba nie sięgał, ziemia mu obrzydła.  
Lotem znużony i walką strudzony,  
W niskie nareszcie uchylił się strony,  
Usiadł na dębie, tam gdzie gniazdo było,  
Stulił swe skrzydła i zacisnął szpony.  
Wszystko minęło, wszystko się prześniło,  
Jego życie za mogiłą.

Ten sam stan cechuje każde jego szczerze odezwanie: tak jest i w liście do syna, gdy ten wziął udział w powstaniu węgierskiem. Obok mądrych uwag doświadczonego żołnierza, bezmiaru miłości rodzicielskiej, ta krótka, bolesna, zbywająca uwaga o sobie „z wegetacyjnego życia coś wydobyć?” Atmosfera niewoli i poczucie połowiczności życia spadały jak kłątwa z pokolenia na pokolenie; a raczej czuły ją właśnie charaktery męskie, dzielne. Czuje się to, jak czuje się wielką sympatię i litość dla bólu wykołujeńca, a raczej nie znajdującego miejsca ni warunków na pełne życie, czytając autoironiczne, pełne bolesnego śmiechu nad sobą wyznania Fredry-syna.

A gdy zagłębimy się w pamiętniki wnuczki pisarza (*Niegdyś*, Marji Szembekowej), ogarnia nas tak straszna atmosfera, jakgdyby nas zamknęto w muzeum domu Matejki. Lektura sceny, gdy wnuczka zastała staruszków - dziadków palących swe dawne listy miłosne i płaczących, jest wprost nie do zniesienia. Może dlatego, że uczuwamy poprzez tę scenę cały marazm tych czasów, może dlatego, że domyślamy się, iż nie było w nich nadziei na lepsze jutro, mogące zrównoważyć ból i klęskę starości. Zdaje się nam, że czuli oni, paląc te listy, jak ostatnie konkretne ślady,

najbardziej niewątpliwa i niezawodna treść ich życia — ta właśnie zawarta w ostatnim szancku, w ostoi życia rodzinnego, miłości — musi zginąć jak wszystko — stać się nicością. Może żal nam ich dlatego, że oto w tym kręgu zamknął się świat Fredry. A nie mylimy się chyba w takim odczuwaniu i takiej interpretacji. Wszak prócz prawdopodobieństwa psychologicznego mamy jeszcze wyznanie samego Fredry w jednym z jego wierszy p. t. *Nad grobem*:

Dlaczego za tym światem tęsknym rzucam okiem?

Bo wszystko, czego nikt nie da, zabiorę ze sobą.

Wszystko zabiera ze sobą tylko ten, dla którego jedynymi wartościami stały się miłość i moralne ideały życia rodzinnego. „Dziadostwo moi żyli tylko dla dzieci i wnuków” — pisze w pamiętniku p. Szembekowa. Rzecz skądinąd naturalna nie wzrusza nas, a raczej wzrusza w sposób przykry, bo daje jeszcze jedno potwierdzenie naszego przypuszczenia. Roztacza się przed nami obraz tragedji ograniczenia życia do szczęścia intymności, do oparcia całego sensu życia na wartości ukochanych indywidualności i miłości. Na innej drodze, dzięki zresztą specjalnym okolicznościom społecznym, nieporozumieniu z atmosferą literacką i pewnemu arystokratyzmowi, zniweczyła dalszy rozwój Fredry ta sama jednak polska choroba, domatorstwo. W tej atmosferze społecznej, w tym beczynie marniał, dziwaczał, dusił się. Był to bowiem jeden z rzadkich ludzi pióra, którzy mieli psychikę ludzi czynu, jeden z niewielu poetów, obdarzonych taką trzeźwością i takim rozsądkiem. Gdyby nam przyszło szukać równych mu męskością postaci wśród pisarzy naszych z XIX-go wieku, chyba tylko Prusa i Wyspiańskiego możnaby było postawić w jednym szeregu. (O Mickiewiczu nie mówię, ten był bowiem więcej niż męski, był demoniczny).

Fredro zaznał szczęścia w domu, choć go nie było w ojczyźnie. Ale kto wie, czy w skutkach los ten nie był straszniejszy, niż wygrażanie Bogu, miotanie się w ekstazie mistycznej i wstrząsanie kajdanami Europy przez Wielkiego Tułacza. W każdym razie los to także straszny, okropny — odślanający tylko inną tragiczną stronę przeszłości.

Jednostronnem byłoby jednak oświecenie, uwzględniające zagadnienie dzieła Fredry głównie od zewnątrz, uwzględniające okoliczności i atawizm, nie wnikające jednak w sam rdzeń istoty człowieka, która wyraża się najgłębiej poprzez samą naturę talentu. Gdy w tę wnikniemy, ukaże nam się w całej obosieczności logika życia. Powtórzyć będziem musieli cytate Fredry: „Niema złego bez dobrego”. Czy wyobrażamy sobie klasyka, który nie byłby w pewnym znaczeniu konserwatywnym i w pewnym znaczeniu obojętnym na współczesność? Losy Fredry mają nieco podobieństwa z losami Ingres’a, którego nie lubili rówieśni malarze romantyczni za konserwatyzm i konwencjonalizm; dziś wiemy, że dzieło tego niezrównanego artysty okazało się trwalszem od prądów, które je zaprzeczały. Tylko spokój wypełniającego się, skończonego i w tem znaczeniu samowystarczającego życia układa się w zamknięte nieskazitelne formy klasycyzmu. Przez tego tylko artystę wyraża się jako klasycyzm skończony kształt minionego życia, w tym tylko idzie się doskonałość tego życia, który mając w duchu swym przeszłość idzie za instynktem wyrażenia się, nie troszcząc się o terażniejszość. Sama rasowość jest niejako gwarancją prawdy artystycznej i racji takiej sztuki.<sup>1)</sup> Dla pełni i ciągłości życia artystycznego i kulturalnego takie podsumowania syntetyczne przeszłości w sztuce są nie mniej potrzebne, jak obca im sztuka profetyczna i antycypująca. Talenty takie w gruncie nie wiele potrzebują od elementów „postępu” swej epoki. Vernet miał głęboką słuszość twierdząc, że niema czego uczyć młodego Juliusza Kossaka. To, co w sztuce Kossaka było najistotniejszem, to, co potem stało się wyrazem minionej kultury polskiej, to Kossak wziął ze wsi i z intuicji tradycji. Jaki byłby w tem sens, gdyby Kossak miał ultrademokratyczne gusty i gonił za nowymi prądami? Sens jego sztuki w tem, że była ona zjawiskiem poniekąd anachronicznem. A dalej, czy wyobrażamy sobie rasowość sztuk Fredry i ich wykwiń — nie mówię o farsach — bez

<sup>1)</sup> Sienkiewicz dlatego właśnie miał kult dla Fredry, że pod tym względem należał do tego samego typu artystów. Sąd jego mamy z cytaty Chrzanowskiego (Ob. zbiór artykułów o Sienkiewiczu, zebranych przez K. Czachowskiego).

arystokratyzmu ich autora? Te wszystkie jednak cechy dodatnie składały się na indywidualność, predestynowaną poniekąd do tego odosobnienia, które przy wspomnianych tendencjach i okolicznościach stało się zabójczem.

Ta cała sfera twórczości Fredry, która jest konserwatywną w stosunku do romantyzmu i klasycystyczno-konwencjonalną, dałaby się najlepiej określić przez porównanie z rzeźbami Canovy. Łączy ona również sielankowy nieco subtelny wdzięk z idealistyczną dystynkcją i klasycystycznym umiarem. Ta sfera twórczości *par excellence* narodowej, którą reprezentuje *Zemsta* przez swą spontaniczną radosowość, temperament i realizm, trudność zakwalifikowania jej kierunku nasuwa dużo dalszą już analogję w malarstwie Juliusza Kossaka. Przez realizm swego humoru obca jest zarówno gloryfikacji przeszłości romantyków, jak i ich epigonów, przez przenikliwość krytyki obca sienkiewiczowskiemu a intelektualnemu optymizmowi. Tembardziej więc należy żałować, że twórczość w tym kierunku nie rozwijała się dalej, że istotą swą gwarantowałaby *maximum* obiektywizmu. Zakłamań patriotycznych i pseudo-patriotycznych, braku przenikliwości nie możnaby się spodziewać od autora cytowanej na początku charakterystyki narodu z *Trzy po trzy*, autora *Jowialskiego* i aforysty, który w uderzających lapidarnością *Zapiskach starucha* zanotował: „Jakoś to będzie — fatalizm głupoty”. Wszak był to poeta rzeczywistości.

*Stefan Kołaczkowski.*

## Kandydatura Hozjusza na stolicę apostolską.

---

Gdy mowa o kardynale Hozjuszu, między innemi tytułami do jego wielkości i chwały, a zarazem chluby narodowej, przytaczany bywa, często nawet w kołach fachowych, fakt kandydatury jego na stolicę apostolską po śmierci papieża Piusa IV, zmarłego w grudniu 1565 r.

Zadaniem naszym jest zbadać i określić, ile w twierdzeniu powyższem zawiera się prawdy, mianowicie, czy istotnie Hozjusz był przez kogokolwiek brany pod uwagę, jako przyszły papież, a jeśli tak, to w jakich okolicznościach, i wkońcu, jak się sam w tej sprawie zachowywał.

W literaturze historycznej pierwszy, o ile mi wiadomo, mówi wyraźnie o kandydaturze pomienionej Andrzej Maksymilian Fredro w swej historii narodu Polskiego za Henryka Walezjusza, wydanej w Gdańsku 1652 r. Opisuje on, jak uciekający z Polski król, przybywszy do Wenecji, natknął się na specjalnego wysłannika Hozjuszowego do siebie,<sup>1)</sup> który miał zlecone przedłożyć Walezemu sprawy i interesy państwa oraz katolicyzmu polskiego i skłonić go, aby mimo obejmowania korony francuskiej, jednak i naszego kraju nie zaniedbywał, po ułożeniu zaś spraw swoich we Francji do Polski wracał. Przy tej okazji, ponieważ minęło 70 lat od śmierci kardynała, uważa Fredro za właściwe wyjaśnić pokrótce, kim był Hozjusz. Podaje tedy, jak, z plebejskiego

---

<sup>1)</sup> Był nim sekretarz Hozjuszowy, ks. Stanisław Reszka, ten sam, który i po wyborze Henryka Walezjusza posłował doń od kardynała w sprawach Polski do Paryża. *Stanislaus Hosii Vita*, auctore Rescio, Acta historica res gestas Poloniae illustrantia, t. IV, Cracoviae 1879, str. XCIV i n.

stanu zrodzony, cnotą i nauką wyniósł się aż do godności biskupiej, senatorskiej i kardynalskiej, niebawem zaś nabrał takiego znaczenia w Rzymie, że, gdy umarł papież, otrzymał za sobą głosy licznych kardynałów na stolicę apostolską, a tylko wskutek zawiści innych i sprzeciwu części Włochów i Hiszpanów, niechętnych obiorowi obcokrajowca na najwyższy urząd w Kościele, nie pozyskał tjary. „Moralnie zato, pisze dalej Fredro, był Hozjusz prawdziwym papieżem, uważano bowiem, że jest godny papieństwa“.<sup>1)</sup>

Następny wyraz opinii o kandydaturze tej daje w r. 1690 wydawca w nowej szacie Reszkowej *Vita D. Stanislai Hosii*,<sup>2)</sup> zamieszczający we wstępie do wydania swego ode pochwalną ku czci Hozjusza p. t. *Phoenix redivivus in Vita Stanislai Hosii S. R. E. Cardinalis reimpressa*. Jest ona niejako charakterystyką i streszczeniem życia kardynała, a zawiera wiersz, który mówi i o kandydaturze na papieństwo:

Lumen Prionis, Lingua Quiritium,  
Olim Tridenti concilii arbiter;  
Narrante fama candidatus  
Ad triplicem Latii tiam.

Owe narrante fama wskazuje, że autor wiersza wiadomość odnośną zawdzięczał nie jakimś źródłom pisany, czy drukowanym, lecz odnotował poprostu, co z imieniem Hozjusza w sto lat po jego śmierci powszechnie łączono.

<sup>1)</sup> A. M. Fredro. *Gestorum Populi Poloni sub Henrico Valesio Polonorum postea vero Galliae Rege*, Dantisci 1652, str. 164 i nn.: Romae maxime valuit; mortuo enim Pontifice, multorum cardinalium voto Pontifex expetitus; praevaluit tamen primum invidia, mox calculus aliquorum Italarum et Hispanorum, in remotum alienigenam deferri sacram purpuram indignantibus. Verus tamen ille virtute fuit Papa, quia dignus iudicatus. Jeżeli twierdzenie Fredry co do sprzeciwu kardynałów hiszpańskich nie jest tylko czczym domysłem, to przyczynę jego należałoby upatrywać w stanowisku, jakie zajmował Hozjusz wobec Filipa II hiszpańskiego w sprawie t. zw. sum neapolitańskich, a następnie w fakcie, że na soborze trydenckim zmuszony był bronić autorytetu Stolicy Apostolskiej przeciw niektórym poglądom biskupów hiszpańskich.

<sup>2)</sup> *Vita D. Stanislai Hosii Poloni S. R. E. Cardinalis* maj. Poenitentiarii et eppi Varmiensis, Auctore Stanislao Rescio protonotario et referendario apostolico, Romae primum impressa 1587, nunc iterum prodi. Typis Monast. S. O. C. Olivae anno 1690.

W XIX wieku jedyny do tej pory naukowy monografista nowoczesny Hozjusza, kanonik warmijski Antoni Eichhorn,<sup>1)</sup> również mówi o kandydaturze pomienionej, a nawet dowody na nią przytacza. Opisując lata Hozjusza bezpośrednio trydenckie, stwierdza, że powaga i znaczenie jego w Chrześcijaństwie, kurji rzymskiej i wśród kardynałów tak urosły, iż wielu na wypadek opróżnienia stolicy apostolskiej w nim właśnie widziało najlepszego na nią kandydata. Jakoż, skoro tylko umarł Pius IV,<sup>2)</sup> wielu zwróciło wzrok swój na kardynała warmijskiego, a głównie nieobecność jego na konklawe sprawiła, że wobec potrzeby natychmiastowego zdecydowania się na przyjęcie lub odrzucenie wyboru, kandydatura ta stawała się nierealną. Mimo to jednak przy pierwszym skrutynjum miał otrzymać Hozjusz znaczną ilość głosów, a choć w następstwie inne poodpadały, jeden z kardynałów aż do ostatniego momentu stale na niego wyłącznie wotował. Kardynałem tym okazał się Ludwik Simonetta, dawny współlegat Hozjusza na soborze trydenckim i przyjaciel jego oddany. Kiedy wyrażono zdziwienie z tej przyczyny, że jest ktoś z kolegum świętego, kto na nieobecnego i przebywającego tak daleko głosuje, miał powstać kardynał Simonetta i odrzec: „ja to obieram kardynała warmijskiego na papieża i będę go zawsze obierał, jak długo tu pozostaniemy“.<sup>3)</sup>

Pogląd powyższy Eichhorna przyjmuje bez zastrzeżeń i współwydawca obydwu dotychczas ogłoszonych tomów listów Hozjusza, Dr. Franciszek Hipler.<sup>4)</sup>

Dla poparcia wywodów swoich powołuje się Eichhorn najpierw na list przebywającego wtedy w Rzymie mazowsza-

<sup>1)</sup> Dr. Ant. Eichhorn, *Der Ermländische Bischof u. Cardinal Stanislaus Hosius, vorzüglich nach seinem kirchlichen u literarischen Wirken geschildert*, tom I—II, Mainz 1854—1855. Monografia rosyjska Żukowicza, *Kardynał Hozij i polskaja cerkow jewo wremieni*, S. Pietierburg 1882, opiera się w dużej mierze na powyższej Eichhorna.

<sup>2)</sup> Eichhorn twierdzi, że śmierć Piusa IV nastąpiła „w nocy z 9 na 10 grudnia 1565 r.“ — p. niżej, st. 4 przyp. 1 i str. 11 przyp. 2, oraz Pastor, *Geschichte der Päpste*, t. VII, Freiburg 1920, str. 576.

<sup>3)</sup> Eichhorn, l. c., tom II, str. 266—277.

<sup>4)</sup> Wetzer u. Welte's Kirchenlexikon, Bd. VI, Freiburg 1889, str. 299.



nina, Stanisława Kłodzińskiego, późniejszego przedstawiciela króla polskiego w Neapolu. W liście tym, pisanym dn. 15 grudnia 1565 r., Kłodziński komunikuje, że i on i „wielu innych“ uważają za najgodniejszego tjary Hozjusza, pragną tedy, aby jak najprędzej zjechał do Rzymu i nie marnował tak świetnej okazji rozstawienia Polski i przysłużenia się Chrześcijaństwu.<sup>1)</sup>

W przedmiocie zachowania się kardynała Simonetty na konklawe przytacza Eichhorn list przyjaciela Hozjuszowego w Rzymie, humanisty, Juljusza Pogiana, z dn. 18 lutego 1568 r., w którym Pogianus opisuje Hozjuszowi dość szczegółowo całą sprawę. Wnosićby z tego listu można, że i wśród społeczeństwa rzymskiego, głównie zapewne w kołach naukowych i kościelnych, znajdowali się liczni zwolennicy Hozjuszowych rządów naczelnych w Kościele, pisze bowiem Pogianus, że czyn Simonetty chwalili „wszyscy uczciwi“, t. zn. sfery dbałe o dobro Kościoła, z którymi się w Rzymie stykał.<sup>2)</sup>

<sup>1)</sup> Cyprianus Ern. Sal., *Tabularium Ecclesiae Romanae saec. decimi sexti*, Francofurti et Lipsiae 1743, str. 400 i n., Stan. Clodinius Hosio: Summum Pontificem... quinto Idus mensis Decembris, hora vigesima tertia... decessisse, puto ad te per extraordinarios tabellarios per-scriptum esse. Quare velim scias, me ac multos alios, quite maxime omnium suprema hac dignitate dignum iudicant, vehementer optare, ut huc quam primum venias, nec tam praeclearam iuvandae christianae reipublicae ac illustrandae nationis nostrae occasionem praetermittas. Quod si difficultate itineris impediaris, tamen Dei optimi maximi auxilio, eam te commode superaturum speramus, praesertim cum electionem non tam cito futuram plerique existimant. Si vero tuus adventus intempestivus fuerit, tamen non potest et tibi et tuis omnibus non esse perhonorificus et utilis.

<sup>2)</sup> Julii Pogiani Sunensis Epistolae et Orationes olim collectae ab Ant. Maria Gratiano, nunc ab Hier. Lagomarsinio e S. J. adnotationibus illustratae, t. IV, Romae 1762, str. 394—395, Pogianus Hosio: Ad te redeo; quem non modo de summo meo in te studio et observantia, sed ne de Simonettae quidem Cardinalis, optimi et tui amantissimi viri, de te iudicio, etiamsi id fortasse aliunde cognoris, a me caelari debere existimo. Delector enim ego mirum in modum eius commemoratione facti, quod hic bonorum omnium confessione laudatur. Proximis igitur comitiis pontificiis, quodam die cum suffragia recitarentur, animadversumque est, ex iis, qui tibi sua tabella pontificatum deferrent, unum esse, qui, ex quo die

Słabą stroną obydwu świadectw powyższych jest, że Kłodziński, protegowany Hozjusza, rozpoczynał właśnie wtenczas, po ukończonych świeżo w Padwie i Bolonji studjach, swą karierę dyplomatyczną<sup>1)</sup> i potrzebował bardzo pomocy dalszej dotychczasowego opiekuna, a był człowiekiem, który umiał skrzętnie zabiegać około swych interesów. Mimowolne nasuwa się podejrzenie, że, korzystając z konklawe, chciał treścią listu swego sprawić przyjemność i przypodobać się Hozjuszowi, niezależnie więc od mowy jakiegokolwiek o jego kandydaturze, choćby nawet nikt o niej nie myślał, albo może ze zwykłej tylko wdzięczności lub uprzejmości napisał doń, że i on, i wielu innych pragnęliby go widzieć na stolicy apostolskiej.<sup>2)</sup> Ogólnikowe bardzo ujęcie tych pragnień, bez wskazania konkretnego, co to za „inni“, wydaje się również podejrzanem, a i to także zaufania ku doniesieniom Kłodzińskiego nie budzi, że wiedział wszak dobrze, że, aby list jego doszedł do Warmji i aby Hozjusz mógł się wybrać i do Rzymu przybyć, potrzeba było dłuższego czasu, nie przypuszczał zaś chyba, aby kardynałowie tak długo na obiór nowego papieża czekać chcieli.<sup>3)</sup> Sam jakby zdawał sobie sprawę, że i Hozjusz może go o nie szczerość posądzić, śpieszy bowiem wytłumaczyć, że, zda-

---

suffragia iniricoepissent, nunquam postea destitisset primum te sua sententia nominare, extitit, qui diceret, nescire se, quinam is esset, neque propterea eius rationem improbare, sed mirari quod, cum adessent, quibus is praeclare suffragari posset, longissime absentem sua sententia pontificem vellet deligere. Cui Simonetta, cum belle id dissimulare posset, tamen coram omnibus patribus clara voce, „Non patiar, inquit, te diutius in isto errore versari. Ego ille sum, qui Varmiensi Cardinali mea tabella adhuc pontificatum detuli, et quamdiu hic erimus perpetuo deferam“. Ergo hominis libertatem, illa probitate et integritate dignam nemo non est admiratus.

<sup>1)</sup> Zob. Stanisław Kot, *Z dziejów propagandy polskiej w wieku XVI*, Kraków 1928, str. 9–10.

<sup>2)</sup> Na temat szukania przez Kłodzińskiego protekcji u Hozjusza w tym czasie prócz listu omawianego zob. jeszcze list Kromera do Hozjusza z dn. 22. II. 1566 i Kłodzińskiego do Kromera z dn. 31. III. 1566, rkps Bibl. Czart. nr. 1610, str. 325 i 343.

<sup>3)</sup> Ostatnie konklawe, po śmierci Pawła IV, trwało cztery miesiące, wywołało to jednak słuszne zgorszenie i narzekania w świecie katolickim.

niem wielu, konklawe szybko się nie zakończy,<sup>1)</sup> a zresztą, choćby już zbyt późno Hozjusz do Rzymu przyjechał, to i tak przybycie jego będzie i dla niego zaszczytne, i dla kraju tudzież Kościoła korzystne.<sup>2)</sup>

Co do świadectwa Pogiana, przeciwstawiać się mu zdaje, że znakomity Ludwik Pastor, który w tomie VIII swej historii papieży obszernie bardzo omawia konklawe po śmierci Piusa IV,<sup>3)</sup> i zbadał dokładnie wszystkie odpowiednie źródła oficjalne, depesze agentów różnych państw i diarjusze, wylicza różnych kandydatów,<sup>4)</sup> branych pod uwagę lub wysuwanych, o kandydaturze zaś Hozjusza wcale nie wspomina, jak gdyby niczego o niej nie wiedział, mimo nawet, że w wykazie literatury do pracy swojej zamieszcza i książkę Eichhorna, i zbiór listów Pogiana.<sup>5)</sup> Owszem przytacza dane, zadające jak gdyby wprost kłam świadectwu Pogianowemu, wskazuje mianowicie, że w dniu 19 grudnia 1565 r. i następnej nocy kardynał Simonetta agitował za oddaniem głosów na kardynała Morone, mającego opinię człowieka wielkich talentów dyplomatycznych i najbardziej do sprawowania rządów w czasach owych uzdolnionego.<sup>6)</sup> Z tem absolutnie już zdaje się nie godzić przekazana u Pogiana zapowiedź Simonetty, że jak długo będzie trwało konklawe, on aż do końca nie przestanie obstawać przy kandydaturze Hozjuszowej.

Uderzające jest również, że ani ks. Stanisław Reszka,

---

<sup>1)</sup> Faktycznie, mimo narzeków powszechnych na przeciągnięcie zbyt długiego konklawe, nawet niektórzy z kurjalistów, kardynałów i posłów obcych państw tak myśleli, por. Pastor j. w., t. VIII, Freiburg 1920, str. 5, 6, 23, 32; Paul Herre, *Papstum u. Papstwahl im Zeifelter Philipps II*, Leipzig 1907, str. 122. M. i. i kardynał Commendone liczył się z dłuższem nieco trwaniem konklawe — por. list jego do Hozjusza z dn. 11. I. 1566 r., Archiw. bisk. w Frauenburgu D. 24, fol. 7. NB.: Wszystkie, przytoczone tu materiały z Archiwum biskupiego w Frauenburgu, podobnie jak i ze szwedzkiej biblioteki w Linköping, miałem nie w oryginale, lecz w odpisach, znajdujących się w zbiorach Komisji Historycznej Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie.

<sup>2)</sup> Zob. wyżej, str. 4 przyp. 1 pod koniec.

<sup>3)</sup> L. c., str. 3—35.

<sup>4)</sup> Miał być wśród nich i Simonetta — l. c., str. 5.

<sup>5)</sup> L. c., str. XXV i XXXII.

<sup>6)</sup> L. c., str. 20 i 23 przyp. 3.

ani ks. Tomasz Treter, pierwszy w napisanej prozą *Vita*,<sup>1)</sup> drugi w rytowanym i wierszowanym *Theatrum virtutum Cardinalis Hosii*,<sup>2)</sup> niczego o kandydaturze jego nie wzmiankują. Od nich mianowicie, jako żywotopisarzy i panegirystów kardynała, spodziewalibyśmy się przede wszystkim wiadomości jak najobfitszych w tej materji, tem więcej, że doskonale byli ze wszystkim, co go dotyczyło, obeznani i obydwaj dobrze umieli rozróżniać między zdarzeniami mniej, a więcej ważnemi oraz dla imienia tudzież rozgłosu Hozjusza przydatniejszymi. Jeżeli tedy podają rzeczy bardzo nieraz błahe i banalne, to przecież fakt kandydatury ich patrona i dobrodzieja na stolicę apostolską, choćby był omawiany w kołach bardzo nielicznych i przelotnie tylko, aż się prosił, aby go zanotować, albo rylcem przy całym szeregu innych z życia Hozjusza zaczerpniętych obrazów zilustrować, lub też zapomocą ody uwiecznić.

Zachodzi więc pytanie, o ile wogóle kandydatura Hozjusza mogła wchodzić w grę, a następnie, o ile faktycznie była aktualną.

Jest niewątpliwem, że imię i autorytet w gronie kardynalskiem i w całym świecie katolickim w chwili śmierci Piusa IV miał Hozjusz wielkie. Widziano w nim wprawdzie Polaka, ale takiego, który miał już za sobą zasługi powszechnodziejowe, obytego w sprawach Kościoła powszechnego i przygotowanego dobrze do podjęcia roli o znaczeniu ogólnochrześcijańskiem. Już mianowicie w r. 1559, po śmierci Pawła IV, zebrani na konklawe kardynałowie wyrażali się o nim z takim uznaniem, że, jeżeli wierzyć niewątpliwie i uprzejmością dyktowanym zapewnieniom jednego z nich, kardynała Krzysztofa Madruzzo, biskupa Trydentu, większego byłoby to dlań znaczenia, aniżeli nawet pozyskanie tjary.<sup>3)</sup> Właśnie z powodu tych wielkich o charakterze powszechno-kościelnym walorów już podczas konklawe 1559 r. wyznaczono Hozjusza na najodpowiedzialniejsze

<sup>1)</sup> P. wyż. str. 1 przyp. 1 i str 2 przyp. 2.

<sup>2)</sup> Rytowane *Theatrum virtutum* wyszło w Rzymie 1588, wierszowane zaś dopiero sto lat później w Krakowie 1685 r.

<sup>3)</sup> List Hozjusza do Marcina Kromera z 30, XII. 1559 r.: *Cardinalis Tridentinus (Madruzzo) narravit mihi, quod perhonorifica mei*

w ówczesnej polityce Kościoła stanowisko nuncjusza przy dworze cesarskim z myślą główną przygotowania dalszego ciągu soboru trydenckiego i zjednania dlań cesarza. Dla tej samej przyczyny, chociaż to w stosunku do Polaka było zjawiskiem naonczas niezwykłym, już Paweł IV postanowił mianować go kardynałem, a Pius IV nominację skuteczną. W związku z tem ówczesny kardynał sekretarz stanu, św. Karol Boromeusz, odgrywający właśnie w konklawe po śmierci Piusa IV rolę decydującą,<sup>1)</sup> nie wahał się nazwać Hozjusza „mężem najbardziej kardynatu godnym“ i mówić o „zaszczytnie głośnie“ w całym świecie imieniu Hozjuszowem,<sup>2)</sup> inny zaś kardynał, Jakób Puteo, bardzo wyraźnie podkreślił nadzieje wielkie, jakie z osobą jego ówczesne sfery kurjalne rzymskie łączyły.<sup>3)</sup>

Ponieważ równocześnie z nadaniem Hozjuszowi kardynatu i sprawa kontynuacji soboru została szczęśliwie uskuteczniiona, mianowano go narówni z kardynałami włoskimi jednym z legatów papieskich, przewodniczących na soborze. Działalność jego soborowa powiększyła jeszcze te walory,

*fuerit in conclavi saepe mentio. Mallem, inquit, eam quae est Cardinalium de te opinionem, quam ipsum pontificatum. Hoc et plerique cardinales mihi renuntiarunt* — rkps Bibl. Ossolińskich 154, fol. 75. Kardynał Madruzzo brał udział w konklawe 1565—1566 r. — p. Pastor, I. c., str. 7.

<sup>1)</sup> Pastor, I. c., str. 16 i nn.

<sup>2)</sup> List Boromeusza do króla Z. Augusta z dn. 24. V. 1561: *profecto Maiestati V. laetandum est, ex eiusdem Maiestatis V. Regno in Collegium Cardinalium pervenisse hominem unum omnium dignissimum Cardinalatu... nec illud quidem Maiestatem V. praeterit clarissimum esse Varmiensis nomen, eiusque volumina extare valde multa, quibus ille rectas de religione opiniones confirmat, falsas convellit— Hosii opera omnia, t. II, Coloniae 1584, str. 232.*

<sup>3)</sup> List Putea do Z. Augusta z dn. 18. V. 1561: *Stanisłai Hosii virtus et probitas ita elucet, itaque ante aliquot annos non modo vicinas provincias, sed remotissimas etiam regiones pervagata est, ut quemadmodum quatuor Summorum Pontificum, ita etiam plurimorum principum virorum animos ad ipsum mira benevolentia complectendum facile adduxit... unum Hosium in summo hoc Christianae religionis discrimine a Deo Ecclesiae Suae datum, plerique omnes interpretaremur, cuius virtute cum non mediocri multorum utilitate Respublica uti hoc tempore opportunissime posset — tamże, str. 231.*

które czyniły zeń hierarchę godnego papieństwa. Oczy wielu uczestników soboru, u jednych szczerze i życzliwie, a nawet z podziwem, u innych z mniej lub więcej tajoną zawiścią, zwracały się nań, jako nie tyle może utalentowanego polityka i dyplomate w znaczeniu pospolitem tych wyrazów, ile raczej najbardziej może szanownego reprezentanta Stolicy Apostolskiej i rzymskiego katolicyzmu.

Jednym z najlepiej oceniających pomienione wartości Hozjusza w tym czasie był kardynał Otton Truchsess von Waldburg, biskup Augsburga, przebywający w sprawach reformy Kościoła dość często i przez dłuższe okresy w Rzymie, sam również dla dyplomatycznej służby przez Stolicę Apostolską używany, niegdyś, mianowicie w r. 1542, wysłannik papieża do Polski celem pozyskania jej dla projektowanego wtedy soboru powszechnego. Z Hozjuszem znał się jeszcze z czasów, gdy razem w Padwie prawo studjowali,<sup>1)</sup> w okresie zaś nuczatury Hozjusza wiedeńskiej był jednym z tych, którzy, jako najlepiej ze sprawami niemieckimi obeznani, wspierali go stale swą pomocą, wskazówkami i usługami. Gdy pod koniec soboru trydenckiego, w listopadzie 1563 r., zachorował ciężko Pius IV, i liczono się poważnie z jego śmiercią, Hozjusz porozumiewał się sekretnie z Truchsessem i otrzymał odeń zalecenie, aby na pierwszą zaraz wiadomość o śmierci papieża pośpieszył czempredzej do Rzymu. Był mianowicie przekonania Truchsess, że obecność naszego kardynała wówczas w Rzymie będzie dla całego Kościoła użyteczną i że radą swoją, powagą i upomnieniami zdoła on najlepiej pokierować przebiegiem ewentualnego konklawe, wpłynie też na obiór najodpowiedniejszego papieża. Nie tań przytem Truchsess, że gdyby Opatrzność takiego właśnie jak Hozjusz, czyli innemi słowy samego Hozjusza, na stolicę apostolską wyniosła, byłoby to największe dla Kościoła szczęście.<sup>2)</sup>

---

<sup>1)</sup> P. Stanislai Hosii Epistolae, t. I, *Acta hist. res gest. Pol. illustr.*, t. IV, Cracoviae 1879, nr 120.

<sup>2)</sup> List Truchsessa do Hozjusza z dn. 4. XII. 1563: ego libere D. V. Illmae meam sententiam dico, videlicet quod nullo pacto sana multorum consilia de protectione sua ad Urbem negligere debet, atque quam primum de morte pontificis certior facta fuerit, sine mora ad iter

W Polsce już od chwili, kiedy Hozjusz został kardylem, t. zn. od r. 1561, zaczęły odzywać się, jedne więcej, inne mniej szczerze głosy, życzenia, a niekiedy, zdaje się, i obawy, czy to nie jest przypadkiem szczebel tylko do wyższej jeszcze w Chrześcijaństwie godności. Kapituła warmijska przypominała sobie wtenczas, że już dawniej, przed stu zgórą laty, był biskup warmijski, Eneaszy Sylwusz Piccolomini, którego zaszczyt ten spotkał. To też i w życzeniach z powodu kardynałatu Hozjusza, coprawda dość późno, bo dopiero dn. 18 lipca 1561 r. wysłanych, i bodaj czy zupełnie szczerze — ze względu na jawną od początku niechęć niektórych członków — przypomina kapituła Hozjuszowi Eneasza Sylwusza i wypowiada nadzieję, że jak tamten został papieżem, tak i Hozjusz może niebawem następcą św. Piotra się ocknie.<sup>1)</sup> Członek tejże kapituły, siostrzeniec Dantyszkowy, Gaspar Hannow, dzień przedtem śle Hozju-

ingrediat in nomine Domini. Dubium enim mihi non est Illmae D. V. praesentiam toti Ecclesiae profuturam, neque parum incorruptis vestris votis, consiliis et admonitionibus magnum et arduum opus electionis iuvare poteritis. Sed utinam de nobis Deus tandem pontificem qui in omnibus et singulis sit D. V. Illmae simillimus. Scribo haec simpliciter et confidenter, neque inelegantiam literarum mearum erubesco, quam mens mea candida et sincera excusare potest — rkps. Bibl. Czartoryskich 1608, str 143. Podejrzliwi mogliby dopatrywać się w enuncjacji tej Truchsess chęci zjednania Hozjusza dla siebie na wypadek konklawe. Melancholją pewną oraz niewielkiem o niektórych przynajmniej kardynałach mniemaniem trącą następne słowa pomienionego listu, w których Truchsess odpowiada, jak widać, Hozjuszowi na pytanie, z kimby można było, względnie należało, współdziałać co do obioru nowego papieża, gdyby Pius IV umarł: Quod vero ad alteram partem attinet, quibus in tali casu D. V. Illma tuto sua consilia conferre, cum quibus tuto agere et conversari possit, certo fateor me plus difficultatis in hoc, quam in omnibus aliis rebus habere, maxime si considero, quam paucis sint, qui Deignam et Ecclesiae necessitatem prae oculis habeant. Neque parum me terrent propria multorum studia et quibus unice incumbunt commoda, sunt etiam plures qui amicitiam tali maxime tempore simulant magis quam observant. Neque desunt certa et incerta in falsis fratribus pericula, ita quod mihi unicus Deus videtur magis tutus Dominus et consiliarius, in cuius nomine D. V. Illma Romam proficiscatur, refugia sua laxando et gratiam divinam, quae in vobis est maxima, expectando, qui diriget consilia vestra melius quam homines.

<sup>1)</sup> Arch. bisk. w Frauenb., d. 17, fol. 24.

szowi specjalne od siebie powinszowanie i nie bez dużej dozy zwykłego humanizmowi pochlebstwa życzy tjary papieskiej. Byłoby to, mówi, z najwyższym pożytkiem Kościoła, a pragnęłaby tego, jak mu wiadomo, i modli się o to cała lepsza część chrześcijańskiego społeczeństwa. Po deklamatorsku nieco i z patosem rozpisuje się Hannow szeroko, jak bardzo wtedy zabłysłyby wszystkie cnoty Hozjuszowe, kończy zaś zwrotem *Amen*, oby tak się stało.<sup>1)</sup>

Gdy cztery zgórą lata później, wieczorem dn. 9 grudnia 1565 roku, faktycznie zawakowała stolica apostolska, z kilku stron Polski naraz, i to ze źródeł poważnych i o kłamliwość lub schlebianie niepodejrzanych, popłynęły ku Hozjuszowi życzenia, aby on właśnie został następcą zmarłego papieża.

Najpierw więc z Krakowa kanonik tamtejszy i stary przyjaciel Hozjusza, ks. Maciej Drzewicki, dowiedziawszy się o śmierci Piusa IV, już 1 stycznia 1566 pisze, że chciałby aby Hozjusz był wtedy w Rzymie, albowiem „żywoť jego, rozgłos, wiek i nauka godnym go czynią najwyższego kapłaństwa“. Gdyby zaś mimo nawet nieobecności kardynałowie go obrali, niechajże aby nie sprzeciwia się woli Bożej, przez to bowiem i wierze się przysłuży, i ojczyznę polską wsławi. Wiadomem mu jest wprawdzie, że Hozjusz sam nie pragnie tak wysokich zaszczytów, ale niechby przynajmniej rodaków swych i przyjaciół miał na względzie.<sup>2)</sup>

Po Drzewickim Piotr Barzi, kasztelan przemyski i starosta lwowski, współpracownik Hozjusza oddany w sprawach katolicyzmu w Polsce i wykonawca gorliwy zleceń jego w kwestji ratowania ziem ruskich od protestantyzmu, pismem

<sup>1)</sup> Rkps Bibl. Czart. 1605, str. 1021 i nn.

<sup>2)</sup> In vigilia Nativitatis Dni venit nuncium nona decembris pontificem Pium IV obiisse (zaledwie więc 15 dni szła wiadomość o śmierci papieża z Rzymu do Krakowa)... Optarem D. Vram R. nunc Romae esse, nam eius vita, fama, aetas et scientia digna summo sacerdotio habetur. Si omnipotens Deus mira dispositionis suae providentia hoc ordinaret ut absens eligatur prout aliis contigit, rogo ne contradicat divinae voluntati, hoc enim facto glorificabit Deum et patriam nostram reddet clariorem, et nos obsequiis suis perpetuo devinctet. Scio D. Vram Rmam tantum honoris fastigium non desiderare, sed nostri potius misereatur — rkps Bibl. Czart. 1607, str. 561.



z dn. 26 stycznia 1566 r. donosi Hozjuszowi bolesną wieść o śmierci papieża, a zaraz potem upstrzoną przez łacinę polszczyzną dodaje: „oby następca był dobry, święty i cnotliwy, a jeźliże iudicium wiele mądrych i dobrych ludzi dojdzie, w Alspergu pastorem szukać będą“. Ważniejszym jeszcze jest, co dalej mówi, że jest to nie tylko jego osobiste pragnienie: „Nie mówię to iudicio albo affectu meo privato, ale multorum, życząc tego szczęścia wszystkiemu chrześcijaństwu. Confirmet hoc deus“. <sup>1)</sup>

Kilka dni później, dn. 29. stycznia 1566, biskup poznański, Adam Konarski, mąż również poważny i dobrze dla swej diecezji zasłużony, w czym ulegał starannie wskazaniom Hozjusza, notyfikuje mu, że śmierć Piusa IV jest stratą dla Polski dotkliwą, pociechą jednak w tej przykrości byłoby, gdyby Opatrzność na ciężkie owe i dla kraju, i dla wiary czasy na Polskę wejrzała i wyniesieniem naszego kardynała do papiestwa kraj polski opromieniła. Liczne są powody, mówi, dla których należałoby się modlić o to, głównie zaś troska o stan Kościoła i miłość cnoty. <sup>2)</sup>

Bez podpisu i daty mamy list jeden do Hozjusza z tego napewno czasu, zdaje się, przez kanonika Piotra Poremskiego z Krakowa pisany, wyrażający żal, że podczas konklawe nie było Hozjusza w Rzymie, napewnoby bowiem cnota jego, świętobliwość i obycie ze sprawami różnemi sprawiły, że jegoby papieżem obrano. Jak niegdyś Piotra Celestyna, w lesie poza Rzymem ukrytego, Hadrjana zaś, przebywającego w Hiszpanji, obrano na stolicę Piotrową, tak autor listu prosił Boga, aby teraz i z Hozjuszem się

<sup>1)</sup> Rkps Bibl. Czart. 1607, str. 589. Zdaje się, że razem z listem tym otrzymał Hozjusz i wiadomość od Drzewickiego o wyborze Piusa V — por. tamże, str. 609.

<sup>2)</sup> *Non aliam hoc in casu consolationem nobis optaremus, quam si Deus... in tanta praesertim regni nostri necessitate et religionis vacillatione nationem nostram benigne intueretur, et nos omnes dignitate Illumae D. Vestrae provecta consolaretur. Quod ut precemur diligentius, multa sunt quae nos adducunt: maxime tamen religionis studium et pietatis amor* — Arch. bisk. w Frauenb. D. 15, f. 29. List ten otrzymał Hozjusz dopiero 21. II. 1566; w czasie tym, zdaje się już wiedział, że papieżem został Pius V — por. niżej, str. 19 n.

wydarzyło; wolałby atoli, żeby Hozjusz był w Rzymie, aniżeli u siebie w Warmji.<sup>1)</sup>

O nastrojach zagranicznych w tej sprawie dowiadujemy się też z listów młodego wojewodzica chełmińskiego, Mikołaja Działyńskiego, i kanonika płockiego, Marcina Goślickiego. Obydwa pisane były do Hozjusza: pierwszy datowany z Rzymu dn. 9 lutego 1566 r., drugi z Płocka dn. 25 marca tegoż roku. Działyński donosi o obiorze nowego, dobrego papieża, i że, jak to już w poprzednim piśmie zaznaczył, wielu było takich, którzy pragnęli obecności polskiego kardynała w stolicy Chrześcijaństwa.<sup>2)</sup> Oczywiście, mą tu na myśli czas konklawe. Goślicki pisze o liście bratanka swego, Wawrzyńca, późniejszego autora dzieła *De optimo senatore* i biskupa, nadesłanym z Bolonji, w którym Wawrzyniec komunikuje stryjowi, że gdyby Hozjusz był w czasie konklawe w Rzymie, bezwątpienia byłby obrany papieżem. Wielu bowiem, a nawet wybrany nowy papież, Pius V, często Hozjusza, jako kandydata wymieniało.<sup>3)</sup> Goślicki podaje tu niewątpliwie wiadomości, które dotarły do kół uniwersyteckich w Bolonji. Czerpiemy z listu jego szczegół nowy,

<sup>1)</sup> Utinam D. V. fuisset Rhomae tempore creationis praesentis pontificis quia certe virtus, sanctitas et conversatio vestra fecisset D. T. ascendere a pontificatu. Ego legi multa et praeveni, quod ille Petrus Czelestinus erat in silva et fuit electus pontifex. Adrianus erat in finibus Hispaniae et fuit electus pontifex. Ego illo tempore rogavi et rogabam omnipotentem Deum ut similiter D. V. contigisset, desiderassem D. V. magis esse Rhomae quam ubi est — Arch. bisk. w Frauenb. D. 15, f. 31. Autor listu w dalszym ciągu mówi o dotkliwej chorobie podagry, która go trapi, a właśnie Porębskiego nazywa Hozjusz stale podagricus; dalej autor listu jest w bliskich, prawie rodzinnych, stosunkach z Hozjuszem, a takim był Porębski. Stąd przypuszczenie nasze, że to on list napisał — por. rkps. Bibl. Jag. 60, str. 1131; Arch. bisk. w Fr. D 14 f. 69 i 71; D 33, f. 101; D 72. f. 49.

<sup>2)</sup> De pontifice quidem novo, non dubito R. P. V. notum esse: quem certe Ecclesiae gregique commisso utilem futurum persuasum habemus: certe, ut antea ipsi significavi, plurimi hic R. P. V. praesentiam desiderabant — rkps Bibl. Czart. 1608, str. 247. Ciekawym dla nas byłby ów „poprzedni” list Działyńskiego, niestety, nie natknęliśmy się nań i, jak do tej pory, nie wiemy, czy wogóle doszedł do Hozjusza i przechował się.

<sup>3)</sup> Scripsit mihi Laurencius nepos meus germanus ex Bononia quod si Illma D. Vra Romae fuisset sede vacante, procul dubio in sum-

coprawda, zdaje się, na pogłoskach tylko oparty, wcale jednak nie nieprawdopodobny, że między innymi za kandydaturą Hozjusza wypowiadał się i świątobliwy dominikanin, kardynał Michał Ghislieri, który sam w końcu z konklawe tego wyszedł papieżem.<sup>1)</sup>

W świetle powyższych świadectw zyskuje na wadze i komunikat Kłodzińskiego oraz wymieniony wyżej przekaz Pogiana o zachowaniu się kardynała Simonetty. Ani jeden, ani drugi nie kłamał. Kłodziński w dalszym ciągu listu swego podaje więcej szczegółów, związanych z konklawe i mających potwierdzenie w innych źródłach, wnosimy więc, że i w przedmiocie kandydatury Hozjusza przytoczył rzeczy prawdziwe, chociaż ogólnikowo ujęte. Owi „wielu innych“,<sup>2)</sup> którzy według niego pragnęliby przyjazdu Hozjusza na konklawe, to niezawodnie liczni przyjaciele naszego kardynała w Rzymie, a więc najpierw Polacy tam przebywający, dalej niektórzy ze świata nauki, duchowni włoscy i obcy, ci których Hozjusz łaskami i dobrodziejstwami swemi, czy to za pobytu w wiecznem mieście, czy na soborze trydenckim, czy choćby z diecezji swojej warmińskiej hojnie obdarzał.

Co do Pogiana, wobec tego, że był on człowiekiem bliskim i Simonetty, i Hozjusza, uwzględniając zwłaszcza możliwość porozumienia się późniejszego obydwu tych mężów i skąd inąd nawet łatwość sprawdzenia rzeczy, trudno przypuścić, aby przysyłał wiadomości przez siebie zmyślane i nie mające podstaw żadnych. Z drugiej atoli strony konklawe po śmierci Piusa IV było daleko ściślej zamknięte i tajemniczością okryte, aniżeli poprzednie,<sup>3)</sup> i nie przypuszczamy, aby o epizodzie Hozjańskim Pogiani usłyszał od samego Simonetty. Sądzymy więc, że i on donosił tylko rzeczy z ust do ust przez osoby trzecie powtarzane.

*mum pontificem electa fuisset. Nam a multis, etiam ab eo, qui in locum defuncti electus est Pius quintus sepius Vra Ill. D. mentionem habuisset. Sed fortuna invidit idoneitati atque virtuti — rkps*  
Bibl. Czart. 1607, str. 656.

<sup>1)</sup> Pewne wnioski co do tego punktu możnaby wyciągnąć ze szczególniejszej przyjaźni i pełnej uznania życzliwości, którą Pius V Hozjuszowi w czasie pontyfikatu swego wyraźnie okazywał.

<sup>2)</sup> D. wyżej str. 4.

<sup>3)</sup> Pastor, I. c., str. 8 nn. 16, 25.

Godzi się z tem i brzmienie jego przekazu.<sup>1)</sup> Ponieważ zaś pisze dopiero dwa lata po wypadkach, nie jest wykluczone, że płacze coś nie coś, albo w szczególności którym przesadza, fakt jednak zasadniczy wysuwania kandydatury przez część kardynałów, a głównie przez Simonettę, wydaje się być niewątpliwy.

Przemawia za nim i okoliczność, że z wielu stron domagano się wtedy papieża bardzo świątobliwego i w naukach teologicznych biegłego.<sup>2)</sup> Wprawdzie uczestniczyli w konklawe trzej członkowie św. kolegium, którzy w sposób wydający czynili zadość tym wymaganiom a zwłaszcza pierwszemu, kardynałowie, Ghislieri, dominikanin, Dolera, franciszkanin, i nepot zmarłego papieża, Karol Boromeusz, ale pierwsi dwaj byli zakonnikami, a wyniesieniu zakonnika opierał się bardzo stanowczo aż do ostatniej prawie chwili drugi wpływowy nepot Piusa IV, kardynał Altaemps,<sup>3)</sup> późniejszy zaś święty Karol Boromeusz był naówczas zbyt młodym na papiestwo tak, że kandydatury jego wcale w rachubę nie brano.<sup>4)</sup> Jest więc zrozumiałe, że w warunkach takich, zanim zdecydowano się ostatecznie na Ghislierego, czy nie tylko Simonetty, ale i innych mogły zwracać się ku Hozjuszowi, mimo nawet, że był nieobecny, a to ze względu i na świątobliwość niezwykłą, i naukę wyjątkową, którą wszyscy w nim uznawali, i na stosunki szeroko we wszystkich sferach, nie wyłączając panujących, rozgałęzione, i na znajomość doskonałą potrzeb Kościoła ówczesnych, zwłaszcza w dziedzinie aktualnej wtedy reformy trydenckiej i walki z protestantyzmem.

Odnosnie jeszcze do samego Simonetty, wiemy, że już dawniej wysoko cenił Hozjusza. Mianowicie z okresu wspólnego przewodniczenia na soborze trydenckim, w związku z chorobą, na którą Hozjusz w maju 1562 r. nieco ciężiej zapadł, mamy zanotowane zdanie Simonetty, że „strata Hozjusza byłaby dla wiary niepowetowana, niełatwo bowiem

<sup>1)</sup> P. wyżej, str. 4, przyp. 2.

<sup>2)</sup> Pastor I. c., 13, 18, 27, 33, 34; Herre, I. c., 109, 117 n., 123.

<sup>3)</sup> Pastor I. c., str. 24, 27; Herre, I. c., str. 105 nn. 114, 116, 125 n.

<sup>4)</sup> Urodził się Karol Boromeusz 2. X. 1538 r., miał więc w chwili konklawe zaledwie lat 27.

byłoby o drugiego, któryby mu dorównywał dobrocią i rozumem".<sup>1)</sup> A i później, po powrocie Hozjusza do Warmji, choć na odległość, łączyły obydwu węzły szczególnie przyjazne, ze strony Simonetty przepojone czcią i respektem, ze strony zaś Hozjusza, mimo jego prostoty i skromności wielkiej, jak gdyby wdzięczne. Dowodem tego są listy, najpierw byłego nuncjusza papieskiego w Polsce, kardynała Commendone, z dn. 16 listopada 1566 r., następnie Pawła Zajączkowskiego, datowany dn. 1 maja 1568 r., a wkońcu list samego Hozjusza do króla polskiego z dn. 14 października 1571 roku, wszystkie trzy pisane z Rzymu. Pierwszy daje świadectwo życzliwości dużej i oddania Simonetty dla Hozjusza,<sup>2)</sup> drugi donosi naszemu kardynałowi o zaszłej świeżo śmierci jego rzymskiego przyjaciela i przytacza panującą w Rzymie powszechnie opinię, że był to najwierniejszy i najbardziej bezinteresowny z przyjaciół Hozjuszowych.<sup>3)</sup> W trzecim sam Hozjusz komunikuje, że na prośbę jego został przez papieża wysłany do Neapolu w sprawie czynszów, Zygmuntowi Augustowi należnych, prałat Aleksander Simonetta, brat zmarłego kardynała, jak się wyraża Hozjusz, „owego wielkiego przyjaciela mego”.<sup>4)</sup>

Należy teraz określić kiedy, t. zn., w jakim dokładnie momencie, w samem konklawe, czy przed niem, kandydatura Hozjusza mogła być wysunięta. Odpowiedź nam ułatwi przyjrzenie się, oczywiście zgrubsza, przebiegowi wypadków po śmierci Piusa IV, odtworzonemu tutaj na podstawie źródeł wyłącznie oficjalnych.

Pierwsze dziewięć dni według obowiązującego prawa poświęcone były modłom za zmarłego, przyczem kardynałowie zbierali się codziennie na godzin kilka dla załatwiania

<sup>1)</sup> P. Eichhorn, l. c., II, str. 84.

<sup>2)</sup> Commendone do Hozjusza: *Sum locutus cum Cardinali Simonetta, cuius in hisce negotiis et magna est auctoritas, magnusque usus, et par erga D. V. illam amorem et observantiam.* — Arch. bisk. w Frauenb. D. 24, fol. 17.

<sup>3)</sup> *Fidelissimus et integerrimus amicus* — rkps Bibl. Czart. 1608, str. 375.

<sup>4)</sup> *Fratrem cardinalis, illius magni amici mei* — rkps Bibl. Czart. 1612, str. 573.

spraw bieżących.<sup>1)</sup> Przy okazjach tych mówiono niewątpliwie i o kandydatach różnych oraz widokach ich przejścia. Na konklawe weszli kardynałowie dn. 19 grudnia, zamknięto je jednak i zamurowano dopiero o północy z 20 na 21. Z pomiędzy ugrupowań różnych najpoważniej przedstawiała się grupa kardynałów kreowanych przez Piusa IV z Karolem Boromeuszem na czele, który, choć młody, zdecydowany był jednak nie wypuszczać inicjatywy z rąk swoich i swoim kandydatem tron papieski obsadzić.<sup>2)</sup> Do grupy tej należał i Simonetta, który, niewątpliwie na zalecenie Boromeusza wystąpił 19 grudnia za obraniem kardynała Morone, ale już jednak 24 grudnia kandydatura Morona okazała się nierealną.<sup>3)</sup> Po wypadku tym zaczęło się znowu rozglądanie za kandydatami i wymienianie nazwisk rozmaitych, dopóki dnia 7 stycznia 1566 r. nie została pozyskana większość dla kardynała Ghislieri, poczem zaraz nastąpił jednomyślny wybór tego ostatniego.<sup>4)</sup>

Uważamy zatem że wysuwany był Hozjusz przez obóz kardynałów Piusa IV, czasem zaś, w którym o nim myślano, były albo pierwsze zaraz dni po śmierci zmarłego papieża, jeszcze przed rozpoczęciem konklawe, dopóki nie zwrócono uwagi, że to niewskazane, i wtedy Simonetta zaczął akcję na rzecz Morona, albo który z dni po 24 grudnia, poprzedzających skierowanie się ku obranemu w rezultacie Piusowi V. Tak jednak czy owak, nie sądzę, aby kandydatura ta była stawiana formalnie i braną pod rozagę wszystkich kardynałów przy urzędowych, uroczystych głosowaniach, raczej mniemam, że wysuwał ją Simonetta i zapewne inni oprócz niego kardynałowie w sposób czysto prywatny, jeżeli tak powiedzieć można, próbny, w kołach ściśle zamkniętych, a dopiero wiadomości, pogłoski i plotki, rozchodzące się poza konklawe, zrobiły z niej, co nie odpowiada prawdzie, kandydaturę formalną, dyskutowaną na plenum i przegłosowywaną. W ten tylko sposób tłumaczymy sobie, dlaczego,

<sup>1)</sup> Pastor, I. c., str. 3 i 6. Por. i Cyprianus I. c., str. 400 n.

<sup>2)</sup> Pastor, I. c., 16 i nn.; rkps Bibl. Czart. 1610, str. 334.

<sup>3)</sup> Pastor, I. c., 20 i nn.; Herre, I. c., 114 n.

<sup>4)</sup> Pastor, I. c. 30 i nn.

choć wysuwana, nie znalazła żadnego odbicia w oficjalnych, lub półoficjalnych sprawozdaniach konklawowych. Z tego względu i z pośród obu wymienionych przed chwilą terminów; termin jej wysuwania przed konklawe wydaje nam się bardziej prawdopodobny od drugiego, po 24 grudnia.

W korespondencji Hozjusza mamy jeszcze wzmianki o dwóch listach agenta polskiego w Rzymie, ks. Jerzego z Tyczyna, wysługującego się między innymi i Hozjuszowi i zazwyczaj dość dokładnie informującego patronów swoich o sprawach, któreby ich obchodzić mogły. Jeden z nich został wysłany 12 stycznia i traktował o wyborze Piusa V, drugi zaś był wcześniejszy, a mówił, jak wnosimy, o konklawe.<sup>1)</sup> Niestety, do tej pory nie miałem możliwości dowiedzenia się czegokolwiek o ich istnieniu i nie mam pewności, czy się wogóle dochowały, sądzić zaś mogę, że znalazłby się w nich niejeden ciekawy dla tematu naszego szczegół. Podobnie, jak dotąd, napróżno szukałem dwóch listów dawnego spowiednika Hozjuszowego w Rzymie,<sup>2)</sup> jezuity, o. Jana Polanco, donoszących „obszernie“ o obiorze nowego papieża, pisanych 15 i 19 stycznia. Że były wysłane i że je Hozjusz otrzymał, wiadomo z odpowiedzi jego, datowanej 31 marca 1566 r.<sup>3)</sup> I te listy byłyby dla nas nie bez interesu.

Zgodnie z zapowiedzią wypada nam teraz rozpatrzyć, jak sam Hozjusz zachowywał się w sprawie możliwej kandydatury swojej na papieństwo i pogłosek, które na ten temat szerzono.

W korespondencji jego, mimo przerobienia pokażnej już liczby pism, nie znajdujemy niczego, co by dawało odpowiedź wyraźną w tej materji. Wezwanie urzędowe na konklawe doszło do rąk jego bardzo późno, bo dopiero 1 kwietnia, prawie trzy miesiące po obiorze Piusa V. W liście do Marcina Kromera drwi sobie z tego powodu i zapytuje,

---

<sup>1)</sup> Rkps Bibl. Jag. 60, str. 351, Hozjusz do Kromera, Heilsberg 10 Cal. Martii 1566: *Ticinii litteras unas tantum accepi de novi pontificis electione, quas 12 Januarii dederat. Priores, quarum facit mentionem, non sunt mihi redditae.*

<sup>2)</sup> P. rkps Bibl. Jag. 60, str. 675.

<sup>3)</sup> Monum. hist. Soc. Jesu, Epistolae Nadal, tom II, Matriti 1899, str. 663. Por. w temże wydawnictwie Polanci Complementa, I, nr 122.

„jak też sądzisz, czy zdążę jeszcze dojechać?“<sup>1)</sup> Życzenia wszelkie odnośne pomija milczeniem, jak gdyby ich wcale nie dostał. Czynił tak raz dla tego, że nie wypadało mu na nie odpowiadać, a powtóre, bo lekceważył je zupełnie i nie przywiązywał żadnej do nich wagi. Orientując się dobrze w sytuacji, wiedział, że są to rzeczy niezaszczalne, mniemania o sobie w porównaniu z innymi członkami św. kolegium, czynnymi w Kurji, był niewielkiego, przechodził więc do porządku dziennego nad wszystkim, co o widokach wyboru jego na papieństwo mówiono.<sup>2)</sup> Niezawodnie i wobec otoczenia swego okazywał obojętność zupełną w stosunku do tych życzeń i koncepcyj i, być może, właśnie ta obojętność doskonała była powodem, że i domownicy jego dużej wagi do nich nie przywiązywali. Być może, tu właśnie znajdziemy wyjaśnienie, dlaczego ani Reszka, ani Treter o kandydaturze Hozjusza na stolicę apostolską nie mówią,<sup>3)</sup> chociaż pogłoski różne w tej sprawie niezawodnie i do nich doszły. W każdym razie, jeżeli w końcu r. 1563 obserwujemy w życiu i postępowaniu Hozjusza niepokój pewien, zainteresowanie się ówczesną chorobą Piusa IV i spodziewaną zmianą, pragnienie odegrania jakiejś roli w przewidywanym konklawe,<sup>4)</sup> to teraz, mimo wrodzonej mu nerwowości, notujemy u niego niczem jakgdyby niezachwiany spokój, bez cienia jakiegokolwiek oczekiwania, zwykłego u ludzi, których osoby przy tak poważnym awansie w grę wchodzić mogły. O pożądanym i możliwym obiorze jego mówi ludzie, zdala odeń będący, na dworze Heilsberskim o tem cicho: podobnie on sam, jak i otoczenie jego myśli żadnej o tem nie zdradzają, zdaje się, wcale jej nawet nie dopuszczają.

O elekcji nowego papieża dowiedział się Hozjusz już w początkach lutego 1566 r. Jednym z pierwszych, który mu

<sup>1)</sup> Heilsberg, 4 nonas Aprilis 1566: Heri literas a Cardinalibus accepi, quibus ad conclave vocor. Putasne me satis mature venturum? — rkps Bibl. Jag. 60, str. 1133.

<sup>2)</sup> Jak naprawdę mało dbał Hozjusz o zaszczyty, maluje krótko, lecz najlepiej, żywotopisarz jego, Treter, w wierszowanym *Theatrum virtutum*, gdy mówi w odzie 91 o pokorze Hozjusza: Nullos quaesivit, nullos ambivit honores, Sponte sibi oblatos vidit et obstupuit.

<sup>3)</sup> Por. wyżej, str. 263 n.

<sup>4)</sup> Por. wyżej, str. 266.



wiadomość o tem przesłał, był podkanclerzy państwa polskiego, Piotr Myszkowski.<sup>1)</sup> Prócz niego pisał doń o tem z Wilna, ode dworu, Jan Ławski,<sup>2)</sup> i kanonik Maciej Drzewicki z Krakowa.<sup>3)</sup> Z Rzymu, jakieśmy widzieli przed chwilą, pośpieszyli z wiadomością odnośną Jerzy z Tyczyna i jezuita, Jan Polanco.<sup>4)</sup>

Obiór Piusa V był dlań do pewnego stopnia niespodzianką. Kromer, który pozostawał w stałej i częstej korespondencji z Hozjuszem i jako bliski przyjaciel jego mógł znać dobrze poglądy jego w sprawie przypuszczalnych wyników konklawe, pisze doń, że pewnie nawet mu się nie śniło, iż Ghislieri zostanie papieżem.<sup>5)</sup> Hozjusz tymczasem przyjął wiadomość o obiorze Piusa V z największą radością. „Takiego właśnie na te czasy potrzeba nam papieża“, odpisuje Polancowi, „świętego któryby nie tyle nauczaniem samem, co przedewszystkiem życiem własnem przodował wiernym i dawał przykład, jak żyć po katolicku należy.“<sup>6)</sup> Podobnie wyraził się i w liście do Franciszka Torresa, za przyjaźnionego z sobą i wspieranego przez siebie wybitnego teologa rzymskiego, późniejszego jezuitę. Pisze w nim o Orzechowskim, który nie przestawał zabiegać o uprawnienie małżeństwa swego, że teraz, przy Piusie V, o wiele mniej może na to liczyć, aniżeli dawniej za Piusa IV, i znów wychwala nowoobranego papieża, mówiąc, że taki właśnie jest obecnie potrzebny; co więcej, pisze dalej, gdy był roku ubiegłego na sejmie piotrkowskim, to i tam dawały się słyszeć głosy, które pragnęły dla Kościoła takiego, jak Pius V, ojca Chrześcijaństwa.<sup>7)</sup>

<sup>1)</sup> Bibl. Linköping 24, epla 53.

<sup>2)</sup> Rkps Bibl. Czart. 1609, str. 61.

<sup>3)</sup> Rkps Bibl. Czart. 1607, str. 609.

<sup>4)</sup> P. wyżej, str. 275.

<sup>5)</sup> Rkps Bibl. Czart. 1610, str. 325, list z 22. II. 1566: Pontificem eum fore qui creatus est somniasti ne tu unquam.

<sup>6)</sup> *Mon. hist. Soc. Jesu*, Nadal, II, str. 663. W następstwie atoli nie-nazbyt zadawalające otrzymywał Hozjusz wiadomości o początkowych miesiącach rządów Piusa V. Wyraz temu dał w liście swym do Polanca z dn. 8. VI. 1566 r. — *Mon. hist. Soc. Jesu*, Polanci Complementa, I, nr 122.

<sup>7)</sup> *Hosii Opera omnia*, I. c., str. 226: *Orechovius...* ut uxor esse legitima decernatur, laborare non desinit. Sed minus erit, quod speret nunc, quam sub Pio IV. Mihi quidem haec tempora talem Pontificem

Zaraz też po upewnieniu się, że faktycznie Pius V został obrany, pośpieszył Hozjusz powinszować mu osiągniętej godności. W piśmie odnośnem wyraża najpierw szczęście, że prędzej, aniżeli można było się obawiać, papież nowy został obrany, a następnie, że nim został Pius V, o którym jest pewien, że najlepiej odpowie wymaganiom chwili, poleca również opiece jego sprawy państwa i Kościoła polskiego.<sup>1)</sup>

Jak małą przywiązywał wagę do rzucanych tu i ówdzie pogłosek o kandydaturze swojej i jak dalekim był od jakiegokolwiek myśli wyniesienia swego, albo porzucenia dotychczasowej placówki, czy trybu życia, wskazuje nie tylko, że nie widzimy w nim niczego w tym czasie, coby nadzieją lub widokami możliwej zmiany trąciło, ale owszem, więcej jeszcze bodaj, niż kiedykolwiek indziej, pochłonięty jest cały dotychczasowemi zwykłemi dla siebie obowiązkami, kontynuacją konsekwentną i spokojną dotychczasowych zajęć publicznych czy prywatnych, które był rozpoczął, albo które nań świeżo spadały.

Zajmują go więc najpierw sprawy diecezji jego warmijskiej. Poza czysto administracyjnymi i gospodarczemi, dotyczącemi majątków biskupstwa, poza pracą nad wyrugowywaniem protestantyzmu, który, zwłaszcza pod kilkuletnią nieobecność Hozjusza, i tutaj się zagnieździł, w sierpniu 1565 r. odbył był synod diecezjalny,<sup>2)</sup> teraz zaś musiał dopilnowywać wprowadzenia uchwał jego w życie. Obok

---

*requirere videbantur, ac quod magis mireris, etiam in Comitibus nostris Petricoviensis, cum fuisset anno proximo superiore, non defuere magni quidam viri, qui talem Pontificem Ecclesiae dari cuperent.* W podobnych zapewne słowach chwalił Hozjusz obiór Piusa V i w liście do kardynała Sabelli z 28. II. 1566, Sabelli bowiem odpowiada na list ten i ze swojej strony wynosi Piusa V — p. Arch. bisk. w Fr. D 24, fol. 74. Por. też, co mówi Hozjusz o pobożności i świętości Piusa V w liście do Polanca z dn. 5. VIII. 1566 r. — *Mon. hist. Soc. Jesu*, j. w., nr 125.

<sup>1)</sup> Hosii *Op. omn.*, I. c., str. 223. W odpowiedzi na ten list Pius V w serdecznych słowach dziękuje Hozjuszowi za nadesłane życzenia, prosi Boga, aby mógł odpowiedzieć we wszystkim nadziejom Hozjusza, obiecuje też i o królestwie Polskiem nie zapominać — tamże, str. 224.

<sup>2)</sup> Eichhorn, I. c. II, str. 170 i nn. Odpis statutów tego synodu, w końcu XVI w. dokonany, znajduje się w rękopisie, zatytułowanym „Staropisy Tomasza Tretera“, w Archiwum Treterianum w Lwowie.

tego musiał i reformę trydencką wśród kapituły swojej, kleru i wiernych diecezji przeprowadzać, czuwać też nad przyjęciem jej faktycznem i trzymaniem się i wreszcie państwa, tembardziej, że w listopadzie 1565 r. wyjechał był nuncjusz Commendone,<sup>1)</sup> a Hozjusz sam został na kilka miesięcy w Polsce, jako oko i ucho Stolicy Świętej.<sup>2)</sup>

W kwestji ucierania się z protestantyzmem najwięcej kłopotów sprawiał mu stale, jak dawniej, nadmorski Elbląg, będący miastem królewskiem, podległy atoli jurysdykcji duchownej Hozjusza. W naszym czasie pozbawiony był całkiem kapłana katolickiego bo, jak pisał uprzednio ówczesny nominalny proboszcz elbląski, przebywający stale na dworze królewskim, Mikołaj Kos, z dwóch osadzonych przezeń w Elblągu duchownych jeden umarł od zarazy, a drugi odpadł do herezji, nikogo zaś nie może znaleźć, ktoby chciał pójść na przykre warunki elbląskie.<sup>3)</sup>

Bardzo wiele starań w czasie tym poświęca Hozjusz założonej przez siebie szkole brunsberskiej, powierzonej Jezuitom, sprowadzonym świeżo do Warmji. Szkoła ta, od kilku zaledwie miesięcy uruchomiona, tem większej zatem opieki wymagająca, zdążyła już oprócz dzieci poddanych biskupstwa warmijskiego skupić w sobie w dość pokaźnej liczbie i młodzież szlachecką oraz mieszczańską z Polski całej, ale z powodu agitacji przeciwko niej protestantów, braku harmonji wśród pierwszych wychowawców, więcej zaś jeszcze z przyczyny wybuchłego niebawem i Brunsberdze również zagrażającego moru przechodziła trudne bardzo chwile i o mało nie uległa rozpadnięciu.<sup>4)</sup>

<sup>1)</sup> Eichhorn, l. c., str. 240.

<sup>2)</sup> Wyślany do Polski nowy nuncjusz, opat Juljusz Ruggieri, przybył dopiero w połowie 1566 r. Por. Eichhorn, l. c., str. 247.

<sup>3)</sup> P. rkps Bibl. Czart. 1607, str. 501. Por. tamże, str. 505, 565, 603, 639, 663, a nadto rkps Bibl. Jag. 60, str. 347 i Arch. bisk. w Fr. D 14, f. 44; D 17 f. 42. Por. i Hartknoch, Preuss. Kirchenhistoria, Frankfurt u. Leipzig 1686, str. 992 i nn.

<sup>4)</sup> Eichhorn, l. c., str. 177 nn. Por. rkps Bibl. Czart. 1607, str. 477, 481, 489, 505, 583, 617, 743, 1341; rkps 1610, str. 321; rkps Bibl. Jag. 60, str. 351, 499, 1127; Arch. bisk. w Fr. D 14, f. 38, 45; D 33, f. 99; *Mon. hist. Soc. Jesu*, Nadal II, 669 i nn., 673; Nadal III, 45 i nn.; Borgia IV, 168, 171, 214, 222.

Obok szkoły dla młodzieży świeckiej postanowił był Hozjusz w myśl nakazów trydenckich założyć u siebie seminarjum duchowne, któreby, będąc również pod zarządem jezuitów, dostarczało mu potrzebnego do pasterzowania w diecezji jak najliczniejszego i dobrego kleru.<sup>1)</sup> Dotychczas miał go w Warmji bardzo niewiele, w braku zaś kandydatów odpowiednich zmuszony był oddawać niejednokrotnie stanowiska takim, jacy się trafiali,<sup>2)</sup> i z obczyzny, a mianowicie ze Śląska, a nawet z odległych Niderlandów ściągając duchownych dla pracy u siebie. Sprawa więc założenia seminarjum bardzo mu w tym czasie leżała na sercu. Właśnie na wzmiankowanym wyżej synodzie diecezjalnym zapadła była i co do tego uchwała, teraz zaś należało przystąpić do jej realizacji. Mało mu było dalej osadzenia jezuitów w Warmji, powziął plan rozpowszechnienia ich i w innych diecezjach polskich, i nad tem więc teraz gorliwie pracuje, zabiegając jednocześnie i u poszczególnych biskupów polskich, i w jeneralskiej kurji jezuickiej w Rzymie. Właśnie w miesiącach styczniu i lutym 1566 r. mamy kilka ciekawych listów z tej materji.<sup>3)</sup>

Całą akcję powyższą paraliżował zatarg przykry, jaki miał z kapitułą swoją warmijską. Stosunki z nią nigdy nie były dosyć szczere. Sprzeciwiała się niegdyś przyjęciu go do Warmji, później miał w niej wprowadzić jednostki gorliwsze o chwałę Bożą, życzliwsze sobie i oddane, częściowo przez siebie do niej wprowadzone, jak Gaspar Hannow, Samson a Worein, Jakób Tymmermann, Jan Leomann, Jan Grodziecki, Marcin Kromer, Walenty Kuczborski, z tych jednak część nie rezydowała w Warmji, ogół zaś poza wymienionymi politykował z nim tylko, kłaniał mu się i schlebiał, dary, gdy mu był potrzebny, składał, poza tem zaś

<sup>1)</sup> Eichhorn, l. c., str. 186.

<sup>2)</sup> Jakiego rodzaju pasterze zdarzali się wtenczas w Warmji, wskazuje list kanonika Samsona a Worein do Hozjusza z dn. 20. II. 1566 (Arch. bisk. w Fr. D 14, f. 52): Sacerdos Sebastianus parochus de Schönerberck tam est insolens, tam injurius parochianis et vicinis suis, ut sine offenculo aegre tolerari queat diutius. Przymioty tego kapłana główne to: niekarny, zabójca, zasuspendowany, podpalacz, napastnik, ciągle z mieczem chodzący. Por. też Eichhorn, l. c., str. 173, przyp. 3.

<sup>3)</sup> Por. *Mon. hist. Soc. Jesu*, Nadal II, 669 i nn. 673.

sabotował jego pracę, albo wręcz nieprzyjaźnie się do niej ustosunkowywał.<sup>1)</sup> W zatargu tym z kapitułą, nie chcąc zejść z terenu prawnego, a jednak dać poznać nieposłusznym, że jest ich biskupem, zasięga rady, u mającego opinię doskonałego znawcy praw kościelnych kanonika płockiego, Pawła Głogowskiego.<sup>2)</sup>

Ze spraw krajowych oprócz zwykłego mu czuwania ogólnego nad stanem i postępami katolicyzmu w Polsce, a obok tego skupiania i godzenia powaśnionych z sobą biskupów, rzeczą, która go w tym czasie niepokoić bardziej i zajmować mogła<sup>3)</sup> była tocząca się akurat wtedy, zmierzająca do rozvodu pary królewskiej, sprawa wyjazdu królowej z Polski, na co Zygmunt August dał już był chętną zgodę swoją i ku czemu przez dziwną dezorientację skłaniał się przez czas pewien nawet prymas królestwa, arcybiskup Uchański. Ostrzeżony przez podkanclerza Myszkowskiego,<sup>4)</sup> Hozjusz zachowywał się w niej zrazu jak gdyby z rezerwą, niemniej nie spuszczał jej z oka i o każdym szczególe, jej dotyczącym, odbierał natymiastowe informacje.<sup>5)</sup> Miała ona dla niego specjalnie przykry posmak, albowiem i w kraju, i za granicą, wbrew wszelkiej oczywistości, rozpuszczano złośliwe pogłoski, że i on również sprzyja rozwodowi, a nawet wziął na siebie troskę o jego przeprowadzenie.<sup>6)</sup>

Dużo również kłopotu przyczyniały mu, jak je nazywał, zdradzieckie *motus in vicinia*, mianowicie agitowana wtedy tajemnie w Prusach Książęcych, a przez mającego „długie uszy” Hozjusza odkryta, próba rozerwania węzła, który łączył je z Polską. Tem więcej był Hozjusz sprawą tą zaniepokojony, że nie wszyscy u dworu królewskiego skłaniali

1) Rkps Bibl. Jag. 60, str. 343 i nn. 347, 351, 1132; Bibl. Czart. 1607, str. 655, 677, 681, 705, 735; Bibl. Czart. 1610, str. 358; Arch. bisk. w Fr. D. 14, f. 40.

2) Arch. bisk. w Fr. D. 14, f. 40; rkps Bibl. Czart. 1607, str. 735.

3) Por. rkps Bibl. Jag. 63, str. 142.

4) Arch. bisk. w Fr. D. 15, fol. 27.

5) Eichhorn, l. c., 241 i nn.; Bibl. Czart., rkps 1607, str. 497, 523, 525, 577, 585; rkps 1608, str. 239; Arch. bisk. w Fr. D. 14, f. 37, 45 i nn.; D. 17, f. 41; D. 33, f. 102.

6) Hozjusz do Kromera, Heilsberg 10 Cal. Martii 1566 (rkps Bibl. Jag. 60, str. 351): *Ostendit mihi litteras Cleinfeldius, quibus illi scribitur*

się dawać wiarę nadsyłanym przezeń w tej materji alarmom i powiadomieniom.<sup>1)</sup> Dopiero później przekonano się, jak dalece czujnością swoją zdołał uratować interesy państwa od załraty.

Ze spraw natury publicznej wymienić jeszcze tu należy rewizję i reformę prawa chełmińskiego, którą wtedy z polecenia Zygmunta Augusta łącznie z przedstawicielami Gdańska, Prus Królewskich i Książęcych w stolicy swej, Heilsberdze, przeprowadzał. Trzeba było uzgadniać różnorodność interesów wyznaniowych i politycznych. Hozjusz, który w oczach niejednego protestanta uchodził za fanatyka katolicyzmu, u ówczesnych zaś juryskonsultów królewskich miał opinię nieustępliwego żarliwca polskiej racji stanu i o tem wiedział, z humorem pisze do Kromera, że ostre bywają dyskusje między obradującymi nad reformą prawa chełmińskiego czterema doktorami, wszyscy jednak dość chętnie z nim się spotykają, chociaż, gdy nadejdzie post wielki, a z nim stół beźmięsny, pomyślą pewnie o ucieczce.<sup>2)</sup> Do prac tych ściągał Hozjusz z Królewca i słynnego później autora kroniki ziem pruskich, odstępcę od wiary, magistrą Łukasza Dawida.<sup>3)</sup>

Obok krajowych nie przestają go, oczywiście, zajmować, jak zwykle, i sprawy ogólnie-europejskie. Otrzymuje

---

ex Inferiori Germania, me divortium inter nostros principes procurare. Quod idem inter mercatores etiam Cracoviae de me spargi meus e sorore nepos mihi narrat. Quam est quintum hoc Evangelium (tak nazywał Hozjusz wszelkie wiadomości kłamiwe, przez protestantów rozpuszczane) ab omni veritate prorsus alienum! Podobne wieści rozpuszczano o nim już z okazji sejmu 1565 r., na którym wziął udział — p. rkps Bibl. Jag. 63, str. 142.

<sup>1)</sup> *Hosii Vita*, Acta historica etc. I. c., str. LXXVII; Bibl. Linkop. 24, epla 52; Arch. bisk. w Fr. D 17, f. 42; rkps Bibl. Czart. 1607, str. 573, 659, 673. Por. i Hartknoch, *Alt u. neues Preussen*, Frankfurt u. Leipzig 1684, str. 331 n.

<sup>2)</sup> Rkps Bibl. Jag. 60, str. 351: Nos hic reformando iuri Culmensi navamus operam. Crebrae sunt altercationes inter quattuor doctores... cum ad pisces erit ventum de fuga cogitabunt... ostendunt se non invitos mecum esse, nec absentium uxorum desiderium prae se ferunt ullum. Por. i Hartknoch, l. c., str. 585 n.

<sup>3)</sup> Arch. Królewieckie, I. Schrank, 12 Fach, Nr. 184; rkps Bibl. Czart. 1609, str. 871.

w tym czasie nowiny włoskie, hiszpańskie, francuskie, angielskie, szkockie, niderlandzkie, niemieckie, wschodnie.<sup>1)</sup> Najwięcej atoli czasu poświęca wydawnictwom swoim. Jakiś czas potem pisze w liście do Kromera o nadchodzących z różnych stron propozycjach wydania dzieł swoich i mówi, że poprostu nie wie, co się dzieje z temi książkami jego, tylokrotnie wydawanemi, mimo bowiem częstych wydań są tak rzadkie, że prawie niemożliwe do zdobycia — wyraża przypuszczenie, że może je palą.<sup>2)</sup>

W r. 1565 i 1566 nowe wydania zarówno *Confessio fidei*, jak i innych pism jego, jedne woryginalie łacińskim, inne w tłumaczeniach, wychodzą, względnie przygotowują się druku w Rzymie nakładem Pawła Manutiusa, w Paryżu nakładem Klaudjusza Fremy, w Kolonji u Materna Cholina, a nadto w Antwerpji i Lowanjum. Ciągłe więc nerwowo prawie zajęty jest Hozjusz przeglądaniem dzieł wyszłych i korekt, robieniem poprawek i uzupełnień w wydaniach starych, mających być powtórzonemi, korespondencją już to z wydawcami, już też z doglądającymi druku przyjaciółmi, jak uczeni kardynałowie Amulio i Scirleto, albo ze swoimi, jeżeli tak powiedzieć można, agentami typograficznymi, którymi byli w Rzymie dwaj wysługujący się mu studenci, wojewodzice chełmińscy, Erazm i Mikołaj Działyńscy, w Paryżu zostający tam wówczas na studjach Piotr Kostka, brat kasztelana gdańskiego, a w kilka lat potem biskup chełmiński, w Antwerpji teolog holenderski, kanonik Henryk Dunghen.<sup>3)</sup> O tym ostatnim na zakończenie niniejszych uwag dodajemy jeszcze, że on to właśnie wtedy werbował w Niderlandach kapłanów dla Hozjusza, nadających się do objęcia stanowisk duszpasterskich w Warmji.

1) Arch. bisk. w Fr. D 12, f. 99; D 22, f. 19 i nn.; D 24, f. 7; Bibl. Czart. rkps 1607, str. 577, 663; rkps 1608, str. 259. *Mon. hist. Soc. Jesu*, Polanci Compl I, nr 122.

2) Rkps Bibl. Jag. 60, str. 715: *Miror autem quid fiat libris istis toties editis, nam non fere iam comparent, nisi comburantur.*

3) Arch. bisk. w Fr. D 12, f. 98; D 14, f. 32, 48; D 17, f. 47; D 33, f. 102; Bibl. Czart. rkps 1607, str. 613; rkps 1608, str. 235, 243, 247, 251.

## Kwestja „kultury ludowej“.

(Dokończenie)

9. Czy żywotną jest gwarą? Inteligent patrzy na gwara z boku, przez pryzmat rozmaitych uczuć nieutilitarnych, estetycznych. Ceni ją za to, iż przechowuje ona stare, czyste, rdzenne formy językowe, ceni jej tak żywotne słowotwórstwo, nadające mowie wiejskiego człowieka tyle barwności, plastyki, wdzięku swoistego. Jak tworzymy „rezerwy“ przyrodnicze, tak chcemy mieć i zbliżone do przyrody rezerwy kulturalne, m. i. gwara, integralną część życia wiejskiego. Rozumiemy, że język o bogatszym „żywotwie“ wytwarza obfitsze życie emocjonalne, że więc i chłop banalizując swój język, przykrawając go na modłę miejską, a raczej przedmiejską, wyciera się z pewnej naiwnej, świeżej wzruszeniowości. Ale dla chłopaka język jest tylko tem, czem jest w swej biologicznej istocie, to jest pozbawionem estetycznego namaszczenia narzędziem praktycznego porozumiewania się — a przeto zależy mu na tem, ażeby wobec ciągłego kontaktu z miastem zdobyć sobie język porozumiewania się jak najwygodniejszego; ale co ważniejsze, wchodzi tu w grę ten sam co przy stroju moment socjalny, ale w wyższym stopniu. Nic tak jak język, zwłaszcza fonetyka, nie charakteryzuje człowieka socjalnie: wieśniak chce zapożyczyć wymowy upodobnić się do miasta, nie chce sprawiać wrażenia zacofanego, banaudyjskiego. Kiedy młodzi, wykształceni ludowcy zalecają chłopu gwara, to on pyta się poprostu: „Po co?“ Co więcej, czuje się nieco obrażony, kiedy się do niego odzywać w gwarze. J. Cierniak w jednym z zeszytów „Teatru Ludowego“ radzi używać narzeczy regionalnych, na to pewien chłopak z Pomorza odpowiada (w po-



prawnej polszczyźnie literackiej), że pomysł ten „nam czytelnikom z tutejszych okolic nie bardzo przypada do smaku, młodzież dzisiejsza wyzbywa się gwary, starając się mówić poprawniej po polsku“, każdy zrozumie język literacki, a raczej gwarę, jeżeli jest z obcych okolic, trudniej mu zrozumieć, gwarowa literatura, piosenki, bajki to ładne, ale dla dziecinnych mózgów, i bynajmniej „nie sprawia tej rozkoszy, co mowa Mickiewicza, Słowackiego i innych poetów dzisiejszych“. Wkońcu zapewnia, że to napisał, co myśli i czuje, „bez złośliwej intencji; jestem sobie samouk i żyję prostym sposobem chłopskim“. <sup>1)</sup> W tym liście zawarty już jest cały program kultury ludu — w dziedzinie językowo literackiej — w przeciwstawieniu do kultury ludowej.

Z punktu widzenia polityczno-narodowego trzeba przyznać rację temu oświeconemu wieśniakowi, wbrew entuzjaście ludowości. Oceni to zwłaszcza każdy, kto pobyl na kresach. Chcę jeszcze podkreślić jeden moment: trzebaby wybitnie wrogiej klasowości w masie ludowej, żeby się zapomocą swojej gwary chciała przeciwstawić inteligencji; o tem, ażeby sam moment estetyczny mógł masą ludową powodować, niepodobna marzyć i nie może na tem szczególnie zależeć, skoro trzeba zgodzić się na to, że proces niwelacji gwar jest politycznie raczej przydatny.

Niemniej jednak gwarą (a to w związku z zagadnieniami regionalizmu, które muszę pozostawić na uboczu) może uzyskać znaczenie mowy odświeżonej, zabytkowej. Tu byłoby jedno z zadań teatru ludowego, w jego nowem pojęciu; w każdym razie jeśli takie znaczenie miały gwary uzyskać, to będzie to wynikiem nie intencji masowych, dołu społecznego, lecz przyjdzie od góry, od inteligencji, od literatury.

Zauważyć też należy, że zanik gwar nie oznacza jeszcze zupełnego zaniku mowy wiejskiej jako takiej. W języku najważniejszą kulturalnie rzeczą jest jego strona stylistyczna, rodzaj wzruszeniowości, jaką on wyraża, a ta wypływa z typu życia; otóż, dopóki nie zaniknie typ życia,

<sup>1)</sup> Por. dyskusję w czasop. *Teatr Ludowy* (nr. 8, 10, 11, 1928) na temat: „Cóż z tą gwarą ludową?“ (J. Cierniak, J. Maligą, K. L. Koniński, Z. Kwieciński).

pod względem gospodarczym małorolny, pod względem ideowym chrześcijański — tak długo nie zaniknie ten pewien swoisty sposób wyrażania się, znamieny zwłaszcza u starych ludzi, jaki podoba się nam. Jest w ich mowie pewien stylo- i słowo-twórczy humor, czy pietyzm, czy tkliwość, czy rubasznosc i te przetrwają, dopóki przetrwa wieś polska.

10. Pozatem, żywotność gwar zawisła jest od tego, czy będą powstawać w nich nowe utwory, a stare tem dłużej będą powtarzane i słuchane, im więcej będzie nowych. Mam tu na myśli nie literaturę inteligentką w stylu ludowym, oderwaną od swego podłoża, czytana przez inteligentów, ale to, coby można nazwać „literaturą mówioną“, opowiadania, anegdoty, bajki i t. p. I znowuż wszystko to zależnem jest od ludowego poglądu na świat. Wprawdzie nie należy przypuszczać, żeby bazarz ludowy, zarówno jak i jego dorosli słuchacze dosłownie wierzyli we wszystko, co on baje. Ale przecież zarówno u niego, jak i u słuchaczy, założeniem psychicznem musi być ogólnikowa wiara w możliwość takich zdarzeń fantastycznych, ażeby taka bajka mogła być z zaufaniem przyjęta. Tymczasem wiara w „nocną stronę“ świata załamuje się.

Następnie podnieść tu należy to, co już przy omawianiu plastyki zaznaczyłem. Szkoła, gazeta, pobyt w mieście, rozszerzające się czytelnictwo rozbijają zamknięty krąg świata, w którym w dość znacznem odosobnieniu mogła się krzewić i rozwijać odrębna twórczość artystyczna ludu. Ażeby móc tworzyć w radości, nie trzeba wytworów swych porównywać z utworami świata o technice bardziej wydoskonalonej: to zniechęca lub zachęca do przerzucenia się w świat tamtej techniki. Jakiś artysta ludowy, jakiś bazarz, śpiewak, gawędziarz, tak długo swobodnie tworzy, jak długo pozostaje naiwnym, t. zn. jak długo twórczość jego płynie z zamkniętego i dla zamkniętego świata chłopskiego. Gdy świat ten rozwarł się na wpływy zzewnątrz, to zbraknie Sabałów, powstaje literatura półinteligentka, sztuka z pogranicza dwóch światów, jako taka estetycznie nierasowa. Odrzuć jednak zaznaczyć należy, że ta obfitość tych wierszy po pismach ludowych i pewien nieraz względnie wysoki poziom produkcji literackiej ludowej o pokroju półinteligentkim, dobrze

świadczą o poziomie oświaty; w tym wypadku wyraźnie wi-  
dać, jak na gruzach kultury ludowej zakwitać może kul-  
tura ludu. Wreszcie zauważyć można, że twórczość językowa  
w znaczeniu najszerszem, pojęta jako wyrazistość mowy,  
dowcip, zajmujące gawędziarstwo, jest do pewnego stopnia  
zagrożoną przez oświatę książkową. Naprzykład świat staro-  
szlachecki, który się zbytnio książką nie parał, obfitował  
w „bardów ludowych“ (jak ich nazywa H. Rzewuski), takich  
z Bożej łaski opowiadaczy, gawędziarzy, humorystów, peł-  
nych niewyczerpanej pomysłowości. Jakże bładą bywa roz-  
mowa intelektualistów — o ile nie dysputują metodycznie —  
nawet literatów! Otóż i stary świat chłopski miał także  
swoich „bardów ludowych“, swoją zajmującą, wyrazistą roz-  
mowę, która wraz z zanikiem zamkniętego życia chłopskiego  
będzie blaknąć. Zanika świat wzajemnego naiwnego zaufa-  
nia, nieuprzedzonej abstrakcjami konkretnej obserwacji ży-  
cia i naiwnego, jakby dziecięcego patosu w ujmowaniu zja-  
wisk. Tutaj zanika pewna zupełnie obiektywna wartość „kul-  
tury ludowej“. Rozrywka ma swoje miejsce w życiu, którego  
nie trzeba lekceważyć.

11. W związku z tem kwestja pieśni, muzyki  
i tańca. O co tu idzie, czego tu należy żałować, pojąć łatwo:  
szlager i kuplet powoli rugują swojską piosenkę, gramofon —  
skrzypce, a choćby tylko harmonję, shimmy — krawiaka i oberka,  
cudze — pomysłowość własną, obcorasowe — rasowość własną,  
automaty — człowieka. „Teatr Ludowy“ chce to wszystko ratować.  
„Instytut Teatru Ludowego“ w Warszawie, chce jak najwięcej tego  
spisać i przekazać życiu wiejskiemu w widowiskach. Ale tu  
podkreślić należy, że zachować pieśń ludową, muzykę,  
tańce, uda się tylko wtedy, kiedy się będzie wciąż tworzyła  
nowa pieśń — i o to właśnie idzie, żeby na wiejskiem  
weselu, jak dotychczas jeszcze, tancerz lub tanecznica po-  
trafili stanąć przed muzyką i na poczekaniu zaśpiewać coś  
własnego,<sup>1)</sup> do okazji, żeby jednym słowem utrzymała się

---

<sup>1)</sup> To „coś własnego“ n. b. w ograniczonym zakresie: nikt tak jak  
lud nie operuje szablonami wyrazu (np. list miłosny!), ale te szablony  
są urozmaicane, wzbogacane, różniczkowane, zależnie od talentu jednostki.

i trwała samorodność pieśniarska w masie ludowej. Podtrzymanie tej samorodności pieśniarskiej (i wogóle estetycznej), podtrzymanie gestu rasowego w tańcu, w zabawie, podtrzymanie zamiłowania w swojskim typie zabawy — to są również bardzo zrozumiałe cele obrońców „kultury ludowej“. To, co w tej dziedzinie jawi się jako „postęp“, jest często raczej niekulturą; mówił o tem w Łowiczu bardzo wymownie prof. M. Limanowski,<sup>1)</sup> stale o ideał ten, o ten jakiś gest konserwatywny „kmieciowski“, „gazdowski“, nie tylko w zabawie, lecz i w całym sposobie bycia, walczą wszyscy grupujący się około Cieniakowego „Teatru“. Tu jednak przechodzimy już do kwestji typu duchowego włościańskiego, do obyczajowej (moralnej) dziedziny kultury ludowej.

12. Przystępujemy do kwestji najzawilszej: tu uchwycenie rzeczywistych, nieurojonych wartości „kultury ludowej“ jest najtrudniejsze, grozi tu bowiem przesada obu-stronna, pesymistyczna i optymistyczna. Z jednej strony entuzjaści ludowości ze swoją gloryfikacją ludu, jako jedynej zdrowej, twórczej, rdzennej prawarstwy w narodzie, wobec której wszystko co miejskie, inteligenckie, „odgórne“, jak się wyrażają, jest tylko zużytym, anemicznym a samolubnym narzutem („plwajmy na skorupę i zstąpmy do głębi...“). Z drugiej, ani nasze samopoczucie, samopoczucie warstwy wykształconej i żyjącej tradycjami obyczajowymi bądź co bądź wykwiłtnymi, nie powinno nam pozwolić uważać się za jakąś w życiu narodowym *quantité negligable* w porównaniu z warstwami niewykształconymi; ani też potoczna obserwacja życia wsi, zwłaszcza powojennej, nie mówi nam o poziomie moralnym tak szczególnym, żebyśmy w porównaniu z nim, my inteligencja, mieli czuć się unicestwieni; przecież nie kto inny, jeno głęboko czujący

---

Takie szablony to właśnie pewna kultura, pewna wiedza praktyczna (por. wywody starszlacheckie o tem, że grzeczności trzeba się uczyć, bo nie jest rzeczą ani łatwą, ani małą...).

<sup>1)</sup> „Rozwydrzenie miejskie, pornografja stolicy, ryszotkowe gesty, sama nawet mowa trywialna i złodziejska z przerażającą prędkością podbijają wieś polską. Wieś była dotąd kolorową, teraz zaczyna być szara, oby tylko jutro nie była jak przedmieście cuchnącą i trędowatą“ (str. 45).

poeta, syn ludu i człowiek siedzący między ludem, a przytem ideowiec ludowości, Władysław Orkan, znajduje dla moralności wiejskiej (zwłaszcza dla wychowania dzieci), słowa nader cierpkie.<sup>1)</sup> Wreszcie zauważyć wolno, że gdyby wieś była naprawdę takim rezerwuarem nieskażonego zdrowia moralnego, to demokratyzacja polityczno-społeczna, wejście synów ludu całą falangą w życie polityczne i w szeregi zawodów umysłowych powinno było wyrazić się jakimś wysokiem podniesieniem się poziomu idealizmu. Tymczasem, nawet nieskończenie dalekim będąc od rzekomej „bezpartyjności“, trudno nie zauważyć, że wiele przykrych poczynañ byłoby napotkało na znacznie silniejszy odpór społeczeństwa, gdyby ono nie było zniechęcone do stronnictw ludowych. Bynajmniej nie chcę powiedzieć przez to, żeby żywioły idące ze wsi, z pod strzechy, gorsze były od tych, które są z miasta i dworu rodem, chcę tylko odgrodzić się od demagogicznej legendy, że „zbawienie leży pod siermięgą“. Zbawienie leży w dobrej woli (i niechże raz obojętnem będzie jej klasowe umieszczenie, wbrew przesądom fałszywego arystokratyzmu, i ...arystokratyzmu na wywrót!) — no i w wyrobionym umyśle.

Pominąwszy więc całą romantyzującą chłopomanję, należy przypatrzeć się kwestji na trzeźwo i bez uprzedzeń.

Wogóle, kiedy się zamierza ocenić wartość moralną jakiejś grupy, to są trzy metody. Jedna jest statystyczna, ona usiłuje określić przeciętnego człowieka z tej grupy, dla porównania go z przeciętnym człowiekiem innych grup. Tutaj próbuje się ustalić współczynnik prawdopodobieństwa dla rozmaitych przestępstw, dla dobroczynności, wogóle dla rozmaitych właściwości, które dadzą się ująć cyfrowo. Można tą drogą niewątpliwie wiele ciekawego dowiedzieć się, ale należy przytem pamiętać, że dane jej wymagają poprawki: *si duo faciunt idem non est idem*. Jeśli naprz. procent urodzeń nielegalnych w jednym środowisku wyższy jest niż w drugim, to to bynajmniej jeszcze oznaczać nie musi wyższego poziomu wstrzemięźliwości płciowej w tem drugim — owszem może być wprost przeciwnie; *mutatis*

<sup>1)</sup> Por. *Lisfy ze wsi*, 1925, str. II, 92, 94, II 118, II 131.

Przegl. Pow. t. 191.

*mutandis* ma się rzecz z wszystkimi cyframi porównawczymi tego rodzaju.

Aczkolwiek formalnie nie tak ścisłą, bardziej jednakże wnikliwą jest metoda oceniania typu przeciętnego „na oko”. Tutaj podaje się fakty *jakościowe*; jeśli np. dowiemy się, że w takim ustronnym rezerwacie „kultury ludowej”, jak na Orawie, mieszkańcy wychodząc do pracy zostawiają dom bez zamknięcia, to zwyczaj ten starczy za statystykę. Takie ocenianie na oko naturalnie tem bardziej jest zaufania godne, im mniej kierowane jest uprzedzeniami; a na im szerszem zaś doświadczeniu będzie opartem, tem więcej zbliży się do statystyki. Góruje zaś nad nią, chwytając zjawiska i komplikacje, nie dające ująć się cyfrowo. To byłaby 3-a metoda, a *nie* *ta* *ta* *ta*, przyczem najwięcej mieliby do powiedzenia duszpasterze, sędziowie, nauczyciele, urzędnicy z prowincji, inteligentna młodzież ze wsi. Wiele przynoszą pamiętniki. Na konferencji w Łowiczu dał ze swego doświadczenia i głębokiej wiedzy prof. Bujak sylwetę psychomoralną chłopca polskiego, bardzo obiektywną, w tonacji, pomimo całej trzeźwości oceny, optymistycznej. P. Solarz jeszcze podkreślił pozytywne wartości duszy chłopskiej. Były jednak i głosy większej rezerwy w tych sprawach, np. p. Radwan oświadczył, że się przychyli do tez Orkana. Tu odrazu wyjaśnię, że Orkan rozwiązuje sprzeczność pomiędzy pesymistyczną oceną przeciętnego poziomu wsi a swoim mimo wszystko optymizmem co do duszy ludu zapomocą koncepcji chłopca „rasowego”, który posiada piękną w geście, pełną powagi i godności osobistej kmieciowską kulturę.<sup>1)</sup> Dobrze pojęcie o takim typie da Jana Kubisza Ślązaka „Pamiętnik starego nauczyciela”;<sup>2)</sup> maluje on życie nie wyjątkowych jakichś jednostek ale przeciętne życie grupy („żyli niejako gatunkowo nacechowani”, powiada) o wysokim poziomie dyscypliny, powagi, godności osobistej, wiary religijnej. Modny dziś i nawet nieco osławiony, a faktycznie

<sup>1)</sup> L. c. II 181: (rasowi chłopcy a „nijacy”): „Ci — duma tradycji rodnych, psychicznie jak i kształtem wyprostowani — a ci, odumarki chłopskie, tak w ciele jak i w duszach zgaśli i pokurczeni” i t. d.

<sup>2)</sup> Jan Kubisz: *Pamiętnik starego nauczyciela*, Cieszyn 1928, wyd. Tow. Ewang.

nader ciekawy pamiętnik Jakóba Wojciechowskiego<sup>1)</sup> maluje w barwach ponurych życie niesłychanie biedne komorników (w Poznańskim, przy końcu w. XIX) — ale i tam są jakieś błyski wzruszające faktycznej kultury moralnej. Jeżelibym miał odezwać się z własnym zdaniem w tej sprawie, tobym powiedział, że ani szczególna czułość, ani szczególne poszanowanie cudzego, nie są słabą stroną chłopu polskiego, przynajmniej w okolicach tkniętych wpływem miasta — przyczem odrazu zastrzegam się stanowczo, że mam na myśli typ przeciętny, nie dodatnie odchylenia — ale cechuje go: niezmordowana zaiste *cierpliwość*, *cierpliwość* w pracy i złej doli, wielka *odwaga* w obliczu śmierci, płynąca ze źródeł wiary i z przyrodzonej tężyzny usposobienia<sup>2)</sup>, *lojalność* wobec hierarchji i ustroju społecznego, bez poniżającej pokory i pochlebstwa, i stanowczy *osąd moralny*. Nie wiem czy lud polski jest zasadniczo „pocziwy“ i łagodny, tam namiętności jak się rozkiełznają, to już szaleją bez ratunku; ale do zbrodni chłop polski nie odnosi się indyferentnie, owszem nawet sam zbrodniarz wiejski (który wcale nie musi być typem zdegenerowanym, przeciwnie bywa człowiekiem udałym) wie, że należy mu się kara i pokuta (jak to przedstawił w swej „Niespodziance“ Rostworowski). Decydującem tu słowem jest *zahartowanie*, i tak w ogólnych zarysach charakteryzowano lud polski w Łowiczu. Lud polski ani nie jest zbawicielem narodu, przez jakiś niebywały poziom potencjalny idealizmu, ani też nie jest dobrodusznym „Piastem“ z wymarzonej pra-słowiańskiej idylli, ale jest rasą nawskroś męską, z którą przy dobrej kulturze obywatelskiej; pod przewodem wielkodusznego władztwa, dokonać można spraw heroicznych. O tem możemy być jaknajgłębiej przekonani.

Tę formułę typu duchowego chłopu polskiego, wyrażoną słowem „zahartowanie“, rozszerzyłbym jeszcze o słowo *respekt*. I tu widziałbym pewną specyficzną wartość kultury ludowej, która może być zagrożoną przez urbani-

<sup>1)</sup> Jakób Wojciechowski, *Życiorys własny robotnika*, Poznań 1930, Materiały Polskiego Instytutu Socjologicznego.

<sup>2)</sup> Pięknie o spokoju chłopu wobec śmierci, który płynie z żywej wiary, mówił p. Dec (str. 100).

zacje, przez wpływy nie tylko miasta, ile przedmieścia. Dla wyjaśnienia o co idzie, pozwolę sobie na jedno wspomnienie. Stara Jamrózka z Raby Wyżnej (1920), mając opowiedzieć coś niezbyt przystojnego, tak zagaiła: „Z przeproszeniem słońca, Pana Boga i WPaństwa...“, z nieznacznym w stronę słońca pokłonem. Ten dziwny archaizm w geście i treści cóż oznaczał? Niewątpliwie streścił on całą jakąś odmienną od banalnej miastowej kulturę, kulturę w znaczeniu wartościowym. Oznaczał on pewien stosunek do rzeczywistości, który nazwałbym hieratycznym. Rzecz szpetna nie śmie wejść w świat obojętnie; przeciwnie, ona obraża całą rzeczywistość: ludzi, stosunki między którymi nacechowane być winne respektem; Boga, który przytomny jest każdemu słowu i myśli człowieka; obraża nawet to czyste światło słoneczne, po świecie rozlane — światło pojmowane jako rzecz nie bezduszna, lecz żywa i uduchowiona. Taka postawa wobec rzeczywistości, pełna respektu oraz zaufania w konkretną realność mocy duchowych, jeśli nie całkowicie, to w każdym razie zanika w życiu miejskim, tembardziej nie do pomyślenia jest w hałaśliwej i banalnej atmosferze „cywilizacji jarmarcznej“, urbanizacji pospolitej, w „kulturze (pseudokulturze!) gramofonu“. Jeśli podtrzymać chcemy kulturę ludową, znaczy to, że podtrzymać chcemy taką, jak ta postawę ducha, możliwość takich jak ten gestów, poetycznych i etycznych zarazem. W ostateczności więc kultura ludowa w swoim najistotniejszym ujęciu jest jakimś rezerwatem poglądu na świat religijno-spirytualistycznego i broniąc jej, bronimy wsi, tej wielkiej dziedziny życia naszego, przed zalewem płaskiego materializmu. Stąd bynajmniej nie poetycką licencją, ale wysoce logicznem było, że w Łowiczu prof. M. Limanowski, poprzedzając obrady referatem na temat istoty kultury, wygłosił entuzjastyczną pochwałę kultury religijnej i spirytualistycznej: „Chłop nie może przekreślić Boga w swoich wzlotach“.

Religijności chłopskiej nie należy uważać za tak powszechnie głęboką, ażeby sumienie religijne regulowało każdy uczynek, — to byłaby już zresztą świętość; ale emanacje wiary, łącznie ze stosunkiem gospodarskim do



przyrody, wytwarzają ów poważny gest gazdowski, ową respektowną, jakby obrzędową, postawę wobec rzeczywistości, która to postawa jest centralnem miejscem tego, co zwiemy kulturą ludową, która kulturze tej nadaje przede wszystkim samą godność „kultury“ (w znaczeniu wartościującym), a nadto charakter niejakej „organicznej całości“ psychicznej. Kultura nie jest niczem, jeżeli nie jest jakąś formą, łaodem, ograniczeniem, pomiarkowaniem natury, otóż bez owej postawy psychicznej, która uszlachetnia twarde życie chłopskie, nie byłoby „kultury ludowej“; zostałoby samo twarde życie i dostosowana do niej twardość duszy. Respekt religijny a respekt zwornikowy.<sup>1)</sup>

13. Widzimy więc, że to, co się mieści pod mianem „kultury ludowej“ jest całym szeregiem treści, o nierównem znaczeniu: jedne przedstawiają poważne wartości obiektywne, ważnemi będąc z punktu widzenia moralnego (typ duchowy), inne ważnemi są obiektywnie z estetycznego ra-

---

<sup>1)</sup> Dla przykładu, ze wzmiankowanego pamiętnika Wojciechowskiego: Będąc chłopcem ukradł gospodarzowi, u którego służył, kilka jaj (żeby sobie móc kupić zeszyt); ksiądz przy spowiedzi upomniął go do wynagrodzenia szkody; chłopiec trafił się tem, a wkońcu zwierzył się z kłopotu matce; ta powiedziała mu: „żeś jest głupi, żeby ja to miała wszystko oddać, co ja żem na plecach do domu przyniosła, to jużby musieli wozami odwozić i tego z nas nikt nie jest w stanie, aby tę krzywdę móc oddać . . . przecież Pan Bóg wie, że my są jeno u pana zmuszeni róbć, a kto na pana robi, to musi z pana żyć“. Ale o tej samej biednej komornicy opowiada jej syn: Kiedy umierał bogaty gospodarz, u którego służyli, nawiasem powiedziałwszy, niepocziwy sobek Wojciechowska każe swoim dzieciom modlić się za niego. Jakób nie chciał modlić się, bo, jak mówił do matki, „on jest winien, że ja do szkoły nie idę . . . a to nam matka mówiła, że to mu musimy wybaczyć, bo my to mu są winni tego, aby jego dusza szła do nieba, bo gdy my mu tego nie odpuścimy, to nie będzie zbawiony“. — Czyż to nie była kultura prawdziwa, a niebardzo dostępna dla niejednego z wykształconych ludzi miasta..? — Ta apologetyka: „jak chłop nie wierzy to kradnie“ jest wcale powierzchowna. Biedny człowiek kradnie, bo nieraz nie ma innego wyjścia, i tę sprawę załatwia między sobą a miłosierdziem Boskiem! Tylko że bez wiary nie miałyby już żadnego wylotu i wydźwigu ponad siebie. Wiara nie tyle wstrzymuje od występkę bezpośrednio, ile pośrednio: jest centralnem miejscem i symbolem wszystkich respektów działających w życiu. Wraz z załamaniem się tego respektu reprezentatywnego, *a fortiori* załamują się wszystkie inne.

czej punktu widzenia (samorodność artystyczna, swojski typ zabawy), inne są wartościami estetycznymi, ale z subiektywnego punktu widzenia, t. j. zrozumiałe są raczej dla nas inteligentów, niż dla samych chłopów (np. budownictwo, gwara), inne wreszcie treści życia ludowego są niewartościowe i te powinny ustąpić przed oświatą (np. zabobony, przestarzałe sposoby pracy, nieufność do organizacji, obojętność polityczna i t. d.).

Ponieważ pewne objawy ustąpić muszą i powinny przed nowem życiem, przeto i reszta treści nawet tych wartościowych jest zagrożona, albowiem wiążą się one w zespoły, których punktem zespolenia jest pewna psychiczna „postawa”. Np. strój, gwara, pieśni, muzyka, taniec, gest, tworzą wiązkę spraw wzajemnie zależnych. Jak śmieszny będzie kontusz na człowieku, co nie potrafi ani poloneza prowadzić, ani wąsa zręcznie pogłodzić, ani się damie dwornie pokłonić, tak i cuha góralska, czy krakowska kierezja niezdarnie będą wisieć na tym, co nie potrafi stanąć przed muzyką, przytupnąć i zaśpiewać od siebie — a znów umieć tak zaśpiewać, to znaczy tkwić w gwarze, a w gwarze tkwić, to być zanurzonym w specyficznie wiejskim sposobie myślenia. Więc, wraz z elementem gwary, przeznaczonym raczej na eliminację, zagrożone są i inne rzeczy obiektywnie odeń wartościowsze.

Z tem wszystkiem przyznać trzeba, że takie zespoły treści życiowych, (które istnieją faktycznie, psychologicznie, a nie są urojeniem filozoficznym) nie są jednak czemś w rodzaju funkcyj matematycznych, tak iżby zmiana jednego elementu powodowała zmianę wartości całej funkcji: owszem, coś da się częściowo uratować, mimo, że coś związanego z niem zanika.

Jakież więc są możliwości zatrzymania kultury ludowej? Zajmowano się tem zagadnieniem w Łowiczu, aczkolwiek niedosyć szczegółowo, t. j. analitycznie; ogólną konkluzją jest ta, którą wyraził w zakończeniu prof. Moszyński przypuszczeniem, że „główny zrab budowy kultury społecznej nie grozi tak szybkim rozkładem, jak ludowa sztuka i literatura ustna”. Były i głosy o wiele bardziej optymistyczne, więc przedewszystkiem prof.

Bujaka, pp. Solarza, Cierniaka i t. d. Walka o uratowanie folkloru znalazła sceptyków; w szczególności ironicznie potraktował ją p. Seweryn, oraz prof. Bystroń, który nie bez słuszności powiedział, że „nie można dziś tworzyć kultury ludowej“ przez antykwaryzm, przez folklor, przez muzea etnograficzne, nie można za jedyny program oświatowy uznawać tradycyjnych pieśni czy widowisk herodowych“, (aczkolwiek przyznał, że wieś współczesna zatracą własne oblicze, żyje odpadkami miejskiego stołu, a to z powodu, iż wobec kryzysu autorytetów dotychczasowych, wchłania zbyt wielką ilość nowych treści, aby mogła je asymilować, przerabiać, zamiast biernie im się poddawać). Wogóle zaznaczył się na tej konferencji, jak widać z jej biuletynu, podział na dwa kierunki: kultury ludowej, (którybym nazwał romantyczno-konserwatywnym) — i kultury ludu, (którybym nazwał realistyczno-postępowym); synteza pełna dojrzałego umiaru przebija się w wywodach prof. Bujaka. Wszyscy jednak referenci zaznaczyli, że tu trzeba przyjść do wsi z programem pracy („zarazić wieś piękną pracą“), „z programem naukowym i twórczą sugestją“, z autorytetem.

Słowem, zaznacza się poczucie, że kwestja kultury ludowej, postawiona jest nie przez sam lud, że z ideą kultury ludowej, jeśli ma z tego być coś pożytecznego, iść trzeba od góry, że dół jest w tej sprawie raczej obojętny. I tak jest w istocie: „kultura ludowa“ jest dotychczas zjawiskiem przeważnie paseistycznym, melancholijnem przywiązaniem do starzyny starców, którzy patrzą jak im się w oczach świat przemienia, czują się osierociałymi chłopami, pośród nowego pokolenia, co się przebiera za panów. Co młode, aktywne, przeważnie wyjść pragnie ze swej chłopskości.

I koniec końców przyznać trzeba, że jest w tem objaw zdrowy, a wobec tego na zanik kultury ludowej trudnooby było zapatrywać się tragicznie. Smutniejszą i poważniejszą kwestją byłaby niezdolność do kultury ludu, do oświaty, nowych form organizacji, gospodarki, życia obywatelskiego. Ta sprawa tu nie należy, powiem tylko, iż nie sądzę, żebyśmy mieli powód być pesymistami.

Jeśli mimo to, kwestja utrzymania (częściowego) pew-

nych dodatkich stron kultury ludowej nie jest bynajmniej błahą, to wynika z następującego względu — i tu streśćmy raz jeszcze zarówno wywody niniejsze jak i zasadnicze idee dziełka *Kultura wsi* oraz publicystyki dotyczącej; idzie więc o wzgląd zasadniczo dwojaki:

Popierwsze, wzgląd na lud, a to: (I) moralności i sposobu bycia zdrowej wsi bronić należy przed wulgarną urbanizacją<sup>1)</sup>; (II) należy także starać się zachować i rozwinąć samorodność artystyczną, która pięknie zdobi życie; powtóre, wzgląd na całość kultury narodowej, a to: (III) zachować, podobnie jak rezerваты naturalne, jakieś dziedziny życia intymnego, zrosniętego z krajobrazem, cichszego, mniej zbanalizowanego, zuniformizowanego, w którymby orzeźwiać się mogła znużona dusza miasta; (zauważam tu, że my inteligencja mamy prawo do występowania z wartościami wypoczynkowemi, wbrew modnej już nie gloryfikacji, ale wprost deifikacji pracy!); (IV) zachować niezasypane źródła stylu rasowego w sztuce, a także, co pożądanem jest, w zabawie<sup>2)</sup>.

Uporządkowałem te motywy według malejącej — jak

---

<sup>1)</sup> Ten moment jest oczywiście i zarazem równie ważnym ze względu na kulturę narodu. Tu należy dodać ważne oświecenie prof. Bujaka: wieś jest biologicznym rezerwuarem narodu; jak wieś opustoszeje, to i miasto straci rezerwy populacyjne. Ale żeby wieś trwała w swym bycie, zachować musi poczucie swej odrębnej wartości, wytrwać przy swym typie duchowo-obyczajowym (72, 87).

<sup>2)</sup> Jabym dodał tu niejakię zastrzeżenia. A mianowicie: 1<sup>o</sup> niezbyt wypadaloby swoje główne ambicje zasadzać na folklorze, na popisach z nim przed obcymi; dobre to dla jakichś „młodych narodów“, ale nie dla nas Polaków. Naturalnie idzie mi tylko o unikanie owej przesady w tem, która może być niesmaczną, by z cyfrowanych portek i zbójnickiego nie robić głównego artykułu propagandowego; zresztą już na to niejednokrotnie zwracano uwagę; 2<sup>o</sup> jeśli faktycznie twórczość artystyczna kapie się w ludowości jak w źródle ożywczem (żeby tylko ze współczesnych w malarstwie wspomnieć Stryjeńską i Skoczylasa, nie mówiąc już o muzyce i o tylu dziełach i arcydziełach poezji) — to z tem wszystkim pamiętać godzi się, że ludowość, jeśli ma wejść w kulturę jako wartość głęboka i zajmująca dla świata, to nie w surowej formie, ale przerobiona, przetrawiona, wzbogacona przez wysoką i inteligentną kulturę. Mazurki, które Polsce sławę przyniosły, to są mazurki — Szopena... (A pozątem, czy tylko ludowość zawiera w sobie rdzenną polskość? Czy

mi się widzi — ich społecznej ważności. Motywy II-IV są (jak już napomknąłem) objawem romantycznym, myśl o kulturze ludowej niemi kierowana kontynuuje, ze zmianami odcienia, gęsty zrodzone w zaraniu w. nb. (lub wcześniej a „Krak. i Górale“?), które poprzez Goszczyńskiego, Pola, Chałubińskiego, Wł. Dzieduszyckiego, dobiegły do Witkiewicza i w pełni rozbiły za Mł. Polski.<sup>1)</sup>

Jeśli dziś znowu te akcenty romantyczne przybierają na nasileniu, to gra tu rolę jeden nowy moment socjalny i ten zdaje się wróżyć pewne powodzenie usiłowaniom zatrzymania przecież czegoś wartościowego, etycznie czy estetycznie, z ginącego świata chłopskiego. Jest nim demokratyzacja polityczno-społeczna: tworzenie się całych, licznych i obfitych skupień wykształconej i oświeconej młodzieży ludowej. Dawniej przeważnie rozpraszali się oni po środowisku inteligentkiem, dziś na skutek swej liczebności, pozostając grupą, działają pod psychologicznem prawem grupy: znaleźć swój sens jako grupa, legitymować w jakiś sposób swoją społeczną odrębność i zarazem ważność. Grupy młodzieży ludowej wchodzą w życie nasze jako lud: czują więc potrzebę wykazać się, że nie są czemś całkiem nowem, że są częstkami pnia rasowego, który pewne specyficzne wartości wytworzył. Stąd działanie z powrotem na wieś, aby w niej wytworzyć (jak to ujął prof. Bujak) „zadowolenie z posiadania własnej kultury i przywiązanie do niej, co nieodłącznem jest od poczucia godności stanowej i zawodowej“. Stąd kultura ludowa staje się wartością ze względu na pewien nowy cel, uzyskuje nowy sens, sens symbolu lub narzędzia, którem się posługuje samopoczucie grupy lud wiejski (nowy motyw, którybym umieścił pomiędzy I. a II.). I tak, gdy dotychczas sukman na wsi było coraz mniej, bo szły ze starymi do trumny, to dziś zaczynają pojawiać się nowe, świeże, jako wyraz życia nie zacoфанego i smutnego, ale aktywnego i zadowolonego z siebie. Dzięki temu pewne

typowo szlacheckie baroki Noakowskiego nie tchną szczerą polskością? Przyznaję zresztą, że w porównaniu z niemi Jakóbowskiego wizje drewnianego budownictwa chłopsko-słowiańskiego tchną czemś rdzenniejszem).

<sup>1)</sup> Pamiętać przytem należy o powszechnych wpływach Ruskina i angielskiej sztuki stosowanej.

części kultury ludowej powinny dać się uratować, jak to bywa gdzieindziej (np. w Szwecji, Czechach, Jugosławii, Austrii). *Notabene* dobrze mieć przytem na pamięci, że istotne walory zdobywa się nie efektami zewnętrznymi i pewnością siebie, ale faktycznymi zasługami, że *quand même* istotną legitymacją i nobilitacją wkraczającej z taką miłą werwą „Polski ludowej“, będą nie iskry krzesane z pod podkówki, ale jawne i wyraźne, wraz z wkroczeniem tej gromady w życie publiczne i umysłowe — idealistyczne ożywienie.

14. Wkońcu — jak to w rzeczach ludzkich — trochę cieniów i odrobina polemiki. Wspomnę pokrótce o niektórych, zaznaczających się przy sposobności takiego ruchu, tendencjach mniej sympatycznych.

a) Ultraromantyzm. Na innem miejscu pisałem o rozprawce pewnego, zdaje się, młodego człowieka, który *pêle-mêle* odrzuca wszystko „odgórne“: oświatę, samorząd, parlamentaryzm, humanitaryzm, demokrację — no i przytem przedewszystkiem przyznać trzeba komunizm (bo od góry idzie!) — ale z największym naciskiem — chrześcijaństwo. Coś zostaje: powrót do kultury słonecznej, pogańskiej, aryjskiej Polski... W tem ujęciu jest to aż zbyt naiwne, aczkolwiek nie bez niejakiego liryzmu podane<sup>1)</sup>. Ale w mniejszych dawkach grozi to czemś niebezpiecznem, bo bardziej realnem, a mianowicie

b) klasowością. Tutaj powie się tak: Wara się zbliżyć do ludu każdemu, kto nie urodził się pod strzechą. Że w Łowiczu intencje takie (tuszowane w biuletynie) pojawić się musiały, świadczą takie w dyskusji zastrzeżenia, jak: „nie sama wieś dla wsi, trzeba wyzyskać niewiejskich, którzy chcą z nią pracować“ (p. Gierata), lub: „obawiam się klasowości w kulturze wsi“ (p. Radwana). To na początku nie wygląda może jeszcze tak groźnie, ale przypomnijmy tu sobie taki np. fakt, że u bolszewików syn burżuazji nie może być aktorem, bo to teatr... ludowy.

c) Demagogiczna historia. Wieśniak nad historją

<sup>1)</sup> Józef Niećko, *O wewnętrzne życie wsi*. Warszawa 1930, nakł. Instytutu Kultury i Oświaty im. Staszyca. (Pisałem o tem szerzej nieco w *Szczerbcu*, 12, 1931).

nie zastanawia się, historia dotychczas była mu podawana jako bohaterskie i zajmujące legendy, które z żywą satysfakcją przyjmował (znana popularność Trylogii!); wykształcony syn ludu przeżywa historię i zrozumiałe jest, że znajdując tam wiele rzeczy dla siebie nieprzyjemnych, wprost odpychających, pragnie nowego ujęcia historii Polski. Wszystko w porządku; ale co innego starać się wyłowić i wystawić bezimiennie przeważnie zasługi masy ludowej, co innego przeobrazić historię z punktu widzenia rosnącej lub malejącej sprawiedliwości społecznej i przytem uznać wszystkie zasługi szlacheśnych żywiołów z pośród szlachty i wogóle wykształconych — a co innego przeoczyć wszystkie pozytywne wartości tradycyjne i zawistnem okiem spoglądać na całą przeszłość Polski, jako że robiła ją szlachta. To właśnie byłoby kontynuacją „duszy pańszczyźnianej“ i stąd niedaleko już do rehabilitacji, a w umysłach skrajnych lub naiwnych i gloryfikacji Szeli. Jakiż sens praktyczny takiego usposobienia? I jakby się to godziło z ową piękną i głęboką ideą poety i syna ludu: „chodzi o arystokratyzację ducha i demokratyzację urządzeń“ (Orkan)? Przecież nie kto inny, tylko sam szanujący się i oświecony chłop nie powie nigdy, że rok 1846 jest „jedynym tytułem do chluby dla chłopów polskiego“... (*Sic!*). Chłop nie jest tak chłopski jak poniektóry krawatkowiec.

d) Przesąd bezimienności. Naprz., jeden ze znanych publicystów, wygłaszając pean na cześć „twórczości bezimiennej, komuny duchowej“ konkluduje tak: „Niech Ministerjum Sztuki i Kultury podejmie zamysł pobudzenia najszerszych warstw ludu polskiego do współtworzenia“<sup>1)</sup>. Bardzo to grzecznie tak liczyć na ministrów, tylko że z tą bezimiennością jakoś kruczo... Kultura ludowa mogła być być niegdyś bezimienna, ale dziś, kiedy jest zagrożoną i skutkiem tego, ażeby móc trwać, musi *poczuć się w jestestwie swoim* (jakby romantyk powiedział), a z tą chwilą o bezimienności mowy niema. Owszem, wypompować z masy wszelkie jej możliwości! — (ale to są rzeczy trudne,<sup>2)</sup> wymagające — jak wła-

<sup>1)</sup> J. N. Miller, (*Ponowa*, 1, 67).

<sup>2)</sup> Na trudności tego rodzaju zwróciłem uwagę w art. „Z zagadnień teatru ludowego“ (*Polska Oświata Pozaszkolna*, 1—2, 1931). Tam też

śnie widzieliśmy, programu, myśli, autorytetów. I chyba obojętnem będzie, gdzie się urodził człowiek, co nad tem rozmyśla i chce w tem pomóc. Ci synowie ludu wykształceni i oświeceni, co są entuzjastami ludowości, są mimo wszystkich zapewnień już nie ludem, ale inteligencją, bo wracają na wieś z rzeczami, które tam się wprowadzić poczęły, ale tymczasem przeszły już przez alembik intelektu i dlatego są już czemś nowem i „odgórnem“.

„Kultura ludowa“ chce podnieść samopoczucie ludu i jako taka jest ideą pożądaną, jak pożądanym i zdrowym objawem jest każdy przypływ poczucia godności osobistej, zgody na swe urodzenie. Podobnie całkiem robi się naród, tam gdzie wykształceni zapomnieli o swem pochodzeniu, oderwali się od ludu masy. Takie dobre samopoczucie jest wartością konserwatywną i korzystne jest dla narodowego bezpieczeństwa. Ale przy tej okazji nie deklasujemy się własnymi rękoma, my warstwa, będąca nosicielką świadomości — a wraz z sobą nie deklasujemy intelektu...

---

postawiłem pytanie: „czy kultura ludowa jest żywotna?“ — na które odpowiedź dać starałem się niniejszem. (Niektóre kwestje pozostawiłem na uboczu, np. jak się odnosi lud do ludowości w sztuce inteligenckiej, np. do „Chłopów“ Reymonta — albo znów wizerunku Matki Boskiej w stroju ludowym i t. p. praktycznie ciekawe).

*Sprostowanie błędu druku, w nr. 571—572: Na str. 46, w. 5 od dołu, ma być nie L. tylko Sł. Kołaczkowski.*

P. S. Rozprawka niniejsza nie jest etnografią tylko publicystyką: dostrzegła kwestję społeczną, pragnie ją sprecyzować, szuka rady; dla Czytelników jednak, ewentualnie zainteresowanych stroną etnograficzną, podam jako wskazówkę bibliograficzną: Fischera *Lud polski*, Bystronia *Wstęp do ludoznawstwa* (tam systematyczne wprowadzenie w zagadnienia i podane obfite piśmiennictwo czasopisma), wychodzi obecnie wielkie źródłowe dzieło Moszyńskiego o *Kulturze ludowej Słowian*, z ilustracjami (narazie tom I o kult. materialnej). — O zagadnieniu kultury ludowej, w sensie publicystycznym, szukać w pismach S. Witkiewicza i Orkana (cyt. już *Listy ze wsi*, też zbiory studjów: *Wskazanie i Warfa*).

*Karol Ludwik Koniński.*



## Opieka społeczna nad dzieckiem i młodzieżą w Polsce.

---

Spółeczeństwo polskie nie zapominało nigdy o swej młodzieży, a od chwili odzyskania niepodległości troska o nią zajmowała stale jedno z pierwszych miejsc, pomimo trudności gospodarczych i piętrzących się innych konieczności państwowych. Wyczerpane do ostateczności okropnościami wojny i polityką zaborców, znajdowało w najcięższych nawet chwilach tyle sił i środków, by ratować swój skarb i swą przyszłość. Ono to przejęło na siebie lwia część ofiar i trudów w ciągu tych pierwszych lat, w których kierownicy wznoszącej się dopiero nawy państwowej pochłonięci byli pracą organizacyjną i zmaganiem się z trudnościami zewnętrznymi i wewnętrznymi. Obok samorządów, zwłaszcza miejskich, które z urzędu starały się śpieszyć z pomocą, wielkie zasługi w ratowaniu biednej, opuszczonej młodzieży położyły rozmaite instytucje dobroczynne, kościelne i świeckie.<sup>1)</sup> Przy wytężonej i pełnej poświęcenia ich pracy, oraz finansowemu poparciu swoich i zagranicy, w pierwszym rządzie Stanów Zjedn. Am. Pn., przetrwano owe najcięższe lata, zanim państwo zdołało przybyć z wydatniejszą pomocą i przystąpić do uregulowania dorywczo dotąd prowadzonej pracy.<sup>2)</sup>

---

<sup>1)</sup> Uważamy to za ogromną szkodę, że skromność Zgromadzeń zakonnych i przeciążenie pracą, nie pozwoliły im na zestawienie tego olbrzymiego kapitału pracy i poświęcenia, jaki włożyły w ratowanie opuszczonej młodzieży, podczas wojny światowej i po odzyskaniu niepodległości. Byłoby rzeczą bardzo pożądaną, żeby choć częściowo zdołano jeszcze teraz te braki uzupełnić.

<sup>2)</sup> Sprawozdania z niedoli polskiego dziecka i opieki nad niem w owych czasach, p. *Przegląd Powszechny*: luty 1923 r. str. 136; luty

A była ona dorywczą z konieczności. Brak był wszystkiego — i odpowiedniej organizacji i funduszków, nie istniały jeszcze podstawy formalno-prawne do planowego rozwinięcia opieki społecznej, a przytem zachodziły codziennie wypadki, gdzie nie było można zwlekać, nie było nawet czasu do namysłu i poczynienia odpowiednich przygotowań. Oprócz będącej już w kraju masy wynędzniałych i pozbawionych opieki sierot wojennych i powojennych, zaczęły od r. 1921 napływać tysiące nowych, zwłaszcza z Rosji sowieckiej, któremi trzeba było się zająć bezwzględnie, nakarmić, ubrać i prowizorycznie przynajmniej rozmieścić. Ile zaś w całym kraju musiało wówczas być tej młodzieży, potrzebującej opieki, można sobie wyobrazić, jeżeli spis, dokonany w r. 1924 w samych tylko czterech województwach wschodnich, wykazał tam blisko 285 tysięcy sierot i półsierot do lat 16-tu.

Doraźna pomoc, niezbędna do zaspokojenia codziennych potrzeb tej masy, wymagała już kolosalnych wysiłków, a przecież obok tej młodzieży, czekały jeszcze setki tysięcy dorosłych, miejscowych i repatryantów, w sporej części potrzebujących również wsparcia. Nie zapominajmy nadto, że kiedy inne państwa mogły już odetchnąć po zawarciu pokoju, nas czekało jeszcze parę lat wojny, z Rosją bolszewicką i z Ukraińcami, że z dniem 1 czerwca 1922 r., zlikwidowana została dobroczynna akcja amerykańska, że dewaluacja naszego pieniądza rosła ciągle aż do r. 1923, a stabilizacja jego w roku następnym i związane z nią oszczędności, uniemożliwiły wydatniejsze poparcie przez państwo dzieła opieki nad młodzieżą.

Dopiero po przetrwaniu tego pierwszego okresu i zaradzeniu niezbędnym potrzebom, można było zabrać się do systematycznej pracy organizacyjnej, w myśl Konstytucji, która dzieciom opuszczonym zapewniała „prawo do opieki i pomocy Państwa” (art. 103). Podstawą jej stała się „Ustawa o opiece społecznej” z dnia 16 sierpnia 1923 r., która miała wnieść w tę dziedzinę pracy pewien plan i ogólnie-obowiązujące normy. Tam, gdzie dotychczas wystarczała dobra wola i filantropja, miała teraz wkroczyć „opieka społeczna”, pojęta jako obowiązek publiczny. Było

to poczęści następstwem faktycznego stanu rzeczy — niewystarczalności prywatnej dobroczynności, wobec ogromu potrzeb i ogólnego zubożenia — a jeszcze w większej mierze wynikiem ustalenia się poglądu, że zaspokojenie potrzeb obywateli, nie będących w stanie zaradzić własnym potrzebom, jest obowiązkiem społecznym.

Ustawa z r. 1923 była właśnie wyrazem tego stanu rzeczy. Daje ona prawne określenie opieki społecznej, którą jest „zaspakajanie ze środków publicznych niezbędnych potrzeb życiowych tych osób, które trwale lub chwilowo własnymi środkami materialnymi lub własną pracą uczynić tego nie mogą, jak również zapobieganie wytwarzaniu się stanu, powyżej określonego”. Ustawa określa dalej, kto ma do tej opieki prawo, wylicza środki, jakie mają być dostarczone i wskazuje źródła pokrycia, oraz czynniki do wykonywania opieki zobowiązane. W myśl ustawy obowiązek ten ciąży zasadniczo na samorządzie i związkach komunalnych (samorządowych), zwierzchnictwo zaś i nadzór naczelny nad opieką społeczną spoczywa w ręku ministra Pracy i Opieki Społecznej.<sup>1)</sup>

Ustawa powyższa zawierała jednakże tylko zasadnicze przepisy ramowe i jakkolwiek wchodziła w życie z dniem 21 marca 1924 r., upłynęło jeszcze parę lat, zanim ukazały się potrzebne do jej wykonania ustawy i rozporządzenia wykonawcze.<sup>2)</sup> Wobec tego, że opieka społeczna wymaga udziału różnych czynników, należało przede wszystkim unormować zgodne współdziałanie ich między sobą i z władzami centralnymi. Instytucją naczelną, która

---

<sup>1)</sup> Państwo sprawuje opiekę społeczną tylko w wypadkach wyjątkowych, mianowicie względem osób, wobec których ma specjalne obowiązki z tytułu publicznego (inwalidzi wojenni, uczestnicy powstań i t. p.) oraz w tych działach opieki, które przekraczają możliwość świadczenia związków komunalnych. — Opieka dobroczynna prywatna pozostaje nadal, ma się jednak dostosować do norm wskazanych ustawami.

<sup>2)</sup> Doskonałe zestawienie tych ustaw i rozporządzeń zostało dokonane przez Dra Stan. Grocholskiego i Edw. Chwalewika, w książce p. t. „Opieka Społeczna. Zbiór ustaw i rozporządzeń”. Warszawa 1929, nakł. Min. Pr. i Op. Sp. (str. 731). Osobny tomik, opracowany przez tychże autorów, zawiera ustawodawstwo dla województwa poznańskiego i pomorskiego (str. 364). — Dalszy ciąg ustaw i rozporządzeń, od stycznia 1930 r. podaje „Dodatek miesięczny” do kwartalnika *Praca i Opieka Społeczna*, Warszawa nakł. Min. Pr. i Op. Sp.

miała teoretycznie pracować nad rozwiązaniem tego zadania, stała się „Rada Opieki Społecznej”, przewidziana już w powyższej ustawie, a szczegółowo określona specjalną ustawą z dnia 18 lutego 1925 r. Złożona z przedstawicieli samorządu terytorjalnego, organizacji społecznych i interesowanych ministerstw, jest ona centralnym organem doradczym przy ministrze Pracy i Op. Społ. Do zakresu jej działania należy rozpatrywanie projektów rozporządzeń i ustaw z zakresu opieki społecznej, wnioskowanie o potrzebie nowych ustaw, opinjowanie o zamierzonych zarządzeniach administracyjnych Ministerstwa Pr. i Op. Społ., oraz popieranie poczynań samorządów i organizacji społecznych na tem polu.

Praktyczna strona wykonania opieki społecznej wymagała również bliższego określenia. Ponieważ ogólna ustawa z r. 1923 nakładała zasadniczo obowiązek jej na samorządy i związki komunalne (samorządowe), trzeba było określić szczegółowiej, które z nich i w jakim stopniu miały się do niego poczuwać, zwłaszcza gdy chodzi o przedsięwzięcia kosztowniejsze. Uregulowaniem tej sprawy zajęło się Rozporządzenie Prezydenta R. P. z dn. 6 marca 1928 r. „o rozgraniczeniu obowiązków opiekuńczych związków komunalnych”. Określa ono (zwłaszcza w zakresie instytucji opiekuńczych) zadania gmin, związków komunalnych powiatowych i wojewódzkich, wychodząc z założenia, że prowadzenie działów opieki społecznej, wymagających bardziej specjalnych urządzeń, powinno należeć do obowiązków samorządu wyższego stopnia.<sup>1)</sup>

W celu zapewnienia wypełnienia powyższych obowiązków przez samorządy i ich związki, należało nadto wyznaczyć odpowiednie organa wykonawcze i tem zajęło się Rozporządzenie Prezydenta R. P. z dnia 6 marca 1928 r. „o opiekunach społecznych i o komisjach opieki społecznej”. Podług niego we wszystkich miastach i w każdej gminie wiejskiej, liczącej ponad 5.000 mieszkańców, mają być utworzone Komisje opieki społecznej, których zadaniem jest wydawanie opinii i inicjatywa w za-

---

<sup>1)</sup> Dla zrozumienia tego rozporządzenia por. Rozporządzenie Prezydenta R. P. z dnia 22 marca 1928 r. „o związkach międzykomunalnych” (Dz. U. R. P. r. 1928 nr. 39 poz. 386). Przewiduje ono, że gminy, miejskie i wiejskie, oraz powiatowe i wojewódzkie związki komunalne łączyć się mogą w związki międzykomunalne, z prawami korporacyj o samoistnej osobowości prawnej.

kresie organizacji i przeprowadzania opieki społecznej na terenie gminy. Organem zaś wykonawczym mają być t. zw. Opiekunowie społeczni, wybierani na okres trzyletni przez radę gminną (miejską). Głównem ich zadaniem jest czuwanie, by osoby potrzebujące opieki rzeczywiście ją otrzymywały w myśl istniejących przepisów; poza tem mają badać, z własnej inicjatywy lub na żądanie gminy, sytuację osobistą i finansową osób, korzystających albo mających korzystać z opieki społecznej, komunikować zarządowi gminy swe spostrzeżenia i składać sprawozdanie z działalności.

Myślą przewodnią przy stworzeniu powyższej instytucji było nie tylko dopilnowanie wykonania opieki społecznej, lecz także wciągnięcie ogółu do tej pracy. Przez wkładanie tego obowiązku na poszczególnych obywateli, zmieniających się co trzy lata, chciano szerzyć wśród społeczeństwa zainteresowanie się temi sprawami i wpoić w nie przekonanie, że opieka społeczna nie jest jedynie „urzędowym zakresem działania” państwa i samorządów, lecz, że współpraca w niej jest obowiązkiem wszystkich obywateli. — Myśl ta, dodajmy odrazu od siebie, jest piękna, lecz nawet wśród oficjalnych sfer słyszy się głosy, że sporo jeszcze czasu upłynie, nim zdoła wcielić się w czyn; inni zaś zapatrują się na to jeszcze sceptycznie. W każdym razie dotychczasowe doświadczenia nie są pomyślne i mogą służyć jako dowód, że nic nie zdoła zastąpić chrześcijańskiej akcji charytatywnej.

Z tego, co powiedzieliśmy dotychczas, widocznem jest, że opieka społeczna wciąga w swą orbitę wszystkich — państwo, samorządy i całe niemal społeczeństwo. Ta różnorodność i liczebność czynników współpracujących, oraz okoliczność, że przeważna część organizacji otrzymuje fundusze bądź od państwa, bądź od związków komunalnych lub społeczeństwa, podyktowały konieczność pewnej kontroli nad ich użyciem i nad rozwijaną działalnością.

W sprawie tej ukazało się też Rozporządzenie Prezydenta R. P. z dn. 22 kwietnia 1927 r. „o nadzorze i kontroli nad działalnością instytucyj opiekuńczych” (zmienione częściowo Rozporządzeniem Prez. R. P. z 22 marca 1928 r.). Na jego podstawie stowarzyszenia i związki, oraz instytucje i zakłady, których cele należą do zakresu opieki społecznej, podlegają nadzorowi i kon-

troli władz państwowych względnie samorządowych, którym mają składać roczne sprawozdania i którym służy prawo domagania się wyjaśnień i przeglądania dokumentów. Niektóre szczegóły powyższej ustawy zostały w tymże roku 1927 objaśnione osobnymi rozporządzeniami ministra Pr. i Op. Społ. Dwa z nich, o jakich wspomniemy na swoim miejscu, zajmują się kwestją regulaminów i kierowników zakładów opiekuńczych. Trzecie zaś, z dn. 23 listopada 1927 r., mówiło „o sprawozdaniach z działalności i o rachunkowości instytucyj opiekuńczych”, na które nakładało obowiązek przedkładania władzy nadzorczej w przepisany terminie odnośnych sprawozdań i normowało pewne szczegóły administracyjne. Z dniem 1 kwietnia 1930 r. przepisy jego utraciły jednak moc obowiązującą na rzecz nowego rozporządzenia ministra Pr. i Op. Sp. z dn. 25 lutego 1930 r., „o rachunkowości i o sprawozdaniach instytucyj opiekuńczych”.

Sprawa nadzoru i kontroli wywołała w praktyce rozliczne trudności i konflikty, w szczególności co do zakładów opiekuńczo-wychowawczych i instytucyj kościelnych. Kościół katolicki ma bowiem prawo zakładania i prowadzenia takich instytucyj, a kontrola nad nimi należy podług prawa kanonicznego do biskupa miejscowego<sup>1)</sup>; prawo to więc powinno być uszanowane przez państwo na podstawie Konstytucji (art. 114) i Konkordatu (art. 1). Jak było do przewidzenia, pertraktacje w tej sprawie doprowadziły też do pewnego porozumienia, które powinnyby jednak, po przejściu okresu próbnego, otrzymać trwałą i dokładniej określoną formę.

Tak przedstawia się u nas schemat organizacyjny opieki społecznej, w której ramach mieści się również obchodząca nas obecnie opieka nad dzieckiem i młodzieżą, oraz ochrona macierzyństwa. Przypatrzmy się teraz szczegółowiej paru ważniejszym jej działom, jak wyglądają w swym rozwoju, a o ile pozwolą nam posiadane dane, także pod względem faktycznym.<sup>2)</sup>

Jak słusznie pisał znany działacz na polu opieki nad matką i dzieckiem, dr. med. M. Gromski — „instynkt macierzyństwa

<sup>1)</sup> Kodeks prawa kan., kan. 196, 1489-1495.

<sup>2)</sup> Nawiasem dodać możemy, że całość tej dziedziny opieki chciano objąć osobną ustawą „o opiece społecznej nad macierzyństwem i nieletnimi”, której projekt został rozpatrzony przez Radę Opieki Społ. już w r. 1928. O dalszym jej losie nic nam jednak nie wiadomo.

wrodzony jest każdej kobiecie", ale „nie każdą matkę stać na wychowanie swego dziecka, nie każda może wychowaniu jego się poświęcić, nie każda potrafi tego dokonać". Jednym utrudnia podjęcie i spełnienie obowiązków macierzyńskich praca zarobkowa, drugim ciężkie warunki materialne i mieszkaniowe, innym wreszcie brak potrzebnego przygotowania i wiadomości.

Zarządzenie wszystkim tym potrzebom — pojęte jako ochrona macierzyństwa i opieka nad matką i dzieckiem — jest też dziś przedmiotem głębokiej troski wszystkich cywilizowanych społeczeństw i znajduje coraz głębsze zrozumienie w naszym kraju. Plany Ministerstwa Pr. i Op. Społ. szły w tej mierze daleko, jednakże wobec niepodobieństwa zrealizowania ich obecnie, sam rozum praktyczny nakazywał zrezygnować z nich chwilowo i rozpocząć od organizowania takich instytucyj, któreby z najmniejszym nakładem kosztów i personelu mogły służyć większej liczbie potrzebujących. Warunkom tym odpowiadają dziś najlepiej instytucje opieki otwartej, t. zw. „Stacje opieki", które w formie przychodni pozwalają roztoczyć opiekę nad matkami i niemowlętami, zamieszkałymi w pewnym rejonie dokoła. Toteż rozbudowa ich sieci w kraju stała się naczelnym punktem programu w tym dziale opieki.

Jak wygląda taka Stacja i jakie jest jej istotne zadanie? — Ma ona być równocześnie szkołą wykształcenia higienicznego dla matek i doraźnym organem opieki nad nimi i dzieckiem, ma pouczać matkę, co jest potrzebnem do wydania zdrowego dziecka na świat i racjonalnego pielęgnowania go. Nie chore lecz zdrowe dziecko jest więc właściwym przedmiotem opieki, chore zaś dopiero drugorzędnie. Spełnienie wymienionych obowiązków należy do lekarza i do kwalifikowanej pielęgniarce, która poza godzinami urzędowania w przychodni odwiedza również matki w ich mieszkaniach. Sama Stacja składa się z paru ubikacyj, służących za biuro przyjęć, poczekalnię i miejsce badania; zawiera ona również małą podręczną apteczkę, oraz przygotowuje i wydaje sterylizowane mleko dla tych matek, które nie mogą same karmić dzieci.

Działalność Stacyj tak zorganizowanych okazuje się w swych skutkach bardzo zbawienną (wpłynęła znacznie na zmniejszenie śmiertelności niemowląt) i należy się spodziewać, że przy skoordynowanej akcji państwa i samorządów liczba ich w kraju — obecnie ponad 250 — podnosić się będzie szybko.

Specjalnej ochrony wymagał los matek, zajętych pracą zarobkową, zwłaszcza po fabrykach, gdzie macierzyństwo narażało je nieraz na utratę stanowiska, a zawsze utrudniało zaopiekowanie się dzieckiem. Ustawa z dn. 19 maja 1920 r. „o obowiązkiem ubezpieczeniu na wypadek choroby” nakładała wprawdzie na Kasy Chorych obowiązek pomocy lekarskiej, położniczej i pieniężnej w okresie macierzyństwa, ale dopiero ustawa z dn. 2 lipca 1924 r. „w przedmiocie pracy młodocianych i kobiet” zabezpieczyła pozostałe ich interesa. Zobowiązuje ona przedsiębiorców do przyznawania pracownikom w okresie wskazanym odpowiedniego urlopu, a potem matkom karmiącym dwurazowej półgodzinnej przerwy w ciągu pracy, oraz nie pozwala pracodawcy w okresie tych przerw rozwiązać ani wypowiedzieć służbowego stosunku pracy. Poza tem w zakładach, zatrudniających ponad sto kobiet, winien przedsiębiorca urządzać i utrzymać osobny żłobek dla niemowląt; szczegółowe przepisy wykonawcze w tym względzie podało Rozporządzenie ministra Pr. i Op. Społ. z dn. 11 marca 1927 r., „w sprawie urządzenia i utrzymywania żłobków dla niemowląt w zakładach pracy”.

Z realizacją rozporządzenia o żłobkach nie śpieszono się jednak, co było zrozumiałem wobec ogólnych trudności finansowych i obciążenia nowymi ciężarami przedsiębiorstw, dźwigających już na sobie znaczne świadczenia socjalne. Sejm odraczał też dwukrotnie wykonanie tego przepisu, tak, że na dzień 1 marca 1928 r. z ogólnej liczby 252 fabryk w kraju, obowiązanych do utrzymywania żłobków, otwarto je zaledwie w 12-u, a przygotowywano w 17-u. Od tego czasu praca posunęła się jednak różnie naprzód.

Z zakresu opieki nad niemowlęciem możemy jeszcze wspomnieć Rozporządzenie ministra Pr. i Op. Społ. z dn. 14 października 1924 r. „w sprawie praw i obowiązków kobiet, karmiących obce niemowlęta”. Rozciąga ono kontrolę nad zdrowotnością ich i niemowląt, oraz nadzór nad należytem wywiązywaniem się z tego obowiązku i zachowywaniem przepisów higieny.

Z pośród planów na przyszłość, które jednakże nieprędko dadzą się urzeczywistnić, wymienić możemy piękną myśl „Domów dla matek”. Mają to być instytucje, rodzaj hoteli, w których osamotnione kobiety ciężarne znajdują przytułek nie tylko w okresie krytycznym, ale i przez parę miesięcy po urodzeniu dziecka.



Przez ten czas otrzymają one lepsze zajęcie w warsztatach zakładowych, a dzięki temu, że pozostaną tu dłużej z dzieckiem i nauczą się niem opiekować, nie porzucą go potem tak łatwo.

Po akcji opiekuńczej nad matką i niemowłciem, drugą z kolei, pod względem doniosłości i zakresu działania, jest sprawa kolonij i półkolonij letnich. Dotyczy ona przede wszystkim młodzieży, skupionej w wielkich miastach i gęsto zaludnionych ośrodkach robotniczych, która żyje wśród najokropniejszych nieraz warunków higienicznych, zwłaszcza przy dzisiejszym braku i przepełnieniu mieszkań, niedożywiona, pozbawiona słońca, czystego powietrza, a często i moralnie zdrowego otoczenia. Badania lekarskie dzieci szkolnych po miastach stwierdziły przecież, że kilkanaście a gdzieśniedzie ponad 30% jej zagrożone jest gruźlicą. Kolonje letnie, pozwalające wyleczyć się słabym, a wszystkim nabrać nowych zapasów sił i zdrowia, stają się więc nieocenionem dobrodziejstwem dla tej młodzieży i ochroną dla społeczeństwa. Toteż organizuje się je wszędzie, owszem dziś stanowią one przedmiot zainteresowania międzynarodowego.

Kolonij takich rozróżniamy trzy rodzaje: 1) kolonje letnie wypoczynkowe, urządzone w oddalonych od miasta zdrowych miejscowościach, dają młodzieży powietrze, słońce, kąpiel, odpowiednie odżywienie, opiekę lekarską i wychowawczą, pozwalają wypocząć i wzmocnić się, a tem samem działają zarazem profilaktycznie.<sup>1)</sup> Nie przyjmuje się do nich dzieci chorych lub anormalnych. 2) Kolonje lecznicze, przeznaczone dla dzieci chorowitych i chorych, dają im troskliwą opiekę lekarską i warunki umożliwiające powrót do zdrowia; należą tu miejscowości, jak Rabka, Zakopane, Busk, Ciechocinek, i t. d. 3) Półkolonje różnią się tem od poprzednich, że dziecko spędza w nich czas całodzienny, a na noc powraca do swego domu. Ta ostatnia okoliczność jest wprawdzie ujemna raczej, niemniej jednak typ ów okazał się bardzo szczęśliwym i znalazł szerokie zastosowanie dzięki temu, że pozwala przy niewielkim wkładzie pracy i kosztów zapewnić większej liczbie dzieci dużo korzyści dla zdrowia.

Znaczenie kolonij wypoczynkowych zrozumiano u nas wcze-

---

<sup>1)</sup> Osobną kategorię, którą tu się nie zajmujemy, stanowią obozy letnie harcerskie i Przysposobienia wojskowego.

śnie — pół wieku upływa obecnie od pierwszych prób organizacyjnych na tem polu (dr. Stanisław Markiewicz) — i w chwili odzyskania niepodległości istniał na obszarze naszego kraju szereg zajmujących się niemi Towarzystw, których działalność znalazła silne poparcie ze strony państwa i samorządów. Nadzór nad kolonjami objęło zrazu Ministerstwo Zdrowia Publicznego, a następnie — na podstawie Rozporządzenia Prezydenta Rzpltej z dn. 18 stycznia 1924 r., w przedmiocie rozdziału kompetencji, i opartego na niem okólnika ministra Pr. i Op. Społ. z dn. 10 marca tegoż roku — Ministerstwo Pr. i Op. Społ.

W celu skoordynowania prac Rządu, samorządów i społeczeństwa utworzono — Rozporządzeniem ministra Zdrowia Publ. z dn. 22 lutego 1922 r., uzupełnionem rozporządzeniem ministra Pr. i Op. Społ. z dn. 15 maja 1930 r. — „Radę do spraw kolonij letnich“, złożoną z ośmiu członków. Do zadań jej należy naczelne kierownictwo w zakresie organizacji i prowadzenia kolonij, rozpatrywanie konkretnych wniosków wojewódzkich komisyj, opinjowanie w sprawach regulaminów kolonij i rozdziału zasiłków rządowych dla poszczególnych komisyj wojewódzkich. Te ostatnie, t. zw. „Komisje do spraw kolonij letnich“ — powołane do życia i określone wymienionemi powyżej rozporządzeniami rządowemi — mają być utworzone przy wojewódzkich władzach administracji ogólnej. Zadaniem ich jest popieranie i propaganda akcji kolonij, nadzór nad ich działalnością, wydawanie instrukcyj i opinjowanie w kwestji rozdziału sum dla poszczególnych kolonij.

W sprawie prowadzenia kolonij letnich wydano różne instrukcje i regulaminy, a nadto w myśl uchwały Rady z dn. 10 maja 1926 r., zorganizowano nad niemi we wszystkich województwach stałą kontrolę sanitarno-lekarską.

Przypatrzmy się teraz, jak przedstawia się u nas faktyczny stan kolonij letnich, w świetle sprawozdań urzędowych:

| Liczba kolonij           | r. 1922 | r. 1929 |
|--------------------------|---------|---------|
| wypoczynkowych . . .     | 163     | 602     |
| lecniczych . . . . .     | 37      | 87      |
| półkolonij (r. 1923) . . | 22      | 155     |
| Liczba dzieci na         |         |         |
| kolonjach wypoczynk.     | 22.236  | 62.604  |
| „      lecniczych        | 6.255   | 16.547  |
| półkolonjach (r. 1923)   | 2.434   | 45.741  |

O ile chodzi o finansową stronę, to ogólny koszt utrzymania kolonij w r. 1929 wynosił 8,633.604 zł., z czego:

kolonie wypoczynkowe . 5,265.598 zł.

„ lecznicze . . . 2,663.521 „

półkolonie . . . . . 704.485 „

Na ogólną sumę powyższą złożyły się:

subwencja rządowa . . 1,050.000 zł.

subwencje samorządowe 2,583.619 „

„ społeczne . 2,839.845 „

opłaty od dzieci . . . 2,160.139 „

Postęp, widoczny z powyższych zestawień, jest rzeczywiście pocieszający. Od r. 1922 do 1929 wzrosła łączna liczba kolonij wypoczynkowych i leczniczych z 200 na 689, a liczba korzystającej z nich młodzieży, z 28<sup>1/2</sup> na blisko 80 tysięcy, nie mówiąc o półkolonjach, które w znacznej mierze i z dobrym skutkiem zastępują dla reszty kolonie letnie. Należy tylko pragnąć, by sprawa ta zdobywała coraz większe zrozumienie wśród szerokich sfer społeczeństwa, a chętni do pracy znajdowali możliwe ułatwienia i pomoc ze strony władz. Jest to tem potrzebniejsze, że wobec dzisiejszego zubożenia i bezrobocia potrzeby rosną, jak na to słusznie zwracają uwagę okólniki Ministerstwa Pr. i Op. Społ. z dn. 14 lutego 1930 r. i 11 marca 1931 r.

O zamkniętych zakładach opiekuńczo-wychowawczych nie potrzebujemy mówić obszerniej, gdyż pisaliśmy już nieraz o ich organizacji i stanie.<sup>1)</sup> Wystarczy więc przypomnieć najważniejsze dane i uzupełnić je nowościami z paru lat ostatnich.

Zakłady te noszące nazwę „zamkniętych“, ponieważ wychowankowie przebywają w nich stale, otrzymują mieszkanie, całkowite utrzymanie i opiekę — przyjmują tylko młodzież normalną i zdrową; dla chorej bowiem lub anormalnej tworzy się osobne zakłady t. zw. „specjalne“. Ogół prawie ich mieszkańców to dzieci i młodzież opuszczona, t. j. sieroty i półsieroty (bez ojca albo matki) pozbawione opieki. Liczba ich, zawsze wysoka, wzrosła ogromnie podczas wojny światowej i w pierwszych kilku latach po jej ukończeniu, wskutek napływu sierot wojennych i ty-

<sup>1)</sup> Ostatnio i najdokładniej p. *Przegląd Powszechny* listopad 1928 r., str. 171.

sięcy dzieci repatriantów, przybyłych zwłaszcza w latach 1921—24 z Rosji. Doraźną opieką nad nimi zajęły się ofiarnie różne instytucje, kościelne i świeckie, przy pomocy państwa i samorządów, szczególnie wielkich miast, w których rozporządzeniem ministra Pr. i Op. Społ. z dnia 19 lutego 1920 roku powołano do życia specjalne „pogotowia opiekuńcze”. O ile to tylko okazało się możliwem, odsyłano następnie dzieci do ich rodzin lub gmin; kilkadziesiąt tysięcy pozostałych trzeba było jednak rozmieścić po istniejących lub nowych, prowizorycznych zakładach.

Ścisk z powodu przepełnienia, brak odpowiednich urządzeń i udogodnień, przeciążenie i często niefachowość personelu wychowawczego były w owym okresie nieodłącznymi towarzyszami wielkiej albo i przeważnej części tych instytucyj. W ramach możliwości starano się im zapobiec, ale dopiero w r. 1925 można było przystąpić do planowej reorganizacji, przygotowywanej starannie przez odnośne czynniki. Przewodnią jej myślą było zapewnienie dziecku opuszczonemu takich warunków, które osłodziłyby mu jego dołę, otoczyły ciepłem, zabezpieczyły utrzymanie i wychowanie, pozwoliły na prawidłowy rozwój fizyczny i duchowy, przygotowały do życia i zawodu. Ten ostatni punkt określono w ten sposób, że wychowankowie zakładów opiekuńczych powinni mieć ukończoną szkołę powszechną i „pełne wykształcenie zawodowe”, by mogli potem wytrzymać konkurencję na rynku pracy, a nie pomnażali zastępów elementów niezadowolonych i niepożądanych w kraju. Owszem Ministerstwo Pracy i Op. Społ. poleciło nawet zakładom, żeby i po wyjściu wychowanków utrzymywały z nimi pewien kontakt, ułatwiały znalezienie zajęcia, udzielały wskazówek i nawet pomocy materialnej (okólnik z dnia 23 maja 1930 r. i 20 marca 1931 r.).

Początek tej akcji, która miała objąć całą dziedzinę opieki zakładowej na terenie państwa i dlatego obliczona była na dłuższy okres czasu, dał okólnik Ministerstwa Pr. i Op. Społ. z dn. 20 marca 1925 r. „w sprawie reorganizacji zakładów opiekuńczych”. Polecał on przede wszystkim wydzielenie z zakładów wszystkich dzieci, potrzebujących osobnej opieki wychowawczej lub lekarskiej, — chorych, kalek, anormalnych, moralnie zaniedbanych — i przeniesienie ich do specjalnych zakładów. Nakazane w tym celu Rozporządzeniem Ministerstwa Pr. i Op. Sp. z dn. 11 lutego 1926 r. „jednorazowe” zbadanie stanu zdrowotnego

wychowanków wszystkich zakładów pozostało niestety bez rezultatu — gdyż na ogólną liczbę 55 tysięcy dzieci zbadano niecałe 20 tys.; następne jednak, zarządzane w r. 1928, powiodło się szczęśliwiej, ale zarazem odsłoniło bardzo niepokojący obraz.

Pokazało się mianowicie, że z ogólnej liczby 40.111 zbadanych wychowanków — 61% cierpi w mniejszym lub większym stopniu na różne choroby: 26'9% na różne formy gruźliczego zakażenia (u 205 dzieci gruźlica otwarta), 5'4% (2.161 dzieci) na jaglicę, 6'9 % na inne choroby oczu, 1'6% na wady serca, 2'7% (1.177 dzieci) kalek, przeważnie nieuleczalnych, 17% wątpliwych i anemicznych. Wychowanków chorych na gruźlicę otwartą i jaglicę usunięto zaraz do specjalnych zakładów i postanowiono badania takie przeprowadzać odtąd periodycznie w całym kraju; ostatnie, którego wyników jeszcze nie znamy, zostało nakazane we wrześniu 1930 r. Dla podniesienia stanu zdrowotnego wychowanków rozesłało nadto Ministerstwo Pr. i Op. Sp. okólnik z dn. 9 sierpnia 1930 r. w sprawie wysyłania na kolonje letnie i półkolonje tych dzieci z zamkniętych zakładów opieki społecznej, których stan zdrowia tego szczególnie wymaga.

Drugim punktem, zaleconym również w powyższym okólniku, o reorganizacji zakładów opiekuńczych, był rozdział ich wychowanków podług wieku i płci, celem zapewnienia im odpowiedniego wychowania ogólnego i zawodowego. Bliższe szczegóły w tej mierze określono później, a ostatnio przypomniano okólnikami Ministerstwa Pr. i Op. Społ. z dn. 23 maja i 28 sierpnia 1930 r. Zasadniczy plan Ministerstwa polega na tworzeniu czterech typów zakładów: dla dzieci do lat 3 (żłobki), dla dzieci w wieku przedszkolnym (3-7 lat), szkolnym (7-14 lat) i dla starszej młodzieży, uczęszczającej do szkół średnich lub zawodowych. Z pośród nich zakłady drugiej i trzeciej kategorii, powinny ze względów zdrowotnych być rozmieszczone po wsiach; w miastach zaś winny zostać żłobki, jako wymagające stałego nadzoru lekarskiego, oraz bursy dla starszej młodzieży, uczęszczającej do szkół zawodowych.

Zalecona powyżej segregacja młodzieży zakładowej i podniesienie warunków jej bytowania możliwe były jednak tylko przy stworzeniu sieci nowych zakładów opiekuńczych. Ażeby ułatwić to trudne w dzisiejszej sytuacji gospodarczej zadanie, zostało wydane Rozporządzenie Prezydenta Rzpltej z dn. 16

stycznia 1928 r. „o budowie i utrzymaniu wojewódzkich zakładów opiekuńczo-wychowawczych”. Przewiduje ono, że samorządom wojewódzkim, a do czasu ich utworzenia związkom celowym, przekazywane będą na własność ośrodki z dóbr państwowych, w szczególności parcelowanych majątków rolnych, pod budowę i rozszerzenie wojewódzkich zakładów opiekuńczych; koszty ich utrzymania pokrywać mają wojew. związki komunalne, ustanowienie zarządów i kontrola ich działalności należą do samorządów wojew., nadzór zaś nad urządzeniem i prowadzeniem zakładów wykonywa Ministerstwo Pr. i Op. Społ. Nawiasem dodać tu można, że Ministerstwo, podług okólnika z dn. 30 lipca 1930 r., uważa „za bardzo wskazane”, żeby zarówno związki komunalne jak instytucje społeczne przedkładały mu plany nowo zamierzonych zakładów opiekuńczych; ma to zapobiec błędom w rozkładzie i urządzeniu budynków lub ich jakości.

Segregacja dzieci i związana z nią budowa nowych zakładów, stanowiły tylko jedną część planu reorganizacyjnego. Dalszym jego punktem były zagadnienia, dotyczące administracji i gospodarki zakładowej, oraz pracy opiekuńczo-wychowawczej. Podstawowem stało się tu wspomniane już poprzednio Rozporządzenie z dnia 22 kwietnia 1927 r. „o nadzorze i kontroli”. Z pośród rozporządzeń wykonawczych, wydanych z jego okazji przez Ministerstwo Pracy i Op. Społ., dwa w szczególności odnosiły się do zakładów opiekuńczych, mianowicie Rozp. z dn. 10 października 1927 r. „o kwalifikacjach kierowników” tychże i z dn. 12 października tegoż roku (ze zmianą z dn. 20 lutego 1930 r.) „o regulaminach zakładów opiekuńczych”. Poza tem nadmienić tu jeszcze należy „Instrukcję dla zamkniętych zakładów opiekuńczych dla dzieci i młodzieży”, wydaną przez Ministerstwo Pr. i Op. Społ. w r. 1925 (drugie wydanie w r. 1927), która określa szczegółowo obowiązki zakładu w zakresie wychowania fizycznego, umysłowego i moralno-religijnego. Troska o należyte spełnianie tych obowiązków leży też Ministerstwu głęboko na sercu i stąd co pewien czas stara się przypominać ważniejsze z nich, ostatnio naprz. w okólniku z dn. 23 maja 1930 r. „w sprawie pogłębienia opieki wychowawczej w zakładach”.

Tyle co do strony organizacyjnej. O ile chodzi o statystykę zakładów opiekuńczych w naszym kraju i przebywającej

w nich młodzieży, nie mamy do zanotowania nic więcej ponad to, co podaliśmy przed paru laty. W ogólnej liczbie 1.011 zakładów mieści się około 55.000 wychowanków (-nic). Widocznie nastąpiła tu już pewna stabilizacja stosunków; podniósł się natomiast ogólny poziom, a zwłaszcza dobór wychowawców.

Podaliśmy szczegółowiej stan opieki społecznej nad młodzieżą w trzech ważniejszych i stanowiących pewną zamkniętą w sobie całość jej działach. Pozostaje nam jeszcze zestawić resztę poczyniń, bądź ogólnej natury, bądź dotyczących mniejszych odcinków tej pracy, a dokonywanych przy częściowem współdziałaniu Ministerstwa Wyzn. Rel. i Ośw. Publ. oraz Spraw Wewnętrznych.

Na czoło zagadnień, związanych z całokształtem opieki nad dzieckiem i młodzieżą, wysuwa się opieka higieniczno-lekarska. Już Rozporządzenie Ministerstwa Zdrowia Publ. z dn. 25 sierpnia 1920 r. polecało tworzenie powiatowych komisji do spraw higieniczno-lekarskiej opieki nad dziećmi. Po zniesieniu tego Ministerstwa ustawą z dnia 28 listopada 1923 r. i rozgraniczeniu jego kompetencji Rozporządzeniem Prezydenta Rzpltej z dn. 18 stycznia 1924 r., przeszły na Ministerstwo Pr. i Op. Społ. między innymi: lekarska opieka nad dzieckiem i macierzyństwem (bez eugeniki i szpitalnictwa), oraz sprawy opiekuńcze instytucji i towarzystw o celach leczniczych i higienicznych. Opiekę tę wykonuje Ministerstwo bądź samo, bądź wspólnie z Ministerstwem Spraw Wewn., mianowicie Departamentem Służby Zdrowia.

Specjalne pole pracy w tym dziale zajmuje opieka nad dziećmi chorem i kalekami, umieszczonemi w zakładach i kolonjach leczniczych, lub korzystającymi z opieki otwartej. Najlichnniejszą kategorię stanowią tu dzieci z gruźlicą — płuc, kości, gruczołów, skóry — lub poważnie nią zagrożone. Opiekę nad nimi rozciągają w pierwszym rzędzie przychodnie przeciwgruźlicze, jakich mamy w kraju około 200, oraz zakłady wychowawczo-lecznicze, mające tę zaletę, że dają warunki potrzebne do leczenia, a przez izolację chorych zapobiegają zakażeniu innych. Obecnie posiadamy kilka takich mniejszych zakładów i dwa wielkie sanatoria: w Zakopanem (na 300 dzieci) i w Busku;

na dno rozpoczęto budowę dwóch dużych zakładów: w Nowojelni, wojew. Nowogródzkiego i w Rabsztynie, wojew. Kieleckiego.<sup>1)</sup>

Drugą, bardzo rozpowszechnioną chorobą, która ze względu na konieczność systematycznego leczenia i zakaźny charakter wymaga specjalnej opieki lekarskiej, jest jaglica czyli egipskie zapalenie oczu. Walkę z nią zorganizowano bardzo starannie, izolując w kilkunastu zakładach leczniczych parę tysięcy dzieci. Dzięki tej akcji sytuacja polepszyła się w znacznym stopniu, tak że ostatnio zwinęło przeważną część owych instytucyj i zcentralizowano leczenie jaglicy w dwóch wielkich zakładach opiekuńczych, dla chłopców w Częstochowie i dla dziewcząt w Witkowicach pod Krakowem.<sup>2)</sup>

Obok opieki higieniczno-lekarskiej inny dział pracy stanowi przygotowanie fachowego personelu, wyspecjalizowanego do wszystkich poprzednio wymienionych rodzajów pracy opiekuńczej. Dobór jego w pierwszych latach był z konieczności dorywczy, jakkolwiek już wówczas starano się uzupełniać braki krótkimi kursami. Później wszakże przystąpiono systematycznie do wyrobienia kwalifikowanego personelu, przyczem praca rozwijała się w dwóch zasadniczych kierunkach: szkolenia nowych pracowników i doksztalcania dawnych.

O ile chodzi o zakłady opiekuńczo-wychowawcze, najbardziej w tym wypadku interesowane, sprawa powyższa została uregulowana Rozporządzeniem Ministerstwa Pr. i Op. Społ. z dn. 10 października 1927 r. o kwalifikacjach ich kierowników. Przewidywało ono, że osoby nie posiadające wymaganego wykształcenia będą mogły pozostać na stanowiskach kierowniczych w zakładach nie dłużej, jak w ciągu pięciu lat od wejścia w życie rozporządzenia, a zatem do 1 stycznia 1933 r. Nie chcąc jednak usuwać osób zasłużonych w tej pracy, pozwalało im w drodze wyjątku pełnić i po tym okresie funkcje kierowników, ale pod warunkiem ukończenia tymczasem kursów doksztalcających dla wychowawców internatowych. Kursy takie trzymiesięczne urządza też Ministerstwo Pr. i Op. Społ. dwa razy do roku w Warszawie, z wiosną i w jesieni, a od czasu do czasu także w więk-

<sup>1)</sup> Poza tem kończy się obecnie wielkie sanatorium dla młodzieży akademickiej w Zakopanem.

<sup>2)</sup> Obszerniej o jaglicy i walce z nią por. *Przegląd Powszechny* z października 1928 r., str. 124 n.



szych miastach prowincjonalnych.<sup>1)</sup> Ósmy z kolei ministerjalny kurs dokształcający, odbyty jesienią ub. r. w stolicy, objął 336 godzin wykładów z kilkunastu przedmiotów, oprócz ćwiczeń praktycznych; ukończyło go 55 osób (46 rz.-kat. i 9 żydów) w tem 26 zakonnych.

Obok powyższych kursów „dokształcających” — ograniczających się jedynie do osób niekwalifikowanych, a czynnie już od dłuższego czasu zajętych pracą w zakładach — przystąpiono do systematycznego szkolenia nowych zastępów personelu dla społecznej opieki nad dzieckiem i młodzieżą. Takich szkół pracy społecznej posiadamy już dziś kilka:<sup>2)</sup> 1) Studium pracy społeczno-oświatowej, przy Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie, prowadzi od kilku lat specjalny kurs dwuletni „opieki nad macierzyństwem, dziećmi i młodzieżą”. 2) Dwuletni kurs Katolickiej Szkoły Społecznej w Poznaniu (ul. Podgórna 12) przygotowuje pracowników dla instytucji społecznych. 3) Trzyletnie kursy społeczno-gospodarcze, zorganizowane przez SS. Urszulanki w Czarnym Borze pod Wilnem, przygotowują kierowniczkę dla zakładów opiekuńczo-wychowawczych. 4) Jednorooczny kurs pracy społecznej, przy Państwowem seminarjum dla ochroniarek w Warszawie.

Obok szkolenia personelu, oddającego się bezpośrednio pracy opiekuńczo-wychowawczej, dąży Ministerstwo usilnie do zainteresowania ogółu społeczeństwa temi zagadnieniami. Propaganda, jaką w tym celu rozwija, odbywa się częścią przez różne wydawnictwa Ministerstwa lub instytucji pokrewnych (naprz. Polski Komitet nad Dzieckiem, Warszawa ul. Jasna 11), częścią przez różne imprezy, do jakich zalicza się przedewszystkiem doroczny Tydzień względnie Dzień Dziecka, mający na celu po-

---

<sup>1)</sup> Warunki przyjęcia: 1) ukończona co najmniej 7-klasowa szkoła powszechna albo 4 klasy szkoły średniej, lub państwowe seminarjum dla wychowawczyń przedszkolnych; 2) przynajmniej 4-letnia praca w zakładach opiekuńczo-wychowawczych dla dzieci i młodzieży.

<sup>2)</sup> Szczegółowe wiadomości o tych szkołach i kursach podaje p. Bronisław Krakowski, Naczelnik Wydziału opieki nad dzieckiem i młodzieżą w Ministerstwie Pr. i Op. Społ., w artykule „Kształcenie pracowników społecznych w dziedzinie opieki nad dziećmi i młodzieżą”. *Opieka nad dzieckiem*, Warszawa 1931 zesz. 3 str. 131-172.

pularyzowanie wśród szerokich sfer zagadnień opiekuńczo-wychowawczych.

Tak przedstawia się w zasadniczych liniach organizacja społecznej opieki nad macierzyństwem, dzieckiem i młodzieżą w Polsce. Ograniczyliśmy się głównie do ustawodawczej jej strony i staraliśmy się nie tylko zestawić poszczególne jej etapy aż do ostatnich miesięcy, ale także powiązać je z sobą i uwypuklić myśl przewodnią, która im przyświecała. Co do faktycznego jej wykonania poprzestaliśmy na przytoczeniu najważniejszych danych, jakich dostarczyły nam oficjalne źródła; zestawienie szczegółów wymagałoby chyba osobnej księgi.

W związku z takim ujęciem zagadnienia pragniemy jednak zgóry zapobiec możliwym nieporozumieniom. Niektórzy z Czytelników, nie zajmujący się bliżej temi sprawami, mogliby z powyższego opisu odnieść wrażenie, że cała dziedzina opieki społecznej nad matką i dzieckiem jest domeną czysto państwową. Tymczasem tak nie jest. Pomijając już rozległą rolę, przyznaną tu ustawowo samorządom, należy pamiętać, że przeważna część zakładów opiekuńczych i kolonij młodzieży, to dzieło inicjatywy prywatnej, stworzone i prowadzone przez stowarzyszenia i instytucje prywatne, kościelne i świeckie, a utrzymywane kosztem ich i szerokich sfer społeczeństwa. Państwo, które pokrywa zaledwie dziesiątą mniejwięcej część tych wydatków, nie byłoby nawet w stanie przejąć tej gałęzi opieki na siebie, zwłaszcza jeśli dodamy, że poza objętą nią młodzieżą jeszcze przynajmniej drugie tyle czeka na zajęcie się nią. Monopol w tej dziedzinie nie leży też w zamiarach państwa; owszem apelowało ono zawsze, a w ostatnich czasach więcej jeszcze, do społeczeństwa i pragnie wciągnąć do współpracy najszerze czynniki. Ma to być rzeczywiście opieka „społeczna”.

Lecz tu dopiero — w tej współpracy — rozpoczynają się trudności. Państwo żąda, żeby społeczeństwo dawało środki a organizacje społeczne swą pracę, samo zaś rozciąga nad wszystkim nadzór i każdy niemal krok chce regulować swymi ustawami; wychodzi ono z założenia, że ze względu na tysiące młodzieży i gospodarkę funduszami publicznymi konieczną tu jest pewna kontrola i jednolite kierownictwo, a te powinny się znajdować w rękach jednej najwyższej instancji. Z drugiej strony

społeczeństwo i instytucje żądają również pewnej samodzielności, a ze strony państwa zaufania i pomocy; i słusznie, nikt bowiem nie jest skłonny do poświęceń wzamian za krępowanie go i stawianie trudności.

Wytwarza się więc sytuacja drażliwa, w której obie strony mają słuszność i w której o konflikt bardzo łatwo. A jeśli przytem uwzględnimy skomplikowany charakter samego zagadnienia opieki, w której wzajemne przenikanie się interesów i czynników działających nie pozwala na wytyczenie ścisłej linii demarkacyjnej dla obu stron; jeżeli dodamy okoliczność, że opieka społeczna w dzisiejszem znaczeniu jest czemś nowem, że doświadczenia w jej zakresie dopiero się zbiera, to nie powinno nikogo dziwić, że co pewien czas wyjdą na jaw różne braki i nieporozumienia. Powikłania te nie są jednak nierozwiązalne, po dokładnem zbadaaniu rzeczy i przy dobrej woli dadzą się zawsze usunąć i dlatego rzeczowa, nacechowana szczerą troską o dobro sprawy dyskusja będzie tu zawsze wskazana. Ten też, a nie inny charakter mają zamieszczone poniżej uwagi, w których, opierając się na obserwacji dotychczasowych poczyniń i doświadczeniach różnych instytucyj w kraju, pragniemy wskazać na kilka punktów, których reformę uważamy za szczególnie pożądaną.

Ze względów praktycznych na pierwsze miejsce wysunęliśmy kwestję uproszczenia administracji i sprawozdań w zakładach opiekuńczych i kolonjach letnich. Obecne przepisy wprowadzają tu ogromną, a dla celów gospodarki i ewidencji zbędną drobiazgowość, która przeciąża tylko zarząd i zniechęca go, pomnaża pracę biurową, a tem samem personel i koszty utrzymania. Każe się prowadzić rubryki i obliczenia tak szczegółowe, że z całą pewnością są one zbyteczne dla dobra instytucyj opiekuńczych, a dla celów naukowych i statystycznych pozostaną również bezplodne, bo nikt nie zdoła ich w całości skontrolować ani wykorzystać; dowodem tego niemałym jest fakt, że oficjalne sprawozdania z tej dziedziny zawierają stosunkowo niewiele danych, a i w tych jeszcze stwierdzaliśmy pewne nieścisłości i sprzeczności. Czyby więc nie było lepiej zredukować mocno pozycje w sprawozdaniach, a w miejsce przeróżnych ksiąg i druków polecić zarządom wypróbowane w tych wypadkach metody amerykańskie, do których wystarczy (przynajmniej na kolonjach letnich) jeden zeszyt, a które dadzą rezultaty co najmniej

takie same, a mamy podstawy do twierdzenia, że w niektórych wypadkach lepsze. Kierownicy instytucyj opiekuńczych przyjęliby takie zarządzenie z uczuciem głębokiej ulgi, odpadłby niepotrzebny balast biurokracji i kłopotów, a zyskałaby na tem młodzież, na którą przeszłyby zaoszczędzone fundusze.

Druża rzecz — dziś i na długi jeszcze przeciąg czasu aktualna, że względu na ogrom potrzeb a szczupłość środków — to kwestja wymagań, jakie stawia się pod adresem zarządów kolonij letnich i zakładów opiekuńczo-wychowawczych, a do pewnego stopnia także leczniczych. Wymagania te są bardzo wysokie. Dziecku nie może niczego brakować pod względem pomieszczenia, ubrania, warunków higienicznych, a jeśli chodzi o pożywienie, ma ono otrzymać wszystko nie tylko w dostatecznej, ale niekiedy zbyt obfitej mierze, nie mówiąc już o jakości. Zapewne, jest to bardzo chwalebne, że chce się dziecku dać co najlepsze — lecz co się wskutek tego dzieje? Oto pewnej liczbie dzieci powodzi się dobrze, aż nadto dobrze, podczas gdy masie innych doskwiera nędza; tamte dostają rzeczy, o jakich im się w domu nie śniło nawet i jakich nie posiada dziecko przeciętnego urzędnika, te zaś pozbawione są nawet tego, co potrzebne, choć równe miałyby prawa. Czyby więc nie było racjonalniej rozdzielić owe dostatki pomiędzy większą liczbę dzieci? Niech tamte mają mniej, ale zato niech te skorzystają trochę. Prawie dwa razy tyle dzieci możnaby zabrać na kolonje, a wiele sierot i w nędzy poniewierających się pomieścić w zakładach — gdyby tak chwalebnemu zamiarowi nie stały na drodze istniejące przepisy.

A sposób wyjścia w tej sprawie nie przedstawia, sądzymy, większych trudności. Przepisy obecne możnaby nawet pozostawić bez zmiany, jako wyraz tego, co być powinno, co Polska chce dać swym dzieciom; ale chwilowo, dopóki warunki się nie polepszą, zawiesiłoby się ich wykonanie, aby móc wesprzeć większą liczbę młodzieży.

Trzeci punkt, również domagający się reformy, to kwestja kontroli. Przedewszystkiem jest jej za wiele. Kolonje lecznicze i letnie, oraz zakłady opiekuńcze wizytuje przedstawiciel rządowy i samorządowy, delegat każdej instytucji (zwłaszcza Kas Chorych), która umieściła tu dzieci; osobno przychodzą jeszcze komisje sanitarno-higieniczne, nie mówiąc już o własnym lekarzu. Każde

z nich ma coś do powiedzenia, nieraz jeden wprost coś przeciwnego niż drugi. Czasem wchodzą przytem w grę inne momenty i w rezultacie zdarza się, że instytucja lepsza dostaje nagane a gorsza pochwałę. Wszystko to, łącznie z nie zawsze taktownem postępowaniem wizytatorów, staje się istną nieraz udręką dla osób i związków, poświęcających się dla dobra młodzieży i wskutek tego nie tylko nie idzie po linii współpracy władz ze społeczeństwem, lecz raczej zniechęca i odstręcza. Czyby zatem nie można ograniczyć tych wizytacji i ich kompetencji, a zwłaszcza mieszania się do wszystkich drobiazgów, oraz ułatwić zarządom skuteczniejszy rekurs w takich wypadkach?

Powtóre, wizytatorowie urabiają sobie zwykle sąd o danym zakładzie czy kolonji na podstawie porównania ich z innemi tego rodzaju instytucjami. Tymczasem takie stanowisko mija się nieraz ze sprawiedliwością. Zdarza się bowiem, że niektóre z nich otrzymują od władz państwowych czy samorządowych dwa i trzy razy mniej subwencji na dziecko niż inne instytucje. Należałoby więc naprzód w to wglądać i dopiero potem dostosować skalę wymagań, a nie zestawiać szablonowo z sobą wartości, często zupełnie niewspółmiernych.

Za ciągle jeszcze niedostatecznie uregulowaną uważamy sprawę kompetencji lekarzy, przydzielonych do instytucyj opiekuńczych czy kolonij. Wszystko jest dobrze, o ile oni są ludźmi mądrymi i taktownymi. Ale nie zawsze tak bywa i wówczas dochodzi nie tylko do przykrych zatargów z zarządami, ale odbija się to czasem ujemnie na finansach, na stronie wychowawczej i nawet na zdrowiu.

Parę uwag powyższych, które uczyniliśmy przedewszystkiem pod adresem Ministerstwa Pr. i Op. Społ., nie mają, powtarzamy raz jeszcze, charakteru oskarżenia ani zarzutów wobec kogokolwiek. Jako echo osób, oddanych dziełu opieki nad dzieckiem i młodzieżą, pragną one tylko wskazać na odczuwane przez nie niedomagania, by przez usunięcie ich podnieść stan tej opieki i zacieśnić węzeł współpracy pomiędzy społeczeństwem a państwem.

Skoro mówimy o współpracy wszystkich, niepodobna nam zamknąć tego artykułu bez bliższej wzmianki o stosunku do Kościoła katolickiego. Że w tej dziedzinie, gdzie zasługi jego są najstarsze i najgłębsze, a zamiary jasne i wyraźnie określone, stosunek ów powinien się kształtować pomyślnie, nie ulega żadnej

wątpliwości, zwłaszcza w kraju, którego  $\frac{3}{4}$  ludności wyznaje religję katolicką. I rzeczywiście, musimy to przyznać, że dążność do zgodnej współpracy Kościoła i państwa przejawia się obustronnie, a budzące się gdzieniegdzie nieporozumienia zostają wcześniej czy później zlikwidowane.

Religijne wychowanie młodzieży w instytucjach opiekuńczych otrzymało też w polskim ustawodawstwie społecznym dostateczne podstawy prawne. Zasadnicza ustawa o opiece społecznej z dn. 16 sierpnia 1923 r. zalicza „staranie o religijno-moralne wychowanie” do tych „niezbędnych potrzeb życiowych”, których zaspakajanie należy do obowiązków opieki społecznej. „Instrukcja”, wydana przez Ministerstwo Pr. i Op. Społ. dla zamkniętych zakładów opiekuńczych, podkreśla też silnie znaczenie wychowania religijnego i każe zabezpieczyć wychowankom możliwość wypełnienia obowiązków religijnych zarówno w święta jak w dnie powszednie. To samo przewiduje regulamin kolonij letnich. Wspomniane powyżej kursa dokształcające dla wychowawców zakładowych obejmują też w swym programie stale wykłady o podstawach wychowania religijnego.

Zarządzenia powyższe wydają się nam pod względem prawnym dostatecznym zabezpieczeniem wychowania religijnego; do władz kościelnych, rodziców i organizacji katolickich należy tylko dopilnować, aby były wykonane. Jeśli więc gdziekolwiek opieka religijna nad młodzieżą katolicką, przebywającą w zakładach opiekuńczych i kolonjach, niedopisuje, winy należy szukać u czynników do niej obowiązanych i zarządów miejscowych, a nie w ustawodawstwie.

*Ks. Stanisław Podoleński T. J.*

## Przegląd polskiej literatury historycznej 1929-1930.

W *Przeglądzie Powszechnym* (grudzień 1928 i styczeń 1929) pojawił się artykuł doc. U. J. Dr. J. Feldmana, przedstawiający w ogólnych zarysach dorobek polskiej nauki historycznej w pierwszym dziesięcioleciu niepodległości. Szczęśliwie podjęta inicjatywa ma być obecnie kontynuowaną w ciaśniejszych ramach chronologicznych (narazie za dwa lata), co pozwoli na bardziej szczegółowe potraktowanie przedmiotu, nie mniej uwzględni się tylko prace ważniejsze i cenniejsze, opuszczając mało wartościowe drobiazgi. Nadto omówione zostaną niektóre ważniejsze rozprawy z r. 1928, pominięte w wspomnianym wyżej artykule Dra Feldmana. Ze względów kompetencyjnych podzielono niniejsze sprawozdania na dwie części. Pierwszą, obejmującą starożytność i średniowiecze, napisał podpisany, drugą dotyczącą czasów nowożytnych — Dr. Feldman.

### *Historja starożytna.*

W ogromnym, międzynarodowym wyścigu kulturalnym badań nad dziejami, sztuką i cywilizacją świata starożytnego, Polska bierze dotychczas skromny udział. Ta abstynencja jest w znacznej mierze usprawiedliwiona naszym oddaleniem od głównych centrów kultury klasycznej, naszą młodością cywilizacyjną i naszym ubóstwem, gdyż poszukiwania archeologiczne, które stanowią najbardziej wartościowy ośrodek odnośnych studjów, są niezwykle kosztowne. W każdym razie mamy już obecnie, oprócz wybitnych filologów, także kilka dobrych sił naukowych, pracujących w dziedzinie samej historii starożytnej, wyrabia się też powoli zastęp młodych pracowników. Narazie jednak ich dorobek

naukowy za ubiegłe dwulecie ogłoszony w języku polskim, przedstawia się niezbyt pokaźnie, do czego przyczynia się również ta okoliczność, że dość dużo prac, właśnie lepszych, drukuje się w językach obcych. Przecież możemy wyliczyć kilka poważniejszych pozycji obok szeregu pomniejszych. Najprzód wypada wymienić prace syntetyczne, aczkolwiek postawione na poziomie popularno-naukowym. Tu należy drugie wydanie T. Zielińskiego: *Historja kultury starożytnej w zwięzłym wykładzie* i dwa tomy M. Weisbluma pt.: *Wschód starożytny i Grecja*, które stanowią część większego wydawnictwa „Historja świata”. Wreszcie dziejów starożytnych i średniowiecznych dotyczy spolszczone przez St. Szenhaka dzieło prof. H. Graetza: *Historja Żydów*.

O ile chodzi o tematy szczegółowe, to na uwagę zasługuje naprzód L. Piotrowicza: *Upadek Asyrii w świetle nowo odkrytej kroniki babilońskiej*. Opierając się na opublikowanym przez C. J. Gadd'a tekście, autor przyswaja publiczności polskiej wyniki badań polskich uczonych na powyższy temat, prostując je i uzupełniając w niejednym szczególe, zwłaszcza co do chronologii najazdu Scytów na Azję Mniejszą i Syryję. Praca St. Przeworskiego: *Studja nad osadnictwem i rolą Hetytów w Środkowej Anatolji* poświęcona jest ludowi, którego wybitne znaczenie cywilizacyjne uwypuklone zostało dopiero przez badania naukowe obecnego wieku. Do dziejów greckich odnosi się poza paroma drobnymi artykułami większa syntetyczna rozprawa T. Wałek, Czarneckiego: *Próba charakterystyki demokracji greckiej*.<sup>1)</sup> Autor porównuje demokrację grecką z nowożytną, wykazując obok podobieństw znaczne różnice. Demokracja grecka zasadzała się na bezpośrednim władztwie państwowem grupy etnicznej obywateli, a w obrębie tej grupy przeprowadzała zasadę równości do ostatecznych konsekwencji. Toteż w demokracji helleńskiej klasy nieposiadające zdobyły sobie większość i nieraz wyzyskiwały swą władzę, by zagarnąć majątek bogatych (poza Ateńczykami) lub obciążyć go wysokimi świadczeniami na rzecz państwa, z którego dochodów same korzystały (Ateny). Mimo to nie było w dawnej Helladzie żadnych tendencji socjalistycznych, a to z powodu rozczłonkowania warstwy robotniczej na trzy odrębne grupy

<sup>1)</sup> *Przegląd Histor.* 1930 zesz. I.



społeczne, obywateli, wolnych i niewolników, które z natury rzeczy nie mogły występować solidarnie. Bezpośrednie władztwo obywateli, tak charakterystyczne dla demokracji helleńskiej, utrzymało się długo dzięki niewielkim rozmiarom państw greckich, dopiero w późniejszym stadjum rozwoju pojawiają się w greckim demokratycznym systemie politycznym elementy ustroju reprezentacyjnego, dominującego w demokracji nowożytnej. Podobny temat, tylko w ciśniejszych chronologicznie i terytorjalnie granicach, stanowi treść pracy M. Kreczmara: *Krótką historja demokracji ateńskiej do czasów Temistoklesa*.

W nowszą epokę wkraczamy z rozprawką docenta Instytutu Nauk Judaistycznych w Warszawie E. Steina p. t. *Judaizm i hellenizm*. Jest to odpowiedź na znane dzieło prof. T. Zielińskiego pod podobnym tytułem (*Hellenizm a judaizm*), zbijająca jego tezę o rzekomem pochodzeniu chrześcijaństwa z religii antycznej greckiej i broniąca zarazem judaizmu przed zarzutami prof. Z.

Historja państwa rzymskiego większem cieszyła się zainteresowaniem. Z. Zmigryder-Konopka (*Wystąpienie władzy rzymskiej przeciw Bachanalfom italskim*) przedstawia interesującą próbę oporu konserwatywnych żywiołów w społeczeństwie rzymskiem przeciw rozpoczynającej się już inwazji wschodnich kultów. Zdaniem autora, poważną rolę odegrały tu również momenty polityczne. Kult Dionizosa, przywieziony do Rzymu z Kampanji i ogniskujący się na Awentynie, skupił koło siebie elementy opozycyjne. Dlatego władze rzymskie zakazały ceremonij gromadnych, pozwoliły natomiast na kult prywatny przy niewielkiej liczbie osób. Drugie większe studjum S. Więckiego: *Juljan Apostata jako administrator i prawodawca*, poświęcone jest postaci, która swą tajemniczością i wybitną indywidualnością przykuwa do siebie uwagę badacza. Autor podkreśla przedewszystkiem dodatnie strony charakteru cesarza; jego wybitne zdolności administracyjne oraz troskę o dobro państwa i ludu, nie przeczy jednak, że fanatyzm religijny kazał mu niejednokrotnie zboczyć z drogi, wskazanej przez rację stanu. Rozprawa S. Lenkowskiego: *Hypatja i jej epoka*<sup>1)</sup> maluje barwnie środowisko aleksandryjskie w dobie zwycięstwa chrystjanizmu nad dogorywającym światem pogańskim. Do chlubnych reprezentantek tego ostatniego należy

<sup>1)</sup> *Kwartalnik Klasyczny* 1930.

piękna filozofka Hypatja, a jej tragiczny zgon w r. 415 z rąk sfanatyzowanego tłumy stanowi widoczny symbol zewnętrznego triumfu nowego kierunku, ale zarazem dowód istnienia w jego obrębie ujemnych elementów rozkładowych, działających szkodliwie pod względem moralnym.

Przychylniejszą tendencję dla chrześcijaństwa wykazuje praca L. Halbana p. t.: *Společné ideály křesťanstva v prvních věcích*, która przedstawia w ciemnych barwach obraz społeczeństwa pogańskiego i przeciwstawia mu społeczne ideały pierwotnego chrześcijaństwa, jako to dostojenie ludzkie, miłość bliźniego, solidaryzm, gorliwość pracy, uspołecznienie własności. Pierwszych wieków chrześcijaństwa dotyczy również najpoważniejsze dzieło polskie z zakresu historii starożytnej, jakie pojawiło się w omawianym dwuleciu, mianowicie B. Wilanowskiego: *Rozwój historyczny procesu kanonicznego t. I. Proces kościelny w starożytności chrześcijańskiej*.<sup>1)</sup> Autor stawia ciekawą i dobrze umotywowaną tezę, że pierwotne chrześcijaństwo recypowało prawo procesowe z prawa żydowskiego. Dopiero od IV w. dzięki pokojowej symbiozie między państwem rzymskim a Kościołem daje się zauważyć wyraźny wpływ prawa rzymskiego, ale przejęto z niego niemal wyłącznie instytucje zbliżone do istniejących w obrębie chrześcijaństwa, a raczej przystosowano te ostatnie do norm rzymskich. Nową instytucją jest właściwie tylko apelacja. Koncepcja prof. Wilanowskiego przeciwstawia się dotychczasowym poglądom, które przeceniały wpływ jurysprudencki rzymskiej na prawo kościelne i sprowadza to oddziaływanie do właściwych rozmiarów; powyższy rezultat daje temu dziełu doniosłe znaczenie dla ogólno-światowej nauki. Właściwej jurysprudenckiej rzymskiej poświęcona jest poważna rozprawa Fr. Bossowskiego: *Actio ad exhibendum w prawie klasycznym justyniańskim*.<sup>2)</sup> Kończąc przegląd starożytnego działu polskiej literatury historycznej, należy jeszcze wspomnieć o interesującej nas ze względów narodowych rozprawie L. Piotrowicza p. t.: *Ziemia śląska w starożytności*.<sup>3)</sup> Informacje autorów starożytnych nie wiele rzucają światła na pierwotne dzieje tej krainy. Więcej

<sup>1)</sup> Rozprawy Wydz. III Tow. Przyj. Nauk w Wilnie t. III.

<sup>2)</sup> Roz. Wydz. hist. filoz. A. U. t. 67.

<sup>3)</sup> Księga o Śląsku, wydana z okazji jubileuszu 35 let. istnienia „Znicza”.

można wydobyć z danych archeologicznych. Stwierdzają one, że po okresie panowania ludów kultury łużyckiej, których przynależność etniczna nie jest pewną, Śląsk został zajęty na północy przez Germanów, na południu przez Celtów. Germańskie plemiona Lugjów, które później zapewne przybrały nazwę Wandalów, wyparły z czasem Celtów zupełnie, lecz w IV w. po Chr. usunęły się z kolei na zachód pod naciskiem prących od wschodu Słowian.

### *Historja powszechna średniowieczna.*

W zakresie dziejów powszechnych średniowiecza, o ile chodzi o tematy nie związane przynajmniej pośrednio z Polską, widzimy jeszcze mniejszy ruch, niż w dziedzinie historii powszechnej. Prawda, że i tutaj lepsze prace wychodzą w obcych językach n. p. prof. Haleckiego, oparte głównie na materiałach archiwum watykańskiego o stosunkach Bizancjum z światem zachodnim w XIV wieku. Rezultaty powyższych gruntownych studiów prof. Haleckiego mogą polscy czytelnicy poznać częściowo z referatu *Bizancjum a Wenecja w przededniu wojny o Tenedos*,<sup>1)</sup> gdzie wykazuje, jak krótkowzroczna polityka Wenecji i Genui utrudniała propagowaną przez papieża akcję pomocy dla chrześcijan wschodnich, zagrożonych przez Turków. Inną stronę powyższych badań oświetla artykuł *Przełom w dziejach Unji kościelnej w XIV w.*,<sup>2)</sup> który podkreśla również wybitny udział Stolicy apostolskiej w staraniach o pozyskanie kościoła wschodniego dla jedności wiary. Poza tem za ubiegłe dwulecie można wykazać zaledwie kilka drobniejszych rozpraw i to przeważnie znanych tylko ze streszczeń: są to, rzecz charakterystyczna, najczęściej tematy z zakresu stosunków społecznych i ustrojowo-prawnych. W. Mosscheńska zajmuje się *Antrustjonatem frankońskim w okresie Merowingów*, redukując przeceniane przez literaturę społeczne znaczenie tej wojskowej drużyny królewskiej.<sup>3)</sup> Podobnie odmiennie charakteryzuje ta sama autorka arystokrację frankońską z tego okresu,<sup>4)</sup> a swe krytyczne stanowisko co do wyników dotychczasowych badań uzasadnia w referacie *Z metodyki badań*

1) Spraw. Polsk. Ak. Um. 1929.

2) *Przegląd Powsz.* czerwiec 1929.

3) Księga pam. ku czci prof. Handelsmana.

4) Spraw. Tow. Nauk. Warszaw. 1930.

nad epoką najwcześniejszego średniowiecza<sup>1)</sup> Podobnie odmienne od dotychczasowych poglądy wypowiada T. Mantouffel w referacie *Geneza feudalizmu*,<sup>2)</sup> którą upatruje nie w instytucjach wasalstwa i beneficjum, ani nawet w terytorjalnem kurczeniu się władzy królewskiej wskutek immunitetu, ale wprowadza powyższy ustrój z walk wewnętrznych pomiędzy Karolingami, które osłabiły władzę królewską i zmusiły ją do ulegalizowania władzy uzurpowanej przez możnych panów przy pomocy instytucyj prywatno-prawnych wasalstwa i beneficjum. St. Inglot w rozprawie *Koloni w średniowiecznej Alzacji* wnika głęboko w stosunki społeczne i gospodarcze ludności wiejskiej krajów nadreńskich i przedstawia szczegółowe położenie jednej grupy wolnych dzierżawców ziemi pańskiej (*ferra salica*), która posiadała lepsze warunki gospodarcze i prawne, niż pozostała reszta ludności poddańczej. Zbliżoną do kolonów była grupa „gości” (*hospites*), która wywodziła się w znacznej mierze ze zbiegłej ludności niewolnej, osiadłej w innych dobrach na prawach wolnych, dziedzicznych dzierżawców. Potężny ruch kolonizacyjny, jak ogarnia po r. 1000 Francję i Belgię, później Niemcy, Polskę i inne kraje, był po większej części dziełem tej swobodnej ludności wiejskiej, pochodzącej zazwyczaj z Flamandji, Holandji i Frankonji, co tenże autor przekonywująco wykazuje w rozprawie *Problem kolonizacji flamandzko-holenderskiej w Niemczech i w Polsce*.<sup>3)</sup> Ściśle prawniczym zagadnieniom poświęcone są artykuły Wł. Namysłowskiego: *Prawo małżeńskie w pomnikach prawa średniowiecznej Serbji*,<sup>4)</sup> gdzie stwierdza zupełną zależność prawa państwowego od norm kanonicznych w tej dziedzinie, oraz drugi *O identyczności niektórych norm w średniowiecznym prawie polskim i południowo-słowiańskim*.<sup>5)</sup> Obok podobieństwa ogólnych zasad prawnych dla sędziów, którzy sądzić mają wedle pisanych statutów i własnego sumienia, spotykamy w obydwu prawodawstwach analogiczne postanowienia co do zastępstwa wdów w procesie sądowym oraz dowodu z pośrednich

---

<sup>1)</sup> Pam. Zjazdu Hist. 1930.

<sup>2)</sup> Tamże.

<sup>3)</sup> Kwart. Hist. 1929.

<sup>4)</sup> Przew. Hist.-prawny 1930.

<sup>5)</sup> Tamże.

świadków w razie zgwałcenia niewiasty. Zaprawianie młodych adeptów do studjów nad dziejami Zachodniej Europy w średniowieczu ma na celu wydawnictwo T. Manteuffla: *Źródła aktowe do dziejów feudalizmu francuskiego w. VIII—XIII*. Tenże autor w dwóch krótkich rozprawach: *Powstanie i organizacja miast średniowiecznych w Zachodniej i Środkowej Europie* oraz *Życie miejskie w wiekach średnich* przyswoił szerzej publiczności polskiej wyniki zagranicznej nauki urbanistycznej.

Dla zaokrąglenia obrazu wspomnień należy jeszcze nowe tłumaczenie klasycznego dzieła J. Burckhardta: *Kultura odrodzenia we Włoszech* przekładu M. Kreczowskiej, a opatrzone wstępem przez Z. Łempickiego oraz wydany w Krakowie cykl wykładów o św. Franciszku z Assyżu, oświetlający postać, działalność i wpływ wielkiego „Biedaczyny” z różnych punktów widzenia w sposób popularno-naukowy. Książka J. Tyszkiewicza o inkwizycji hiszpańskiej ma charakter raczej publicystyczny, niż ściśle naukowy.

Bliższych nam terenów dotyczy referat prof. Balzera: *Uwagi o kształtach państw pierwotnej Słowiańszczyzny zachodniej*.<sup>1)</sup> Wobec rozbieżności poglądów w literaturze, autor ustala różne kategorie tych państw. Zrazu były to drobne państewka plemienne, które łącząc się, wytworzyły państwa większe rozmaitego typu, albo jednolite pod władzą jednego księcia, albo złożone jako państwo państw (jeden książę naczelny, któremu podlegają inni książęta lub terytoria z władzą republikańską), względnie państwo związkowe w ramach republikańskiej formy rządów (Lutycy). Referat prof. Balzera pozostaje w pewnym związku z dawniejszą, obszerną pracą K. Tymienieckiego: *Spółeczeństwo Słowian lechickich* która omawia organizację społeczną (ród, plemię, szczerp) i początki państwowej, głównie u Słowian zachodnich i w Polsce.

Na przeciwległe, wschodnie kresy Słowiańszczyzny przenosi nas rozprawa St. Tomaszewskiego: *Nowa teoria o początkach Rusi*,<sup>2)</sup> która poddaje słusznej krytyce teorię historyka ukraińskiego Parchomenki. Należy on do tej grupy rosyjskich i ukraińskich dziejopisarzy, którzy powodowani ambicją narodową

<sup>1)</sup> Spraw. Tow. Nauk. Lwow, 1929.

<sup>2)</sup> *Kwart. Histor.* 1929.

nie chcą uznać wiarygodnego przekazu najstarszej kroniki ruskiej o podboju Rusi przez skandynawskich Waregów, lecz próbują koniecznie wytłumaczyć w inny sposób powstanie państwa ruskiego. Parchomenko przypisuje twórczą rolę organizatora państwowości ruskiej plemieniu Polan, siedzącemu pierwotnie nad morzem Azowskim, które po zdobyciu Kijowa rozszerzyło swą władzę stopniowo na północ. Teoria powyższa wszakże, podobnie jak innych antynormanistów, nie wytrzymuje poważnej krytyki naukowej. Wkońcu wymienić jeszcze należy ciekawy referat O. G ó r k i: *Kronika z czasów Stefana Wielkiego mołdawskiego. (Nieznane najstarsze źródło rumuńskiej historjografii.*<sup>1)</sup> Poddaje on rozbirowi krytycznemu powyższą kronikę, napisaną około r. 1499 przez jakiegoś Niemca, zaciężnego bojara w służbie mołdawskiej, przedstawiającą duże znaczenie dla dziejów Wołoszczyzny, a także i Polski u schyłku wieków średnich.

Oceniając ogólnie nasz dorobek w dziedzinie historii powszechnej średniowiecznej za ubiegłe dwulecie, stwierdzić należy, że poza pracami Haleckiego nie wygląda on nazbyt imponująco, niemniej jednak świadczy o coraz większym zainteresowaniu wśród młodych historyków szerszymi tematami, zwłaszcza z zakresu stosunków społeczno-gospodarczych i ustrojo-prawnych, co pozwala żywić lepsze nadzieje na przyszłość.

#### *Historja polska.*

Ogromna większość produkcji historycznej łączy się u nas stale z dziejami Polski i krajów ościennych (Litwa, Ruś), a tendencja ta utrzymała się również w ubiegłych dwóch latach. Duży materiał zaleca wprowadzić dla przejrzystości dalsze podziały wedle przyjętego szablonu systematycznego.

#### a) Źródła i nauki pomocnicze.

Dla badań historycznych, szczególnie mediewistycznych ogromne znaczenie przedstawiają wydawnictwa źródeł, ponieważ ułatwiają niezmiernie badaczowi opanowanie materiału, rozprószanego po rozlicznych archiwach i zbiorach. Niestety w tej dziedzinie, która pozostawia u nas jeszcze wiele do życzenia, nie widać było w ostatnich latach wielkiego ruchu, co nawet dało powód do utyskiwań na ostatnim Zjeździe historyków w Warszawie w r. 1930. Pomijając drobne przyczynki, drukowane prze-

<sup>1)</sup> Spraw. Ak. Um. 1929.

ważnie w *Miscellaneous Kwartalnika Hist.*, ukazały się tylko dwa celniejsze wydawnictwa. Naprzód wyszedł nareszcie drukiem drugi tom *Metryki Księstwa Mazowieckiego* obejmujący lata 1429—1433, przygotowany niemal zupełnie w r. 1918 przez A. Włodarskiego, który wydał w tymże roku tom I. Pod względem techniki wydawniczej drugi tom stoi wyżej od pierwszego, szczególnie na pochwałę zasługują wzorowe indeksy i skorowidze. Drugie cenne i na wysokim poziomie postawione wydawnictwo, to *Regesta Lithuaniae*. Obejmuje ono streszczenia dokumentów i zabytków historjograficznych, odnoszących się do dziejów Litwy pogańskiej; wyszedł narazie tom pierwszy, doprowadzony do r. 1315. Wydawnictwo to, zainicjowane przez prof. Haleckiego, a kierowane przez jego ucznia doc. Paszkiewicza, ułatwi w wysokim stopniu badania nad pierwotną historją Litwy. Poza tem wspomnieć należy wydawnictwاً o charakterze lokalnym, mianowicie L. Białkowskiego i J. Riabinina: *Materiały do monografii Lublina*, które w dwóch niewielkich tomikach zawierają wilkierze miejskie XV—XVII w. oraz wybór ciekawszych zapisek z ksiąg wójtowsko-ławniczych XVII—XVIII w.

W zakresie nauk pomocniczych historii znać duże ożywienie, idzie ono jednak głównie w kierunku tematów specjalnych; tylko jeden dział (archiwistyka) doczekał się częściowego opracowania syntetycznego. Również programowy referat St. Kętrzyńskiego: *Stan nauk pomocniczych historii i ich potrzeby* na ostatnim Zjeździe historyków w Warszawie nie objął całości tematu, lecz wysunął głównie pewne trafnie ujęte dezyderaty pod adresem dyplomatyki, podkreślając słusznie, że paleografia, sfragistyka i chronologia nie mają u nas warunków do samodzielnego rozwoju, lecz będą odgrywać pewną rolę jedynie jako dyscypliny pomocnicze w stosunku do nauki o dyplomach. Literatura lat ostatnich zdaje się potwierdzać słuszność powyższych spostrzeżeń. Rozprawka K. Małeczyńskiego: *O wpływie szkoły pisarskiej leodyjskiej na dukt dokumentów łekneńskich*<sup>1)</sup> poprzez studia paleograficzne dochodzi do ciekawego dla dyplomatyki wyniku, że najstarsze egzemplarze dokumentu Zbiluta z r. 1153 nie zostały napisane w klasztorze łekneńskim, wbrew dotychczasowym

---

<sup>1)</sup> Księga ku czci prof. Abrahama.

poglądom. Podobnie duże znaczenie dla dyplomatyki posiada pełne bystrych spostrzeżeń studjum St. Kętrzyńskiego: *Uwagi o pieczęciach Władysława Łokietka i Kazimierza Wielkiego*.<sup>1)</sup> które stwierdza, że w polskich kancelariach książęcych używano zazwyczaj długo jeszcze starych pieczęci, pomimo zmian w stosunkach terytorjalnych i prawnych. Równocześnie na pieczęciach dwóch ostatnich Piastów ilustruje autor niedostateczność naszej literatury sfragistycznej, specjalnie zaś dwóch największych wydawnictw Piekosińskiego i Gumowskiego. Ściśle już do zakresu dyplomatyki należy rozprawa R. Taubenschlaga: *Formularze czynności prawno - prywatnych w Polsce XII i XIII wieku*,<sup>2)</sup> która usiłuje wykazać, że formuły najstarszych dokumentów polskich brane były głównie z formularzy zagranicznych, szczególnie niemieckich. Tymczasem w rzeczywistości niezaprzeczalny zresztą wpływ formularzy nie był tak silny, jak autor przedstawia, poza-tem większą rolę odgrywały formularze włoskie i francuskie. Drobną rozprawką H. Polaczówny: *Rofy przywileju Henryka Brodatego dla Trzebnicy*<sup>3)</sup> omawia inowacje dyplomatyczne w kancelarii śląskiej, przyniesione prawdopodobnie z Rzymu, następnie należy zwrócić uwagę na głębszą, aczkolwiek nie pozbawioną usterek rozprawkę St. Kętrzyńskiego: *Do genezy kanclerstwa koronnego*,<sup>4)</sup> która trafnie charakteryzuje niecałkiem zdrowe stosunki w kancelarii królewskiej pod koniec rządów Kazimierza W., ale niezupełnie może słusznie przypisuje Jankowi z Czarnkowa główną rolę przy usunięciu urzędów kanclerzy dzielnicowych i stworzeniu centralnych władz kancelaryjnych dla całego państwa. Z zakresu numizmatyki zasługuje na wyróżnienie rozprawa prof. R. Grodeckiego o zwierzchności menniczej w Polsce.<sup>5)</sup> Autor rozróżnia zasadniczą zwierzchność menniczą monarszą od regalu menniczego, które zapewniało panującemu monopol na dochody płynące z mennicy. Zwierzchność menniczą potrafili Piastowie utrzymać w głównych zarysach do w. XIII, w dobie podziałów doznała ona pewnego uszczerbku, została z powrotem wzmocniona po wskrzeszeniu królestwa, ale w epoce

1) *Przegl. Hist.* t. VIII.

2) *Studja nad historją prawa polskiego* t. XII.

3) *Księga ku czci prof. Abrahama.*

4) *Kwartalnik Histor.* R. XLII.

5) *Wiadomość numizmat.* — *archeol.* t. VII.



Jagiellońskiej królowie musieli podzielić się nią z przedstawicielami społeczeństwa. Regale mennicze doznawało od XII w. coraz większego ograniczenia wskutek przywilejów menniczych, ale dopiero król Aleksander rzekł się w r. 1501 dochodów menniczych na rzecz państwa.

O ile chodzi o krytykę źródeł historjograficznych wymienić wypada przede wszystkim piękną pracę F. Pohoreckiego: *Rytmika Galla-Anonima*.<sup>1)</sup> Wykazuje ona, że kronika została napisana według najmodniejszych reguł literackich; prócz wierszy rytmicznych występuje w niej silnie rymowana proza, używana już przez pisarzy pierwszych wieków chrześcijaństwa, a szczególnie ulubiona w XI i XII wieku. Wł. Semkowicz omawia w interesującym referacie *Kalendarz trzebnicki pierwszej poł. XIII w.*<sup>2)</sup> i ustala, że powstał on zapewne na pocz. XIII w. w klasztorze benedyktynek w Kitzingen (Bawaria), skąd dostał się do Trzebnicy na Śląsk zapewne za pośrednictwem św. Jadwigi.

Heraldyka i geneologia cieszą się ustaloną od dawna sławą w polskiej nauce historycznej, a również ostatnie dwulecie może się poszczycić niezgorszymi rezultatami na tem polu. Najpierw zasługuje na wyróżnienie krótka, lecz niezmiernie ciekawa rozprawka R. Mikuckiego o herbie Pomorza.<sup>3)</sup> Powstał on z uszczerbionego herbu Zakonu krzyżackiego (czarny orzeł w srebrnym polu), a został udostojniony przez dodanie korony i ramienia z mieczem (typowy herb Pogonia, uszczerbione godło Litwy). Kazimierz Jag. stworzył powyższy herb i nadał go ziemiom zakonnym zaraz po inkorporacji tychże r. 1454, chcąc przez to zaznaczyć swe aspiracje do całych Prus. Wywody autora obalają hipotezę dyrektora archiwum gdańskiego Kaufmanna, jakoby herb Pomorza został obrany przez stany pruskie i miał symbolizować odrębność od państwa polskiego samych Prus, złączonych jedynie unją personalną z osobą króla polskiego.

Interesująca dyskusja rozwinęła się na temat genezy orła polskiego. Rozpoczęła ją H. Polackówna, wysuwając w artykule: *Geneza orła Piastowskiego*,<sup>4)</sup> tezę, że symbol państwowości polskiej wywodzi się z prastarego znaku rodowego Piastów,

<sup>1)</sup> *Roczniki Hist.* V i VI.

<sup>2)</sup> Spraw. Ak. Um. 1930.

<sup>3)</sup> Spraw. szkol. 1927/28 Państw. Gimn. w Tarnowskich Górach.

<sup>4)</sup> *Rocznik Histor.* VI.

który pierwotnie był może totemem klanowym. Przeciw tym fantastycznym wywodom wystąpił prof. Chodynicki,<sup>1)</sup> który znowu wyprowadza orla polskiego z herbu hrabiów Meranu, przyniesionego przez św. Jadwigę na Śląsk, skąd rozszedł się po całej Polsce. Obydwie te hipotezy obalił S. Mikucki (*W sprawie genezy orla polskiego*),<sup>2)</sup> wykazując z wielkiem prawdopodobieństwem, że orzeł był początkowo (XIII w.) znakiem rodu książęcego Piastów, następnie zamienił się w 2 poł. XIII stulecia na godło terytorjalne dzielnicy krakowskiej, aby pod koniec tego wieku stać się symbolem państwowości polskiej i godłem odrodzonego królestwa. Tenże autor napisał niezwykle ciekawą rozprawę: *Barwa w heraldyce polskiej*.<sup>3)</sup> poruszając temat nieopracowany zupełnie w literaturze polskiej, a w zagranicznej dotykany tylko ubocznie. Autor musiał tedy skomponować osobną metodę pracy, analizuje źródła graficzne i opisowe na tle współczesnych prądów w heraldyce zagranicznej, bada krytycznie terminologię i po takim przygotowaniu przechodzi poszczególne herby, ustala ich barwę i wykazuje rozliczne odmiany herbów, różniące się tylko barwą. Powyższa różnorodność wywołana została tą okolicznością, że w heraldyce polskiej, w przeciwieństwie do zagranicznej, nie przywiązywano wielkiej wagi do barwy, kładąc nacisk główny na godło. Do omawianej grupy prac heraldyczno-genealogicznych należą też większe i mniejsze, całkowite i częściowe monografie rodów rycerskich. Na wzmiankę zasługuje na przód sumienna praca Z. Wdowiszewskiego: *Ród Bogorjów w wiekach średnich*.<sup>4)</sup> Autor nie wypowiada się stanowczo co do genezy rodu, gniazdo jego upatruje w miejscowości Bogorja niedaleko Sandomierza, koło której skupiła się dość znaczna ilość posiadłości rodowych. Te ostatnie spotykamy też licznie na pograniczu polsko-ruskim koło Frysztaku i Żmigrodu; jest to typowe pograniczne osadnictwo rycerskie. Ród Bogorjów zasłużył się w dziedzinie kulturalno-religijnej przez fundację klasztoru cysterskiego w Koprzywnicy, założonego około 1185 r. przez komesa Mikołaja. Najwybitniejszą postacią rodu był arcybiskup gnieźnieński Jarosław Bogorja Skotnicki, zaufany doradca Kazi-

1) *Kurjer Poznański* z 2. VII. 1930.

2) *Wiadomości numizmat. — archeol.* t. XII.

3) *Rocz. Pol. Tow. Herald.* t. IX.

4) *Tamże.*

mierza W. Drugą monografię rodu Porajów-Różyków napisał ks. St. Kozierowski.<sup>1)</sup> Autor nie odrzuca zupełnie wersji Długosza o pokrewieństwie tego rodu z osobą św. Wojciecha i przyjmuje, że polscy Różyce mogli pochodzić od grupy rycerstwa czeskiego, która schroniła się do Polski z niedobitkami Sławnikowców. Posiadłości omawianego rodu występują głównie w Wielkopolsce, w ziemi łęczyckiej i sieradzkiej, a częściowo też w Małopolsce.

Pozatem wyszedł w zakresie heraldyki i genealogii szereg mniejszych przeważnie rozpraw i artykułów, zazwyczaj stojących na poziomie naukowym, czasem dyletanckich (np. Krzepeli: *Rody ziemiańskie XV i XVI w. zestawione według dzielnic*. Prace powyższe ukazują się w znacznej mierze w wznowionem od r. 1930 czasopiśmie *Miesięcznik Heraldyczny*, który pozostaje pod wytrawnym kierownictwem prof. Haleckiego i skupia koło siebie część ruchu naukowego na tem polu, zwłaszcza o ile chodzi o rzeczy drobniejsze.

Duży rozpęd zaznaczył się w ostatnich latach na polu archiwistyki. Ruch naukowy skoncentrował się tu głównie około czasopisma *Archeion*, którego cztery tomy (V–VIII) ukazały się w ciągu ostatniego dwulecia. Treść ich przedstawia się bogato i różnorodnie, obok artykułów teoretycznych, sprawozdań z działalności archiwów państwowych polskich i t. p. spotykamy tu liczne opisy archiwów krajowych i zagranicznych. I tak K. Maleczyński skreślił organizację archiwów państwowych włoskich, wspominając też pokrótce o najświeższych zmianach w archiwum watykańskim. W. Łopaciński opisuje archiwa węgierskie, Z. Wdowiszewski archiwa państwowe i gminne szwajcarskie, które wyróżniają się decentralizacją, zgodnie z federacyjnym ustrojem republiki. Dalej mamy tu wiadomości o archiwum kapituły łacińskiej we Lwowie i o niektórych archiwach prywatnych np. Ostrowskich w Maluszynie. Na wyróżnienie zasługuje dłuższy artykuł dyr. K. Kaczmarczyka o archiwum klasztoru OO. Paulinów na Jasnej Górze, zawierający również krótki zarys dziejów klasztoru. Obok archiwaljów jasnogórskich spotykamy tu także zasoby archiwalne 26 innych klasztorów paulińskich w Polsce, ponieważ na Jasnej Górze znajdowało się

---

<sup>1)</sup> *Rocz. Pol. Tow. Heral.* t. IX.

centralne archiwum polskiej prowincji paulińskiej. Również poza *Archeionem* pojawił się szereg cennych studjów archiwistycznych; znaczna ich część ukazała się w Bibliotece Archeionu lub w wydawnictwach Wydziału Archiwów Państwowych. J. Karwasińska odtwarza *Archiwa Skarbowe Koronne i Obojga Narodów*<sup>1)</sup> i stwierdza, że zachowane dotąd dawne akta skarbowe z czasów Rzeczypospolitej pochodzą z pięciu archiwów. Są to: 1) Archiwum Podskarbińskie krakowskie, zamknięte podobno na początku XVII w., 2) Archiwum Skarbu kwarcianego, pomieszczone naprzód w Rawie, później w Warszawie, 3) Archiwum Podskarbińskie warszawskie, 4) Archiwum Komisji Skarbu Koronnego 1764—94, do którego włączono następnie trzy pierwsze archiwa i 5) Archiwum Dóbr Stołowych J. Kr. Mości. A. Wolff w sumiennej pracy *Metryka Mazowiecka* rekonstruuje pierwotny skład jej części, mianowicie Metryki płockiej (1434—1462 i 1511—1525). Następnie stwierdza autor że Metryka Mazowiecka nie była rejestrem dokumentów, wydawanych przez kancelarję książęcą, ale wykazem czynności prawnych, dokonanych przed księciem lub z jego polecenia. Tenże autor wraz z dyr. J. Siemieńskim opisuje najstarsze księgi krakowskie, znajdujące się w Archiwum Głównem.<sup>2)</sup> Ks. Kwolek, zasłużony propagator naukowej organizacji archiwów kościelnych w Polsce, omawia to aktualne zagadnienie w osobnym artykule.<sup>3)</sup> Dyrektor J. Siemieński opisuje zorganizowane przez siebie działy staropolskie eksponatów Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Min. Skarbu na Wystawie Poznańskiej. W. Lipiński przedstawia archiwa formacyj polskich z czasów wojny światowej. Wreszcie K. Piotrowicz daje wielce instruktywny wykaz materiałów archiwalnych i bibliotecznych oraz zabytków sztuki, mających związek z dziejami Polski, Austrii, w krajach naddunajskich, Czechosłowacji i na Węgrzech.<sup>4)</sup> W końcu wskazać należy z zadowoleniem na książkę St. Konarskiego: *Nowożytna archiwistyka polska i jej zadania*, która stanowi rodzaj nie istniejącego dotąd podręcznika polskiego do archiwistyki, ograniczonego co prawda do czasów najnowszych

<sup>1)</sup> Roczniki Kom. Histor. Tow. Nauk. Warszaw. t. I, zesz. 2.

<sup>2)</sup> Tamże I, zesz. 4.

<sup>3)</sup> *Przegląd Teol.* R. XI.

<sup>4)</sup> *Nauka polska* t. XIII.

(XIX i XX w.). Autor omawia wyczerpująco zagadnienia zespołu i zasobu archiwalnego i wiążące się z nimi kwestje rekonstrukcji zespołów, układu akt, sporządzania inwentarzy, skorowidzów i t. d. Wszędzie podaje liczne przykłady, zaczerpnięte ze stosunków polskich i udziela wskazówek praktycznych, dostosowanych do naszych warunków.

Z dziedziny geografji historycznej wzbudzają zainteresowanie gruntowne, niewykończone jeszcze studia K. Dobrowolskiego nad ludnością pasterską Karpat, w szczególności nad migracjami wołoskimi na ziemiach polskich.<sup>1)</sup> Szły one ku nam od poł. XIV w. aż z Siedmiogrodu i półwyspu bałkańskiego, jak świadczą porównacze badania onomastyczne.<sup>2)</sup> Ci wędrowni pastarze spędzali lato w górach, a na zimę schodzili w niziny, szczególnie w okolice Lwowa. Dzięki staraniom władz państwowych i wielkiej własności ziemskie ludność powyższa zajęła w końcu stałe siedziby i przeszła częściowo do zajęć rolniczych. Ks. St. Kozierowski przedstawia *Pierwotne osiedlenie pogranicza wielkopolsko-śląskiego między Odrą i Obrą a Wartą i Bobrem w świetle nazw geograficznych*,<sup>3)</sup> konstatując, że początkowo cała ta połać kraju stanowiła całość etnograficzną i że tereny językowe polski i sorabski łączyły się ze sobą bezpośrednio, a dopiero inwazja elementu germańskiego rozerwała powyższą łączność. H. Łowmiański w rozprawie: *Przyczynki do kwestji najstarszych kształtów wsi litewskiej*,<sup>4)</sup> stwierdza, że w najdawniejszych czasach spotykamy na Litwie zarówno osady jedno — jak wielodworcze, a nadto w stronach narażonych na napady wytworzył się typ osady wielodworczej, ufortyfikowanej. Do geografji historycznej należy też poniekąd praca H. Langerówny: *System obrony doliny Dunajca, w XIV w.*, przedstawia ona rozkład grodów, należących do panującego lub możliwych panów, duchownych i świeckich, na powyższym odcinku granicznym polsko-węgierskim oraz ich znaczenie przede wszystkim strategiczne, w dalszej linii administracyjne i gospodarcze.

Zadaleko zaprowadziłoby nas rozpatrywanie literatury z za-

<sup>1)</sup> Pam. Zjazd. Hist. 1930.

<sup>2)</sup> Tenże: *Studia nad nazwami miejscowemi Karpat polskich*. Spraw. Ak. Um. 1930.

<sup>3)</sup> *Slavia Occidentalis* 1928—1929.

<sup>4)</sup> *Ateneum wileńskie* VI.

Przegl. Pow. t. 191.

kresu innych, w szerszym znaczeniu nauk pomocniczych historii, jak antropologja, etnografja, archeologja i t. d. Dość wspomnieć, że trzy wspomniane gałęzie nauk doczekały się w ostatnich czasach syntetycznego opracowania w dziełach Czekanowskiego (*Zarys antropologii Polski*), K. Moszyńskiego (*Kultura ludowa Słowian*) i Wł. Antoniewicza (*Archeologja Polski*).

(Dalszy ciąg nastąpi).

*Dr. M. Niwiński.*

## Przegląd piśmiennictwa.

### Nowe powieści.

Stanisław Szpotański: *Bez ziemi i bez nieba*, powieść. Wyd. Księg. św. Wojciecha. — Mikołaj Hercuń: *Rakiety nad frontami*, Renaissance. — Jerzy Ostrowski: *Cathangara*, św. Wojciech. — Zygmunt Nowakowski: *Geografja serdeczna*, Gebethner. — Kornel Makuszyński: *Ze środy na piątek*, Gebethner. — Jim Poker: *Kobiety w pociągu*, Gebethner. — Marja Czeska-Maczyńska: *Rycerz Chrystusowy*, Dom prasy katolickiej. — T. Brudzewski: *Cyklon*, Gebethner. — Maciej Wierzbński: *Malmgrena miłość i koniec*, Tow. Polskiej Macierzy szkolnej. — Marjan Czuchnowski: *Poranek goryczy i Kobiety i koniec*, Poznań wydawnictwo 120.

„Bez ziemi i bez nieba” Szpotańskiego to właściwie nie powieść, choć tak głosi podtytuł. Z powieści ma tylko format wydawnictwa, formę djalogową i leciutko na początku naszkicowany romansik; potem i ta nitka powieściowa się urywa. Książkę Szpotańskiego możnaby już prędzej zaliczyć do tak modnych teraz *vies romancés*, o ile znowu to wyrażenie nie razi zbyt przy krwawym i ponurym żywocie Jakóba Szeli. Bo temat opowieści Szpotańskiego jest zaczerpnięty z chłopskiej rabacji w roku 1846. Temat to okropny, wstrząsający i odpychający zarazem, a mało dotąd w piśmiennictwie czy to w historycznym czy powieściowym wyzyskiwany.

Szela przewija się nieraz jako krwawy symbol przez różne poematy, i choć to czasy niedawne, znane nam jeszcze z tradycji ustnej, groźnego bohatera chłopskiego ruchu widzieliśmy zawsze raczej jako jakąś jawę czy legendę, niż jako żywego człowieka, polityka czy rewolucjonistę. Tak też żyje jego pamięć po wsiach, gdzie przeszła rabacja. Pamiętam z dzieciennych lat tę jego tradycję po wsiach małopolskich: dla chłopu był on raczej upiorem, mitem i hasłem niż historyczną postacią. Nie mówi o nim lud jako o przewrotowcu, człowieku, który miał jakieś cele czy plany polityczne, lecz jako o krwawym duchu rewolucji, o jakiejś potwornej personifikacji zbrodni i zła.

To też próba Szpotańskiego, aby odtworzyć charakter i psychologię tego ponurego człowieka jest niezmiernie ciekawa. Zdaje się, że powieść ta jest historycznie wierna, bo zatrzymuje autentyczne nazwiska pomordowanej szlachty, austriackich komisarzy, nazwy miejscowości, w których się rozgrywa dramat, to też nabieramy zaufania i do historycznej wierności psychologicznego obrazu „naczelnika”.

Ale o ileż bylibyśmy woleli, żeby autor był wyzyskał swoje studia nad tą epoką dla napisania poprostu życiorysu Szeli. Wtedy nie mielibyśmy już ciągłych podejrzeń, że ten lub tamten szczegół jest tylko powieściową ozdobą. Sama postać groźnego bohatera jest przy swej okropności tak ciekawa, że rzeczywiście urozmaiceń powieściowych nie potrzebowała. Nie bardzo jest szczęśliwa ta dzisiejsza moda przetwarzania postaci historycznych na powieściowych bohaterów. Fabuła jak na fantastyczną jest nieraz za mało biorąca, jak na prawdę historyczną często znów wydaje się zbyt powieściowa. Specjalnie w omawianej książce niepewność ta jest męcząca. Tu interesuje nas właściwie wyłącznie fakt i postać historyczna (bo, jak nadmieniliśmy, fabuły innej wogóle няма) i ciągle wahamy się między podejrzeniami o prawdziwości podawanych szczegółów, a historycznym zaciekawieniem. Chcielibyśmy szczegóły te sprawdzać. Niektóre są potwierdzone przez dzieła historyczne, niektóre nie. Np. Limanowski mówi wyraźnie, że Szela był człowiekiem piśmiennym, Szpotański podaje go jako niepiśmiennego. To w całej jego psychologii i historii duża różnica.

Ale czytelnik, zwłaszcza recenzent to człowiek o zgryźliwym charakterze: czyta książkę z największym zaciekawieniem a narzeka, że wolałby ją inną, inaczej napisaną. To też tylko wskutek tego nałogu narzekam, że w niezmiernie interesującym dziele Szpotańskiego wolałabym więcej pewności historycznej, bo taka, jak jest, książka ta jest bardzo dobra — ładna nie można o niej powiedzieć. Postać Szeli jest żywa, wypukła, przekonująca. Psychologia chłopca, który doszedł do władzy, doskonała. Tu, w oddaniu przemiany, jaką osiągnięta władza sprawuje w człowieku, w wykazaniu jak przez tę władzę zmienia się jego kąt patrzenia i stosunek do otaczającej go rzeczywistości, leży artystyczne założenie książki. I trzeba przyznać, że autor to zamierzenie osiąga w całej pełni, dając nam świetny obraz człowieka, który z demagoga i rewolucjonisty staje się burżujem i tyranem. Także psychologia innych postaci chłopskich, czyto pojedynczych, czy zebranych w gromady, oddana jest z prawdziwą znajomością naszego ludu. Sposób, w jaki powstawała do dziś dnia żyjąca legenda o Szeli, jest podchwycony i oddany bardzo dobrze.

Opowiadanie toczy się żywo i barwnie, dużo jest w niem plastyki i epicznego zacięcia. W ostatniej swej części powieść



jest jakby trochę „puszczona”. Wydaje się, że autorowi spieszy się do końca i że trochę skraca i przeskakuje.

Autor w opisie krwawych i okropnych scen rzezi umie zachować smak i umiar artystyczny, to też książka jego, choć przykra, nie jest nigdzie wstrętna ani odrażająca, a choć jest i mocna i prawdziwie realistyczna, może być jednak spokojnie oddana w każde ręce.

„Rakiety nad frontami” Hercunia to jedna z licznych i coraz liczniejszych książek wojennych. Zdawaćby się mogło, że im dalej odsuwa się wojna, tem silniej groźny jej cień rzuca swoją projekcją na umysły ludzkie, na ludzką fantazję i twórczość. Nic w tem dziwnego: dla ludzi, którzy byli na wojnie, staje się ona z biegiem lat przeżyciem odległym, w sobie zamkniętym, widzianem już z perspektywy prawie historycznej, a jednak zawsze tak silnem, że domaga się ono w życiu ciągu dalszego. Bronią się ludzie podświadomie przed przejściem do porządku dziennego nad tem, co tak gwałtownie, straszliwie i niezatarcie nad młodem ich życiem zaciążyło. Że ta potrzeba wskrzeszenia martwej już, choć nieraz nienawistnej przeszłości jest bodźcem bądź to do pisania wspomnień i powieści wojennych, bądź jak w tym wypadku do wydawania dawnych wojennych notatek i zapisków dowodzą choćby ostatnie kartki książki Hercunia. Zakończenie to zresztą swoją sztuczną patetycznością odbija nieprzyjemnie od książki, pisanej żywo, prosto i bezpretensjonalnie. Mimo tego przykrego patosu i już najwidoczniej „robionej literatury” karty te są jednak szczere, a szczerze w nich wyrażone rozgoryczenie, żal, poczucie krzywdy, widoczne wykołajenie życiowe są koniecznym i często spotykanym skutkiem wojny.

Cały rozpęd i wysiłek najbardziej bujnych i pełnych rozmachu lat młodości, który zwykle zużyty bywa na przygotowanie i zbudowanie życia, którego dynamika wystarcza dla nadania kierunku całemu późniejszemu szeregowi lat pracy — zużyty bywa w tych wypadkach na niezmierny i wyczerpujący, a dla zbudowania prywatnego życia najczęściej jałowy wysiłek wojny. Po latach frontu młody chłopiec z potarganemi nerwami a nieraz i zrujnowanem zdrowiem staje wobec zupełnej pustki życia.

Ma poczucie, że spełnił wielki i święty obowiązek wobec kraju i społeczeństwa (u nas w Polsce to uczucie jest oczywiście jedyne w swoim rodzaju), ale teraz musi się zająć swoim życiem prywatnem, karierą, zarobkiem. Jego rówieśnicy, którzy wojny uniknęli, zdystansowali go zupełnie. Młodość jest poza nim, a młodości tej dla przygotowania swojego życia nie wykozystał. I staje wobec życia bezbronny i niezaradny. Mimowoli zwraca się z pretensją do kraju, do społeczeństwa: dla nich walczył, ich bronił, a to społeczeństwo patrzy na niego obojętnie, jak na każdego innego, nie spieszy mu z pomocą jako swojemu

wyjątkowemu dobroczyńcy. Stąd żal, rozgoryczenie, poczucie krzywdy. Stąd też u wielu potrzeba przedłożenia temu społeczeństwu przed oczy listów uwierzytelniających, potrzeba wybicia się i wyróżnienia z tłumu, potrzeba udowodnienia, że wiele się w życiu zdziało, wielkich rzeczy dokonało i wiele przeżyło.

Ludzie po większej części odnoszą się z niechęcią i znudzeniem do t. zw. literatury wojennej. A jednak te dokumenty wojny są i ciekawe i pożyteczne. Stawiają nam przed oczy całą grozę wojny, uczą na nią patrzeć nie pod kątem czczych haseł i politycznych kombinacji, ale pod kątem ludzkiej krzywdy i cierpienia, uczą nas innemi oczyma spoglądać na ludzi tą wojną na całe życie skrzywdzonych, na ludzi przez nią z młodości okradzionych.

Taki obraz czem była wojna na codzień, obraz bezstronny, nie naciągany, nie przystosowywany do żadnych ideologii, wierny, barwny, kreślony żywo i z talentem, daje nam Hercuń. Nie jest on nawet tem, co dziś nazywamy pacyfistą. Niema w nim chciwej i dobrowolnej ponurości Remarque'a, widzi wesołe i zabawne epizody życia wojennego, ocenia miłe stosunki koleżeńskie, na froncie czuje się dobrze, tęskni do niego w nudnem i gnuśnem życiu szpitalnem czy kadrówem. Ale właśnie wskutek tej jego bezstronności, wskutek braku tendencji pacyfistycznej, wojna opisana w tych luźnych, z dnia na dzień kreślonych notatkach wydaje nam się tem okropniejszą.

Niestety książki tej mimo wielu jej zalet trudno polecić do czytania szerszemu ogółowi dla jej niebywałej brutalności. Autor pisząc nie zawahał się nigdy przed najbrutalniejszymi, najbardziej ordynarnymi słowami gwary żołnierskiej, a co gorsze nie oszczędził nam żadnych szczegółów obozowego życia erotycznego, odnosząc się do niego z pobłażliwym uśmiechem człowieka ze złem tak otraskanego, że go już od rzeczy dobrych i obojętnych odróżnić nie może.

Książka Hercunia może być więc tylko jednym dowodem więcej (o ile tych dowodów jeszczeby potrzeba) demoralizującego wpływu wojny, ale dokument ten, choć może cenny a dla niektórych i pożyteczny, powinien spoczywać w aktach tajnych, gdyż dostawszy się w ręce niepowołane więcej szkody jak dobrego wyrządzić może.

„Cathangara“ Ostrowskiego dzieje się w środkowej Brazylii, w osadzie leżącej na pograniczu terenów, gdzie przebywają Indianie. Edward, syn Niemca Hoerhanna i biednej Perugwajki, odtrącony przez swego ojca, który oficjalnie ożenił się z białą, pogardzany i prześladowany przez przyrodniego brata Mariana — staje się pod nazwą czarnej pantery (Cathangara) królem indyjskiego plemienia Botokudów.

Ma zamiar poślubić indyjską księżniczkę Coricrę, która do

stała się do niewoli białych jako dziecko. Ale Coricra, wychowana starannie na modłę europejską przez Niemca, doktora Genscha, nie chce wrócić do dzikich, nawet na należne jej stanowisko królowej. Wtedy Edwardo porywa piękną Hildę, której strzegł dla siebie, zresztą w mało uczciwych zamiarach, tchórzliwy i pyszałkowaty Mariano.

Hilda, pokochawszy Edwarda, nie chce wracać do białych, choć Mariano przyjeżdża po nią. W ten sposób Edward odnosi zupełne zwycięstwo nad Marianem i cieszy się jego upokorzeniem i trwogą, jakiej tenże nie może opanować, znajdując się w obozie czerwonoskórych.

Edwardo, poślubiwszy Hildę, staje się prawdziwą potęgą, z którą musi się liczyć pobliska osada. Poprzednim swoim współobywatelom płała szereg niemiłych figlów, choć zapewnił im bezpieczeństwo przed napadami Indjan. Marzy o połączeniu wszystkich plemion indyjskich pod swoją władzą i o zaprowadzeniu stałego pokoju między białymi a Indjanami.

Autor zapewnia nas w początkowej adnotacji, że ta fantastyczna historia jest prawdziwa. Ostatecznie jest to możliwe; są przecież w życiu przygody i sytuacje, o których się nie śniło powieściopisarzom.

W każdym razie Cathangarę czytamy z tym samym rodzajem przyjemności, z jakim czytaliśmy przed wielu laty „Kwiat prerji” i inne przejmujące opowieści o szlachetnych wodzach Indjan i podłych białych, którzy ich prześladują.

Kto zachował w sobie coś z naiwności dziecka, coś z dziecinnego zamięłowania do dziwnych przygód, tajemniczych a szlachetnych charakterów, kto z zawsze bijącym sercem czyta opisy nocnych napadów, błyskawicznych pochodów Indjan, walk zwaśnionych wodzów, kto lubi od początku książki domyślać się potężnego bohatera w obdartym i pogardzonym włóczędce, a podłego tchórza w pyszałkowatym choć powszechnie poważanym młodzieńcu — ten z przyjemnością czytać będzie książkę Ostrowskiego, zwłaszcza że dowie się z niej jeszcze wielu ciekawych szczegółów o życiu w brazylijskim „interjorze”, o zwyczajach różnych indyjskich plemion i ich stosunku do białych.

Tak więc egzotyczna ta opowieść, pisana żywo i przekonująco, w której panuje czysta atmosfera moralna i dobry duch, może stać się zdrową i miłą rozrywką dla młodszych i starszych czytelników.

„Geografia serdeczna” Nowakowskiego to zbiór feljetonów. Trudno do sądzenia feljetonów przykładać tę samą miarę, co do powieści czy nowel. Feljetyony, zwłaszcza zebrane w książce, mają pewien posmak, pewną zbytnią hałaśliwość publicystyki, które mogą czasami razić. Mimo to jednak feljetyony Nowakowskiego są śliczne, a co rzadsze są prawdziwie zabawne, a co

jeszcze rzadsze — nie są ani ordynarne ani trywjalne. Przeciwnie, pełne są finezji, a zwłaszcza uderzają swą ogromną literacką kulturą.

Feljetony zebrane w tym tomie powstały przeważnie podczas wędrówek autora z teatrem Osterwy po naszych kresach wschodnich. Sam fakt tych wędrówek i organizacja tego teatru są bardzo ciekawe. Może rzeczywiście jest to jedyny czysto ideowy teatr w Polsce. Osterwa, jeden z najlepszych naszych aktorów, jeździ po najbardziej zapadłych dziurach i tam nieraz w opłakanych warunkach gra jego trupa na to tylko, aby polskie słowo, polska sztuka dotarły tam, gdzie może nigdy dotąd klasycznego języka polskiego, języka Słowackiego, Mickiewicza Fredry ze sceny nie słyszano. Bo repertuar tego wędrownego teatru jest czysto klasyczny. Nie potrzeba dodawać, że inscenizacja jest więcej jak skromna: gra się po szopach, stodołach, na ulicy, czasami w kolejowej poczekalni! Mieszka trupa Osterwy w wagonach. Zysków finansowych jest mało: czasami nie więcej jak kilkanaście osób słucha przedstawienia, czasami zbierają się tłumy opatrzone przez dziwny ten teatr w bilety wolnego wstępu.

Bardzo ciekawych i wzruszających rzeczy o tym teatrze, zorganizowanym na modłę jakiegoś zakonnego bractwa, o tym teatrze nie szukajmy ani sławy ani zysków, dowiadujemy się z „Geografii serdecznej”. „Jestem człowiekiem teatru — pisze autor — a właściwie nic o tej Reducie nie wiedziałem”. Tem bardziej nie wiedzieliśmy i my o tak ofiarnej pracy tych ludzi idei i z zainteresowaniem czytamy szczegóły zawarte w książce Nowakowskiego.

Oprócz ciekawych wiadomości o teatrze Osterwy znajdujemy w „Geografii serdecznej” śliczne i prawdziwie „serdeczne” opisy Wołynia, Litwy, Pińszczyzny, Krzemieńca i Wilna, nowogrodzkiej ziemi Mickiewicza i przez Żeromskiego wstawionej ziemi sandomierskiej. Wszędzie, gdzie autor jechał, towarzyszyło mu wspomnienie wielkich naszych pisarzy, którzy te okolice w pieśniach swych uwiecznili, lub też szukał w swych wędrówkach śladów ich życia i pobytu. Te liczne reminiscencje i rozmyślenia literackie dodają wiele uroku książce a widzianym krajobrazom poezji. Oprócz rozpamiętywań literackich wiele też scen komicznych, satyrycznych, a czasami nawet ponurych obrazów Łodzi czy też jakichś zapadłych miasteczek kresowych. Dużo wiadomości konkretnych i ciekawych o tem, jak dzisiaj nasze kresy wyglądają i o tem, co nasza młoda państwowość już tam zdziałać potrafiła.

Wobec tak bogatej i ciekawej treści czasem wolelibyśmy trochę mniej już żartów, mniej gawędziarstwa i czasem trochę może mniej sztucznej niedbałości i elementu dziennikarskiego, ale naogół książka odznacza się dużą kulturą, świetnym stylem,

prawdziwym a umiejącym się utrzymać w granicach dobrego smaku dowcipem i stanowi lekturę miłą, lekką a nawet pożyteczną.

Nowelki Kornela Makuszyńskiego, wydane pod tytułem „Ze Środy na Piątek”, były także prawdopodobnie feljetonami. Przynajmniej tak z ich tonu i poziomu sądzić można i to jedynie służyłby im mogło za częściowe usprawiedliwienie. Są one bowiem tak blahe, że jedynie przymus dziennikarski, przymus dostarczenia nowelki na pewien termin mógłby autora tłumaczyć. Natomiast usprawiedliwienie to nie może już autora rozgrzeszyć z tego, że nowelki jego są przeszarżowane i niesmaczne.

Jest w nich grymas człowieka, który musi się śmiać nie mając do tego żadnej ochoty, więc naciąga tematy i sytuacje wprost do groteski, a ażeby tem pewniej cel swój osiągnąć, stara się ozdobić swe wymuszone opowiadania jakimś powiedzeniem, jakąś sytuacją trochę drażliwą, bo wie, że to publiczność pociąga.

Skutek jest nieszczególny: nowelki te, mające być humoreskami, czytamy bez uśmiechu. Może nowelka „Cień grubego Saradelli” i „Takie czasy” są jeszcze nieco zabawniejsze, ale i w nich pomysły nie są nowe i dość już oklepane.

Całość odznacza się przede wszystkim brakiem finezji i fałszywie brzmiącym śmiechem i robi przykre wrażenie rzeczy pisanej bez przekonania, a tylko pod przymusem.

„Kobiety w pociągu” Jim Pokera zapowiadają swoim tytułem, a jeszcze bardziej przedmową, szereg opowiadań conajmniej frywolnych, szereg przygód romantycznych i podejrzanych. Ale amatorowie lekkiej pornografii, którzy tym zapowiedziom dadzą się uwieść, będą mieli srogi zawód. Nowelki Jim Pokera są zaledwo miejscami romantyczne, o frywolności mowy niema. Kobieta odgrywa w nich rolę minimalną, czasami jest tylko humorystycznym epizodem, czasami najzupełniej przypadkową i niewinną znajomością. Tam, gdzie sytuacja mogłaby być drażliwa, przestaje nią być wskutek lekkości, z jaką autor po szczegółach się przesuwą i wskutek pewnego raczej komicznego nastawienia, które wobec niej zajmuje.

Prawdziwym bohaterem nowelek jest nie kobieta, lecz pociąg. Pociąg — jak powiada autor — stał się już dziś rzeczą romantyczną. Wyczuwa Jim Poker poezję wielkiego żelaznego smoka turkocącego po okutych drogach. Opisuje przygody pociągu towarowego, wiozącego amunicję, pociągu przechodzącego po nadwątlonym moście, górskiej kolejki zasypanej przez śnieg, nie dającego się zahamować ekspresu, pociągu puszczanego bez obsługi na skutek zdrady nieprzyjaciół politycznych.

Dużo nowelek czerpie temat z przygód wojennych, są i opisy morskich ekspedycyj i walk.

Opowiadania są proste, nieraz ciekawe, często o zakroju komiczno-groteskowym.

Pod względem literackim książka ta nie jest ani zła ani dobra. Większych walorów artystycznych nie przedstawia, ale też nie ma w sobie nic rażącego. Kto z obowiązku recenzenta czyta wszystko, co w polskiej beletrystyce wychodzi, umie ocenić i te negatywne walory i wie, że książka, która nie zawiera w sobie nic złego, która jest pisana poprawnie, bez pretensji, która ma pewne zacięcie humoru, która w niczem nie razi dobrego smaku, może już być czytana z pewną przyjemnością i wskutek tego, że nie jest zjawiskiem wybitnie ujemnem, może być zaliczona do zjawisk raczej dodatnich.

„Rycerz Chrystusowy” M. Czeskiej-Maczyńskiej to poprostu w formie powieści opowiedziany żywot św. Wojciecha. Książka ta w swem założeniu ma być dziełem popularnem, przeznaczonem dla najszerzego ogółu. Ten swój cel spełnia znakomicie: jest żywa, interesująca, przykuwa uwagę czytelnika bogatą i urozmaiconą treścią. Tchnie duchem prawdziwie religijnym i katolickim.

Nie jestem w możności sprawdzić co w niej jest prawdą historyczną, a co powieściową fantazją. W każdym razie podmalowanie tła ma wszelkie cechy prawdy historycznej i zdaje się dobrze oddawać krwawe stosunki X wieku.

Autorka pisze poprostu, nie sadząc się na żadne pseudo-artystyczne ozdoby, nie osiąga może wysokiego poziomu sztuki, ale i nie spada pod poziom książki kulturalnie, dobrze i uczciwie pisanej.

Dzieło jej będzie na pewno powitane z radością przez wszystkich pracowników społecznych, jako nadające się znakomicie do wszelkich bibliotek ludowych, kół oświatowych i t. d. Wyróżnia się ono bowiem szczęśliwie wśród tak często nieudolnych prób popularnej hagjografji. A trzeba dodać, że każdy, kto zostawi na boku literacki snobizm, przeczyta ją jeśli nie z wielką dozą artystycznych wzruszeń, to w każdym razie z żywym zainteresowaniem.

Najbardziej razi w tej książce jej szata zewnętrzna: szkaradny papier i nieporządne zbroszowanie. Ten niesympatyczny wygląd zewnętrzny napewno dużo przeszkodzi temu, żeby ta dobra książka rozeszła się w sferach inteligentniejszych i prawdziwie przykro, że na książce, mającej zewnętrzną formę t. zw. literackiego śmiecia, widnieje napis: „Dom prasy katolickiej”. Czas byłby już najwyższy, żeby katolickie wydawnictwa, katolicka prasa zajęły godne siebie miejsce w kulturalnem i umysłowem życiu Polski.

Prawdziwie przykro byłoby napisać o „Cyklonie” Brudzewskiego to wszystko, co napisaćby się powinno. Wystarczy powiedzieć, że jest to historia nudna, śmieszna, nieprawdopodobna i płaska. Pod względem obyczajowym niema w niej nic specjalnie złego, ale czytanie takiej książki nie może przynieść żadnej korzyści, ani sprawić przyjemności, a tylko może obniżyć poziom kulturalny czytającego. Rzeczywiście trudno pojąć jaki cel miał znany skądinąd autor, żeby puścić w świat podobną książkę, której inaczej jak bezwartościową ramotą nazwać nie można.

„Malmgrena miłość i koniec” M. Wierzbńskiego to historia nieszczęśliwej wyprawy Nobilego do bieguna północnego, a właściwie historia jej uczestnika, szwedzkiego uczonego meteorologa, Malmgrena, który w tej wyprawie zginął.

Książka jest pisana przystępnie, prawie popularnie. To nie jest błąd. Niestety nauki przyrodnicze, może właśnie wskutek braku u nas dzieł przystępnych z tej dziedziny (o czym tak słusznie pisze Jan Dembowski w *Pamiętniku Warszawskim*), są mało znane nawet wśród warstw t. zw. kulturalnych, to też dodawane w odsyłaczach objaśnienia M. Wierzbńskiego przydadzą się nawet czytelnikom inteligentnym, choć odnoszą się do rzeczy prostych.

Natomiast wrażenie mocno psuje odsyłacz końcowy, odnoszący się do słów umierającego Malmgrena: „autentyczne”. Myśleliśmy, że w opisie tej tak świeżej tragedji wszystko jest autentyczne. I przychodzi refleksja skąd p. Wierzbński był tak dokładnie poinformowany o przeżyciach wewnętrznych konającego na lodowej pustyni Szweda? Gdy autor powieści opisuje nam myśli człowieka umierającego, wierzymy mu, bo taka jest już przyjęta umowa, że powieściopisarz może wiedzieć co się dzieje w duszach jego bohaterów, aż po samą śmierć, a czasem nawet i poza nią. Ale Malmgren to nie żaden wytwór wyobraźni; myśleliśmy, że autor miał szczegóły o jego śmierci od pozostałych przy życiu jego towarzyszków, bo w tym wypadku interesują nas tylko te słowa Malmgrena i te jego przeżycia, które były „autentyczne”. Pozostałe fantazjowania na temat śmierci człowieka tak nam jeszcze bliskiej i tak tragicznej są raczej niemiłe.

I jeszcze jedno zastrzeżenie co do tej skądinąd tak interesującej książki, w której autor z prawdziwym talentem opisuje nam potęgę i grozę „białej, biegunowej śmierci” — zastrzeżenie natury religijnej: oto na samym końcu swego dzieła autor powiada: „Dokoła gasnącego żeglarza polarnego było nic — a raczej Bóg wyrażający się skończenie w śmierci” i znowu parę wierszy dalej: „i siebie samego złożył z pokorą baranka u stóp Boga śmierci”. Dla nas katolików pojęcie Boga jest tak zasadniczo przeciwne pojęciu nicości, a Bóg jest tak bardzo życiem

i Zwycięzcą śmierci, że zestawienie Boga z pojęciem nicości i zidentyfikowanie Go ze śmiercią musi nas razić.

Te zdania, choć rażące, mają w sobie cechy raczej nieszczęśliwego zwrotu retorycznego, niż jakiejś teorii myślowej, to też oczywiście nie można ich uważać za ideowy kierunek książki i dla nich całej książki potępiać, jakkolwiek żałować należy, że znajdują się w dziele wydanem przez Macierz szkolną, a więc przeznaczonem dla szerokiego ogółu.

O dwóch tomikach poezyj Marjana Czuchnowskiego: „Poranek goryczy“ i „Kobiety i konie“ możnaby za poetą z Wesela powiedzieć: „słowa, słowa, słowa, słowa“!

Słowa to w poezji materiał ważny i najważniejszy, z ich uszeregowania, śpiewności, urytmowania i zestawienia wypływa cały czar mowy wiązanej. W rękach wielkich poetów słowa w mowie potocznej nieraz już wyświechtane i zużyte nabierają nowego życia i blasku. Ale tajemnica tych poetów polega na tem, że w kształt słowa tchną ducha własnego i tym duchem słowo od wewnątrz rozświetlają. I pod tym jedynie warunkiem słowo jest siłą twórczą i dźwięcznym instrumentem myśli. Gdy natomiast użyte jest — jeśli tak można powiedzieć — tylko od zewnątrz, tylko jako sztuczny ornament, wtedy staje się prawdziwie miedzią brząkającą, rzeczą cczą i martwą. Ten właśnie, niestety, wypadek zachodzi u Czuchnowskiego. Słowa w jego wierszach mają martwość kamieni. Jest to potok kamieni, kaskada kamieni. Sypią się te wiersze z pewną powagą i surowością kamieni, ale także z ich ostrym przykrym chrzęstem.

Zdaje się jakby autorowi chodziło przede wszystkim o kojarzenie słów mocnych i rzeczowych w kombinacje nowe i niespodziewane. Ten cel autor osiąga: kombinacje jego są i nowe i niezwykle, ale dodajmy, często także niezrozumiałe i nic nie wyrażające. Weźmy parę przykładów:

Nie dręczcie młodą siwizną  
głowy, cierpliwej jak świeca.

Samotnie mi choć idą żniwa.

Kłos pszenny odbity w szybie: to kiść szału:  
Zapięty na ǳbło jak srebrny paznokieć.

Z tych obrazów i porównań nie wiemy nic: ani dlaczego świeca ma być cierpliwa, ani dlaczego człowiek ma być mniej samotny w żniwa, niż np. w siewy lub kopanie, dlaczego paznokieć ma być srebrny i symbolizować rzecz zapiętą... Czyż znajdujemy coś oprócz słów w tych zdaniach? Oryginalne są bez wątpienia, ale czyż oryginalność, osiągnięta kosztem — powiedzmy szczerze — zdrowego sensu, jest znowu tak wielką zaletą?



Ideologia, zawarta w tem zszeregowaniu słów, ma być zdaje się ideologią siły, radości życia, mocy, a przede wszystkim użycia życia:

Należy życiu krzepko kroku ciepłego dotrzymać.  
 Uwielbiać zdrowie i miłość namiętą jak konne wyścigi:  
 Odwagę materji, zwycięstwo ciała i świeże powaby modnego ramienia:  
 świat rzeczy, myślą człowieka ukuty. .

W kwestjach miłości chce autor być silny i nieromantyczny, mówi o niej otwarcie i brutalnie. Ta brutalność ma być prawdopodobnie dowodem jego silnej postawy wobec życia.

W „Wyznaniu” daje nam Czuchnowski niejako swój program literacki:

Lont przykładam. Wysadzę starą piramidę słów.  
 Rozerwę kruche burty. Rumiany jak morze zbuntowane runę.  
 Nie po serc idę ciepły płacz i smutek przeczulonych łbów.  
 Wyzywam. Znam dobrze moją gibką, ostrą strunę.

Napnę ją. Ze strof wyskoczą lwy.

Program śmiały i potężny, ale śmiemy wątpić czy strofy Czuchnowskiego, choć przyrównane do lwów, potrafią wysadzić w powietrze dotychczasową piramidę słów, a co więcej wątpimy czy wogóle wniosą coś bardzo nowego mimo swej sztucznej i efekciarskiej oryginalności do dotychczasowego naszego poetycznego dorobku.

Na specjalną uwagę zasługuje prześliczne wydawnictwo „Wydawnictwo 120” w Poznaniu, w którym te wiersze wyszły. Tomiki drukowane ślicznym drukiem na szarpanym papierze, ozdobione dyskretną ładną winietą. Trudno o sympatyczniejszy, apetyczniejszy wygląd zewnętrzny. Szkoda, że dobór w tak ślicznej formie wydawanych poezji nie stoi na wysokości ich szaty zewnętrznej.

*Zofja Starowieyska-Morstinowa.*

Dr. Tihamer Toth: Mit offenen Augen durch Gottes Natur.  
 Mit 13 Bildertafeln. Freiburg im Breisgau, Herder. Str. IV+176  
 (kart. 3'60 Mk, opr. 4'60 Mk).

Parę razy mieliśmy już sposobność omawiania książek, w których dr. T. Toth, profesor uniwersytetu w Budapeszcie, zebrał swe bogate doświadczenie w pracy nad młodzieżą; spotkały się one wszędzie z przychylną oceną i były tłumaczone na obce języki. Najnowsza jego praca to dalszy ciąg poprzednich, chce ona z widoków i życia w naturze prowadzić młodego do Boga, chce stać się dla niego pomostem między przyrodą, wiedzą i religją. Dzieł traktujących o tym przedmiocie mamy wprowadzić dużo, ale są one naogół nieprzystępne dla młodzieży, gdyż wymagają gruntowniejszego przygotowania naukowego. Tu zaś nie

jest ono konieczne; autor przechadza się z młodymi, każe im patrzeć na cuda przyrody, przeżywać je i samym wyprowadzać wnioski. Stosownie do takiego założenia staje się jego książka zarazem bardzo ciekawym i pouczającym zbiorem opisów z zakresu astronomji, fizyki, i przede wszystkim przyrody ścisłej, skreślonych barwnie i z życiem, oraz objaśnionych pięknymi ilustracjami na kredowym papierze. Należy się też cieszyć, że tak potrzebna w dzisiejszych czasach praca wyszła z pod pióra doświadczonego kierownika młodzieży i życzyć, by odpowiedziała w pełni jego zamiarom.

*Ks. S. Podoleński.*

Rafał Czeczott: *Obrona wybrzeża*. Warszawa 1931. Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy. Str. X+260. (8'50 zł.).

Jak bronić należy dostępu do morza, które jest koniecznym warunkiem państwowego istnienia Polski, poucza nas obszernie w książce „Obrona wybrzeża” kmr dypl. R. Czeczott. Jest to praca naukowa, pierwsza w tej dziedzinie w naszej literaturze wojskowej, oparta na fachowych dziełach zagranicznych i doświadczeniach ostatnich wojen. Chcąc rozstrzygnąć pytanie: jak zabezpieczyć obronę naszych wybrzeży i komu ją powierzyć, wojsku lądowemu czy marynarce? — przystępuje autor przede wszystkim do przestudjowania poczynionych doświadczeń. Wspomniawszy krótko wojnę rosyjsko-japońską, przechodzi szczegółowiej działania podczas wojny światowej, zwłaszcza pod Dardanelami, obronę zatoki Ryskiej i Fińskiej, organizację obrony Flandrii i wybrzeża włoskiego, oraz ataki na wybrzeża. Wszystko to pozwala mu na wyciągnięcie pewnych wniosków, a ostateczne z nich oraz współczesne rozwiązanie tego zadania zestawia w końcowej części. Zrozumienie opisów ułatwiają liczne mapy i wykresy w tekście; poza tem znajdują się tu tablice składu sił morskich państw walczących i listy strat jednostek bojowych.

*M.*

Ludzie przestworza. Wojna w powietrzu. Z pamiętników i dokumentów wybrał Roman Umiastowski. Warszawa 1930, Główna Księgarnia Wojskowa. Str. XVI+412 (10 zł.).

W dziale pamiętnikarsko-historycznym wydawnictw Wojskowego Instytutu Naukowo-Wydawniczego ukazała się niezwykle interesująca książka, obejmująca wspomnienia z wojny światowej, prowadzonej w powietrzu. Jest to zbiór kilkudziesięciu dłuższych i krótszych opowiadań, wyjętych z dokumentów urzędowych oraz ze wspomnień samych lotników różnej narodowości, i stąd opisanych często dramatycznie, jako wyraz osobistych przeżyć. Wszystkie rodzaje służby i walki powietrznej są tu przedstawione: lotnicy obserwatorzy, szturmowi, artylerji, myśliwcy, morscy.

Osobna część poświęcona jest balonom i ich działaniom; między innymi opisany jest napad Zeppelinów na Londyn. Zapoznajemy się z techniką aeroplanów, hydroplanów i balonów, dowiadujemy się o wrażeniach tych, którzy znajdowali się pod ich ogniem. Zrozumienie rzeczy ułatwiają liczne ilustracje, które wraz ze specjalnie rysowanymi winjetami i barwną okładką przyczyniają się zarazem do estetycznego wyglądu książki. Zestawienia całości dokonał mjr. dypl. R. Umiastowski, znany z opracowanych już poprzednio analogicznych zbiorów wspomnień o walkach na morzu „Ludzie morza” i pod wodą „Ludzie głębin”.

M.

Ochrona Przyrody. Organ Państwowej Rady Ochrony Przyrody. Rocznik 10. Kraków 1930, str. IV+309 i 16 tablic.

Tak zasłużona dla propagandy ochrony zabytków przyrody, niszczonej coraz gwałtowniej w ostatnich latach pod hasłem rozwoju kultury i cywilizacji „Państwowa Rada Ochrony Przyrody” w Polsce wydała dziesiąty tom swej periodycznej publikacji. Skromne początkowo i nieznane szerszemu ogółowi zeszyty *Ochrony Przyrody* zyskały sobie należyte uznanie i to nie tylko w sferach przyrodniczych, lecz także wśród szerokich rzesz polskiej inteligencji, patrzącej głębiej na piękno ziemi i jej stworzeń. Potężny tom rocznika rozpoczyna artykuł prof. U. J. Michała Siedleckiego p. t. „Wielorybnictwo i ochrona wielorybów”, pozwalający wglądnąć w rabunkową wprost gospodarkę, prowadzoną przez towarzystwa akcyjne i handlowe kosztem życia tych bezbronnych zwierząt. Wystarczy przytoczyć fakt, że w roku 1928/29 zabito przeszło 27 i pół tysiąca wielorybów i że tak bezwzględne ich niszczenie w ciągu ostatnich lat doprowadziło do zupełnego niemal wyćpienia szeregu gatunków tych potężnych, a tak do niedawna jeszcze pospolitych ssaków. Niemniej zastraszającym, a dla nas bardzo bliskim, gdyż polskich stosunków dotyczącym jest „niszczenie przyrody pod hasłem użytkowania roślin leczniczych”. Pod tym tytułem zamieszcza krótkie, ale nadzwyczaj dobitne i racjonalne postulaty prof. U. J. Władysław Szafer, główny działacz i organizator ochrony przyrody, na ziemiach Polski. Jeżeliby kompetentne czynniki przyjęły i przeprowadziły postulaty, wysunięte przez prof. Szafera, nie tylko zniknęłoby wandaliskie niszczenie polskiej flory przez niekulturalnych zbieraczy ziół lekarskich, lecz również i racjonalnie prowadzona hodowla roślin lekarskich podniosłaby znacznie przemysł farmaceutyczny w Polsce. W dalszym ciągu umieszcza swe uwagi na temat „Zieleń miast z punktu widzenia ochrony przyrody” prof. Adam Wodziechko. O zabytkach przyrody piszą Stanisław Kulczyński, Tadeusz Świerż-Zaleski, Józef Motyka, Aniela Kozłowska, Szymon Wierdak i K. Bunikiewicz, opisując bądźto

istniejące już rezerwy flory polskiej, bądź też podając wiadomości o cennych i godnych ochrony resztkach dawnej polskiej przyrody. Dział artykułów kończą rezultaty „Z dalszych badań nad fauną Chomca pod Lwowem“, skreślone przez Romana Kuntzego. Dalszą treść rocznika wypełnia mnóstwo nader ciekawych i interesujących wiadomości, czyto z zakresu międzynarodowej ochrony przyrody, której rozwój i powstanie w dużej mierze przypisać należy działalności i inicjatywie polskich uczonych, czy z ochrony przyrody w szeregu obcych państw, czy też wreszcie z ziem polskich. Niestety w tym ostatnim dziale istnieje specjalny poddział, zatytułowany „Niszczenie przyrody“, a zawierający zbyt dużo wiadomości o wandalizmie polskich turystów, młodzieży i ludności, niszczącej lekkomyślnie skarby natury. Toteż ten ostatni wzgląd zainteresować winien szeroki ogół polskich wychowawców, tak księży, jak świeckich, by na każdym kroku wskazywać na znaczenie piękna przyrody i nawoływać do jej szanowania.

Piękny tom zdobi szereg rycin i 16 wspaniałych tablic, ilustrujących piękno krajobrazu i tych już coraz mniej licznych pomników fauny i flory polskiej, zasługujących może więcej na opiekę i konserwację, niż monumentalne gmachy, wzniesione ręką ludzką.

*M. P.*

Estreicher Karol: *K r a k ó w. Przewodnik dla zwiedzających. Kraków 1931, nakładem Tow. Miłośników Historji i Zabytków Krakowa, str. 286 z planem.*

Wzrastający stale ruch turystyczny, ściągający liczne rzesze przejezdnych do polskiego małego Rzymu, wywołuje potrzebę odpowiedniej literatury przewodnikowej, która musi być często odświeżaną z powodu zmian w praktycznych informacjach, jakie samo życie przynosi, oraz postępu wiedzy w Krakowie. To też już kilka lat po ukazaniu się ostatniego gruntowniejszego przewodnika p. H. d'Abancourt dał się odczuć brak nowego krakowskiego bedeckera, któryby uwzględnił w szczególności znaczne zmiany, jakie się w międzyczasie dokonały na Wawelu. Powyższym postulatом czyni zadość najświeższy przewodnik, bezwzględnie najlepszy z wszystkich dotychczasowych, napisany przez młodego historyka sztuki i dobrego znawcę przedmiotu. Po wstępie historycznym i informacjach praktycznych następuje opis zabytków Krakowa, który autor podzielił na kilka przechadzek, dołączając do każdej mały plan orjentacyjny. Pozostałe zabytki Krakowa i okolicy, które nie dały się pomieścić w powyższym schemacie geograficznym, zestawia autor razem w porządku alfabetycznym. Cenną nowość stanowią małe plany niektórych ważniejszych kościołów, które ułatwiają orjentację w znajdujących

się tam pomnikach sztuki. Szkoda, że niema podobnego planu dla zamku na Wawelu. Liczne pierwszorzędne ilustracje upiększają szatę zewnętrzną tej okazałej książki, która może oddać nieocenione przysługi wszystkim, pragnącym poznać gruntowniej pamiętki dawnej stolicy Polski.

M. N.

## Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem OO. Dominikanów, Lwów:

- P. J. S. Ogarek O. P. *Die Sinneserkenntnis Albert d. Gr. verglichen mit derjenigen des Thomas von Aquin.* Str. XVI+163.  
 Ks. Dr. Aleksander Zychliński: *Życie wewnętrzne.* Rozważania teologiczne. Str. 364.  
 Ks. Leon Gąsiorowski: *O czystości panieńskiej.* Wyd. 3. Str. 294.

Nakładem różnych:

- Leon Halban: *Pakta Laterańskie.* Warszawa, F. Hoesick 1931. Str. 72.  
 La Pologne et la Baltique. *Conférences données à la Bibliothèque Polonaise de Paris* par MM. G. Pagès, H. Hauser, P. Charliat, E. Bourgeois, E. Fournol etc. avec un Avant-Propos de M. Emile Bourgeois et un Mémoire annexe par Casimir Smogorzewski. Paris 1931, Gebethner et Wolff. Str. XII+360.  
 Otto Forst de Battaglia: *Der Kampf mit dem Drachen. Von der Gegenwart des deutschen Schrifttums und von der Krise des deutschen Geisteslebens.* Berlin 1931, Verlag für Zeitkritik. Str. VIII+293. (brosz. 6.50 Mk.)  
 7. *Sprawozdanie z działalności Centralnej Biblioteki Wojskowej od IV r. 1930 do III r. 1931.* Warszawa 1931, str. 32.  
 Ks. Bernard Dąbrowski: *25 lat pracy wychowawczej w biskupim Zakładzie św. Anny w Kamieniu Pom. Pelplin 1931, Księg. Sp. z o. p.* Str. 16 i 3 tabl.  
 Ks. Józef Decking: *Akcja Katolicka czym jest i czego żąda?* Tłum. z niem. przez Rolitę. Radom 1931, nakł. Komitetu budowy kościoła w Przytyku (dochód na ten cel: cena 50 gr.).  
 Arcybiskup A. J. Nowowiejski: *Płock. Monografia historyczna.* Wyd. II. Nakładem i drukiem Braci Detrychów, Płock, 1931, str. VIII+714 in 4<sup>o</sup> mai. Z licznymi ilustracjami.  
 Prace Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie. Tom VI, 1930. Wydział nauk matematycznych i przyrodniczych.  
 Jan Kucharzewski: *Terrorysty.* (Z cyklu „Od białego caratu do czerwonego” tom V). Wydawnictwo Kasy im Mianowskiego. Warszawa 1931, str. 479.  
 Ks. Dr. Michał Krzywicki: *Prymat papieski a Kościoły wschodnie w okresie soboru Efeńskiego (431 r.).* Pińsk, 1931, Wyd. Wydziału obrządku wschodniego Pińskiej Kurji biskupiej, str. IV+138.  
 La Hiérarchie Catholique et le problème social depuis l'encyclique „Rerum Novarum”. Paris, Editions Spes, 1931, stron XVI+336.



# Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

## Sprawy Kościoła.

Ku porozumieniu we Włoszech?

Kiedy po raz ostatni omawialiśmy zatarg między rządem faszystowskim a Kościołem (*Przegl. Powsz.* lipiec — sierpień r. b.), Ojciec św. gotował encyklikę, która miała być jakby ostatniem słowem Stolicy Apostolskiej w tej smutnej i bolesnej sprawie. Datowana 29 czerwca, a ogłoszona w Rzymie 5 lipca, napisana po włosku (zaczyna się od słów: *Non abbiamo bisogno*), lecz zwrócona do całego episkopatu katolickiego, encyklika ta ma znaczenie nie tylko jako oświecenie z najwyższego miejsca przebiegu wynikłego sporu, ale zawiera także potwierdzenie pewnych zasad religijnych i moralnych, obowiązujących dla katolików całego świata.

Odnosnie do samego lokalnego zatargu, papież, podziękowawszy biskupom i wiernym wszystkich krajów za okazane mu w tych przykrych czasach współczucie, modlitwy i za zapewnienia wierności, odpięra z całą energią zarzuty, jakimi obarczano Akcję katolicką we Włoszech i jakich użyto za pretekst do rozwiązania stowarzyszeń młodzieży i wykazuje ścisłą apolityczność tych organizacji. Tak naprz. zarzucano, że w organizacjach katolickich ukrywa się akcja polityczna opozycyjnego stronnictwa „popolarów”, otóż Ojciec św. stwierdza, iż na 9250 organizacji, z jakich się składa całość Akcji katolickiej w kraju, tylko w czterech stali na ich czele dawni kierownicy organizacji „popolarów” i to tacy, którzy są znani ze swych sympatyj do faszyzmu. Pius XI wskazuje na właściwe źródło nienawiści do organizacji katolickich — i tu przechodzimy z papieżem do rzeczy zasadniczej o powszechnem znaczeniu. Źródłem tem jest bałwochwalstwo państwa, *statolatria*, ideologja, według której państwo ma być celem wszystkiej działalności ludzi i jedynym wychowawcą ich przekonań. Tę właśnie bałwo-

chwalczą ideologię potępia i odrzuca papież, broniąc praw rodziców do wychowania swych dzieci i nadprzyrodzonych praw Kościoła do kształtowania ich dusz i charakterów. Faszyzm powołuje się na to, że on przecież dopuścił naukę religii do szkół publicznych, — otóż papież, wychodząc ze smutnych faktów ekcesów, jakich młodzież faszystowska dopuszczała się względem instytucji kościelnych, osób duchownych i samej osoby papieża, wykazuje jak niedostatecznym jest samo nauczanie religii, jeżeli się i poza niem nie wychowuje młodzieży w duchu katolickim.

W szczególności zajmuje się encyklika kwestją przysięgi faszystowskiej, w której przyrzeka się posłuszeństwo bezwzględne i nieograniczone władzom partyjnym. Taką przysięgę, o ileby ją chciało się rozciągnąć do rzeczy przez prawo Boże zabronionych, albo religii i Kościołowi wrogich, jest sama w sobie niemoralna i w sumieniu nikogo nie obowiązuje.<sup>1)</sup>

Nie komentujemy ani nie streszczamy całej encykliki *Non abbiamo*, znanej zapewne czytelnikom z prasy. Wyjęliśmy z niej tylko momenty zasadnicze, najgłębszą istotę sporu. Są one natury ściśle doktrynalnej i w nich Kościół z zajętego stanowiska nie ustąpi, ani ustąpić nie może. Oczywiście Władca Città del Vaticano nie posiada siły fizycznej, by stroną drugą zmusić do uznania wypowiedzianych zasad i zastosowania się do nich. Dlatego nie możnaby mówić o przegranej Watykanu, choćby rząd faszystowski także nie zszedł z zajętych pozycji. Kościół zwycięża duchowo, kiedy wobec siły fizycznej nie ugina się, lecz wypowiada swoje *non possumus*. Zafargi z rządami i nawet prześladowania Kościoła mają tę swoją dobrą stronę, że właśnie wtedy jaśniej duchowa niezależność Kościoła, jego moralny autorytet. Kiedy były zawierane pakti laterańskie, podnoszono w innych krajach obawy azali Stolica Święta, pogodzona i sprzymierzona z rządem włoskim, nie stanie się sługą włoskiej polityki nazwęnątrz, a przynajmniej czy nie będzie zmuszona sankcjonować całego systemu faszystowskiego. Obecny zafarg chyba dość przekonał wszystkich, że podobne obawy były nieuzasadnione.

Encyklika papieska, jak było chyba przewidzianem, mocno nie podobala się faszystom. Zabolało ich to, że papież zwrócił się do całego katolickiego świata w sprawie, którą oni poczytują za sprawę niejako domową, włoską. Prasa watykańska wytłumaczyła im, że chodziło tu także

<sup>1)</sup> W zapale walki pewien publicysta faszystowski napisał, że gdyby „Duce” nakazał wystrzelać wszystkich biskupów, to faszyci, wierni swym przyrzeczeniom, nie cofnęliby się przed wykonaniem takiego rozkazu.

o ogólne zasady, dotyczące wolności Kościoła i wolności jego akcji. Na Wielkiej Radzie faszystowskiej 13 lipca orędzie papieskie było przedmiotem obrad, których rezultat, ujęty w trzy punkta, został podany do publicznej wiadomości Włoch i świata. Wielka Rada zastrzega się przeciw posądzeniom, jakoby przysięgi faszystowskie składane były dla chleba i kariery, przeczy temu, by do organizacji faszystowskich przeniknęły elementy antyklerykalne z masonerii, wreszcie broni moralności wychowania w organizacjach faszystowskich. Jak widzimy, faszyzm pomija milczeniem to, co w encyklice papieskiej jest istotnem. Mniejsza naprz. o pobudki, jakimi faszyści kierują się składając swoje przysięgi, kwestja główna bowiem jest ta, czy takie nieograniczone i bezwzględne przysięgi są godziwe. Podobnież pominięto w odpowiedzi kwestję omnipotencji państwa, a to jest pierwszy przedmiot sporu. Odpowiedź Wielkiej Rady robi wrażenie jakoby zakłopotania, że się musi coś odpowiedzieć, a o dobrą odpowiedź trudno.

Z tą też odpowiedzią faszyzm jakoby wystrzelał swoją amunicję. Bomba, podłożona w bazylice św. Piotra przez jakiegoś komunistę czy fanatyka, wstrząsnęła uczuciami Włochów. Autora napastliwej na osobę Piusa XI książki pociągnięto od odpowiedzialności. Organizacje faszystowskie młodzieży zjawiają się masowo w bazylikach Apostołów i przyjmują Komunię świętą. To już jest niejaki opamiętanie i zadośćuczynienie za niedawne dzikie wybryki. Rozchodzą się też wieści o prowadzonych poufnie rozmowach między Watykanem a rządem, podobnych do owych, jakie przygotowywały przed paru laty układy laterańskie. Wymieniane są nawet osobistości, które w tych rozmowach udział biorą i między stronami pośredniczą. Ostatnie depesze donoszą o przyjęciu przez Ojca św. ambasadora Włoch, hr. De Vecchi'ego, komentując to jako zapowiedź bliskiego zlikwidowania całego sporu. Może więc jakieś porozumienie, może uzupełnienie konkordatu lub obustronna interpretacja zawartej umowy w naruszonych przez faszyzm punktach jest kwestją najbliższych dni. Daj Boże! Tymczasem trzeba stwierdzić, że faszyzm uwikłał się w pewną ideową sprzeczność: z jednej strony głosi wszechwładzę państwa, a z drugiej uznaje potrzebę jakiejś zgody z drugą władzą, którą musi uznać za niezależną od siebie; nadto popełnia inną sprzeczność, gdy głosi potrzebę wychowania narodu w duchu wiary ojców, t. j. katolicyzmu, a jednocześnie walczy z zasadami tej wiary, pragnąc przykroić ją do swoich z innego, pogańskiego świata poczerpniętych pojęć. Z tych sprzeczności jest jedno tylko wyjście: wyraźne uzna-



nie nauczycielskiego posłannictwa Stolicy Świętej, lojalna współpraca z Kościołem w wychowaniu młodzieży w duchu całkowicie katolickim i uznanie praw Kościoła w tym zakresie. Inne pytanie, czy faszyzm, kiedy się na to zdobędzie, będzie jeszcze faszyzmem?

*Ks. Jan Urban T. J.*

Kraków, 28 sierpnia 1931 r.

## Dyskusje metodologiczne

(z I Międzynarodowego zjazdu historyków literatury w Budapeszcie od 20 do 24 maja 1931).

Pomysł urządzenia międzynarodowego zjazdu historyków literatury wyszedł pośrednio z Instytutu Współpracy Intelktualnej przy Lidze Narodów, który zainicjował wielkie zjazdy historyczne. Nie jest to okolicznością przypadkową; jeżeli bowiem międzynarodowe zjazdy historyków wiele miejsca i dużo zainteresowania poświęcają sprawie nauczania historii — podobnie zresztą jak czynią kongresy pedagogów — to związek takiego czy innego traktowania przeszłości politycznej z ideologią Ligi Narodów jest oczywisty. Mniej natomiast jasną wydaje się ta korelacja między historią literatury a stosunkami międzynarodowymi; jednakowoż nie tylko nauczanie literatury, ale jeszcze więcej badanie naukowe zjawisk literackich musi prowadzić do zajęcia się życiem duchowym innych grup narodowych. Charakterystyczne świadectwo wartości studjów literackich nawet dla polityka daje prezydent T. Masaryk, gdy opowiada w swych pamiętnikach, jak to, przybywszy do Anglii, orjentował się w nastrojach społeczeństwa przy pomocy lektury beletrystyki.

Jakkolwiek więc zjazd badaczy literatury w Budapeszcie był pierwszym i stosunkowo niepokąznym, uwydatnił on swoją międzynarodowość a zwłaszcza powojenność dość wyraźnie. Wojna bowiem postawiła humanistów wobec nowych problemów i zadań; rewizja wartości naukowych historii literatury rozpoczęła się wprawdzie i w Niemczech i we Francji już przed wojną, ale dopiero wojna i idące z nią i po niej refleksje wzbogaciły niezmiernie świadomość humanisty; w blaskach ogromnej konflagracji nowych kształtów i barw nabrały stare pomniki duchowej twórczości jednostek i narodów, ku którym w chwili niebezpieczeństwa nieraz skierowywano umęczoną duszę. Wtedy też, nie bacząc nieraz na sumiennność badań i słuszność hipotez, dokonowano syntez pospiesznych, ale, jeśli tak rzec wolno, pragmatycznych, tłumaczących zjawiska życiowe lub też pozwalających dać niezawsze głęboką, ale przynajmniej chwilowo zadowalającą odpowiedź na niepokojące pytania. Przy pomocy badań literatury

chciano wyczarować tajemniczego ducha narodowego, czy skarb mądrości poglądu na świat i życie właściwy jakiejś grupie narodowej. W piśmiennictwie szukano elementów psychiki narodowej także i po to, by móc orjentować się w pracach dla przyszłości.

Te okoliczności tłumaczą po części dlaczego jako temat zjazdu wybrano zagadnienie metody badań literackich. Zgóry też zaznaczyć trzeba, że słowo „metoda” nie zostało tu użyte właściwie; raczej chodziło o przedstawienie stosunku badań literackich do innych dziedzin humanistyki. Rozszerzenie horyzontów literackich na inne zjawiska kultury pogłębiło ujęcie cech charakterystycznych utworów literatury pięknej, obok tak zmienionej historii literatury (*Literaturgeschichte*) pojawiła się nauka o literaturze (*Literaturwissenschaft*) — obok przekrojów czasowych teoretyczne próby ujęcia problemów sztuki literackiej. Również spopularyzowanie zagadnień socjologicznych, ekonomicznych, a nawet antropologicznych oddziaływało wybitnie na wyszukiwanie korelacji zjawisk literackich z całym bogactwem życia kulturalnego różnych grup ludzkich. W ten sposób zagadnienia metodyczne przy tylu nowych punktach widzenia pomnożyły się znakomicie; dlatego też przegląd ich był bardzo dobrym pomysłem inicjatorów zjazdu.

Zjawili się przeto na zjeździe rozmaici uczeni, którzy zagadnieniami metody (bardzo szeroko pojętej) zajmowali się i ogłosili ważne w tej dziedzinie prace. Croce, Walzel, Nadler, Schücking, Baldensperger, Ermatinger, Cysarz, to ci najwybitniejsi, których nazwiska podane w programie zjazdu musiały żywo zaciekawić, gdyż był to komplet tuzów niepośledni. Już w przemówieniu inauguracyjnym prof. Baldensperger (Paryż) ujął krótko różne drogi metod literackich w różnych krajach europejskich, z kolei mieli co główniejsi ich reprezentanci ująć punkty zasadnicze.

Najkrócej i najmniej po profesorsku zrobił to sławny autor *Estetica*, Benedetto Croce. Z prostotą i swobodą wygłosił on króciutkie przemówienie, w którym wystąpił zdecydowanie przeciw zacieśnianiu ram historii literatury do badań filologicznych. Specjalizacja w tym zakresie zasłania żywotne związki, jakie istnieją między literaturą a historią kultury czy filozofją; przypominał też czasy idealizmu niemieckiego, gdy ujęcie literatury było pełniejsze. W związku z tem całkującym patrzeniem na zjawisko literackie trzeba opracować pełniejsze ujęcie tych wielkich kierunków twórczości kulturalnej, jak klasycyzm czy romantyzm, realizm czy naturalizm. Podobnie nieco później prof. Eckhoff (Oslo) bardzo subtelnie skreślił obraz prac tych historyków literatury, który poddając się bezwzględnie najdrobniejszemu faktom, analizując nieustannie, tracą z oczu bogactwo zjawisk duchowych, tak silnie i wszechstronnie żyjących w literaturze. Przeciwwstawił im historyka, który obdarzony przedewszystkiem intuicją i sym-

patją wobec autora i dzieła przy pomocy faktów tworzy obraz rzeczywistości. Nie jest to *soumission aux faits* lecz *soumission des faits*. W pięknej harmonji z bardzo szlachetnem ujęciem norweskiego uczonego było żądanie, by badacz umiał się wyrzec swego egoizmu, jak również, by umiał posługiwać się „imaginacją naukową”.

Po linii tego syntetyzmu szło też przemówienie prof. Haukissa (Debreczyn), gdyż mówił on o literaturze jako funkcji życiowej. Historyk literatury powinien mieć jak najgęstszą sieć, by zdolny był wyłowić z twórczości pisarzy wszystko to, co było w morzu życia wartościowe.

Ogólna tendencja tych referatów i przemówień dyskusyjnych szła wyraźnie ku rozszerzeniu granic zainteresowania intelektualnego historyka literatury. Najwięcej jednak mieli tu do powiedzenia Niemcy, którzy liczebnie bardzo słabo byli reprezentowani na kongresie, gdyż było ich tylko pięciu, ale też wygłosili pięć referatów; gdyby do nich dodać profesora Thienemanna z Pięciokościółów, to referaty niemieckie stanowiąc będą  $\frac{1}{3}$  wszystkich odczytów. Prof. Ermatinger (Zurych), znany z swego dzieła *Das dichterische Kunstwerk* (1923), stosunkowo błado przedstawił postulat, by historyk literatury celowo pracował nad ujęciem idei ożywiających społeczeństwo; nie uda mu się jednak ta praca, jeśli nie będzie w żywym kontakcie z otaczającą go współczesnością.

Referat J. Nadlera: *Literatur, Rasse, Volk*, — budził zainteresowanie nie tylko samym tytułem. Jeszcze jako młody uczoney przed laty trzynastu skończył dzisiejszy profesor królewiecki historję literatury niemieckiej według szczepów i regjonów;<sup>1)</sup> ten sposób ujęcia, przypominający tylko pozornie naszego Łyszyńskiego („szkoły”: ukraińska, litewska i t. p.), obiecuje dużo, więc też z ciekawia mocniej. Nadler zastrzegł się, że zbadanie elementów literackich (*Sprache, Gestalt, Idee*) odbywać się musi, jak zawsze, bardzo starannie i skrupulatnie. Dopiero po uzyskaniu analitycznem bogatego materiału można się zastanowić nad tem, które rysy twórczości czy psychiki autora można odnieść do jego ściśle indywidualnych cech, które zaś się znachodzą równie dobrze u niego, jak i u innych pokrewnych mu twórców. Te cechy ponadosobowe mogą nam dawać bardzo rozmaite zespoły, naprz. jedną generację duchową, jedną grupę szczepową, ale one właśnie tworzą pewną ciągłość w czasie i przestrzeni. Idee nie są całkiem pozaczasowe i pozaprzestrzenne; w tem jednak studjum ich związków z gniazdem czy środowiskiem pisarza trzeba zachować wielką ostrożność. Przykładami sławnych królewczan (Kant, Herder czy Arno Holz) sięgnął Nadler wyraźnie w dzie-

<sup>1)</sup> *Literaturgeschichte der deutschen Stämme und Landschaften* (wycho-  
dzi obecnie w 3 wydaniu).

dzinę autropologii i oparł się na tezie o szczepowych czy rasowych typach psychicznych. Słuchaczowi cokolwiek obeznanemu z dzisiejszym ruchem umysłowym Niemiec referat Nadlera musiał przypomnieć wielki ruch na polu t. zw. „Deutschtumskunde“, który tak ogromną rolę odgrywa w obecnym wychowaniu naszych zachodnich sąsiadów.

Bardzo ciekawy ze względu na socjologiczny punkt widzenia był referat L. Schückinga z Lipska. Coprawda już prof. Thienemann wszedł na to pole, rozważając stosunek trzech elementów literatury, t. j. autora, dzieła i publiczności, ale w tym zakresie już przed laty trzydziestu powiedział G. Lanson<sup>1)</sup> dużo ciekawych uwag. Natomiast Schücking zajął się głównie socjologicznymi czynnikami powstawania czy rozszerzania się pewnego smaku literackiego. Wprowadza on pojęcie dość trudne do przełożenia na nasz język, pojęcie ludzi szerzących pewne gusta (*der Geschmacksfräger*). Np. dziecko reprezentuje typ miłośnika bajek i jest ich najliczniejszym „odbiorcą“. Każdy odbiorca narzuca w pewnej mierze swój smak pisarzowi, zwłaszcza gdy chodzi o rodzaje tak popularne i niewiele wymagające przystosowania estetycznego, jak np. w twórczości powieściowej. Zresztą każdy rodzaj sztuki ma swoich mniej lub więcej wyraźnych odbiorców i propagatorów gustu. Krytyka oficjalna odgrywa w tym procesie wytwarzania gustu stosunkowo małą rolę; nieporównanie większe znaczenie mają prywatne informacje znajomych, których łączy między sobą dużo węzłów wspólnej kultury. Oczywiście tu bardzo mocno zarysowują się wpływy działające na epokę i pokolenie; starsi często nie rozumieją współczesnych, gdyż swój smak wyrobili na innym materiale. Dlatego np. Luter wołał Ezopa i Terencjusza — autorów poznanych jeszcze w szkole — niż Erazma z Rotterdamu. Zadaniem historyka literatury będzie poszukiwanie źródeł tych rozmaitych gustów w życiu, a rezultatem określenie stylu sztuki ze stylu życia.

Odczyt lipskiego anglisty, obfitujący w jasno zarysowane przykłady-argumenty, żywo zajął słuchaczy. Charakterystyczne to zjawisko, że między referatami uczonych niemieckich było dość punktów stycznych, bo i Walzel w referacie pod tytułem doskonale znanym z jego zasadniczej książki (*Gehalt u. Gestalt im Kunstwerk*) zajął się zmianą wyrazu literackiego w związku ze zmianami w poglądzie na życie. Gdy dawniej naturaliści, przede wszystkim Zola, widzieli wszędzie twarde, nieugięte prawa i w związku z tem w obrazach swych odpowiednich używali środków wyrażenia, to dzisiejsi ekspresjoniści, chociaż związani bardzo silnie z rzeczywistością, zupełnie inaczej przedstawiają te same tematy. Jako dowód podał opis ruchu ulicznego tu i tam; nowa rzeczowość (*neue Sachlichkeit*) z wielką swobodą odnosi się

<sup>1)</sup> *Histoire littéraire et la sociologie*. Revue de metaphysique, 1904.

do przedmiotów opisywanych i dużo mniej objawia tendencyj racjonalistycznych. Swoją referat zakończył Walzel dość sceptyczną, ale głęboką uwagą: *„In der Dichtung sind viele Seiten, die mit dem Intellekte nichts gemeinsames haben, doch als Wissenschaftler glauben wir, dass wir alles ins Rationale umwerten können werden“*.

Ciekawym protestem przeciw tendencjom socjologizującym było stanowisko prof. Dragomirescu (Bukareszt), niestrudzenie zabierającego głos w dyskusjach. Bronił on nieustannie studjum arcydzieł i stwierdził, że historia literatury polega tylko na badaniu *chefs d'oeuvre*. Był to swoisty protest przeciwko oschłemu filologizmowi, rozbrzmiewający zresztą na kongresie dość często; ale nikt z takim uporem go nie głosił, jak bukareszteński profesor.

Zajęliśmy się przede wszystkim referatami ściśle związanymi z zasadniczym zagadnieniem metody. Inne bowiem, jak Faij'a (Clermont), Ascoli'ego (Paryż), czy odezwania się Crocego w związku z wystąpieniami Dragomirescu, odnosiły się dużo więcej do studjum historii literatury na uniwersytetach. Nie brakło też referatów sprawozdawczych, jak prof. Russo (Florencja), czy prof. Eckhardta z Budapesztu; wysunęły się również zagadnienia literatury porównawczej czy powszechnej, o których mówił Van Tieghen (Paryż) i prof. Folkierski. Polski uczony wskazał na słabą stronę porównawczej metody literatury powszechnej, leżącą w tem, że zestawia się zjawiska podobne w różnych literaturach, nie badając bliżej rozmiarów i znaczenia poszczególnych faktów. Prosto konieczne jest bliższe wniknięcie w warunki różnych kultur, które mają swoje szczególne znamiona, odbijające się w literaturze w różnych epokach i w różnych proporcjach.

Podczas miłych wycieczek po Dunaju, czy na przepiękne wzgórze budzińskie, o których to przyjemnościach pamiętali troskliwi gospodarze zjazdu, gorliwsi dyskutowali swoje akademickie troski, mniej gorliwi mogli rozmyślać o zjeździe jako o fackie, który już zapadł w przeszłość, więc nadawał się do traktowania historycznego. Z referatów i dyskusyj wyłaniała się jedna oczywista, rzecz można, postawa psychologiczna i pewien niepokój, reakcja a może raczej fermentacja metodologiczna. Może jedni Francuzi okazali tu najwięcej spokoju, jakby potwierdzając tezę G. Lanson'a, że nie śpieszą się do zmiany swych narzędzi kulturalnych. Pozatem jednak uwydatniła się przede wszystkim dążność do dogonienia życia, chęć zupełniejszego ujęcia zjawisk literackich na tle życia kulturalnego. Nie dyskutowano szczegółów ustalonej metody, ale rzucano zarysy nowych horyzontów, jakie dostrzec można z mało dotychczas uwzględnianych punktów widzenia. Referaty Eckhoffa, Nadjlera, Schückinga i Walzla były pod tym względem najbardziej znamienne; odczyt Cysarza ujawniał raczej niebezpieczeństwa takiego nie-

ustannego poszukiwania i robił wrażenie zadaleko posuniętego relatywizmu. Oczywiście nie były to rzeczy bezwzględnie nowe; przypominał się ze starszych Renard<sup>1)</sup> czy Dilthey<sup>2)</sup>, ale pokazanie tych zwykle nieuwzględnianych aspektów literatury dowodziło, że literaci z zaciekawieniem patrzą na objawy coraz bardziej różniczkujących się dyscyplin humanistycznych i tak wzbogaconą świadomość poznawczą chcą zastosować do materiału swych badań.

Drugą wybitną cechę określiłby można jako odwrócenie się od pozytywistycznego historyzmu filologicznego. Mocno podkreślano kilkakrotnie konieczność przeżycia estetycznego u badacza literatury; Echhof bardzo pięknie mówił o imaginacji twórczej i zdolności wczuwania się w dzieło; jeżeli zaś Dragomirescu z uporem mówił o arcydziełach literackich i ich oddziaływaniu na dusze, zwłaszcza młodych, jeżeli skutkiem tego proponował studjum wyłączne nielicznych arcydzieł, to i ten występ zrozumiały był na tle reakcji przeciw pozytywizmowi i, powiedzmy, przyziemności metody. Już nie tylko krytyk, ale i historyk literatury nabierał nieco cech owego „*philosophus additus artificii*”, o którym pisał B. Croce. Charakterystycznym był pod tym względem epizod z uroczystości zakończenia zjazdu. Wyrażono opinię, że nazwa zjazdu „historji literatury” jest niewłaściwa; lepiej byłoby użyć ogólniejszego terminu „badań literackich”. Chociaż temu nowatorstwu nie podano ucha ze względu na związek z historykami, przy których asystencji zrodziła się w Oslo myśl zjazdu, a zresztą do terminu nie przywiązywano większej wagi — to jednak była ta propozycja dość symptomatyczna.

Było to też o tyle ciekawe, że przeważali na zjeździe reprezentanci romańszczyzny. Na 42 pozawęgierskich kongresistów było 9 Francuzów i 9 Włochów, podczas gdy nieliczna reszta dzieliła się między 12 narodowości europejskich, wśród których brakowało Anglików, Greków i Rosjan. Ci ostatni byliby wnieśli w dyskusję dogmaty Marksa, jak to uczynił prof. Sakulin na zjeździe filozofów słowiańskich w Pradze (1929). W Budapeszcie panował wybitnie zachodnio-europejski ton nie tylko w tematach, ale też i w tonie zawsze nie tylko kulturalnym, ale i miłym. Chociaż wielkimi rezultatami pochwalić się on nie może, w czym nie stanowi wyjątku wśród zjazdów naukowych, to jednak dał ciekawy przegląd rozmaitych prądów, które nurtują humanistykę, a pozostają w dość ścisłym związku z charakterem narodowym poszczególnych grup badaczy literatury.

Franciszek Bielak

---

<sup>1)</sup> G. Renard: *La méthode scientifique de l'histoire littéraire*. 1900.

<sup>2)</sup> W. Dilthey: *Einleitung in die Geisteswissenschaften*. 1883.

## Polichromja kościoła w Czernichowie.

Czernichów — oryginalna, malownicza wieś podkrakowska, zbiegająca skalistymi stokami ku Wiśle — posiada stary, murywany kościółek. Absyda jego, wsparta pięknie rysującymi się skarpami, sięga prawdopodobnie XIV a może nawet XIII wieku. Odwieczna ta świątynia Pańska, dotychczas skromnie wybielona, zdobyła w ostatnim roku nową szatę wewnętrzną. Dzięki zabiegom i energii księdza kanonika Władysława Galusa odnowiono kościół i ozdobiono malaturą. Znany artysta malarz, Zdzisław Gedliczka, wykonał tu w r. 1930 temperą polichromję, która treścią i formą związana jest harmonijnie z architektoniczną postawą kościoła.

Pod względem kompozycji artysta wywiązał się z zadania szczęśliwie, gdyż niewielkie, ale rzucające się w oczy, pola obok wielkiego ołtarza i na tęczy, oraz trzy zasadnicze węzły sklepienia — rozety — wyzyskał dla głównego motywu tematycznego, Trójcy Świętej i Adoracji Najświętszego Sakramentu, — motywu pomyślanego i wykonanego z prostotą. Więc na lewo od ołtarza wielkiego namalował artysta symbol Trójcy Świętej — Boga Ojca w tiarze papieskiej, Syna Bożego w cierniowej koronie i Ducha Świętego w postaci promienistej gołębic. Wszystkie postacie ujęte są w koła o złotym tle. Okraje zdobi ornament z liści akantu. Pole na tęczy wypełnił Gedliczka pomysłem symbolicznym Adoracji Najświętszego Sakramentu. Linję kompozycyjną obrazu stanowią stylizowane schody, idące w górę od lewej i prawej strony. U szczytu znajduje się kielich — św. Eucharystja — a po bokach klęczą dwaj aniołowie. Szaty ich z ornamentów kwiatowych, a skrzydła z powtarzającym się w dalszej polichromji motywem pawich piór. Obraz utrzymany w barwach łagodnych: zielonej, czerwonej i niebieskiej.

Temat Trójcy Świętej powtórzył artysta jeszcze na rozetach sklepienia. W kołach, które trzymają aniołowie, umieścił emblematy wyobrażające myśl: więc w środkowej rozecie widzimy tiarę papieską, symbolizującą Boga Ojca (autor nawiązuje tu do pierwszego motywu na polichromji obok głównego ołtarza, w czym możnaby zrobić mu zarzut powtarzania własnego pomysłu), w pierwszej zaś, nad wielkim ołtarzem — krzyż, godło męki Chrystusa, a więc wyobrażenie Syna Bożego, a w trzeciej nad organami — gołębicę, znany symbol Ducha Świętego. Aniołowie, którzy — jak wspomniałem — trzymają te koła z emblematami, mają skrzydła i szaty o układzie linii odśrodkowym, a zamknięte są figurą geometryczną i promieniami złotymi.

Artysta szczęśliwie wyzyskał jeszcze dwa dalsze pola w szczególnej architekturze czernichowskiego kościółka. A mianowicie koło głównej bramy rozmieścił anioły trzymające tablice z napisami:

„Święć się imię Twoje“ i „przyjdź królestwo Twoje“ — oraz po obu stronach organów skomponował postacie aniołów, grających na harfach. Szaty ich i skrzydła zdobią bogate motywy z kwiatów i pawich piór — a więc powtórzenie pomysłu dekoracyjnego, jaki autor wyzyskał na szatach i skrzydłach aniołów na tęczy.

Tak wygląda strona tematyczna i figuralna polichromji Gedliczki w kościele czernichowskim. Wszystkie inne pola, gdzie kompozycyjnie artysta nie mógł rozmieścić figur, wyzyskał on szczególnie dla motywów dekoracyjnych. I tak resztę polichromji wykonał Gedliczka jedynie w wartościach kolorystycznych. W tym celu podzielił pola na pasy czy też sfery, idące oddołu do sklepienia w coraz jaśniejszych barwach — poprzez zielone i różowe do jasno-zielonych, znajdujących się już na sklepieniu. Pasy te ożywione są stylizowanymi liśćmi akantu. Tak samo we wnękach sklepienia skomponował Gedliczka polichromje w postaci pasów blado-niebieskich i granatowych ze złotymi gwiazdami.

Artystyczna koncepcja Trójcy Świętej na polichromji obok głównego ołtarza mogłaby budzić pewne zastrzeżenia. Gedliczka zapożyczył tu pomysł ze średniowiecznych wizerunków Boga Ojca w papieskiej tiarze. Jednak ze względu, że obraz zdołał kościół, gdzie gromadzą się i modlą ludzie o prostem, nieskomplikowanym, prawie naiwnem spojrzeniu na wszelką ilustrację Świętej Tajemnicy — koncepcja Gedliczki, nawiązująca tematycznie do prostoty średniowiecza, jest usprawiedliwioną, zwłaszcza że problemy artystyczne rozwiązał autor indywidualnie. Wielkim natomiast artystą okazał się Gedliczka w malowaniu aniołów. Spokój w układzie figur i rysunku szat, harmonja barw, a nadewszystko uduchowiony, pełen myśli wyraz twarzy tych niebieskich postać-ców — pozwala aniołów Gedliczki zaliczyć do rzędu nieprzeciętnych dzieł sztuki. Na tem polu znalazł Gedliczka swój styl. Szczególnym i pięknym jest tu także pomysł zastosowania pawich piór jako motywów dekoracyjnego. Również dużo inwencji okazał artysta w stylizowaniu liści akantu i gwiazd. Pod względem kolorystycznym cała polichromja starego kościołka w Czernichowie utrzymana jest w harmonji łagodnych, stonowanych barw. I tu budzą się pewne obawy. Kościół malowany jest temperą, zatem z biegiem lat farby się nie tylko spatynują, ale mogą one wskutek zmian temperatury zblednąć, zgasnąć w swoich żywszych ogniskach, stracić na wartości w miejscach silniejszego akcentu. A powtóre po długich, jak najdłuższych dziesiątkach lat wilgoć zacznie żreć malaturę i farba zacznie odpryskiwać i spadać. Nie jest to przecież technika *fresco*, która pozwala dziełu sztuki przetrwać setki lat. Szkoda — ale znowu, jeśli zważymy ile to taka polichromja (malowana choćby temperą) musiała pociągnąć za sobą kosztów i jak trudno wogóle dziś walczyć o jakikolwiek, choćby niewielki, fundusz, zwłaszcza na wsi, na restaurację i ma-



lowanie kościołów, jeśli dalej dowiemy się ile energii i zapału, ile konsekwencji i prawie nieustępliwego, szlachetnego uporu musiał okazać miejscowy kanonik, ks. Wł. Galus, przy wydatnej pomocy wikarego, ks. Fr. Gabryła, aby w ciągu dwóch lat zdobyć konieczną sumę kilku tysięcy złotych na artystyczne odnowienie świątyni Pańskiej — na pewno uznamy jego zbożny czyn, zwłaszcza że polską sztukę religijną wzbogacił o dzieło nieprzeciętnej wartości.

W dzisiejszych, powojennych czasach, gdzie na wsiach znajduje się tyle zrujnowanych, zaniedbanych kościołów — ten piękny fakt odnowienia kościoła w Czernichowie powinien być budującym przykładem.

*Antoni Waśkowski.*

# Spis rzeczy tomu 191.

## Artykuły.

|                                                             | Str.    |
|-------------------------------------------------------------|---------|
| T. Grabowski: Nowe drogi badania literatury . . . . .       | 3       |
| S. Kołaczkowski: Osobowość i podstawa poetycka              |         |
| Fredry . . . . .                                            | 16, 244 |
| K. L. Koniński: Kwestja „kultury ludowej“ . . . . .         | 39, 284 |
| Ks. B. Bojułka T. J.: Czy wszyscy śmiertelni umrą? . . . .  | 56      |
| Dr. M. Gumowski: Djabeł wenecki . . . . .                   | 69      |
| J. Magiera: Ruch katolicko - narodowy w Słowacji . . . .    | 79      |
| M. Dunajówna: Monografia psychologiczna prof. Winda-        |         |
| kiewicza . . . . .                                          | 96      |
| Dr. M. Niwiński: Średniowieczni opaci klasztoru wacho-      |         |
| ckiego (dok.) . . . . .                                     | 117     |
| J. Feldman: Nowa praca Michała Bobrzyńskiego . . . . .      | 137     |
| Ks. Dr. J. Pastuszka: Religja w „filozofji życia“ . . . . . | 209     |
| Dr. Inż. S. Micewicz: Wojna chemiczna . . . . .             | 230     |
| Ks. J. Umiński: Kandydatura Hozjusza na stolicę apostolską  |         |
| Ks. S. Podoleński T. J.: Opieka społeczna nad dzieckiem     |         |
| i młodzieżą w Polsce . . . . .                              | 301     |
| Dr. M. Niwiński: Przegląd polskiej literatury historycznej  |         |
| 1929—1930 . . . . .                                         | 323     |

## Przegląd piśmiennictwa.

|                                                                    |     |
|--------------------------------------------------------------------|-----|
| Józef Ujejski: Dzieje polskiego mesjanizmu do powstania listo-     |     |
| padowego włącznie (Z. Ciechanowska) . . . . .                      | 147 |
| Stan. Pigoń: Do źródeł „Dziadów“ kowieńsko - wileńskich            |     |
| (Z. Ciechanowska) . . . . .                                        | 150 |
| Henryk Sienkiewicz. Obraz twórczości. Ułożył, poprzedził wstę-     |     |
| pem oraz uzupełnił życiorysem, bibliografią i przypisami Kaz. Cza- |     |
| chowski (Z. C.) . . . . .                                          | 154 |
| Henryk Sienkiewicz: Pisma. W układzie Ign. Chrzanowskiego          |     |
| (Z. C.) . . . . .                                                  | 156 |
| Ferdynand Foch: Pamiętnik. Przekład O. Laskowskiego (Dr.           |     |
| W. Czaplicki) . . . . .                                            | 156 |

|                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                           | Str.     |
|-------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|----------|
| Wanda Dobrowolska: Książęta Zbarascy w walce z hetmanem Żółkiewskim. — Dr. Franc. Suwara: Przyczyny i skutki klęski cecorskiej (Dr. W. D.) . . . . .                                                                                                                                                                                                                                                                                      | 160      |
| Morawski Stan. Dr.: Szlachta Bracia. 1802—1850. Wydali A. Czartkowski i H. Mościcki. — Czartkowski Adam: Księżna Łowicka. Portret biograficzny. 1791—1831. (K s. St. Bednarski) . . . . .                                                                                                                                                                                                                                                 | 161      |
| Pamiętnik Świętokrzyski. Rok 1930. Redaktor A. Patkowski (K s. St. Bednarski) . . . . .                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                   | 162      |
| Otton Hedemann: Historia powiatu brastawskiego (Dr. M. Pelczar) . . . . .                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                 | 163      |
| Inż. J. J. Karpiński: Puszcza Białowieska i Park Narodowy w Białowieży. (Dr. M. Pelczar) . . . . .                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                        | 165      |
| I. W. Kosmowska: Pomorze. — Henryk Bagiński: Wolność Polski na morzu (J. U.) . . . . .                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                    | 165      |
| Ks. Dr. A. Mytkowicz: O płacach zarobkowych i ich bieżącej polityce. — Ks. Dr. Michał Białowas: Czas pracy w Polsce (R. Moskale) . . . . .                                                                                                                                                                                                                                                                                                | 166      |
| Ks. Dr. Ferd. Machay: Rozwiązanie sprawy społecznej w ramach Akcji Katolickiej (K s. J. Urban) . . . . .                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                  | 168      |
| Wtajemniczenie w filozofję św. Tomasza. Praca zbiorowa pod redakcją E. Peillaube (Z. W.) . . . . .                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                        | 169      |
| Ks. Dr. Edward Górski: Księga psalmów (J. U.) . . . . .                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                   | 170      |
| Św. Jan od Krzyża: Noc ciemności i Pieśń duchowa (J. U.) . . . . .                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                        | 171      |
| L. Jeleńska: Sztuka wychowania (J. W.) . . . . .                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                          | 171      |
| Lexikon der Pädagogig der Gegenwart... I Band. Abendgymnasium bis Kinderfreunde (K s. St. Bednarski) . . . . .                                                                                                                                                                                                                                                                                                                            | 173      |
| Ks. St. Marchewka: Rozważania o Najśw. Sakramencie. — Ks. Wł. Muchowicz: Przenajświętsza Ofiara. — Ks. Prevot: Rekolekcje dla czcicieli Najśw. Serca Jezusa. — Ks. Fr. Walczyński: Podręcznik do kazań i nauk o rzeczach ostatecznych. — Ks. Józef Czarnecki: „Ojcze odpuść im...” (K s. J. Godaczeński) . . . . .                                                                                                                        | 174      |
| Stan. Szpotański: Bez ziemi i nieba. — Mik. Hercuń: Rakiety nad frontami. — Jerzy Ostrowski: Cathangara. — Zygm. Nowakowski: Geografja serdeczna. — K. Makuszyński: Ze środy na piątek. Jim Poker: Kobiety w pociągu. — M. Czeska-Maczyńska: Rycerz-Christusowy. — T. Brudzewski: Cyklon. — Maciej Wierzbński: Malmgrena miłość i koniec. — Marjan Czuchnowski: Poranek goryczy i Kobiety i konie. (Z. Starowiejska-Morstinowa) . . . . . | 339      |
| Dr. Fihamer Toth: Mit offenen Augen durch Gottes Natur (K s. S. Podoleński) . . . . .                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                     | 349      |
| Rafał Czezoł: Obrona wybrzeża (M.) . . . . .                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                              | 350      |
| Ludzie przestworza. Z pamiętników i dokumentów wybrał Roman Umiastowski (M.) . . . . .                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                    | 350      |
| Ochrona Przyrody. Rocznik 10. (M. P.) . . . . .                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                           | 351      |
| Karol Estreicher: Kraków. Przewodnik (M. N.) . . . . .                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                    | 352      |
| Nadesłane do Redakcji . . . . .                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                           | 176, 353 |

# Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

## Sprawy Kościoła:

|                                                                                                                                                                      |     |
|----------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|-----|
| Lipiec — Sierpień: Niezałatwiony zatarg rzymski. —<br>Walka z Kościołem w Litwie. — Jeszcze o apolityczności Akcji ka-<br>tolicckiej u nas (K s. J. Urban) . . . . . | 179 |
| Wrzesień: Ku porozumieniu we Włoszech? . . . . .                                                                                                                     | 354 |
| Współpraca polsko-węgierska (K s. E. Kosibowicz) . . . . .                                                                                                           | 186 |
| Wystawa polskiej sztuki religijnej na Śląsku (A. Waśkow-<br>ski) . . . . .                                                                                           | 194 |
| Stan chorób zakaźnych w Polsce w r. 1930 (K.) . . . . .                                                                                                              | 200 |
| Z zagadnień pedagogicznych i oświatowych (H. Kownacka) . . . . .                                                                                                     | 204 |
| Dyskusje metodologiczne (F. Bielak) . . . . .                                                                                                                        | 357 |
| Policzomja kościoła w Czernichowie (A. Waśkowski) . . . . .                                                                                                          | 363 |